

TAMORA PIERCE

Tłumaczenie Jacek Drewnowski



Włotwa
opali

• Kroniki Tortallu •



TAMORA PIERCE



MKS

Dla Tima

Ta książka jest tylko dla Ciebie.

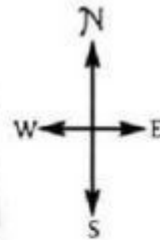
Już czas.

*Zasługujesz na to i jeszcze więcej,
za cały wysiłek, który włożyłeś w nas.*

CORUS, 246 EL

NIŻSZE MIASTO

SZAMBO ROZCIĄGA SIĘ NA POŁUDNIE OD ULICY KOSKYNEN I NA ZACHÓD OD ZACHODNIODURNEJ ORAZ ZWĘGLONEGO SADU



PROLOG

Z DZIENNIKA
ELENI COOPER,
ZAMIESZKAŁEJ, WRAZ Z SZEŚCIOLETNIM SYNEM,
GEORGE'EM COOPEREM,
PRZY ALEI WRZECIONOWEJ, W NIŻSZYM MIEŚCIE,
CORUS, KRÓLESTWO TORTALLU

18 marca 406 (EL – Ery Ludzi)

Czy podczas tych wszystkich lekcji, zamiast wpajania mi bezużytecznych pieśni i modlitw, nasza świątynna kapłanka nie mogła udzielić mi jednej – tylko jednej! – nauki: co robić z chłopcem, który jest zbyt sprytny jak na swój wiek?

Odchodzę od zmysłów! Mój George został przyłapany na kradzieży i musiałam iść na posterunek gwardii przy ulicy Jane.

Myślałam, że umrę ze wstydu. Wiem, że to wszystko przez to miejsce i przez kolegów, których tutaj ma. Ich rodzice, jeśli nawet nie uczą swoich dzieci tajników kradzieży, to udają, że niczego nie widzą, bo dzięki temu mają jedzenie na stole. A ja mieszkam tu zbyt krótko. Nie mogę do nich iść i powiedzieć: „Trzymajcie swoje dzieci z dala od mojego syna. Nie pozwólcie, żeby uczyły go kraść”.

Chcę, by dorastał w wielkim świecie. Teraz jesteśmy biedni, ale modłę się, by to się zmieniło. Na razie nie stać mnie na mieszkanie w lepszym miejscu. Rodzina nie przyjmie mnie z powrotem, nie po naszym ostatnim spotkaniu. Zostałam więc tutaj i próbuję jakoś wychować chłopaka, który za dużo widzi, słyszy i myśli, w najnędzniejszej okolicy w całym mieście.

Na posterunku czekał mój urwipoleć. Siedział na ławce obok gwardzisty, który go schwytał.

– To była tylko garść monet, pozostawionych na ladzie, pani Cooper – powiedział gwardzista. – I odzyskałem je wszystkie. To jego pierwszy występ, no i mam wobec pani dług, bo tak bardzo ułatwiła pani poród mojej żonie. – Spojrzał na George’a. – Następnym razem pójdziesz do klatki albo na roboty do gospodarstwa – ostrzegł. – Nie dawaj mamie powodów do płaczu.

Złapałam George’a za ramię i wyciągnęłam go stamtąd. Ledwie wyszliśmy z bramy na ulicę, a on powiada do mnie:

– Jeszcze sto lat temu gadali na nich Psy, mamo. – Używał mocnego akcentu Niższego Miasta, wiedząc, że doprowadza mnie tym do szału. – Wiesz, czemu to zmienili? Uznali, że nikt nie będzie ich szanować, jeśli dalej będzie się gadało o nich jak o kundlach, tak jak przez trzy setki...

Trzepnęłam go w ucho.

– Nie życzę sobie od ciebie żadnych lekcji historii, nicponiu! – krzyknęłam, bo uraził moje poczucie godności. – Trzymaj język za zębami! – Wszyscy, których mijaliśmy, uśmiechali się drwiłco. Zнали naszą historię, wiedzieli, że zostałam usunięta ze świątyni. Sądzieli, że uważam się za lepszą od nich, bo starałam się utrzymywać swój dom i dziecko w jak największej czystości i uczyłam je pisać. Niech myślą, co chcą. Nie będziemy zawsze żyli w Szambie. Mój George jest przeznaczony do lepszych rzeczy.

Złodziejstwo do nich nie należy, słowo daję.

Kiedy dotarliśmy do naszego mieszkania, puściłam go. Patrzył na mnie orzechowymi oczami, tak podobnymi do moich. Orli nos i kwadratowy podbródek ma po ojcu, wiernym ze świątyni, którego widziałam tylko przez jedną noc. George wyrośnie na mężczyznę uważanego przez kobiety za tak nieładnego, że aż przystojnego, o ile przeżyje. Musiałam dopilnować, żeby przeżył.

– Wstyd! – rzuciłam mu prosto w twarz. – George’u Cooperze, jak ja mam stanąć przed ludźmi? Kradzież! Mój syn dopuścił się kradzieży!

Śmiało spojrzał mi w oczy.

– Nie wzbogacamy się na twoim uzdrawianiu i czarowaniu, mamo, a ja nie chcę być ciągle głodny.

To mnie zraniło. Wiedziałam, że jest głodny, i choć dzieliłam swoją porcję, by dostawał więcej, to i tak nie wystarczało. Nie chciałam, by zobaczył mnie we łzach, a zresztą musiałam postąpić tak, jak postąpiłam, więc usiadłam na krześle i przelożyłam sobie łobuza przez kolano. Dostał największe lanie w swoim młodym życiu.

Szarpięciem postawiłam go na nogi. Podbródek mu się trząsnął, ale powstrzymał płacz. Kłopot w tym, że mój syn i ja jesteśmy zbyt do siebie podobni.

– Są rzeczy ważniejsze niż bogactwo – stwierdziłam, starając się, żeby mnie słuchał. – Na przykład nasze nazwisko. Przede wszystkim, George, nie zajmujemy się kradzieżą. – Zamierzałam poczekać z opowieścią o Rebecce Cooper, aż będzie starszy, żeby zrozumiał, ale głos Bogini we mnie mówił, że chyba już czas. On musiał to usłyszeć. Zdjęłam kapliczkę z szafy. Trzymałam tam rodzinną pamiątkę, by uchronić ją przed małymi chłopcami. Otworzyłam przód, by pokazać mu małe figurki przodków.

– Widzisz, jak wielu twoich pradziadów nosiło mundur Gwardii Starościńskiej? Co by powiedziała nasza sławna przodkini, gdyby się dowiedziała, że jeden z jej potomków wyrósł na pospolitego złodzieja?

– Mamy sławną przodkinię? – spytał George, pocierając zadek.

Podniosłam mały, sfatygowany posążek Rebecki. Często go wyjmowałam, gdy byłam mała, bo była jedyną kobietą wśród tych wszystkich przodków, noszących czarną tunikę i spodnie gwardii. U jej stóp siedział kot, lecz kropki fioletowej farby, będące jego oczami, już się wytarły, podobnie jak bładoniebieski barwnik z jej własnych oczu. Kapliczka była stara, dała mi ją cioteczna babka, gdy poświęciłam się służbie w Świątyni.

Pokazałam synowi figurkę.

– Rebecca Cooper – powiedziałam. – Twoja pra pra pra pra praprababka. W swoich czasach sławna Gwardzistka Starościńska. Zawzięta, praworzędna i lojalna. Tego samego chcę dla ciebie. I była postrachem złoczyńców, zwłaszcza złodziei. Kradnąc, przynosisz jej hańbę.

– Tak, mamó – odrzekł cicho.

– Zapamiętaj ją – powiedziałam, lekko potrząsając go za ramię. – Szanuj ją. I szanuj mnie. Objął mnie rękami w talii.

– Kocham cię, mamó – powiedział. Teraz mówił już bezbłędnie, tak jak go uczyłam. Pomógł mi posprzątać po przygotowaniu lekarstw i przyrządzić kolację.

Dopiero opisując ten dzień, uświadamiam sobie, że nie wspomniał nawet słowem o kradzieży.

Będzie mi posłuszny. To dobry chłopiec. A ja złożę ofiarę swojej Bogini, by poprowadziła go ścieżką Rebecki Cooper.

Z DZIENNIKA
ILONY COOPER,
MATKI REBECK COOPER,
ZAMIESZKAŁEJ W DOMU STAROSTY,
PRZY ZBIEGU DRÓG PAŁACOWEJ I ŻŁOTEJ,
CORUS, KRÓLESTWO TORTALLU

13 listopada 240

Mojemu sercu lepiej po tym dniu. Kiedy Becca powiedziała mi, że rozmawiała z gołembiami, ja się bała, że ona zwariowała. Ja się bała, że Jaśnie Pani zamknie jom, bo pani nie lubi Becki. Przez Beccę muj pan za bardzo lubi być zwykłym Psem.

Myślała ja, żeby zabrać Beccę do matki mojego męża. Babcia Fern bendzie wiedziała, czy w tej krwi jest oblend. Więc zabrała ja tam dziś Beccę i zostawiła maleństwa z Myą.

Becca miała w kieszeniach chleb i przez całom droge na Koniczynowom karmiła gołembie. Podobno ptaki opowiadajom, jak niekturzy poumierali. Ja się bała, że ktoś z Domu Starosty zobaczy chleb i powie, że go ukradła.

Jak powiedziałam Babci Fern, dlaczego my przyszły, Babcia się śmiała.

Nie jest bardziej szalona niż ja, muwi. Becca ma magiczny dar. Chociaż niektuży muwiom, że to wcale nie jest dar. Nie da się go używać na zawołanie. Albo go masz, albo nie. Miał go ojciec Becki, a wcześniej jego siostra i wuj.

Modliłam się do Bogini. Moja curka nie jest szalona. Taki dar to nic dobrego, ale lepszy niż szaleństwo.

Babcia Fern kazala Becce ubijać masło. Becca tak mocno waliła w maselnicę! Babcia Fern powiedziała jej: możesz troszke rozruszać magię. Musisz, dziewczyno. Inaczej duchy, jeżdżonce na ptakach, pomieszajom ci zmysły gadaniem, kturę słyszysz tylko czeńściowo. Gołembie noszom zmarłych. Takich, co zginęli nagle i mieli sprawy do załatwienia.

Takich, co ich zamordowano, muwi Becca.

Gołembie to posłańcy Czarnego Boga, muwi Babcia. Zbierajom dusze, żeby je zabrać do Spokojnych Krajín, ale niekturę nie chcom iść. Trzymajom się ptaka, aż zobaczom, co się z nimi stało. I muwiom. Czasem to, co muwiom, się przydaje, Becco. Dlatego musisz się nauczyć słyszeć ich głosy. Słyszalaś inne głosy, Becco? Może na rogach ulic?

Nie wiem, muwi Becca.

Chodźmy zobaczyć, muwi Babcia.

Najpierw skończyły my masło, bo nie mogło czekać. Potem Babcia zabrała nas na rug ulicy o dwa domy od swojego. Był tam pyłowy krent i rozrzucał wokół liście i ziemię jak mała tromba powietrzna.

Twuj ojciec nazywał go Hasfush, muwi Babcia. Tak muwił. To jeden z pyłowych krentuw, kturę nigdy nie odchodzom. Wejdz i słuchaj, Becco.

Becca nigdy się nie kluci z Babciom Fern. Tylko ze mnom. Weszła do krenta.

A co, jak się udławi? – spytała ja.

Nie buj się, muwi Babcia. Ona ma Dar Powietrza.

Krent zrobił się mały. Becca wyszła strasznie brudna.

Musze ją umyć, muwie. Jaśnie pani dostanie szału.

Becca spojrzala na Babcie. Hasfush żyje. Powiedział mi wszystko, co słyszał. Potem był szczęśliwy.

Nastempnym razem przynies mu kurz z innych czeńści miasta, muwi Babcia. Twuj ojciec muwił, że to lubił. Ilony, przyślij ją do mnie po południu. Naucze Beccę, jak słyszeć duchy i pyłowe krenty. To jest zapisane w rodzinnej ksiendze.

Ona może to opanować. Słuchanie. Nie jest szalona.

Bardzo się ja bała o mojom Beccę. Wiem, że umre od tej rozedmy płuc. Moje dzieci bendom musiały radzić sobie same. Becce bendzie najtrudniej. Za długo była w Niższym Mieście. Magia może. Nawet przyjaciele – ptaki, wiatr na ulicy i kurz – też pomogą.

Z DZIENNIKA
MATTHIASA TUNSTALLA,
GWARDZISTY STAROŚCIŃSKIEGO,
ZAMIESZKAŁEGO W KWATERACH ROWANA,
PRZY ULICY BOTTA, W DZIELNICY PATTEN
CORUS, KRÓLESTWO TORTALLU

13 listopada 244

Dzisiaj Jaśnie Pan Gershom zabrał Clary i mnie na kolację w Delicjach Naxena. W ten sposób chciał nam podziękować za pokonanie Krwawego Jocka. (Ja bym nie poprzestał na związaniu go i doprowadzeniu przed sąd. Łajza obrabował parę, zabił mężczyznę i pocałował kobietę, kiedy tamten leżał obok.)

Była to nasza trzecia kolacja w Delicjach Naxena. Ja i Clary nigdy nie moglibyśmy sobie na to pozwolić, ale kiedy zamykamy ważne sprawy, możemy liczyć na elegancką kolację z Jaśnie Panem. Wino się lało, a po posiłku podano też brandy. Wszyscy dobrze się czuliśmy, gdy Clary zadała pytanie, które od dawna interesowało nas oboje: w jaki sposób Jaśnie Pan zdołał ujarzmić bandę Śmiałego Brassa sześć lat temu? Banda przez jakiś rok wałęsała się po dzielnicach Ładnakość, Górpopola i Jednorożca, dobierając się do skarbców ludzi, którzy płacą Łotrowi, żeby ich nie okradano. Powiadano nawet, że Jego Wysokość szuka nowego pana starosty. A potem nagle cała banda była już w kajdanach, Jaśnie Pan dostał w nagrodę nowe włości od króla, a wicestarostę przeniesiono na stanowisko dowódcze na granicy scanrańskiej.

– Jakie opowieści słyszeliście? – pyta Jaśnie Pan z nieznacznym uśmiechem, jakby znał bardzo dobry dowcip.

Opowiadamy te, które słyszeliśmy najczęściej. Jedna z kobiet związanych z grupą przyłapała swojego męża z inną. Palacowy mag zniżył się do pracy Psa, żeby zemścić się na bandzie za to, że został obrabowany. Banda zabiła konia, uwielbianego przez jakiegoś księcia, a ten sam zapłacił magom.

Jaśnie Pan zaczyna się śmiać.

– Nic z tego nie jest prawdą – mówi. – To była mała dziewczynka, ledwie ośmioletnia.

Patrzę na swoją szklankę brandy.

– To lepsze niż pomyje, do których przywykłem – mówię. – Mógłbym przysiąc, że powiedziałeś, iż banda Śmiałego Brassa została pokonana przez ośmiolatkę.

Jaśnie Pan kiwa głową.

– Żywiła urazę do jednego z nich. Mieszkał z jej mamą. Kiedy się dowiedział, że kobieta ma rozedmę płuc, pobił ją i zabrał wszystko, co miała wartościowego. Dziewczyna go tropiła. Tak jak wy byście to robili, trzymając się poza zasięgiem jego wzroku. Jeśli go zgubiła, po prostu znajdowała go później w jego ulubionych miejscach.

– Skąd wiedziała, że będzie wart tego wysiłku? – chce wiedzieć Clary. – Czemu po prostu nie poczęstowała go nożem?

Jaśnie Pan na to:

– Ten świński syn dawał jej mamie biżuterię, której nie mógł osiąść w uczciwy sposób, a potem wszystko zabrał, kiedy odchodził.

– Tak – mówi Clary. – Musiała być z Szamba. Te maluchy z Szamba wiedzą, które świecidelka mogą być stamtąd, a które nie.

Jaśnie Pan ciągnie swoją opowieść:

– No i Becca, bo tak się nazywa, Rebecca Cooper, w końcu tropi zbira aż do miejsca, w którym spotyka się on z kolegami. Obserwuje ich i po chwili wie, że natrafiła na kryjówkę bandy Śmiałego Brassa. Potem idzie do najbliższego Psa, tyle że ten jej nie wierzy.

– Pewnie Straż Dzienna – bąka Clary. Moja partnerka uważa, że jedyne Psy warte uwagi to Straż Wieczorna, na przykład my.

– Więc Becca idzie do swojej budy – ciągnie Jaśnie Pan – ale tam się z niej śmieją. Próbuje nawet powiedzieć mojemu wicestarostcie. Ten każe ją wyrzucić na ulicę. Myśli, że próbowała go czarować. Becca nie jest magiem, ale ma te ich jasne, niebieskoszare oczy. Kiedy się gniewa, czujesz się, jakbyś patrzył w lodową studnię. A wtedy już się gniewała. Takie oczy u dziewczynki budzą lęk, ale ona nic nie może na to poradzić. Pewnego dnia jadę przez Targ Dzienny, a ta kruszyna ła-

pie mojego Oso za uzdę. Znacie Oso, nie lubi niespodzianek. Omal nie wyciągnąłem broni, ale zobaczyłem, że to dziecko, a Oso się uspokoił, gdy do niego przemówiła. Powiedziała, że jeśli chcę dopaść bandę Śmiałego Brassy, powinienem jej posłuchać. Mój wicestarosta jest już gotowy wyciągnąć na nią bicz. A tymczasem ja czuję się, jakbym patrzył w oczy tysiącletniego ducha. W przeciwieństwie do wicestarosty nie boję się. Słucham jej. A ona daje mi bandę Śmiałego Brassy na tacy. A potem myśli, że może zniknąć, ale ja też znam parę sztuczek. Odnajduję jej dom i rodzinę. Teraz Cooperowie mieszkają u mnie.

– Z całym szacunkiem, panie, ale po co? – pytam. – Garść złota wystarczy jako dowód wdzięczności.

Kręci głową.

– Matka ma rozedmnę płuc, a moi uzdrowiciele twierdzą, że nie można jej pomóc. Choroba za bardzo się rozwinęła. Pięcioro ślicznych, obiecujących maluchów, Becca jest najstarsza. I jakieś gnojowisko przy Uliczce Psich Sików. Matka jest zielarką, kiedy dobrze się czuje, ale to zdarza się coraz rzadziej. Miałem wrażenie, że Becca już uczy się kraść. Jego Wysokość chciał szukać nowego starosty. Byłem coś winien tej lodowokiej kruszynie. Becca Cooper uratowała mnie przed hańbą. Myślę, że będzie dobrym Psem, kiedy już dorośnie. Jej bracia i siostry dobrze sobie poradzą w świecie, jeśli dostaną szansę. A jej matka umrze w dobrych warunkach. Wierzę, że lepiej podziękować bogom za ocalenie mojej pozycji. – Jaśnie Pan unosi szklankę. – Uwielbiam być starostą.

My też wznosimy naczynia.

– Cieszymy się, że cię mamy, panie – mówi Clary. – Któż inny zwraca uwagę na Psy, które wykonują tyle pracy?

Nie mogę wyrzucić tej historii ze swojej głowy. Dziewczynka, która wytropiła kryjówkę szajki, mając tylko osiem lat. Mam nadzieję, że jeśli rzeczywiście trafi do Gwardii Starościńskiej, nie będzie myślała, że wie już wszystko na temat tego, co robimy. Wtedy szybko by zrezygnowała. Liczę, że Jaśnie Pan nie wychowa jej w taki sposób. Umarłaby z nudów i odpadła w pierwszym miesiącu pracy. Może też uznać, że skoro raz jej się udało, i to w dzieciństwie, to oznacza, że wszystko już potrafi. Wtedy po prostu czeka ją śmierć.

**DZIENNIK
REBECKI COOPER**

Środa, 1 kwietnia 246

Pisane rano, pierwszego dnia mojej służby.

Chcę, by ten dziennik stał się pamiątką dni, które spędzę w Gwardii Starościńskiej. Będzie to dla mnie dobre ćwiczenie, jeśli, oczywiście, przeżyję pierwszy rok jako Szczenię. Przyda się przy pisaniu raportów, gdy zostanę już prawdziwym Psem. Notując słowo w słowo wszystko, co pamiętam, zwłaszcza gdy chodzi o rozmowy z ludźmi w mieście, będę trenować pamięć. Nasi treserzy mówili, że musimy zawsze jak najdokładniej zapamiętywać wszystko, co się tylko da. „Pamięć to twoje akta, gdy masz zajęte ręce”. To jedno z naszych powiedzonek na szkoleniu.

Co do mnie, to na dobry początek napiszę, że mam metr siedemdziesiąt wzrostu i silne ramiona, choć jestem raczej szczupła. Jak na dziewczynę, jestem raczej mocno zbudowana. Pieknie ciężko pracowałam na swoją sylwetkę, zarówno na dziedzińcu treningowym, jak i na własną rękę. Moje brzoskwinki są jak trzeba. Z pewnością byłyby większe, gdybym przytyła parę kilo, ale ponieważ nie mam ukochanego i na razie wcale mi na tym nie zależy, takie brzoskwinki są w sam raz.

Podobno mam ładną buzię, chociaż moja siostra Diona mówi, że kiedy mój drobny nos i kości policzkowe zostaną kilka razy złamane, to już nie będzie ładna. (Moje siostry nie chcą, żebym była Psem.) Oczy mam jasne, szaroniebieskiej barwy. Niektórym się podobają. Inni twierdzą, że budzą niepokój. Ja je lubię, bo pracują dla mnie. Zęby mam zdrowe. Włosy – ciemny blond. Brwi i rzęsy nie muszę czernić. Noszę długie włosy i to jedyny przejaw próżności. Wiem, że przeciwnik może za nie chwycić, ale nauczyłam się splatać ciasny warkocz od czubka głowy. Mam też kolczasty pasek, który mogę w nie wpleść, więc każdy, kto złapie mnie za warkocz, pożałuje.

Z taką niecierpliwością wypatruję godziny piątej i początku swojej pierwszej zmiany, że moje pismo na tej stronie jest roztrzęsione, a nie schludne, jak mnie uczono. Ciężko jest w spokoju pomyśleć. Muszę koniecznie opisać każdy szczegół tego pierwszego tygodnia mojego pierwszego roku w gwardii. Czekałam na tę chwilę osiem długich lat. Teraz nadeszła. Chcę napisać o swoim pierwszym zadaniu, o szkolących mnie Psach, o wszystkich detalach swojej pracy. Zostanę Psem szybciej niż ktorekolwiek ze Szczeniąt przede mną. W pierwszym tygodniu dowiodę, że wiem więcej niż wszystkie inne Szczenięta.

To nie jest próżność. Żyłam w Szambie przez osiem lat. Kradłam. Przez kolejnych osiem lat uczyłam się u pana starosty. Przez trzy z tych ośmiu lat biegałam z wiadomościami u starościńskich Psów, zanim zaczęłam szkolenie. Znam Niższe Miasto lepiej niż twarze swoich braci i sióstr, lepiej niż twarz matki. Reszty nauczę się szybciej niż inne Szczenięta. Teraz nawet mieszkam w Niższym Mieście, w Zaułku Drobnomiedzi. Nie mieszka tam nikt z pozostałych stażystów przydzielonych do budy przy ulicy Jane. (Pożałują tego, kiedy pod koniec zmiany będą musieli wracać kawał piechotą do domu!)

Drapek mówi, że liczę ryby przed złowieniem. A ja mu na to, że skoro już muszę się męczyć z fioletowookim gadającym kotem, czemu ten kot musi być taki zgorzkniały? W tym tygodniu ma zostać w domu. Nie pozwolę się rozkojarzyć temu dziwnemu stworzeniu, które przez cztery ostatnie lata było mi przyjacielem. I nie pozwolę, żeby rozkojarzyło moje Psy. Będą zadawać różne pytania na jego temat – pytania, na które ja nie umiem odpowiedzieć, a on nie zechce.

Największe obawy budzi we mnie moja nieśmiałość. Jest jeszcze gorzej, odkąd zaczęłam zaplatać włosy i odłożyłam spódnice. W walce byłam najlepsza z całej grupy, ale zasłużyłam na różgi przez tydzień, bo nie umiałam deklamować formułek. Muszę jakoś odnaleźć w sobie odwagę, by powiedzieć komuś obcemu, że jest aresztowany za przestępstwa przeciwko królewskiemu pokojowi, a potem szczegółowo wymienić przewinienia. Albo muszę dostać partnera, który lubi mówić.

Zostałam przydzielona do budy przy ulicy Jane. Dowódcą straży w roku 246 jest Acton z Fenrigh. Wątpię, żebym kiedykolwiek miała z nim do czynienia. Większość Psów nie ma. Nasz sierżant to Kebibi Ahuda, moja mistrzyni szkolenia w walce wręcz i najzacieklejsza baba, jaką spotkałam. Mamy na swojej zmianie szóstkę kaprali i dwadzieścia pięcioro starszych gwardzistów. Nie

licząc Psów klatkowych ani tych, którzy zajmują się ogarami gończymi. Mamy też dyżurnego maga, Fulka. Nazywamy go Fulkiem Nosodłubem. Z nim też nie chcę mieć nic wspólnego. Jak następny raz mnie dotknie, złamię mu tę rękę, czy jest magiem, czy nie.

Tak to wygląda. Zostają tylko moje Psy szkolące. Napiszę o nich i przedstawię dokładnie, kiedy już ich lepiej poznam.

Pisane pod koniec dnia.

Gdy słońce dotknęło krawędzi miejskich murów, weszłam do budy przy ulicy Jane. Pierwszego dnia nie mieliśmy szkolenia przed służbą. Dlatego byłam w świeżym, czystym mundurze. Dostałam go z pokoju ze starymi ubraniami w domu pana starosty. Miałam na sobie letnią czarną tunikę z krótkim rękawem, czarne spodnie i czarne buty. Do tego czarny pas z sakiewką, gwizdek, dwa sztylety, porządną pałkę, manierkę z wodą i rzemienne pasy do wiązania więźniów. Byłam wyposażona jak na Psa przystało i gotowa do złapania paru Szczurów.

Niektórzy inni stażyści z Niższego Miasta byli już na miejscu. Podobnie jak ja, mieli białe obwódki Szczeniąt na mankietach i rąbku tuniki. Nikt z nas nie wie, czy ta biel ma wskazać nas Szczurom, żeby nas oszczędzili, czy raczej zabili w pierwszej kolejności. Żaden nauczyciel nie chce nam tego powiedzieć.

Usiadłam z innymi Szczeniętami. Powitali mnie ponuro. Żaden z nich nie chciał tu być, ale każda dzielnica dostaje coroczny przydział stażystów. Moi towarzysze uważają, że mieli pecha w losowaniu. Diabelnie mało tu chwały. O ile nie jesteś Psem weteranem albo przyjacielem Łotra, do zdobycia są najwyżej miedziaki. A w Niższym Mieście jest ciężko. Wszyscy wiedzą, że spośród Szczeniąt, zaczynających rok szkoleniowy w Niższym Mieście, połowa rezygnuje albo ginie w ciągu pierwszych czterech miesięcy.

Próbowałam wyglądać równie posępnie, jak pozostali, żeby dotrzymać im towarzystwa. Są źli, że chciałam przyjść na ulicę Jane.

Ahuda zajęła swoje miejsce przy wysokim biurku sierżanta. Wszyscy usiedliśmy. Baliśmy się jej podczas ćwiczeń. To przysadzista, czarnoskóra kobieta z piegami i włosami, które wyprostowała i przycięła tuż pod uszami. Jej rodzina pochodzi z Carthaku na dalekim południu. Podobno jej podejście do stażystów to zemsta za to, że Carthakanie traktowali jej rodzinę jak niewolników. Ja wiem tylko tyle, że zrobiła z nas wszystkich szybkich wojowników.

Kiwała głową Psom ze Straży Wieczornej, przychodzącym na służbę już parami albo spotykającym się w poczekalni. Niektórzy spoglądali na naszą ławkę i uśmiechali się. Inni poszturchiwali się znacząco i wybuchali śmiechem. Moi koledzy pozwieszali głowy i wyglądali żałośnie.

– Zjedzą nas żywcem – szepnął mi do ucha mój przyjaciel Ersken. Był z nas wszystkich najmilszy. Nie najlepsza to cecha jak na przyszłego Psa. – Myślę, że ostrzą sobie zęby.

– Pływanie po otwartym morzu byłoby chyba lepsze. – Verene weszła po mnie i usiadła obok. – Dalej, Becco, poślij im to swoje lodowate spojrzenie.

Spuściłam wzrok. Chociaż czuję się swobodnie przy innych Szczeniętach, byłam onieśmieszona w obecności Psów i ludzi, którzy przychodzili do budy w różnych sprawach.

– Masz chorobę morską – przypomniałam jej. – Dlatego postanowiłaś zostać Psem. A moich spojrzeń w to nie mieszaj.

Skoro Ahuda siedziała przy swoim biurku, znaczyło to, że dowódca straży był już w swoim gabinecie. Pewnie przeglądał zadania, dobierając Psom partnerów spośród Szczeniąt, a może po prostu akceptując wybory Ahudy. Poprosiłam Boginię, by Ersken dostał kogoś, kto zrozumie, że jego uprzejmość nie oznacza słabości. Verene potrzebowała Psów mówiących wprost. A ja?

Bogini, Mithrosie, niech będą dobrzy w tym, co robią, modliłam się.

Kogo dostanę? Wiedziałam, kogo chcę. Trzy pary partnerów słygnęły ze swojej pracy. Pocałowałam półksiężyc pod paznokciem kciuka na szczęście.

Na zewnątrz dzwony na rynku zaczęły bić na piątą po południu, czyli na koniec pracy Straży Diennej i początek Straży Wieczornej. Psy kończące służbę ustawiały się przed biurkiem Ahudy, ze Szczeniętami za plecami, by się odmeldować. Potem mieli już dzień z głowy. Ich Szczenięta, szóstka naszych kolegów ze szkolenia, westchnęły z ulgą i wyszły za drzwi. Przed wyjściem powiedzieli nam, czego się spodziewać, każdy na swój sposób. Niektórzy pokazywali uniesione kciuki.

Dwoje ze zmęczonym uśmiechem wykonało gest oznaczający wieszanie. Odwróciłam wzrok. Co było dla nich takie trudne? Przypadła im Straż Dzienna. Każdy wiedział, że to Straż Wieczorna ma w Niższym Mieście najgorzej.

Po wyjściu Straży Diennej Ahuda wywołała nazwiska pary Psów. Gdy podnieśli na nią wzrok, kciukiem wskazała drzwi dowódcy. Wyprostowali ramiona, sprawdzili nawzajem swoje mundury, po czym weszli do środka. Znałam ich. Jaśnie Pan Gershom dwa razy ich pochwalił.

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Ahuda popatrzyła na nas.

– Szczenię Ersken Westover. Zostajesz przydzielony do tych dwóch Psów na szkolenie. Po-
dejdź.

Ersken przełknął ślinę, po czym wstał przy wtórze gwizdów i oklasków starszych Psów. Wyglądziłam mu ubranie. Verene pocałowała go, a nasi koledzy poklepywali go po plecach i ścisali mu dłoń. Później Ersken spróbował przejść przez pomieszczenie tak, jakby był przekonany, że sobie poradzi, w obecności około dwudziestki zwykłych ludzi i Psów ze Straży Wieczornej.

Hilyard szturchnął mnie łokciem.

– To ty mogłaś go pocałować, żeby mu rozjaśnić ostatnie godziny.

W odpowiedzi szturchnęłam go mocniej. Zawsze próbował siać niezgodę.

– Moje pocałunki są nie dość dobre? – spytała Verene. Walnęła Hilyarda pięścią w ramię. –
Zobaczmy, co ty dostaniesz, jak cię wezwą.

Ersken stanął na baczność przed biurkiem Ahudy. Zmierzyła go wzrokiem.

– Przestań. Odpręż się. Dowódca właśnie udziela im napomnień, że nie mogą cię połamać,
poszczerbić ani wrzucić do rynsztoka bez mojego pozwolenia.

Psy wybuchnęły śmiechem. Jeden zawołał:

– Nie wypruwaj sobie żył, chłopcze. Tutaj wszyscy jesteśmy po prostu Psami pracującymi.

– Całą sławę, chwałę i ładne dziewczyny trzymają dla dzielnicy Jednorozca – przemówiła
kobieta o twarzy przedzielonej poprzeczną blizną.

Odezwał się inny Pies:

– Tam z fontann leci woda różana. A tutaj...

– ...siki! – wykrzyknęli pozostali. Był to stary dowcip w Niższym Mieście.

Drzwi gabinetu dowódcy się otworzyły. Wyszły z nich dwa Psy. Wyglądały na zrezygnowane. Ten bardziej przysadzisty skinął na Erskena.

– Do nogi, Szczenię. Niech zacznie się nasza wspólna praca. Nic nie gadasz, jasne?
My mówimy, ty słuchasz. – Zacisnął masywną dłoń na ramieniu Erskena i poprowadził go ku wyj-
ściu.

– Pamiętaj, jutro wy, Szczenięta, meldujecie się godzinę wcześniej na ćwiczenia walki
wręcz przed służbą. Nie będzie już tak łatwo jak dzisiaj!

Psy Erskena pozwoliły, by drzwi się za nimi zamknęły. Ahuda wywołała kolejną parę Psów
na spotkanie z dowódcą i kogoś spośród nas, by czekał na swoje Psy szkolące. Nadeszła kolej na
Hilyarda. Verene spełniła swoją groźbę i go nie pocałowała.

Podczas gdy czekaliśmy, aż Psy zabiorą Hilyarda, jakaś mieszkanka miasta zawołała:

– Pani sierżant? Są już jakieś wieści, kto zostawił prawnuczka starego Krzywonogiego mar-
twego w rynsztoku?

Popatrzyliśmy na nią. Może przyszła odwiedzić kogoś zamkniętego w klatkach dla Szczu-
rów na zapleczu. Ciągnęła ze sobą piątkę dzieci. Widocznie obawiała się, że w dzielnicy grasuje ja-
kiś zabójca i nie chciała zostawiać ich w domu.

Ahuda pokręciła głową.

– Nie ma żadnych informacji, proszę pani. Jeśli boi się pani o swoje dzieci, radzę zapomnieć
o strachu. Krzywonogi to najgorszy kutwa, paser i właściciel domów czynszowych w Niższym
Mieście. Kupuje za miedziaki to, za co płaci się złotem. Jeśli jakaś jego rudera spali się z matką
w środku, sprzedaje sieroty jako niewolników. Ma wystarczająco wielu wrogów. Każdy z nich
mógł udusić to biedne małeństwo.

– Ano, ale nikt nie zabija kobiet i dzieci – mruknął jeden z Psów. – One nie uczestniczą
w interesach.

Ahuda zgromiła mówiącego wzrokiem.

– Złapiemy Szczura i żywcem obedrzemy go ze skóry, ale założę się z każdym, że Krzywonogi doprowadził jakiegoś nieszczęśnika do utraty zmysłów. Pani dzieci są bezpieczne.

To prawda, że Krzywonogi jest najbardziej nienawidzonym człowiekiem w Corus. Prawdą jest także, że rodziny się nie rusza, jeśli ta nie pomaga twojemu wrogowi w pracy. Kto zabija potomstwo rywala, staje się banitą.

– Dam głowę, że stary paser wynajął najlepszych, żeby znaleźli zabójcę malucha – odezwał się jakiś mężczyzna. – Pani sierżant, komu zapłacił Krzywonogi, żeby dopaść mordercę? Słyszałem, że szukają go na każdej zmianie.

– To nie pańska sprawa – odparła Ahuda, nie odrywając oczu od dokumentów.

– Kto jest na tej zmianie? – spytał ktoś inny.

Ahuda podniosła wzrok i skrzywiła się, gotowa fuknąć na ludzi, żeby trzymali język za zębami. Odezwał się stary Nyler Jewel.

– No, ja i Yoav, dobrzy obywatele.

Wszyscy wbili w niego wzrok. Bez wątpienia wiedzieli, że siostra Yoav powiesiła się przed trzema miesiącami. Mąż sprzedał ją, by spłacić dług wobec Krzywonogiego, a potem ona zabiła się w zagrodach niewolniczych. Jewel i Yoav nigdy nie wypruwaliby sobie żył, żeby szukać zabójcy małego Rolonda, nieważne, ile łapówek zapłaciłby jego pradziadek.

Psy wybrane ze Straży Nocnej i Diennej też chowały urazę. Krzywonogi miał tylu wrogów, że nawet ich wszystkich nie znał.

Podczas gdy Ahuda wyczytywała nazwiska czwartej pary wyznaczonej do spotkania z dowódcą, do środka weszli Matthias Tunstall i Clary Goodwin. Opuściłam głowę, żeby włosy zasłoniły moje oczy, i patrzyłam, jak szukają sobie fragmentu ściany, o który mogliby się oprzeć. Spośród trzech dobrych par z ulicy Jane oni byli najlepsi, kapral Goodwin i starszy Pies Tunstall. Mogli sobie wybrać dowolne miejsce w Corus, ale trzymali się Niższego Miasta.

Pewnej nocy Jaśnie Pan zaprosił ich na kolację po zadaniu, które bardzo dobrze wypełnili. Ukryłam się za kotarami małej jadalni w domu starosty, żeby posłuchać ich rozmowy. Jaśnie Pan Gershom zaoferował im pracę na Góropolach, ale odmówili.

– Clary i ja znamy Niższe Miasto – powiedział Tunstall. – A ci najgorsi znają nasze zwyczaje. Ludzie z Dworu Łotra znają na pamięć ślady naszych butów, błogosławione niech będą ich głupie łby. To nam pasuje, prawda, Clary?

A Goodwin zachichotała.

– Gdzie indziej łupy są sowitsze. – Jaśnie Pan Gershom był rozbawiony, wyraźnie to słyszałam. – Worki szczęścia z łapówkami dla bud są cięższe w innych dzielnicach.

– Jesteśmy skromni – stwierdziła Goodwin. Miała głos jak ciemny miód. – Lubimy skromne profity. A kości z worków szczęścia Łotra nam wystarczają.

Wiedziałam, że nigdy mnie do nich nie przydzielą. Nie dostawali Szczęniąt.

Goodwin i Tunstall plotkowali ze swoimi przyjaciółmi wśród Psów, podczas gdy inne pary wychodziły, każdy ze Szczęnięciem. Weterani z Niższego Miasta to twarda załoga, oprócz zwykłego munduru noszą metalowe osłony szyi i karbowane naramienniki. Nawet inne Psy traktują ich z rezerwą, szanując ich zdolność przeżycia.

Będę wywołana na samym końcu. Rozejrzałam się dookoła, gdy ostatni kolega wyszedł ze swoimi Psami. Wytarłam spocone ręce o spodnie. A po chwili omal nie połknęłam własnego języka, bo Ahuda zawołała:

– Tunstall i Goodwin.

– Nie! – Goodwin posłała mi ostre spojrzenie swoich piwnych oczu. – Nie. Nie. Nie bierzemy Szczęniąt. Nie lubimy ich. Bez obrazy, kimkolwiek jesteś. Nigdy nie mieliśmy Szczęnięcia.

– No to czas najwyższy. – W spojrzeniu Ahudy nie krył się nawet cień współczucia. – Wasze szczęście się skończyło.

Goodwin ruszyła do gabinetu dowódcy niczym jastrzęb, który dojrzał zdobycz. Tunstall spokojnie poszedł za nią.

Wydają się źle dobrani. Kapral Goodwin jest o pięć centymetrów niższa ode mnie. Jest

mocnej budowy, a ciemno-kasztanowe włosy nosi krótko przycięte. Ma drobny, haczykowany nos i pełne wargi. Podobno położyła scanrańskiego berserkerka, który zabił w walce trzech mężczyzn, a ona była sama i miała tylko pałkę. Jest szybka i zwinna. Służy jako Pies od siedemnastu lat.

Starszy Pies Tunstall jest jej partnerem od trzynastu lat. Sam służy od dwudziestu. Ma mniej więcej metr dziewięćdziesiąt, długie ręce, długie nogi, głęboko osadzone piwne oczy i długi, zakrzywiony nos. Przypomina mi sowę, ale wśród płci pięknej cieszy się sporym powodzeniem. Włosy ma krótko przystrzyżone i przyprószone siwizną, podobnie jak krótką brodę i wąsy. Jest wesoły i miły w obejściu. Mógłby być dowódcą straży, a nawet kapitanem. Goodwin zresztą też. Żadne z nich tego nie chce. W budzie krążą pogłoski, że Tunstall to jakiś góral, może nawet renegat z jednego ze wschodnich plemion. Kimkolwiek był przed wstąpieniem do Gwardii Starościńskiej, teraz jest jednym z nas.

– Rebecca Cooper.

Ze śmiechu w pomieszczeniu wywnioskowałam, że Ahuda nie pierwszy raz wywołuje moje nazwisko. Stałam przed biurkiem. Spojrzała na mnie.

– Nie daj im się zastraszyć – poradziła. – Dostałaś najlepszych. To jedyna dodatkowa szansa, jaką ci załatwiłam. A jeśli jesteś mądra, nie będziesz liczyć, że twoje koneksje ułatwią ci sprawę.

Opuściłam wzrok. Nigdy dotąd nie prosiłam swojego pana o pomoc!

– I lepiej nie gruchaj naszych historii do ucha pana starosty. – Nie znałam tego głosu i nie odwróciłam się, by spojrzeć.

– Nigdy tego nie robiła jako posłaniec, a wiele widziała.

I miała na to trzy lata. – Ten głos z kolei znałam. Nyler Jewel. – Nie martwcie się o małą Beccę.

Patrzyłam w podłogę. Nie cierpię, kiedy o mnie mówią. Tak czy owak, gdybym się odwróciła, żeby coś odszczeknąć, jak Hilyard czy Verene, wywróciłyby mi się wszystkie flaki. Poza tym słyszałam krzyki zza zamkniętych drzwi gabinetu dowódcy. Dobrze wiedziałam, że to Goodwin wyraża niezadowolnienie.

Wyszła stamtąd i trzasnęła drzwiami. Do swojej listy modlitw dodałam jeszcze jedną. Chciałam przeżyć współpracę ze swoimi Psami. Podeszła blisko i otaksowała mnie wzrokiem.

– Mam dla ciebie dwie zasady, Szczenię.

Spuściłam wzrok. Zawsze tak robię i nic na to nie poradzę. Spotkania z ludźmi są dla mnie bardzo trudne. I nic mi ich nie ułatwia. Złapała mnie za podbródek i zmusiła, bym spojrzała jej w oczy.

– Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię, Szczenię Cooper. Dwie zasady. Nie odzywaj się nieproszona. I nie wchodź mi w drogę. – Puściła mnie i spiorunowała spojrzeniem Tunstalla, który do nas dołączył. – W porządku? Pora zająć się opieką nad dzieckiem.

Uśmiechnął się, przez co jeszcze bardziej przypominał wysoką, chudą sowę.

– Chodź, Szczenię Cooper. – Głos miał głęboki i mówił z lekkim akcentem.

Wyszłam za nimi na zewnątrz. Nie zamierzałam informować Goodwin, że dobrze znam zasady, obowiązujące Psy szkolące: „Nie odzywaj się nieproszona. Nie wchodź w drogę. Słuchaj wszystkich rozkazów. Zgiń w swoim czasie”.

– Jutro o czwartej ćwiczenia! – zawołała za mną Ahuda. – I tak każdego dnia, kiedy będziesz miała służbę na ulicy, Cooper!

Między drzwiami budy a bramą na ulicę Jane znajduje się dziedziniec, gdzie czekają gońcy i ludzie, którzy przyszli w jakiejś sprawie. Tłum był większy niż zwykle. Wiedzano, że dzisiaj następuje przydział Szczeniąt i każdy chciał zobaczyć, kto się komu trafi. Hałas, jaki podnieśli na widok Tunstalla i Goodwin ze stażystką, był ogłuszający: gwizdy, śmiech i mnóstwo komentarzy na temat tego, co Tunstall mógłby ze mną zrobić.

Starałam się nie słuchać. Nie sądziłam, że ciało może być zdolne do takich pozycji, o jakich mówiono. Nie miałam wielu doświadczeń. Większość innych dziewcząt spośród Szczeniąt było już z chłopakiem albo dwoma, a niektóre, choćby moja stara przyjaciółka Tansy, zostały mężatkami w wieku szesnastu lat. Ja próbowałam raz. Było w porządku, ale życie mojej mamy to wystarczają-

cy powód, żebym nie chciała się z nikim wiązać. No i jeszcze mój sen. Odkąd Jaśnie Pan Gershom zajął się nami, chciałam tylko zostać Psem. Gdybym się zakochała, wszystko bym zepsuła.

Przechodząc przez bramę, dostrzegłam jakiś ruch. Cień o kocim kształcie zbliżył się, by iść przy mnie.

– Drapek – mruknęłam. – Sio! Wynoś się! – Na zarazę i pomór, nigdy mnie nie słuchał! Mówiłam, że w tym tygodniu nie chcę go widzieć obok siebie! Przeklęty zwierzak zawsze mnie znajduje. Zamknęłam go w domu, choć to głupie. Zatrzasnęłam i zaryglowałam okna, przekręciłam klucz w drzwiach. Upewniłam się, że jest w środku, słyszałam, jak się darł, kiedy zbiegałam po schodach. W końcu zawsze się wydostaje, ale liczyłam, że tym razem zrozumie i zostawi mnie w spokoju! – Jestem na służbie!

– Wolałabym nie słyszeć żadnych hałasów z twojej strony, Szczęnię! – zawołała Goodwin przez ramię.

Zamilkłam i zaczęłam odpędzać Drapka gestami. Zignorował mnie, przeklęty stwór. Głupie koty zostają w domu, kiedy się je zamknie. Nie miałabym problemu, gdyby był normalny.

– Tunstall, dlaczego idzie za nami kot? – spytała Goodwin. – Nie chcę się potknąć o jakiegoś bezdomnego czarnego kota.

– Nie jest bezdomny. Nosi obrózkę. – Mężczyzna nachylił się i podniósł Drapka. Wbiłam w kota spojrzenie, prowokując go, żeby spróbował zadrapać albo ugryźć. Zamiast tego mój przekorny pupil zwrócił wazy do przodu w kocim uśmiechu, po czym pozwolił, by Tunstall podrapał go pod brodą. Nawet się nie szamotał, gdy gwardzista zatrzymał się w plamie blaknącego blasku słońca, by lepiej mu się przyjrzeć.

I wtedy zobaczył jego oczy.

– Na Mithrosa. Goodwin, spójrz.

Spojrzała. Zakłęła. Ludzie dzielą się mniej więcej po połowie na takich, którzy na widok pyszczka Drapka klną, i takich, którzy odwołują się do religii. Nie dziwię im się. Sama omal nie spadłam ze stryszku w stajni, gdy znalazłam kocię o fioletowych oczach.

– Jesteś bogiem? – zwrócił się do kota Tunstall.

– Manh! – powiedział mój zidiociały kot. Dodał kilka dźwięków w rodzaju „mrt”, jakby chciał dowieść swojej kotowatości. Wyjątkowo nawet dla mnie brzmiał jak kot. Wiele jego kocich odgłosów przypomina mowę.

– Jeśli jest bogiem, postanowił nie mówić – stwierdziła Goodwin.

– Ma obrózkę Cooper. – Mężczyzna popatrzył na mnie. – Masz magicznego kociaka, Szczęnię Cooper? – spytał, unosząc brwi. – Możesz odpowiedzieć.

Słowa uwięzły mi w gardle. Pokręciłam głową, pragnąc zapaść się pod ziemię przez pomyje i śmieci ulicy Jane. To tylko Drapek, próbowałam powiedzieć. Jest dziwny, ale można się przyzwyczaić. Ale oczywiście nie zdołałam wydusić z siebie słowa.

– To jej kot? – Goodwin popatrzyła na obrózkę Drapka. – I z takimi oczami nie jest magiczny? – Mój zwierzak, któremu groziła rychła sprzedaż na farsz do pyz, wyciągnął łapę i pacnął ją w nos. – Przestań. – Uśmiechała się jednak, gdy to mówiła, i po chwili podrapała go za uszami. Drapek potarł łebkiem o jej dłoń, jakby to ona wydawała cenne miedziaki na mięso, a następnie własnymi rękami je dla niego kroił. – Przyprowadziłaś swojego kota? Mów, stażystko.

Starałam się. Naprawdę. I przypominałam sobie zalecenie, żeby patrzeć jej w oczy. Na to się zdobyłam, ale do mówienia nie byłam już zdolna.

Goodwin wzięła Drapka z rąk Tunstalla.

– Przyprowadziłaś go do budy?

To było proste. Pokręciłam głową i zmusiłam się do mówienia.

– N-nie, gwardzistko. – Wydawało mi się, że nie powinnam nazywać jej bez pozwolenia „Psem” ani nawet „Goodwin”.

– Przyszedł tu za tobą. – Jej palce za uszami Drapka poruszały się szybko, ale z czułością. Mały zdrajca zaplótł przednie łapy na jej szyi.

– Tak, gwardzistko. – Wiele bym oddała, żeby nie musieć patrzeć w jej jasne, piwne oczy.

– Mądry kot – odezwał się Tunstall.

Goodwin odłożyła zwierzę.

– Zmiataj stąd. Ona ma pracę. A niewchodzenie mi w paradę to ciężka praca.

Zgromiłam Drapka wzrokiem – czekaj no, aż wrócę do domu, niewdzięczny futrzaku! – i wskazałam w kierunku naszych kwater. Potruchtął ulicą. Nie mogłam długo na niego patrzeć, bo Tunstall i Goodwin ruszyli już dalej.

Ludzie pozdrawiali ich od drzwi i straganów, chcieli też wiedzieć, kim jest Szczęnię. Zwiesiłam głowę, a oni śmiali się i wykrzykiwali rozmaite propozycje – chcieli mnie kupić albo się ze mną zabawić. Setny raz przeklinałam swoją nieśmiałość, przez którą nie byłam w stanie rozmawiać z towarzyszącymi mi Psami, nawet wbrew ich poleceniom, a także odpowiadać gapiom, tak jak robił to Tunstall.

– Ale to nasze Szczęnię, Czarnonosie. Gdybyśmy ją do ciebie dopuścili, zrobiłaby ci krzywdę.

– Zostaw dziewczynę w spokoju, Jeżyno, ty zuchwała dziewczko. Nigdy nie będzie tak piękna, jak ty i twoje siostry.

– Zamknij się, Pastoi. Nie zapłaciłeś Psom za ostatnią grupkę Szczęniąt, które sprzedałeś w Siraju.

Między rzucanymi uwagami Tunstall wyjaśniał mi różne rzeczy.

– Ponieważ jesteście starszą parą, nie mamy wyznaczonej trasy. Przez trzy wieczory w tygodniu, zaczynając od dzisiaj, przemierzamy Targ Nocny i Niższe Miasto między ulicą Włóczęgów i Koskynen, Bramą Północną i ulicą Skrzydło-sztorma. W środy, piątki i niedziele. Chodzimy tam, gdzie zapewne nie będzie kłopotów. W czwartki i soboty jesteśmy tutaj, w Szambie, od Skrzydłosztorma do Morwowej i Zwęglonego Sadu. Prowadzimy własne poszukiwania, chyba że dostaniemy polecenie od Ahudy, bierzemy specjalne papiery, kiedy potrzebujemy pomocy, mamy też stada Ptaszków, które zapewniają nam wszystko, czego potrzeba do poszukiwań. I jeśli mamy coś dobrego, idziemy w swoją stronę. Clary? Chcesz coś dodać?

Popatrzyła na niego.

– Nudzę się.

Tunstall podrapał ją w tył głowy.

– A mówisz, że to ja jestem barbarzyńcą. Przynajmniej wiem, jak wyszkolić nową wojowniczkę. Zatrzymaj się, Cooper. Rozejrzyj się dookoła. Co widzisz?

To było aż zbyt proste. Niecałe trzy metry od nas kieszonkowiec zbliżał się do sprzedawczynie kiszonych ogórków. Oparłam dłoń na swojej palce, ale Tunstall przeniknął ku złodziejaszko-wi niczym atrament w wodzie. Delikatnie położył pałkę na dłoni chłopca, gdy ta dotknęła sakiewki. Gwardzista pokręcił głową. Sprzedawczynie zaczęła krzyczeć. Tunstall posłał jej uśmiech i wyciągnął miedziaka.

– Może podasz mi ogórka, słonko? – Jak każdy z Niższego Miasta, baba od razu całą uwagę poświęciła interesom. Gdy zabrała się za wyławianie ogórka z beczki, Tunstall podniósł pałkę z dłoni kieszonkowca, a ten od razu uciekł.

Tunstall z ukłonem wymienił monetę na ogórka, po czym odgryzł spory kęs.

– Oj, daj spokój. Nic dziwnego, że nazywają was Psami, skoro uważacie, że merdając ogonem, możecie zauroczyć taką staruchę jak ja! – Sprzedawczynie zachnęła się i zarumieniła, po czym schowała miedziaka i ruszyła dalej ulicą. Zakołysała biodrami. Założę się, że ofiaruje mężowi wyjątkowo gorącą noc, myśląc o wysokim Psie, który z nią flirtował.

– Jeśli jej mąż przyjdzie cię szukać, nie będę twoją sekundantką, nie po ostatnim razie. – Goodwin szturchnęła go łokciem. – Stałam wtedy jak idiotka, podczas gdy ty tak go rozśmieszyłeś swoimi dowcipami, że na koniec kupił wszystkim śniadanie. Też mi pojedynek.

– Cóż, nie zabiłem go, a on nie chciał zabić mnie. Wszyscy byli zadowoleni, być może oprócz sekundantów. – Popatrzył na mnie i kiwnął, bym podeszła. – No, Szczęnię, zauważyłaś go. To dobrze. Zaczęłaś się ceregielić. To raczej już niedobrze. Której klasy był kieszonkowcem?

Wielki Mithrosie, pytanie szkoleniowe. Miałam mętlik w głowie. A potem sobie przypomniałam i spojrzałam mu w oczy.

– Nie miał noża, więc to prawdziwy kieszonkowiec. Jest taki wolny, że raczej nie dożyje

rangi mistrza kieszonkowców.

Szturchnął mnie.

– A jak brzmi uliczna nazwa mistrza kieszonkowców?

– Wsuwka, panie – odparłam.

– Czyli zna słowa – mruknęła Goodwin. – I co z tego?

Tunstall poklepał ją po ramieniu, po czym odwrócił się do mnie.

– Nie robimy zamętu z powodu płotek, Szczenię. Nie lubię stawać przed sędzią częściej, niż muszę. Mam wtedy mniej czasu na szukanie tutaj naprawdę niebezpiecznych ludzi.

To miało sens. Skinęłam głową i zauważyłam, że Drapek wrócił i usiadł przy moich nogach. Spróbowałam odepchnąć go butem.

– Chodźmy – powiedziała Goodwin. – Wieczór jeszcze młody i pomyślałam, że można by złożyć wizytę Krzywonogiemu. Chciałbym z nim pogadać o tym ładunku różowych pereł, który zniknął z Zakątka Klejnotów. Jeśli jest choć w połowie tak pogrążony w smutku, jak mówią, podczas rozmowy może się stać nieostrożny.

Podniosłam wzrok. Goodwin uśmiechała się, odsłaniając wszystkie zęby. Były mocne i białe, jak u wilków w królewskiej menażerii.

– Ej, Clary, nieładnie – odparł karcąco Tunstall. – Stary drań jest w głębokiej żałobie po małym Rolondzie. – Odwrócił się do mnie, szybki jak wąż. – Szczenię, kto to jest Krzywonogi?

Zaskoczył mnie, więc odpowiedziałam bez zastanowienia:

– Największy paser na Targu Nocnym. Ma towar z większości kradzieży, opanował dostawy przynajmniej połowy towarów luksusowych. Jedną czwartą rynku pożyczek. Właściciel mniej więcej dwudziestu budynków w Szambie. I jeszcze dwudziestu w innych częściach Niższego Miasta. – Przełknęłam ślinę, przypominając sobie, gdzie jestem i z kim rozmawiam. – Panie.

– Czego się spodziewałeś, Mattes? – spytała Goodwin. – Osiem lat mieszkała u Jaśnie Pana Gershoma. Musiała coś załapać, jeśli nie jest całkowicie głupia. Ale zapamiętaj: wiedza i działanie to dwie różne rzeczy. – Wyszła na skrzyżowanie Kąta Szubienic i Biesiadnej. Stragany zapełniały duży plac. Dotarliśmy na Targ Nocny.

Z zaskoczenia omal się nie potknęłam o swoje buty, które były jak nowe. Wiedziała, kim jestem! Przemowa, którą wygłosił dowódca, gdy mnie im przydzielano, niemal na pewno nie zawierała tej informacji. Słyszała o mnie już wcześniej.

Czy wie, że przyjaźnię się z wnuczką Krzywonogiego, Tansy, tak jak kiedyś moja mama z jego synową, Annis? Rozmyślałam gorączkowo. Nie, to niemożliwe. Nikogo z dzielnicy Szambo nie wpuszczano do domu. Więc powinnam powiedzieć Psom...

Doganiając ich truchtem, zmieniłam zdanie. To nie było potrzebne. Tansy nie pokaże się, żeby przywitać gości, o ile Psy można w ogóle nazwać gośćmi. Nie ruszała się z domu, odkąd Rolonda znaleziono martwego. Jeśli Annis wyjdzie nam na spotkanie, na pewno mnie nie wyda. Była twardą kobietą, która sama uczyniła siebie prawą ręką teścia. Mogłam powiedzieć Goodwin i Tunstallowi, że mam przyjaciół w domu Krzywonogiego później, jak już zejdziemy z ulicy.

Na Targu Nocnym trwały przygotowania do interesów. Zapalano pochodnie, bo słońce opadło za mur. Wiele osób jeszcze nie skończyło swojej dziennej pracy. Był to spokojny czas. Nabywcy i sprzedawcy rozmawiali między straganami, zbierali plotki, zaczęli gotować posiłki, poprawiali broń. To moja ulubiona pora na Targ Nocny.

Szliśmy dalej. Kupcy i stali bywalcy głośno witali Goodwin i Tunstalla. Na targu pracowały jeszcze dwie pary Psów, ale się na nich nie natknęliśmy.

Znowu próbowałam odpędzić Drapka, gdy Tunstall przystanął. Widziałam, jak drga ten jego wielki nochal.

– Czuję paszteciki z jabłkami i rodzynekami – oznajmił.

Goodwin odwróciła się do niego i przewróciła oczami.

– Obzartuch – rzuciła, wykrzywiając jeden kącik ust w drwiącym półuśmiechu.

Tunstall poprowadził nas alejką piekarzy i kupców korzennych, aż zatrzymał się przed straganem, z którego rozchodziły się te smakowite zapachy. Nie znam nikogo, kto nie przysięgłby przed wszystkimi bogami, że pani Deirdry Noll prowadzi najlepszą piekarnię w całym Corus. Tun-

stall miał szczęście, bo tego wieczoru pani Noll osobiście zajmowała się pełnymi wypieków tacami.

– Mattes, mogłam się domyślić, że wyniuchasz moje paszteciki! – powiedziała ze śmiechem. Wyciągnęła nawet rękę i uszczypnęła go w nos. – Daj mi swoją chusteczkę, ty wielki głupolu. Pani Clary, jak pani idzie w ten ładny wieczór?

– Jak zwykle, pani Deirdry – odparła Goodwin. – Żadna z córek nie mogła się zająć straganem?

– Nie dzisiaj. – Pani Noll położyła sześć tłustych, ciężkich od cynamonu pasztecików na chusteczce Tunstalla. Według mnie wyglądała tak jak zawsze: pulchna, z siwymi włosami zaplecionymi i upiętymi w kok z tyłu głowy, piwnymi oczami, małym nosem i prostą linią ust. Miała na sobie sukienkę z brązowej tkaniny, na którą nałożyła biały kucharski fartuch. Patrząc na nią tak, jak powinien patrzeć Pies, oceniałam jej wiek na mniej więcej pięćdziesiątkę.

Z chusteczki zrobiła zawiniątko z pasztecikami i podała je gwardziście. Sięgnął po sakiewkę. Wsparła pięści na biodrach i wyprostowała się najbardziej, jak potrafiła, lecz i tak sięgała mi ledwie do ramienia.

– Tak jakby jakiś Pies w Niższym Mieście płacił mi za cokolwiek, co pomaga mu przetrwać do kolacji! – wykrzyknęła z oburzeniem. – Walnęłabym cię w pysk, gdybym mogła! – Zwróciła spojrzenie na Goodwin. – Ci mężczyźni! Nie mają pojęcia, co to prezent! – Wyciągnęła kawałek materiału, prany tyle razy, że zrobił się niemal przezjrysty, i położyła na nim trzy paszteciki. – To dla ciebie, Clary, bo wiem, że bardziej dbasz o swoją chusteczkę niż ten barbarzyńca.

Tunstall mruknął coś niezrozumiale z ustami pełnymi gorącego farszu i okruchów.

Goodwin nachyliła się i pocałowała panią Noll w policzek.

– Dziękuję – powiedziała z rozbawieniem. – Proszę na niego nie zważać. Nie był ułożony, kiedy go kupiłam.

Pani Noll spojrzała w dół.

– Drapek, ty mały żebraku, co tu robisz? Nie mów, że uciekłeś od Becki. Jesteście jak zrosnięci.

Mój przyjaciel krzyknął w kociej mowie: *Patrz przed siebie!* Zdumiewa mnie, że może zdecydować, kto go zrozumie, a kto nie. Robi tak, odkąd cztery lata temu kazał mi się znaleźć, gdy był jeszcze hałaśliwym kociątkiem.

Tym razem zrozumiałam tylko ja. Pani Noll zachichotała i dała mu trochę pasty rybnej, której używała do pyz, smażonych na piecyku wewnątrz straganu. Gdy się wyprostowała, zobaczyła mnie.

– Niech mnie Bogini błogosławi, toż to Becca! Ale wyrosła i... została partnerką waszej dwójki? – Popatrzyła na Goodwin i Tunstalla.

– To stażystka, a nie partnerka. – Goodwin uśmiechnęła się, ledwo ledwo. – A skąd pani ją zna, pani Deirdry?

W dłoni straganiarki pojawił się kolejny kawałek czystej, choć sfatygowanej tkaniny. Położyła na niej trzy kawałki jabłka w cieście – dobrze wiedziała, że to mój przysmak.

– Hej – odezwał się Tunstall. – Ona dostała większą porcję.

Uśmiechnęłam się do niego. Potem pochyliłam głowę.

– Dobrze się nią opiekujecie. Znam ją całe życie i nie moglibyście prosić o pocziwsze dziewczę – powiedziała pani Noll. – Już dawno jej mówiłam, że powinna mi pozwolić zrobić z ciebie pyzy – zwróciła się do Drapek, drapiąc go za uszami.

Kot zamiauczał wystarczająco żałośnie, by poruszyć czułe struny w jej sercu. Zupełnie jakby dziękował za to podrapanie ostatnim, wygłodniałym oddechem. Wbiłam w niego wzrok, mówiąc mu tym spojrzeniem: „Jesteś obrzydliwy. Może mi powiesz, że nie dostałeś wołowiny na kolację przed moim wyjściem”. Drapek oblizal pyszczyk, a sprzedawczyni podsunęła mu jeszcze większą grudkę pasty rybnej, po czym odezwała się Goodwin:

– Pani Deirdry, słyszała pani o przyszywanym prawnuczku starego Krzywonogiego?

Pani Noll spojrzała na nią z ukosa. Wiedziała, że próbuje się od niej wyciągnąć informacje. Tunstall wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: To moja partnerka. Co ja mogę?

Kobieta zajęła się ugniataniem ciasta na małym stole przy piecyku.

– Jakby ktoś nie wiedział, biedne maleństwo. To hańba, słowo daję, przenieść spór z tym starcem na jego rodzinę. Barbarzyństwo. Może tak się postępuje w Scanrze albo Barzunie, ale nie tutaj. Ktokolwiek to zrobił, długo nie pożyje, skoro złamał prawo Łotra.

Tunstall się skrzywił. Goodwin pociągnęła nosem. Łotr jest stary i powinien ustąpić miejsca komuś młodemu i silnemu, kto potrafiłby utrzymać porządek wśród złodziei w mieście. Zamiast tego stworzył Dwór Łotra, żeby utrzymać się przy życiu. Już nie dba o ludzi w Niższym Mieście, a tylko o swoich szefów i o tych, którzy napełniają mu skarbiec.

Na markizie nad straganem zaczęły lądować gołębie.

– Sio, paskudy! – wrzasnęła pani Noll, chwytając miotłę i dźgając płótno. – Nie zapaskudzajcie mi towaru! Becco, stań gdzie indziej!

– To nasza stażystka i musi stać przy nas – przypomniał jej Tunstall. – I co ona ma wspólnego z gołębiami?

Przełknęłam ślinę i podziękowałam Bogini, że nie spełniłam polecenia pani Noll. Miałabym kłopoty, gdybym wykonała rozkaz kogoś innego. Słyszałam szmer głosów. Ptaki zaczęły krążyć nad łopoczącym płótnem. Jak zwykle spośród gruchania gołębi wyłaniały się fragmenty ludzkich rozmów. „Odpoczynek na...”, „Wydałem...”, „Mamo!”.

Donośne, nagłace miauczenie Drapka przecięło ten poszum. Jakby wydał im rozkaz, gołębie przeniosły się do Hali Wymiany Pieniądzy i przysiadły na rzeźbach, ozdabiających front.

– Za Beccą zawsze lata trochę gołębi – wyjaśniła pani Noll moim partnerom. – Odrobina dziwnej magii, bez wątpienia.

Ma to po rodzinie ojca. – Uśmiechnęła się do mnie. – Może jeden z ptaków odrodził się w twoim kocie, dziewczyno.

– O tej porze nocy ptactwo powinno siedzieć na grzędzie. – Goodwin otrzepała rękawy, jakby się obawiała, że ma na sobie ptasie odchody.

– Tyle tu światła, że zachowują się jak w dzień – stwierdził Tunstall. Położył przed sobą miedzianego nobla. – Poproszę placek z wołowiną, jako żałobny dar. – Nachylił się i zniżył ton głosu. – Jakież pogłoski o kimś, kto kręcił się przy tym dziecku od Krzywonogiego, a nie powinien?

Pani Noll ostrożnie włożyła placek do taniego koszyka.

– Mattesie Tunstall, dobrze wiesz, że żadne przydatne informacje nie trafiają do kogoś takiego jak ja. Nikt się niczym nie dzieli ze starymi ludźmi. Jesteśmy skończeni, tyle że jeszcze nie umarliśmy.

– Ależ nie jesteście skończeni! – Gwardzista mrugnął z figlarnym uśmiechem. – Was, bystrych starszuch, wszędzie pełno. Jesteście wszędzie, widzicie i słyszycie wszystko.

– A gdyby pani coś usłyszała... – podsunęła Goodwin.

– To byłby cud. Tak czy owak, przekazałabym wam, bo cieszycie się szacunkiem. Gdyby tak inni byli tacy jak wy. – Podała Tunstallowi resztę i koszyk. – Smacznego. Za zwrot koszyka dostaniesz pięć miedzaków.

– Nie ma sprawy – odrzekł z uśmiechem. – Każę Szczęściu go odnieść.

Dom Krzywonogiego stał na tyłach Targu Nocnego i był największym budynkiem przy ulicy Stuvek. Drapek podreptał w głąb targu, a nas sługa wpuścił do środka. Czekaliśmy w salonie, gdy udał się po Annis Lofts, synową Krzywonogiego. Znowu zaczęłam się zastanawiać, czy powinienam powiedzieć swoim Psom, że moja mama przyjaźniła się z panią Annis.

Przyszła, zanim zdążyłam wydobyć słowa, które zablokowały mi się w piersi. Z powodu śmierci Rolonda nosiła czerń, długą, czarną tunikę na czarnej sukience. Widać było, że płakała.

– Możecie się spotkać z ojcem Ammonem, jeśli wam to w czymś pomoże – oświadczyła. Dopiero po chwili zrozumiałam, kogo pani Annis miała na myśli, mówiąc o „ojcu Ammonie”. Od tak dawna był Krzywonogim, że zapomniałam, jak brzmią prawdziwe imię i nazwisko starego pascera: Ammon Lofts. – Siedzi po ciemku bezczynnie od dłuższego czasu. Ale was dwojga nienawidzi tak bardzo, że może dla was się ruszy. Tędy.

Goodwin spojrzała na mnie.

– Szczęściu, siad – rozkazała, a potem wraz z Tunstallem ruszyła za gospodynią.

A ja, zamiast siedzieć, chodziłam po pokoju, wyceniając piękne drobne ozdoby i draperie.

Krzywonogi kupił zapewne to wytworne umeblowanie za jednodniowe wpływy ze skradzionych towarów, a tym, którzy je ukradli, zapłacił tylko część wartości. Paserzy tak właśnie postępowali.

Po chwili pani Annis wróciła.

– Nie wyrzucił ich za drzwi. – Próbowała się do mnie uśmiechnąć, ale nie wyszło to najlepiej. Mimo żaloby nie podeszła, by mnie objąć. – No proszę, wystrojona jak Pies. To co, zaczniesz gadać o starych przyjaciółkach?

– Wszystkie Psy przez to przechodzą – odparłam.

– No tak. – Pokręciła głową. – Oj, Becco, szkoda, że twojej matki już z nami nie ma. Bardzo za nią tęsknię.

– Też za nią tęsknię. – Mamy nie ma dopiero od dwóch lat. Ciągłe boli. – Wiem, że by panią pocieszyła, o ile by tylko mogła.

Pani Annis otarła oczy.

– Można by oczekiwać, że po takim czasie nie będę już płakać. Ale Rolond miał dopiero trzy latka! Kto mógł zabić trzylatka, który na dodatek wobec wszystkich był tak przyjazny? – Wydmuchała nos. – Spotkasz się z Tansy? Dobrze by jej to zrobiło.

Chciałam się z nią spotkać wiele razy, ale teraz to trudne. Krzywonogi nie lubi, kiedy jego wnuczka zadaje się ze starymi przyjaciółkami z Szamba. A stare przyjaciółki z Szamba, które mieszkają w domu starosty, są jeszcze gorsze. Tansy ma też męża i dziecko, więc tym trudniej jej wychodzić.

– Kazano mi tu zostać – powiedziałam, powstrzymując łkanie.

Pani Annis posłała mi osobliwy uśmiech.

– Myślisz, że będzie im przeszkadzać twoja przyjaźń z Tansy? Psy zawsze szukają tylnych drzwi do domu. Do tej pory tutaj ich nie mieli. Będą zachwyceni.

Nie wiedziałam, czy rzeczywiście będą „zachwyceni”, ale może pani Annis miała rację. Ucieszą się, że mam przyjaciół w rodzinie Krzywonogiego. Mam nadzieję, że się nie wkurzą, jeśli nie będę chciała o tym opowiadać. Ze skąpych informacji od Tansy wynika, że Krzywonogi to srogi teść i dziadek. Nie narazę Tansy i pani Annis na jego gniew, opowiadając o ich rodzinie moim psom. O ile, oczywiście, będzie to ode mnie zależało.

Skinęłam głową.

– Powiem twoim Psom, gdzie jesteś, jeśli szybko skończą z ojcem – obiecała. – Warczał, kiedy ich przyprowadziłam, ale pewnie będą chcieli sprawdzić, ile da się wyciągnąć od starego liczykupy. Chodź. Może nakłonisz Tansy, żeby coś zjadła. – Poprowadziła mnie przez dom, mijając służących, którzy jej się kłaniali, a na mnie się gapili. Chciałabym powiedzieć, że mundur budził ich szacunek, ale cóż, dostrzegałam tylko drwiące uśmieszki i pokazywanie palcami, gdy zauważali obwódki Szczęścia. Mam na sobie uniform dopiero pierwszy dzień, a już nie mogę się doczekać, kiedy zerwę ten jego element.

– Tansy nosi kolejne dziecko – powiedziała mi Annis, gdy wspinałyśmy się po wąskich schodach dla służby. – Nie może się tak głodzić.

Dwa piętra wyżej schody się skończyły i ruszyłyśmy korytarzem. Kobieta wprowadziła mnie do pięknej sypialni.

Tansy leżała na dużym łóżku i wpatrywała się w sufit. Zobaczyłam jej nabrzmiąły brzuch. Zostały jej jeszcze ze cztery miesiące ciąży. Ten pokój nie był dobrym miejscem na myślenie o nowym życiu – z łóżkiem, na którym udrapowano czarny muślin. Małe lustro też przysłonięto czarną tkaniną. Tansy miała na sobie czarną sukienkę i pomietą chustę na głowie. Pani Annis zaczęła do niej szeptać, błagając, by wstała i się ze mną przywitała.

– Odejdź! – krzyknęła Tansy, rzucając się na łóżku. – Nie chcę żyć!

Obok stał dzban z wodą. Podniosłam go.

– Przepraszam, pani Annis. – Starannie wymierzyłam i chlusnęłam, oblewając przyjaciółkę wodą.

Wrzasnęła i zerwała się z łóżka jak oparzony kot. Cisnęła we mnie ociekającą chustą. Usunęłam się. Potem ruszyła na mnie, gotowa wydrapać mi oczy. Złapałam ją za nadgarstki, tak jak nas uczono.

– Wstydz się, wyjesz jak wariatka i nie myślisz o swojej biednej teściowej ani o dziecku, które nosisz – powiedziałam ostro. – Wstyd! Trzymasz tu ducha Rolonda. Pozwól mu spokojnie odejść do królestwa Czarnego Boga. – Wiedziałam, że to kłamstwo. To morderstwo, a nie Tansy, trzymało duszę dziecka na ziemi, ale Tansy gotowa była zapłakać się na śmierć i ktoś musiał przemówić jej do rozsądku.

Skuliła się i zaczęła płakać. Posadziłam ją na łóżku i podałam ręcznik, który dostałam od pani Annis.

– Zjesz coś teraz jak rozsądna dziewczyna? – spytała kobieta. – Czy mam dolać wody do dzbana?

Tansy pokiwała głową.

– Poproszę zupy. – Miała ochryply głos. – Może jeszcze jakieś bułki. I... i mleka. – Dłońmi pogładziła brzuch. Gdy Annis poszła po te rzeczy, Tansy popatrzyła na mnie. Posłała mi drżący uśmiech, chociaż ciągle płakała. – Nigdy nie miałaś do mnie cierpliwości. Nawet kiedy miałaś pięć lat, a ja osiem, pouczałaś mnie jak babcia.

– Zwłaszcza kiedy robiłaś z siebie ciamajdę – przypomniałam jej. – Jeśli chcesz oplakiwać dziecko, zrób to jak należy, w świątyni. Daj zabawki Rolonda na ofiarę... albo jego ulubione słodycze. Ale takie zachowanie jak teraz nie przynosi nic dobrego ani jemu, ani tobie.

Po policzkach popłynęły jej łzy.

– Kto mógł zabić Rolonda? Małego chłopca, który śmiał się, gdy tylko zobaczył jakąś nową twarz?

Właśnie dzięki temu zabójca go złapał, pomyślałam.

– Psy się dowiedzą. Odszukają tego, kto to zrobił, i będzie musiał zapłacić za zbrodnię. – Wiedziałam jednak, że nie będzie to takie proste. Jewel i Yoav, którzy prowadzili łowy podczas Straży Wieczornej, nie widzieli wcześniej słodkiego chłopczyka, którego ja znałam. Rolond nigdy się do nich nie uśmiechał, by pokazać nowe ząbki, ani nie bawił się z nimi w koci koci łapci. Rolond był dla nich tylko anonimową ofiarą. Ktoś po prostu zadał cierpienie Krzywonogiemu, gasząc malca. Jestem przekonana, że inne Psy ze Straży Diennej i Nocnej, prowadzące te łowy, czują dokładnie to samo.

Zawsze tak jest. I to nie jest właściwe. Rolond nie był winny podłości Krzywonogiego. Zasługuje na Psa, który będzie szukał sprawiedliwości, nawet jeśli ten Pies to jedynie Szczenię. Ja przynajmniej znałam małego takim, jaki był.

Tansy otarła oczy rękawem.

– Niech nas Bogini błogosławi, jesteś ubrana jak Pies. Szczenię. Zabiją cię. Zasztyletują w jakimś zaułku, uduszą, wrzucą do rzeki...

Zgromiłam ją spojrzeniem.

– Uważasz, że twój płacz w komnacie jest lepszy niż moja uczciwa praca?

Podniosła głowę.

– Przynajmniej nie jestem biedna i nie wyskrobuje przypalonej owsianki z garnka, żeby się najeść... – Usta jej drżały. – Chciałam uciec z Uliczki Psich Sików, Becco. Herun chciał mnie stamtąd zabrać. Mam dobrego męża i wspaniały dom.

Nie mogłam się z tym spierać. Ja zawdzięczam wydostanie się stamtąd swojemu panu Gershomowi. To, że mama mogła umrzeć w porządnym łóżku, oraz to, że moje rodzeństwo uczy się uczciwych zawodów.

Ponieważ rozmowa okazała się kłopotliwa, zrobiłam to, co mówili mistrzowie na szkoleniu, i obejrzałam pokój Tansy. Rodzina Loftsów żyła na wysokim poziomie. Prasy do ubrań wykonane były ze świetnego cedru, ozdobione macią perłową i polerowanym mosiądzem. Na stole stały flakony na perfumy i balsamy. Tansy miała szylkretowe grzebienie i szczotki, wstążki w rzeźbionej, drewnianej miseczce, a także figurkę Bogini jako Matki dla ochrony pomieszczenia. Półki na ścianach wypełnione były przedmiotami pozbawionymi praktycznych funkcji. Podeszłam, by przyrzyć się kamiennym posążkom. Między nimi leżał kawałek nieobrobionego kamienia. W blasku świec jego jasnorożowa powierzchnia, szorstka pod palcami niczym piaskowiec, skrzyła się różnokolorowymi rozbłyskami. Z fascynacją obracałam odłamek na wszystkie strony. Odblaski pojawia-

ły się na gładkich fragmentach kamienia, paskach, kropkach, a nawet jednej jakby półeczce, która lśniła bladą czerwieńią, błękitem i zielenią o pastelowym odcieniu. Kamyk był nie większy niż pierwszy paliczek mojego kciuka włącznie z paznokciem, ale zachęcał, by oglądać każdy jego szczegół.

– Co to? – spytałam, odwracając się, by jej pokazać.

– Na Boginię, zabierz to! Nie chcę już więcej widzieć tej przeklętej rzeczy! – wykrzyknęła Tansy. – Herun przyniósł ten odłamek i ofiarował mi go niczym klejnot, mówiąc, że dzięki temu wszyscy przeniesiemy się do dzielnicy Jednorożca. Następnego dnia ukradli mojego Rolonda. To przynosi pecha, słowo daję!

– Nie widzę magicznych znaków. – Przybliżyłam kamyk do nosa i powąchałam. – Nie czuję żadnych olejków.

– Nic mnie to nie obchodzi! – Tansy znowu szlochała. – Wiesz, jak mówią. Jeśli w twoim życiu pojawia się coś nowego, a potem masz pecha, to znaczy, że pech przyszedł z tą nową rzeczą. Wiesz, co ci radzę, gdyby pech poszedł za tobą? Wrzuć ten kamień do Olorunu, przeklinając tego, kto go przysłał.

Włożyłam go do kieszeni.

– Tansy, przychodzi ci do głowy ktoś na tyle głupi, żeby w ten sposób atakować Krzywonogiego? Albo przyczyna, dla której ktoś to uczynił?

Oczy jej zalsniły.

– Odejdź, Becco. Mówisz jak Pies. Zabierz po prostu ten pechowy kamień ze sobą.

Uświadomiłam sobie, że popełniłam błąd. Podeszłam, żeby ją objąć. Kiedy się odsunęła, posłałam jej surowe spojrzenie.

– To nie Pies chce cię przytulić, na zarazę i pomór! – Była niezdecydowana, lecz potem pozwoliła się objąć. – Niech cię bogowie błogosławią. Czarny Bóg zadba o bezpieczeństwo duszy Rolonda, dopóki znowu się z nim nie spotkasz – wyszeptalam. Mam przynajmniej taką nadzieję. Chłopczyk został zamordowany, więc Czarny Bóg może nie mieć go jeszcze u siebie.

Drzwi się otworzyły. Do środka weszły Pani Annis z pokojówką, która niosła tacę z jedzeniem.

– Psy cię proszą, Becco – zwróciła się do mnie kobieta. – Powiedziałam im, że może dzięki tobie Tansy poczuje się lepiej, i miałam rację. Powodzenia. – Też mnie uściskała i pocałowała w policzek. – Palisz kadzidełka dla ducha Ilony? – Przytaknęłam. Pani Annis wcisnęła mi w rękę miedziaka. – Kup takie o zapachu konwalii, który uwielbiała, i powiedz, że za nią tęsknię.

– Dobrze, pani Annis. Niech Bogini błogosławi panią i pani bliskich. – Odbiegłam, przypominając sobie drogę na dół. Nie chciałam, by Goodwin i Tunstall czekali choć chwilę dłużej, niż było trzeba, zwłaszcza jeśli byli na mnie źli, że opuściłam stanowisko.

Goodwin skrzywiła się na mój widok. Jej partner przeżuwał placek. Kręcił na palcu opróżnionym koszykiem.

– Odnieś to pani Noll, Szczęnię, a potem spotkamy się tutaj – polecił, gdy wyszliśmy na zewnątrz. Cisnął koszyk w powietrze.

Złapałam go i spełniłam polecenie, przepychając się przez tłumek klientów. Rozglądałam się w poszukiwaniu Drapka, ale kota nie było w polu widzenia.

– Dłużej, niż się spodziewałam – stwierdziła pani Noll. Dała mi miedziaki, które by sobie zatrzymała, gdyby Tunstall nie zwrócił koszyka. – Nie mów, że naprawdę rozmawiali z tym starym podlizuchem.

Wzruszyłam ramionami i uśmiechnęłam się, po czym wróciłam do swoich Psów. To jedna z podstawowych zasad: „Sprawy Psów zostają między Psami”. To oczywiste, że sprzedawczyni chciała wiedzieć, czy Krzywonogi puścił parę z gęby. Ja też chciałam wiedzieć, czy powiedział cokolwiek wartego uwagi. Ale nie ważyłam się spytać.

Moje Psy ciągle czekały pod domem Krzywonogiego. Targ Nocny powoli się zapełniał. Przechodnie pozdrawiali moje Psy, starając się zostawić im trochę miejsca. Goodwin balansowała na rozstawionych nogach, z palcami zatkniętymi za pas, a żadna twarz nie umykała jej czujnym oczom. Tunstall żonglował sztyletem, przerzucając go z ręki do ręki i za każdym razem łapiąc za

rękojeść, mimo że broń wykonywała w powietrzu kilka obrotów.

– Szczenię – odezwała się Goodwin, wskazując miejsce tuż przed sobą. – Pani Lofts powiadomiła nas, że była przyjaciółką twojej matki, a ty przyjaźnisz się z młodą panią Lofts, matką zabitego dziecka. Czemu nie wspomniałaś o tym Mattesowi albo mnie? Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię, Szczenię Cooper.

– Nie pytaliście, gwardzistko Goodwin – odparłam bardzo szybko.

– Ma trochę racji, Clary. – Tunstall ostatni raz podrzucił sztylet i wsunął go do pochwy jednym płynnym ruchem. – Jeśli masz znajomości w jakimś miejscu, gdzie wtykamy nosy, Cooper, mów. Jesteśmy dobrzy, ale nie umiemy czytać w myślach.

– Tansy coś powiedziała? – spytała Goodwin. – Nie, nie odpowiadaj tutaj. Zaczekaj, aż będziemy w bezpiecznym miejscu. Lepiej, żebyś nic nie ukrywała, Szczenię Cooper. Ludzie, którzy coś ukrywają, sprawiają zwykle więcej kłopotów, niż są wariaci.

– Mówi tak, bo sama wiele ukrywa – wyjaśnił mi Tunstall, gdy gwardzistka ruszyła naprzód.

– Słyszałam! – zawołała przez ramię Goodwin.

Szłam za nimi, obracając w dłoni szorstki kamyk. Chciałam zachować go dla siebie, samodzielnie sprawdzić, czy ma jakieś znaczenie, czy nie. Herun Lofts uważał, że jest cenny, a wychowywał się pod skrzydłami Krzywonogiego.

Ale mistrzowie na szkoleniu surowo podchodzili do takiego myślenia. Nie działaj za plecami partnera. A już tym bardziej za plecami partnerów, którzy cię szkolą. Ale jak błyszczący kawałek kamienia mógł odmienić los Krzywonogiego i Heruna? Wiedziałam, że rubiny, szmaragdy i szafiry nie wyglądają zbyt obiecująco zaraz po wydobyciu z ziemi, ale przynajmniej stanowią pojedyncze, twarde kamienie.

Zegary wybiły ósmą, kiedy usłyszeliśmy jakąś wrzawę. Ruszyliśmy na Targ Nocny. Tłum zebrał się przy fontannie na placu. Krzyki i przekazywanie sobie monet świadczyło o tym, że w środku ciżby trwa walka.

Tunstall stanął na palcach, żeby popatrzeć.

– Bracia Parks. Jakiś nieszczęsny dureń musiał na nich krzywo spojrzeć. Teraz ostro trzepią mu skórę.

Goodwin trąciła pałką jednego z rozkrzyczanych chłopów.

– Jakie stawki?

– Trzy do dwóch przeciwko nowemu – odparł, nie odrywając wzroku od bójki. – Podobno jest mistrzem zapasów w swojej zafajdanej wiosce. Mówi, że jego bracia przenoszą byki... Na Mithrosa, jeśli ci dwaj to bracia... stawiam pięć do trzech przeciwko Parksom!

Usłyszałam trzask pękającego drewna. Ktoś wrzasnął, wzywając gwardię. Goodwin westchnęła.

– A już miałam trochę zarobić. Tunstall, Szczenię, chodźcie. Szczenię, stań obok z wyciągniętą pałką i obserwuj. Jeśli ktoś spróbuje rozwalić czaszkę mnie albo Tunstallowi, możesz działać. Poza tym trzymaj się z daleka.

Wyciągnęłam pałkę i ruszyłam za nimi, gdy przedzierali się przez tłum. Używali pałek, gdy podniesione głosy nie wystarczały, by ludzie odsuwali się dostatecznie szybko. Przepchnęliśmy się do miejsca walki. Trzask drewna musiał pochodzić z pobliskiego straganu sprzedawcy piwa. Drażki, podtrzymujące płócienne boki, były złamane. Dach zwieszał się żałośnie. Skórzane kufle i drewniane kubki walały się w kałużach na bruku, przynajmniej dopóki lepkie ręce, z mora Targu Nocnego, nie zdążyły ich ukraść.

Uwagę tłumu przyciągało pięciu chłopów, bijących się pośrodku całego tego rozgardiaszu. Znałam dwóch braci Parksów. Pozostali trzej byli wieśniakami, po wiejsku wielkimi i po wiejsku silnymi. Jeden z nich dowiódł tego, odrywając starszego Parksa od ziemi i unosząc go nad głowę. Wymierzył w pięciopoziomową fontannę, poświęconą pamięci króla Jonathana Pierwszego.

Goodwin wkroczyła do akcji. Lekko, jak na Psa, uderzyła wieśniaka w brzuch swoją pałką. Stracił dech i upuścił męczyznę.

Drugi z przybyszów ze wsi, o oczach błękitnych jak niebo i twarzy szerokiej jak pole, ruszył

ratować tego pierwszego przed drobną kobietą. Nie wiedział, że Tunstall wszedł pomiędzy niego a trzeciego bijaka. Mój partner nawet nie wyjął pałki. Po prostu złapał drugiego i trzeciego wieśniaka, po czym zderzył ich ze sobą głowami. Następnie pozwolił im usiąść.

Parks, który bił się z tym trzecim, był zbyt głupi, by ucieszyć się z końca walki. Ryknął i rzucił się na Tunstalla z opuszczoną głową. Gwardzista odstał w bok i uniosł zgięte kolano. Trafił napastnika w podbródek, a ten postanowił się położyć.

Popatrzyłam na Parksa, upuszczonego na ziemię. Widać było, że mocno uderzył się w głowę. Leżał bez ruchu. Goodwin nachyliła się, by sprawdzić mu puls. Potem odwinęła mu powiekę.

– Jego mózg ciągle działa, o ile w ogóle go ma. Będzie...

– Hej! – wydarł się ktoś za mną. – Chłopaki, miastowe napadły na Weatherskillów! Chodźcie! Chodźcie!

Odwróciłam się. Trzech kolejnych wieśniaków biegło prosto w moją stronę. Ten, który pędził na przedzie, a wcześniej krzyczał, trzymał obnażony sierp. Dobrze pół metra ostrza na rękojeści. Najwyraźniej żaden inny Pies nie zauważył narzędzia, noszonego ukradkiem na ulicy.

Zrobiłam to, czego uczyła mnie Ahuda. Chłop galopował wpatrzony w Tunstalla i Goodwin. Nawet nie zobaczył, jak walę go pałką w nadgarstek. Upuściwszy broń, schylił się po nią. Przyłożyłam mu w kręgosłup, modląc się, by cios nie okazał się zbyt mocny. Nie chciałam go okaleczyć, a tylko zatrzymać. Jeden z jego kolegów złapał mnie za rękę. Wolną dłonią chwyciłam go za mały palec i mocno odgięłam w tył. Próbowałam tego na sobie. Wiem, że takiego bólu nie da się długo wytrzymać. Tak jak się spodziewałam, puścił mnie z wrzaskiem.

Po chwili Goodwin i Tunstall byli już przy mnie i zajmowali się ostatnimi dwoma drabami, stojącymi jeszcze na własnych nogach. Gdy wszyscy już leżeli, Tunstall sięgnął po gwizdek. Dmuchnął, dobywając z niego trzy krótkie i dwa długie gwizdy, sygnał dla Psów klatkowych na służbie w okolicach Targu Nocnego.

– Zabierzcie tych durniów – poleciła Goodwin, gdy wezwani się pojawili. – Niech się kłóca o to, co się wydarzyło, w miłej atmosferze klatek. – Przeniosła wzrok na Tunstalla i na mnie. – Nie wiem, jak wy, ale ja zgłodniałam.

Rozległ się czyjś krzyk:

– Zawarłem zakłady na tę walkę!

– Nikt nie wygrał, głąbie! – zawołał ktoś inny. – Nie wygrałeś i nie przegrałeś. Zabierz swoje monety z powrotem albo daj w pysk temu, kto je ukradł!

– Ej, przyjmujący zakłady! – Grzmiący ryk Tunstalla mógłby wstrząsnąć całym pałacem. – Macie oddać wszystko, co do miedziaka. Jak usłyszę, że ktoś oszukał gracza, kanciarz już jutro zobaczy mnie na swoim progu!

– On nie żartuje – szepnął ktoś w tłumie. – Zwróć pieniądze, gałganie. To jest Tunstall.

Gdy przechodziliśmy przez ciżbę, wyławiałam z pomruku pojedyncze głosy.

– Brawo, Szczenię.

– Dobra robota.

– Ma dziewczyna zimną krew.

– To najstarsza córka Ilony Cooper. No, wiecie.

– Matka byłaby dumna.

Goodwin zwolniła, by iść obok mnie.

– Myślisz, że jesteś teraz ich złotą dziewczyną, Cooper? – spytała, mówiąc tak, by jej głos docierał wyłącznie do moich uszu. – Poczekaj, aż będziesz musiała przymknąć kogoś, kogo kochają, kogoś lubianego. Takiego wiecznie uśmiechniętego i czarującego. Szybko zrozumiesz, po czyjej stronie. A teraz... zdaje się, że kazałam ci stać i nic nie robić. – Otworzyłam usta. Uniosła palec. – Dobrze zrobiłaś. Ten sierp przysporzyłby nam dużych kłopotów, a ty byłaś najbliżej. Tylko niech nieposłuszeństwo nie wejdzie ci w krew, rozumiemy się?

– Tak, gwardzistko. – Przez chwilę patrzyłam jej w oczy, bo musiałam, a potem odwróciłam wzrok, przeklinając swoją nieśmiałość.

Razem z Tunstallem poprowadzili mnie Aleją Zupną do małej jadłodajni o nazwie Pod Piecem i Pulardą. Wszyscy tam znają moje Psy. Mają nawet własny stolik.

Tunstall dał mi miedzianego nobla i głową wskazał kontuar.

– Dla nas dwa piwa plus to, co ty pijesz – powiedział. – Zamówimy ci specjał z pieczonego szczura.

Wyczułam go na tyle, że odważyłam się na nieznaczny uśmiech, zanim pognałam do oberżysty. Nalał już piwo dla Goodwin i Tunstalla do skórzanych kufli, na których wypalono ich nazwiska.

– A co dla ciebie, śliczne Szczenię? – spytał, gapiąc się na mnie lubieżnie. – Dobrze, mocne piwo, żeby poluzować pas? Wino na pierwszy dzień?

Nie musiałam na niego patrzeć.

– Wodę jęczmienną, proszę pana, jeśli można.

– Żartujesz. – Jego głos był teraz zupełnie bezbarwny.

– Nie, panie oberżysto. Poproszę wodę jęczmienną.

– Masz coś przeciwko mojemu ciemnemu piwu? Jest takie mocne, że można łyżkę wetknąć! Wystarczająco dobre dla każdego Psa i żołnierza, który przekracza ten próg, tak dobre, że pił je sam król, niech go bogowie mają w opiece, a ty marszczysz swój wybredny nossek...

Jakiś mężczyzna nachylił się obok mnie i zastukał w deskę kontuaru.

– Słuchaj, panie beczkowy. Zamiast tracić czas i trajkotać do ładnej dziewczyny, której to nie interesuje, lepiej nalej mnie i moim paniom, a jej pozwól się zająć swoimi sprawami.

Zerknęłam na niego i odsunęłam się w bok. Był szczupły i wyglądał groźnie, a na jego kościstych dłoniach widniały blizny. Miał też bladą skórę i ciemne oczy, a włosy tak jasne, że niemal białe. Mrugnął do mnie, nachylając się do karczmarza. Na moje oko niedawno przekroczył dwudziestkę. Nieźle oceniałam wiek mężczyzn, byłam niemal pewna, że się nie mylę.

Barmanka podała mi dzban.

– Jeśli chcesz kufel, przynieś własny – powiedziała mi, taksując wzrokiem nowo przybyłego o wrogich zamiarach. – Ze swoim nazwiskiem, żebyś nie próbowała cudzej śliny. – Usunęła się przed kłapsem oberżysty.

Wróciłam z napitkami do swoich Psów.

– Długo cię nie było. – Goodwin złapała swój kufel i wypila połowę piwa. Postawiłam przed Tunstallem jego naczynie. Tak jak wszyscy pozostali, obserwował nowego klienta. Mężczyzna zaniósł napoje dwóm kobietom, które zajęły pusty stolik. Jedna bez wątplenia była Scanranką, wysoką blondynką dwa, trzy lata starszą ode mnie, noszącą męski strój i miecz. Druga, drobniejsza, brunetka, była mieszanej krwi, mojego wzrostu. Miała na sobie lśniąca niebieską suknię. W przyćmionym świetle nie widziałam koloru jej oczu.

– Co myślisz, Cooper? – spytał Tunstall. – Gwardia z jakiegoś innego miasta? Wojsko na przepustce?

– Blondynka może być najemniczką. – Łatwiej było mi mówić, gdy patrzyłam na nią, nie na niego. – Ale ten tam nigdy nawet nie powąchał wojskowej dyscypliny. – Przypomniałam sobie szramę w kształcie litery Y na czole nieznanego oraz blizny na rękach i mruknęłam: – A jeśli nawet, nie ma najlepszych doświadczeń.

Goodwin opróżniła swój kufel i pchnęła go do partnera.

– Wezmę drugie. Powiedz temu durniowi za szynkwasem, że jeśli jeszcze raz da się we znaki naszemu Szczenięciu, każe mu zjeść beczkę, jak ją już opróżnię.

Gdy Tunstall poszedł, odezwała się do mnie:

– Oceń mi tego obcego. Nie patrz na niego. Patrz na mnie. Otworzyłam usta i zacharczałam. Zaschło mi w gardle.

Odchrząknęłam. Nie wydobyłam z siebie żadnego dźwięku. Goodwin prychnęła.

– Napij się wody i nie patrz na mnie, jeśli to ci pomoże. Na Matkę, można by pomyśleć, że jestem potworem. Obcy, Szczenię, obcy. Może w tej chwili ucieka z koroną i berłem. Powiedz Psom z budy, kogo mają wyniuchać.

Napiłam się i oceniłam wygląd mężczyzny tak, jak uczono mnie na szkoleniu.

– Po dwudziestce, metr siedemdziesiąt pięć, szczupły, muskularny. Rozwidlona szrama nad lewą brwią. Włosy bardzo jasne, oczy czarne, skóra blada. Nigdy ciężko nie pracował fizycznie, nie

z taką skórą. Długi nos, pełna dolna warga, wąska górna. Wystające kości policzkowe, chude policzki. Bardzo rzucają się w oczy. Blizny od ostrza na rękach. Nosi sakiewkę i nóż przy pasku na widoku. Nóż za kołnierzem z tyłu, noże na obu przedramionach, na nerkach i w butach. Nie jestem pewna, czy ma też nóż w sprzączce. Jeśli tak, to nie znam takiego wzoru. Kolczyk w lewym uchu w kształcie srebrnej czaszki.

Goodwin odchyliła się na krześle i cicho gwizdnęła.

– No, bardzo dobrze. Zasłużyłaś na kolację. Nie wrzucę cię też do rzeki. – Spojrzała na bladego mężczyznę, pocierając przy tym bliznę na swoim policzku. – Do miasta przybył nowy, bardzo groźny podróżny. Czego tu szuka? Kłopotów, bez wątpienia. – Zdawało się, że mówi do siebie.

Tunstall wrócił z dolewką piwa dla nich obojga. Za nim przyszła kucharka z kolacją na tacy. Moje Psy sobie nie żałowały: zapiekanka z węgorza, pieczony zając, grochówka, smażony ser, a do tego bochen wiejskiego chleba i masło do smarowania.

– Jedz – nakazał Tunstall, wbijając zęby w zająca. – Im wieczór późniejszy, tym tu tłoczniej. – Razem z Goodwin podali mi jedzenie. – No i co myślisz o naszym bladolicym?

Gwardzistka nalewała zupę.

– Całe miasto wie, że Kayfer Deerborn jest śmiechu wart jako Łotr. Do miasta zjeżdżają ścierwojady i śmialkowie, nic sobie z niego nie robiąc.

Wiedziałam, co ma na myśli. Nasz król złodziei utrzymuje władzę, bo pozwala dzielnicowym przywódcom zatrzymywać większą część zysków. W zamian strzegą jego życia. Wieść o tym się rozniosła. Przywódcy nie są szczególnie czujni albo się rozleniwili. Coraz więcej młodych ludzi niecierpliwi się pod rządami Łotra, który nikomu nie pozwala przesunąć się w górę w hierarchii. Mówią, że czas na nowego władcę.

Goodwin wyciągnęła rękę nad stołem i pociągnęła mnie za włosy.

– Szczęściu! Powiedz nam, jak przyjaźnie gawędziłaś z matką zabitego dziecka, podczas gdy ja i Tunstall wymienialiśmy kłamstwa z Krzywonogim. Możesz na nas nie patrzeć, bo inaczej będziemy tu siedzieć całą noc. Po prostu melduj.

Poskrobałam swój talerz sztyletem i opowiedziałam im o przyjaźni mamy z synową Krzywonogiego. O tym, że pani Annis była jej klientką, gdy mama sprzedawała wonności, mydła i zioła. Gdy Jaśnie Pan Gershom przyjął nas do siebie, pani Annis dalej się z nami przyjaźniła. Gdy mama dobrze się czuła, często razem chodziły na Targ Dzienny. Pewnego razu poszłam się spotkać ze swoimi przyjaciółkami i Tansy zaproponowała, żebyśmy poszły na targ. Tam zastałyśmy mamę i panią Annis z synem. Herun popatrzył na loki Tansy, na dołeczki w jej policzkach i jasne oczy...

– Młodzieńcza miłość – powiedział Tunstall z tęsknym westchnieniem. – To takie proste. Pamiętasz, jakie to było proste? – zwrócił się do Goodwin.

– Proste dla ciebie. Jesteś prostym stworzeniem – odparła. Kiwnęła na mnie. Coś mi się wydaje, że dobrze poznam ten gest, charakterystyczne przywołanie dwoma palcami. – Co Annis i Tansy powiedziały dziś u Krzywonogiego?

Powtórzyłam wszystko najdokładniej, jak umiałam. Potem podałam im kamyk Tansy. Tunstall odsunął talerze na bok i położył go na blacie. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął coś podobnego do małej perły. Dmuchnął na to i położył na stole obok kamienia.

Z kulki trysnęło światło. Podczas gdy lampy w pomieszczeniu migotały, ten blask był jednostajny. Gdy dotknął kamienia, wydobył z jego powierzchni ogniste rozbłyski w różnych kolorach, wiśniowe, szafirowe, ciemnozielone. Lśniący, przypominający półkę fragment kamienia zmienił się, był to czerwony, to zielony, to znów mieszał obie barwy z plamkami błękitu.

– Ładna zabawka. – Podeszło do nas kilkoro innych Psów. Komentarz pochodził od partnerki Jewela. – Skąd ją macie?

– Tansy Lofts, wnuczka Krzywonogiego, żona młodego Heruna Loftsa, dała to naszemu Szczęściu – wyjaśniła Goodwin. – Widzieliście kiedyś coś podobnego? – Staralam się nie zsunąć pod stół, ale skuliłam się, próbując wydawać się jak najmniejszą. Muszę coś zrobić, żeby lepiej radzić sobie w towarzystwie.

Kilka Psów i paru żołnierzy na przepustce zbliżyło się, by popatrzeć. Goodwin zaczęła przepytować kolejno wszystkich klientów lokalu. Ale wszyscy albo kręcili głowami, albo mówili „nie”.

Każdy wiedział doskonale, że w jadłodajni Pod Piecem i Pulardą lepiej trzymać język za zębami. Za dużo tu było funkcjonariuszy prawa.

Otterkin, jedna z gwardzystek obdarzonych magicznym darem, dotknęła kamienia. Zamigotał, rozsiewając wielobarwne rozbłyski, po czym wrócił do normalnego wyglądu.

– To nie jest kamień zaklęcia – oznajmiła Otterkin. – Zapewne można go użyć w tym celu, ale nie wygląda jak żaden z tych, o których mnie uczono. – Wzruszyła ramionami. – Zawsze możecie go zabrać do mistrza Fulka.

Wszyscy jęknęli albo przewrócili oczami. Zaciśnęłam pięści i obserwowałam swoje Psy. Zniosę kamień do mistrza Fulka, jeśli mi rozkażą, ale lepiej, żeby był grzeczny i trzymał łapy przy sobie.

– Powinniśmy, chociaż bardziej ufam twojej opinii niż jego – powiedziała Goodwin do Otterkin. – Raz widziałam, jak zmienił jeden czyrak w całe ich mnóstwo, na całym ciele nieszczęsnego Psa, który przyszedł do niego po pomoc. – Wśród innych Psów poniósł się pomruk poparcia.

Blask kulki Tunstalla zgasł. Podniósł najpierw ją, a następnie połyskujący kamień. – Będzie dobrą zabawką dla twojego kota – powiedział, podając go mnie. – Młody Herun Lofts nie należy do najbystrzejszych. Na pewno myślał, że znalazł rubiny albo jakoś tak. Masz coś jeszcze do zameldowania, Szczęnię?

– Nic więcej do zameldowania, gwardzisto – bąknęłam, pragnąc, by wszyscy sobie poszli. I rzeczywiście, wrócili do stolików, by dokończyć kolację. Goodwin kazała mi zrobić to samo.

Po kolacji zdarzyło się coś ważnego, ale jestem zbyt zmęczona, by teraz o tym pisać. I zbyt nieszczęśliwa. Może jutro zraniona duma będzie bolała mniej. Wtedy napiszę.

Nie będę Szczęnięciem, które zostało Psem w najkrótszym czasie.

Czwartek, 2 kwietnia 246

Pisane przed ćwiczeniami z pałką.

Nie chciałabym się zbyt rozwódzić nad wydarzeniami ostatniego wieczoru. Wystarczająco źle, że w ogóle miały miejsce. Napiszę o wszystkim, ale ogólnie, opisywanie wszystkiego krok po kroku jest ponad moje siły.

Po kolacji wróciliśmy na Targ Nocny. Był tam rzezimieszek, odcinający sakiewki. Tunstall rzucił się na niego i ocalił sakiewkę, ale złodzieja nie złapał.

Goodwin wskazała uciekającego Szczura i nakazała:

– Szczenię, bierz go.

Ogarnęła mnie radość. Mogłam pokazać, jaka jestem dobra. Jednym skokiem znalazłam się tuż za złodziejaszkiem. Goniłam go przez ulicę Stuvek. Zapomniałszy o tym, co słyszałam na szkoleniu, przeoczyłam jego współnika stojącego na czatach. Ten wystawił stopę, a ja runęłam jak długa.

Był tam sprzedawca smażonego jedzenia. Po jednej stronie wózka z rusztem stała skrzynia świeżych ryb, które usmażył dla przechodniów. Po drugiej – wznosiła się sterta łbów, flaków i ogonów, pozostałych po sprawianiu ryb. Zawarłam bliską znajomość z tą stertą. Złodziej uciekł.

Minął cały dzień, a moja zraniona duma ciągle boli. Nie chcę, żeby świat więcej mnie oglądał. Nie chcę się pokazywać żadnym Psom. Moje siostry, bracia, Jaśnie Pan Gershom – wszyscy na pewno słyszeli już tę historię. Jaśnie Pan pewnie się zastanawia, jak mógł się tak co do mnie pomylić. Diona, Lorine, Willes i Nilo zrobią to, co zawsze robi rodzeństwo. Nigdy, przenigdy nie dadzą mi o tym zapomnieć.

Czy łatwo jest umrzeć ze wstydu? Gdy dziś wieczorem znowu zamelduję się w budzie (o ile wcześniej nie spakuję swoich rzeczy, żeby wsiąść na pierwszy statek odpływający z Tortallu), przekonam się o tym na własnej skórze.

Wszyscy, którzy mnie widzieli, klaskali. Straganiarze, kupcy, uliczni artyści i Szczury – wszyscy gwizdali, tupali i wiwatowali. Oprócz moich Psów. Tunstall był zajęty krępowaniem drania, który posłał mnie w ten stos rybich odpadów. Goodwin po prostu stała z rękami skrzyżowanymi na piersi i uniesionymi brwiami.

Zbliżał się koniec naszej zmiany. Goodwin odesłała mnie do portu, żebym się opłukała pod wielkimi beczkami, które trzymają tam dla rybaków. Kazała mi iść do domu i zadbać o mundur. Wzięłam ubranie na zmianę i poszłam do łaźni blisko mojej kwatery, tuż za rogiem. Tam wyszorowałam siebie i mundur. Łazienki nawykły raczej do ulicznicy i kuglarzy niż do Szczeniąt. Kiedy skończyłam, przysięgały na Boginię, że nie czują zapachu ryb, ale się przy tym uśmiechały. Nie byłam więc pewna. Myślę, że smród wżarł się w mój biedny nos. Dałam im miedzianego piątaka za specjalną kąpiel z jaśminem i lawendą, a potem tak długo się moczyłam, aż nie czułam już śladu żadnej woni. Później wróciłam do domu i padłam na łóżko.

Już zawsze będę znana jako Szczenię, które goniło rzezimieszka, a zamiast niego złapało rybę resztki. Moi potomkowie będą udawać, że nie należałam do ich rodziny. A nie – nikt nie będzie chciał mieć ze mną potomków.

Mogłam się schować do czasu, aż zbiorę się na odwagę, żeby uciec na morze, ale Drapek jest zdeterminowany. Umył mi nos. Miauczał i drapał pościel. Kopał wszędzie wokół mnie, aż znalazł drogę. Jego wrzaski pod kołdrą brzmiały ogłuszająco.

– Natrętny zwierz – warknęłam, zawijając go w prześcieradła i zrzucając z łóżka. – Ty nie musisz stawiać czoła światu.

Zamierzasz tracić cały swój wolny czas na dąsy? – spytał. – Wstawaj!

Kiedy się podniosłam, stał już na pościeli. Chciałabym wiedzieć, jak to zrobił.

– Wczoraj wieczorem kazałam ci zostać w domu, a nie wychodzić i dręczyć mnie swoimi sztuczkami. – Sprawdziłam rygle na okiennicach. Nadal były zamknięte. – Jak ty to robisz, otwie-

rasz je czarami?

Drapek siedział na łóżku i przyglądał mi się z łebkiem przechylonym w bok i wąsikami wysuniętymi do przodu w szyderczym kocim uśmiechu.

– Nie cierpię, kiedy mnie czarujesz – powiedziałam. Położyłam go sobie na ramieniu. Zamruczał i wdrapał się na tył mojej szyi, a potem umył mi skroń. Został tam, łapiąc równowagę, podczas gdy nalewałam wody do miski, a potem doprowadzałam do ładu zęby i twarz. Czesanie było już jednak dla niego przesadą, przesiedział je więc na stole. Pewnie cały czas uśmiechałam się jak obłąkana. Nie wiem, skąd takie szczęście, że mam magicznego zwierzaka za przyjaciela. Umie naprawić każdą sytuację, ważną i mniej ważną. Kiedy mama umarła, Drapek pocieszał nas wszystkich, nie tylko mnie. Dzisiaj ulżył mojemu zboląlemu sercu.

Włożyłam spodnie, koszulę i buty, po czym wzięłam sznurkową torbę i sakiewkę. Miałam jeszcze czas, żeby zrobić zakupy, nakarmić gołębie, zjeść i uciec na morze, jeśli nie będę dłużej zwlekać. Wkładałam do kieszeni wszystko, co mogło być mi tego dnia potrzebne, gdy dostrzegłam wśród swoich rzeczy kamień, który dostałam od Tansy. Podeszłam z nim do okna i otworzyłam okiennice. Do środka wpadło światło późnego poranka, a na parapecie usiadło kilka gołębi. Gdy wydawały zwykłe gołębiowe dźwięki, znalazłam woreczek z pokruszonym ziarnem, który trzymałam przy oknie, i rozsypałam trochę ziarna na parapet, by uciszyć ptaki.

Potem podniosłam kamyk. Połyskujące płaszczyzny jaśniały w blasku dnia jeszcze bardziej. Obracałam kamyk, zafascynowana kolorami. Najlepsze były małe, czerwone ciapki. Dotychczas tylko raz widziałam tak jasną czerwień, na malowidłach w wielkiej świątyni Bogini Matki, w dniu, gdy mama zabrała mnie na błogosławieństwo po pierwszej miesiączce. Nadal go obracałam, znajdując wciąż nowe miejsca załamujące światło, aż Drapek wskoczył mi na ramię i wrzasnął do ucha: – *Obudź się!*

– Drapek! – krzyknęłam. Rozbił jakąś szklaną bańkę wokół mnie. Spojrzałam w dół. Gołębie odleciały, całe ziarno było zjedzone. Słońce przesunęło się na tyle, że na skraju parapetu położył się cień. – Jak długo tak stałam i gapiłam się na ten kamień? – spytałam kota.

Wystarczająco długo – odparł i zeskoczył na podłogę.

– Pewnego dnia sprzedam cię wytwórcy pyz – oznajmiłam. Wepchnęłam kamyk do kieszeni spodni. Potem znowu zamknęłam i zarygnowałam okiennice.

Drapek i ja pognaliśmy po schodach na dół. Gdy wypadliśmy przez drzwi na ulicę, właścicielka domu wychyliła się przez okno i zawołała:

– Przyniesiesz mi trochę ryb, Becco? Dobra dziewczyna.

Dobiegł mnie chóralny śmiech, gdy szliśmy ulicą. Minie wiele czasu, zanim przestanę słyszeć ten dowcip. Zanim dotarliśmy do piekarni u Bisa, usłyszałam go w trzech różnych wersjach. Wbrew sobie stwierdziłam, że jedna mi się podoba, o tym, że Drapek nieźle się urządził, bo zamieszkał z Rybim Szczenięciem.

Stary Bis uśmiechnął się na mój widok i wziął ode mnie trzy miedziaki. W koszu z czterodniowym chlebem było wystarczająco wiele pieczywa, żebym zapełniła torbę. Miła jest świadomość, że nie kupuję tam już chleba dla całej swojej rodziny i że mogę kupić go za więcej niż jednego miedziaka.

Już miałam wyjść, gdy Bis podał mi bochenek w kształcie ryby. Posmarował łuski jajkiem, żeby po upieczeniu błyszcząły. Zarechotał, gdy odgryzłam łeb i podałam Drapkowi ogon.

– Pokaż im, Becco Cooper! – podbechtał mnie Bis. – Widziałem to, kiedy byłaś ledwie kruszyną z oczami jak lód. Teraz też to widzę! Pal licha rybnie flaki!

Pokręciłam głową i uciekłam. Nie wiem, skąd starzec miał tyle wiary we mnie. Jak mnie w ogóle odróżnił od zebrzących dzieci, które czekały przy sklepie w nadziei na czerstwą bułkę? Poznał mnie od razu, gdy tylko przeprowadziłam się z powrotem do Niższego Miasta. Na powitanie podarował mi bułkę z owocami. To dlatego właśnie u niego postanowiłam kupić swój cenny czerstwy chleb.

Drapek i ja wędrowaliśmy przez Niższe Miasto. Uwielbiam to miejsce za dnia. Matki siedzą na progach, plotkując z koleżankami i szyjąc, karmiąc dzieci i kupując różne rzeczy od wędrownych sprzedawców. Wszędzie kręcą się świnię, które węszą w śmieciach, kiedy koty i psy nie dają

im się akurat we znaki. Wszędzie kręcą się także gołębie, szukające pożywienia. Dzieci biegają po błotnistych ulicach i podwórkach, bawią się, grają w przeróżne gry i ganiają zwierzęta. Większość ludzi chodzi tu pieszo albo jeździ na koniach lub mułach. Nikt nie korzysta z wozów. Ulice są zbyt wąskie. Ślady w błocie wiją się i ostro zakręcają. Co jakiś zdarza się, że zabłądzi tu ktoś z wozem. Szybko klinuje się w miejscu, z którego nie daje się łatwo wyjechać, i zanim zdoła się zorientować, jego ładunek znika. Podobnie jak ubranie, sakiewka i wszystko, co nieszczęśnik zabrał na wóz.

Zawsze coś się dzieje: jakieś interesy, narodziny, ślub, bójka, lekcje tego czy tamtego. W Niższym Mieście ludzie naprawdę żyją, nie tłumią emocji jak kupcy czy szlachta. Śmieją się, gdy coś ich rozbawi, płaczą, gdy im smutno. Jeśli komuś urodzi się dziecko, może liczyć na pomoc krewnych i przyjaciół. Wszyscy chcą mieć lepsze życie i dążą do tego wszelkimi sposobami. Jestem taka sama. Znałam wiele dzieci i niewiast tak jak mama zdanych na łaskę Szczura, który uważał, że i tak nikt im nie pomoże. Dopilnowałam, żeby ten akurat Szczur zapłacił za swoje złodziejstwo.

Większość tutejszych ludzi zna mnie z widzenia, ale przekonałam się, że jeśli ktoś jest Psem, a nawet tylko Szczeniakiem, jest traktowany inaczej. Maluchy podbiegają do mnie ze śmiechem i wyciągają ręce, wołając: „Zwiąż mnie! Byłem niegrzeczny!” A ich rodzice chichoczą, lecz ich oczy wcale się nie uśmiechają. W Niższym Mieście wszyscy wiedzą o przypadkach łamania prawa, nawet jeśli nigdy w nich nie uczestniczyli. Każdy Pies, który chce się komuś przypodobać albo zyskać lepszą reputację, może zaciągnąć kogokolwiek stąd na przesłuchanie i wydobyć naprawdę smakowite informacje.

Nie będę tak postępować. Być może łatwo zastraszyć kogoś obcego, ale mieszkańcy Niższego Miasta to moi sąsiedzi. Poza tym mam źródła, którymi większość Psów nie dysponuje. Moje ptaszki to nie ludzie, lecz prawdziwe, skrzydlate ptaki, stworzenia powietrzne.

Przeszłam Aleją Posłańców na róg ulicy Dzierżawcy. Był tam Plac Szklarzy. Na brzegu dużej sadzawki pośrodku placu zwyczajowo rozmawiało się i napełniało wiadra. Niektóre kobiety i dziewczęta robiły pranie w kamiennych misach, napełnianych wodą, płynącą rurami z sadzawki. Kupiłam dwa scanrańskie paszteciki z baraniną, cebulą i rodzynekami, po czym podzieliłam się wiórowatym nadzieniem z Drapkiem. Wytarłam palce w chusteczkę i usiadłam na jednym z kamiennych bloków rozstawionych wokół placu.

Gdy tylko zaczęłam rozrywać pierwszy czerstwy bochen chleba na małe kawałki, gołębie zleciały się całymi hordami.

To najpospolitsze ptaki w całym Corus. Ludzie na nie tupią, psy je ganiają, koty i dzieci – zabijają, jastrzębie – zjadają, a jednak te głupie stworzenia dalej świetnie sobie radzą. Latają wszędzie, widzą wszystko i służą Czarnemu Bogu Śmierci, nosząc dusze tych, którzy nie są gotowi, by wejść do jego Spokojnych Krain. Mieniają się najróżniejszymi kolorami. Widziałam osobniki w cudownych odcieniach miedzi i różu, a także niemal tak czarne jak Drapek, z niebiesko-zielonym połyskiem.

Mój stary przyjaciel Klaps, który wylądował na moim kolanie, należy do tych niebiesko-czarnych. Najpierw przyleciał do mnie na dziedzińcu stajni Jaśnie Pana, ale w jakiś sposób wyśledził mnie i tutaj. Nazwałam go Klapsem z powodu niemiłego zwyczaju uderzania mnie skrzydłami. Był brudny, miał szpotawą nogę, zgarbiony grzbiet i duże żółte oczy z małymi źrenicami. Wyglądał, jakby gotów był cię oskarżyć, że knujesz, by zamordować go we śnie.

Dałam mu chleb. Rzucił się na jedzenie (karmię go od trzech lat, a ciągle mi nie ufa) i przez to spadł mi z kolana. Opuściłam dłoń i rzuciłam stertę okruchów obok swojej nogi. Balansując na krzywej nóżce, podszedł, by się nimi zająć.

Przyleciała Różia, którą poznałam ledwie tydzień temu, ciemnosrebrna gołębica ze śnieżno-białymi końcówkami skrzydeł. Jest bardzo śmiała i przepycha się prosto do mnie. Mglisty jest w większości bladej, błękitno-szarej barwy, z niebiesko-zielonym podgardlem i czarnymi końcami skrzydeł. Biały Pieprz jest czysty i biały – być może ma właściciela – z miedzianymi plamkami, ciągnącymi się od karku do połowy skrzydeł. Przystojniak z niego i dobrze o tym wie, bo zawsze puszy się przed samicami.

Nie wszystkim nadałam imiona, ma się rozumieć. Podobnie jak gołębie żyjące w okolicy domu pana starosty, szybko się uczą, gdzie są źródła pożywienia. Tym mniej więcej pięćdziesięciu

ptakom wystarczyło, że przychodziłam przez trzy dni o tej porze z koszykiem. Już mnie rozpoznają i gromadzą się, gdy sięgam po chleb. Niestety, nie mogę powiedzieć, że postępuję tak z miłości do ptaków. Bo to nie są zwierzątka domowe. To informatorzy.

Siedząc pośrodku stada, słuchałam głosów duchów. Gołębie gruchały i charczały z głębi gardeł, rywalizując o pokarm. Z tych odgłosów zaczęły wyłaniać się słowa duchów.

– Nie wiedziałam, że tak wcześnie przyjdzie do domu – odezwał się niewieści głos. – Cemu przyszedł tak wcześnie?

– Te ciamajdy nigdy nie przywiążą porządnie ładunku – przemówił ktoś z charakterystycznym charkotem górali z północy. – Byle jaka robota, byle jaka.

– Nie podoba mi się to, Gary. Wygląda jak statek niewolniczy. Mam rację, prawda? Handlowałeś niewolnikami! – Ten głos był damski i przestraszony. Najwyraźniej jej rodzina należała do rosnącej frakcji nienawidzącej niewolnictwa.

– Mamo, zimno mi. Wszystko dziwnie wygląda. Mamo, zabrali mnie. Nie chciałem iść, ale tam była papuga, a potem zachciało mi się spać. Chcę wrócić do domu!

Pies przebiegł między gołębiami, rozpraszając stado. Zakląłam, gdy Drapek z wrzaskiem rzucił się za nim, z wysuniętymi pazurami. Pies zaskowyczał, gdy kot wskoczył mu na grzbiet i wpił się w kark. Skamlać, uciekł z placu, razem z Drapkiem, który nie popuszczał.

Pokruszyłam więcej bułek, czekając na powrót ptaków. Jeśli w pobliżu nie ma jastrzębia, na pewno wrócą. Nigdy nie zapomniały o posiłkach. Nawet miejscy żebracy mogliby się od nich uczyć.

I oto przyleciały, otrząsnąwszy się ze strachu. Rzucalam kawałeczki pieczywa, gdy ptaki siadały na kamieniach, gadając do siebie nawzajem. Gdy już się uspokoiły, zmarli znowu przemówili. Wyszukałam gołębia, który nosił duszę małego dziecka.

– Była ze mną mała dziewczynka i mały chłopiec. Bali się. – To był on. Mam szczęście, że po śmierci nawet niemowlę może opowiedzieć swoją historię wyraźnym głosem. Być może, tak jak twierdzą kapłani, dusza nie ma wieku.

– Dlaczego ludzie w kapturach nas zabrali, mamo? Nie było papugi. Kłamali, a potem kazali mi spać. Dali mi owsiankę z robakami w środku. I...

Całe stado poderwało się do lotu. Podniosłam głowę. Wysoko nad nami szybował myszów. Westchnęłam. Minie wiele czasu, zanim ptaki wrócą, skoro w pobliżu był drapieжник. Zgromadzenie się skończyło, przynajmniej na dzisiaj. Ale czegoś się dowiedziałam. Bardzo mały chłopiec został porwany i przetrzymywano go z innymi dziećmi, prawdopodobnie niewolnikami. Handel niewolnikami jest w Corus nielubiany, ale nie jest zakazany. Zabronione jest jednak porywanie dzieci bez pozwolenia rodziców.

To mógł być synek Tansy, Rolond.

Zrobiło się niemal wpół do drugiej, zanim obeszłam wszystkie swoje stadka. Przed służbą zdążyłam też odwiedzić babcię Fern. Pomagałam jej w domu, czyli ja pracowałam, a ona chodziła za mną, patrzyła, co robiłam, i tłumaczyła, dlaczego zrobiłam to źle.

Rozmawialiśmy o Dionie, Lorine i chłopcach, gdy robiła nam na obiad zielone naleśniki ze szczawiem i imbirem, a potem kluski z serem. Znalazł się nawet ser dla Drapka. Na koniec dostałam zimową szarlotkę.

– I jeszcze to – powiedziała, podając mi pakunek owinięty trzcina, gdy całowałam ją na pożegnanie.

Wzięłam bez namysłu, zanim zapach dotarł do moich nozdrzy. Ryba.

– Dla futrzaka – zapewniła figlarnie i zamknęła drzwi.

– Dla futrzaka, akurat – mruknęłam do Drapka, gdy wróciliśmy do mojej kwatery. Miejskie dzwony obwieściły trzecią. – Dzisiaj pierwszy raz dała jedzenie dla ciebie. Zrobiła to, żeby utrzc mi nosa.

To złośliwa staruszka – odparł Drapek. – *Lubię ją.*

– Nic dziwnego – stwierdziłam, gdy wchodziliśmy po naszych schodach. – Sam jesteś złośliwy. – Wpuściłam go do swoich dwóch pokojów.

Popatrzył tylko, zadowolony z siebie, i zaczął się myć. Ja szykowałam się do ćwiczeń i służ-

by.

Noc, po służbie.

Gdy tylko weszłam na dziedziniec treningowy za budą, żeby poćwiczyć z pałką, wszyscy od razu zaczęli ze mnie drwić. Rzuciłam swoją torbę mundurową z boku dziedzińca i wzięłam pałkę ćwiczebną, pragnąc się zapaść pod ubitą ziemię. Gdyby tylko Szczenięta komentowały moją hańbę, byłoby wystarczająco źle, ale nie – życie nie jest takie proste. Także Psy gadały o mojej cuchnącej przygodzie z poprzedniej nocy. Ćwiczeń z pałką wymaga się od Szczeniąt i Psów przez pierwsze cztery lata służby – trzy dla Bogini i jeden dodatkowy rok dla Wielkiego Mithrosa. Jeśli przetrwasz tyle czasu, ulica daje ci potem wystarczająco wiele okazji do ćwiczeń.

Otoczyła mnie grupka kolegów. Niuchali głośno, twierdząc, że zapach ryb jeszcze się utrzymuje. Rozważałam złamanie zakazu trenowania ciosów pałką pod nieobecność mistrzyni na dziedzińcu, ale Ahuda rozwiązała sprawę za mnie. Pojawiła się niezauważenie. Dwóch podcięła kopniakiem, a z pikowanych kurtek dwóch pozostałych podniosła kurz za pomocą swojego rozdwojonego bambusowego kija. Mimo grubego odzienia i faktu, że Ahuda posługiwała się jedynie bambusem, zostaną im na grzbietach paskudne siniaki – taka była dobra.

– Myślicie, że ostatniej nocy nie daliście się pokonać? – spytała. – Nawet gdybyście obierwali tak? – Jej pałka skierowała się w bok, prosto w żebra Hilyarda. Zderzył się z Verene i przewrócił na nią. – Albo tak? – Następnym ciosem dosięgnęła ramię drugorocznego Psa imieniem Phelan. Machnęła pałką tak szybko, że nawet nie dostrzegłam ruchu, obalającego Phelana na kolana. Krzyknął. Na ramionach nasze kurtki nie były pikowane. Skrzywiłam się, gdy poleciał w przód.

Ahuda przeskoczyła błyskawicznie nad nieszczęśnikiem, kierując pałką w moje bebechy. Zablokowałam ją, trzymając swoją pałkę pionowo, obiema rękami. Przyłożyłam jej kolaniem w bok. Nie było jej tam, ma się rozumieć. Nigdy jej nie ma. Jej pałka trafiła z boku w moje lewe kolano. Jednak w miarę delikatnie. Zatoczyłam się, ale nie upadłam.

Ruszyła dalej, na Erskena. Pokazała wszystkim na dziedzińcu, że niemądrze śmiać się z kogoś, kto został zaskoczony. Tego popołudnia oddałabym oko, żeby być równie dobra jak ona. Kochałam ją. Załatwiła ich wszystkich. Zabrakło im tchu, by się ze mnie śmiać.

Później, gdy się umyliśmy i przebrali w mundury, podszedł do mnie Erskan i objął mnie po przyjacielsku. Popatrzyłam w jego błękitne oczy i uśmiechnęłam się. Erskan od pierwszego dnia radził sobie z moją nieśmiałością; po prostu ją ignorował. Lubił obejmować nas wszystkie i przytulać każdą ramieniem do swego boku. Przywykłyśmy do tego. A nawet odpowiadałyśmy tym samym. Kiedyś zastanawiałam się, jak ten chłopak o miękkich, kasztanowych lokach i łagodnych oczach poradzi sobie w roli Psa. Potem, gdy wezwano nas do tłumienia buntu w więzieniu Zamurze, pracował równie ciężko i twardo, jak każdy z nas, stosując w praktyce nowo nabyte umiejętności. W razie potrzeby potrafił pokazać siłę.

Teraz tej siły nie potrzebował.

– Sprawa Rybiego Szczenięcia nie potrwa długo, Becco – powiedział. – Raz ich zadziwisz i o wszystkim zapomną. Poza tym gdyby nie padło na ciebie, padłoby na mnie. W nocy wpadłem do rynsztoka. Zostałbym Ściekowym Szczenięciem, gdyby nie ty.

Zachichotałam i uściskałam go w odpowiedzi, po czym uwolniłam się spod jego uprzejmej ręki. Nie chciałam, by ktoś pomyślał, że nie mogę stać o własnych siłach.

Powitanie wewnątrz budy miałam równie radosne, jak na ćwiczeniach. Na mój widok Psy zaczęły gwizdać i głośno rechotać.

– Cześć, Rybie Szczenię! – zawołał Jewel. – Teraz pewnie sobie zapamiętasz, że Szczury zostawiają współników na czatach, co?

– Ej, może na kolację zjemy rybę?! – zawołał ktoś inny. Nawet Ahuda się uśmiechała, gdy pozostali gwizdali i zanosili się śmiechem.

Zacisnęłam zęby i zobaczyłam swoje Psy. Tunstall przywołał mnie skinieniem ręki. Gdy poszedłam, usłyszałam, że Goodwin niucha w powietrzu. Wbiłam wzrok w podłogę.

W końcu się odezwała:

– Buda to nie miejsce dla kota, Rybie Szczenię.

Prosiłam go, żeby został w domu! A jednak był tutaj i siedział przed Goodwin, gapiąc się na

nią z węsami sterczącymi naprzód w kocim uśmiechu.

– Gwardzistko, przysięgam, że go nie przyprowadziłam. – Poczułam, że coś splywa mi po plecach. – Przysięgam na tarczę Mithrosa...

Tunstall położył mi rękę na ramieniu.

– Nie przyzywaj Mithrosa do drobnej sprawy z kotem, choćby i fioletowookim, Cooper.

Wierzę ci.

Nie uwierzyłbyś, gdybym powiedziała prawdę, pomyślałam. Nie uwierzyłbyś, gdybym powiedziała, że być może tylko Wielki Bóg może powiedzieć ci cokolwiek na temat Drapka!

Goodwin przykucnęła i pogładziła mojego zdradzieckiego kota pod brodą.

– Wiesz, że przystojniak z ciebie, prawda?

Tunstall nachylił się lekko, by szepnąć do mnie:

– Lubi koty.

– Słyszałam! – warknęła. Drapek oparł się o jej dłoń. – A czego tu nie lubić, małe panisko? – spytała go. – Dyskretny, czysty, podążający w życiu własną ścieżką. Nie słuchasz niczyich rozkazów, nawet Rybiego Szczęścia.

Skrzywiłam się. A Drapek, łobuz jeden, wskoczył Goodwin na ramię.

– No, no! – powiedziała i parsknęła śmiechem. Wyprostowała się, a kot ciągle siedział na jej ramieniu, tak jak wcześniej na moim. – Wydaje się zdeterminowany, żeby iść z nami.

Wie, komu się przypodobać, by osiągnąć cel. Tym razem postanowił przekonać Goodwin, że ma prawo człapać obok nas na podobieństwo czworonożnych psów, zabieranych przez niektóre pary. Widziałam te psy kątem oka. Siedziały i spoglądały na mojego kota z umiarkowanym zainteresowaniem. Żaden niczym nie zdradzał, że mógłby za nim pogonić.

– Zbiórka! – ryknęła Ahuda. Wyglądała rześko, jakby przez trzy ostatnie godziny wcale nas nie tłukła. Wszyscy ustawili się w szeregi. – Pierwsza sprawa. Żadnych nowin w sprawie prawnuka Krzywonogiego od przydzielonych par na wszystkich trzech zmianach. Goodwin i Tunstall odbyli jakieś rozmowy, między innymi z babką i matką. Nie uzyskali nic użytecznego, ale niewykluczone, że możemy tam liczyć na coś więcej.

Druga sprawa. Dzisiaj noc zbiórki. Birch i Vinehall, sprawdzajcie każdą monetę, która trafia do waszego worka szczęścia. Dostyc fałszywek. Zbijcie każdego, kto wsunie wam do worka podrabiane pieniądze. Reszta też niech uważa na monety.

Zobaczyłam, że dwa wymienione przez nią Psy odwracają się z rumieńcem wstydu. Chodziło nie tylko o to, że przynieśli do budy bezużyteczny bilon. Fałszerze byli gorsi od morderców. W ciągu kilku tygodni mogli zmienić w śmieci pieniądze całego królestwa, jeśli się ich nie wyłapało.

– No, kundle, nie napełnicie worków szczęścia, siedząc na zadach – warknęła Ahuda. – Odmaszerować. Goodwin, Tunstall, wy nie. Mistrz Fulk ma teraz dla was czas.

Nie umknęła mi wymiana kwaśnych min między moimi partnerami. Wcale im się nie dziwiłam.

– Musiałam o niego poprosić – stwierdziła Goodwin. Wydawała się niemal zawstydzona. – Choćby dlatego, żeby nikt nie pomyślał, że zatrzymaliśmy coś, co powinno trafić do worka szczęścia do podziału. Nadal masz tę błyskotkę, Rybie Szczęście?

Pogrzebałam w kieszeni i podałam jej kamyk. Machnęła ręką.

– Dasz go Fulkowi. Chodź.

Cała nasza trójka (plus Drapek) weszła do małego gabinetu, który służył dyżurnemu magowi. Fulk siedział przy biurku na krześle, które gwarantowało, że będzie o głowę i ramiona wyżej niż każdy Pies. Mag Fulk był okropnym, niechlujnym, małym człowieczkiem, nawet na służbie. Nie zgolił siwo-kasztanowego zarostu. Jego kręcone włosy tej samej barwy wydawały się niemyte od tygodnia albo i dziesięć. A najmniej lubiłam jego oczy – zielone i pełne, zbyt wilgotne, z ciemnymi workami pod spodem, jakby nigdy nie spał.

Nie, oczy zajmowały drugie miejsce na liście jego nielubianych przeze mnie cech. Jego wędrujące ręce o palcach, które lubiły podszczypywać i głaskać, drażniły mnie jeszcze bardziej. Podobnie jak każdą kurierkę i stażystkę. Słyszałam też niejedną gwardzistkę w randze Psa, która się

na niego skarżyła.

Trzymałam się z tyłu, pozwalając, by Tunstall stanął pomiędzy mną a biurkiem.

– No i? Gdzie to jest? – spytał Fulk. – Nie mam dla was całej nocy.

Znowu podsunęłam kamień Goodwin, ale ruchem głowy wskazała maga. Jej wzrok ostrzeżał, żebym lepiej nie irytowała jej swoim wahaniem.

– Pozwalacie trzymać to stażystce? – Fulk sprawił, że ostatnie słowo zabrzmiało plugawie.

Potem uśmiechnął się z drwiną. – I to stażystce Rybiemu Szczenięciu.

– Robimy to, gdy chodzi o naszą stażystkę. – Tunstall miał bardzo ciepły głos, który brzmiał aż dziwnie, gdy stawał się taki chłodny. – I niezależnie od tego, jak Psy nazywają siebie nawzajem, ty Psem nie jesteś, Fulk. Daj mu kamień, Cooper.

Postąpiłam naprzód (nie mogłam pozwolić, żeby moje Psy źle wypadły, zwłaszcza że Tunstall się za mną wstawił) i położyłam kamień na biurku. Fulk, szybki niczym wąż, złapał mnie za nadgarstek. Uśmiechnął mi się w oczy, palcami pocierając moją rękę. Znieruchomiałam, myśląc o karze, która mogłaby mnie spotkać, gdybym uszczypnęła jego dłoń do krwi.

– Puść ją. – Głos Goodwin przypominał żelazo. Spojrzeliśmy na nią, zarówno mag, jak i ja.

– Dotknij jej jeszcze raz, a zacznę dochodzenie w sprawie notorycznego łamania Prawa Bogini, chroniącego kobiety. Słyszałam pogłoski. Może najwyższa pora sprawdzić, czy mają pokrycie w faktach.

Fulk mnie puścił. Popatrzyłam na Tunstalla, zupełnie zdezorientowana.

Posłał mi uśmiech.

– Podczas ostatniego zaćmienia świątynia Matki Gwiazdnego Blasku wybrała sędziów. Godwin jest teraz sędzią Bogini dla Niższego Miasta. Jeśli napisze nakaz, przyjdą po niego wojownicze kobiety z sierpami.

Fulk drżącymi palcami chwycił połyskujący kamień. Uwolnił jakiś karmazynowy blask, który wsiąkł w twardą powierzchnię.

– Jestem magiem, dysponującym własną władzą i ochroną króla – mruknął, ale zauważyłam, że był cały spocony. Z kamyka trysnęły maleńkie świetliste iskierki, które po chwili znów zniknęły w jego wnętrzu. Podniósł go w górę. Błysk w oczach Fulka świadczył o tym, że kompletnie o nas zapomniał.

Wytworzył więcej czerwonego ognia. Płomień prześliznął się po powierzchni kamienia i spadł na biurko. Mag mruknął coś i przesunął po kamieniu dłonią, podążając nią za czerwonym światłem. Kamyk zaiskrzył się, a potem pociemniał.

– Bezwartościowy, gdy mówimy o pieniądzach. Ciekawostka. Zbadam go dalej i zdam raport panu staroście. Możecie odejść, Psy. – Popatrzył na nas i zmarszczył brwi. – Zatrzymam go. Chyba powinniście prowadzić zbiórkę?

Drapek wskoczył mu na plecy zza krzesła. Fulk wrzasnął i zaszamotał się, upuszczając kamień i tłukąc kilka słoików na swoim biurku. Próbował go złapać. Ja też, obawiając się, że może go zanieczyścić olej, który wylał się ze słoików. Kamień wysliznął się z wyciągniętych palców maga, sturlał na starą podłogę i wpadł w dziurę po sęku w jednej z desek. Nie sposób było stwierdzić, gdzie się podział.

Fulk krzyknął.

– Ten kot! Kto go tu wpuścił? Nie cierpię kotów! – Kichnął. – Wynocha! Muszę rzucić zaklęcie przyzwania... Zabierzcie ze sobą to ohydne zwierzę!

Pomimo skakania, krzyków i wycieku magicznych substancji musiałam pochylić głowę, by ukryć drwiący uśmiech. Całe Corus wiedziało, że Fulk nie potrafi przyzywać. Gdyby to umiał, zapewne pracowałby na własną rękę jako mag, a nie w budzie.

Potem pomyślałam o zagubionym kamieniu. Podobał mi się. Był najlepszą rzeczą w Niższym Mieście, wystarczająco zwyczajną, z maleńkimi kawałkami prawdziwego piękna tam, gdzie nikt by ich nie szukał. Zniknął. Czy mi się to podobało, czy nie, jakiś czworonożny szczur unosił go w dal, by zrobić wrażenie na pani szczurowej.

Opuściliśmy gabinet Fulka. Drapek maszerował przodem.

– Co się tam działo? – chciała wiedzieć sierżant Ahuda. – Jeśli go zabiliście, musicie nam

znaleźć nowego.

– Żyje i jęczy – odparła Goodwin. – Mamy dosyć zabawy z magiem. Idziemy na Dwór Łotra.

Gwardziści milczeli, gdy wyszliśmy na ulicę. Drapek zostawił nas samym sobie. Widząc, że moje Psy wyjmują pałki, zrobiłam to samo. Gdy narzucili tempo, które mają chyba w kościach, uspokoiłam się i zaczęłam myśleć. Mój mózg pracował i niemal nie słyszałam, że niektórzy mijani ludzie wołają: „Rybie Szczenie”. Myśl, która już wcześniej domagała się mojej uwagi, wypłynęła na powierzchnię. Czy moje Psy zauważyły to, co widziałam ja? U Fulka światło było bardzo słabe. Tylko ja stałam blisko niego.

Na pewno zauważyli.

Tak czy owak, mój obowiązek wydawał się oczywisty. Odchrząknęłam.

– Gadaj, Szczenie – powiedziała Goodwin. Nie odrywała wzroku od twarzy wokół nas. Tunstall patrzył na okna nad nami.

– Eee... Skłamał – stwierdziłam. – Fulk. Wiedział o tym kamieniu coś ważnego.

– Dobra z ciebie obserwatorka – powtarzał mi często pan Gershom. – Mów innym, co widzisz. Dobry Pies ufa temu, co zaobserwuje.

Musiałam wierzyć, że Jaśnie Pan wiedział, co mówi. Przełknęłam grudę, która wytworzyła mi się w gardle.

– Fulk zrobił się chciwy. Chciał mieć ten kamień, ale nie chciał, byśmy wiedzieli, że przedstawia jakąś wartość. – Poczułam, że twarz mi się czerwieni, i pobłogosławiłam półmrok. Dokończyłam mruknięciem: – A przynajmniej tak mi się wydaje.

Goodwin i Tunstall przystanęli, więc ja też się zatrzymałam. Potem zrobili coś dziwnego. Goodwin poszperała w sakiewce przy pasie, a jej partner wyciągnął rękę. Położyła na niej monetę. Podrzucił ją w powietrze, złapał, wsunął do kieszeni i odwrócił się, by spojrzeć na mnie.

– Założyłem się z nią o piątaka, że to wychwycisz.

Goodwin też się odwróciła, krzyżując ręce na piersi.

– Jest zbyt miły. Założyłam się też, że nie będziesz miała odwagi nam powiedzieć. Więc dwa razy się pomyliłam. Tak, widzieliśmy.

Wydałam z siebie ciche westchnienie ulgi. Bardzo źle bym zrobiła, gdybym zachowała milczenie. Uznaliby, że albo jestem zbyt głupia, by obserwować mimikę Fulka, albo zbyt nieśmiała, by zgodnie z zaleceniami poinformować swoje Psy.

Tunstall przeciągnął palcami po krótko przystrzyżonej brodzie.

– Otterkin powiedziała, że ten kamień nic w sobie nie ma.

– Z nią jest tak samo, jak z Fulkiem – odparła Goodwin. – Gdyby umiała dokonać magią czegoś więcej niż wygnanie myszy z mąki, nie byłaby Psem. Fulk omal się nie zmoczył, gdy ta błyskotka zaświeciła. – Pokręciła głową. – Niech to licho, że kamyk zginął. Bogowie tylko wiedzą, co jest pod budą. Może węże. Błoto, które zsuwa się prosto do rzeki. Budynek stoi tu od czasu rządów pierwszego króla...

Usłyszałam znajome, nieco stłumione miauczenie. Mój kot wydawał ten dźwięk, gdy był naprawdę zadowolony z siebie. Poszukałam go wzrokiem. Podszedł do moich nóg i opuścił coś na mój lewy but.

Tunstall zgiął się powoli i to podniósł. Nie ważyłam się ruszyć, gdy za pomocą wody z manierki zmył z błyszczącego kamyka piwniczny szlam i nie wiadomo co jeszcze. Znałam spojrzenie, które para gwardzistów posłała najpierw mnie, a potem mojemu kotu. Często czułam takie spojrzenie na sobie, gdy Drapek zrobił coś osobliwego.

– To tylko kot? Nie jesteś magiczna ani nic? – spytała mnie Goodwin po zbyt długiej chwili milczenia. – Nie patrz na mnie, tylko odpowiadaj, Cooper.

– Znalazłam go na stryszkach w stajni Jaśnie Pana Starosty, gwardzistko – odrzekłam najuprzejmiej, jak potrafiłam. – Kociaka o fioletowych oczach. A gdybym była magiem, słyszałabyś o tym.

– Często robi dziwne rzeczy, prawda? – odezwał się Tunstall.

– Dość często – przyznałam. Podniosłam swojego kota.

– Były jakieś znaki, kiedy się urodziłaś? – ciągnął Tunstall zupełnie normalnym tonem. – Zaćmienia, orły w pokoju narodzin, takie rzeczy?

Byłam tak zaskoczona, że podniosłam na niego wzrok. Przypominał sowę bardziej niż kiedykolwiek, chociaż nigdy nie słyszałam o sowie, w której oczach pobłyskiwałyby wesołość.

– Mój tata stracił miedzianego nobla, bo się założył, że będę chłopcem. Mama mówi, że to była ostatnia moneta, jaką kiedykolwiek miał.

Goodwin wzięła kamyk od partnera i wytarła go o tunikę.

– Może ty i...

– Drapek – odpowiedziałam.

– Drapek – powtórzyła. – Może wy dwoje popilnujecie tego przez jakiś czas? A Tunstall i ja poszukamy kogoś godnego zaufania, żeby nam coś o tym opowiedział. Bo teraz wiemy jedno. Skoro Fulk chce mieć ten kamyk tak bardzo, że kłamie i próbuje utrzymać wszystko w tajemnicy, to może wnuk Krzywonogiego, Herun, miał rację. Może takie rzeczy przynoszą pieniądze, a Krzywonogi coś knuje.

– I może kazał zabić wnuka – dodał Tunstall, kiwając głową.

– Podejdź bliżej i postaw kota na ziemi – poleciła Goodwin. Gdy usłuchałam, nachyliła się, by poprawić but i podała mi kamyk. Wsunęłam go do kieszeni spodni i wyprostowałam się, podczas gdy Goodwin mówiła Drapkowi, jaki z niego dobry kot. Nikt postronny nie zorientowałby się, że kamień jest u mnie.

– Dobra. Do roboty, dziewczyny – powiedział Tunstall. – Pora potrząsnąć jabłonką.

Inne Psy zbierają worki szczęścia od przedsiębiorców, którzy chcą mieć pewność, że źle opłacana gwardia będzie ich pilnie chronić. Tunstall i Goodwin niczego takiego nie robili. Zgłaszają się tylko do Łotra. Szliśmy zachodnią stroną budzącego się Targu Nocnego i Targu Żalów, gdzie sprzedawano niewolników. Nie cierpię tego miejsca. Od zapachu skręcają mi się kiszki. Zbyt wiele rodzin z okolic Uliczki Psich Sików przychodzi tu sprzedać nadmiar swoich dzieci i trochę zarobić, o ile nie posuwają się do nielegalnej sprzedaży, by zarobić jeszcze więcej.

Przy Koskynen moje Psy i ja oddaliśmy się od Targu Żalów, zagłębiając się w część Niższego Miasta zwaną Szambem, gdzie znajduje się Uliczka Psich Sików. Nie ma tu oświetlenia, nie licząc pochodni stawianych przez właścicieli karczm, ulicznych hazardzistów i lupanary. Domy trzymają się w kupie dzięki linom i magicznym amuletom. Świnie, które grzebią w śmieciach, są chudziutki. Po zmroku ulicami Szamba władają twardzi i głodni ludzie, którzy nie mają się gdzie podziać.

Otoczyła nas gromada dzieci, żebrzących o miedziaka. Kiedyś byłam jednym z nich. Teraz tłoczyły się wokół, uważając mnie za nowicjuszkę. Zakręciłam pałką zawieszoną na sznurku, omotany wokół nadgarstka i zatoczyłam nią dwa półokręgi, odsuwając dzieciaki.

– Ferajna, nie miąchać mi tu łapskami – odezwał się cicho z zaśpiewem z Szamba. – Nie dostaniecie ode mnie więcej niż od Pani Księżycy.

Zdziwiły się, słysząc własną gadkę z ust Psa. Rozbiegły się na wszystkie strony.

Moje Psy odwróciły się, by badawczo na mnie popatrzeć.

– Dobrze ci idzie – stwierdziła Goodwin.

Spuściłam oczy.

– Rybie Szczenię, mówię do ciebie. – W jej głosie pobrzmiwała groźba.

Spojrzałam jej w oczy.

– Osiem lat mieszkaliśmy w Szambie, gwardzistk...

– Goodwin – poprawiła mnie. – Pewnie dalej masz tu rodzinę?

– Tak, gwardzi... Goodwin. Moja babcia mieszka parę ulic stąd.

– Słyszałam co nieco na ten temat – stwierdziła w końcu. – Ale plotki to jedno, a twoje własne Szczenię, które gada jak Szczur z Szamba, to co innego. Ile jeszcze tajemnic skrywasz, Cooper?

Pomyślałam o pyłowych krętach na rogach ulic. Pani Noll napomknęła im już o gołębiach.

– Niewiele, Goodwin.

– To dobrze. Nie cierpię tajemnic. Nie mów więcej gadką z Szamba. Jesteś Psem, a nie Szczurem. – Ruszyła dalej przed siebie, Tunstall kroczył obok niej, a Drapek i ja za nimi.

O pół przecznicy na zachód przy Alei Świętecznej wznosił się wielki, czarny, kamienny dom. Kiedyś, gdy miasto było nowe, mieszkał tu szlachcic. Kiedy szlachta przeprowadziła się gdzie indziej, dom przejęli kupcy, a kiedy i oni się wynieśli, budynek najpierw stał się siedzibą sądu, a potem budą. Przez dłuższy czas był domem dla tuzina ubogich rodzin. Teraz wzdłuż muru wznoszącego się na trzy metry w górę stali odziani w skóry strażnicy z kuszami wymierzonymi w otwarty teren przed sobą. W żelaznych stojakach obok muru i przy budynku płonęły pochodnie. Strażnicy przy bramie otworzyli ją bez żadnych ceregieli, by wpuścić nas do środka.

Łotr nas oczekiwał. Wewnątrz domu przeszliśmy korytarzem pełnym interesantów, uzbrojonych strażników, złodziei, zbirów, osób kupujących swoimi ciałami – obojga płci – a także dzieci tych, którzy dzielą budynek z Łotrem Kayferem. Mimo warstwy brudu i plam od dymu widać było, że kiedyś musiało być tu pięknie. Ktoś zadał sobie trud, by wyrzeźbić kamienne kolumny i drewniane sztukaterie. Teraz jedne i drugie były poszczerbione, porysowane i zaplamione.

Szczupły żigolak, odziany jedynie w przepaskę biodrową, postanowił się zabawić, drwiąc ze Szczenięcia. Kiwnął na mnie, prężąc twarde mięśnie klatki piersiowej chociaż wiedział, że jestem zbyt zajęta i zbyt biedna na jego usługi. Odwróciłam wzrok. Przepaska na biodrach była bardzo kusa.

– Ona jest na służbie, kolego – powiedziała Goodwin. Czy w ogóle cokolwiek umykało jej uwadze? – Znajdź sobie kogoś innego do zabawy.

– Możesz być ty, kwiatuszku – odparł, taksując ją wzrokiem. – Uwielbiam kwitnące róże, które wiedzą, do czego służy mężczyzna.

– Mam swojego mężczyznę. Prawdziwego. Takiego, który nie pęknie podczas zabawy ze mną. – Uśmiechnęła się szeroko prezentując swe lśniące białe zęby. Żigolak wzruszył ramionami i sobie poszedł.

Nie mieściło mi się w głowie, że Goodwin może mieć mężczyznę.

Potem dostrzegłam znajomą twarz, której nie spodziewałam się zobaczyć na Dworze Łotra. Odchrząknęłam.

Tunstall zerknął na mnie i zobaczył, gdzie patrzę. Szturchnął Goodwin, zanim podszedł do pani Noll.

– Babciu, jestem wstrząśnięty! – powiedział, nachylając się, by pocałować ją w policzek. – Co panią sprowadza w tak okropne miejsce?

– Robaki w mojej mące. Mój dostawca mówi, że najlepszą kupuje teraz Łotr – odparła z kwaśną miną. – Wykorzystuje staruszkę, która próbuje jakoś sobie radzić, ot co. Zostawiłam Gemmę przy straganie i przyszedłam złożyć prośbę, żeby Łotr przysłał mi trochę dobrej mąki. Na pewno będzie czegoś chciał za fatygę. Zawsze chce.

– Przyszła pani sama? – spytała Goodwin, marszcząc brwi.

– Na Boginię, nigdy! – Pani Noll wskazała wnętrze holu. Jeden z jej synów i jakiś inny chłop rozmawiali po cichu ze strażnikiem. – Yates i jego kolega ze mną przyszli. Dobrze mieć choć jednego syna, który jeszcze mieszka w Corus. – Zniżyła głos. – Jak poszła wam wizyta u Krzywonego?

– Tak dobrze, jak można się było spodziewać – odpowiedział Tunstall.

– Podobno Becca spotkała się ze starą przyjaciółką, Tansy.

– Z błyskiem w oku podniosła wzrok na Tunstalla.

– Wiedziała pani, że Becca i Tansy Lofts się przyjaźniły? – spytała Goodwin.

– Bawiły się na mojej ulicy – odparła pani Noll. – Ta Tansy była żwawą dziewczynką, prawda, Becco? Już wtedy ładną niczym kwiat. Wszyscy wiedzieliśmy, że wpadnie w oko jakiemuś szczęściarzowi. O, zdaje się, że Yates w końcu znalazł właściwego adresata łapówki.

Yates przyzywał ją ruchem ręki. Podeszła do niego. Popatrzyłam w podłogę. Pani Noll wiele razy klóciła się, ale co z tego? Pani Noll to matka. Nie dziwne, że wyraża się uprzejmie o innej matce, która straciła pierwsze dziecko. Każdy zachowałby się tak samo na jej miejscu.

– Chodźmy, Szczenię. Pora popisać się mundurem – zwróciła się do mnie Goodwin. – Broda do góry. Przyszliśmy tu w imieniu pana starosty.

Słusznie odgadła, że po takich słowach wyprostuję się, jakbym kij połknęła, i podniosę gło-

wę wysoko. Kroczyłam śmiało, bo robiłam to w imieniu człowieka, który wyciągnął moją rodzinę z Szamba.

Drapek trzymał się z tyłu, gdy trafiliśmy do pomieszczenia, które musiało być główną komnatą w czasach, gdy mieszkała tu szlachta. Teraz mieściła się tu sala tronowa Łotra. Przywódcy siedzieli przy stołach w jednym krańcu pomieszczenia w otoczeniu swoich uliczników i zbirów. Na platformie, kilka cali nad podłogą, na poziomie szerokiego pieca, ujrzałam człowieka, którego uznałam za Łotra – Kayfera Deerborna. Siedział na tronie, wykonanym ze zbitych ze sobą skrzyń, drewnianych beczek i fragmentów mebli. Rozmawiał z brązowoskórą carthakańską kobietą w spodniach i koszuli. Wokół oczu miała tatuaże, a wokół płatka jednego ucha – rubinowe kolczyki. Jak dla mnie, wyglądała na handlarke niewolników. Dwójka innych Carthakan czekała tuż przy platformie, za jej plecami. Ten w niewolniczej obroży trzymał smycze dwóch dużych mastiffów. Był jeszcze bardziej muskularny niż te czworonogi.

Czekając, aż Kayfer nas zauważy, zaczęłam utrwalać go sobie w pamięci. Słyszałam wcześniej, jak starsze kobiety z Szamba opowiadały o jego szerokich barkach, niebieskich oczach, promiennym uśmiechu. Teraz miałam przed sobą zwiotczałego chłopca po czterdziestce z gładkim łukiem nosa i przeredzoną czupryną. Oczy miał w istocie bardzo niebieskie, ale z licznymi zmarszczkami dookoła. W jednym uchu nosił czarną perłę o kształcie kropli wielkości mojego kciuka, w drugim – srebrne kółko, na palcu wskazującym prawej dłoni miał zaś złoty pierścień z szafirem o rozmiarze gołębiego jaja. Krążyły różne opowieści o tym, jak wszedł w posiadanie tego klejnotu.

Jego uśmiech faktycznie robił wrażenie.

Kayfer klepnął handlarke niewolników w ramię. Odpięła od pasa sakiewkę, nie była jednak na tyle niegrzeczna, by mu ją podać. Jedna z jego towarzyszek poprowadziła ją do małego pomieszczenia po drugiej stronie pieca. Ochroniarz handlarki i niewolnik z psami ruszyli za nimi. Łotr skinął na jednego ze swoich przywódców.

– Musimy czekać – stwierdził Tunstall, niemal nie poruszając wargami. – Kayfer chce zaznaczyć swoją władzę. W ten sposób udowadnia, że dalej jest Łotrem.

– Też mi Łotr – rozległ się znajomy głos. Spojrzeliśmy w prawo. Błady jak szkielet młodzian, którego widzieliśmy wczoraj wieczorem, siedział w towarzystwie swoich dwóch pań pod ścianą wraz ze zbirami, służącymi Łotrowi i jego przywódcom. – Rozsiadł się na tyłku jak cholerny król i przekupuje innych, by go popierali. Mam nadzieję, że ktoś żwawszy przejmie rządy.

Goodwin zerknęła na Kayfera. Rozmawiał szeptem z przywódcą, który do niego podszedł. Tunstall spokojnym krokiem zmierzał do jednej z kobiet przywódczyń, Ulsy. Jej dzielnicą była Ładnakość, za rzeką. Ulsa uśmiechnęła się i nogą podsunęła mu krzesło. Zajął je.

Goodwin ukucnęła przed bladolicym. Jego towarzyszką, drobna i elegancka niczym kotka, siedziała obok po turecku, skubiąc swoją sukienkę. Widziałam, że jej dłoń może dosięgnąć noża albo dziwnej kolekcji monet, oplątanych karmazynową nicią, która zdobiła jej pas. Wyglądały jak coś magicznego. Druga kobieta, duża i jasnowłosa, siedząca po lewej stronie mężczyzny, opierała się plecami o ścianę, z dłonią luźno zwieszającą się z podgiętego kolana.

– No, kolego – powiedziała Goodwin, przyjazna niczym szczur, który zaraz pożre swoje młode. – Może mi powiesz, jakiej to zwawości szukasz? Wskażę ci, gdzie ją znaleźć, z dala od Corus. – Uśmiechnęła się, ale nie był to miły uśmiech.

Odpowiedział jej takim samym uśmiechem. Potem spojrzął na Tunstalla, który rozśmieszył przywódczynię Ładnakości. A na koniec popatrzył na mnie. Odwróciłam oczy.

Ta kocica szturchnęła go ramieniem.

– Przestań, Rosto – powiedziała. – Podszczypuj kogoś, kto też chce cię podszczypywać. – Skinęła głową do Goodwin. – To Rosto Muzykant. Ja jestem Kora, a to Aniki. – Blondynka, która wyglądała na fehmistrzynię, leniwie podniosła rękę w geście powitania. – Słyszeliśmy, że w Corus życie jest... ciekawsze... dlatego tu jesteśmy. – Uśmiechnęła się do gwardzistki znacznie przyjaźniej, niż gwardzistka do niej.

– Ścierwojady zawsze przychodzą, gdy się dowiedzą o uczcie. Na razie od dawna jest odkładana na później – odparła Goodwin. – Kayfer. jego przywódcy... wykończyli pretendentów.

– O, nie szukamy zwady – odparł Rosto. – Liczymy na rozrywkę. W Scanrze bardzo nam jej brakowało.

– Jaki ładny kot – zauważyła Aniki. Drapek wychynął z jakiegoś kąta i podszedł do niej. – Bardzo ładny, elegancki... – Przełknęła ślinę.

– Fioletowe oczy – powiedziała cicho Kora. – Dziwny kolor oczu oznacza, że zwierzę jest naznaczone przez bogów. – Nachyliła się i pogłaskała mojego kota, który ocierał łebek o jej dłoń. Ma słabość do magów.

– Należy do Szczenięcia – oznajmiła Goodwin, obserwując ich. – Zmyślna bestia.

Drapek wydał z siebie kaskadę swoich „mrt”, które u niego oznaczały śmiech, choć tylko ja o tym wiedziałam.

Rosto popatrzył gdzieś poza nas i unióśł brwi.

– No proszę. A to co?

Do komnaty wszedł Krzywonogi, wymizerowany, nieogolony, z zapadniętymi oczami. Jego wąskie spodnie były pomięte, jakby w nich spał. Sięgająca kolan poplamiona tunika wyglądała niewiele lepiej. Czarne włosy miał w nieładzie. Za nim kroczyło dwóch służących z pustymi pochwa- mi na miecz i sztylet przy pasach. Strażnicy odebrali im broń.

Tunstall zakończył rozmowę z Ulsą, podszedł bliżej i stanął obok nas. Goodwin też się podniosła. Uplasowałam się obok niej, upewniając się, czy nikomu nie zasłaniam widoku. Aniki, która znajdowała się najbliżej, puściła do mnie oko.

– Kayfer, ty dwulicowe ścierwo, byliśmy partnerami! – zaskrzeczał Krzywonogi. – Nawet taka pijawka jak ty powinna się zadowolić swoją dołą, ty pazerny gnojku!

Łotr stanął na platformie, pocierając czubek głowy.

– Błagam, Ammonie, uspokój się – powiedział kojącym tonem. – Czymkolwiek cię urazi-łem, na pewno zdołamy to rozwiązać.

– Uraziłeś? Zabójstwo mojego prawnuczka nazywasz urazą?! – wrzasnęła Krzywonogi, wy-ciągając w stronę Kayfera drżący kościsty palec. – Co za potwór zabiera maleńkie dziecko od ro- dziny i zabija je dla zysku? Myślałeś, że możesz się ukryć za liścikami, przemyconymi do mojego domu, i że nie będę cię podejrzewał?

Kayfer zszedł ze swojego podwyższenia, wyciągając obie ręce, z miną smutną jak u zawo- dowego żałobnika.

– Ammonie, wiem, że przemawia przez ciebie żal.

– Miód aż rozpuszcza mu się na języku, nie? – mruknął Rosto.

– Niegrzeczny chłopak – skarciła go Aniki. – Cicho. Słuchaj mistrzowskiej roboty.

Zerknęłam na Goodwin i zobaczyłam, że drgają jej kąciki ust. Zaczęłam podejrzewać, że polubiła tych troje zuchwałych szubrawców z północy.

– Oczywiście, że żal, oby skrzydłosztormy odebrały ci oczy! – wydarł się Krzywonogi. – Twój Wąż Cienia zamordował mojego Rolonda, który nie miał nic wspólnego z naszymi interesami! – Łzy popłynęły mu po twarzy. Niemal było mi go żal. A potem sobie przypomniałam, że wy- kopał rodzinę mojej kuzynki Lilac z mieszkania, kiedy mieli gorszy czas, i Lilac straciła dziecko.

– Ammonie, Wąż Cienia to wymysł do straszenia dzieci. – Głos Łotra był lepki niczym roz- grzany olej. – Musisz być oszalały z żalu, skoro chcesz się rozprawiać z potworem z bajek. A co do pomysłu, że akurat ja miałbym wysłać kogoś, żeby skrzywdził dziecko... – Głos mu się załamał przy słowie „dziecko”. – Ammonie, przysięgam na imiona własnych wnucząt, że tego nie zrobiłem. – Błękitne oczy Kayfera bez mrugnięcia wpatrywały się w piwne tęczówki Krzywonogiego. Nawet nie drgnęły. Żaden mięsień na jego twarzy nie zdradził kłamstwa. Przypuszczałam, że Łotr to naj- lepszy kłamca w królestwie, ale i tak mu wierzyłam. Mówił dalej: – W imię Jasnego Mithrosa i sa- mej Bogini, przysięgam. Nigdy nie wyrządziłbym takiej krzywdy nikomu z twojej rodziny. Polega- my na sobie nawzajem, stary druhu. Nigdy nie stworzyłem takiego koszmaru jak Wąż. Nigdy nie wydałem żadnemu ze swoich przywódców polecenia zamordowania tego małego chłopca. A moi ludzie nigdy by czegoś takiego nie zrobili, nawet na mój rozkaz.

– Do licha, pewnie, że nie! – wykrzyknął Dawull, rosły, rudowłosy przywódca, sprawujący władzę nad Dzielnicą Nadbrzeżną po obu stronach rzeki. Kayfer zgromił go wzrokiem, lecz ten tyl-

ko się uśmiechnął. Zastanawiałam się, w jakim momencie Dawull dojdzie do wniosku, że dochody Łotra od wszystkich przywódców są wyższe niż większość wpływów z Dzielnicy Nadbrzeżnej, które on sam czerpie.

Krzywonogi splunął Kayferowi pod stopy.

– Kłamca! – Wściekłym spojrzeniem potoczył po wszystkich obecnych. – Jesteście pijawkami, które żywią się naszym kosztem i karmią tego wiarołomcę! – Głos miał ochryply ze zmęczenia. – Spójrzcie na siebie! – Szeroko rozłożył ręce. – Siedzicie tu, skubiąc jedzenie, jak ptaki w klatce. Przeklinam go. Jeśli słuchacie jego rozkazów i bronicie jego tronu, przeklinam i was w imię Rolonda. Lepiej uważajcie na swoje dzieci!

– Krzywonogi, oszalałeś! – zawołała Ulsa. – Nie istnieje taki stwór jak Wąż Cienia!

Kayfer pstryknął palcami. Czterech zbirów pojmało strażników Krzywonogiego. Inny złapał starca za ramię. Łotr podszedł bliżej.

– To straszne, co się stało. Wszystkich nas napawa to smutkiem, aż do bólu – stwierdził cichszym głosem. – Ale dlaczego ty, Ammonie? Zastanawiałeś się, dlaczego ktoś nazywający siebie Wężem Cienia wziął na cel twój dom, twoją rodzinę? Jaki to smaczny kąsek wpadł ci ostatnio w ręce? Czego nie dałeś skosztować swojemu Łotrowi?

Krzywonogi rzucił się na Kayfera z nożem, który wyciągnął spośród fałd tuniki. Przywódcy z rykiem zerwali się na nogi, próbując dopaść i osłonić Łotra, zanim napastnik poderźnie mu gardło.

Lecz pierwszy znalazł się tam Rosto. W ruchu przypominał rozmytą plamę, szybki niczym sierżant Ahuda. Czyżby na to czekał? A może był po prostu gotów do natychmiastowego działania w razie potrzeby, co wciąż wpajała nam sierżant?

– Szybki mały żigolak, nie? – spytała Aniki głosem, który dotarł tylko do nas, Psów. – Powinniście zobaczyć, jak się wspina na ścianę jakiegoś domu. Coś pięknego, słowo daję.

– Opuśćcie sobie ścianę, dziękuję bardzo – odparła Goodwin równie niegłośno. – Nie chciałabym aresztować takiego przystojniaka.

– Z pewnością będzie interesujący, o ile zdoła przeżyć – mruknął Tunstall, gdy Rosto wyłuskał sztylet z ręki Krzywonogiego i przekazał jednemu ze zbirów Kayfera. Starca puścił dopiero po przeszukaniu. Był bardzo dobry. Ci, którzy nie obserwowali całego zdarzenia pod takim kątem jak my, Psy, nie mogli dojrzeć, że Rosto wsuwa coś do cholewki lewego buta.

– A właśnie, przeżyć – odezwała się Kora. – Aniki, o srebrnego... jak się nazywa ta miejscowa moneta? O srebrnego nobla, że ten wielki rudowłosy przywódca pierwszy zaproponuje mu pracę.

– Dobra – odparła Aniki.

– Dwa srebrne noble, że będzie to Ulsa, przywódczyni Ładnakości – rzucił Tunstall, nie odwracając się, by na nie spojrzeć. – Lubi przystojniaków, którzy wiedzą, co robią. – Teraz się obejrzał. – Tym bardziej, jeśli ich pięknotki też to wiedzą.

Aniki wyciągnęła rękę.

– Zakład.

Odwrócił się i klasnął w nią swoją dłonią.

– Zakład.

Rosto właśnie wracał do nas powolnym krokiem, z rękami w kieszeniach.

– Szczęnię, bierz – rozkazała mi Goodwin głosem, który ledwo dotarł do moich uszu.

Nie mogłam uwierzyć, że wydaje mi takie polecenie po poprzednim wieczorze. Natychmiast jednak wzięłam się w garść. Wiedziałam, o co chodzi Goodwin. Musiałam się zrehabilitować. Bogini, spraw, bym nie nawaliła, modliłam się, obracając palcami pałkę. Zaczęłam poprawiać ją sobie na pasku. Gdy Rosto się ze mną zrównał, opadłam na podłogę i rzuciłam się naprzód, prosto w jego golenie. Mimo swojej ogromnej szybkości, nie mógł zobaczyć zasłoniętej moim ciałem pałki, którą wetknęłam mu między stopy. Runął, gdy się odwróciłam, i staliśmy się płataniną, złożoną z pałki, Szczęnięcia i Rosta.

– Skarbie, gdybyś poprosiła, tobym się zastanowił – mruknął, próbując wyplatać się z mego uścisku. – Śliczna jesteś, gdy patrzysz prosto w oczy.

Wybąkałam słowa przeprosin, na pozór próbując wydobyć pałkę spomiędzy jego nóg. Była to trudna sztuka z uwagi na jego zwinność. Dwa razy niemal się uwolnił, zanim pomyślałam, że trwa to już wystarczająco długo i za chwilę będzie zbyt podenerwowany, by sprawdzić swoją cholewkę. Gdy wstaliśmy, Dawull z Nadbrzeżnej prowadził strażników, którzy wyciągali z sali krzyżącego Krzywonogiego. Przywódcy podeszli do Kayfera, by mu pogratulować. Goodwin zbliżyła się, by wygładzić mi ubranie i zbesztać mnie za niezdarność. W tym momencie przekazałam jej owiniętą w skórę bryłkę, która znajdowała się w bucie Rosta.

– Daj spokój, Clary, Szczenię nic na to nie poradzi – powiedział Tunstall, obserwując nas. – W końcu to dopiero jej drugi dzień. Musi jeszcze przywyknąć, że różne rzeczy dzieją się gwałtownie. – Wiedział, że coś się szykuje. Widziałam to w jego wzroku. Spojrzałam na niego i uniosłam brwi, kierując oczy za jego ramię, by go ostrzec, że zaraz będziemy mieli towarzystwo. Goodwin dostrzegła to i odwróciła się. Tunstall poszedł za jej przykładem.

Kayfer skinął im głową, gdy nas mijał. Wyciągnął rękę do Rosta, przy którym kręciły się Kora i Aniki, ciągnąc go za ubranie. Gdy stanął tam Łotr, cofnęły się, by zająć pozycję tuż za Rostem. Aniki wsunęła dłonie za pas z mieczem. Kora skrzyżowała ręce na piersi, opuszczając długie rzęsy.

Rosto przyjął dłoń, wyciągniętą przez Kayfera.

– Przynajmniej tyle mogłem zrobić, Wasza Wysokość. Widziałem kształt noża pod tuniką starego świra. Przeszukując go, twoi strażnicy wykonali kiepską robotę.

Uśmiech Kayfera był bardzo przyjazny.

– Masz dobre oko. Czy ty i twoje dziewczyny szukacie tu pracy? Moi ludzie spod bramy pójdą dziś popływać, chyba że mnie przekonają, że warto przywrócić ich do łask jako żebrzące kaleki.

Skrzywiłam się. Wybór między śmiercią a życiem kalekiego jałmużnika musiał być ciężki.

– Wasza Wysokość chyba nie mówi o łamaniu prawa i przemocy w obecności trojga Psów, prawda? – spytał Tunstall. Głos miał tak delikatny, jakby przemawiał w świątyni. – Nie możemy na to pozwolić na naszej zmianie. Nie, kiedy stoimy tuż obok.

Kayfer podniósł na niego wzrok i parsknął śmiechem.

– W żadnym razie, Mattesie Tunstall. Może ty i Goodwin porozmawiacie ze mną o interesach. Młody Rosto i ja pogadamy później. Może w tym tygodniu worek szczęścia będzie słodszy niż zwykle. Chciałbym was zapewnić, że nigdy nie pozwalałam sobie na przemoc przy Psach. – Zerknął na mnie, po czym uszczypnął mnie w policzek. – Zostawcie Szczenię. Nie wygląda, jakby miała przetrwać.

Zacisnęłam szczęki tak mocno, że usłyszałam skrzywienie własnych zębów.

Łotr poprowadził oboje gwardzistów w kierunku swojego cennego tronu. Przyjęłam pozycję „spocznij”, trzymając pałkę dwiema rękami przed sobą, z nogami rozsuniętymi na łokieć. Ci, którzy słyszeli Kayfera, bawili się przez chwilę moim kosztem, po czym zajęli się innymi sprawami.

– Niezła sztuczka z tym zwędzeniem mi sakiewki. – Rosto stanął obok mnie. – Pewnie nazywają cię Rybim Szczeniciem dlatego, że jesteś taka śliska. I jak znam życie, nie weźmiesz srebrnego nobla, żeby powiedzieć mi, co jest w sakiewce, kiedy twoje Psy już sobie popatrzą? Przypuszczam, że to klejnoty, ale nie zaszkodzi się upewnić.

Zapomniałam się na tyle, że spiorunowałam go spojrzeniem. W jego oczach kryła się drwina. Odwróciłam wzrok. Podcięcie Rosta na rozkaz Goodwin to jedno, a rozmowa z nim to już zupełnie co innego. Poza tym byłam na służbie.

– Chyba się nie obrazisz za drobne przekupstwo, co? – Ton miał równie szyderczy jak spojrzenie. – Zwłaszcza że oboje wiemy, że twoje Psy przyszły tutaj odebrać swoje łapówki od Łotra.

Tym razem wbiłam wzrok w podłogę. Spodziewałam się, że takie głupstwa wygadywać może jakiś mieszczuch, a nie doświadczony zbir.

– To co innego. To za całą pracę, którą każdy z nas wykonuje, żeby na ulicach panował porządek. A ty prosisz mnie, żebym sprzedała swoje Psy.

Zobaczyłam, że jego obute nogi kołyszą się na obcasach.

– Oho! Umie szczeukać i ugryźć! – Wydawał się zaskoczony. – Myślałam, że cicha z ciebie

myszka. Ale nie jesteś cichą myszką, prawda?

W porę wychwyciwszy ruch, zablokowałam jego rękę, zanim uderzenie dosięgło mojej twarzy. Obróciłam swoją rękę, by chwycić spód jego nadgarstka. Wyczułam miejsce między dwoma ścięgnami i głęboko wbiłam w nie kciuk.

– Au – jęknął, próbując się wyrwać. Ułożyłam dłoń tak, że im bardziej szarpał, tym mocniej wbijałam paznokiec swojego kciuka.

– Rosto, mylisz nieśmiałość z lękiem. Czemu ktoś tchórzliwy miałby zostać Psem? Ładna dziewczyna może znaleźć łatwiejsze sposoby zarabiania na życie. – Aniki oparła łokieć na jego obojczyku, jakby był wygodnym słupkiem. Uśmiechnęła się do mnie. – Zwykle nie jest grubiański wobec bab, ale głupiej, kiedy nie są w nim zakochane. Ja i Kora musiałyśmy go sponiewierać, zanim nas rozgryzł. Przepraszam, Rosto, i nie próbuj więcej przekupywać tego miłego Szczenięcia.

– Przepraszam, dobra? Leci mi krew.

Przecięłam mu skórę. Cofnęłam rękę i wytarłam kciuk o spodnie. To była największa zaleta czerni. Nie było na niej widać plam.

Łatwiej było spojrzeć w uśmiechnięte niebieskie oczy Aniki niż w oczy Rosta.

– Drugi dzień w roli Psa i już dostałam pierwszą propozycję łapówki – powiedziałam do niej. – To chyba rekord.

Roześmiała się i lekko szturchnęła towarzysza.

– Jest nieśmiała, kapuściany łbie, a nie głupia.

Rosto przycisnął koszulkę do skaleczenia, które zostawiłam mu na nadgarstku.

– Czyli się uczę. Jak się nazywasz, nieśmiałe, a nie głupie Szczenię?

Przedstawiłam się. Nie miałam powodu, by tego nie robić. Poza tym czułam, że jeszcze zobaczę tę trójkę. Jeśli Kayfer nie postanowi, że większą korzyść przyniesie mu uśmiercenie tak uzdolnionych młodych ludzi, mogli zejść wysoko na Dworze Łotra.

Z boku dostrzegłam jakiś ruch. Kora podeszła do mnie, tuląc Drapka w ramionach.

– Wczoraj wieczorem słyszałam, jak ludzie mówili, że twoja matka była zielarką. – Miała łagodny, ładny głos i skromne spojrzenie. – Może umiesz mi powiedzieć, gdzie znajdę dobre suszone i świeże zioła? Chodzi mi o wiarygodnych sprzedawców. Dopiero poznamy to miasto. Tyle tu targów, że nie wiem, gdzie szukać.

Dziwnie było rozmawiać na niewinny temat. Dziwnie, ale miło. Rosto interesował się ziołami, czego po mężczyźnie się nie spodziewałam. Spierał się nawet z Korą o wyższość rumianku suszonego nad świeżym do rozjaśniania włosów. Aniki oddaliła się, by zagrać w kości z jakimiś zbirami.

– No, Cooper – powiedział Rosto, gdy Kora mi podziękowała – jak szybko ten Łotr zaczyna machać batem? – Gdy popatrzyłam na niego, nie rozumiejąc, wyjaśnił: – Chodzi mi o Krzywonego. Jak nazwał go Łotr?

– Ammon – odparłam. – Tak się nazywa, Ammon Lofts, paser i właściciel domów. Na ulicy jest znany jako Krzywonogi.

– Ammon Lofts – powtórzył. – Aha. Wasz Łotr nie może puścić go bez kary, prawda? Nie po tym, jak pan Lofts, zwany Krzywonogim, splunął mu pod nogi w obecności całego dworu.

Zdaję sobie sprawę, że Krzywonogi musi zapłacić za to, co zrobił, ale minęły trzy lata, odkąd Kayfer zwolnił i zapiął pasek spodni. Głupotą byłoby jednak mówić o tym na głos.

– Trzeba by spytać Łotra – powiedziałam w końcu. – Jak to się odbywało w Scanrze?

– Od razu – odrzekł Rosto. – Raz widziałem to na własne oczy. Biedny głupiec był pijany. Nie, żeby to powstrzymało naszego Łotra. – Kontynuował opowieść o Łotrze ze Scanry, a Kora dopowiadała, gdy coś pominął. Wreszcie moje Psy wróciły z ciężkimi paczkami pełnymi worków szczęścia. Rosto i Kora skinęli mi głowami na pożegnanie, gdy wraz z Drapkiem podążyłam za gwardzistami.

Gdy wyszliśmy z tego domu, miałam wrażenie, że wszyscy się na nas gapią. Worki szczęścia od Łotra zawierały nie tylko monety na łapówki dla budy przy ulicy Jane. Były w nich też kamienie szlachetne, piękne statuetki, magiczne przyrzędy i inne rzeczy. Teraz szliśmy do Szamba, a moje Psy niosły na plecach istną fortunę. Robią to co tydzień i żyją? To bez wątplenia wielki wy-

czyn, nawet jak na nich.

Zwykle dwójki gwardzistów zanosili worki do punktów zbiórki, gdzie uzbrojone załogi gromadziły tygodniowe wpływy, by rozdzielić je między Psy. Czy my mieliśmy taką załogę? Chciałam o to zapytać. A może sami nosiliśmy worki od Łotra, by zaakcentować jego i naszą władzę w Szambie? Może moje Psy uważały, że nikt nie odważy się podjąć próby obrabowania worków samego Łotra?

– Przestań się pocić, Szczęnię – powiedziała mi Goodwin, gdy brama się za nami zamknęła. – To kwestia dumy, że idziemy tam sami. Łotr zawsze wiedział, że jeśli coś się stanie Psom, które przychodzą po worki szczęścia, jego twierdza przed świtem zostanie obrócona w popiół. Niektóre prawa łamie tylko szalenie. Ale nie jesteśmy głupi.

Jedną ulicę dalej czekało na nas pięć Psów z końmi. Trzech siedziało w siodłach i miało kusze. Znałam ich – należeli do gwardii, która osobiście strzegła Jaśnie Pana Gershoma. Jakorn nauczył mnie posługiwania się kuszą. Uśmiechnął się i skinął mi głową. Dwóch pieszych gwardzistów znałam z budy przy ulicy Jane. Bez zbędnych rozmów wzięli pakunki od Tunstalla i Goodwin, po czym popatrzyli na mnie.

– Jak sobie poradziła z pierwszą wizytą u Łotra i jego wałachów? – spytał jeden z nich.

– Dobrze się spisała. Zatrzymamy ją – odparł Tunstall. – Biegnijcie, dzieci. Mamy jeszcze pracę do zrobienia. A Ahuda nie lubi czekać.

Kłusem odjechali w mrok Niższego Miasta. Goodwin wciąż ich obserwowała, gdy zwróciła się do mnie:

– Czy Rosto próbował cię przekupić?

– Tak – odparłam. – Chciał wiedzieć, co było w tej paczusce, którą zabrał Krzywoniemu.

– Rzucimy na to okiem przy kolacji – powiedział Tunstall. – Bardzo dobra robota z pałką, Cooper.

– Podobało mi się, jak zasłoniłaś broń ciałem, żeby nie widział, jak jej używasz, żeby go unieruchomić – dodała Goodwin. – Przechytryłaś go.

Pokręciłam głową, a Tunstall to zobaczył.

– Spodziewałaś się, że będzie od ciebie lepszy?

Pokiwałam głową.

– Mądre Szczęnię – stwierdził z aprobatą. – Znowu zasłużyłaś na kolację.

– Minie jeszcze trochę czasu, zanim ją dostanie – powiedziała Goodwin, sprawdzając, czy ma dobrze zamocowany obojczyk, czyli pancerną osłonę szyi. Tunstall zrobił to samo. – Przed nami jeszcze kawał drogi. – Wyciągnęła rękawice, które miała zatknięte za pas, i włożyła je. Na wierzchu i we wnętrzu dłoni naszyto żelazne kółka. Następnie do rękawic przypięła zarękawia. Z wierzchu na rękawicach Tunstalla zamiast kółek widniały metalowe pasy, chociaż we wnętrzu także miały kolczugę z kółek.

Goodwin otaksowała mnie wzrokiem.

– Musimy zorganizować ci obojczyk, Cooper. I porządne rękawice. W Szambie skóra to za mało. Dziś w nocy trzymaj się blisko nas.

– Zadbam o sprzęt – obiecał Tunstall. Klepnął mnie w ramię. – To może potrwać parę dni. Powinien być spokój, skoro wszyscy przywódcy i zbiry zajmowali się workami szczęścia. Lubią sobie poswawolić w Szambie, kiedy Kayfer ich wypuści, żeby pokazali mieszkańcom dzielnicę, kto jest na górze, a kto na dole. Większość mieszkańców woli nie rzucać się w oczy.

Wkrótce się przekonałam, że Tunstall rozumie spokojną noc inaczej niż ja. Zanim dotarliśmy do Drogi Morwowej, powstrzymaliśmy trzy rabunki, dwa pobicia i dwie bójki w karczmach. W każdym razie zrobiły to moje Psy. Mnie kazano trzymać się z boku i patrzeć. Był to prawdziwy zaszczyt, działali bardzo zwinnie. Nikogo nie stłukiliśmy. Moje Psy nie znalazły nikogo wartego takiego wysiłku. Na bieżąco wyjaśniali podejmowane czynności, bym się uczyła. Wszyscy rabusie odeszli ze złamanymi rękami, jako że dokonali napaści jedynie dla miedziaków. Zapłacą uzdrowicielom więcej, niż chcieli zabrać swoim ofiarom, które zresztą uciekły natychmiast po wkroczeniu Psów. W przypadku pobić Goodwin i Tunstall połamali palce kilku uczestniczącym w bójkach ban-

dziorom. Jednemu złamali rękę, bo pracował dla handlarza niewolników, który lubił zmuszać ludzi siłą, by mu się sprzedali. Te ofiary także uciekły. Uczestników karczemnych bijatyk gwardziści po prostu wykopali na ulicę.

Pozwolili mi zatrzymać dwóch chłopaków z bandy, która uznała, że torturowanie prosięcia to dobra nocna zabawa. Drapek odprowadził prosiaka, podczas gdy Goodwin wymierzała solidne klapsy swoją pałką. Przekazałam jej swoich jeńców, kiedy nadszedł ich czas na nauczkę. Te głowy pożałują, że matki lepiej ich nie wychowały, przez kilka tygodni kuśtykając po niemiłym pocałunku ciężkiego kija gwardii.

Szliśmy dalej. Tunstall powiedział, że większość z tego, co tu widzimy, należy do Krzywonogiego. Mieszkało u niego tysiące rodzin. Mógłby się wzbogacić tylko na pobieranych od nich opłatach i nawet nie zbliżyć się do towarów z kradzieży.

– Jego chciwość nie ma końca. – Goodwin powiedziała to z surowością mithrańskiej kapłanki, zatroskanej o dobro naszych dusz. – Gdybym zdołała złapać jednego z jego księgowych i zmusić go do mówienia, może byśmy dorwali tego potwora. A skoro o potworach mowa, co to była za gadka o Wężu Cienia?

– Sam się nad tym zastanawiałem – stwierdził Tunstall. – Krzywonogiemu tak odbiło z żalu, że wymyśla sobie bestie z dziecięcych bajek.

– I z nich wziął ten pomysł – zgodziła się Goodwin.

Od dłuższej chwili słyszałam jakąś kłótnię, krzyki baby i piski dzieci. Później ryknął chłop. Usłyszeliśmy brzęk tłuczonych naczyń w budynku po lewej. Ktoś wrzasnął:

– Niech ich Bogini ocali, ona ma nóż! Chodź, Jack, powstrzymaj ją, zanim pozabija swoje dzieciaki!

– Jego już prawie wykończyła! – zawołała jakaś kobieta.

Na parterze otworzyły się okiennice. Wychylił się mężczyzna. Rozejrzał się i nas zobaczył.

– Mówi, że malcom łby poucina. I ma w ręce nóż! Dwa piętra wyżej!

Goodwin i Tunstall wymienili spojrzenia. Żaden Pies nie lubi się pakować w rodzinne sprzeczki, ale jeśli sąsiedzi mieli rację, ta baba groziła obcięciem głów swoim dzieciom. Pognali do środka przez pozbawione drzwi wejście i zaczęli wbiegać po rozchwierutanych schodach, a ja deptałam im po piętach. Na obu piętrach musieliśmy przepychać się obok gromadki sąsiadów. Żaden nie chciał interweniować, gdy w grę wchodziły noże. Ale wskazali drzwi, zza których dochodziły straszne dźwięki.

Były to głosiki dzieci, które błagały matkę, by przestała, by była grzeczna. Mówiły, że ją kochają. Ona krzyczała, że podejrzenie im gardła, jeśli nie zamkną jap. Jakiś mężczyzna prosił ją, by się uspokoiła.

– W imię królewskiego prawa! – krzyknął Tunstall, sprawdzając skobel. Drzwi nie były zamknięte, więc pchnął je i otworzył. Naszym oczom ukazał się średniej wielkości pokój. Tutaj znajdował się piec, stół i sienniki dzieci. Maluchy stały w kącie naprzeciw okna, dwie dziewczynki i raczkujący chłopczyk w brudnej pielusze. Ich tata był bliżej nas, obok małego pieca w ścianie. Między nimi, na środku pokoju, stała kobieta. Miała w ręce długi nóż i kołysała się na nogach. Widziałam jej małe, piwne oczy, zerkające szybko niczym oczy ptaka to na Goodwin, to na Tunstalla. Moje Psy rozstąpiły się, by stworzyć wrażenie, że może rzucić się między nimi i dopaść drzwi. W tej przestrzeni znajdowałam się ja, ale mogła pomyśleć, że zdoła mnie odepchnąć.

Najstarsze z dzieci miało podbite oko. Inne – podrapaną twarz. Na twarzy ich ojca widniała krew ze skaleczeń wokół jednego oka. Jego warga była pęknięta, a połatana koszula – rozdarta. Sądząc po rozbitych skorupach u jego stóp, rzuciła w niego dzbanem. Po zapachu octu i mięty poznałam, że było w nim wino gorącej krwi.

Goodwin westchnęła i podrapała się po głowie.

– Proszę pani, co pani wyprawia? – spytała. – Puściły pani nerwy i zdenerwowała pani sąsiadów. Nie możemy pozwolić, by zakłócała pani królewski spokój. Pani mąż może potrzebować uzdrowiciela do tych skaleczeń, a dobrze pani wie, ile w dzisiejszych czasach kosztują uzdrowiciele. Dojdzie do tego grzywna, zasądzona przez sędziego. Radzę nie pogarszać sprawy. Proszę odłożyć nóż i pójść z nami.

Baba odparła propozycją tak ohydną, że aż mi zaimponowała.

Goodwin nawet nie drgnęła.

– To bardzo miło. Nóż, pani... jak się pani nazywa?

Znowu obrzuciła nas bluzgami.

– Orva – powiedział chłop znużonym tonem. – Tym razem posunęłaś się za daleko. Odłóż nóż i rób, co ci mówią.

Nie widziałam jej drugiej ręki i nie domyślałam się, że może w niej coś trzymać, na przykład kamienny moździerz, używany do rozdrabniania ziół. Zobaczyłam go teraz, gdy cisnęła nim w głowę mężczyzny. Tunstall musiał wiedzieć o narzędziu, bo z łatwością je złapał. A Goodwin wiedziała o narzędziu i o tym, że jej partner je złapie, bo rzuciła się do ręki Orvy, tej, w której ta trzymała nóż.

Baba była wystarczająco szybka, żeby zostać dobrym Psem. Dostrzegłam jej ruch w reakcji na skok gwardzistki. Uderzyła Goodwin najpierw wierzchem dłoni, pięścią obróconą w bok, a potem tyłem trzonka w szczękę. Goodwin upadła, a oczy uciekły jej w tył głowy.

Dzieci krzyknęły. I wtedy bardzo cicho przemówił Tunstall.

– Orva. Uderzyłaś Psa nożem.

Odwróciła się i skoczyła przez otwarte okno. Ruszyłam za nią. W ogóle nie myślałam, bo inaczej może przyszłoby mi do głowy, że narażam się na złamanie nóg albo kręgosłupa. Okazało się, że okno wychodzi na schody, prowadzące przed dom. Spadłam na półpiętro, z chrzęstem kostek. Kobieta pędziła po schodach w dół. Dźwignęłam się na nogi i pognałam za nią.

Wiodła mnie przez Szambo, zaułek po zaułku, pośród kałuż pomyj i błota. Światło sączyło się jedynie z otwartych drzwi spelunek i lupanarów. Wino gorącej krwi, pełne ziół, pozwoliło Orwie biec jeszcze długo po tym, jak normalny pijak padłby z wyczerpania. Pośliznęłam się i wpadłam na rozklekotany płot gdzieś za Dworem Łotra. Orvy nie było nigdzie widać. Zamrugałam powiekami, nasłuchując jej kroków, zamiast ufać swoim oczom. Za sobą usłyszałam szelest tkaniny i odskoczyłam w chwili, gdy rzuciła nożem przez dziurę w płocie za mną. Zatoczyła koło. Znalazłam dziurę, którą wykorzystała, i przemknęłam przez nią. Znowu uciekała, lawirując między dwoma ciemnymi domami.

Mocno skróciłam dzielący nas dystans, gdy zanurkowała w tylne drzwi karczmy. Poszłam w jej ślady, nie zważając na przekleństwa i wykonując zwrot, by nie wpaść na kucharza, szatującego go szczury na gulasz. Ominęłam kelnerkę, która próbowała mi przyłożyć drewnianym kuflem. W sali Orva rzuciła się ku drzwiom, przeskakując nad pijanymi i pokazując nóż tym, którzy nie zrozumieli od razu.

Dostrzegłam swoją szansę i wskoczyłam na stoły, traktując je jak skrót do drzwi. Nie zważałam na okrzyki wściekłości. Byłam Psem prowadzącym pościg. Jeśli te ochlapusy nie widziały mojego munduru, pokrytego warstwą błota, to widziały pałkę w mojej dłoni.

Orva doskoczyła do drzwi tuż przede mną. Zatrzasnęła je. Sztaba od wewnątrz opadła z łoskotem w chwili, gdy trzaśnięcie wytrąciło ją z dotychczasowego położenia. Podniosłam ją i otworzyłam drzwi w samą porę, by ujrzeć, jak Orva skręca za róg pół przecznicy dalej, gdzie pochodnie, oświetlające walkę kogutów, rzucały blask na tę część ulicy.

Pobiegłam za nią przez kolejną spelunkę. Za trzecim razem pognałam dookoła do drzwi frontowych. Gdy wybiegła, walnęłam ją pałką prosto w brzuch. Zgięła się w pół i upuściła nóż. Odkopnęłam broń i wykręciłam jej rękę za plecami.

– Klękaj – powiedziałam, ciężko dysząc. – Aresztuję cię w imieniu króla. – Jako Szczenie nie miałam tak naprawdę prawa nikogo aresztować, lecz wątpiłam, by Orva o tym wiedziała.

Zaskamlała.

– Nic nie zrobiłam. Czemu mnie nie puścisz? – Brakowało jej tchu jeszcze bardziej niż mnie. Głowa kołysała jej się na boki.

– Orvo, uderzyłaś Psa – przypomniałam głupiemu, pijanemu stworzeniu. Wzmocniłam uścisk. – Uklęknieisz, czy mam cię rzucić na twarz?

– Chcę zobaczyć swoje dzieci – zaskamlała.

Z westchnieniem mocniej wykręciłam jej rękę. Musiała uklęknąć pod groźbą jej złamania.

Nie chciałam używać pałki na wypadek, gdyby jakiś wariat postanowił jej pomóc. Ludzie wychodzili z karczmy i gromadzili się na ulicy, by popatrzeć.

Uklękła, paplając coś o dzieciach. Pomyślałam, że jeśli one i ich ojciec mają choć odrobinę rozsądku, są już w połowie drogi do Barzunu. Ale nie postawiłabym złamanego miedziaka, że tatuś i dzieciaki nie będą błagać sędziego o uwolnienie Orvy.

Skrepowalałam jej nadgarstki rzemiennymi pasami, których użyłam pierwszy raz. Potem wykorzystałam kolejne dwa pasy do związania jej nóg w taki sposób, by mogła iść, lecz zarazem tak, by upadła, gdyby znowu spróbowała biec. Choć nie sądziłam, by była do tego zdolna. Jej nogi trzęsły się jeszcze bardziej niż moje.

Rozejrzałam się dookoła. Na Mithrosa, dotarliśmy niemal do Bramy Północnej! Nie było sensu wracać do jej domu. Tunstall na pewno zabrał Goodwin, by udzielono jej pomocy medycznej. Wiedział, że jeśli się rozdzielimy, zgłoszę się z powrotem na ulicę Jane, więc właśnie tam się udałyśmy. Orva i tak miała trafić do klatki.

Poszukałam noża. Ktoś go zabrał.

– Chcę mieć ten nóż, i to zaraz – powiedziałam, czując coś więcej niż lekkie zdenerwowanie. Łatwiej było mówić z twarzą skrytą w cieniu i w mundurze Psa, choćby i Szczenięcia. – Stawiam dowód w sprawie zbrodni. W imieniu króla.

Niektórzy z gapiów zaczęli chichotać. Mocniej chwyciłam pałkę. Czy miałam dość siły, by rozbić parę łbów, jak na dobrego Psa przystało, i dodać tym samym wagi swoim słowom, czy też powinnam odpuścić? Ku mojemu zdziwieniu naprzód wystąpiło dziecko z nożem i podało go mnie.

– Nie chciałem zrobić nic złego, gwardzistko – bąknęło.

Poczułam w gardle coś dziwnego i przełknęłam ślinę.

Nigdy dotąd nie nazwano mnie „gwardzistką”.

– No dobrze – powiedziałam, dla własnych uszu brzmiąc wystarczająco szorstko. – Spełniłeś swój obowiązek.

Dziecko przytknęło sobie kłyckie do czoła na znak szacunku, po czym wróciło między tłum.

Wciąż czując zdziwienie, a może nawet dumę, szturchnęłam Orwę pałką.

– Idź – nakazałam. – I ani słowa.

Cizba rozstała się, byśmy mogły przejść. Teraz, gdy zaczęłam się uspokajać, czułam każdą kość w obolałych nogach. Szykowała się długa, pełna niepokoju wędrówka na ulicę Jane.

Dawno minęła pora kolacji i burczało mi w brzuchu, gdy dowlókłam Orwę do budy. Tylko groźba ciosu pałką i przejażdżka przypadkiem napotkanym wozem sprawiły, że dotarła aż tutaj. Gdy minęłyśmy próg, miała czelność paść na kolana i wykrzyknąć:

– Bogini dzięki! Jestem śmiertelnie zmęczona!

Poprzysięgam sobie nigdy nie stać się jednym z tych Psów, którym bicie Szczurów przychodziło równie łatwo, jak gadanie z nimi. Chociaż bardzo mnie kusilo coś powiedzieć wrednej babie.

Byłyśmy już w połowie drogi do biurka Ahudy, zanim pomyślałam, by poszukać Goodwin i Tunstalla. Stali w kącie, przy gabinecie uzdrowicieli. Wszystkie łóżka w środku okazały się zajęte. Tunstall patrzył, jak uzdrowicielka uprawia swoje czary nad napuchniętą twarzą partnerki. Po chwili cała trójka odwróciła się, by spojrzeć na mnie. Tunstall otworzył usta ze zdumienia. Rozejrzałam się po pomieszczeniu. Wszyscy – Psy na służbie, ludzie, którzy przyszli w odwiedziny do tych w klatkach, ciekawscy – gapili się na mnie i mojego pierwszego pojmanego Szczura.

Potem z góry dobiegł mnie głos Ahudy.

– Niech wielki Mithros nas błogosławi, naprawdę ją złapałaś.

Byłam tak zaskoczona, że spojrzałam na nią. Czy nie to właśnie powinnam była zrobić?

– U-uderzyła Psa nożem – wyjąkałam.

Tunstall podszedł bliżej.

– I nie musiałem nawet mówić: „Bierz”.

– Myśleliśmy, że jesteś tylko Rybim Szczenięciem, a ty okazujesz się upartym, małym terierem. – Ahuda kręciła głową, otwierając grubą księgę aresztowań. – Areszt! – wrzasnęła. – Szczur idzie!

– Chcę zobaczyć swoje dzieci – jęknęła Orva. – Chcę swojego Jacka. On wam powie...

– Zamknij jadaczkę – przerwała jej Ahuda. Sądziłam, że widziałam, na co ją stać, gdy miała do czynienia z nami, stażystami. Myliłam się. – Nic mi nie mów w mojej budzie. Tutaj ja jestem królową suk, a ty masz się zamknąć. – Odwróciła do Psów klatkowych. – Zabierzcie ją ode mnie. Cuchnie winem gorącej krwi. I dopilnujcie, żeby Cooper dostała swoje rzemienie z powrotem, nie-pocięte. Jeśli będziecie musieli je przeciąć, dajcie jej porządne pasy na wymianę. – Odwróciła się do mnie. – Cooper, nie wychodź, dopóki nie dostaniesz jednych albo drugich i nie pokwitujesz mi tego w księdze zaopatrzeniowej. Rzemienie kosztują.

Kolana mi się trzęsły z przemęczenia i ze stresu, związanego z mówieniem przed tyloma parami oczu.

– Tak jest, pani sierżant.

Ahuda wydeła wargi.

– Usiądź, dziewczyno, zanim padniesz. Tam, przy uzdrowicielach. Tunstall, daj jej kubek regeneracyjnej herbatki, tej, która smakuje jak siano.

Usiadłam na jednej z ławek przy gabinecie uzdrowicieli. Potem musiałam zmienić pozycję. Tunstall wskazał mi siedzenie dokładnie naprzeciwko Goodwin i uzdrowicielki, która zajmowała się jej szczęką. Rzuciłam okiem na twarz gwardzistki, sadowiąc się na nowym miejscu. Duży siniak sięgał od kości policzkowej aż pod brodę po tej samej stronie, nie było jednak opuchlizny.

Uzdrowicielka odchyliła się i popatrzyła.

– Będzie bolało przez parę dni i musisz gryźć drugą stronę, ale biorąc pod uwagę, że miałaś złamaną szczękę i guz wielkości orzecha, lepiej nie narzekaj. Masz szczęście, że tak dobrze radzę sobie z kośćmi, bo inaczej tydzień nie mogłabyś mówić. Czym oberwałaś, młotkiem?

– Trzonkiem rzeźnickiego noża – wyjaśnił Tunstall, gdy Goodwin otworzyła usta i się skrzywiła. – Pewnie go nie masz, Szczęnię.

Ponieważ Orva powłóczyła nogami, potrzebowałam ręki, w której nie trzymałam pałki, do pchania jej naprzód. Gdybym wcisnęła sobie nóż za pas, jego czubek kłułby mnie w uda. Sięgnęłam pod tunikę i go wydobyłam. Przez całą drogę do budy modliłam się, by nie upaść i nie przebić się ostrzem.

– Na Mithrosa – szepnął Tunstall. – To do zarzynania świń.

Goodwin uśmiechnęła się krzywo i wyciągnęła rękę. Podałam jej nóż trzonkiem naprzód. Trzonek wykonany był z czarnego, ciężkiego drewna. Kiedyś było to kosztowne narzędzie, zanim ostrzona tysiące razy klinga stała się cienka niczym wytrych. Uzdrowicielka gwizdnęła na widok narzędzia.

– Matka cię dziś pobłogosławiła, gwardzistko. Gdybyś dostała trochę mocniej, szczękę mogłabyś mieć tak pogruchotaną, że nie dałabym rady.

Tunstall przyniósł mi kubek herbaty. Spojrzałam w tamtą stronę, żalując, że nie mam odwagi poprosić zamiast tego o coś do jedzenia.

– Padasz z głodu, tak jak ja – odezwała się Goodwin. – Łyknij to i zjemy porządną kolację.

– Dla ciebie tylko miękkie pokarmy – uprzedziła ją uzdrowicielka.

– Mogę już nakarmić nasze Szczęnię? – spytała Goodwin z budzącą grozę cierpliwością. – Zasłużyła na jakiś smaczny kąsek.

Popatrzyłam na nią, wstrząśnięta.

– Nie martw się – uspokoił mnie Tunstall. – Przejdzie jej.

Miałam taką nadzieję. Nie chciałam, by Goodwin z dnia na dzień zmieniała swoje podejście do mnie. Lubiłam wiedzieć, na czym stoję.

Większość Psów zdążyła już wyjść, zanim dotarliśmy Pod Piec i Pularcę. Bolały mnie nogi. Miałam nadzieję, że nie od biegania. Jako kurierka truchtem przemierzałam miasto.

Wolałam nie myśleć, że teraz aż tak bardzo brak mi formy. Choć oczywiście nawet bieg z dzielnicy Jednorożca do pałacu nie mógł się równać z pościgiem za na wpół oszalałą kobietą przez Szambo i ciągnięciem jej z powrotem na ulicę Jane.

Tunstall przyzwał jedną z kelnerek.

– Spokojne pomieszczenie – powiedział. Srebro przeszło z jego ręki do ręki dziewczyny. –

Tylko bez zamieszania – dorzucił.

Poprowadziła nas do wąskiego korytarza. Po jednej stronie znajdowało się czworo drzwi, zasłoniętych kotarami. Wskazała nam trzecie z nich. Zamówiliśmy jedzenie. Nieszczęsna Goodwin poprosiła o grochowy przecier, na co kelnerka aż zrobiła krok w tył. Gdy już wszystko przyniosła, zamknęła drewniane drzwi za cienką zasłoną.

– W tych salach nie ma magii – wyjaśnił mi Tunstall, krojąc gruby plaster szynki na małe kawałki. – Gospodarzowi płaci się ekstra, żeby tego pilnował. – Zerknął na Goodwin, która trącała łyżką zawartość swojej miski. – Może potem powinnaś iść do domu, Clary, zostawić mnie i Cooper, żebyśmy zakończyli tę noc.

– Jeszcze czego, do licha – mruknęła. – Wrócimy do Szamba. Jeśli będę musiała rozbić parę łbów, będzie mi weselej.

– Jeśli uderzysz się w szczękę, nie będzie ci wesoło – ostrzegł Tunstall. – Cooper, weź więcej pasternaku. Powinnaś nabrać trochę ciała na kościach.

– Troskliwa mamusia – skrzywiła się Goodwin.

– Będziesz tak gadać w nieskończoność, czy pokażesz nam, co ten cwany Rosto zwinął Krzywonogiemu? – spytał Tunstall. A potem powoli i z wielkim nabożeństwem posmarował masłem grubą bułkę, pełną orzechów i rodzynek, po czym ją zjadł, wydając odgłosy zachwyty.

Goodwin szybko nabrała łyżkę przecieru, odchyliła ją wolną ręką i puściła niczym katapultę. Breja poleciała i wylądowała na czole Tunstalla.

Zakryłam usta obiema rękami, by się nie roześmiać. Najtwardsze Psy w mieście miewają ochotę na psoty!

Mężczyzna otarł czoło nieposmarowanym kawałkiem bułki, po czym wepchnął go sobie do ust.

– Musiałaś to ćwiczyć – wymamrotał z pełnymi ustami. Goodwin uśmiechnęła się drwiąco i poszperała w kieszeni spodni.

– Nie dręcz mnie tym, co mogę jeść, a czego nie, Mattes – ostrzegła. – Zwłaszcza kiedy brzuch burczy mi jak niedźwiedzie z menażerii. – Wyciągnęła skórzaną sakiewkę, a Tunstall i ja odsunęliśmy talerze na bok. Wysypała pięć kamieni.

Przypominały kamyk w kieszeni moich spodni. Gdy Tunstall przysunął bliżej lampkę olejową, ukazały się piękne barwne rozbłyski. W jednym widniała grudka czegoś podobnego do szkła. W środku znajdowały się ciemnopomarańczowe płatki, kilka jaśniejszych smug i pasmo ciemnozielonego blasku. Inny skrywał bryłkę przejrzystej substancji wielkości mojego kciuka. W świetle lampy skrzyła się fioletem, błękitem i bladym oranżem. Kolejny rozsiewał zielonkawy ogień w falującym paśmie wzdłuż swojej osi, a czwarty rozrzucał żółte, zielone i niebieskie iskierki. Piąty miał plamy, które wyglądały jak głębokie szklane studnie, jedna zielona, druga – granatowa.

– O, musimy sprowadzić maga – stwierdziła Goodwin. – Tunstall, potrzebujemy sam wiesz kogo. Jutro z samego rana.

Tunstall uniósł brwi.

– Jesteś pewna?

Przytaknęła. Delikatnie wsunęła kamienie z powrotem do sakiewki.

– Widzieliśmy już wiele klejnotów, Mattes. Te są inne. Bogini, ale mnie boli szczęką. Krzywonogi zaniósł te do Kayfera.

– Myślisz, że chciał przekupić Łotra? Dziwnie się do tego zabrał. – Tunstall podsunął partnerce maleńki kawałek szynki na czubku swojego noża. Wzięła go i zaczęła ostrożnie żuć.

– Jeden z przywódców? – spytałam. Nie patrzyłam na nich w obawie, że mogą się skrzywić.

Po chwili usłyszałam głos Goodwin.

– Mów dalej.

– Dawull z Nadbrzeżnej. Pomógł strażnikom odprowadzić wczoraj Krzywonogiego. – Rysowałam wzorki w sosie na swoim talerzu. Oczyma duszy zobaczyłam wielkiego, rudowłosego Dawulla, poganiającego zbirów. – Odkąd to jeden z przywódców Łotra wynosi śmieci? Na jego miejscu martwiłabym się raczej, że Krzywonogi może mnie pamiętać, kiedy znowu poczuje twarde gruntu pod stopami.

Tunstall podparł brodę ręką.

– Słuszna uwaga.

– Dawull jest pierwszym wśród przywódców. Ma na każde wezwanie wszystkich bandziarów z nadbrzeża – stwierdziła Goodwin. – Silny facet. Kiedy prznosił ładunki w porcie Caynn, powalał wołu dla zakładu. Mógłby stawić czoło niejednemu wyzwaniu, gdyby został Łotrem.

– Za pieniądze Krzywonogiego mógłby kupić głosy pozostałych przywódców – dodał Tunstall. – Ale czy to by wystarczyło do obalenia Kayfera?

– Czy Kayfer naprawdę mógł być tym Wężem Cienia? – odezwałam się. – Jeśli tak i jeśli zabił Rolonda, przywódcy mogliby się zwrócić przeciwko niemu. A Krzywonogi mógłby ich kupić.

– Wierzysz w to? – spytała Goodwin. – Nie, Krzywonogiemu odbiło, że krzyczał o Wężu. Niania opowiadała mi tę bajkę. Czeka na rozstaju dróg i pożera niegrzeczne dzieci. To bzdura, Cooper. Nigdy nie słyszałaś tej historii?

Oczywiście, że słyszałam o Wężu Cienia. Lecz nigdy nie znałam nikogo na tyle szalonego – lub głupiego – by używał tej nazwy w odniesieniu do czegokolwiek w rzeczywistym świecie, a co dopiero do mordercy dziecka.

– Ktoś nazywa siebie Wężem Cienia, żeby załatwić swoje sprawy – powiedział Tunstall, myśląc na głos. – Posługuje się tą bajką, żeby zastraszyć. Żeby za coś Krzywonogiemu odplacić. Starzec ma pełno wrogów. Teraz przekonał się, że ktoś przepelniony nienawiścią nie cofnie się nawet przed zamordowaniem dziecka. A zatem opłaca różnego rodzaju strażników.

– I nie ufa Łotrowi. Myśli, że Łotr to Wąż Cienia – zauważyłam. – Ma dość pieniędzy, żeby kupić jednego z jego przywódców. To dużo pieniędzy, nawet jak na Krzywonogiego. Skąd je ma?

– Założę się, że to te kamienie – powiedziała Goodwin, gdy Tunstall podniósł skórzany woreczek. – Co to takiego? Jak Krzywonogi na nie trafił? Zbyt wiele pytań. Nie lubię pytań.

– Psy nie lubią pytań – odezwałam się, przytaczając pierwszą część powiedzonka. Tunstall dokończył je wraz ze mną i wsunął sobie sakiewkę pod tunikę. – Psy lubią odpowiedzi.

– Czego chciał od ciebie Rosto, Cooper? – spytała Goodwin. – Wtedy, kiedy my łechtaliśmy próżność Kayfera?

Wyplułam warzywa z masłem obok swojej miski, żeby nie mówić z pełnymi ustami.

– Chciał mnie przekupić, żeby wiedzieć, co jest w tym skórzanym woreczku.

– Ile dawał? – spytał Tunstall.

– Srebrnego nobla. Odmówiłam – odparłam.

Goodwin boleśnie pacnęła mnie w tył głowy. Wbiłam w nią wzrok.

– Nie bądź głupia, dziewczko! Półtora nobla i mu powiesz!

– A potem podzielisz się z nami. Tak to działa – wyjaśnił Tunstall. – Osobiste łapówki nie trafiają do worków szczęścia. Są dla tych Psów, które je zarobiły. Prędej czy później wieść o tych kamieniach się rozniesie. Będziemy panować nad tym, kto się o nich dowie. Później podążymy za pogłoskami. Może się czegoś dowiemy. Nigdy nie odrzucaj łapówki, Cooper. To złe dla interesów. Złe dla ciebie i złe dla nas, bo my dostajemy połowę wszystkiego, co dostajesz ty. W końcu cię szkolimy.

– Ludzie nie ufają Psom, które nie dają się kupić – powiedziała mi Goodwin. – Jeśli jesteś za dobra, żeby cię kupić, zaczynają myśleć, że masz jakiś inny cel...

– Albo innego pana. A potem leje się krew. – Tunstall wepchnął sobie do ust cukierka.

Zjadłam warzywa, które wcześniej wyplułam. Nigdy nie marnuję jedzenia.

– Nie chcielibyśmy, żebyś zginęła, skoro wkładamy w ciebie tyle pracy – stwierdziła Goodwin, wbijając wzrok w swoją miskę. – Ten Rosto, o ile przeżyje, może być dobrym kontaktem. Aniki i Kora też.

– Jeśli Łotr nie zabije ich za to, że są za dobrzy – przypomniał nam obu Tunstall. – Jedźcie, dziewczyny. Przed nami jeszcze reszta patrolu w Szambie.

Gdy wstałam, usłyszałam ciche trzaski. Zapomniałam o swoim ubraniu. Było pokryte zaschniętym błotem. Znowu na koniec służby potrzebowałam łaźni. Będę musiała zapłacić praczce za usunięcie tych lepkich plam z munduru. Oczyma duszy widziałam, jak zmniejsza się mój stosik monet. Sporo odłożyłam z kieszonkowego w domu starosty i napiwków, które dostawałam jako kurier-

ka, ale kupno mebli i wynajęcie pokoiów mocno nadszarpnęło oszczędności. A pralnia i łaźnia nadszarpnęły je jeszcze dodatkowo.

Odepchnęłam te myśli. Na ulicach musiałam uważać, tym bardziej że czujność Goodwin była osłabiona przez ból. Leczenie przez maga to dobra rzecz, ale tylko do pewnego punktu, potem ciało Psa musi poradzić sobie samo. A na oko ten siniak wydawał się dość bolesny.

* * *

Ruszyliśmy dalej, gdy kuranty zegarów obwieściły jedenastą. Znowu stałam z boku i przyglądałam się, jak Goodwin z Tunstalem robią porządek z bójkami w karczmach. W końcu nadeszła pora powrotu na ulicę Jane. Jeśli obrażenia gwardzistki miały jakiś wpływ na jej pracę, to ja tego nie zauważyłam. Jedyna chwila rozrywki, jaką miałam, nastąpiła, gdy jakiś wariat wpadł prosto na mnie. Podciąłam go pałką i walnęłam w kostkę, żeby mnie popamiętał.

Nogi się pode mną uginały, gdy się odmeldowaliśmy. Myśl o dojściu do łaźni była równie dobijająca, jak zapłata za tę usługę.

Gdy tylko powiedzieliśmy Ahudzie, że zakończyliśmy wieczór, pozwoliła nam odejść. Już miałam wywlec się za drzwi, gdy Goodwin położyła mi rękę na ramieniu. Podsunęła mi drewniany krążek ze znakiem starosty po jednej stronie i swoim nazwiskiem po drugiej.

– Gdzie jest łaźnia Psów, Cooper?

Zamrugałam powiekami, patrząc na ten kawałek drewna.

– Przy Skrzydłosztorma, tuż za rogiem. – Byłam tak zmęczona, że oznaczenia na krążku rozmywały mi się w oczach. W dodatku Goodwin mówiła niewyraźnie. Musiałam usilnie nasłuchiwać, by ją zrozumieć, bo miała tak zeszywniałą szczękę.

– Dobrze Szczęnię. Idź tam. Pokaż im to. Powiedz, że kazałam wyczyścić ciebie i twoje ubranie. No i dać ci zapasowy mundur na jutro. Twój trzeba będzie namoczyć. – Przybliżyła drewniany żeton do mojej twarzy. – Weź to, Cooper. Nie wpuszczą cię do łaźni dla Psów, dopóki jesteś Szczęnięciem, chyba że masz coś takiego.

– Ale nie stać mnie na... – Sięgnęłam po sakiewkę. Zapasowy mundur kosztuje. Musiałabym ograniczyć budżet na jedzenie. Nie mogłam wziąć pieniędzy przeznaczonych na czynsz czy gołębie. Te ptaki były moimi informatorami.

– Oddaj mi swoją część łapówki od Rosta, jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej – warknęła.

– Ja nie potrzebuję łaźni. Idę do domu, gdzie mąż wyszoruje mi plecy. A ty potrzebujesz zapasowych mundurów, jeśli dalej będziesz się babrać w błocie. A teraz się wynoś.

Chciałam zaprotestować, ale na dumę może sobie pozwolić ktoś, kto ma pieniądze. Wyniosłam się. Na odchodnym usłyszałam jeszcze słowa Tunstalla.

– Wszystkie pieniądze z łapówki? To sporo.

– W tym miesiącu krucho u mnie z gotówką – odparła Goodwin cierpkim głosem. – Może będzie mądra i każe mu zapłacić dwa srebrne noble, a dodatkową połówkę zatrzyma dla siebie.

Łaźiebna kazała mi zostawić ubranie w sali natrysków. Do gorących basenów podeszłam w szlafroku. Do środka wchodziły gwardzistki, wyglądające dziwnie bez mundurów. Dwie ruszyły w moją stronę. Za każdym razem łaźiebna łapała je za rękę i szeptała coś do ucha. Czyżby wyjaśniała koleżankom, że jestem tu za zgodą Goodwin, czy też po prostu mówiła, by pozwoliły Szczęnięciu pływać samotnie? Kiedy namydliłam i opłukałam włosy, opadłam na swoją podwodną ławkę, aż poziom wody sięgnął mi ust. Jeśli nie będą mnie rozpoznawać, przestaną o mnie myśleć.

Potem zorientowałam się, że potrząsa mną łaźiebna. Gwardzistek już nie było. Podniosła mnie. Byłam różowa i pomarszczona niczym noworodek. Gdy spałam, znalazła zapasowy mundur i naszyła białe obwódki. Pomogła mi się nawet ubrać. Wyrzebałam dwa miedziaki na napiwek, ale je odepchnęła.

Nie wiem, jak doczłapałam do swoich pokoiów. Drapek wskoczył mi na ramię, gdy weszłam do środka, a potem to na mnie wskakiwał, to znów zeskakiwał, gdy się rozbierałam. Gadał jak szalony w zwykłym kocim języku, atakując mój warkocz, a ja zrzucałam ubranie i nakładałam koszulę nocną.

W końcu opadłam na swoje cudowne łóżko i skuliłam się pod boską kołdrą, by pisać w tym dzienniku. W jakiś sposób mnie to rozbudziło, jakbym przeżywała dzień na nowo. Teraz jednak

moje powieki robią się ciężkie. Drapek mruczy mi do ucha. To kojący dźwięk. Skończę, zanim zasnę i wszystko zaleję atramentem.

Ogólnie rzecz biorąc, lepszy dzień...

Kiedy dziś rano wstałam, omal się nie przewróciłam, tak mnie bolały nogi. Nawet gorąca kąpiel wczoraj w nocy tylko częściowo spełniła swoje zadanie. Ugniatałam mięśnie tak, jak pani Noll nauczyła mnie ugniatać ciasto na chleb, i przygryzałam przy tym wargę, by nie wyć niczym Drapek. Gdy pracowałam nad jedną nogą, prostując ją przed sobą na podłodze, on ułożył się na drugiej. Rozumiał, że jego ciepło przynosi mięśniom ukojenie.

Wreszcie ból nieco ustąpił. Otworzyłam swoją skrzynię. Gdy byłam jeszcze kurierką, mama zrobiła mi duży słój maści na nogi. Zdaje się, że kucharz Jaśnie Pana zapłacił magowi, by go zaklął, bo maść działała najlepiej ze wszystkich mikstur mamy. Używałam jej tylko, gdy nie mogłam sobie pomóc w inny sposób. Dlatego, że działała i dlatego, że przygotowała ją mama. To była jedna z tych sytuacji.

– Jak długo ścigałam to oszalałe stworzenie? – spytałam Drapka, wcierając maść. Gdy się ubierałam, mamrotałam pod nosem o jakiejś nowej pracy, w której większość czasu spędzałabym, leżąc na plecach.

Dzisiaj właścicielka domu nic nie powiedziała po moim wyjściu, chociaż stała przy oknie. Pokiwała głową, ale miała dziwny wyraz twarzy. Drapek podniósł na mnie pytający wzrok, jakbym mogła wiedzieć, czemu jest taka cicha. Wzruszyłam tylko ramionami.

I właśnie wtedy dosięgły mnie zgniłe warzywa – rzepa trafiła prosto w pierś, a stara cebula odbiła się od ramienia. Sięgnęłam po pałkę, której akurat nie trzymałam w ręku, po czym rozejrzałam się w poszukiwaniu przeciwnika. Dwie córeczki Orvy stały na ulicy, z siniakami wyraźnie podbarwionymi w dziennym świetle. Gdy je zauważyłam, starsza rzuciła kapustą. Zrobiłam unik. Kapusta rozbiła się na frontowej ścianie mojego domu.

– Zabrałaś naszą mamę! – wykrzyknęła. – Oddaj ją, ty cuchnąca wywłoko!

Druga zaczęła płakać. Były chude, obdarte i smutne. Przez ten smród zgniłej cebuli w nosie powinnam czuć wściekłość.

Moja mama dawała nam tylko klapsy, gdy zrobiliśmy coś złego. Zawsze mówiła nam, za co. Nie pozwalała swoim mężczyznom nas obijać. Śpiewała nam, kiedy tylko nie brakowało jej tchu, i na naszą rzecz odmawiała sobie jedzenia i ubrań. A jednak te maleństwa też kochały swoją matkę. Podobnie jak ja miały ją utracić. Nieważne, że w krótszym czasie niż ja swoją. Nie miało znaczenia, że wczoraj w nocy mama groziła im obcięciem głów. Matki były dla swoich dzieci najważniejszymi istotami.

– Wasza mama zrobiła coś bardzo złego, kiedy uderzyła Psa nożem – powiedziałam do starszej dziewczynki. – W prawie królewskim nie ma przebaczenia dla takiego czynu. Jeśli wyciągniesz broń na Psa, sędzia wyśle cię do więzienia. Jeśli wasza mama będzie grzeczna, pewnego dnia wróci do domu. Ale musiała iść do więzienia w chwili, gdy zaatakowała gwardzistkę Goodwin stałą.

– Macie, żebraczki, narobiłyście już dosyć szkód! Wynocha! – Był to Rosto Muzykant. Wydaje mi się, że nie pojawił się pod moim domem całkiem przypadkowo. – Cieszcie się, że jeszcze żyjecie i możecie płakać za mamusią. Cieszcie się, że tatuś ciągle ma dwoje oczu.

Nie zdziwiłam się, że Rostowie o sprawie. Ale zdziwiłam się, że każdej z dziewczynek rzucał po miedziaku. Skoczyły, by złapać monety, zanim te zginą w ulicznym błocie. A potem uciekły, żeby nie zdążył zmienić zdania. Podszedł do mnie wolnym krokiem, z większą gracją niż Drapek, z rękami w kieszeniach i luźnymi fałdami wypranej, ciemnoniebieskiej tuniki. Aż mnie świerbiło, by wziąć do rąk płaskie ostrza, ukryte po wewnętrznej stronie jego nadgarstków. Uwielbiam dobrą broń.

– Proszę. – Zdjął z szyi sznurek z nanizanym drewnianym krążkiem. W drewnie wryto głębokie, magiczne znaki. – Kora to dla mnie zrobiła, żeby ubranie mi się nie plamiło. Robi bardzo dobre zaklęcia, ta nasza Kora. – Popatrzył na szeregi domów za mną. – Ładna okolica. Blisko na targi

i nad rzekę.

Zawahałam się i rozejrzałam po ulicy. Mój własny amulet przeciwko złej magii nie ostrzegł mnie, rozgrzewając się na mojej piersi, więc wzięłam sznurek z jego palców. Powoli przesunęłam krążkiem nad miejscami, w których warzywa upaprały mi koszulę. Drewno rozświetliło się na chwilę, po czym pociemniało. Brud wysechł i odpadł od tkaniny.

– Dzięki. – Oddałam amulet, dzięki któremu właśnie zaoszczędziłam trzy miedziaki na praniu. – Doceniam. Ale nie jestem ci nic winna.

Machnął ręką.

– Słuchaj, Cooper, obraziłem cię, proponując wczoraj wieczorem nobla... Teraz to rozumiem. Byłem nie w porządku.

Zerknęłam na niego z ukosa i czekałam. Podszedł do nas Drapek. Stał na tylnych łapach, wyciągając się, aż przednie oparły się o udo Rosta. Potem wysunął pazury i wbił je w jego spodnie.

– Słuchaj no, ty, kimkolwiek jesteś. Nie jestem słupkiem do ostrzenia pazurów. – Rosto ukucnął, uważając, by nie wystraszyć Drapka, który mógłby mu poszarpać ubranie. Delikatnie pogładził uszy mojego kota. Potem podniósł wzrok na mnie z szelmowskim błyskiem w oczach. – Półtora nobla.

Przygryzłam wargę, po czym przemówiłam ostrożnie:

– Widocznie nie zależy ci aż tak bardzo na tej wiedzy. Szkoda.

Zrobił taką minę, jakby zjadł trochę zgniłej cebuli.

– Dwa srebrne noble. Oby było warto.

Pomyślałam o dalszym podbiciu ceny tylko po to, by dowieść, że to możliwe. Potem postanowiłam nie być chciwa. W końcu nie wiedzieliśmy, czym są te kamienie.

– Dawaj.

Drapek odwrócił się od Rosta i wskoczył mi na ramię.

– Ciekawski z niego kot. – Rosto wyciągnął rękę, by znowu podrapać zwierzę pod brodą, i wsunął mi w dłoń dwa srebrne noble, tak by nikt nie widział.

– Nieoszlifowane, błyszczące kamienie, bardzo kolorowe, osadzone w kawałkach czerwonej skały, jaka występuje w całym Niższym Mieście – powiedziałam mu cicho. – Moje Psy nigdy nie widziały niczego podobnego. Mamy jeszcze jeden taki kamień. Wnuk Krzywonogiego dał go swojej żonie, która jest moją przyjaciółką. Moje Psy znajdują maga, by sprawdził, co to takiego. – Zastanawiałam się, czy powinnam mu powiedzieć, że Fulk próbował ukraść pierwszy kamień. Postanowiłam, że nie. W końcu zapłacił tylko za informację, co takiego ukradł Krzywonogiemu.

– Kamienie, których dwa doświadczone Psy nie umieją nazwać? A to ciekawostka. To wasze Niższe Miasto jest całe poplątane. – Rosto opuścił na mnie wzrok. – Uważaj na siebie, Cooper, zanim pętla zaciśnie ci się na szyi.

– Nie jestem mężczyzną, który na dworze Kayfera okazuje się trochę zbyt interesujący i zbyt szybki – powiedziałam. Lecz Rosto ruszył już w drogę, pogwizdując pod nosem. Żałowałam, że nie przyszło mi do głowy spytać, czy złożył przysięgę któremuś z przywódców Łotra, czy nie.

Popatrzyłam na słońce. Może jeśli się pospieszę, zdążę jeszcze do swoich gołębi, a nie tylko do krętów. Nie. Dochodziła jedenasta. Poprzestanę na pyłowych krętach. Gołębie to zwykłe ptaki, które paskudzą mi na ubranie i czasami na mnie wymiotują, kiedy odcinam im sznurek z nówek. Pyłowe kręty to magia. Budzą emocje. Na niektórych rogach zawsze obraca się kurz, liście i różne strzępy. Nawet w dni, gdy gdzie indziej brak choćby tchnienia powietrza, kręty i tak wirują na swoim bruku. Ale nikogo nie ochłodzą w te gorące dni. Ich dotyk jest zawsze suchy jak pieprz.

Podnoszą nie tylko materię. Zbierają też słowa, które do nich dotrą. Wystarczy trochę pomyśleć, by informacje, które od nich zbieram, stały się przydatne. Co najlepsze, nie muszę im odpalać łapówek ze swoich dochodów. Kręty są szczęśliwe, gdy mogą z siebie zrzucić ciężar słów. Brzemie naszych radości i smutków, nawet w tych drobnych fragmentach, które przynosi wiatr, bardzo im ciąży. Mogą przekazać owo brzemie mnie i zyskać wolność, przynajmniej na jakiś czas.

Nie mogę obejść wszystkich jednego dnia, ma się rozumieć. Staram się docierać do każdego raz w tygodniu. Dzisiaj wybrałam się do tych z Niższego Miasta. Najpierw Shiaa, zaledwie o ulicę ode mnie, przy skrzyżowaniu z ulicą Koskynen. Jest bardzo żywotna i przekazuje mi przeróżne roz-

mowy prosto z targu niewolników, szarpiąc mnie przy tym za ciasno splecione włosy i za dopasowane ubranie. Przyniosłam jej piach z ulicy Zwęglonego Sadu, żeby skosztowała czegoś nowego. Spodobało jej się. Zapamiętałam, co mi przekazała, do późniejszej analizy, a potem poszłam na spotkanie z Aveefą na rogu Poślańców i Skocznej. Zwykle gromadziła rozmowy gwardzistów z Bramy Północnej i podróźnych. Dla niej miałam piach z budy przy ulicy Jane.

Zobaczyłam Hasfusha, zbliżywszy się do rogu Zwęglonego Sadu i Skrzydłosztorma. Miał dwa i pół metra wysokości, był więc większy niż kiedykolwiek wcześniej i jednolicie szary. Coś tu było nie tak. Kręty nie cierpiał robić czegokolwiek, co podpowiedziałyby ludziom, że są one czymś więcej niż podmuchami wiatru na rogach ulic. Ścisnęło mnie w trzewiach. Drapek miauknął.

– Mnie też się to nie podoba – powiedziałam mu. – Ale tylko w jeden sposób dowiemy się, co go trapi. – Zacisnęłam zęby i wkroczyłam w Hasfusha.

Uszy wypełniły mi się głośnymi błaganiami o litość. Kończyły je straszliwe dźwięki. Słyszałam już morderstwa podczas swoich wizyt u pyłowych krętów, ale nigdy nie było ich tak wiele naraz. Nic dziwnego, że Hasfush zebrał cały kurz i wszystkie śmieci, które zdołał, by powstrzymać kolejne dźwięki, wdzierające się doń po bokach. Nie widziałam go od... dwóch tygodni?

– Przepraszam, stary – szepnęłam, gdy upuścił wszystkie te śmieci, które zebrał, by się chronić. – Zaczynałam nowe życie. – Dręczyło mnie poczucie winy. Wczoraj w nocy byłam niedaleko stąd... ale nie. Popędziłam ścigać Orwę, nie zdążyłam dotrzeć do Skrzydłosztorma.

Otworzyłam strzęp tkaniny, w który zawinęłam swój prezent w postaci piachu z ulicy Włóczęgów, i wyrzuciłam go na ziemię, cały czas myśląc. Po analizie dźwięków stwierdziłam, że było siedem zabójstw, a może osiem lub dziewięć, bo niektóre dźwięki mogły skrywać więcej niż jedną śmierć. To normalne, że w Szambie znikają ludzie, ale nie w ten sposób. Co więcej, morderstwa musiały nastąpić bardzo niedawno. Inaczej gołębie by mi powiedziały. A zatem siedem, osiem, a może dziewięć osób zginęło – za co? Zabójcy byli zawodowcami. Nic nie mówili przy swojej krwawej robocie. Zanim Hasfush odciął kolejne odgłosy, zaczęli kopać. Groby znajdowały się w miejscu zabójstw. Z wiatrem w stosunku do Hasfusha.

Jak powiedzieć o tym swoim Psom? Czy istniał sposób, by potrząsnąć paroma Szczurami tutaj, w Szambie? Na pewno ktoś słyszał o zaginionych osobach.

Obudź się, Rybie Szczenie! – przemówił surowy głos w mojej głowie. Połowa mieszkańców Szamba mogłaby zniknąć, a wszyscy i tak staraliby się tego nie zauważyć!

Kręt na rogu Dzierżawcy i Judini krył w sobie kolejne krzyki i zgony. Te były słabsze, pod wiatr od Hasfusha, dzięki Bogini. Zmusiłam się, by pójść ulicą Holdermana do kręta, mieszkającego przy skrzyżowaniu ze Skrzydłosztorma, który chwycił ten sam wiatr co Hasfush. Strasznie było znowu usłyszeć odgłosy morderstw, niemal tak wyraźne, jak u Hasfusha, ale pomimo lęku spotkała mnie nagroda.

– Jeśli wy trzej powiecie komuś o tym, co zrobiliście, choćby swoim kolegom strażnikom, dołączycie do trupów. – Głos był jedwabisty i damski. – Gdy się zatrudnialiście, klasnęłam w wasze dłonie i umieściłam na was magiczne znaki. Jeśli będziecie mówić o tym, co się wydarzyło, zapragniecie przed śmiercią sami odciąć sobie ręce.

Od siedmiu do dziewięciu martwych osób, pochowanych tam, gdzie zginęły, pomyślałam, gdy skierowałam kroki w stronę domu. Do tego trójka zabójców z magicznymi, śmiercionośnymi znakami na dłoniach. I kobieta, która jest magiem. Jak mam o tym powiedzieć swoim Psom, by potraktowali sprawę poważnie? Byłoby łatwiej, gdyby wcześniej dowiedzieli się, że z Szamba znikają ludzie. O ile ci ludzie nie rozplywali się po prostu w powietrzu, jak wielu innych. O ile mieli nazwiska i rodziny, które ich szukały.

Byłam tak głęboko pogrążona w myślach, że Drapek musiał wbić mi pazury w ramię (tak mnie zaskoczył, że aż podskoczyłam), bym usłyszała, jak ktoś woła głośno: „Cooper!”

Odwróciłam się i pisnęłam, gdy kot wpił się we mnie jeszcze mocniej. Za mną stał Tunstall, ubrany w brązową tunikę i spodnie mieszczanina. Po służbie nosił miecz, a także sztylet. Był zbyt mądry, by wychodzić bez broni.

– Cooper, masz błoto w uszach? Wołałem cię całą przecznicę. – Otaksował mnie wzrokiem i uniósł brwi. – Szczenie, tarzałaś się, czy co?

Popatrzyłam na siebie, podczas gdy Drapek obsypywał go obelgami. Na koszuli i spodniach miałam piach. Do ubrania poprzyczepiały mi się liście i inne śmieci. Ręce miałam wysmarowane brudem. Dotknęłam swoich włosów i wyciągnęłam z nich gałązkę.

– Poczekam, aż się przebierzesz – powiedział Tunstall. – Obudź się, Cooper. Nasza praca nie kończy się razem ze zmianą. Chcesz się dowiedzieć, co to za błyskotki? Idziemy porozmawiać z magiem. I to dobrym.

– Pospieszę się – zapewniłam i poszłam do domu najszybciej, jak mogły mnie ponieść nie-szczęsne nogi. Zegary wybiły drugą. Mogłam nie zdążyć z powrotem przed czasem ćwiczeń, spakowałam więc swój sprzęt Psa, zmieniłam koszulę i otrzepałam spodnie z brudu i śmieci. Umyłam twarz i ręce, uczesałam włosy. Jeszcze nigdy nie wyszłam z krętów aż tak brudna. Ale kręty były naprawdę wstrząśnięte, więc nie powinnam się dziwić.

Gotowa do wyjścia, spojrzałam na Drapka. Wbił we mnie spojrzenie szparek fioletowych oczu, jakby myślał: może mi powiesz, że nie mogę iść?

Otworzyłam drzwi i skinęłam mu głową, żeby wyszedł przede mną. Wymaszerował z domu, ogon trzymając wysoko niczym sztandar zwycięstwa.

Tunstall szedł w milczeniu przez jedną czy dwie przecznice, wreszcie się odezwał:

– Śledziłem cię przez jakiś czas. Stawałaś wewnątrz pyłowych krętów. Wszyscy inni ich unikają. Większość uważa je za złe duchy. Ale ty stałaś w jednym z nich, z podniesioną głową, jakbyś się cieszyła, że tam jesteś.

Wpatrywałam się w błoto pod swoimi nogami, a mój mózg rozpaczliwie zastanawiał się, co powiedzieć. Czas mijał i wyglądało na to, że robię wszystko, byle tylko nie odpowiedzieć starszemu Psu.

Położył mi rękę na ramieniu.

– Powiedz, jak wymyślisz dobre kłamstwo, Cooper. – Miał miły głos. – Albo, jeśli mnie szanujesz, powiedz prawdę, zwłaszcza jeśli jest to coś, o czym Goodwin i ja powinniśmy wiedzieć. W przeciwnym razie zachowaj to dla siebie. Wszyscy mamy swoje dziwne nawyki. Ja mam cały ogródek, który trzymam u siebie w skrzynkach na kwiaty.

Wlepiłam w niego wzrok. Tunstall nie wyglądał na ogrodnika.

– O tak – potwierdził, kiwając głową. – To koi nerwy. uprawiam miniaturowe róże. Nauczyła mnie tego moja yamańska przyjaciółka. Czerwone i żółte, wielkości twojego małego paznokcia. Nawet normalny facet, taki jak ja, kryje w sobie jakieś niespodzianki. – Wyciągnął wykałaczkę i obrócił ją w palcach. – Nie utykasz tak bardzo, jak się spodziewałem.

– Miałam maść – bąknęłam.

Zaprowadził nas na ulicę Jane. Była pełna wozów, zaopatrujących stragany na Targu Dziennym. Trzymaliśmy się wysokiego, kamiennego chodnika, który w większości przypadków pozwalał nam uniknąć ochlapania. Chociaż nie mieliśmy na sobie mundurów, wszyscy nas przepuszczali. Ze spojrzeń wielu przechodniów wnioskowałam, że albo znali Tunstalla, albo miał on w sobie coś, co mówiło: „Pies starosty”.

Wsunął wykałaczkę do kieszeni.

– Kręt. Czy jest tak, jak powiedziała pani Noll tej nocy, kiedy poszliśmy do Krzywonogiego? Mówiła, że twój dziadek i tata dysponowali dziwną magią, związaną z ptakami, a za tobą podążają gołębie. Czy to też coś takiego? Czy chodzi po prostu o miłe uczucie?

Przełknęłam ślinę. Był moim Psem szkolącym.

– Kręty gromadzą rzeczy, które wypowiedzieli ludzie, rzeczy bardzo bolesne, rzeczy cudowne, wszystko, co poniesie wiatr.

Zatrzymał się i na mnie popatrzył.

– Naprawdę?

Minęło nas trzech ludzi. Jeden z nich był wielkim mężczyzną, jeszcze większym od Tunstalla. Otworzył usta, jakby miał coś powiedzieć. Tunstall podniósł głowę i posłał mu zupełnie beznamienne spojrzenie. Wielkolud zamrugał powiekami, a potem się zawahał. Gwardzista leciutko się poruszył.

Tamten pospieszył w swoją stronę.

Pomyślałam, że zapamiętam, jak Tunstall wyglądał i się poruszał, by go naśladować. Potem zrezygnowałam. Nie jestem sową wysoką na metr dziewięćdziesiąt.

A Tunstall, mimo że często bywa wesoły i dowcipny, ma bardzo groźny wygląd.

– Słyszę w krętach rozmaite rzeczy – odezwałam się, by odpowiedzieć na jego pytanie. – Głównie bzdury. Ale nie zawsze.

Przyciągnął mnie do ściany sklepu, by ludzie mogli przechodzić obok.

– Słuchają? Wiedzą, że ty słyszysz?

Pokręciłam głową.

– Są po prostu szczęśliwe, że to od nich zabieram. To dla nich ciężar. Nie potrzebują go.

Zauważyłam, że odruchowo chciał postukać w koniec pałki, której nie miał przy sobie. Zastanawiałam się, czy po latach służby będę robiła to samo.

– Słyszałaś dzisiaj coś użytecznego, Cooper?

Oblizalam wargi. To była wielka sprawa. Zamiast przekazywać strzępy informacji Jaśnie Panu Gershomowi, wykorzystywałam je na własny rachunek.

– Trzy kręty słyszały, jak noc lub dwie temu zgaszono przynajmniej siedem osób. Potajemnie pochowano je w miejscu zabójstwa. Baby i chłopów. Ci, którzy zabijali, mają magiczny znak. Jeśli zaczną mówić, zginą. Słyszałam, jak mówi im o tym mag. Kobieta.

Znowu zaczął iść, pocierając podbródek. Musiałam przyspieszyć kroku, by za nim nadążyć.

– Żadnych nazwisk, żadnych twarzy, po prostu siedem osób. Nie wiemy, gdzie je pogrzebano. Po prostu zniknęły. Cooper, każdej nocy z Szamba znika dziesięć razy tyle. Uciekają, umierają.

Skinęłam głową. Wszystko to brzmiało jak przechwałki żebraka – same słowa, żadnych treści.

– Ale oni odchodzą pojedynczo, a nie wszyscy naraz. – Musiałam to powiedzieć, chociaż omal się przy tym nie udławiłam.

Drapiek wskoczył na ramię Tunstalla i solidnie zbeształ go w kociej mowie. Obawiałam się, że gwardzista ciśnie zwierzaka w uliczne błoto, ale tylko parsknął śmiechem.

– Panie Drapku, daj nam nazwiska albo miejsce, w którym należy kopać, a będziemy mieli od czego zacząć – rzucił.

– Powiemy Goodwin. Pogadamy z naszymi Ptaszkami, popytamy. Może ktoś wie o tej historii coś więcej, o ile twoje kręty po prostu nie pomieszały kilku opowieści. Magia to ryzykowna sprawa, Cooper. – Zerknął na mnie z ukosa. – Kiedy doprowadziłaś Jaśnie Pana Starostę do bandy Śmiałego Brassy, może i miałaś zaledwie osiem lat, ale potrafiłaś śledzić człowieka, a nie szepty na wietrze. Na tym polega praca dobrego Psa. Plotki i słowa twoich ptaszków są przyteczne, ale na koniec liczy się sama robota Psa.

Pokiwałam głową, patrząc w ziemię. Miał w znacznej mierze rację. Nie wiedział, że gołębie służą Bogu Śmierci. I może nie wiedział, że wyszukanie głosów, usłyszanych przez kręta, wymaga pracy Psa, tak samo jak ściganie gnoja, który uważał, że może zbić każdą kobietę według upodobania.

Tunstall mówił dalej:

– Jaśnie Pan Gershom nie przydzielił cię do Goodwin i do mnie. Zrobiła to Ahuda, chociaż brońcie bogowie, niech nikt nie mówi, że ma do ciebie słabość. Ale nie byłem załamany, że do nas dołączysz. Zawsze chciałem mieć Szczenię. To Clary trzeba przekonać. Zawsze marudzi, kiedy pojawia się coś nowego. Byłem jednak zaskoczony, że wybrałaś Niższe Miasto. Jako adoptowana córka Jaśnie Pana mogłaś dostać każdą dzielnicę, o którą byś poprosiła.

Wzruszyłam ramionami.

Tę okolicę – rozumiem – mruknęłam.

– Przy twoich możliwościach, wybrałbym dzielnicę Jednorożca albo Ładnakość. Zatrzymaj się, Szczenię. Jesteśmy na miejscu.

„Miejscem” była siedziba Gildii Handlarzy Klejnotów. Okna były tu zakratowane, a wokół nich i na samych kratkach widniały magiczne symbole. Znaki wryto nawet w kamiennych ścianach. Drzwi wykonano z litego dębu z żelaznymi zawiasami, także zaklętymi. Tunstall poprowadził mnie do frontowego wejścia.

– Kto to? – Jedna ze strażniczek opuściła topór, by zagrozić drogę Drapkowi. Kot wyraźnie miał ochotę się z nią podrażnić. Pacnął broń łapą niczym zabawkę, a potem przeskoczył nad nią, jakby była trzy razy większa.

– To nasz kot – oznajmił Tunstall. – Słyszeliśmy, że macie straszny kłopot z myszami. Nasz genialny kot załatwi wszystkie wasze myszy, a także niektóre większe szczury. Nie musicz nam dziękować. – Podniósł Drapka. Potem posłał jej uśmiech. W jakiś dziwny sposób cała uprzejmość, obecna do tego momentu w jego sposobie bycia, zniknęła w chwili, gdy się uśmiechnął. – Działamy w imieniu króla, a ty znasz moją twarz. To jest gwardzistka Cooper, moja partnerka. Jesteśmy umówieni z Jungenem Berrymanem.

Nazwał mnie gwardzistką!

– Przepuść ich – powiedział wartownik do swojej partnerki. – Znam Tunstalla. A Berryman tylko zanudzi ich na śmierć. – Następnie zwrócił się do Tunstalla. – Spróbuj wyjść, zanim umrzesz od jego paplaniny. Nie chcę potem wywlekać waszych zwłok. Nawet tego kota.

Weszłam za Tunstallem do środka. Drapek ułożył się na ramieniu gwardzisty, kierując wąsy ku mnie w zadowolonym z siebie uśmiechu. Chciałabym móc powiedzieć, że nie był takim ryzykantem, zanim zostałam Szczenięciem, ale skłamałabym. Drapek jest śmierdzącym ryzykantem.

Niewielka sala ozdobiona była freskami, ukazującymi ludzi, zajmujących się kamieniami szlachetnymi. Mierzyli, badali, układali, ważyli. Wspięliśmy się po pięknie rzeźbionych schodach ze świetnego drewna, mijając okna z kawałkami kolorowego szkła, ułożonymi tak zmyślnie, że tworzyły obrazki. Byłam zachwycona. Z pewnością nawet pałac króla nie był równie wspaniały.

Mogłabym gapić się na te wspaniałości cały dzień, ale Tunstall pognał mnie na drugie piętro, a potem korytarzem. Przy ostatnich drzwiach po lewej przystanął i mocno zapukał, po czym otworzył te drzwi na oścież.

– Rozmyślałem nad bardzo ważnym zaklęciem! – Mężczyzna siedział przy dużym biurku obok otwartego okna, które nie miało szyb, a jedynie okiennice. Okrągła czapka zwisała przekrzywiona na łysej głowie, a on sam z trudem starał się siedzieć prosto, przez co jego medytacja przypominała bardziej drzemkę. Miał dwa podbródki i wyglądał, jakby rzadko widywał słońce. Gdy rozpoznał mojego partnera, opadł z powrotem na krzesło. – Tunstall, ty draniu! Myślałem, że to jakiś głupek, który chce, bym sprawdził kolejną partię pereł.

– To wieszaj tabliczkę z ostrzeżeniem, zanim utniesz sobie drzemkę – poradził mu Tunstall.

– Zamknąłem oczy tylko na chwilkę! – zaprotestował mag, wyglądając wspaniałą tunikę. – Też byś zamykał, gdybyś sprawdzał trzy tuziny pereł tygodniowo!

– Podrabiane perły stały się problemem dla gildii? – spytał Tunstall. – Cooper, załóż sztabę na drzwi. Ale najpierw powieś na klamce od zewnątrz tę tabliczkę na sznurku, żeby nam nie przeszkadzano.

Zrobiłam, co kazał. Gdy się odwróciłam, mag Jungen Berryman mrużył oczy, patrząc na mnie.

– Co się stało z Goodwin? – spytał z niepokojem. – Nie słyszałem...

– Goodwin ma się dobrze. Cooper to nasze Szczenię. Rebecca Cooper, mistrz Jungen Berryman.

Machnął do mnie bladą dłonią. Odpowiedziałam ukłonem, wystarczająco głębokim, jak na maga gildii. Pewnie mogłam ukłonić się głębiej, ale nie był moim panem i nie pełnił żadnej służby dla starosty.

– Przysuń sobie krzesło i mów, czego chcesz, Tunstall. A jeśli znasz jakieś dobre historie, to nawet nakarmię ciebie i twoje Szczenię... oooj!

To „oooj” było sprawką Drapka. Wskoczył na biurko i pacnął łapą mętny, niebiesko-złoto-czarny kamień. Berryman złapał klejnot, by nie spadł.

– To jest Drapek – wyjaśnił Tunstall. Wziął sobie krzesło. – Będzie pierwszym kotem zarabiającym jako Pies. Cooper, zamknij okiennice. Może zechcesz zapalić lampy, Berryman.

Mag zabrał Drapkowi kolejny kamień.

– Próbujesz gryźć nieoszlifowany rubin, przyjacielu. Tunstall, tylko nie okiennice! Trzymałem je zamknięte całą zimę. Już wiosna, gdybyś nie zauważył!

Zamknęłam i zarygłowałam okiennice. Słuchałam Tunstalla, a nie jakiegoś specja od paciorków o wylupiastych oczach. Gdy się odwróciłam, wszystkie lampy w pomieszczeniu już się paliły. Berryman miał dobre lampy, z płytkami polerowanego mosiądzu za knotami, które potrajały ich blask.

– W Niższym Mieście dzieją się mroczne rzeczy – zaczął Tunstall. Podeszłam i stanęłam za swoim Psem. Drapek, zupełnie jakby traktował całe to zarabianie bardzo poważnie, usiadł obok maga z ogonem zawiniętym wokół łap. – Morderstwa i zaginięcia. Sądzymy, że te kamienie mogą mieć z nimi jakiś związek. – Obrócił nad biurkiem skórzaną sakiewkę. Kamienie wysypały się na blat.

Przypomniałam sobie o kamieniu w kieszeni swoich spodni, który uwierał mnie w nogę. Zastanawiałam się, czy powinnam przypomnieć o nim Tunstallowi. Postanowiłam jednak tego nie robić, dochodząc do wniosku, że raczej o nim pamięta.

Berryman rozsunął kamienie różdżką, którą trzymał na biurku. Drapek wyciągnął łapę i trącił dwa z nich. Potem wszyscy patrzyliśmy, jak oczy maga robią się szersze. Czy zachowa się tak jak Fulk i będzie udawał, że takie kamienie są mu nieznane i bezwartościowe? Byłby wtedy durniem pierwszej wody, bo jego twarz zdążyła już zdradzić jeszcze większe tajemnice niż oblicze Fulka.

Wyciągnął rękę. Z pobliskiej półki pozegłowała ku niemu lampa. Miała specjalną konstrukcję, płomień osłonięty był szklanym kominem, dzięki czemu nie zaczynał migotać pod wpływem ruchów powietrza, jak w zwykłych lampach. Z jednej strony osłaniało ją srebro, tak wypolerowane, że aż odbijało obraz płomienia. Rozjaśniało światło jeszcze lepiej niż mosiądz.

Berryman podniósł dzban, który stał na biurku, i zaczął napełniać kubek, ale ręka mu się trzęsła. Próbował się opanować, lecz tylko rozlał zawartość na papiery.

– Cooper – powiedział Tunstall.

Obeszłam mebel dookoła, by wziąć dzban z rąk maga. Wiedziałam, że mieliśmy rację w kwestii kamieni, a Fulk popełnił błąd, okłamując nas. Musiały być bardzo ważne, skoro mag, który zajmował się perłami i rubinami, trząsł się nad nimi aż tak bardzo. Ostrożnie nalałam wody do kubka. Berryman zanurzył w naczyniu dwa palce i pozwolił kroplom spaść na kamień z największą, przejrzystą, przypominającą galaretę bryłką. Potem podniósł go i przytrzymał przed lampą. Zielone pasmo zaświeciło wśród oranżu, jaśniejsze niż widzieliśmy kiedykolwiek wcześniej. Maleńkie kawałki czerwieni i błękitu zaskrzyły się wzdłuż krawędzi. Teraz dostrzeżliśmy niewielką plamę fioleto z tylnej strony kamienia.

– Na szalki Shakith – powiedział mag. Odłożył kamień na bok. Następnie zrobił to samo z pozostałymi, ukazując nam barwne smugi i rozbłyski, widoczne tylko wtedy, gdy zwilżono je wodą i podniesiono do światła. Wypił wodę z kubka, po czym gestem pokazał, bym mu dołała. Zrobiłam to, choć rozważałam rzucenie dzbanem w jego głowę, by mu przypomnieć, że nie jestem dziewczką służebną. Wydawał się jednak tak roztrzęsiony, że zmieniłam zdanie.

Berryman oparł się na krzesło. Raz po raz przesuwał palcami po wargach, wpatrzony w dal. W końcu Tunstall zaczął uderzać nogą w podłogę. Mag gwałtownie przyszedł do siebie. Gdy gwardzista otworzył usta, mag pokręcił głową. Najpierw cztery razy pstryknął palcami. W jasnym żółtym świetle zaczęły pojawiać się znaki, na ścianach, suficie i podłodze, a potem na drzwiach (były ich trzy pary) oraz na okiennicach. Zbladły i zniknęły. Więcej żółtego blasku pojawiło się w dziurkach od klucza, w szparach wokół drzwi i okiennic, na drzwiach i na bokach stojących w pomieszczeniu szafek. A potem aż krzyknęłam, gdy żółte światło zalało Tunstalla, Drapeka i mnie. Poczulałam swędzenie. Później światło znikło.

– Wybacz mi, Cooper. Ale łatwo przypisać komuś czary nasłuchujące – powiedział Berryman. – Proszę, usiądź. Zakładam, że Tunstall ci ufa. – Zerknął na niego. – Chyba rozumiesz moją ostrożność. Czy w tej sprawie jest jakiś problem z Goodwinem?

Tunstall pokręcił głową.

– Dowie się o naszym spotkaniu, jak będziemy na służbie. Rozmawialiśmy o tych świecidełkach. O ile nam wiadomo, tylko my je mamy, oprócz Krzywonogiego. Fulk zajmował się pierwszym, który przyniosła Becca. Pokaż go, Becco. A potem możesz usiąść.

Staralam się nie okazywać niepokoju, wygrzebując mój kamień z kieszeni spodni i kładąc przed magiem. Był taki piękny, że nie chciałam, by mi go odebrał. Ale rozkaz to rozkaz. Wiedziałam, że kiedyś będę musiała się z nim rozstać. Kiedy położyłam kamień, usiadłam na skraju krzesła.

– Piękny – ocenił Berryman, trzymając okaz pod światło. – Nawet bez wody i odpowiedniego oszlifowania, by wyciągnąć na wierzch wewnętrzne ognie. Zapewne zatem mistrz Fulk wie, że gdzieś jest jeden z tych kamieni, ale nie więcej.

Tunstall i ja popatrzyliśmy po sobie. Pies nie zamierzał wspominać magowi o pomocy Drapka w wykradzeniu tego cacka.

Berryman odłożył mój kamień i otworzył szufladę biurka. Wyjął z niej kawałek czarnej tkaniny, wyszywanej złotymi symbolami. Ostrożnie włożył do środka wszystkie kamienie z wyjątkiem tego, który nosiłam ja.

– Zabezpieczę je przed węszeniem za pomocą magii – wyjaśnił Tunstallowi. – Dzięki temu tacy jak Fulk nie będą mogli ich przywołać. Tym nie warto zawracać sobie głowy. – Postukał w mój kamień i nie zareagował, gdy trącił go Drapek. – Nie kryje się w nim klejnot wystarczająco duży, by miał wartość. To tylko małe odłamki klejnotów w skale macierzystej.

– W takim razie możesz go zatrzymać, Cooper – stwierdził Tunstall. – Niech przynosi ci szczęście, skoro trafił do ciebie pierwszej nocy, jaką spędziłeś w roli Szczenięcia.

Drapek przepchnął kamień na krawędź biurka. Złapałam go, zanim mogli zmienić zdanie. Uwielbiam to cacko.

Berryman przesunął paznokciem po każdym symbolu na zawiniątku, które trzymał, a za jego palcem podążała smuga żółtego światła. Potem zasznurował pakunek i rzucił przez biurko do Tunstalla. Spadło na środek. Wszyscy patrzyliśmy, jak Drapek podchodzi bliżej, łapie woreczek i ciągnie go w stronę Psa.

– Dziękuję – powiedział Tunstall.

– Co za dziwne stworzenie. – Berryman nie wydawał się szczególnie zainteresowany rzeczami, które nie dotyczyły klejnotów, nawet kotami innymi niż wszystkie. Oparł się na swoim krześle i dodał: – Te kamienie to surowe opale ogniste. Najmniejszy opal ognisty, który można oddzielić od skały macierzystej bez uszkodzenia, jest wart więcej, niż zarabiam w gildii przez rok. Są bardzo, bardzo rzadkie, po części dlatego, że trudno się je szlifuje. Jest kopalnia, już niemal wyeksploatowana, w Legannie, druga w Meronie, pięć w Carthaku, ale w żadnej nie ma takiej różowej skały macierzystej. Tylko mała strużka nowych kamieni trafia co roku na rynek. – Przygryzł paznokieć małego palca.

Po chwili mówił dalej.

– Dwa obrobione kamienie i funt surowych, takich ja te, trafiło do tej siedziby gildii w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Sprzedawca utrzymuje swoją tożsamość w tajemnicy, a pośrednik złożył mu przysięgę. Te kamienie są... nadzwyczajne. Aukcja opali ognistych odbędzie się pod koniec lipca. Duża aukcja. Tak duża, że kupcy z piętnastu krajów albo są już tutaj, albo są w drodze. Myślałem, że to tylko plotka. – Westchnął. – Myliłem się. Gdybyście sprzedali te surowe kamienie z woreczka, a dobry szlifierz mógłby uzyskać z każdego przynajmniej jeden obrobiony klejnot, byłibyście bardzo bogaci.

Tunstall uśmiechnął się. Teraz to on odchylił się na krześle. Złożył dłonie przed twarzą, a potem zaczął powoli stukać palcami, raz, dwa, trzy...

Wydawało się, że Berryman nie należy do ludzi, którym trzeba zadawać pytania.

– Wszystkie opale to potężne kamienie magiczne. Opale ogniste fascynują, urzekają. Odpowiednio zaklęte – a te takie nie są, co was na pewno ucieszy – przykuwają i utrzymują uwagę każdego, komu mag je pokaże. Ludzie stają się otwarci na sugestie maga albo osoby, dla której ten pracuje. Opale ogniste nie utrzymują zaklęć dłużej niż trzy czy cztery dni. Jeśli na dłuższy czas zostawicie je w wodzie, a potem wysuszycie, kamień pęknie. Będzie później bezużyteczny, jeśli chodzi o rzucanie zaklęć. Większość osób kocha je raczej za ich wartość, bo magiczne zastosowania są dość ograniczone. Lepiej sprzedać kamienie i bardzo się wzbogacić. – Potarł oczy. – Skąd one się wzięły, Mattes?

Stukanie palcami zwolniło, następnie zupełnie ustało.

– Nie wiemy – odrzekł Tunstall. – Ale skała macierzysta bardzo przypomina kamienie w Niższym Mieście.

– A skąd! – wykrzyknął Berryman. Wydawał się przerażony i rozbawiony zarazem. – To... byłoby jak znalezienie pereł w gnoju! Gdyby kryły się tam jakieś drogie kamienie, trafilibyśmy na nie już wieki temu.

Wierciłam się. Niższe Miasto, jak powiadano, było dobrą ziemią rolną w czasach, gdy nad rzeką Olorun wzniesiono Corus. Potem wybuchły wojny centaurów. Pierwszym sposobem na powstrzymanie wojsk stały się potężne umocnienia, wzniesione z naszej ziemi. Zniknęły, gdy królowie Annste zbudowali pierwszy mur miejski. Później gospodarstwa w Niższym Mieście nie były już tak żyzne. Podczas Dekady Powodzi rzeka zalała niżej położone tereny, gdzie lud wciąż uprawiał ziemię, i zagarnęła znaczną ich część z powrotem do swojego koryta, gdy jej wody się skurczyły. Z każdym potopem w Niższym Mieście zostawało mniej czarnoziemu. Gdy otoczyły je mury, ta żyzna gleba miała ledwie parę stóp głębokości, a pod spodem znajdowała się skała, która ukształtowała krawędzie Corus. Tak opowieści babci Fern tłumaczyły, dlaczego przez znaczną część lata wyciągaliśmy z naszego ogródka dwa razy więcej czerwonych kamieni niż jarzyn.

Tunstall przyłapał mnie na zamyśleniu.

– Cooper? – zagadnął z uśmiechem.

Ze wszystkich sił postarałam się na niego spojrzeć.

– Stare opowieści mówią, że w Niższym Mieście były kwitnące gospodarstwa z uwagi na dobrą glebę. – Próbowałam mówić tak, jak uczyli nas raportować Psom, wyraźnie i konkretnie. – Ale wymyło ją i teraz mamy tylko skałę. Taką jak w tych kamieniach.

– Skąd Szczenię wie o takich rzeczach? – spytał Berryman. Był zaskoczony, że Tunstall w ogóle pozwala mi się odzywać. – Może kształcono ją na Psa, drogi Mattesie, ale wydaje mi się, że to ja mam większą wiedzę o tej krainie!

– Wychowała się w Niższym Mieście – wyjaśnił Tunstall.

– Dziewka z Niższego Miasta – stwierdził chłodno mag. – Poucza mnie, czy opale można znaleźć w tym ohydny ryszotok, który zwą Szambem.

Zacisnęłam palce, zastanawiając się, czy łeb pękłby mu jak melon, gdybym odpowiednio uderzyła swoją pałką.

– Bez obrazu, dziewczyno – zwrócił się do mnie Berryman. – Ale kwestię tego, gdzie należy szukać jakich kamieni, zostaw tym, którzy mają w tej dziedzinie odpowiednie wykształcenie.

Spuściłam wzrok. Może był jednym z tych magów, którzy potrafili odczytać w moich oczach mordercze intencje. Co ta niedogotowana ciepła klucha wiedziała o Niższym Mieście i jej mieszkańcach?

Tunstall klepnął otwartą dłońią biurko. Stałam na nogach wcześniej niż on.

– Berryman, dzięki – powiedział. – Zachowasz informacje o kamieniach dla siebie?

– Ale nic mi o nich nie powiedziałaś – poskarżył się mag. Dosłownie jęczał. – To element przestępstwa, tak? Rabunek? Nie, pewnie morderstwo, bo inaczej Psy z Niższego Miasta nie miałyby całej fortuny w opalach ognistych. Ile osób poniosło śmierć? I skąd były? Z Carthaku? Czemu nie słyszałem o zagrabionej partii klejnotów? O ile mi wiadomo, w mieście nie ma jeszcze żadnych carthakańskich handlarzy drogimi kamieniami, a tylko oni mają aż tyle opali ognistych. I zazwyczaj...

Tunstall położył sobie palec na ustach. Berryman wyduł wargi.

– To dochodzenie, mój przyjacielu – wytłumaczył gwardzista. – Tajne dochodzenie. Nawet Jaśnie Pan Starosta nie zna szczegółów. W grę wchodzi życie wielu osób. Zależy ono od twojej dyskrecji.

– Zawsze to mówisz. – Mag zmienił się z władczy mężczyzny w dziecko, które nie może dostać cukierka.

– Czy kiedykolwiek skłamałem? – spytał go Tunstall.

Tamten wciąż wydymał wargi.

– Nie.

– Goodwin albo ja... albo też Cooper. ktoś z nas powie ci wszystko na ten temat, zależnie

od tego, kto przeżyje i kiedy Szczury trafią do klatek. Teraz jest to sprawa krwi, kradzieży i mrocznych postępów w Niższym Mieście. – Gwardzista powiedział to zupełnie jak uliczny bazarz. Sądząc po błysku w oczach, Berryman, łyknął te słowa niczym słuchacz bazarza. Gdyby na zewnątrz szalała burza z piorunami, przypuszczam, że mag zapłaciłby Tunstallowi za przyjemność słuchania go.

– Obiecujesz? – spytał.

– Obiecuję – zapewnił Tunstall. – Cooper też obiecuje – dodał. – Prawda, Cooper?

– Obiecuję – powiedziała do biurka.

– Powinienem być zostać Psem – oświadczył nam Berryman. – Macie takie pasjonujące życie. A ja tylko uprawiam trochę magii to tu, to tam, a potem idę do domu. – Westchnął.

Aż się wzdrygnęłam. Uważał nasze życie za pasjonujące? Co by pomyślał o skoku przez okno za Orwą? Czy lądowanie w rybnich flakach uznałby za pasjonujące?

Tunstall kopnął mnie lekko w kostkę. Nie wiem, czy powiedziałabym na głos, co naprawdę myślę. Może przywykł do Goodwin i chciał mnie uciszyć na wszelki wypadek.

– Berryman, nie dalibyśmy rady bez twojej pomocy – powiedział poważnie niczym kapłan.

– Możesz być pewien, że twoje nazwisko znajdzie się w moim końcowym raporcie dla pana starosty.

Berryman był tak uszczęśliwiony, że odprowadził nas do wyjścia z siedziby gildii. Chociaż zastanawiałam się, czy nie uczynił tego po to, by strażnicy mogli usłyszeć, jak nazywa Tunstalla „przyjacielem” i klepie go po ramieniu. Widziałam takich ludzi w domu starosty, ludzi, którzy uważali przyjaźń z Psami za przejaw odwagi.

– To bardzo dobry mag – stwierdził Tunstall, gdy ruszyliśmy w swoją stronę. – I jest gotów wykonywać różne magiczne zlecenia dla informacji przekazywanych przez Psy. Potrzebujesz takich jak on, Cooper. Znajomość z kimś takim jest pożyteczna.

– Manh! – wykrzyknął Drapek, jakby się zgadzał.

– Dobry kot – stwierdził Tunstall i go podniósł. – Mówiąc między tobą, mną i Goodwin, jeszcze wychowamy to Szczenie jak należy.

Tunstall miał sprawę do załatwienia. Zostawił mnie przy bramie budy, żebym mogła iść na dziedziniec treningowy i przetrwać na chwiejnych nogach godzinę ćwiczeń. Gdy zobaczyłam go na zbiorce, podawał Ahudzie woreczek z opalami ognistymi, żeby wpisała je do księgi. Miałam przecucie, że to bogactwo nie trafi do worka szczęścia dla Psów ulicznych, ale mogłam jedynie wrzucić ramionami. W przeciwieństwie do łąjna, złoto nie spływa w dół.

Goodwin była w lepszym humorze, gdy ruszyliśmy na służbę. Uważnie słuchała, gdy w drodze na Targ Nocny Tunstall relacjonował, co nam powiedział Berryman.

– Czyli właśnie pożegnaliśmy się ze swoim bogactwem. – Jej głos też brzmiał lepiej po tym, jak się wyspała, a praca uzdrowicielki przyniosła efekty. Siniak na jej szczęce wciąż robił wrażenie, ale teraz już dało się ją rozumieć. – To nas nauczy uczciwości. Może powinniśmy czasem zabierać Berrymana na patrole, Mattes. Ale pewnie by zemdłał, zanim byśmy weszli do Szamba. – Obejrzała się na mnie, gdy człapaliśmy przez ulicę Jane. – Nie jest taki zły. Tyle że czasem za bardzo wciela się w rolę maga handlarzy. Kiedy przemówić mu do rozumu, jest z nim lepiej.

Zerknęłam w jej stronę. Czy i ona miała ochotę mu przyłożyć?

– Przynajmniej już wiemy, co to za kamienie – powiedział Tunstall, skinieniem głowy pozdrawiając przechodzącego szmaciarza.

– Chciałabym się dowiedzieć, skąd Krzywonogi je bierze. Drażni mnie, że ten łajdak jeszcze się bogaci. – Goodwin obróciła pałkę na rzemieniu. – Gdyby były czyste i legalne, Berryman coś by wiedział. Musiałyby przejść przez gildię. Te najwyraźniej pochodzą albo z przemytu, albo stąd. Tak czy owak, tyle kosztownych kamieni to istny bal dla rabusiów.

Odchrząknęłam. Nie oglądając się na mnie, Goodwin podniosła rękę i ruchem palców dała mi znak, bym mówiła.

– Czemu Berryman nie próbował zatrzymać kamieni dla siebie? – spytałam. – Jest magiem. I powiedział, że można się na nich wzbogacić.

– Jest otumaniony, nieszczęśny żarłok – odparł Tunstall, oglądając się przez ramię. – Nie

dba o napychanie sobie kabzy. Przypuszczam, że jest pod wpływem zaklęcia, żeby nigdy nie miał ochoty przywłaszczyć sobie tych wszystkich kamieni, którymi się zajmuje.

– Ma bogatą żonę – dodała Goodwin. – A poza tym niektórzy po prostu nie są pazerni.

– Nie mów tego, gdy bogowie mogą usłyszeć – szepnął jej partner. – Nie lubią rozmów o zjawiskach nadnaturalnych.

– W takim razie już dawno powinni byli zmiażdżyć Berrymana, bo to nie jest naturalne, że nie chce raz na jakiś czas zwinąć jakiegoś rubinu czy opala.

Pierwsza połowa wieczoru upłynęła spokojnie. Mnóstwo pijanych głupców pozdrowiało mnie, usiłując powiedzieć „szybkonomie Rybie Szczenie”. Mąż Orvy (Jack Ashmiller mu było) przyszedł przeprosić Goodwin za swoją kobietę. Potraktowała go łagodniej niż kogokolwiek oprócz Drapka. Rozcięcia na jego twarzy napuchły i przez obrzęk nad okiem nie mógł go otworzyć. Nie miał pieniędzy na magię uzdrowiciela ani nawet na szycie ran u wiedźmy, biedny żebrak. Podczas gdy Tunstall i ja czekaliśmy, aż skończą rozmawiać, coś zgniłego trafiło mnie w plecy. Usłyszałam syk w półmroku. Niezależnie od tego, co czuł ich tata, mali Ashmillerowie nie zamierzali mi wybaćczyć mojej roli w pojmaniu mamy.

Szliśmy dalej, a moje mięśnie jęczały z każdym krokiem. Musiałam trzymać się z boku i pa-trzeć, jak moje Psy kładą kres trzem próbom odcięcia sakiewki, czterem kradzieżom kieszonkowym i pięciu kradzieżom ze sklepów. Cudownie było obserwować, jak szybko się poruszają, jak zwinnie potrafią zażegnawać kłopoty. Przy kradzieżach Tunstall pytał mnie wcześniej, na co zwracać uwagę, aż w końcu nawet Goodwin stwierdziła, że umiem wypatrzeć rzezimieszków i kieszonkowców lepiej niż większość drugorocznych Psów. Gdy tylko mieliśmy trzy czy cztery spętane Szczury, prowadziliśmy je do wozów z klatkami, rozmieszczonych w całym Niższym Mieście, które następnie transportowały delikwentów do budy.

– Przejdźmy się jeszcze wzdłuż Targu Nocnego od strony Stuvek – powiedział w końcu Tunstall. – Uważam, że wszyscy zasłużyliśmy dziś na sutą kolację.

– Mogę zapłacić za siebie – usłyszałam własne głupie słowa. – No i jestem wam winna srebrnego nobla oraz pięć miedziaków z łapówki Rosta. Wyciągnęłam od niego dwa nobile.

– Ja wezmę te monety – powiedziała Goodwin i wyciągnęła rękę. Oddałam jej pieniądze.

Gdy to zrobiłam, przemówił Tunstall:

– Korona płaci za połowę naszych posiłków, gdziekolwiek się posilamy. A ja i Goodwin decydujemy, kto dopłaca resztę.

– Dobre z ciebie Szczenie, rób, co do ciebie należy, a my będziemy cię karmić – zwróciła się do mnie Goodwin. Zamrugałam powiekami. To Tunstall z zasady miał być dla mnie miły. Goodwin miała być szorstka. – Po ostatniej nocy zasłużyłaś na posiłki przez jakiś czas, więc siedź cicho i... na Boginię!

Znaleźliśmy się już o pół przecznicy od domu Krzywonego. Zaskoczenie Goodwin wywołał brzęk tłuczonego szkła. Czy szklane okna nie są czymś głupim u kogoś, kto mieszka na skraju Targu Nocnego?

Chwilę później z domu Krzywonego, z dziury po oknie strzeliły płomienie. Drzwi frontowe się otworzyły. Na schody wypadli ludzie. Zobaczyliśmy pomarańczową łunę nad murem z boku budynku. Czyli podpalacze uderzyli także tam.

Wyjeliśmy pałki.

– Oto zemsta Łotra – stwierdziła Goodwin, gdy puściliśmy się biegiem. – Cooper, zmocz chusteczki, zakryj nią usta i nos. W fontannie. – Wskazała kierunek dwoma chusteczkami, trzymanymi w dłoni, swoją i Tunstalla. Złapałam je, wyciągnęłam też własną, podbiegłam, zanurzyłam chusteczki i oddałam mokre z powrotem. Tunstall złapał swoją i pobiegł. Goodwin machnięciem ręki skierowała mnie do drzwi wejściowych. – Na górę, Cooper, na poddasze. Zbierz, kogo zdołasz, wydostań ich. Wyślij ich bocznymi schodami. Będę na piętrze. Nie rób niczego głupiego.

Przytknęłam chusteczkę do ust i nosa. Wpadliśmy do środka wśród kłębow dymu, pochodzących z palącego się pokoju z boku. Poczułam zapach oleju spożywczego, zanim w ślad za Goodwin wbiegłam na schody, dalszą ich część pokonując już sama. Dwie służące przemknęły obok mnie. Pognałam na maleńkie schody, by sprawdzić pomieszczenia pod stromym dachem. Pusto.

Wróciłam piętro niżej. Tansy właśnie wrzucała zawartość swojej szkatułki z biżuterią do poszwy na poduszkę. Walnęłam ją w ucho za to, że traci czas, wsunęłam szkatułkę do środka i zasupłałam poszwę. Potem wylałam wodę z jej dzbana na prześcieradło, które narzuciłam na nią i wypchnęłam ją za drzwi. Jej pokojówka siedziała skulona w kącie, zapomniana i zeszywniała ze strachu. Nie mogłam jej nakłonić, by wstała. W końcu wyciągnęłam ją z pokoju i po schodach na dół, aż dźwignęła się na nogi i wybiegła.

Wróciłam na piętro Tansy. Sprawdziłam kolejne pomieszczenia. Wyjrzawszy przez okno, zobaczyłam, że na dole ludzie utworzyli brygady z wiadrami, by zgasić ogień na parterze. Gdy byłam już pewna, że wszyscy z drugiego piętra zeszli, poszłam na pierwsze, by poszukać Goodwin. Miałam przeczucie, że nie prowadzi ewakuacji. Nie pomyliłam się.

– Kocie, to zły czas i miejsce. Zajmij się swoimi sprawami na zewnątrz, głupie zwierzę!

Jej głos doprowadził mnie do pokojów, które musieli zajmować Krzywonogi i jego żona. Wyglądało na to, że przeszukiwała jego papiery i kredensy. Stała pośrodku pracowni i trzymała w rękach księgę rachunkową, wziętą ze stołu, na którym piętrzył się stos podobnych tomów. Drapek wskoczył na duże biurko i gorączkowo przekopywał stertę listów.

Goodwin z trzaskiem odłożyła księgę obok pozostałych.

– Na zęby Staruchy, jeśli on zniszczy coś przydatnego, Cooper.

– Drapek, przestań – poleciłam, chociaż widziałam, że czegoś szuka. Wiedział, że sytuacja jest poważna. Pomogłam Goodwin pozbierać papiery, które spadły na podłogę. – Wygląda na to, że opanowali ogień. Chociaż dym nadal jest paskudny.

Drapek zrobił „mrt”. Drewniana płytką w powierzchni blatu otworzyła się z trzaskiem i omal go nie uderzyła. Odskoczył, zamachał ogonem i miauknął z triumfem.

Goodwin wyprostowała się z dokumentami w ręce.

– Ty mała wścibska bestio! Skąd w ogóle wiedziałeś o tej skrytce? Cooper, widziałeś go, tak jak ja. Specjalnie próbował ją znaleźć.

Podeszła do biurka i sprawdziła skrytkę pod kątem pułapek, po czym wyjęła to, co było w środku – niewielki plik kartek.

– Robi takie rzeczy – powiedziałam, wzruszając ramionami.

Pozbierała pozostałe dokumenty i odłożyła je. Zaczęła przeglądać papiery ze schowka, zaklęła, po czym wsunęła je sobie za tunikę.

– Chodźmy stąd, zanim przyjdą nas szukać. – Podniosła rzeczy, które porozrzucił Drapek, po czym cisnęła je na biurko, by wszystko wyglądało, jakby nikt nic nie ruszał.

Poszłam za Goodwin. Pożar już prawie ugaszono. Ogień zniszczył przeróżne cudeńka Krzywonogiego na dole, ale stać go było na nowe. W tłumie, który się zgromadził, nie było niemal nikogo, kto nie żałowałby, że dom nie spalił się do szczętu.

Znalazłam Tansy, stojącą z boku i trzęsącą się w mokrym prześcieradle. Wiosenna noc zrobiła się chłodna. Ściągnęłam z niej tę płachtę.

– Można by pomyśleć, że będą go żałować, skoro stracił prawnuczka – powiedziałam. Rozejrzałam się, by sprawdzić, czy ktoś zabrał koce. Brzuch Tansy wypychał cienką podomkę. Do brze przynajmniej, że mimo wczesnej pory nie miała na sobie koszuli nocnej.

– A czemu mieliby żałować? – spytała, tuląc poszwę ze swoją biżuterią. – Wielu z nich straciło niedawno dzieci i żaden nie podnosił krzyku.

Zaprowadziłam ją na ławkę przy fontannie, ale nie tylko z dobroci serca. Po drodze zabrałam koc z ręki pokojówki. Dziewczyna krzyknęła i zaczęła szarpać koc, a potem puściła, gdy zgromiłam ją wzrokiem. To nie ona była przemoczona i w ciąży. Opatuliłam Tansy, zanim ją posadziłam, mówiąc przy tym szeptem:

– Co masz na myśli?

Przewróciła swoimi dużymi niebieskimi oczami.

– Wszyscy mówią, że to tylko łowcy niewolników, którzy nadali sobie koszmarne imię. Mówią, że dzieci zawsze tu ginęły. Ale bywa inaczej. Widzisz tamtą chudą babę? Z okrągłą blizną na policzku? Mama zostawiła jej księgę zaklęć, jedyną wartościową rzecz, jaką biedactwo kiedykolwiek miało. W środku nocy chłopski głos przy łóżku powiedział jej, gdzie i kiedy ma ją zоста-

wić dla Węża Cienia, bo inaczej pożałuje. Dał jej tydzień. Nie zrobiła tego, nie oddała jedynej rzeczy po mamie. Po tygodniu jej córeczka, zaledwie czteroletnia, zniknęła. Tak po prostu. – Wargi Tansy drżały. – Psy mówią, że dzieci ciągle znikają w Niższym Mieście. Czy sprawdzała u handlarzy niewolników? Pewnie, że sprawdzała, i nic to nie dało. Szukała miesiącami. Ciągle patrzy na jasnowłose dziewczynki w tym wieku, tak na wszelki wypadek. To było piętnaście miesięcy temu.

– Ale to mógł być każdy – stwierdziłam. – Nawet jeśli ktoś mówił, że pożałuje...

– Narysowali popiołem węża na fartuszkach małej i powiesili go na sznurze do bielizny, żeby matka znalazła – wyszeptano. – Ten sam znak zostawili też na poduszce wewnątrz domu. Gdy znowu rozległ się nocny szepot, biedaczka pomyślała o dwójce swoich młodszych dzieci i zostawiła księgę tam, gdzie jej kazano.

Splotłam dłonie. Żerowanie na ludziach, którzy mieli tak niewiele, było nie tylko złe, było podłe.

– Ale ten chłop tylko raz powiedział, że jest Wężem Cienia, Tansy.

– Patrz na mój palec. Nie będę wymieniać ich imion. – Zaczęła kierować palec na kolejne osoby. W sumie wskazała ich w tłumie dwanaście. – To trwa już prawie trzy lata. Wszyscy mają jakieś ubranko dziecka z tym Wężem Cienia.

Mieli coś, czego Wąż chciał. Ci, którzy nie oddali tego od razu, cóż... niektórzy odzyskali dzieci. Ich zwłoki. Niektórzy już nigdy ich nie zobaczyli. Dziadek Ammon dostał kartkę z jakąś prośbą. Powiedział, że żaden Wąż nie skręci mu karku jak kurczakowi. Tyle że to nie jemu skręcili kark, Becco, a mojemu małemu Rolondowi.

– Płacę za ochronę! – Rozpoznałam urywany, ochrypły głos Krzywonogiego. Krzyczał do moich Psów. – Daję do worka szczęścia więcej niż ktokolwiek na tej ulicy. I za to oczekuję ochrony! – Kołysał się na nogach, potrząsając kościstym palcem w stronę Tunstalla i Goodwin. Trzech zbirów stało za jego plecami z rękami na broni. Dym wciąż dobywał się z wybitego okna za nimi.

Moje miejsce było tam, przy Psach, ale nie chciałam zostawiać Tansy. Rozejrzałam się, aż dostrzegłam Annis. Podeszła bliżej.

– Chodź, dziewczyno – powiedziała, podciągając ją razem z kocem. – Nie pozwólmy ojcu zrobić z siebie jeszcze większego durnia.

Tansy wyrwała się.

– Czemu? Nic nie jestem mu winna. Przez niego zginął Rolond.

Annis złapała ją za rękę.

– Jesteśmy na niego skazane. – Mówiła prosto do jej ucha. Te słowa nie były przeznaczone dla mnie, ale mam bardzo dobry słuch. – I mamy więcej do stracenia. Nie sądzę, że jesteśmy wolne tylko dlatego, że Rolond odszedł. Musisz myśleć o dziecku w drodze. A teraz bądź posłuszną wnuczką.

Gdy ciągnęła Tansy na schody, okrążyłam je, by stanąć za swoimi Psami. Tunstall mówił właśnie:

– Musiałbyś płacić dziesięć razy więcej, żeby dostatecznie wiele Psów strzegło cię przed gniewem Łotra, przyjacielu. Ci chłopcy wiedzą o tym równie dobrze jak my. – Skinął głową jego zbirom. – Myślałeś, że Kayfer Deerborn puści ci płazem wczorajsze gadanie?

Krzywonogi patrzył na niego, trzęsąc się z wściekłości.

– Dlaczego uważasz, że maczał palce w śmierci twojego wnuka? – spytała Goodwin, krzyżując ręce na piersi. – Ostatniego wieczoru go o to oskarżyłeś. Co takiego masz, na czym mogłoby mu aż tak bardzo zależeć?

Krzywonogi zbladł jak papier. Obrócił się i przedarł przez mur strażników, by wbiec do domu, nie zważając na dym. Osiłki popatrzyły po sobie, po czym ruszyły za nim, przedramionami zasłaniając nosy i usta.

– No, to zamknęło gębę staremu sępowi – stwierdził wesoło Tunstall. – Gdzie Cooper i kot?

– Tuż za nami – odparła Goodwin. – Chodźmy. Jestem już bardzo głodna. Dopisze nam szczęście, jeśli Pod Piecem i Pulardą zostanie jeszcze jakaś szynka.

Odsunęłam się, by mogli mnie minąć, po czym mruknęłam:

– Mogli poczekać z podpaleniem tego miejsca, aż zjemy kolację.

Oboje odwrócili się w moją stronę. Drapek podniósł oczy i miauknął.

– Przemówiła – stwierdził Tunstall. – Goodwin, słyszałaś? Naprawdę zażartowała. To była prawie rozmowa.

Szturchnęła go łokciem.

– Niech ci to nie uderzy do głowy. Zobacz, znowu się zawstydzila.

Miała rację. Czułam, jak ziemia przyciąga mój wzrok. Drapek wskoczył mi na ramię i usadowił mi się na barkach, tuż za szyją. Chcąc ukoić mój żal z powodu wygłaszania idiotycznych uwag, zaczął mruzczyć.

Szczęście nam nie dopisało. Pod Piecem i Pulardą nie mieli już szynki. Kurczak piekł się na rożnie tak długo, że zrobił się suchy. Chleb, podgrzewany przy palenisku od czasu, gdy klienci zaczęli przychodzić na kolację, też się zsechł. Przynajmniej smażone warzywa okazały się jadalne. Kucharce było bardzo przykro, że przynosi taki marny posiłek stałym klientom; szybko upiekła parę ciastek z migdałami i podała je, polane miodem. Piwo było na koszt firmy. Dla mnie kucharka zaparzyła napar z dzikiej róży.

Gdy już się rozsiedliśmy, Goodwin wyciągnęła spod tuniki papiery Krzywonogiego. Cała nasza czwórka, z Drapką włącznie, nachyliła się, by się im przyjrzeć. Gwardzistka rozłożyła kartki jedną przy drugiej. Każda podpisana była znakiem długiego węża o dwóch zwojach, nakreślonym popiołem.

– „Kiedy grzebiez w ziemi Węża, jesteś winien Wężowi zapłatę” – przeczytał cicho Tunstall. Przyciągnął drugą kartkę. – „Piętnaście kamieni dla Węża, zostawionych w skórzanej sakiewce za ołtarzem Samotnej Wędrówki, w świątyni Śmierci przy Placu Szklarzy, za tydzień od dzisiaj, albo zapłacą za to twoi krewni.” – Gwizdnął. – Niezbyt to miłe.

Goodwin oparła głowę na rękę.

– Myślałam, że może mi się zdawało, kiedy zerknęłam na to w domu. Myliliśmy się, kolego. Wąż Cienia istnieje naprawdę. Mamy przed sobą dowody. – Uśmiechnęła się krzywo. – Strach z bajki jest prawdziwy.

– Wolałabym, żeby nie był – odezwał się. – Czy na pozostałych kartkach jest to samo?

– „Uważasz, że jesteś bezpieczny” – przeczytała Goodwin z drugiego kawałka papieru. – „Wąż znajdzie szczelinę w każdym murze. Dziecko jest teraz w zwojach Węża. Za tydzień od dzisiaj trzydzieści kamieni w skórzanej sakiewce za ołtarzem Samotnej Wędrówki, w świątyni Śmierci przy Placu Szklarzy albo poleje się krew”.

– Za pierwszym razem nie zapłacił, więc Wąż podwoił stawkę, porwał Rolonda i dał mu kolejny tydzień – stwierdził Tunstall. – Dziwię się, że Krzywonogi nie dostał apopleksji. Wpada w szal, gdy ktoś wydaje mu polecenia. Kazał swoim zbirom pobić kapitana gwardii, który zawrócił go spod bramy pałacowej. Chłop został kaleką, jak z nim skończyli.

Goodwin przeczytała ostatnią kartkę.

– „Masz więcej do stracenia. Czterdzieści kamieni, wiesz gdzie je zostawić, w noc pełni księżyca.” – Skrzywiła się. – Ten Wąż jeszcze nie skończył z Krzywonogim i staruch o tym wie.

Zrobiło mi się zimno. Raz nosiłam Rolonda na barana na Targu Dziennym. Pozwalałam mu gryźć swój warkocz, gdy ząbkował. Tansy udawało się czasami umknąć uwadze wartowników Krzywonogiego. Czy mogłam to wszystko powstrzymać, gdybym wiedziała? Ale nie wiedziałam. W czasie, kiedy Krzywonogi dostawał te listy, kiedy porywano Rolonda, ja przeprowadzałam się do nowego domu. Później, gdy się dowiedziałam, starzec zorganizował tak ścisłą ochronę swojego domu, że Tansy nie mogła wyjść, a ja wejść. W poniedziałek rozmawiałam z nią pierwszy raz od trzech miesięcy. Zastanawiałam się, czemu wtedy nie powiedziała mi o Wężu Cienia. Ale znałam odpowiedź. Tansy była znacznie szczęśliwsza i bardziej beztroska, zanim zabito Rolonda. Potem nauczyła się ukrywać swoje sekrety.

– Moim zdaniem Krzywonogi wiedział, że Wąż Cienia nie żartuje – powiedziałam, splatając dłonie.

– Co? – spytała Goodwin.

Drapek wspiął mi się na kolana i zaczął mruzczyć. Głaskałam go, opowiadając Psom, co Tansy mówiła mi o zaginionych dzieciach i znaku Węża. O rzeczach, których Wąż żądał od rodziców.

Dodałam nawet:

– Powiedziała mi, że niektórzy poszli do budy i to zgłosili, ale nic nie zrobiono. Wiedzieliście o tym?

Zebrałam się na odwagę, by spojrzeć na Goodwin. Bez wątplenia nie odwróciliby się plecami do biednych z Niższego Miasta, nie Tunstall i Goodwin. Ale Tunstall właśnie oskrobywał odezwany od stołu kawałek drewna, robiąc z niego wykałaczkę.

Goodwin zmarszczyła brwi.

– Czego od nas chcesz, Cooper? – zapytała. – Wiesz, jak wiele rabunków zdarza się każdego dnia w Niższym Mieście, jak wiele włamań, kradzieży, gwałtów, bójek... Ludzie cały czas znikają i giną, zwłaszcza dzieci. Psów jest przynajmniej trzy razy za mało, żeby zająć się choćby samym Niższym Miastem. Robimy, co możemy.

Chciałam spytać: w ogóle ich nie szukacie? Ale słowa uwięzły mi w gardle. Znałam liczby. Musieliśmy nauczyć się ich na pamięć pierwszego dnia szkolenia i powtarzać, gdy nas o nie zapytano. Uczyliśmy się danych dzielnicami. Każda dzielnica, od Pałacowej po Góropola, zajmowała szczególne miejsce w pamięci każdego Szczenięcia, wraz z informacjami dotyczącymi wykroczeń i przestępstw, liczbą Psów i magów, którzy mogą sprawiać kłopoty, a także nazwiskami przywódców podległych Dworowi Łotra. Umiałabym je powtórzyć, wyrwana ze snu w środku nocy.

– Ja też mogłam zaginać – powiedziałam. – Moi bracia, siostry. Każde z nas. Mogło zniknąć albo trafić martwe do rynsztoka, na naszych poduszkach znalazłby się wąż, a mamie pękłoby serce. Była taka wrażliwa. To by ją zabiło, jeszcze zanim nadszedł jej czas. – Popatrzyłam na nich. – To nadal mogłoby być jedno z nich, gdyby nie byli bezpieczni w domu Jaśnie Pana Starosty.

– Obudź się, Cooper – powiedziała Goodwin, ale nie wydawała się zła. – Wiesz, ile matek topi noworodki i niemowlęta w wychodkach albo beczkach z deszczówką? Ilu ojców i wujów wyrzuca je za dom z rozbitymi czaszkami?

– Ktoś, kogo znają, albo nieznajomy, który zaproponował porządny posiłek, robi im krzywdę i zostawia na pewną śmierć. – Tunstall miał smutek w oczach. – Wielu rodziców sprzedaje je handlarzom niewolników. Zamiast się przyznać i zmierzyć ze wstydem, mówią, że dziecko po prostu zniknęło. Ciesz się ze swojego szczęścia, Cooper. Swojego i swojej rodziny. Jeśli złapiemy tego Węża, to go złapiemy. Ale jest nas za mało, żeby szukać wszystkich zaginionych chłopów, bab i dzieci. O wiele za mało.

Goodwin podrapała bliznę na swoim policzku.

– Tunstall mówił, że dostałaś informację o siedmiu zaginionych babach i chłopach. Nie słyszeliśmy, żeby ktoś ich szukał, a co dopiero mówić o jakimś zaginionym dziecku. Chodźmy. I weź się w garść, Cooper, dobrze ci radzę – dodała. – Zanim skoczysz do Olorunu albo podetniesz sobie żyły. Co roku tracimy pięć Psów z powodu Wyboru Czarnego Boga. Nie stań się jednym z nich.

– Podczas patrolu się rozglądamy, Cooper – stwierdził Tunstall, także się podnosząc. – Ale po ciemku jest trudniej. Na ulicach jest niewiele dzieci, a ich twarze nie są wyraźne. No i to boli. Znajdujesz tyle ich zwłok, że po jakimś czasie nic nie chcesz wiedzieć, widzieć ani słyszeć.

W Niższym Mieście musimy porzucić piękne idee i marzenia. Jestem zła na siebie, że moje Psy nie są idealistami. Są tylko ludźmi. A ich rodziny nie wywodzą się stąd. Tunstall to barbarzyńca ze wschodnich gór. Rodzina Goodwin to szanowani członkowie Gildii Ciesielskiej. Moje Psy nie wiedzą, jak to jest, kiedy nikt o ciebie nie walczy. Wykonują swoją pracę i mają mnóstwo roboty przy pilnowaniu tych, którzy napełniają worek szczęścia.

Nie będę się zadowalać pełnym workiem szczęścia. Nigdy. Niższe Miasto należy do mnie. Jego mieszkańcy są moi – jego dzieci są moje. Jeśli znajdę tych, którzy odpowiadają za wszystkie te porwania i zabójstwa, niech lepiej modlą się o łaskę. Bo jak już zatopię w nich zęby, nigdy nie puszcę. A zacznę od Węża Cienia.

Skończyliśmy kolację i wyszliśmy na dwie ostatnie godziny służby. Miałam o czym myśleć. Na szczęście wróciliśmy na Targ Nocny, gdzie zbyt wiele się działo, żebym miała czas na myślenie. Zaczęłam uczyć się odróżniać płotki od grubych ryb i wypatrywać najlepszych oszustów i złodziei.

Kiedy wróciłam do domu, miałam wrażenie, że oczy wychodzą mi z orbit, bo próbowałam patrzeć wszędzie naraz. Teraz pisząc w tym dzienniku, ledwie widzę.

Jestem Szczęściem dopiero trzy dni, a mam wrażenie, że minął już cały rok. Czuję, że bardzo się zmieniłam od czasu, gdy opisywałam pierwszy dzień. Kim się stanę pod koniec tygodnia?

Sobota, 4 kwietnia 246

Popołudnie, przed ćwiczeniami.

Dziś rano obudził mnie nie język Drapka, lecz gołąb, który mocno dziobnął mnie w policzek. Krzyknęłam i zrzuciłam go. Wrócił, wylądował mi na głowie i wbił pazury w moje włosy.

Drapek musiał otworzyć okiennice.

– Ty wyleniały, zapchlony kocurze! – krzyknęłam przez koldrę. – Chcesz, żeby zamordowano nas we śnie?!

– Pomyśli, że uciekłem – szepnął jakiś chłop. – Pomyśli, że nie kochałem jej ani dziewczynkę. Pomyśli, że dostałem dobrze płatną pracę i uciekłem.

Poczułam na całym ciele gęsią skórę. Powoli podniosłam obie ręce. Twardy dziób zacisnął się na delikatnej skórze między moim kciukiem a palcem wskazującym. Zamknęłam palce na ptaku, i ściągnęłam go, by na niego spojrzeć.

Klaps.

Uwolniłam dłoń z jego dzioba i spróbowałam zmienić uchwyt, by było wygodniej nam obojgu. Uwolnił skrzydło i pacnął mnie prosto w twarz. Był to gołębi cios. Dziobnął mnie w nos, gdy dosiadający go duch powiedział:

– Pomyśli, że uciekłem.

– Słyszałam. – Złapałam go za skrzydło i spróbowałam otrzeć załzawione oczy o ramię. To był bolesny cios. – Powiedz, gdzie znajdę twoje zwłoki. Wtedy będzie wiedziała, że nie żyjesz i nie możesz do niej przyjść.

– Pomyśli, że uciekłem – jęknął duch. – Jestem martwy w ziemi.

Klaps odwrócił łebek i dziobnął mnie w policzek. Krzyknęłam i go puściłam. Przeklęty ptak wyfrunął przez okno.

Wróci. Albo znajdę go, razem z jego jeźdźcem, wśród innych gołębi. Czy powinnam je nakarmić? Czy raczej spróbować znaleźć zamordowanych ludzi, o których mówiły pyłowe kręty? Sprawdziłam swoje ubranie. Wyrzałam przez okno. Sądząc z pozycji słońca, nie było jeszcze nawet dziewiątej. Miałam czas i musiałam zrobić parę rzeczy.

Musiałam dzisiaj wyprać mundur. Dzięki Goodwin miałam przygotowany drugi, czysty. Wymoczę ten ubłocony, a potem powieszę z obciążeniem na dwa dni. Jeśli pobrudzę dzisiejszy mundur, będę miała czysty na jutro.

Wciągałam spodnie, gdy usłyszałam krzyk jakiejś baby. Coś walnęło o moje schody. Wyprzedziłam Drapka w drodze do drzwi i otworzyłam je. Drzwi do mieszkania naprzeciwko były otwarte na oścież. Dzień przeprowadzki nowego sąsiada. Ktoś wchodził po schodach tyłem, w połowie pochylony, niosąc drewniany stół nogami do góry. Na stole leżały jakieś paczki i mała skrzynka. Druga osoba, idąca niżej, podtrzymywała kołyszający się mebel.

Kobieta, która znalazła się niemal na mojej wysokości, obejrzała się przez ramię i uśmiechnęła. Była to fehmistrzyni Aniki, ubrana w spodnie i koszulę z podwiniętymi rękawami. Znowu spojrzała na drugi koniec stołu.

– Rosto, zostaw to pudło! Kora może je wziąć, do licha. Jeśli spróbujesz je podnieść, wszystko inne zleci ze schodów! – Zwróciła się do mnie: – Chyba załadowaliśmy trochę za dużo. – Znowu zaczęła iść tyłem. W polu mojego widzenia pojawiła się reszta stołu i Rosto Muzykant, trzymający kołyszający się blat.

– Mówiłem, że podoba mi się ta ulica – powiedział do mnie. – A tutaj są trzy mieszkanek, ładne, puste i tanie. Wynająłem je wczoraj wieczorem. Ja i Kora mamy te dwa niżej, a ty dostaniesz Aniki za sąsiadkę.

Zamrugałam powiekami. Właśnie pojawiły się kłopoty, pomyślałam. A potem przypomniałam sobie, że stoję tam tylko w przepasce na piersiach i w spodniach. Krzyknęłam i zatrzasnęłam drzwi. Posprzątałam, namoczyłam mundur w misce, a w moim biednym umyśle zaczęła się gonitwa

myśli. Aniki i Kora wydawały się w porządku, jak na osoby stojące po przeciwnej stronie prawa. Prawdę mówiąc, miło byłoby mieć jakichś przyjaznych sąsiadów. Ale Rosto...

– Nie ma innych kwater? – spytałam Drapka, dotykając swoich włosów. Były zupełnie splątane. Rozczesałam je szczotką, a potem zmoczyłam grzebień, by zapleść równy warkocz. Kiedy skończyłam, odgłosy przeprowadzki ustały wraz z tupotem nóg, zbiegających po schodach i najchętniej nie pokazywałabym mu się więcej na oczy. Ale to niewykonalne, skoro ma tu mieszkać. Dobrze przynajmniej, że piętro niżej.

Ktoś zapukał. Wyjrzałam przez judasza i zobaczyłam na zewnątrz Korę oraz Aniki. Zmarszczyłam nos. Czulałam zapach przyprawionych pasztecików. Otworzyłam drzwi. Kora, schludna i czysta, w zielonej, bawełnianej sukience, przylegającej do bioder, podniosła nakryty serwetą koszyk, z którego dobywały się cudowne zapachy. Aniki stała za nią z dwiema butelkami.

– Przyniosłyśmy śniadanie, żeby dobrze zacząć jako twoje nowe sąsiadki – oznajmiła Kora z szelmowskim uśmiechem. – To paszteciki z piekarni niejakiej pani Noll. Na Dworze Łotra mówią, że jest najlepsza. Podgrzałam wszystko odrobiną magii.

Zaburczało mi w brzuchu. Minęło wiele czasu od wieczornego suchego kurczaka. Obie się roześmiały.

Pochyliłam głowę i wpuściłam je. Miałam wrażenie, że wniosły ze sobą słońce i świeże powietrze. Aniki odstawiła butelki i rozłożyła obrus na podłodze. Wzięłam z półki trzy kubki i talerze, po czym postawiłam je na środku obrusa, a Kora ściągnęła serwetę z koszyka. Usiadłyśmy po turecku, nadziewając paszteciki na noże, które nosiłyśmy przy paskach.

– Mamy co świętować – wyjaśniła Aniki z pełnymi ustami. – Ja i Rosto dostaliśmy pracę. Ja u Dawulla...

Skinęłam głowę. Dawull to rudowłosy przywódca Dzielnicy Nadbrzeżnej. Rozciągała się od Bramy Południowej do Bramy Północnej po obu brzegach rzeki.

Kora pociągnęła łyk wody jęczmiennej.

– A Rosto u Ulsy, która zawiaduje Ładnakością. – Posłała Aniki zawadiacki uśmiech. – Jesteś winna temu wysokiemu Psu od Cooper dwa srebrne noble. Założyłaś się z nimi, że Rosto będzie pracować dla Dawulla.

– Wiem, wiem – powiedziała Aniki, biorąc kolejny pasztecik. – A teraz mnie stać, żeby mu zapłacić.

Spoglądałam to na jedną, to na drugą. Kora i Aniki są tak odprężone i przyjazne, że najwyraźniej nie ma znaczenia, czy coś mówię, czy nie. Zachowują się, jakbyśmy znały się całe życie. Wiem, że niektóre Psy przyjaźnią się z ludźmi łamiącymi prawo. To możliwe pod warunkiem, że wszyscy przestrzegają zasad. Dopóki nie będą mi przekazywać wiedzy o działaniach przeciwko królewskiemu pokojowi i dopóki nie złapię ich na łamaniu prawa, możemy się przyjaźnić.

– Zastanawiasz się, jak Aniki może pracować dla jednego przywódcy, a Rosto dla innego? – spytała Kora, częstując Drapka kawałkiem pasztecika. – Nigdy nie zwróciliśmy się przeciwko sobie. Przełożeni przychodzą i odchodzą. Przyjaciele zostają na zawsze.

– Poza tym w czym problem? – Aniki wyciągnęła się na całą długość i oparła o ścianę, jakby siedziała na najwygodniejszym krześle. Rzuciłam jej parę poduszek. – Dzięki. – Wsunęła je sobie pod plecy. – Przywódcy Kayfera cały czas poświęcają na jego ochronę. Nie walczą ze sobą. – Uśmiechnęła się, lecz był to wilczy uśmiech, obnażający zęby. – Więc ja i Rosto nie musimy się obawiać walki, ale i tak byśmy się nie obawiali. To jak nazywa się twój Pies, Cooper? Ten, któremu jestem winna pieniądze?

– Tunstall – powiedziałam, patrząc, jak Aniki wygina dłonie. Chyba nawet nie wiedziała, że to robi, doświadczeni szermierze zawsze dbają o giętkość rąk. – Matthias Tunstall. Jego partnerka to Clary Goodwin. A ja jestem Becca.

Aniki splotła ze sobą palce obu dłoni, obróciła je wierzchem naprzód i wyciągnęła ręce najdalej, jak mogła. Spróbowałam.

– Powoli – ostrzegła. – Jeśli zrobisz to za mocno, możesz wyrządzić sobie krzywdę. Jestem Aniki Forfrynsing. A to Koramin Ingensra. Słyszałaś, jak Rosto mówił, że się tu wszyscy wprowadziliśmy.

– A z ciebie bardzo fajny koleżka – zwróciła się Kora do Drapka, biorąc go na ręce. – Aniki, dotknij jego sierści! Jak aksamit! – Popatrzyła na mnie. – Jeszcze nigdy nie dotykałam kociej sierści równie czystej i miękkiej. Jak to robisz, skoro biega po ulicach?

Drapek popatrzył na mnie. *Każ jej przestać*, powiedział po kociemu.

Odpowiedziałam spojrzeniem, mówiąc mu bezgłośnie: *Jest magiem. Sam to zrób.*

Kora właśnie znalazła miejsce, w którym najbardziej lubił być drapany, tuż pod szczęką. Kapryśny kot zaczął więc mruzczeć. Aniki przysunęła się, by też go podrapać.

– Za długo byliśmy w drodze – stwierdziła z westchnieniem. – Chciałabym się tu urządzić i mieć kota. Może ukradnę tego.

– Drapek nie da się ukraść. Uprzedzam – rzekłam ostrzegawczym głosem.

Cień przełamał światło padające z okna. Wszystkie trzy podniosłyśmy głowy. Kora wyciągnęła rękę. Widziałam błady, zielono-błękitny blask wokół czubków jej palców. Pokręciłam do niej głową. Na parapecie przycupnęły trzy gołębie: Klaps, Rózia i Biały Pieprz. Klaps, okazując zupełny brak rozsądku, zeskoczył na podłogę i pokuśtykał do naszego obrusa. Popatrzył na nas niczym jakiś prorok z legendy.

– Twój kolega? – spytała Aniki z drwiną.

Wzruszyłam ramionami.

Klaps zaczął dziobać okruchy. Widząc, że coś mu się trafiło, dwa pozostałe ptaki też do nas podleciały.

– Popatrz na to – szepnęła Kora. – Nawet nie drgnie.

Drapek siedział jej na kolanach i mruzczał. Nie zamierzał rezygnować z pieszczot.

Ponieważ dziewczyny nie krzyczały i nie żądały, żeby wypędzić te brudne ptaki – co często robiły moje siostry, Diona i Lorine – więc pokruszyłam kawałek swojego pasztecika i wyciągnęłam rękę z okruchami. Biały Pieprz podszedł bliżej.

– Mój synek jest kaleką – powiedział z zalem duch. – Kto się nim zaopiekuje? Handlarze niewolników zabrali jego mamę. Była bardzo piękna i wiedziałem, że nie będziemy mogli jej za-trzymać, ale robiliśmy, co mogliśmy. Kto się teraz nim zaopiekuje?

– To się nie miało zdarzyć – załkał duch Rózi. – Mieliśmy wykopać studnię, to wszystko, tylko studnię, i wykopaliśmy...

– Becca! Becca!

Wrzask żywego mężczyzny wyrwał mnie z zasluchania. Rozsypałam pozostałe w garści okruchy. Moje gołębie poderwały się do lotu, zostawiając odchody na podłodze, zanim uciekły przez otwarte okno. Aniki i Kora chwyciły sztylety.

– Becca, nie chowaj się cały dzień w pokoju! Masz się bawić z przyjaciółmi! Wiesz, co to przyjaciele?

– Ersken – powiedziałam z westchnieniem. Głowa mnie rozboleła, gdy z dudnieniem wbiegał po schodach. Byli z nim także inni, chyba że zabrał ze sobą tabun koni. – To mój przyjaciel Ersken – wyjaśniłam Aniki i Korze. – Inne Szczenię. Plus jeszcze jedno czy dwoje...

– To może być ciekawe – mruknęła Kora.

– Becco, życie to coś więcej niż spanie i chodzenie na służbę! – Verene pochodzi z Błękitnej Przystani i ciągle słysząc to w jej akcencie.

Drapek mruzczał po kociemu. A przynajmniej Aniki i Kora tak to słyszały. Aniki głaskała go i podziwiała za to, że taki z niego „gadatliwy mały futrzak”. A ja słyszałam: *Ludzie. Zawsze wpadają na dobre pomysły i przerywają nimi ważne sprawy w najgłupszych momentach.*

Powiedziałabym, że ma dość kiepskie zdanie o tych, którzy go karmią, lecz Ersken był już niemal na gorze.

– Becco, mówię poważnie! Otwórz te drzwi i... – Zatrzymał się w moich otwartych drzwiach i zamrugał powiekami. Verene i Phelan wpadli mu na plecy. Phelan był drugorocznym Psem, który przyjaźnił się z nami, Szczeniętami. – Jesteś... Cześć – powiedział do Kory i Aniki. – Bec, ty, eee...

Kora popatrzyła na niego z ukosa i uśmiechnęła się. Ersken był już ugotowany. Staje się równie nieśmiały, kiedy ładna dziewczyna zatrzepocze do niego rzęsami, jak ja na widok jakiegoś

przystojniaka. Aniki podniosła się. Jest od niego o pół głowy wyższa, kawał kobiety, z którą nie umiałby sobie poradzić.

Verene zaczęła chichotać. Weszła do środka i wyciągnęła rękę do Aniki.

– Jesteśmy przyjaciółmi Becki. Przyszliśmy, żeby nie zmieniała się w stary grzyb. Jestem Verene, to Phelan, a to Szczenię spanielowate nosi imię Ersken. Jest uroczy. Nie pokiereszuj go. – Ersken poczerwieniał jak burak.

– Wprowadzamy się, więc zaprosiłyśmy Beccę na śniadanie – wyjaśniła Aniki, ściskając dłoń Verene. – Na podłodze jest moja przyjaciółka, Kora. Mieszka teraz na dole. Ja jestem Aniki. Poznaliśmy Beccę na Dworze Łotra.

– Byłyście tam, kiedy Krzywonogi wpadł w szal? – spytał Phelan z błyskiem ciekawości w oczach. – Plotka głosi, że próbował zabić Łotra. Jakiś scanrański przystojniak uratował staremu Kayferowi życie.

– Ten przystojniak to ja – przemówił leniwy głos od strony drzwi.

Moi przyjaciele się odwrócili. Drapek wydał z siebie „mrt”, które oznaczało śmiech.

– Przyniosłem świeże jedzenie – oznajmił Rosto. Wszedł do środka. Zanim się zorientowałam, miałam na podłodze już sześcioro gości, dzielących między siebie świeżo upieczony chleb żytni i płatki owsiane. Rosto przyniósł też miękki ser do chleba, co w oczach moich przyjaciół uczyniło z niego równego chłopca.

– Czemu nazywają cię Muzykaniem? – spytała Verene, gdy wszyscy zostali sobie przedstawieni. Postarała się usiąść obok niego. Przystojni mężczyźni zawsze wpadali jej w oko.

– Bo całkiem nieźle gram, prawda, dziewczyno? – spytał. Aniki i Kora pokiwały głowami. Uśmiechnął się. Był to uśmiech ostry jak brzytwa, aż zaczęłam się zastanawiać, czy nie myśli właśnie o Kayferze Deernornie. Byłam prawie pewna, że Rosto zjawił się tu ze swoimi babami, żeby zająć tron Łotra. Sami nie mogli dać sobie rady. Trójka młodych zbirów stałaby na tym podwyższeniu krócej, niż trzeba by było poświęcić na posprzątanie krwi starego Łotra, bo zaraz dopadliby ich jego zwolennicy. Ale jako nowo przybyli nie mieli na dworze zadawnionych swarów i konfliktów. Jeśli zyskają przyjaciół, Rosto mógł mieć otwartą drogę do tronu.

Aby potwierdzić swoje słowa, wyciągnął spod tuniki flet i zaczął grać. Był bardzo dobry. Po chwili Verene rozpoznała jedną z melodii i zaśpiewała. Miała najpiękniejszy głos w całej Gwardii Starościńskiej. Kora dla nas zatańczyła. Rosto i Phelan dogadali się, że w różnych miastach spotkali tego samego wędrownego maga. W końcu postanowiliśmy, że ktoś powinien iść po obiad, zanim wszyscy oprócz Kory udamy się na służbę. Każdy dorzucił parę miedziaków. Ja i Ersken poszliśmy po kielbaski, więcej sera i parę zapiekanekek ze szpinakiem.

– Szkoda by było przymknąć któreś z nich – powiedział, gdy przez jakiś czas szliśmy w milczeniu.

Skinęłam głową.

– Myślisz, że Rosto cię lubi?

Szturchnęłam go.

– W końcu wprowadził się do twojego domu, nie?

– Powiedział, że podoba mu się lokalizacja. No i ma Aniki albo Korę.

– Rzekłbym, że obie.

– To jego sprawa.

– A gdyby musiał dodać ciebie?

– To z kolei moja sprawa. – Kopnęłam jakieś zgniłe warzywo, by ukryć rumieńce. – Poza tym – dodałam, opuszczając spojrzenie – musi mieć ze dwadzieścia dwa lata, jeśli ma tyle, na ile wygląda.

– O, to starzec – powiedział Ersken z szyderstwem w głosie. – Piękny jak wschód słońca, o ile jest w twoim typie. Nie patrz na mnie – powiedział, gdy wbiłam w niego spojrzenie. – To znaczy patrz, ale nie tak. Mam starsze siostry, zapomniałaś? Musiałbym siedemnaście lat trzymać głowę w Olorunie, żeby nie wiedzieć, od czego dziewczyny przebierają nogami.

Chciałam zmienić temat, bo nie miałam chęci rozmawiać o tym, czy widzę Rosta tak, czy inaczej, i jak on widzi mnie.

– Słyszałeś o Wężu Cienia? – spytałam.

Zmarszczył brwi.

– O Wężu Cienia? To znaczy, mówią, że Krzywonogi i Łotr rozmawiali o nim tamtej nocy, gdy tam byłaś...

– Właśnie o nim, tylko wcześniej. O kradzieży dzieci z Niższego Miasta. Grożeniu ludziom, którzy mieli coś wartościowego, i zabieraniu im dziecka, jeśli tego nie oddali. Słyszałeś? – Rozmowa z Erskenem nigdy nie sprawiała mi kłopotu. Bardzo ułatwiał sprawę. Inne dziewczyny mówiły, że jest zbyt miły, ale co w tym złego? Lepsze to niż ostry jak miecz sposób bycia Rosta.

– Czy ja coś słyszałam? – Wybuchnął śmiechem. – Becco, prowadzimy patrole dopiero od trzech dni! Jestem nowy w Niższym Mieście, pamiętasz? Dla mnie ściany nie mają uszu tak jak dla ciebie!

Gdyby ściany miały dla mnie uszy, jak ci się wydaje, wiedziałabym o Wężu, który porwał Rolonda, rok temu albo i dwa. Pomyślałam to, ale nie powiedziałam na głos. Za bardzo się wstydziałam.

Stałam i popatrzyłam przenikliwie.

– Może twoje Psy coś powiedziały, kiedy usłyszeliście o Krzywonogim.

Powstrzymał śmiech.

– Nie, ale. Chodź, powiedz mi, co wiesz, a i ja sprawdzę, co zdołam znaleźć.

Zatem mu powiedziałam. Teraz będziemy szukać tego Węża już we dwoje.

Po mojej służbie.

To był piękny wiosenny wieczór. Poczułam lekkie mrowienie, gdy Tunstall powitał mnie na zbiórce.

– Dziś w nocy wracamy do Szamba, Cooper. – Nawet wiosna niewiele zmienia w Szambie, chociaż pogoda była idealna, ani za zimno, ani za ciepło.

Po godzinie przeprowadziliśmy nalot na nielegalną aukcję niewolników. Jeden z Ptaszków Goodwin przyniósł jej informację i odszedł z miedziami, otrzymanymi w podzięcie. Aukcja odbywała się w walącej się stodole. Była duża i moje Psy postanowiły postawić mnie przy bocznym wejściu, podczas gdy jedno z nich weszło z przodu, a drugie od tyłu.

Na szczęście miałam wyciągniętą pałkę i byłam przygotowana na kłopoty. Przez moje drzwi wybiegł Szczur. Był wielkim mężczyzną, przerastającym mnie o głowę. Gdy zawołałam: „W imieniu króla!” i się z nim zwałam, obrócił się i przyłożył mi łokciem w kość policzkową. Mimo wszystko wytrzymałam i trafiłam go pałką tak, że umilkł i poświęcił mi całą uwagę. Założyłam mu więzy na nadgarstki, a potem zmusiłam, by ukląkł, dzięki czemu mogłam się dostać do jego kostek.

Goodwin wyszła sprawdzić, co ze mną. Gdy nas zobaczyła, posłała mi skinienie głową i ledwie widoczny uśmiech. Okazało się, że mój Szczur to herszt szajki, wredny typ, który próbował sprzedać tuzin niewolników, nie opłacając królewskich podatków. Nawet z guzem na kości policzkowej przymknięcie go przyniosło mi nie mniejszą satysfakcję niż złapanie Orvy Ashmiller.

Około dziewiątej ruszyliśmy na kolację do jadalni przy Bramie Północnej. Przez resztę zmiany pracowaliśmy w tej części Szamba. Panował spokój.

– Takie rzeczy się zdarzają – powiedział Tunstall, gdy człapaliśmy ulicą Włóczęgów z powrotem do budy. – Chciałbym złożyć Mithrosowi ofiarę, żeby wiedział, że jestem wdzięczny...

Mijaliśmy Dno Beczki, jedną z najgorszych karczm nad rzeką. Dowiodła słuszności swojej reputacji, gdy podwójne drzwi otwarły się na oścież i na ulicę wypadła grupa awanturników.

– Musiałeś kusić Staruchę – mruknęła Goodwin. Wyjęliśmy pałki. – Cooper, pilnuj, żeby ci, których wyciągniemy, już nie wracali.

Był to wspaniały widok, te moje Psy. Aby zniechęcić uczestników bójki, których wyrwali z kotłowaniny, uderzali ich sprawnie trzymanym w garści końcem pałki. Nasza broń zadawała tyle bólu, że czuły go nawet te zachlane świnie.

Kłopoty zaczęły się, gdy nadrzeczne cwaniaki, bijące się w środku, usłyszały, że ktoś tłucze ich kumpli na zewnątrz. Poczułam w brzuchu bzyczenie pszczoł, gdy zataczając się, zaczęły wylewać się z karczmy. Wiedziałam, że moje Psy to twardziele, ale w tej sytuacji wydawało się, że kapuścianych łbów jest za dużo, a pałek – za mało. Zrobiło mi się sucho w ustach.

Kiedy jedna baba, o mięśniach ramion dwa razy większych niż moje, chwyciła Goodwin, nawet nie pamiętam, kiedy postanowiłam sprzeciwić się rozkazom. Odepchnęłam ją, tak jak uczyła nas sierżant Ahuda. To zwróciło na mnie uwagę awanturników. Otoczyła mnie i porwała ze sobą fala ludzkich ciał. W jakiś sposób wciągnięto nas do środka razem z resztą walczących. Obracałam się, biorąc przykład ze swoich Psów, i czułam, jak moja pałka trafia w cel. Pamiętam, że próbowałam wetknąć sobie gwizdek do ust i wezwać innych gwardzistów. Ktoś odciął sznurek od mojego paska, a przy okazji zadrasnął mi rękę. Bałam się. Prędzej czy później musiałam się przewrócić i dać stratować. Chociaż się starałam, nie mogłam się przybliżyć do Goodwin i Tunstalla.

Nie sądzę, by Tunstall w ogóle pamiętał, że ma gwizdek. Walił po łbach swoją pałką i ryczał jak wściekły. Goodwin dmuchała w gwizdek, jednocześnie kładąc pokotem zarówno baby, jak i chłopów. W którymś momencie walki postanowiłam, że chcę zostać Clary Goodwin, jeśli przeżyję. Nie wiem, czy było to przed, czy po tym, jak czyjaś silna pięść trafiła mnie w lewe oko.

Kopnęłam, tak jak mnie uczono. Nagrodą był krzyk bólu. A potem usłyszałam koci okrzyk bojowy. Drapek wylądował na głowie chłopca, który wyciągnął nóż na Tunstalla. Mój kot oślepił nożownika zadrapaniami, z których krew pociekła mu w oczy. Potem Drapek dopadł drugiego Szczura, zanim tamten zdołał go pochwycić.

Przekłete Psy, które nie słyszą gwizdka!, zawył.

Ktoś popchnął mnie na stół. Mocno przyłożyłam mu w głowę, a potem pchnęłam za siebie. Usłyszałam, jak uderza w meble. Gdzieś z tyłu dobiegł mnie głos kobiety, niski i przyjemny.

– Chcę tylko upić się w spokoju swoim piwem, po tym jak od miesiący jadłam górski kurz. Bogini, czy proszę o zbyt wiele?

Nie sądziłam, by Bogini była gdziekolwiek w pobliżu. Obejrzałam się, na wypadek gdyby wstająca od stołu kobieta potrzebowała uderzenia pałką w głowę. Była niemal równie wysoka jak Tunstall, miała kasztanowe włosy, piwne oczy, długi nos, szerokie barki i była odpowiednio szczupła, jak na swój wzrost. Nosila brązowy skórzany kaftan i spodnie oraz koszulę, która być może kiedyś była biała. Skórzane pochwy jej sztyletu i miecza były nie mniej sfatygowane niż jej ubranie i buty.

Wysoka baba przedarła się do baru. Złapała karczmarza za koszulę, zabrała dobrze wypolerowany kij, który ścisnął, i odepchnęła go z powrotem do jego kryjówki.

Złapały mnie jakieś ręce. Znowu byłam zajęta. Robiłam, co w mojej mocy, ale zaczynałam odczuwać zmęczenie. W końcu przypomniałam sobie nauki Ahudy i przecisnęłam się do ściany. Oparłam się o nią plecami, by już nikt nie mógł mnie zaatakować od tyłu. Ostrożnie przedostałam się w kąt, wciąż mając ścianę od strony podbitego oka. Nie podobała mi się ograniczona swoboda ruchów rąk, ale było to lepsze niż walka po oślepionej stronie.

Goodwin cofała się w moim kierunku, wykorzystując krótką przerwę w bijatyce. Kobieta w brązie machała kijem niby mieczem. Za nią słał się szereg powalonych awanturników. Niektórzy stwierdzili nawet, że wystarczy tej zabawy. Wymykali się bocznymi drzwiami. Jeszcze więcej wpełzało przez frontowe.

Zanim kobieta i Tunstall spotkali się pośrodku sali, Goodwin dotarła do mnie. Oparła się o ścianę, ciężko dysząc.

– Kiepsko wyglądasz – powiedziała. – Skąd leci ci krew? Pokazałam rękę. Odcięła pasek materiału z koszuli chłopca, którego powaliłam, po czym zawiązała mi nim ranę.

– Noś zapasowe chustki i kawałki lnu. Od razu obwiążuj skaleczenia – powiedziała mi, gdy zasupywała opatrunek. – Inaczej umrzesz z upływu krwi, kiedy ktoś wsadzi ci ostrze między żebra.

– Wzięła ze stołu dzban, który ocalał z walki, i pociągnęła duży łyk jego zawartości. Następnie kazała wypić trochę i mnie. Było to piwo. Przez chwilę patrzyłyśmy, jak Tunstall wymienia ciosy ze zwinnym, choć grubym chłopem.

– Cooper, dobra robota pałką. Bardzo ładnie. – Goodwin wzięła głęboki wdech, po czym odwróciła wzrok. W końcu nachyliła się i przemówiła cichym głosem: – Mnie i Tunstallowi dopisało tu szczęście, Cooper. Dobrze walczysz, dzięki Bogini. Nie uważaliśmy na ciebie tak, jak powinniśmy. Większość Szczęniat już by nie żyła, rozumiesz? Bo to nie jest walka, jaką przeżywa Szczęnię niepilnowane przez swoje Psy. W przyszłości będziemy bardziej na ciebie uważać.

– Wykonywałam swoje zadanie – odparłam.

– Zamknij się. To my wykonywaliśmy swoje, ja i Tunstall. Robiliśmy to, co kiedyś, po prostu rozbijaliśmy łby. Teraz już nie możemy. Musimy opiekować się tobą. – Pokiwała głową. – Uczymy się roli wychowawców nowego Psa tak samo, jak ty uczysz się roboty gwardzisty, ale to żadna wymówka. Starsze Psy pilnują młodszych, taka jest zasada. Dobra, jak myślisz, kim jest nasza pani rycerz?

– To rycerz? Po czym to poznać?

Ucieszyłam się na widok krzywego półuśmiechu Goodwin.

– Widziałam ją i czwórkę innych rycerzy, jadących Aleją Posłańców, po drodze do budy dziś po południu. Nie dostrzegłam wiele poza kształtem tarczy, ale miała zbroję i konia z rzędem. Poza tym rycerze poruszają się w charakterystyczny sposób, trzymają głowę tak wysoko, jakby prosili się o cios w podbródek.

Uśmiechnęłam się. Wszyscy lubimy potężne uderzenie pałką w szczękę, nawet jeśli nie zawsze Szczur traci po nim przytomność. Goodwin jest rekordzistką pod względem liczby idealnie celnych, czystych ciosów, po których Szczury wynoszono zupełnie nieprzytomne.

Naszą uwagę przyciągnął zgrzyt drewna. Jednooka baba podniosła drewnianą ławę z zamiarem rzucenia nią w panią rycerz. Goodwin ruszyła naprzód na pomoc, ale pani rycerz odwróciła się, dostrzegając niebezpieczeństwo, które groziło jej i Tunstallowi. Nie traciła nawet czasu na krzyk. Zaplotła wolną rękę na szyi gwardzisty, podcięła jego nogę i pociągnęła go w dół oraz na bok. Upadli, gdy baba cisnęła ciężką ławą. Ława przeleciała im nad głowami i walnęła w trzech awanturników, którzy ruszyli w kierunku Tunstalla. Gdy ten wraz z kobietą dźwignął się na nogi, Goodwin znowu oparła się o ścianę.

– Nic im nie jest – stwierdziła. – Nie potrzebują mnie.

Drapek podszedł do nas i usiadłszy na podłodze, zaczął myć łapy. Nachyliłam się, by go pogłaskać, ale zorientowałam się nagle, że podłoga ode mnie ucieka.

– Na zarazę – szepnęła Goodwin i mnie złapała.

Wyprostowałam się z jej pomocą i pozwoliłam zaprowadzić na ławę.

– Przykro mi – mruknęłam, czując się żałośnie.

Kot wskoczył mi na kolana i zaczął ze mną rozmawiać. *Rozchmurz się, świetnie sobie radzisz. Nauka boli.*

– To z upływu krwi. – Goodwin usiadła na stole obok mnie i skrzyżowała ręce na piersi. – Kręci się od niego w głowie. Uzdrowicielka cię wyleczy, Cooper.

Tunstall i pani rycerz zajęli się ostatnią parą przeciwników. Żaden ze Szczurów nie wydawał się zbyt bystry, ale najwyraźniej nie byli aż tak głupi. Widząc, że wokół nie mają już żadnych kumpli, uciekli.

Kobieta popatrzyła na Tunstalla, potem na Goodwin i na mnie, a na koniec wsparła się na swoim kijku.

– No – odezwała się, lekko zdyszana – to było ożywcze. Macie tu waleczne Szczenie, ale omal nie zginęło. Ja nie zabrałabym giermka do walki, w której nieprzyjaciel ma siedmiokrotną przewagę liczebną. Samemu nadstawiać karku to jedno, a ryzykować życie kogoś, kogo szkolisz, to co innego.

Tunstall skrzywił się.

– Cooper umie o siebie zadbać, a jeśli nie, możemy zadbać o nią my, jakkolwiek cię zwą. – Potem mi się przyjrzał i zaklął. – Na mleko wołu!

Przysięgam, że to przez upływ krwi wypowiedziałam słowa:

– Nic mi nie jest. – Zabrzmiało to na tyle głośno, że usłyszała mnie nawet ta kobieta. Było to żalosne kłamstwo. Kręciło mi się w głowie, gdy to mówiłam.

Kobieta odrzuciła głowę w tył i wybuchnęła śmiechem. Nie był to dźwięczny śmiech, lecz gardłowy rechot.

– Naprawdę waleczne Szczenie. – Podeszła do Goodwin i uśmiechnęła się. – Jestem Sabine z Macayhill, pani rycerz.

– Clary Goodwin z Gwardii Starościńskiej. Mój partner nazywa się Matthias Tunstall, a to

jest Rebecca Cooper. – Uśmiechnęła się do szlachcianki. – Dziękuję za pomoc w rozprawie z tą hałstrą. Niech mnie лихо porwie, jeśli wiem, dlaczego nikt nie odpowiedział na mój gwizdek...

Czworo Psów weszło przez drzwi frontowe, żadnego z nich dobrze nie znałam. Tunstall zbliżał się do nas, więc usłyszałam jego wymruczane pod nosem słowa:

– Psie łajno.

– Ktoś powiedział, że słyszał stąd gwizdek Psa. Przyszliśmy najszybciej, jak się dało – odezwał się największy z tej czwórki, rozglądając się dookoła. – Zdaje się, że nie byliśmy wam potrzebni.

– Zmiana warty – stwierdziła Goodwin i westchnęła.

Teraz wszystko nabrało sensu. Widocznie było później, niż sądziłam. Gwardziści ze straży wieczornej albo zmierzali do budy, albo już w niej byli, kiedy Goodwin dmuchnęła w gwizdek. Straż nocna składa się z najgorszych gwardzistów w dzielnicy, powolnych, nadąsanych albo po prostu leniwych. Ktoś zaniósł wieść o naszym alarmie do budy, bo za to dostawało się miedziaka, a Psy z nocnej nie spieszyły się przesadnie z pomocą.

W jednej chwili wezbrał we mnie tak silny gniew, że aż ścisnęło mnie w gardle. Nie wiem, jak z ocaleniem życia, ale te gnojki mogły mi z pewnością oszczędzić niezłego manta. Gdybym miała dość siły, nie wiem, czy nie rzuciłabym się na tych czterech nierobów, żeby przywalić im w zakute łby.

Drapek nastroszył sierść, aż wydawał się trzy razy większy, niż był w istocie. Skoczył tępeму Psu na pierś. Zawył jak jakiś przybysz z Krain Chaosu i przeraził Psa oraz jego koleżków tak bardzo, że wpadali na siebie, byle tylko się od niego oddalić. Potknęli się i przewrócili na cwaniaków na podłodze. Na ich nieszczęście, ci ludzie właśnie dochodzili do siebie i byli mocno wkurzeni.

– Szybko – szepnęła pani Sabine. Wskazała boczne drzwi.

Zanim się zorientowałam, co się dzieje, Tunstall poderwał mnie za ramiona. Razem z Goodwin i panią Sabine wbiegł w boczny zaułek. Za sobą usłyszeliśmy odgłosy kolejnej walki.

Drapek dogonił nas na Włóczęgów. Objął przewodnictwo, trzymając ogon wysoko niczym chorągiew. Wydawał się z siebie bardzo dumny.

Kiedy już zajęła się mną uzdrowicielka, Goodwin, Tunstall i pani Sabine odprowadzili mnie z powrotem do Zaułka Drobnomiedzi, a Drapek jechał to na ramieniu Goodwin, to pani Sabine. Po tem cała trójka oddaliła się w poszukiwaniu posiłku. Wyglądało na to, że Tunstall wybaczył pani rycerz jej dezaprobatę, przynajmniej na tyle, by razem zjeść. Ja i mój kot poszliśmy się położyć.

Niedziela, 5 kwietnia 246

Dziś rano otworzyłam drzwi Korze, Aniki i cudownej woni podgrzanych pasztecików z kossyka na ramieniu Kory. Pomimo zmęczenia i bólu na wpół zagojonych obrażeń uśmiechnęłam się na widok dziewczyn. Były z nich niezłe szelmy, a ja mam do szelm słabość. Inaczej czemu chciałam bym mieszkać w Niższym Mieście? Jaśnie Pan mówi, że najlepsze Psy mają w sercach trochę nikczemności.

– Śniadanie? – spytała Aniki. – Słyszeliśmy, że ostatniej nocy tańczyłaś z łobuzami znad rzeki. Musisz nabrać sił.

– Jaka ładna śliwa pod okiem – rzuciła Kora. – Ten siniak na policzku też mi się podoba. Przed czy po leczeniu?

– Po – odparłam. Burczało mi w brzuchu. Następnego dnia po kontakcie z uzdrowicielem zawsze byłam strasznie głodna. Kora podała mi pasztecik z baraniną. Zjadłam go od razu, usuwając się w bok, by je wpuścić. – Skąd się dowiedziałyście? – spytałam, gdy Aniki rozłożyła obrus, a Kora zaczęła rozstawiać moje talerze.

– U Dawulla – powiedziała Aniki. – Wieści od razu do nas dotarły. Niektórzy z naszych zbiorów chcieli iść pomagać tym znad rzeki, ale Dawull się nie zgodził. Dowiedziałam się, że nie pozwala swoim ludziom walczyć z twoimi Psami. Mówi, że to zbyt trudni przeciwnicy.

Przyznaję, że poczułam się mile połączona. Aniki i Kora bez wątpienia miały ciężkie życie. Mówiły o moich obrażeniach i moich Psach, jakbym należała do tego świata, więc miałam wrażenie, że mnie w nim akceptują. Jakbym nosiła obwódkę Szczenięcia, ale miała status Psa. A zapłaciłam wysoką cenę za te obrażenia. Nawet po leczeniu będą całymi dniami utrzymywać się na mojej twarzy. Dobrze, że oprócz bólu wywołują szacunek.

Znalazłam butelki kwasinki i wody jęczmiennej z wczoraj, po czym postawiłam je i otworzyłam okiennice. Na parapecie czekały już na mnie gołębie z duchami zmarłych. Nakarmiłam je ziarnem, a po chwili pojawił się Rosto, który przyniósł więcej jedzenia.

– Ucałuję je, to przestanie boleć – powiedział na widok moich siniaków.

Cofnęłam jedną stopę, by poprawić równowagę, zacisnęłam pięści i uniosłam ręce do pozycji obronnej.

– Spróbuj, a sam będziesz poturbowany – powiedziałam. – Wtedy Aniki i Kora mogą całować ciebie.

Kora uśmiechnęła się.

– Aniki może się tym zająć. Rosto, nie drażnij Becki. Nie lubi tego.

Drapek podreptał do Rosta i wspiął się na tylne łapki, delikatnie wyciągając przednie do jego nóg. Mruknął: „mrt?”. Na tyle głośno, że ten spojrział w dół, a potem poklepał go po łebku.

Rosto westchnął.

– Chciałem być uprzejmy – poskarżył się. – Dzisiejsze czasy są okrutne, skoro chłop nie może być uprzejmy. – Obszedł kota i usiadł na obrusie na podłodze. – Zobaczymy, czy jutro przyniosę ci jakiś przysmak, panie kocie. – Podniósł na mnie wzrok. – Czy w ogóle będzie jakieś jutro? Pomysł ze śniadaniem jest całkiem niezły, nawet jeśli ciągle pojawiają się jakieś zagrożenia i okropne ptaki.

„Okropne ptaki” nie zwróciły na niego uwagi, zbyt zajęte walką o ziarno na moim parapecie. Odpuściłam pozycję obronną, wciąż nieco skołowana po leczeniu, i usiadłam na stołku.

– Nie jutro, we wtorek mam wolne. Wcześniej wychodzę, by odwiedzić rodzinę – oznajmiłam. – A jutro mamy dzień w Sądzie Miejskim. Zaczyna się godzinę po wschodzie słońca.

– Faj! – wykrzyknął Rosto z grymasem obrzydzenia. – Za mało ci płacą, skarbie.

Skrzywiłam się do niego. Nigdy mu nie powiem, że lubię jego towarzystwo. Dodatkowe jedzenie to miła rzecz, ma się rozumieć, szczególnie na początek dnia. I odgryzłabym sobie język, zanim powiedziałabym to na głos, ale Rosto jest zabawny.

No dobrze. Napiszę prawdę, skoro i tak tylko ja mogę to przeczytać.

Sprawia, że skóra, brzozki i inne części zaczynają mnie w miły sposób szczytać. Nic z tego nie będzie. Bez wątpienia przeznaczone jest mu zostać kimś znacznie więcej niż zwykłym zbirem, co oznacza, że pewnego dnia znajdziemy się po przeciwnych stronach sporu. Poza tym ma Aniki i Korę. Wolę być ich przyjaciółką niż rywalką.

Ale po godzinach ciemności i stresach nocnej służby miło jest usiąść w blasku dnia przy jedzeniu, wśród ciekawych ludzi. Mądrych i z poczuciem humoru. Takich, którzy wiedzą, jak mnie rozśmieszyć, i dbają, by nie rozboleła mnie przy tym policzek.

Ersken i Verene pojawili się niewiele później, przynosząc kiełbaski w cieście i plotki. Jeden z baronów w dzielnicy Jednorożca przyłapał swoją żonę, gdy migdałiła się z hrabią. Bez względu na tytuły nie mogło obyć się bez wyzwania. Pani Bircher, żona przewodniczącego Gildii Złotników, sprezentowała mężowi bliźnięta. To było w dzielnicy Migot. Tamtejsze Psy czeka frajda związana z obstawieniem uroczystości z tej okazji. Nas zaś czeka spokojna noc, bo wielu naszych oszustów i złodziei ruszy na żer właśnie tam.

– Pamiętasz Alację? – spytała Verene. Naszym przyjaciołom wyjaśniła: – To także Szczenię, nazwane na cześć jej wysokości pierwszej królowej. Aż do dzisiaj pełniła straż dzienną w dzielnicy Jednorożca. Potem mój pan z Olau dowiedział się, że jego najmłodsze dziecko i jedyny syn flirtuje z ładnym Szczenięciem.

– Szybka robota – stwierdziła Aniki z szacunkiem. – Pełnicie służbę... ile, pięć dni?

– Cztery, nie licząc dzisiejszego – odrzekł Ersken. To pedant, gdy idzie o liczby.

– Tak czy owak... – powiedziała Verene. Nie cierpi, gdy ktoś jej przerywa cudowne plotki. Ja nigdy tego nie robię, bo ta dziewczyna ma lepsze plotki niż większość Psów. Jej matka jest barmanką w Delicjach Naxena, gdzie natychmiast dowiadują się o wszystkim, co się wydarzyło. – Tak czy owak, szlachetny ojciec chłopaka dostał szału w budzie w dzielnicy Jednorożca, więc zamienili Alację i Clarke'a. Pełnił straż nocną w Ładnałości. Teraz jej trafiła się straż nocna.

Rosto podrapał się po brodzie.

– Czyli ta Alacja to taka ślicznotka? Będę miał na nią oko, czy jest Psem, czy nie.

Aniki mocno szturchnęła go łokciem.

– Mało ci kobiet w twoim życiu, Rosto?

Posłał mi spojrzenie, które w jego własnej opinii było trzeźwe.

– Bez Cooper. mało.

– Cooper nigdy nie pójdzie z kimś, kto jest na bakier z prawem – przemówił Ersken. – Pewien bandzior źle traktował jej matkę. Nigdy mu nie wybaczyła.

Mogłam udawać, że nie słyszałam, bo Klaps właśnie robił miejsce dla nowego gołębia, którego dotąd nie widziałam. Smutny przypadek. Ptak o zlepionych piórach, którego natychmiast nazwałam Żebrakiem. Może był szary pod brudem na skrzydłach i brzuchu. Jego duch, tak jak duchy innych zamordowanych kopaczy, skarżył się, że został pochowany, podczas gdy jego krewni sądzą, że uciekł.

Gdy już wysłuchałam, co ma do powiedzenia, dobiegł mnie głos Verene.

– Pamiętasz tego Psa, co to nauczył nas rozpoznawać kości, przy których majstrowano? Był w straży nocnej.

Dobrze go znałam. Pamiętałam widok jego palców, trzymających zestawy kości, na przykładzie których nas uczył. Umiał trzymać ich pięć w jednej dłoni i rzucać nimi tak, że wszystkie lądowały w jednym kręgu, wyrysowanym na ziemi.

Verene przeciągnęła palcem po szyi.

Ścisnęło mnie w piersi.

– Nie żyje? – szepnęłam.

Ersken pokiwał głową z ponurą miną.

– I nie pójdziemy na pogrzeb. Na bramie budy wisi kartka. Widzieliśmy ją po drodze. Znaleźli go z jego kośćmi w ustach. Wszystkie były oszukane. Rozkaz Jaśnie Pana, z jego pieczęcią, głosił: „Pochować go z Psami, ale nie jako Psa”.

Wszyscy nakreśliliśmy na swoich klatkach piersiowych znak odpędzający zło. Drapek pod-

szedł do mnie i usiadł na moich skrzyżowanych nogach, by pomruczeć. Oczywiście, że trafiały się nieuczciwe Psy. Sama umiałabym wymienić kilkoro. Ale oto pierwszy Pies poniósł śmierć, odkąd znalazłam się w szeregach straży. To smutne.

Dam na modlitwy za niego. Nie podoba mi się, że był nieuczciwy. Ale to jednak Pies.

Siedzieliśmy i rozmawialiśmy o innych rzeczach, gdy słońce wspinało się wyżej i w pokoju zrobiło się ciepło. Chciałam wyjść i nakarmić więcej gołębi. Mogli być jeszcze inni zabici razem z tymi duchami, które dosiadały biednego Żebraka i Klapsa. Może gdybym miała wszystkich pochowanych razem, doprowadziliby mnie w miejsce, gdzie ich pogrzebano. Ale byłam otępiała po leczeniu, jak to się często zdarza następnego dnia, zwłaszcza po utracie krwi.

– Musisz się zdrzemnąć – stwierdziła Kora, widząc, że zaczynam mrugać powiekami. – I zabiorę twoje ubranie do prania. Możesz mi płacić trzy miedziaki za każde pranie?

– Pranie? – powtórzyłam.

Kora podniosła mój koszyk.

– Zielarki na razie nikogo nie zatrudniają. Mam znakomite zakłęcia, które błyskawicznie czyszczą ubranie.

– Będziesz sobie liczyć trzy miedziaki? – spytała Verene. Kora popatrzyła na nią.

– Pięć od tych, którzy nie mieszkają w moim domu.

– To może moje też oczyścisz? – spytał Ersken. – Zapłacę pięć miedziaków, i to z wielką chęcią.

Kora uśmiechnęła się do nich.

– Szybko, idźcie po swoje rzeczy.

Ersken i Verene pobiegli przynieść swoje pranie.

– To nie w porządku – powiedziałam. Nie miałam siły się klócić, taka byłam zmęczona.

– Odprawiam trochę czarów z mydłem i są czyste, potem jeszcze trochę i są suche. Mogłabym zarobić fortunę jako praczka – stwierdziła Kora. – Najgorsze jest noszenie mokrych rzeczy.

Aniki i Rosto sprząтали resztki śniadania.

– Weź jakieś uliczne dzieciaki do pomocy – podsunęła Aniki. – Po miedziaku od łebka i same zrobią pranie.

– Wyobrażam sobie – odparła Kora. Popatrzyła na mnie. – Powiesz, że sama umiałabyś lepiej?

Ziewnęłam.

– Nie.

– No to cicho. Prześpij się, póki nie musisz iść na służbę. Opisałam dzisiejszy ranek po południu, kiedy już się obudziłam. Gdy otworzyłam oczy, moje czyste pranie leżało w koszyku przede mną, schludnie poskładane. Po drodze na ćwiczenia zostawię trzy miedziaki pod drzwiami Kory.

Po służbie.

Dziś w nocy Tunstall, Goodwin i ja wróciliśmy na ulice wokół Targu Nocnego. A teraz napiszę o szczegółach. Były bijatyki w karczmach i napaści. Przerwaliśmy bójkę między hazardzistami, gdy jakiś mężczyzna stwierdził, że baba go oszukała. Sama zatrzymałam pięciu rzezimieszków i trzech złodziei, ale nie kradli nic na tyle wartościowego, by ich zamykać.

Złapaliśmy chłopca, próbującego sprzedać dzieci, do których nie miał prawa, po czym zabraliśmy go do budy wraz z handlarzem niewolników, który miał mu zapłacić. Trójkę omal nie sprzedanych dzieci zaprowadziliśmy do domu. Jedna z bab nawet się jeszcze nie zorientowała, że jej synek zaginął. Była zajęta szyciem eleganckiej sukni dla wielmożnej pani i musiała ją skończyć do rana. Sądziła, że sąsiadka wciąż zajmuje się jej dzieckiem.

I to chyba cała praca, którą wykonaliśmy. Wypełniłam rozkaz i wróciłam do domu zaraz po odmeldowaniu, by napisać te słowa. Jestem zupełnie wykończona służbą w tym tygodniu, a jeszcze jutro Sąd Miejski. To tyle, jeśli chodzi o dobre intencje i chęć zapisywania wszystkiego od pierwszego dnia w gwardii.

DZIEŃ W SĄDZIE!!!

Tego dnia, ostatniego przed naszym dniem wolnym, nie miałam czasu na śniadanie. Pochłonęłam czerstwe bułki i ser, po czym o siódmej rano zameldowałam się w Sądzie Miejskim dla Niższego Miasta. W poniedziałek Psy ze straży wieczornej zeznają w sprawie Szczurów przyskrzynionych w minionym tygodniu. Mówią, czym Szczury zasłużyły sobie na aresztowanie i w razie potrzeby bronią własnych działań podczas takiej akcji. Tunstall i Goodwin złożą raporty na żądanie adwokata starościńskiego i odpowiedzą na pytania królewskiego sędziego. Szczenię nie ma wtedy wiele do roboty, musi się tylko przysłuchiwać, bo kiedyś będzie musiało robić to samo. To Psy piszą raporty i przedstawiają sądowi poszczególne sprawy.

Miałam większą część długiego dnia na sprawdzenie, czy wszystko, co słyszałam, jest prawdą. Sąd Miejski działa w dość prosty sposób. Za niektóre Szczury, dzięki pieniądzom lub patronom, przemawiają adwokaci. Ci prawnicy przekonują czasem sąd (pan Tullus z Królewskiej Dziedziny zajmuje się aresztowaniami straży wieczornej) do skazania oskarżonego na grzywnę, chłostę, dyby, więzienie Zamurze albo pracę w obrębie Corus czy też w gospodarstwie, a nie na coś gorszego. Ciężkie wyroki to na przykład praca na drogach królestwa, w kopalniach, dokach albo kamieniołomach, aż po śmierć dla morderców i podpalaczy.

Byłam zaznajomiona z sądem przy ulicy Jane, bo doręczałam tam wiadomości, zanim zaczęłam szkolenie. Mimo wszystko dziwnie było siedzieć na ławach dla Psów z Tunstallem i Goodwin, kolegami Szczeniętami oraz ich Psami. Ersken zajął miejsce obok mnie. Razem czytaliśmy napisy, wyryte przez znudzone Psy na niskich oparciach ław przed nami.

Nie było jednak tak, że cały czas upłynął nam na wysłuchiwanie raportów i podziwianiu kolejnych historii. Za siedzeniami Psów znajdowała się ściana z krat, która oddzielała część urzędową sądu od części dla gości. Po tamtej stronie wiele się działo. Przebywali tam między innymi krewni, przyjaciele i ukochani Szczurów, które tego dnia usłyszały wyroki. Mieli przeróżne rzeczy do powiedzenia, niezależnie od tego, czy to my byliśmy tymi Psami, które przymknęły ich bliskich, czy też nie. Z kolei inni przyszli tylko dla rozrywki. Wzdłuż ściany, za kratami stały Psy z zadaniem utrzymywania porządku.

Kiedy znudziła mnie obserwacja tłumu, zaczęłam patrzeć na urzędników sądowych, usadowionych przed ławkami Psów. Był tam stół dla adwokata starościńskiego, na którym trzymał swoje liczne spisy i notatki, oraz drugi, dla obrońcy wynajętego przez Szczury. Tego dnia widzieliśmy kilku adwokatów. Magowie, którzy mieli bronić porządku przed innymi magami, zasiadali w ławach z przodu pomieszczenia. Sądowy herold siedział obok takiego maga, z listą w jednej ręce i laską w drugiej, gdy akurat nie odczytywał nazwiska Szczura, nazwisk zaangażowanych Psów czy zarzutów. A przy wielkim biurku, wyższym niż my, zasiadał sam sędzia w towarzystwie dwóch żołnierzy w mundurach, reprezentujących autorytet króla. Pan Tullus od sześciu lat sprawował pieczę nad sprawami straży wieczornej. Jaśnie Pan mówił, że jest sprawiedliwy i zna się na prawie lepiej niż większość. Zdaniem Psów był trochę niecierpliwy, gdy ktoś się wahał.

Około trzeciej po południu wprowadzono Orwę Ashmiller. W świetle dnia wyglądała żałośnie, oblepiona błotem z klatki. Zakuto ją w łańcuchy, co stanowiło istną zagadkę. Była bardzo chuda i zdawało się, że kajdany lada chwila same zsuną się z jej nadgarstków. Gdyby nie wspomnienie wielkiego noża, zrobiłoby mi się jej żal. Po chwili mnie zauważyła.

– Ty zdiro! – Rzuciła się na mnie. Złapała Psy klatkowe na drzemce. Zanim durnie się pozbierali, Orwa runęła głową naprzód, potykając się o łańcuch u nóg. Podniosła się, pozostając na czworakach, by wrzasnąć: – Zabrałaś mi dzieci! Obróciłaś przeciwko mnie mojego mężczyznę, ty szmato, ty flądru, ty świnió... – Znowu rzuciła się w przód i upadła. Już wiedziałam, po co ją skuli. – Wytnę ci wątrobę, ty kostropata pijawko! Czemu mnie nie puściłaś? Zrujnowałaś mi życie!

Tłum, który przybył tu dla rozrywki, wył i gwizdał. Chciałam zniknąć. W najmniejszym

stopniu nie było mi już żal Orvy.

– Spokojnie – szepnął Tunstall.

Spojrzałam w powietrze ponad ramieniem pana Tullusa. Jaki wspaniały omen na początek mojego pierwszego dnia w sądzie. Pijaczka, oskarżająca mnie o kłopoty, w które sama się wpakowała, robiła teraz ze mnie przedstawienie.

Zaspane Psy, które pozwoliły jej się wyrwać, podeszły i złapały babę za ramiona, by dźwignąć ją na nogi. Powtarzałam sobie, że bez pieniędzy i adwokata najlepsze, na co mogła liczyć za uderzenie Psa, to kilka lat w gospodarstwie. Długo jej zatem nie będzie i może w tym czasie wino gorącej krwi wyparuje z jej żył.

– Mamo!

Wtedy zamknęłam oczy, żalując, że nie mogę wsiąknąć w szpary w podłodze. Po co przyszły tu dzieci? Zerknęłam w tył, gdzie stał tłum. Oczywiście przyprowadził je mężczyzna, całą trójkę. Pan Ashmiller nie patrzył na mnie, podnosząc maleństwo do krat. Co on sobie myślał? Dlaczego chciał, by zobaczyły mamę w takim stanie? Wciąż krzyczała, a spomiędzy jej warg wylatywały kropelki śliny. Obrzucała mnie wszelkimi możliwymi wyzwiskami, ani razu nie spoglądając na wołające ją maluchy.

Herold uderzył laską o podłogę, nie odniosło to jednak żadnego skutku. W końcu pan Tullus kazał klatkowemu Psom zakneblować Orwę i zabrać krzyczące dzieci z sali. Zacerpnęłam tchu. Ludzie krzyczeli na sąd i klatkowe Psy, odwróciwszy wreszcie uwagę ode mnie. Dwaj głupcy, którzy wcześniej stracili kontrolę nad Orwą, teraz ją uciszeli.

Zaczęłam się odpreżać.

– Sprawa pani Orvy Ashmiller, zamieszkałej przy Drodze Morwowej. – Herold miał dobry, dźwięczny głos, który odbijał się od wytartego, gładkiego drewna na podłodze i ścianach. – Zarzuty: uderzenie gwardzistki Clary Goodwin, podczas gdy ta działała w obronie królewskiego prawa wraz z gwardzistą Matthiasem Tunstallem i stażystką Rebeccą Cooper.

Pan Tullus skrzywił się.

– Uderzenie gwardzistki? Raportować.

Tunstall szturchnął mnie łokciem.

– Cooper.

Musiałam na niego spojrzeć jak królik złapany we wnyki.

– Żaden inny stażysta nie musiał raportować – wyjąkałam, zdaje się.

– Cooper, on nie znosi Psów, które marnują czas – stwierdziła Goodwin. – Raportuj. Raport składa Pies, który był przy zdarzeniu od początku do końca. Czyli ty.

Ersken próbował wręcz popchnąć mnie, bym wstała.

– Dasz radę, Becca!

Niektóre koszmary nie mają końca. Zerknęłam na sędziego przez kosmyki grzywki i zaparłam się stopami, by nie dać się Erskenowi. Dla mojego skołowanego umysłu pan Tullus bardzo przypominał wyglądem wędzony ryj knura, jaki rzeźnicy wieszają dla reklamy przed swoimi sklepami. Jego twarz miała buraczany odcień czerwieni, a podbródek był ciemny od krótkiego zarostu. Zdawało mi się, że ma tylko jedną, długą brew.

Jego usta dziwacznie się wykrzywiły. Wtedy wpadłam już w zupełną, ślełą panikę. Nie mogłam mówić przy tych wszystkich ludziach. Nie dbałam, że w większości znajdują się za kratami dla publiczności!

– Ten dzień nadchodzi dla wszystkich stażystów w gwardii, Rebecco Cooper – odezwał się pan Tullus. – Dla ciebie nadszedł po prostu wcześniej niż dla większości. Mów. Im szybciej zaczniesz, tym wcześniej będziesz mogła iść.

– Prowadziliśmy patrol, kiedy usłyszeliśmy odgłosy przemocy – powiedział cicho Tunstall. Był to jeden z początków wypowiedzi, których uczyliśmy się na pamięć podczas szkolenia. Teraz Goodwin trzymała w uścisku moją drugą rękę, znacznie boleśniej niż Ersken.

– Wstań, bo dam ci kuksańca w ranę – mruknęła. – Nie przynos przed sądem wstydu Tunstallowi i mnie.

Po tych słowach dźwignęłam się na nogi, ale kolana mi się trzęsły.

– Prowadziłam... eee... p-prowadziliśmy... patrol, kiedy, eee, usłyszeliśmy odgłosy przemocy, panie.

– Podnieś głowę, gwardzistko, i mów głośniej. – Jak na człowieka jakoby porywczego, wydawał się niemal miły. – Po prostu to powiedz. Co się wydarzyło?

Jak miałam wyjaśnić, że nie mogę mówić przed tą całą pełną wrzawy salą? Jąkałam się, zacinałam i zdołałam tylko opowiedzieć, w jak strasznym stanie był mężczyzna Orvy, gdy wreszcie pan Tullus się nade mną zlitował.

– Wystarczy. Tunstall, kontynuuj.

Opadłam na ławę i ukryłam twarz w dłoniach, czując na nich żar swojego wstydu. Czemu nie potrafię mówić przy obcych? To moja największa wada jako Psa i muszę znaleźć sposób, by to naprawić, ale jak? Wszyscy się ze mnie śmiali. I trudno było ich winić. Od rybich flaków po śliniącą się idiotkę, miałam zaiste wspaniałą tydzień.

A to jeszcze nie był koniec. Usłyszałam słowa Tunstalla:

– Orva uciekła przez otwarte okno. – Urwał i odchrząknął.

– Wiedziała, że tam są schody? Mów dalej – ponaglił go pan Tullus. – Zakładam, że złapałaś ją na zewnątrz.

– Nie, panie rycerzu – odparł Tunstall. Znowu odchrząknął. Widziałam, dokąd to zmierza. Ścisnęły mi się wnętrności. Przez chwilę myślałam, że mogę zwymiotować.

– Ale mówiłaś, że Goodwin nie mogła uczestniczyć w pościgu – przypomniał mi pan Tullus.

– Mówiłam, panie rycerzu. – Tunstall zaczął pocierać swoją brodę, jak zwykle, gdy nie wiedział, co powiedzieć.

– Aha. – Ku mojej rozpaczy, pan Tullus był bystry. – Wstań i spróbuj jeszcze raz, Cooper.

Usłyszałam jęk gapiów.

Wstałam.

Miałam mętlik w głowie i próbowałam przypomnieć sobie własne imię, gdy ktoś przeszedł między moimi nogami.

Drapek.

Zwinął się na moich stopach. Przez skórę butów czułam drgania jego mruczenia.

– Panie rycerzu, to ja za nią pobiegłam – oznajmiłam, kierując słowa w stronę podłogi.

– Głośniej – szepnęła Ersken.

– Panie rycerzu, to ja za nią pobiegłam – powtórzyłam tak głośno, jak w tym momencie potrafiłam. – Nie zatrzymała się na moje polecenie, więc ruszyłam w pościg. Złapałam ją.

– Gdzie, Cooper? – Ton sędziego był bardzo cierpliwy.

Przełknęłam ślinę.

– W karczmie Owcze Bagno, panie rycerzu.

– On nie wie, gdzie to jest! – szepnęła Ersken. Tak bardzo pragnął mi pomóc, że mówił nieco zbyt głośno. Gawiedź usłyszała i wybuchnęła śmiechem.

Goodwin wyciągnęła pałkę, podeszła do krat i zaczęła iść wzdłuż nich, mocno w nie uderzając. Ci, którzy trzymali się prętów, musieli odskoczyć, żeby nie oberwać w palce. Oczywiście wpadli na tłoczących się z tyłu. Niektórzy beładną kupą runęli na podłogę.

– Cisza! – ryknęła głosem, którym posługiwała się wobec tłumu. – Nie wiem, jakie kuglarzkie sztuczki przyszliscie tu oglądać, głąby, ale grubo się pomyliliście! To jest sąd w służbie królewskiego prawa. Zamknąć gęby, bo tu wrócę i zacznę rozbijać łby!

Bogini, ależ chciałabym być taka jak Clary Goodwin, gdy już zostanę prawdziwym Psem, pomyślałam z zazdrością.

Wśród sądowych Psów, których zadaniem było utrzymywanie porządku, zapanowało poruszenie. Dotarło do nich, że należałoby coś zrobić. Ruszyli w cizbę z dłońmi na pałkach. Goodwin wcisnęła swoją pałkę z powrotem w uprząż, po czym wróciła, by usiąść obok Tunstalla i mnie.

– Dziękuję, gwardzistko Goodwin. – Głos pana Tullusa był oschły niczym serce Krzywono-giego. – Miło popatrzeć, jak przywracasz porządek w moim sądzie. Kontynuuj, gwardzistko Cooper. Karczma Owcze Bagno...

Na chwilę zapomniałam o bólu. Zaciśnęłam zęby i próbowałam sobie przypomnieć, gdzie się znajduje to przekłete miejsce.

– Przy Alei Wrzecionowej, panie rycerzu – powiedziałam w końcu.

– Nie mam pojęcia, gdzie to jest – oświadczył sędzia.

Tunstall wstał.

– To tylko kawałek drogi od Bramy Północnej, panie rycerzu. – Usiadł, a po drodze poklepał mnie po ramieniu.

Próbowałam mu wybaczyć, że wystawił mnie na pastwę pana Tullusa. Wiedziałam równie dobrze jak on, że raport składa Pies, który najdłużej był przy Szczurze. Musiał się odezwać tylko dlatego, że ja zacinam się w obecności ludzi.

Brwi pana Tullusa powędrowały do góry.

– Z Drogi Morwowej do Bramy Północnej?

Miałam wrażenie, że język nie mieści mi się w ustach. Erskan kopnął mnie, żebym zaczęła mówić.

– W-wybacz, Jaśnie Panie, przepraszam, panie rycerzu, ale biegliśmy bocznymi uliczkami i przez kilka... – Zaciśnęłam pięści i mówiłam dalej. – Przez zaułki i przejścia między domami, a ona przebiegła przez kilka spelunek i złapałam ją dzięki temu, że okrążyłam jedną z tych knajp, panie rycerzu, a potem ją przymknęłam i wozem wróciliśmy do budy, i wiem, że nie powinnam była jej aresztować, ale już ją dopadłam, więc powiedziałam, że jest aresztowana, a potem moje Psy... przepraszam, moi gwardziści... zrobili, co należy, kiedy doprowadziłam ją do wartowni. – Moje usta poruszały się dalej: – Przykro mi z powodu jej dzieci i mężczyzny, ale są głupi, skoro chcą kogoś, kto rozbija im naczynia na twarzach i próbuje ich pociąć strasznie wielkim nożem, za przeproszeniem, panie rycerzu. – Zasłoniłam dłońmi swoje zdradzieckie usta. Takie raportowanie uderzało mi do głowy, serce mi waliło, a policzki płonęły niczym jeden z domów Krzywonogiego. Chyba na chwilę trochę oszalałam.

Ktoś szturchnął mnie z tyłu. Była to Verene. Podała mi butelkę. Powąchałam, lecz okazało się, że to tylko malinowa kwasinka, nic, od czego mogłoby mi się zakręcić w głowie. Cierpki smak zmył suchość z moich ust i wywołał mrowienie. Muszę zapamiętać, by w najbliższym czasie zrobić coś miłego dla Verene.

Popatrzyłam przez kosmyki włosów na pana Tullusa. Usta mu drgały, jeszcze bardziej niż przedtem. Po chwili się opanował. Podrapał się po głowie.

– Lepiej, gwardzistko?

Skinęłam głową. Tym razem to Tunstall mnie kopnął.

– Tak, dziękuję, panie rycerzu – powiedziałam, myśląc przy tym, że za sprawą Tunstalla i Erskana moje nogi będą rano wyglądać jak oberżyny.

– Może byłabyś łaskawa wyjaśnić, czemu zadałaś sobie tyle trudu, jeśli mogę prosić – rzekł pan Tullus. – Wykazujesz niezwykły poziom... entuzjazmu, nawet jak na stażystkę w gwardii.

– Panie? – spytałam. Najgorsze było już za mną. Mogłam spojrzeć mu w oczy, o ile tylko nie chciał gawędzić aż do północy.

– Czemu jej nie puściłaś? Mogłaś po nią wrócić innego dnia – wyjaśnił sędzia.

Może to on oszalał, a nie ja. Chociaż wydawał się taki sam, jak na początku dnia. Tak czy owak, pytanie było głupie, choć nie mogłam mu tego powiedzieć.

– Panie rycerzu, ona uderzyła gwardzistkę Goodwin – powiedziałam, zastanawiając się, czy powinnam mówić powoli, jak mówi się do prostaka albo dziecka. – Nożem. Nie ostrym końcem, ale mogło być różnie. Orwie nie można było puścić tego płazem, panie.

– A dlaczego? – spytał, znowu mnie ponaglając.

Żałowałam, że nie mogę drapać się po głowie, uszyć czegoś albo wystrugać, żeby pomóc sobie w myśleniu. Próba tłumaczenia z beużytecznie opuszczonymi rękami przypominała naukę u mistrzów prawa podczas szkolenia albo u nauczycieli w domu pana Gershoma. Bez wątpienia każdy z obecnych na sali Psów mógł mu to wyjaśnić lepiej niż ja.

– Panie rycerzu, uderzenie Psa nożem... to poważna rzecz. Pies reprezentuje... my reprezentujemy... – Myśli mi się rozpierzchały. – Psy reprezentują prawo. Jest nas tak niewiele. Nikt nie

chce tej pracy. Więc królestwo mówi: cenimy Psy. Wyznaczamy za nie wysoką cenę, gdy ktoś zwróci przeciwko nim ostrze. – Miałam już dosyć tych wyjaśnień. Znowu wbiłam wzrok w podłogę. – Jeśli królestwo ceni nas na tyle, by wprowadzić takie prawo i takie kary, ja muszę cenić nas, Psy, na tyle, by łapać tych, którzy to prawo łamią. Prawda, panie rycerzu?

Nikt nic nie mówił, nie śmiał się ani nie wył. Przypuszczam, że próbowali odpowiedzieć sobie na pytanie, czy to, co powiedziałam, ma jakiś sens. Sama nie miałam pewności.

W końcu pan Tullus przemówił.

– Gwardzistko Cooper, kapral Goodwin to prawdziwa bohaterka Gwardii Starościńskiej. Odzyskała znaczne ilości mienia, przywiodła setki przestępców przed oblicze wymiaru sprawiedliwości i uratowała życie niezliczonym osobom. Masz rację. Jej życie i praca są cenne dla sądu. Możesz usiąść.

Gdy z wdzięcznością posadziłam zadek na ławie, usłyszałam, jak Goodwin mówi półgębkiem:

– Nie myśl, że teraz cię polubię, Cooper.

Ukryta za grzywką, uśmiechnęłam się.

– Orvo Ashmiller, czy masz adwokata, który będzie mówił w twoim imieniu? – spytał sędzia.

– Nie ma – odparł adwokat starościński. – Jej mąż, Jack Ashmiller, prosi sąd o łaskę. Prosi, by jego żonie zasądono karę grzywny lub pracy i więzienia w obrębie miasta. Zebrałem też skargi sąsiadów pani Ashmiller. Zeznali, że wielokrotnie zadawała mężowi i dzieciom krwawiące rany, nabijała siniaki i łamała kości. W imię pokoju swoich domów proszą, by panią Ashmiller skazano na więzienie albo wygnanie z miasta Corus.

– Podszedł do sędziego i wręczył mu dokument.

Pan Tullus przeczytał go. Zerknął na Orwę. Czyżbym zobaczyła niesmak na jego twarzy? Nie lubiłam nikogo, kto bił dzieci, ale większość ludzi uważała, że stają się nieposłuszne, jeśli raz i drugi nie dostaną pasem albo ręką. Co do Jacka Ashmillera – dlaczego nie walczył, gdy rozbijała mu na głowie różne przedmioty? Zwykle mężczyźni z Niższego Miasta odpłacali pięknym za nadobne, a często z nawiązką.

– Sąsiedzi powinni dawno przyjść do tego sądu, pani Ashmiller – przemówił pan Tullus.

Orwa znowu zaczęła się wrywać klatkowym Psom, trzymającym ją za ręce. Czuli, że nie spodoba jej się to, co zaraz nastąpi. – Orvo Ashmiller, sąd zdecydował, że pójdzie pani do królewskiego gospodarstwa w mieście Białycierń. Będzie tam pani pracować przez pięć lat za zakłócanie spokoju sąsiadów, za przemoc wobec własnej rodziny i za przestępstwo użycia broni wobec reprezentantki królewskiego pokoju. Jeśli spróbuje pani uciec z gospodarstwa i wrócić do Corus, zostanie pani napiętnowana i sprzedana w niewolę.

Uderzył polerowaną granitową kulą w dysk słoneczny z brązu na swoim biurku na znak, że wyrok zapadł. Psy wyprowadziły Orwę do klatek, by oczekiwała na transport. Przed nią daleka droga.

Myślałam, że poczuje się lepiej. Że będę miała satysfakcję ze zwycięstwa. Ale czułam jedynie smutek.

– Następną sprawą – zwrócił się pan Tullus do herolda.

W sądzie zapalono lampy na długo przedtem, nim wszyscy zamknięci w tym tygodniu przez straż wieczorną stanęli przed sądem. Pomimo jedzenia, zabranego przez wszystkie Psy, na przykład bułek z kiełbasą, którymi dzielili się ze Szczeniętami, pod koniec moje kiszki warczały jak czworonóżny pies. Słyszałam, że brzuchy pozostałych protestowały w podobny sposób. W końcu pan Tullus uderzył w dysk słoneczny, ogłaszając ostatni wyrok tego dnia.

I tak minął mój pierwszy dzień w sądzie.

Chyba zwymiotuję.

Wtorek, 7 kwietnia 246

Pod koniec dnia.

Myślę, że nawet gdybym wczoraj wróciła do domu bardzo późno, wstałabym o świcie, ale położyłam się o dość wczesnej godzinie. Dzisiaj miałam wolny dzień. Zamierzałam odwiedzić swoją rodzinę w domu starosty. Wczoraj z prasy do ubrań wyjęłam niebieską sukienkę, by ją przewietrzyć razem z halką i chustą na włosy. Pan Gershom parsknąłby tylko śmiechem, gdybym przyszła w męskim stroju, jaki nosiłam na co dzień, ale pani Teodorie uśmiechnęłaby się tym swoim wąskim uśmiechem, przywodzącym na myśl łód na kałużach o świcie. Siniaki na mojej twarzy, które zrobiły się fioletowo-zielone, będą wystarczającym problemem.

Za każdym razem, gdy idę Złotą do domu starosty, przypominam sobie, jak pierwszy raz szłam tą drogą z mamą. Jechała na wozie z naszymi nielicznymi rzeczami, starając się nie kaszleć. Pamiętam rumieńce na jej policzkach. Uzdrowiciel Jaśnie Pana powiedział później, że to okrutny żart choroby. Słońce wydobyło też czerwony blask z kasztanowych loków mamy, które pięknie załśniły. Była taka szczęśliwa.

– Gdybym modliła się do Bogini, nigdy nie wyśniłabym dla nas takiej szansy, Becco. – Wiedziała o mojej złości na pana, który śledził mnie do domu i czekał, aż wyjdę, żeby namówić mamę. – Nie możesz pluć na dar od damy, ty niemądra dziewucho! To nie tylko dla ciebie, ale i dla twojego rodzeństwa. Nie będziesz dorastać w Szambie, pisany ci lepszy los!

Brama dla służby była otwarta, a dyżur pełnił dziś Jakorn, tak samo jak wtedy. Wtedy widać było więcej czerni w jego długich włosach, które teraz były niemal zupełnie siwe. Dziś rano uśmiechał się, ukazując szczyrby po straconych przez lata zębach.

– Becca. Nie nosisz munduru? – Pochodził z Północy. Kiedy się złościł, jego akcent stawał się tak silny, że w ogóle nie dało się go zrozumieć.

– Nie chcę codziennie ubierać się w to samo – powiedziałam i pocałowałam go w policzek.

Sądząc z błysku w oku, Jakorn doskonale wiedział, że włożyłam sukienkę, żeby nie wypaść z łask swojej pani.

– A twoja twarz?

Zwiesiłam głowę przed swoim pierwszym nauczycielem walki.

– Byłeś kiedyś Psem ulicznym, Jakornie.

Klepnął mnie w ramię.

– Nie wspominałem ci, że chodzi o to, by to twój przeciwnik był poturbowany? – spytał, ale wiedziałam, że tylko się ze mną droczy. – Biegnij do kucharki. Martwiła się, że twoje wnętrzności zostały w jakimś wychodku z powodu ohydneho jedzenia w Niższym Mieście.

Posłałam mu uśmiech i przeszłam przez bramę. Służący byli już oczywiście w pracy. Uśmiechali się i głośno mnie pozdrawiali, ale nic poza tym. Mieli swoje obowiązki, a Jaśnie Pani oczekiwała, że właśnie one będą na pierwszym miejscu. Moje siostry, Diona i Lorine, dosłownie adorują Jaśnie Panią i nie ważą się przy nich powiedzieć ani słowa przeciwko niej. Czasami mam wrażenie, że Jaśnie Pani znaczy dla Diony więcej niż ja. Moje siostry wyrastają na porządne młode kobiety, schludne z wyglądu i dbałe w mowie. Czasy, gdy razem chichotałyśmy nad wybrykami małego Drapka, zdawały się blaknąć z każdym dniem po śmierci mamy.

Chcę, żeby im się powiodło w życiu. Jaśnie Pani o to dba. Uczy Dionę na pokojówkę dla damy, o czym w głębi serca marzyła mama. Obiecała znaleźć dla niej dobre miejsce, gdy uzna, że Diona jest już gotowa, a Jaśnie Pani dotrzymuje obietnic. Lorine, choć ma tylko dwanaście lat, zapowiada się na świetną szwaczkę. Już teraz w znacznej mierze zajmuje się szyciem dla Jaśnie Pani, co bardzo odpowiada jej osobistej krawcowej, która się starzeje i nie ma już takiego wzroku, jak kiedyś. Patrzy na Lorine jak na córkę i uczy ją różnych krawieckich sztuczek, których Jaśnie Pani nie zna.

Dwie mleczarki minęły mnie z chichotem. Powinnam im powiedzieć: „Nie śmiejecie się,

kiedy chłopaki wracają do domu w wolny dzień!”. Wielu synów służących zostawało Psami. Ale tylko dziewczyny budziły zdziwienie.

Drzwi do skrzydła kuchennego były otwarte. Zamyka się je tylko w najzimniejsze zimowe dni, tak jak drzwi na końcu korytarza, prowadzące do samej kuchni. Weszłam do środka. Jakiś chłopak szorował naczynia po śniadaniu. Pomocnice kuchenne siedziały przy stole i kroїły warzywa. Kucharka stała plecami do mnie, kosztując kilka rodzajów sera. Zobaczyła, jak chłopak uśmiecha się do mnie, więc się odwróciła.

– Masz ci los, co się stało z twoją twarzą? – spytała Mya cichym, troskliwym głosem. Rozłożyła ręce, a ja wstałam w jej ciepły uścisk. Mya opiekowała się naszą rodziną od chwili, gdy wóz przetoczył się przez bramę dla służby. Gotowała zupy, które mama mogła jeść pomimo kaszlu, przez który tak często zwracała inne pokarmy. Gdy mama odnalazła w końcu spokój Czarnego Boga, to Mya podtrzymywała mnie na duchu. Była drobną, pyzată babą, zaokrągloną i słodką, z lekko podniesionymi kącikami oczu. Miała też zadarty, ostro zakończony nos. Uprzejmość przychodziła jej równie łatwo, jak oddychanie, ale twardą ręką rządziła kuchnią, dziećmi i domem. Nikt nie mógł jej oszukać.

Przyłożyłam dłoń do swojego zdrowiejącego oka i wzruszyłam ramionami.

– Praca na ulicach, Myo.

Przechyliła głowę w bok.

– Powinnaś robić uniki – stwierdziła.

Zachichotałam, bo oczywiście miała rację.

– Następnym razem się postaram – obiecałam.

Posadziła mnie i nakarmiła. Nie mogłam przed tym uciec, wcale też nie chciałam. W brzuchu zaczęło mi burczeć już na Złotej.

– No dobrze – powiedziała, gdy już postawiła przede mną jedzenie. – Jaśnie Pan mówi, że Kebibi Ahuda przydzieliła cię do Goodwin i Tunstalla. To prawda? Jeśli Clary Goodwin cię gnębi, powiedz, a wpadnę i zamienię z nią parę słów.

Uśmiechnęłam się na myśl o swojej uprzejmej przyjaciółce, urządzającej burę Goodwin.

Mya to dostrzegła.

– Może masz mnie za głupią kuchareczkę, ale Clary i ja chodzimy do tej samej świątyni.

Przyjaźnimy się od dwudziestu lat. Jest dobra w tym, co robi, ale nie umie sobie radzić z młodymi.

Przełknęłam kęs placka z serem i odpowiedziałam:

– Dogadujemy się. Ona jest moim Psem szkolącym, a nie przyjaciółką.

Mya westchnęła.

– Pewnie masz rację. Nie mogłaś trafić w lepsze ręce. Mattes Tunstall to nieodpowiedzialny, przerośnięty chłopak, ale nikt nie zaprzeczy, że jest jednym z najlepszych Psów w mieście.

Nieodpowiedzialny? – pomyślałam, kładąc plastry szynki na swoim talerzu. A skąd ona mogła to wiedzieć? Zaświtała mi straszna myśl i wbiłam w nią spojrzenie.

– Ciociu. – Przełknęłam ślinę, a od obrazów w mojej głowie ścisnęło mnie w żołądku. – Ty... ty i Tunstall.

Nagle wygładziła fartuch na swoich kolanach.

– Kiedyś uważano mnie za bardzo ładną dziewczynę. Mieliśmy razem mnóstwo zabawy... ale ja pragnęłam małżeństwa i dzieci, a Mattes chciał się tylko bawić. – Uśmiechnęła się do mnie. – Ulfrec uszczęśliwiał mnie przez ostatnich piętnaście lat.

– Jaśnie Pani mówi, że Rebecca może ją teraz odwiedzić. – Nie zauważyłyśmy, że do kuchni weszła osobista pokojówka pani. Pomocnice kuchenne zaczęły znowu gorączkowo kroїć warzywa. Chłopak chlapał wodą jak szalony, biorąc się do zmywania. Potknęłam się o ławkę, próbując zerwać się na nogi i jednocześnie otrzepać przód sukienki.

Czułam się dziwnie, gdy szłam przez dom. Robiłam to ledwie trzy tygodnie temu, przy poprzedniej wizycie, a jednak wszystko zdawało się jakieś inne. Mniejsze. Nie mniej eleganckie czy dobrze utrzymane, ale nie takie samo.

Zrozumiałam różnicę, przechodząc przez drzwi do części domu zajmowanej przez Jaśnie Panią. To nie dom starosty się zmienił, lecz ja.

Pokojówka, która jakby usłyszała moje myśli i chciała powiedzieć, że to nieważne, wskazała pracownię.

– Zaczekaj tam – nakazała.

Weszłam do środka. W pomieszczeniu siedziały moje siostry. Wraz z innymi kobietami zajmowały się szyciem. Diona miała przed sobą ramę do haftu. Lorine pracowała nad jedwabną halką, tak cienką, że niemal przejrzysta. Obie wyglądały dla mnie jak schludne nieznajome.

Kobiety podniosły wzrok, gdy wszłam do środka. W pomieszczeniu zapadła zupełna cisza. Moje siostry zeszywniały. Wyraźnie to widziałam. Znałam je równie dobrze, jak samą siebie.

– Niech nas Bogini błogosławi, Becco, czy ty piłaś? Albo bilaś się ze swoimi kolegami Psami? – spytała jedna ze starszych kobiet. Była faworyzowana przez panią z uwagi na wyjątkowe umiejętności w dziedzinie haftu. Z tego powodu zadzierała nosa. Często dla zabawy mówiła mi coś okrutnego, a potem twierdziła, że to był żart, gdy Lorine kazała jej się wytłumaczyć. – Mogłaś zamaskować to różem, wiesz. – Większość pozostałych służących zachichotała. Diona poczerwieniała.

Moje spojrzenie powędrowało w dół, na sfatygowane deski podłogi, a potem zhardziałam. Czemu pozwalałam jej tak do siebie mówić? Co ta pustogłowa baba zrobiłaby na ulicy Włoczęgów?

– Mogłam być też wzięta za ulicznicę – powiedziałam do podłogi. Chichoty umilkły. Potem podniosłam wzrok i wytrzymałam jej spojrzenie. Wszyscy mówią, że moje oczy działają ludziom na nerwy. Podobno przypominają dotknięcie lodu. Zobaczymy, czy się przestraszy, pomyślałam.

Próbowała mnie zmusić do opuszczenia wzroku. Pomyślałam o starym Klapsie i jego szalonym wejrzeniu. Przez chwilę wytrzymała, a potem zamrugowała powiekami i odwróciła się. Czekałam. Gdy znowu podniosła oczy, nadal na nią patrzyłam. Wstała.

– Niektóre kobiety mają niewyparzone buzie – bąknęła, po czym opuściła pracownię.

Popatrzyłam na nie po kolei, by się przekonać, czy ktoś jeszcze chce sobie ze mnie pożartować. Żadna nie spojrzała mi w oczy, nawet siostry. Podeszłam, by pocałować je w policzek. Diona się odsunęła, nie pozwalając się dotknąć. Lorine nawet nie drgnęła. Nie odezwały się do mnie ani słowem. Cofnęłam się, niepewna, co powiedzieć.

– Jaśnie Pani przyjmie cię teraz. – Pokojówka wróciła po mnie. Pierwszy raz cieszyłam się, że idę do pani Teodorie. Nie wiedziałam, co robić, gdy patrzyło na mnie tyle osób.

Oczywiście, usta Jaśnie Pani zacisnęły się, na mój widok. Spodziewałam się tego już rano, gdy spojrzałam w lustro i stwierdziłam, że na mojej twarzy wciąż wyraźnie widać siniaki.

Dygnęłam przed nią.

– A zatem rozpoczęłaś pracę jako gwardzistka, Rebecca. Najwyraźniej okazała się dla ciebie ożywcza.

Nie odpowiedziałam. Nie oczekiwała odpowiedzi. W przeciwieństwie do Goodwin nie oczekiwała też, że będę jej patrzeć w oczy.

– Czy mogę liczyć, że wróciły ci zdrowe zmysły? Twoja matka pragnęła dla ciebie lepszego losu. – Podniosła igłę z nicią, która leżała na jej kolanach. Zawsze miała coś takiego przy sobie. Nauczyła moje siostry podstaw zarówno szycia, jak i haftu.

Nigdy nie wiedziałam, czego pani Teodorie ode mnie chce. Moi bracia i siostry sami dbają o poprawę własnego losu. Jakie to ma dla niej znaczenie, że nie jestem taka, jaka jej zdaniem powinna być dziewczyna?

Wydęła wargi.

– Jak zwykle milcząca. Twój wczorajszy występ przed sądem nie przyniósł chwały ani Jaśnie Panu, ani mnie.

Czułam, że drgają mi ramiona. Czyli wieści już tu dotarły. Pięknie.

– Masz coś na swoje usprawiedliwienie?

Wiedziałam, co do mnie należy.

– Wybacz, że cię zawiodłam, pani – powiedziałam.

– Twoja pozorna pokora pomogłaby ci znacznie lepiej jako pokojówce niż jako obrończyni

królewskiego prawa – zauważyła. – Kiedy minie ci już szaleństwo w kwestii wyboru drogi życiowej, zrobię oczywiście, co w mojej mocy. Obiecałam twojej biednej matce, że postaram się o to ze wszystkich sił dla wszystkich jej dzieci. Możesz odejść.

Znowu dygnęłam. Dlaczego tak personalnie traktuje fakt, że spośród nas wszystkich tylko ja nie chcę takiego życia, jakie dla mnie wybrała? Nie rozumiem także, z jakiego powodu nie cierpi świata Gwardii Starościńskiej, ale taka już jest Jaśnie Pani. Jaśnie Pan jakoś z tym żył przez te wszystkie lata. Może dlatego tak ją drażni, że jestem Psem – ze wszystkich chłopców i dziewcząt z tego domu, którzy poszli do gwardii, jestem jedyną, z którą Jaśnie Pan dzieli się swoją pasją. W zasadzie sam mnie do tego przygotował. Bo kocham to tak jak on.

Czując się mała i brudna, wróciłam do kuchni. Z pewnością nie chciałam widzieć Lorine ani Diony. Inne służące na pewno rozmawiały z nimi przez cały ten czas o mnie, o tym, jak nisko według nich upadłam. Może gdy spotkamy się po południu, w towarzystwie jedynie moich braci, siostry nie będą mnie uważały za taką prostytutkę.

W kuchni panował duży ruch. Handlarze czekali, aż Mya zwróci na nich uwagę. Należało nadziać gęsi na rożen. Pomocnice kuchenne robiły mnóstwo hałasu, szykując inne potrawy na południowy posiłek. Mya, która pocieszała płaczącą stajenną, rzuciła mi kosz pełen piątek i skrawków chleba. Złapałam go z podziękowaniem i uciekłam.

O tej porze roku w sadzie panuje spokój. Drzewa kwitną. Są piękne, ale pożytek mają z nich tylko pszczoły. Rosną za stodołą, która w tych wczesnych miesiącach także jest pozostawiona sama sobie. Nikt nie siedział na ławce za budynkiem. Usadawiłam się tam, postawiłam koszyk na ziemi i przez chwilę napawałam się ciepłem słońca.

Naszła mnie pewna refleksja: czy mieszkając tutaj, unikałam ludzi, których mogłabym obrazić tym, co mówię? Czy może zwyczajnie tego nie zauważałam, bo na ogół nic nie mówiłam?

Te śniadania w ostatnich dniach mnie zrujniają. Najpierw zaczęłam spotykać się z Korą, Aniki, Erskenem i resztą. Kto wie, czym to się skończy? Przyjęciem? Ucztą? Pogawędkami z nieznanymi?

Może Tansy zechce kiedyś zjeść z nami śniadanie. Jeśli zdołam wyciągnąć ją z domu o tak wczesnej porze, może będzie chciała poznać moich przyjaciół. Niewykluczone, że Annis mi pomoże.

Ale pisałam o swojej wizycie i o siedzeniu za stodołą. Zakończyłam kąpiel słoneczną, gdy przez moją twarz przemknął cień. Otworzyłam oczy. Oczywiście, był to Klaps. To tutaj poznałam go dwa lata temu. Od tamtej pory nosił przynajmniej dziesięć duchów, o których wiem. Zapracowane ptaszysko.

Przyleciał sam. Czy ten gołąb był jakimś cudakiem, ptakiem bez stada? Wylądował mi na ramieniu i mocno dziobnął mnie w skroń.

– Na zarazę i pomór! – wykrzyknęłam i go złapałam. Wbił we mnie spojrzenie swych złotych oczu, szamocząc się, by uwolnić skrzydła. Gołębie są silniejsze, niż się wydaje, nawet te z krzywym grzbietem jak Klaps. Trzymałam go delikatnie, palcem środkowym i serdecznym za prawe skrzydło, wskazującym wokół szyi i kciukiem za lewe skrzydło. Wolną ręką wydobyłam pokruszone ziarno z woreczka przy pasku. Pokazałam je Klapsowi, a wtedy się uspokoił. Postawiłam go, uważając na jego szpotawą nogę (zawsze się boję, że go boli), a potem go puściłam. Nie odleciał, tylko zaczął dziobać ziarno.

– A teraz słuchaj – zwróciłam się do jego ducha. – Musisz dać mi więcej niż dotąd. Moje Psy potrzebują czegoś prawdziwego, a nie plotek wziętych z powietrza. – Mówiłam jak mieszkańcy Niższego Miasta, żeby dusza, którą nosił ptak, mogła mi zaufać. – Słuchałam was, ale to za mało. Nie możesz podać ulicy? Może blisko jest strumień albo knajpa? Coś, czego mogłabym poszukać i to znaleźć? – Nigdy dotąd nie udało mi się nakłonić gołębia i jego ducha do doprowadzenia mnie w jakiegokolwiek miejsce. Może ci zmarli okażą się inni. Tak bardzo chcieli, by ich odnaleziono.

Pojawił się nowy gołąb. Wyglądał, jakby posypano go całego popiołem.

– Wóz był zakryty i była noc. – Przemówił do mnie ptak, a raczej jego duch! Znalazłam więcej ziarna i rozsypałam je obok siebie, żeby Popielaty się zbliżył. Podszedł i zaczął jeść. – Założyli nam szale na ślepią, żebyśmy nie widzieli, dokąd nas zabierają. Poprowadzili po schodach

w dół, do piwnicy. Zdjęli szale. Kazali nam kopać przy ścianach, coraz głębiej. Myśleliśmy, że to studnia, ale była za duża. Kopaliśmy kilofami i łopatami w różowej skale.

– W różowej miejskiej skale – szepnął duch Białego Pieprza, gdy gołąb sfrunął na dół i usiadł obok Popielatego.

– W różowej miejskiej skale – powtórzył duch Żebraka, który wylądował na ziemi.

Klaps dokończył ziarno. Podskoczył, pacnął mnie skrzydłami w twarz, a potem usiadł obok kolegów.

– Niewdzięczny Łobuz – mruknęłam.

– Zatrudniono mnie do kopania studni – powiedział mi duch Klapsa. – Wszystkich nas zatrudniono do kopania studni. Była tam prawdziwa studnia, częściowo wykopana, ale nie było wody.

– Nigdy nas nie wypuszczali – powiedział duch, który dosiadał nowo przybyłego. Był to gołąb, którego nazwałam Mglistym. – Ani razu. Przynosili nam żarcie, picie i ubrania, ale w ogóle nie wychodziliśmy z piwnicy.

– Mag odegnał wodę ze studni. Poganiacz z batem tak powiedział. – Duch Białego Pieprza najwyraźniej nie zważał na to, że gołąb czyści sobie piórka, gdy on mówi. – Dół, w którym kopaliśmy, był suchy. Nie było wody, ale były grudki, które błyszcząły w świetle pochodni.

– Tam skała błyska jak nigdzie indziej. – Ptak, którego nazwałam Rózią, wylądował na moim kolanie i zostawił tam spory, ciepły podarek. Zakląłam, ale nie chciałam płoszyć gołębic. Nie miałam pojęcia, czemu ich wypowiedzi stały się tak sensowne. Może osiągnięcie jakiejś magicznej liczby (sześciu z tej samej grupy zamordowanych ludzi) pozwalało im mówić do mnie wyraźniej i jaśniej. – Mają kawałki jak szkło, wielkości twojego paznokcia, a nawet większe, które świecą niby ogień, różnymi kolorami. Piękne.

– Piękno w Szambie, co za żart. – Może magiczna liczba wynosiła siedem. Pojawił się siódmy ptak, połyskujący błękitem, zielenią i fioletem na białym tle. Duchem Błyszczaka była kobieta, której głos brzmiał równie twardo, jak u wszystkich nadrzecznych osiłków, jakich spotkałam. – Ale kiedy rozlaliśmy trochę naszej wody na te skały... Mithrosie!

– Mithrosie – powtórzyły inne ptaki. Duchy westchnęły. Przyleciały jeszcze dwa, żeby z nimi usiąść. Jeden miał ciemnoszare okolice głowy i ogona oraz jasnoszarą resztę ciała, co stanowiło najpospolitsze ubarwienie wśród miejskich gołębi. Drugi zaś miał nieco fioletu na szarej głowie, białą pierś, a na grzbiecie lekko fioletowe plamy na szarym tle. W sumie było już dziewięć gołębi.

Rózia skubnęła moją rękę i zeskoczyła do pozostałych. Teraz gruchały i dziobały ziemię w poszukiwaniu pożywienia. Wzięłam koszyk i zaczęłam kruszyć dla nich chleb.

– Gdzie jesteście? – spytałam. Byłam już pewna, że mam do czynienia z duchami tych, którzy wykopali dla Krzywonogiego ogniste opale. Kazał ich zabić, by utrzymać umiejscowienie kamieni w tajemnicy. Byłam gotowa iść o zakład, że piwnica, w której kopali, znajdowała się w jego domu, tylko w którym? Potrzeba by całej armii, by je wszystkie przeszukać. A każda baba, każdy chłop i każde dziecko robiłoby wszystko, by nam przeszkodzić, z czystej przekory. – Chyba chcecie, żeby odnaleziono wasz grób!

Cóż, chyba je wtedy obraziłam. Odfrunęły, zostawiając mnie, a ja próbowałam usunąć z sukienki gołębie odchody. Potem przyleciały inne gołębie, stado, które żyje tutaj, a także inne osobniki, zwabione przez tamte albo przeze mnie. Zapomniałam o ubraniu i zaczęłam szybko kruszyć chleb. Odegnałam myśli o kopaczach i nasłuchiwałam, co ptaki mają do powiedzenia. Zawsze liczyłam, że trafi się coś przydatnego dla Jaśnie Pana albo dla budy.

Kiedy chleb, który dała mi Mya, skończył się, podparłam podbródek dłońmi i patrzyłam na ptaki. Ucichły, ale niewiele odleciało, mimo że w zasadzie nie było już co jeść. Obserwowały mnie. Chyba wiedziały, że je lubię, nawet jeśli nie słyszę ich duchów. Miały w sobie piękno, gdy nie były brudne. Ale też skąd brał się ten brud, jeśli nie od ludzi i miasta?

Mają takie głupie miny.

Wyciągnęłam rękę. Jeden na niej wylądował. Kiedy podniosłam palce drugiej dłoni, stuknięte ptaszysko próbowało skubać opuszki.

– Pewnie nikt z was nie jest tu dlatego, że zgasił go Wąż Cienia? – spytałam, nie podnosząc

głosu. – Porwał i zabił?

Ptak poderwał się z mojej ręki. Kolejne ptaki wzbijały się w powietrze, aż odleciała większość. Zostało ze trzydzieści i wszystkie na mnie patrzyły. Jeden, cały biały z wyjątkiem czarnych plamek na końcach skrzydeł i ogona, zbliżył się do mnie.

– Mamo? Zgubiłem się, mammo.

Nachyliłam się.

– Rolond? – spytałam. – Znasz mnie. Czasem brałam cię na ręce, mały. Twoja mama to moja przyjaciółka, Tansy. – Piekły mnie oczy, ale głos miałam spokojny. Duchy to czyste emocje. Kiedy się zdenerwuję, zaraz uciekają. – Twój tata to Herun Lofts. Znam też twoją babcię, Annis.

Nie wiem, czy mnie rozumiał, ale musiałam spróbować. Może dzisiaj był dzień cudów.

A może nie.

– Mamo, tu jest ciemno i się zgubiłem – powiedział, głuchy na moje słowa. – Zabrali mnie. Gdzie jesteś?

– Mamo? – To był głos małej dziewczynki. – Baba powiedziała, że nie dałaś Wężowi Cienia tego, czego chciał. Twój liliowy naszyjnik był ważniejszy... tak powiedziała.

– Tato, Wąż Cienia mówił, że nie dałeś mu tego, co wygrałeś w zakładach, więc mnie zabrał...

– To była tylko cholerna książka, której nawet nie umiesz przeczytać, głupia zdiro! – Ta dziewczyna była starsza i wściekła.

– Nie rozumiem. Czemu jakiś Wąż chce twoją mosiężną skrzynkę? Mówiłaś, że to tylko piśma jakiegoś szlachcica, dla którego raz tańczyłaś.

W końcu ukryłam twarz w dłoniach. Mama zawsze mówiła, że pewnego dnia pożałuję zadawania tak wielu pytań. Ten dzień właśnie nadszedł.

Gdy nie mogłam już tego znieść, zerwałam się na nogi i zamachałam rękami. Wszystkie poderwały się z furkotem piór i łopotem skrzydeł.

Bogini, pozwól mi zrobić coś dobrego z tak wielkiego zła. Pozwól mi uzyskać od tych ptaków jakąś wiedzę. Coś, co pomoże mi odszukać Szczury, które zabiły tych kopaczy albo Węża Cienia, który morduje dzieci. Uczucie, którego doznałam w dniu, gdy zaprowadziłam swojego pana do bandy Śmiałego Brassa, byłoby niczym w porównaniu z chęcią zamknięcia tych drani. Wiedza, że dwóch zabójców chodzi swobodnie po Niższym Mieście, powodowała ból, którego nie mogłam uśmierzyć.

Dłonią potarłam uda i poczułam grudkę w kieszeni halki. Ciągle miałam ten ognisty opal. Wyciągnęłam go i obróciłam. Był bardzo piękny i zastanawiałam się, jak by wyglądał po wypolerowaniu. Zapewne szlachcice i bogacze chcieliby go tym bardziej, nie wiedząc, że pochodzi ze skał Niższego Miasta. Uśmiechnęłam się. Lubiłam różowy kamień, który było widać wszędzie, w najszybszych murach, alejkach i ogródkach.

Berryman powiedział, że one fascynują. Luzie z wypchanymi złotem sakiewkami będą zafascynowani tymi strzępami wiśniowego i niebieskiego ognia, lśnieniem zieleni... Przekręcałam kamień to w jedną, to w drugą stronę, odkrywając nowe kolorowe fragmenty, i pozwalałam, by urywki minionego tygodnia przepływały mi przez umysł. Pytania wydostawały się na powierzchnię myśli niczym bąbelki w studni. Kto mógł zauważyć, że dziewięćdziesięciu zdrowych bab i chłopów przepadło w tym samym czasie? Kto mógł zauważyć zniknięcie jednego dziecka tu, jednego tam, jakby za sprawą czarów zabranych z łóżka czy ulicy w pełni dnia?

Gdy tam siedziałam, do głowy przychodziły mi rozmaite myśli. Jedna z nich dotyczyła słów Tunstalla do pani Noll w mój pierwszy wieczór na służbie: „Was, bystrych staruszek, wszędzie pełno, prawda? Jesteście wszędzie, widzicie i słyszycie wszystko”.

Oprzytomniałam, a w oczy zaświeciło mi słońce. Znam staruszki. Po pierwsze, samą panią Noll. Po drugie, babcię Fern. W całym Niższym Mieście były jeszcze inne, żebraczki, nawykłe do swoich rogów ulic niczym zaprzyjaźnione ze mną pyłowe kręty, praczkę, korzystające ciągle z tych samych fontann na placach, ulicznice, które każdej nocy pracowały w tej samej części Corus. Ludzie rozmawiali przy nich, jakby były rzeźbami.

– Wiedziałem, że cię tu znajdę.

Zerwałam się na nogi. Tak bardzo pograżyłam się w myślach, że nie usłyszałam kroków swojego pana Gershoma w trawie. Dygnęłam za szybko i omal się nie przewróciłam, za co u swojej pani zasłużyłabym na lodowate spojrzenie. Jaśnie Pan tylko zachichotał i złapał mnie za łokieć, by mnie podtrzymać.

– Becco, mam nadzieję, że tamci wyglądają o wiele gorzej. – Machnął wolną ręką, by pokazać, że chodzi mu o moje oko i kość policzkową.

Opuściłam wzrok i zaczęłam się jękać.

– T-też chciałabym m-móc to powiedzieć, Jaśnie Panie. N-niestety, oberwałam najgorzej.

– Ale podobno dobrze się spisałaś. Przeciwnicy mieli niemal siedmiokrotną przewagę liczebną nad tobą i twoimi Psami, nawet gdy do akcji wkroczyła pani Sabine, a jednak proszę. – Miał na sobie dzienny strój domowy, a stalowe włosy spiął w koński ogon. Nosił krótką haftowaną tunikę (dzieło Jaśnie Pani), wypuszczoną na luźne spodnie, związane na łydkach. – Szkoda, że tego nie widziałem. Dobrze ci poszło – większość stażystów przypląciłoby śmiercią bójkę w takim miejscu. Powiedz, co się stało tej pierwszej nocy? – Usiadł na ławce i pociągnął mnie, sadzając obok siebie. – Czemu przegapiłaś to na czatach? Wiem, że nauczyłem cię lepiej i jestem pewien, że Ahuda także.

Zwiesiłam głowę.

– Panie, zawiadnęły mną emocje.

– Ach – powiedział, krzyżując nogi w kostkach i odchylając się w tył. – Można się było tego spodziewać u kogoś, kto dopiero zaczyna. Uprzedzałem, że minie trochę czasu, zanim przywykniesz. Cały talent świata nie zastąpi dobrego, solidnego doświadczenia.

Skinęłam głową. Po prostu zdobywanie doświadczenia zdaje się trwać strasznie długo, a ja potrzebuję go teraz.

– Wiesz, co spotkało Tunstalla, i to już po tym, jak buda wybrała go na Psa?

Pokręciłam głową, ale nadstawiłam uszu.

– Spadł z dachu. Gonił Szczura, który zabił człowieka w Ładnakości, gdzie domy stoją jeden obok drugiego, tyle że jeden był o dwa piętra wyższy, z bardziej stromym dachem. Tunstall wdrapał się tam i trzymał już chłopca za kostkę, kiedy ten wsadził rękę do komina i rzucił mu sadzę w twarz. No i Tunstall spadł z dachu. Prosto w stertę gnoju, trzy piętra niżej.

– Au – szepnęłam.

– Inne Psy też popełniały błędy, Becco. W ten sposób się uczysz. – Poklepał mnie po ramieniu. – No, co sądzisz o naszym Łotrze?

Wszystko opowiedziałam. Wiedziałam, że mogę powierzyć mu informacje o ognistych opalach, o badaniu tej sprawy przez Goodwin i Tunstalla oraz o Wężu Cienia. Wiedziałam, że pozostawi te zagadnienia moim Psom i nie będzie się mieszał, o ile nie uzna, że zaszła taka konieczność. Był z tego znany.

Kiedy nastąpiło południe i gong obwieścił porę głównego posiłku dnia, wiedziałam, że czuję się lepiej. Opowiadając panu Gershomowi, jak wpadłam w resztki ryb, jak szukałam Orvy w Szambie, próbowałam utrzymać równowagę wśród osiłków znad rzeki, a także jak stawiałam czoło panu Tullusowi i Sądowi Miejskiemu, zobaczyłam swój pierwszy tydzień takim, jaki był w istocie. Nie zakułam najgorszego złodzieja z Targu Nocnego ani nie dopadłam Kayfera Deerborna z klejnotami koronnymi w kieszeni, to prawda. Nie uratowałam królowej przed bandą rabusiów ani nie przyłapałam handlarzy niewolników, udających, że jakaś księżniczka z Siraju to pomoc kuchenna. Ale żyłam i byłam głodna.

Jaśnie Pan wstał i ja też dźwignęłam się na nogi. Gdy szliśmy w stronę domu, przemówił:

– W jednej kwestii nie wypełniłaś moich zaleceń, Becco.

– Panie? – spytałam zdumiona. W którym momencie nie podążałam za jego radami i rozkazami?

– Kazałem ci wyposażyć się jak należy w naszym magazynie – powiedział, przystając przy drzwiach kuchni. Sznurem mijali nas słudzy, którzy kłaniali się i półgębkiem go witali. Spojrzałam na jego twarz. Brwi miał ściągnięte nad nosem, ale w jego oczach nie było złości, a tylko lekkie rozbawienie. Dobrze mnie znał ten Jaśnie Pan Gershom. – Nie spełniłaś polecenia z dumy albo

z niechęci do opróżniania mojej sakiewki. Tak czy owak popełniłaś błąd. Wysłaś od nas z niedostateczną ilością sprzętu. Zanim wrócisz do swojej kwatery, chcę, byś wybrała sobie jeszcze trzy przedmioty. I chcę, żebyś podczas wyboru myślała o minionym tygodniu. Zapamiętaj moje słowa, Becco Cooper.

Pochyliłam głowę. Miał rację. W każdej kwestii.

– Tak, panie.

Zamknął moje dłonie w swoich.

– Niech Mithros i Starucha mają cię w opiece.

Dygnęłam, gdy wszedł do środka.

– Niech wszyscy bogowie cię błogosławią i mają pieczę nad tobą, panie – szepnęłam. To najlepszy człowiek, jakiego znam. Tak czułam, gdy miałam osiem lat, a on postanowił wysłuchać mnie na ulicy. Teraz moje uczucia tylko się pogłębiają, ale nie ulegają zmianom.

Zastanawiałam się, czy powinnam najpierw zajrzeć do magazynu, ale zaraz zaburczało mi w brzuchu. Popłynęły ku mnie cudowne zapachy. Wzywały mnie potrawy Myi.

Obiad w południe to w tym domu ważne wydarzenie. Wszyscy jedzą razem, nawet słudzy, podający jedzenie, gdy znajdzie się już na stole. Jaśnie Pan i Pani siedzą ze swoimi dziećmi i gośćmi na podwyższeniu. Dziś byli z nimi szlachetnie urodzeni przyjaciele, cztery osoby z rodu ha-Minch, który ma więcej gałęzi niż przeciętne drzewo, a także mag w służbie królewskiej. Mag i Jaśnie Pan pochylali się ku sobie, ich głowy niemal się stykały. A zatem rozprawiali o interesach.

Moje przyjaciółki wśród dojarek i praczek zrobiły mi miejsce. W ten sposób znalazłam się po przeciwnej stronie pomieszczenia niż stajenni. Większość posłała mi uśmiechy albo nieznacznie mi pomachała. Nie widziałam swojego brata Willa. Może miał jakieś obowiązki. Myślałam, że mój młodszy brat, Nilo, zaraz zeskoczy z krzesła, tak się ucieszył na mój widok. Przyłożył sobie palec do oka i bezgłośnie spytał, co się stało. Zmarszczyłam brwi, choć nie onieśmieliło go to w najmniejszym stopniu. Kiedy pozwolono nam się oddalić na poobiedni odpoczynek, przynajmniej poczekał, aż znajdziemy się na zewnątrz i poza zasięgiem wzroku Jaśnie Pani, zanim złapał mnie w pasie i obrócił w stronę słońca.

– Becco, spójrz na siebie! Podbite oko, kto to zrobił? I cały twój policzek zrobił się zielony! Zabiłaś kogoś? Przymknęłaś? Tęsknisz za mną? Nauczyłem się powozić zaprzęgiem parokonnym, no, przynajmniej wokół dziedzińca! – Nilo wygląda jak mama, ma jej kasztanowe loki i strzelające na boki, piwne oczy, a także dołeczki w policzkach. Ma tylko dziesięć lat, ale głową sięga mi ponad ramię. – Willa posłano prosto do pałacu z wiadomością. Prosił, żeby nie pozwalać ci odejść, dopóki cię nie zobaczy. Lubisz być Psem?

Można go było uczyć, jedynie zakładając mu chwyt na szyję.

– Posłuchaj siebie, można by pomyśleć, że wychowałeś się w kurniku – zrugalam go. – Dajże coś powiedzieć! Nie jestem Psem. Jestem stażystką, Szczenięciem, ty pustogłowy wariacie! Nie wiem, kto mi podbił oko, było ich zbyt wielu. Pewnie, że za tobą tęskniłam – powiedziałam i przerzuciłam go przez biodro w kurz dziedzińca.

Poleciał ze świstem, mały nędznik. On i troje innych stajennych – dwóch chłopaków i dziewczyna – błagało mnie, bym nauczyła ich jego chwytu i rzutu. Oczywiście myśleli o tym, by kiedyś szkolić się na Psy. Pomyślałam, że może Nilo mógłby pójść w moje ślady i zacząć szkolenie Szczenięcia, aż zobaczyłam, jak bardzo uwielbia pracę z końmi. Nie miałam nawet czasu na podobne marzenia związane z Willem. Zaczął kręcić się przy stajni, gdy tylko stał się wystarczająco duży, i jeździ wierzchem, jakby urodził się w siodle. Nie ma w tym niczego magicznego. Mistrz stajenny to świetny nauczyciel, a moi bracia kochają konie, tak jak mama kochała inne zwierzęta.

Kiedy młodzieńcy byli już do cna zakurzeni i wyczerpani po mojej szybkiej lekcji, rozpierzchli się. Nilo i ja ruszyliśmy do stajni, by poczekać na Willa. Nie mieliśmy ustronnego miejsca, w którym moglibyśmy usiąść. Moje siostry spały tam, gdzie pokojówki pani. Chłopcy poszli do kwater dla stajennych. Mya wygospodarowała dla mnie miejsce wśród pomocnic kuchennych i dziewczyn stajennych, dopóki nie przeprowadziłam się do koszar szkoleniowych dla Szczeniąt.

Teraz, słuchając, jak Nilo plecie o wszystkim, co się działo, odkąd przeprowadziłam się do Niższego Miasta, cieszyłam się, że mam swój dom. Mogę się przemieszczać, nikogo nie budząc,

i nikt nie skarży się na Drapka. Chciałam przyprowadzić go dzisiaj, ale wprost odmówił. Wpełź z powrotem pod pościel, gdy posłałam łóżko. Nilo marudził, że mój kot nie przyszedł, więc rozśmieszyłam go opowieściami o Drapku, pełniącym służbę w Niższym Mieście.

– Nilo, Nilo, zgadnij, kogo spotkałem! – Will wszedł do środka, prowadząc spoconego konia. Zarówno jego, jak i wierzchowca pokrywał pył z drogi, ale Will uśmiechał się od ucha do ucha. Pokazał nam srebrnego nobla. – Król mi to dał! Król Roger we własnej osobie! Pojechałem z wiadomością od Jaśnie Pana do pana sędziego najwyższego. Potem pan sędzia kazał mi zanieść wiadomość za pałac do samego króla Rogera, bo król zabrał królową na przejażdżkę! Król dał mi to, a królowa się do mnie uśmiechnęła. – Był cały rozemocjonowany. – Becco, wyglądasz, jakbyś wróciła z wojny. – Pocałował mnie, zasypując mi sukienkę pyłem. – Królowa jest taka piękna, o wiele młodsza od jego wysokości, z włosami jak ciemne chmury...

– Błę – jęknął Nilo, przewracając oczami.

– A co ty tam wiesz? – Will go popchnął. – Zajmę się Lubą, a potem będę mógł usiąść.

Nilo, wyprosisz coś dla mnie u Myi? Jego wysokość i sędzia kazali mi dwa razy jeździć w tę i z powrotem. – Ruszył dalej, a klacz cierpliwie poczłapała za nim.

Popatrzyłam na Nila, który udawał, że wymiotuje.

– Przyniosłabym mu coś do jedzenia. Chyba jest otumaniony – stwierdziłam.

– Idę. „Królowa jest taaaka piękna” – powiedział z drwiną, obracając się. – Ma zęby jak gwiazdy i włosy jak owcze runo, królowa jest taaaka piękna! – Na wpół śpiewając, poszedł po jedzenie dla brata. Próbowалаm powstrzymać się od śmiechu.

Chłopcy i ja graliśmy w pikuty nożami, które nosiliśmy przy paskach, gdy nadeszły nasze siostry. Przeszły przez drzwi stajni jak wielkie damy i zmarszczyły brwi, widząc nas na kolanach na ziemi.

Popatrzyłam na nie i poczułam się dziwnie. Gdy byliśmy młodszy, mniejsze dzieci, włącznie z tymi dwoma dziewczętami w schludnych sukniach, nosiły połataną koszulę i biegały bez butów. Ja miałam tylko jedną cienką sukienkę. Chodziłam boso, jak one, i starałam się opiekować całą czwórką, gdy mama była zajęta. Zawsze było dziecko na rękach, albo dwójka, kosz odzieży do pozszywania, szmaciane zabawki i ulice, gdy drażniliśmy klientów, przychodzących do mamy po zioła, albo jej ostatniego mężczyznę. Ciekło nam z nosów, a także z zadków, gdy mięso było zepsute, o ile w ogóle mieliśmy mięso.

Teraz nosiliśmy ubrania, na których nawet nie było widać szwów, chociaż bryczesy Nila i Willa były przedłużane po trzy razy. Chłopcy mieli przyzwoite, mocne tuniki, które dobrze znosiły koński brud i dawały się uprać, nie rozpadając się potem na kawałki. Stopy zyskały ochronę przed wszystkim z wyjątkiem najgłębszego ulicznego błota.

Nasze siostry wyglądały jak z innego świata w porządnym wełnianym sukniach z ozdobnym haftem. Na głowach nosiły okrągłe czapki, także haftowane. W przeciwieństwie do chłopaków i do mnie, były tak czyste, że aż lśniły, a ich skóra była jasna, aksamitna.

Milczenie między nami zrobiło się niezręczne, ale nie wiedziałam, jak je przerwać. Chłopcy skrzywili się i schowali noże, gra w pikuty dobiegła końca. Podniosłam nóż. Czując, że jeśli schowam go od razu, wyjdzie na to, że wstydzę się naszej gry, zakręciłam go na czubku palca. Niestety, zepsułam chwyt, wyrzuciwszy nóż w powietrze. Upuściłam ostrze, zanim mnie skaleczyło.

Lorine skrzywiła się.

– Teraz jesteś nie tylko poturbowana, ale i brudna.

Popatrzyłam na swoją sukienkę. Była usmarowana ziemią.

I dobrze, pomyślałam, brud zasłoni gołębie odchody. Spojrzałam na Lorine.

– Byłam śliczna dla pani i pana – powiedziałam, specjalnie wnosząc akcent Niższego Miasta do Dzielnicy Koturnowej. – Zjadłam obiad w sali i nie siorbałam zupy. Nie zostanę na kolację, więc wygląd mojej sukienki liczy się jak gołębia karma dla głodnego byka.

– Lubisz to robić, prawda? – spytała Diona. Jej policzki oblały się czerwienią. – Zawstydzają nas przed przyjaciółkami. Robić z Willa i Nila ulicznych łobuzów, chociaż umieją się zachować jak światowi młodzieńcy!

Will wstał.

– Na moje szczęście królewscy posłańcy mogą zachowywać się jak normalni ludzie, gdy nie stoją przed szlachtą – stwierdził z błyskiem w zielonych oczach. Wygląd ma po tacie. Za jakiś czas wszystkie dziewczyny będą tańczyć, jak im zagra. – Nie są tak głupi, żeby udawać, że szlachectwo spływa i na nich...

Diona podeszła, by wymierzyć mu policzek. Nieświadomie zerwałam się z ziemi i złapałam siostrę za nadgarstek. Trzymałam ją i stałam między nimi.

– Nie jesteś Jaśnie Panią – oświadczyłam jej cichym głosem, by nikt inny nie usłyszał, nawet gdyby był blisko. – Nie możesz bić ludzi po twarzy. Wstydz się!

– Ona nie chciała, Becco, nie rób jej krzywdy. – Nilo mówił tak, jakby lada chwila miał się rozplakać.

Puściłam Dionę i go uściskałam.

– Nie zrobiłam jej krzywdy. Pamiętam, z kim mam do czynienia, nawet jeśli ona nie pamięta.

Lorine westchnęła.

– Diono, Becca ma rację. Nie myśl, że nie widziałam, jak popychasz Nila, kiedy nikogo nie ma w pobliżu. Za bardzo się wywyższasz, dziewczyno.

Diona potarła nadgarstek. Nie złapałam nawet na tyle mocno, by się zaczerwienił.

– Pokojówka Jaśnie Pani ma rację! Jesteś śmieciem, Becco! Spójrz na nas! Wszystko było dobrze, odkąd odeszłaś. Wracasz na pół dnia, a chłopcy już są brudni i mają złe maniery, a w dodatku obracasz ich i Lorine przeciwko mnie. – W gniewie jej ładna twarz stawała się brzydka. – Jaśnie Pani daje nam szansę na godne życie, a ty bezczelnie ją odrzucasz...

– A dzięki komu twoje godne życie jest godne? – spytałam, tracąc cierpliwość. – Kto dba o wasze bezpieczeństwo? Nie pokojówki i lokaje. Osilki znad rzeki zabiłyby was za parę sfałszowanych kości! Kto zamyka morderców w klatkach i pilnuje, żeby naszyjniki dalej wisiały na waszych szyjach? Kto...

– Dosyć! – Koniuszy usłyszał nas i stał w otwartych drzwiach z batem w ręce. – Można by pomyśleć, że to południe na Targu Rzecznym i ryby zaczynają się psuć! Gdzie się nauczyliście robić tyle hałasu w domu pana?

Moi bracia i siostry popatrzyli po sobie. A potem zrobili coś bardzo przykrego, nawet Nilo. Odsunęli się ode mnie, tylko odrobinę. Oczywiście, zapewne chodziło o to, żebym to ja została złapaną. A może o mój niechlujny wygląd, brud, gołębie plamy i tak dalej. Ale oni stanowili grupę, czworo przyuczanych do służby. To ja tu nie pasowałam.

Dygnęłam i wymamrotałam pod nosem jakieś przeprosiny, podobnie jak oni. Zmarszczywszy jeszcze raz brwi, koniuszy wyszedł. Diona i Lorine ruszyły w jego ślady, trzepocząc welonami i rąbkami sukien. Chłopcy wahali się, przestępując z nogi na nogę.

– Muszę zajrzeć do magazynu, a potem iść do domu – powiedziałam im. – Będziecie pracować do kolacji, więc zabraknie nam czasu na rozmowę. A ja muszę wcześniej wrócić do swojej kwatery. W Niższym Mieście już się ściemni. Nie powinnam sama chodzić po ulicy bez broni.

– Ale podczas kolacji nie jest ciemno! – stwierdził zdezorientowany Will.

– Jesteście na wzniesieniu pod Wzgórzem Pałacowym – wyjaśniłam. – Niższe Miasto znajduje się w dole. Mur jest tam bardzo wysoki. Wcześniej zasłania słońce.

– Oj – powiedział Nilo. – Kiedy się znowu spotkamy?

– Spróbuję następnego wolnego dnia. A teraz idź się umyć. Tutaj się pożegnamy. – Znowu się zawahali, więc zdjęłam z nich to brzemię. – Żadnego przytulania. Nie chcecie, żeby te wasze ładne koszule jeszcze bardziej się pogniotły. Po buziaku w policzek, nic więcej. – Dałam i odebrałam całusy. – Kocham was obu. Kocham nawet nasze siostry.

Jak to chłopcy, pomarudzili i odeszli. Zbliżyłam się do ściany stajni i oparłam twarz o szorstkie deski, uważając na drzazgi. Mam trochę rozsądku, więc wytłumaczyłam sama sobie, że moja rodzina aż tak bardzo się zmieniła, odkąd przeprowadziłam się do Zaułka Drobnomiedzi.

Wciągnęłam w nozdrza zapach stajni: końskie łajno, siano, brud, skóra, pasty i oleje stosowane po to, by nadać skórzonym częściom rzędów gładkości i giętkości. Była to woń czystości. Pustki i czystości. Podobnie jak zapach dużego domu, z dodanymi nutami kwiatów, mydła, gotowa-

nia, choć bez końskiego łajna i konia. Żadnych zgniłych warzyw czy zwierzęcego ściernia, żadnych smażonych resztek ani stert świeżo ściętych kwiatów. Żadnych stad, gnanych na targ, klatek z ptakami i królikami. Żadnych pomyj, wylewanych do rynsztoka i spływających do zupy, będącej Niższym Miastem.

Czyści, schludni ludzie mieszkający w domu starosty nie pachną dla mnie tak dobrze, jak ciemne ulice tam, gdzie teraz żyję. Określiłam to, co czułam przez cały dzień. Dystans. Cieszyłam się ze spotkania z Myą i Jaśnie Panem. Zraniły mnie siostry i częściowo Will. Nilo to wciąż mały chłopiec. Poza tym pamiętam powitanie, jakie mi zgotował. Lecz nie należę już do tego domu. Jestem Szczenięciem i moje miejsce jest w Niższym Mieście. Nadszedł czas, by wrócić do domu.

Wybrałam trzy rzeczy na swoje dodatkowe wyposażenie, po czym poszłam. Ma się rozumieć, nie wracałam tą samą drogą, którą przybyłam. Nigdy tak nie robię. To nudne. Pamiętałam też o jutrzejszym poranku i śniadaniu. Przynajmniej raz mogłam do naszego spotkania dołożyć coś więcej niż tylko miedziaki. Było zbyt wcześnie na Targ Nocny, ale Targ Dzienny był jeszcze otwarty. Stoisko pani Noll wydawało się dobrym miejscem na kupno chleba na śniadanie.

Szłam szeroką Drogą Pałacową wyłożoną płaskim, białym brukiem. Moje chodaki łoskotały niczym kopyta koni, przejeżdżających obok. Podobnie jak moi bracia, lubiłam podziwiać te dobrze zbudowane zwierzęta. Niektóre zmierzały do pałacu, wznoszącego się na wzgórzu za mną. Inne kierowały się, tak jak ja, na północ, ku rzece.

Mimo że między domem starosty a Targiem Dziennym znajdowały się banki złotnicze i drogie sklepy, nikt nie dziwił się na widok mojej pomiętej sukienki. Szłam ze sługami, posłańcami, żołnierzami, kupcami i ich rodzinami. Kapłani Mithrosa w pomarańczowych lub żółtych szatach mijali Córy Bogini, odziane w biele, brązy i czernie. Co jakiś czas widziałam kapłanów Wędrującej z Falami w niebieskich strojach oraz sługi Kowala w skórzanych fartuchach ze świętymi symbolami. Bazhirowie w burnusach przechadzali się z dłońmi na rękojeści broni. Przybysze z Carthaku, Galli, Tusaine i Wysp Miedzianych starali się udawać, że nie patrzą.

To było już bardziej Corus, które kocham, ładnie ubrane. Przedstawiciele wyższych i niższych sfer przemieszczali się tędy w interesach albo na spotkanie z królem i jego nową królową. W przyszłym roku odbędzie się pierwsze święto na cześć młodego księcia. Potem sąsiednie królestwa przyślą swoich najwybitniejszych przedstawicieli, by powitali dziecię i dali się oskubać w Niższym Mieście. Wszyscy nie możemy się doczekać chwili, w której świat powita naszego małego następcę tronu.

Nie widziałam dziś natomiast żebraków w ich zwykłej liczbie. Widocznie Psy z Drogi Pałacowej, przynależne do bud z dzielnic Migot i Koturnowej, musieli ich przepędzić. Bywa, że damy się skarżą, gdy zbyt liczne kaleki psują widok głównej drogi do pałacu. Domyślałam się, że przeganianie nastąpiło około południa. Jedna żebraczka już wróciła, by zająć miejsce na ulicy w pobliżu domu starosty. Była przerażająco chuda, z niemowlęciami u pustej piersi. Dziecko płakało.

Przeszłam obok. Poszuka pomocy w jednej ze świątyń Bogini, jeśli naprawdę zależy jej na nakarmieniu tego malca, powiedziałam sobie. Zaczęłam przeliczać budżet na ten tydzień, by sprawdzić, czy mogę poświęcić jakąś monetę. Za sobą usłyszałam, jak przejeżdżający jeździec mówi jej, że więcej zarobiłaby, leżąc na plecach, niż wyciągając dłoń.

Zatrzymałam się ze złością i wzięłam do ręki miedziaka. Potem zobaczyłam, że nowo przybyła żebraczka łapie za uzdę przyozdobionego klejnotami wierzchowca szlachcica. Stara baba zaczęła do niego paplać, proponując, że przepowie mu przyszłość. Odepchnął ją kopniakiem.

Pobiegłam do przodu, przeklinając go w dialekcie Szamba i rzucając miedziaka chudej żebraczce z dzieckiem. Złapała go i uciekła. Zapomniałam o niej i splunęłam na bogacza, który odjechał, nie zwracając na mnie uwagi.

– Świński gnój – mruknęłam, chwytając starą żebraczkę, by pomóc jej wstać. Była natrętna, ale kopnięcie żebraczki to bez wątpienia akt bestialstwa.

Ku mojemu zaskoczeniu, zaczęła mi się opierać. Okazała się silna jak na kogoś, kto wygląda jak skóra i kości. Nie miała na twarzy siniaka po kopnięciu szlachcica, krew nie leciała jej z nosa. Udało jej się zrobić unik.

W ręce trzymała trzy z klejnotów, które wszyto w końską uprząż, w drugiej zaś ostry szty-

let. Wyrwałam go jej i wsunęłam do pochwy za własny nóż. Ciasno utkwił w środku. Nawet ona będzie potrzebowała paru chwil, by go wyciągnąć.

Znalazłam wzrokiem szlachcica, by sprawdzić, czy zauważył brak klejnotów. Skręcał w boczną uliczkę, przeklinając kapłana, który przeszedł przez ulicę tuż przed nim. Nie, był zbyt głupi, by spostrzec kradzież. Budził we mnie niechęć, której nie umiałam wyrazić słowami.

Popatrzyłam na nią. Była chuda i blada, ale na tyle sprawna, że wydłubała trzy szlachetne kamienie swoim nożykiem. Byłam pewna, że widywałam ją w Niższym Mieście, jak zebrała na targach i w świątyniach. Przypomniałam sobie, jak się nazywa. Matka Cantwell.

Mogłam ją przymknąć i pozwolić głupiemu szlachcicowi na zemstę albo wykorzystać tę okazję.

Zakręciłam klejnotami w dłoni, by usłyszała, jak o siebie stukają.

– Matko Cantwell. Za takie przestępstwo idzie się do klatki. Może tamto grube paniątko nagrodzi dobrego Psa za zwrot błyskotek. Albo sama mogę się nagrodzić.

– Mówisz, jak Pies, co czegoś chce, a jesteś tylko Szczenięciem – powiedziała, mierząc mnie ostrym starczym spojrzeniem. – Okropne, jak to dziś młodzi szybko dorastają.

Poczułam ruch przy swoim nożu u paska. Leciutko poruszyłam nadgarstkiem, by wiedziała, że uważam. Potem spojrzałam w dół. Zabrała rękę. Była bardzo sprawna jak na swój wiek.

– Jestem Szczenięciem, które czegoś chce. W zamian będę pobłażliwa – oznajmiłam. Gdzie się podziała moja nieśmiałość?

Czyżby przypominała mi babcię Fern i to podobieństwo dodawało mi odwagi?

Nie, po prostu czułam się swobodnie, gdy wykonywałam zadania Psa. Zupełnie nie przejmowałam się nieśmiałością, gdy zamykałam Orwę i zabierałam jej nóż ani wtedy, gdy walczyłam z osiłkami nad rzeką.

Teraz oczy Matki Cantwell utkwione były w mojej wolnej ręce, tej, w której trzymałam klejnoty.

– Pobłażliwa? Wspomniałaś o pobłażliwości. Jestem stara, ale nadal słyszę.

Wrzuciłam kamienie do sakiewki przy pasku, który następnie przekręciłam, by przesunąć sakiewkę na plecy.

– Nie aż tak pobłażliwa, Matko. Zresztą sprzedałabyś je Krzywonogiemu za mniej niż jedną czwartą wartości. Wierz mi, jest wystarczająco bogaty. Nie zasługuje na ten zysk.

– Zatrzymasz je dla siebie. To podłość! Już kradniesz z worka szczęścia! – Z niesmakiem pokręciła głową.

Z trudem wstrzymywałam uśmiech. Wykład o moralności z ust starej żebraczki i złodziejki był najśmieszniejszą rzeczą, jaka spotkała mnie dzisiaj.

– Matko, jeśli postarasz się mnie nie wkurzyć, nie spędzisz następnych sześciu dni w klatkach ani reszty swoich lat na pracy dla króla. Możemy przejść do interesów?

Skierowała na mnie chytre ciemne oczy i czekała, tak jak uliczne wróble czekają na okruchy.

– Dziewięcioro mężczyzn i kobiet dostało robotę przy kopaniu w Szambie, Matko – powiedziałam cichym głosem. Ruch na ulicy nie był duży, ale nie chciałam, żeby podsłuchał mnie jakiś przechodzień. Wciągnęłam ją do Alejki Wiązówek. – Powiedzieli im, że to studnia, ale tak nie było. Zabili ich jakiś tydzień temu. Ich rodziny wiedzą tylko, że zniknęli. Słyszałaś o nich?

Matka Cantwell wygięła wargi, wyraźnie mną zniesmaczona.

– Dziewczyno, we łbie masz poprzewracane z góry na dół i na boki. Ludzie...

Przerwałam jej.

– Wiem, że ludzie cały czas znikają w Niższym Mieście! Ale to co innego. Dziewięć osób naraz, wszystkie razem. Nawet jak na Szambo to sporo. Jeśli dotąd nic nie słyszałaś, to nie znaczy, że jeszcze nie usłyszysz, o ile uszy będziesz miała czyste i czujne.

Cmoknęła, jakby się zastanawiała.

– Słuchaj, Matko. Kopali w jakimś budynku. Pomyśl o błyskotkach, które ci zabrałam. Mag może rzucić na mnie zaklęcie prawdy i się dowie, że nie ja je ukradłam, tylko ty. Gdy tak się stanie, staniesz przed obliczem królewskiej sprawiedliwości. – Uśmiechnęłam się. – A tego bym nie chcia-

ła. Możemy pomóc sobie nawzajem.

– Zdaje się, że bardziej ja tobie – powiedziała.

– Co jakiś czas będę miała dla ciebie prezencik. – Będę musiała coś skombinować, kiedy jej wdzięczność już się wyczerpie. – Nie jestem Psem, który każe ci śpiewać z czystej sympatii do mnie.

Uśmiechnęła się, odsłaniając nagie dziąsła. Bała się, że będzie musiała robić to wszystko za darmo.

– Łajno byś dostała, gdybyś kazała, Rybie Szczenię.

Nie chcę, żeby wiecznie mnie tak nazywano.

– Jeszcze jedno, Matko – powiedziałam, gdy próbowała strząsnąć moją dłoń ze swojego ramienia. – Wąż Cienia.

Wykonała gest przeciwko złu, znak światła, które odgania cienie. Omal go odruchowo nie powtórzyłam, lecz zamiast tego zacieśniłam uścisk na jej nadgarstku.

– Nie wiesz, o co prosisz, Szczenię Cooper – powiedziała, nagle śmiertelnie poważna. – Nic nie wiem. Nie zadaję pytań, przez które mogę spłynąć rzeką zadkiem do góry. Nie mam nic, czego chce Wąż. Dopóki trzymam się z dala od jego spraw, nie musimy się nawet kłaniać na ulicy. Choć i tak nikt nie wie, komu się kłaniać. – Odwróciła się w bok i splunęła.

Bogini Starucha rozpałała w moim umyśle małą iskierkę.

– Rozumiem, czemu nikt nie chce iść z tym do budy – zaczęłam powoli, ostrożnie dobierając słowa. – Ale co z Łotrem? Przecież ten Wąż poluje na jego terenie, na ludzi, którymi Łotr ma się opiekować.

Stara baba drwiąco się uśmiechnęła.

– Może w starych bajkach. Naprawdę myślisz, że Łotr Kayfer i jego przywódcy dbają o drobiazgi, takie jak księgi zaklęć i biżuteria? Wykopał z Dworu tyłu nieszczęśników, że nawet już do niego nie chodzą. Jego przywódcy są tacy sami. Ostatni chłop, któremu zabrano dziecko i poszedł do Dawulla, wpadł do rzeki. Ludzie śmiali się i wkopywali go z powrotem, kiedy próbował się wygramolić. Dopóki Wąż nie zaczai się na coś dużego, Łotr i jego przywódcy zostawią nas samych sobie, żebyśmy radzili sobie, jak umiemy.

Informacja informacji nierówna.

– Ludzie poszli do Kayfera?

– Niejeden, dziewczyno. Teraz rozumiesz? Nie wiadomo, kim jest Wąż, i nikogo nie będzie obchodzić, czy mnie zgaszą za mieszanie się w sprawy Węża! – Baba szarpnęła się w moim uścisku, i to mocno.

– Ale umiesz słuchać, prawda? Wy, starzy, jesteście wszędzie i wszystko słyszycie. Słuchaj i pytaj o dziewięć osób, które poszły razem. Może ktoś chce zatrudnić więcej kopaczy.

O tym też chcę wiedzieć, jak najszybciej. Dopilnuję, by ci zapłacono.

– Niewiele, dam głowę – odparła.

Uśmiechnęłam się.

– Mogę dać te klejnoty naszemu magowi. Znajdzie i ciebie, i właściciela.

– Oczywiście, będę słuchać przy każdej okazji – powiedziała i westchnęła.

– Będę wdzięczna za twoje przysługi, Matko – odrzekłam. – Liczę, że nie będzie trudno cię znaleźć. – Miałam pewność, że każdy Pies przy ulicy Jane może mi powiedzieć, gdzie jej szukać.

– Pewnie, że nie, zwłaszcza takiej bystrej dziewczce jak ty – odparła cierpkim głosem. Wtedy ją puściłam.

Każda z nas poszła w swoją stronę, a ja obróciłam pasek tak, by mieć sakiewkę w polu widzenia. Byłam pewna, że to Starucha postawiła Matkę Cantwell na mojej drodze. Poszłam prosto do świątyni przy Zaułku Głowińek. Tam zostawiłam ostry nóż żebraczki jako ofiarę dziękczynną. Klejnoty trafią do worka szczęścia w budzie, gdy nikt nie będzie patrzył. Często tak bywało, gdy ktoś nie chciał zamykać jakiegoś Ptaszka.

Potem poszłam poszukać straganu pani Noll na Targu Dziennym.

Nie spodziewałam się, że ją tam zobaczę. Przecież cały poprzedni tydzień pracowała na Targu Nocnym. Stoiskiem na Targu Dziennym zajmowały się jej dzieci. Sklep był nowy i łatwy do od-

nalezienia, jako że znajdował się przy alejce piekarzy. Wywarł na mnie duże wrażenie, gdy go zobaczyłam. Był to prawdziwy budynek, a nie buda o trzech ścianach z miejscem tylko na piecyki do podgrzewania i koksowniki. Tu były półki z pasztecikami, bułkami i plackami, nakrytymi muślinem, by nie dopuścić much.

Najmłodsza córka pani Noll, Gemma, pracowała dużą łopatą, wyciągając gotowe okrągłe bochenki z pieców i wkładając do środka nowe, by się upiekły. Jej brat Yates opierał się o kontuar i rozmawiał z blondynem i brunetem, którzy właśnie położyli na podłodze worki z mąką. Zjeżyłam się. Nie lubiłam Yatesa. Był złym Szczurem i co i rusz trafiał do klatek za bójki i kradzieże. Inni synowie pani Noll byli w miarę porządni, lecz ten sprawiał kłopoty.

Wybrałam, co kupić na śniadanie, małe owocowe bochenki, które można było odpowiednio podzielić, zależnie od tego, ile nas zgromadzi się w Zaułku Drobnomiedzi. Nie zapomniałam o bułeczkach korzennych, lubianych przez Korę i Rosta, a także o tych pełnych rodzynek, dla Verene i dla siebie. Potem zaczekałam, aż zapłacą ci, którzy byli w kolejce przede mną. Z rozmów wynioskowałam, że to służący w dobrych domach. Traktowali Yatesa niemal tak, jakby go tam wcale nie było. Uśmiechał się do nich niczym chora ryba, a gdy się odwrócili, splunął na podłogę.

Jeden z kolegów Yatesa, który był razem z nim i jego matką na Dworze Łotra, powiedział szeptem jakiś żart, po którym wszyscy trzej się roześmiali. Pani Noll zatrudniała do dostaw twardej męczyzn.

– Gemmo, pamiętasz mnie? – odezwałam się na tyle cicho, by tylko ona usłyszała. – Becca Cooper.

Uśmiechnęła się.

– Wszyscy o tobie wiedzą. Mieszkałaś w domu starosty i w ogóle. Spójrz na siebie, jesteś ładnie ubrana, jakbyś nie pochodziła z Uliczki Psych Sików.

Spojrzałam w dół na swoją pomiętą i zaplamioną sukienkę.

– Gdyby można było tak powiedzieć – odparłam, obserwując ją kątem oka. Miała siniak na czole i rozciętą wargę. Siniaki widniały też na rękach, obnażonych, bo podciągnęła rękawy przed pracą. Czyżby bił ją mąż? Czy w ogóle miała męża? Miała jakieś czterdzieści lat, wystarczająco wiele, by zostać co najmniej babcią, a jej kasztanowe włosy były gęsto poprzetykane siwizną.

– Kupujesz czy nie? – Yates walnął pięścią w ladę. – Nie musisz zwracać głowy mojej siostrze, dziewczko.

Oczy Gemmy kierowały się to na niego, to na mnie, jakbyśmy oboje byli potworami.

– Yates, nie! Pamiętasz, jak mama mówiła nam o Becce Cooper? To ona!

– Nie obchodzi mnie to, choćby była rycerzem w lśniącej zbroi. Ciężko tu pracujemy, a moja siostra to porządna baba, nie jakaś ladacznica z ulicy Włóczęgów. – Uśmiechnął się do kolegów. Sądził, że jest dowcipny. – Kupuj albo zabieraj się gdzie indziej, dziewczko.

Położyłam na ladzie swoje pieczywo, a obok niego monety.

– Gemmo, czy dobrze policzyłam? – spytałam. Zaczęłam wsuwać zakupy do torby, którą zabrałam z domu, układając je ostrożnie, by się nie pomiażdżyły.

Przeliczyła pieniądze i oddała mi miedziaka. Ręka jej się trzęsła.

– Nie zważaj na Yatesa, ma szorstkie maniery – szepnęła. – On nie...

Odepchnął ją z boku, aż runęła jak długa na podłogę. Wiedziałam już, skąd się wzięły siniaki.

– Zamknij gębę – rozkazał. Odwrócił się do mnie i podniósł rękę.

Zablokowałam jego zamach przedramieniem i aż zgrzytnęłam zębami. Gdy bezmyślnie się gapił, złapałam ten nadgarstek wolną lewą dłonią i pociągnęłam go w swoją stronę przez ladę, wbijając w nią prawe biodro, by zachować równowagę. Gdy wyciągnął do mnie drugą rękę, chwyciłam ją i wykręciłam, żeby przestał się rzucać. Potem oparłam swój ciężar na lewej ręce, używając jej jak dźwigni. Gdyby się ruszył, mogłam przerzucić swoją wagę na jego nadgarstek i zobaczyć, co się stanie z łokciem, albo też dalej wykręcać mu drugą rękę. Jeśli będzie grzeczny, skończy się to wszystko dla niego zdrętwieniem nadgarstka i prawego łokcia oraz wstydem wobec naocznych świadków. Jeśli nie, poniesie konsekwencje.

Jego koledzy najwyraźniej uważali, że powinien coś zrobić.

– Jeszcze nie zrobiłam Yatesowi krzywdy – oznajmiłam im. Czułam tę samą jasność umysłu i odwagę, których doznałam, gdy ściagałam Orwę i walczyłam nad rzeką. – Zrobię, jeśli mnie zmusicie. Dziwię się, że to miejsce w ogóle zarabia, skoro Yates i wy jesteście tacy mili dla klientów.

Wtedy usłyszałam znajomy kobiecy głos.

– Muszę powiedzieć, że nie jestem zachwycona. – Sabine z Macayhill podeszła do lady i stanęła między kolegami Yatesa a mną. – Powiedziano mi, że u pani Noll mogę kupić najlepsze paszteciki z jabłkami i rodzynekami. Nikt mnie nie uprzedził o jakości obsługi. – Popatrzyła na mnie. – Może powinnaś go zabić. Ja bym tak zrobiła.

– To wbrew prawu – odparłam, nie przestając naciskać na Yatesa. Wcale nie miałam pewności, czy ona żartuje.

– A, zapomniałam. Znowu jestem w Corus. Tutaj ludzie przejmują się takimi rzeczami. Podejrzewam, że jako Pies przejmujesz się jeszcze bardziej niż większość. – Pani Sabine uśmiechnęła się do mnie krzywo i opuściła oczy na Yatesa. – Wiesz, ona jest Psem starosty.

Puściłam go i powiedziałam:

– Stażystką. Tylko stażystką, wybacz, pani. Ale to bez wątpienia jest Szczur czystej krwi.

Yates oddalił się od lady i od nas tak szybko, że wpadł na piec. Krzyknął i odskoczył, pocierając najpierw jedną rękę, a potem drugą. Rzucił się w stronę swoich przyjaciół. Uciekli przez boczne drzwi, gromiąc Sabine wzrokiem.

– Proszę, nie wiesz, co zrobiłaś. – Gemma wciąż leżała na podłodze. – Pewnej nocy ci odpłaca, Becco. Yates, jego koledzy... to twarde chłopy.

Sabine wsparła się na łokciach.

– Mówiłam, trzeba go było zabić. – W jej piwnych oczach widziałam jedynie nikłe zainteresowanie, jakby mówiła o przystrzyżeniu włosów. – Są paszteciki z jabłkami i rodzynekami?

– Jeszcze ciepłe, pani – odrzekła Gemma.

Pani rycerz wyciągnęła chusteczkę.

– Poproszę cztery.

Gdy Gemma otworzyła piec i położyła na podsuniętej chusteczce cztery paszteciki, zwróciła się do mnie.

– Będę im powtarzać, że teraz jesteś Psem, ale lepiej na nich uważaj. Powiem też mamie. On słucha mamy. – Dygnęła. – Dwa miedziaki, pani.

Pani Sabine dała jej trzy.

– Ostatnio w Corus piekarze zatrudniają pomocników szczególnego sortu – zauważyła. – Bardzo dobra robota z tymi chwykami za nadgarstki, Cooper. Ładnie wykorzystyłaś ładę jako punkt podparcia i zrównoważyłaś różnicę wagi.

Opuściłam wzrok, nie wiedząc, co powiedzieć. Poczucie, że wykonuję zadania Psa, błyskawicznie mnie opuściło i znowu się wstydziłam.

– W tej dziurze przy Włóczęgów też mi zaimponowałaś. Ale moim zdaniem pożałujesz, że tylko trzymałaś tego Yatesa, zamiast złamać mu jakiś staw albo trzy – dodała. – Rzadko opłaca się postępować łagodnie z takimi jak on. – Wyciągnęła palec w stronę Gemmy. – A ty powinnaś zdać się na łaskę świątyni Bogini. Żadna kobieta nie powinna się godzić, żeby mężczyzna tak nią pomiała. Będą cię chronić, a nawet ukrywać w razie potrzeby. – Czekwała, patrząc na nią.

– Nie rozumiesz, pani – przemówiła w końcu Gemma. – Nie mam wyboru.

Sabine przewróciła oczami.

– Wszystkie tak mówią. – Podniosła swoją chusteczkę wraz z zawartością, po czym wyjęła jeden pasztecik i ugryzła. – Bogowie, jakie to dobre! – powiedziała z pełnymi ustami. Podała mi jeden, a gdy już przełknęła, dodała: – Mattes miał rację co do tego miejsca. Może jeszcze tu wrócę. – Posłała mi nieznaczny uśmiech. – I może wytropię pana brutala w jego norze. Pozbędę się go bez twojego potępiającego spojrzenia, Cooper. W interesie dobra publicznego, ma się rozumieć.

Wyszła, zanim przyszło mi do głowy, by dygnąć.

– Panie rycerze. – Gemma pokręciła głową.

Popatrzyłam na nią.

– Co?

– Myślę, że rzeka się przed nimi rozstąpi. – Pocierała swoje ręce, a ja patrzyłam na podłogę. Chyba zapomniała, że tam jestem. – Nie wie, że na koniec mężczyźni i tak stawiają na swoim. Dlatego nigdy nie wyszłam za mąż. Widzę, co każdego dnia spotyka moje siostry.

Westchnęłam. Chciałam iść do domu i przytulić swojego kota. Dzisiejszy dzień wydał mi się nagle dłuższy niż cały poprzedni tydzień.

– Pozdrowisz ode mnie panią Noll? – spytałam.

Gemma spojrzała na mnie, a potem odwróciła się i otworzyła piec.

– Jeśli Yates nie zrobi tego pierwszy, ma się rozumieć. Miłego dnia, Becco.

Narzuciłam sobie torbę na ramię i wyszłam z tego dziwnego sklepiku, pogryzając pasztecik. Rzeczywiście był bardzo dobry. Gdy skończyłam, moje myśli znowu zaczęły krążyć wokół Yatesa. Czy pani Noll korzysta na tym, że zatrudnia takich jak on i przyjmuje dostawy od ludzi, którzy wyglądają na weteranów klatek?

Rano rozkładałam obrus na podłodze, gdy pomyślałam: a co, jeśli tamci znudzą się śniadaniem? Kładą się jeszcze później niż ja. A jeśli jedzenie pasztecików ze Szczeniętami, może czasem z jakimś starszym Psem, na przykład Phelanem, okaże się mniej przyjemne niż dodatkowa godzina snu albo dwie? Właśnie wtedy Kora, Aniki, Ersken i Phelan przyszli, wszyscy jednocześnie, i już wiedziałam, że byłam głupia. Ledwie napełniliśmy kubki, gdy pojawili się Verene i Rosto, ona z koszykiem ciastek z miejsca pracy swojej matki, a on z marynowanymi jajkami.

– Brakowało mi naszych śniadań przez ostatnie dwa dni – oznajmił Rosto, gdy już się usadowili. – To miły początek dnia. Taki spokojny.

Wszyscy pokiwali głowami z pełnymi ustami. Nawet ja musiałam przyznać mu rację. Tutaj czułam się swobodniej – choć w towarzystwie złożonym w połowie z osób stojących po drugiej stronie prawa – niż wcześniej w domu starosty.

– Podziwiali twoje siniaki? – spytała mnie Verene. – Domagali się szczegółów walki? Bo nam nic nie opowiedziałaś. Byłaś zbyt oszołomiona po leczeniu.

– Była z wami pani rycerz – odezwała się Aniki, karmiąc Drapka kielbasą. – Pani Sabine. Grupka osiłków, która przysłała wczoraj i przedwczoraj w nocy na dwór Dawulla, wyglądała jak pokopana przez muła. Mówili, że ona i banda jej kolegów, którzy dopiero wrócili ze wschodu, uratowała ciebie i twoje Psy.

Parsknęłam i omal się nie udławiłam.

– Była tylko sama pani rycerz, moje Psy i ja. Chcieliby, żeby trzeba było kogoś więcej niż tylko nas czworo – odparłam. Aniki podniosła Drapka, a moja przekłeta szczerzość kazała mi coś dodać: – Właściwie to walczyła głównie ona, no i Tunstall i Goodwin. Ja coś tam zrobiłam, ale to oni naprawdę oberwali.

– Nie bądź taka skromna – powiedział Ersken, gdy Aniki całowała łebek mojego nieszczęsnego kota. – Właściwie wszyscy powinniście zginąć. Moje Psy mówią, że ktoś powinien oddać miastu przysługę i spalić Dno Beczki, tyle tam bijatyk. Straż nocna nazywa tę knajpę „Beczka Krwi”.

– Moje Psy mówią, że twoje Psy ciągle robią takie głupie rzeczy, żeby reszta źle przy nich wyglądała – oznajmiła Verene. Spiorunowałam ją wzrokiem. Podniosła obie ręce. – Powtarzam tylko, co powiedzieli.

Phelan objął ramiona Verene i pocałował ją w skroń.

– Twoje Psy to beznadziejni durnie, słodziutka. Nie słuchaj, kiedy plotą takie bzdury. Przyglądaj się dobrym parom, takim jak Psy Becki.

Verene zatrzepotała do niego rzesami.

– A tobie i twojemu partnerowi?

Phelan wybuchnął śmiechem.

– Nie jesteśmy nawet w części tak dobrzy.

– Po co próbować, skoro to taka ciężka walka? – spytał Rosto i ziewnął. – Kiedy wpadasz w kłopoty w takim miejscu jak Dno Beczki, musisz czekać wieki, aż inne Psy przyjdą z pomocą.

Trąciłam go nogą.

– Po co się kłopotać i służyć komuś z przywódców od Łotra, skoro nie walczą o wyższe miejsce na Dworze? – odpowiedziałam pytaniem. – Bo jesteś zbirem. A my jesteśmy Psami.

– Mówisz o byciu Psem jak o czymś, co ma się we krwi – stwierdziła Verene ze śmiechem. – A ja po prostu nie chciałam łowić ryb!

– Becca ma to we krwi – stwierdził Ersken. – A jeśli chodzi o mnie, to jest to dla mnie sposób na poznawanie ciekawych ludzi.

– I Becca nigdy nie zmienia zdania? – spytał Rosto, próbując pochwycić moje spojrzenie swoimi ciemnymi oczami. – Nigdy, przenigdy?

Popatrzyłam, mimo że jego spojrzenie ma w sobie coś, od czego dostaję gęsiej skórki. Zdarzyło już mi się w kimś podkochać, ale przy nikim nie czułam takiego mrowienia, jak przy nim. On jest dla ciebie zły, powtarzałam sobie. Zły, zły, zły.

Gdzieś z głębi siebie wydobyłam słowa odpowiedzi:

– Psy odpowiednio ukarały chłopca, który potraktował całą moją rodzinę jak śmieci, Rosto Muzykancie. Wiedziałaś, że ludzie poszli po sprawiedliwość do Łotra, gdy porwano im dzieci, a on nic nie zrobił?

– Psy też nie – zauważył Phelan. – Słyszałbym, gdybyśmy szukali porywaczy w Niższym Mieście.

Spojrzałam na niego.

– Poszukamy – obiecałam. – Właśnie dlatego jesteśmy inni. Jest nas zbyt mało i nie wszystkim zależy. Ale prędzej czy później niektórzy z nas zrobią to, co powinno być zrobione.

Aniki uśmiechnęła się drwiąco.

– To cudnie, Becco.

Rosto pokiwał głową.

– Uwierzę, jak zobaczę.

Verene ziewnęła.

– Zrobiło się zbyt poważnie. Proponuję nakarmić te okropne ptaki, zanim tu wleczą i ukradną nasze jedzenie. – Wskazała parapet. Gołębie siedziały tam rzędem i czekały.

Popatrzyłam na Korę. Nie mogłam jednak nic wyczytać z jej przyglądających mi się oczu. Ersken rozrywał bułkę, by nakarmić gołębie. Wzruszyłam ramionami i wstałam. Pozostali się dowiedzą albo nie. Ja już wiedziałam, że Psy prędzej czy później zajmą się Wężem Cienia. Z bandą Śmiałego Brassy osiem lat temu było tak samo. Po prostu Psom trzeba czasem trochę pomóc.

Drapek przydreptał do mojego boku. Oj, tak. *Zobaczą*, powiedział mi. *Jeszcze nie wiedzą, jaka jesteś uparta.*

Nie chodzi tylko o mnie, powiedziałam bezgłośnie, rozsypując ziarno. Niektóre Psy potrzebują po prostu niewielkiej pomocy, żeby zacząć. Jak dostaną trochę więcej informacji, rzucą się na Węża Cienia jak wszy na kury. I na tego, który zabił tych kopaczy. Muszę zdobyć te informacje.

Popatrzyłam na nich.

– Coś słyszałam. Wspomniałam o tym Erskenowi, ale wszyscy musicie wiedzieć. To ważne. – Powiedziałam to bardzo szybko. Byli moimi przyjaciółmi, ale mogli stwierdzić, że mam świra, gdy już skończę mówić. – Wiecie, Rolond Lofts, prawnuczek Krzywonogiego, którego porwano i zamordowano? Zabrał go ktoś, kto nazywa siebie Wężem Cienia.

Phelan prychnął.

Zgromiłam go wzrokiem.

– Widziałam dowody, jasne? I to nie wszystko. Ludzie z Niższego Miasta od lat tracą dzieci przez Węża... i czasami je odzyskują. Prawie trzy tuziny rodzin, może więcej. Wąż zabiera maluchy i zostawia zalecenie, żeby oddać coś wartościowego, bo inaczej dziecko umrze. Dostają tydzień. Ci, którzy płacą, otrzymują dzieci z powrotem. Ci, którzy nie... Albo oglądają zwłoki, albo już w ogóle nigdy nie widzą dzieci. Nigdy. Do tej pory spotykało to biedaków, którzy nie mogli przekupić Psów ani Łotra. Ale Krzywonogi... Wąż dowiedział się, że Krzywonogi ma coś, na czym można się bardzo, bardzo wzbogacić. – Opale ogniste, pomyślałam. To mogły być tylko opale. Jeśli Wąż zdobędzie kilka garści tych kamieni teraz, zanim staną się powszechne na rynku, już nigdy nie będzie musiał porywać biednych dzieci. Lecz Krzywonogi odmówił zapłaty i Rolond nie żyje. Wąż ciągle działa. A jeśli przyjdzie kolej na Tansy?

– Popytacie? Dowiedzie się, kto padł ofiarą tej kupy świńskiego gnoju? Może ktoś coś wie albo kogoś widział. Nawet jeśli dowiemy się tylko tego, kto stracił dziecko albo czego chciał Wąż... jakakolwiek informacja jest lepsza niż żadna. Będę mogła przekazać ją swoim Psom. – Przełknęłam ślinę i powiedziałam coś, czego miałam nadzieję nigdy nie mówić. – Albo Jaśnie Panu Staroście. Tak czy owak, jeśli przymkniemy Węża Cienia, to – czy jesteśmy Psami, czy przestępcami – ludzie będą nam wdzięczni.

Przez dłuższą chwilę obawiałam się, że wybuchną śmiechem. Nazwą mnie mąciwodą. Po-

wiedzą, że co ja sobie wyobrażam, wszak jestem ledwie Szczenięciem.

Kora miała ogień w oczach, gdy odwróciła się do Rosta.

– Zrobię to. Zrobię to bez względu na cenę.

Nachylił się i pogładził ją po policzku.

– Wiesz, że ci pomożemy, kochana.

Aniki pokiwała głową.

– Mamy swoje powody. To znaczy, poza ambicją. Mamy uszy otwarte.

Phelan potarł skronie.

– Na pomór, Becco, myślałem, że to jakieś dziwne legendy. Masz dowody?

Przytaknęłam.

– Moje Psy mają.

Opuścił wzrok z ponurą miną.

– Przypomnę sobie, gdzie słyszałem te historie. Przepraszam. Myślałem... Nieważne.

Ersken skinął do mnie głową.

– Mówiłaś mi już o Wężu. Oczywiście, będę słuchał i pytał.

Oczy Verene zapłonęły.

– Jak złapiemy tego Węża, zrobię sobie pasek z jego skóry. Dzieciobójcy... to smutne, że Czarny Bóg okazuje litość. Nie zasługują na nią.

Poczułam ciepło w piersi, takie jak w sytuacjach, gdy Drapek mnie pocieszał.

Lubię mieć przyjaciół.

Po mojej służbie.

Podczas odprawy przed służbą dziś wieczorem pokazałam swoim Psom nowy sprzęt do sprawdzenia.

– Bardzo ładne – ocenił Tunstall, oglądając zarękawia, które znalazłam w magazynie pana starosty. Osłaniały moje ręce od nadgarstków po ramiona i miały języki, które wychodziły na dłonie. Niektóre z metalowych żeber, pasujących do otworów w pikowanej skórze, były cieniutkimi nożami. Mogły mi się przydać. Co więcej, takie cięcie, jakie zarobiłam podczas walki z nadrzecznymi draniami, zatrzymałoby się na nich i przecięło tylko skórzane osłony, a nie moje ciało. Drużym przedmiotem, który wzięłam z domu starosty, była krótka skórzana pałka, trzecim – plecak.

– Potrzebujesz jeszcze jednej rzeczy, zwłaszcza w Szambie – stwierdził Tunstall, podczas gdy Goodwin oglądała skórzaną pałkę. Sięgnął do swojej torby i wyłowił metalowy obojczyk, taki, jakie nosili i oni. – W środku jest materiałowa podszywka, widzisz, żeby cię nie obcierało. Musisz ją co jakiś czas prać. Przymierz.

Goodwin patrzyła wraz z innymi Psami, jak zawiązuję zakrzywiony wygięty kawałek metalu na swojej szyi. Miał nie pozwolić, by poderżnięto mi gardło. Spoglądałam to na Tunstalla, to na Goodwin.

– Nie mogę...

– Powiedziałem, że ci go zorganizuję – przerwał mi Tunstall. – Jest ci potrzebny.

Otworzyłam usta, by znowu się spierać.

– Zamknij się – poleciła Goodwin. Uśluchałam. – Jesteś naszym Szczenięciem. To oznacza, że twoja szyja to nasza odpowiedzialność. Poza tym jest używany. Daj spokój tym ceregielom.

– Zamierzacie podziwiać biżuterię, czy jesteście gotowi na łapanie Szczurów?! – wydarła się Ahuda. Stanęliśmy w szeregu do zbiórki, nawet Drapek. Postanowił, że należy do straży wieczornej.

Zmierzaaliśmy na Targ Nocny, gdy odezwała się Goodwin.

– Rosto Muzykant zabił ostatniej nocy jakiegoś chłopca w Ładnakości. Głupia sprawa. Dureń powiedział, że Rosto nie ma prawa przyjmować pracy u Ulsy, skoro w Corus są tacy, którzy mogą to robić. Mój Ptaszek mówił, że Rosto próbował się z tego wywinąć. Poprosił Ulsę, żeby rozstrzygnęła spór, ale stwierdziła, że nie ma z tym nic wspólnego.

– Ta kobieta odpowiada za więcej rozlewu krwi niż cała Scanra – mruknął Tunstall. – Mogła położyć temu kres.

– Więc Ulsa zrobiła unik. Potem ten głupiec wyciągnął broń. Mój Ptaszek mówi, że nawet

nie zobaczył, jak Rosto wyjmuję swoją. – Goodwin podniosła wzrok na swojego partnera, gdy ten zaczął węszyć w powietrzu. – Dlaczego udajesz, że nie chcesz iść prosto po paszteciki z rodzynkami? Po prostu chodźmy do straganu pani Noll.

Pomyślałam o Rosto, flirtującym przy śniadaniu po tym, jak zabił człowieka. Nawet jak na zbira miał wyjątkowo zimną krew. Przywykłam do myśli, że lata, które spędziłam w Szambie, były ciężkie. Teraz zaczynam się zastanawiać, jak wyglądało jego życie, skoro nawet niedawne zabójstwo nie zrobiło na nim większego wrażenia.

Po drodze do pani Noll zagadnęłam Goodwin:

– Ale koloryzował, prawda? Twój Ptaszek. Albo ktoś zasłonił mu widok. Opowieści, że nie widział, jak Rosto sięga po broń, to bajanie. Nikt nie jest aż tak szybki.

Obejrzała się na mnie.

– Mieszkasz w tym samym domu, co Rosto, Cooper. Daj nam znać.

– Albo sami się dowiemy – powiedział Tunstall. – Nie będzie długo krył się w cieniu, nie on.

Pani Noll była w swoim straganie i ugniatała ciasto. Ma silne ręce. Widziałam wydatne mięśnie.

– O, moje trzy ulubione Psy – stwierdziła, gdy Tunstall położył swoją chusteczkę. – Mieliście ciekawy tydzień, z tego, co słyszałam. Ta Ashmiller, która cię uderzyła, pani Clary. To okropne, atakować własnego męża i dzieci!

– A jednak takie rzeczy dzieją się cały czas, pani Deirdry – powiedziała Goodwin. Oparła się jednym łokciem na ladzie i odwróciła, by widzieć przechodniów. – Wie pani o tym lepiej niż ja. Wokół jest pełno smutnych historii.

Tunstall położył kilka miedziaków.

– Tym razem zapłacę. Nie usłyszę słowa „nie”, jeśli je pani powie.

Pani Noll uśmiechnęła się do niego.

– W takim razie nie powinnam go mówić, prawda? – Właśnie smażyła paszteciki, jakby wiedziała, że nadchodzimy. – Jestem winna młodej Becce przeprosiny, a raczej nie ja, tylko mój syn, Yates.

Tunstall uniósł brwi.

– Cooper?

Zerknęłam na niego, po czym wróciłam do obserwowania alejki kupców korzennych.

– Spotkałam jego i panią Gemmę, kiedy wczoraj zajrzałam do sklepu pani Noll na Targu Dziennym, gwardzisto – wyjaśniłam, zachowując formalny ton w obecności obcej osoby. – Porozmawialiśmy. – W języku Psów oznaczało to, że musiałam być surowa, ale nie brutalna. – Jasnie Pani Sabine może zaświadczyć.

Zarówno Tunstall, jak i Goodwin popatrzyli na panią Noll.

– Yates powinien przeprosić Cooper? – spytał Tunstall łagodnym głosem.

– Potrzebuję silnych mężczyzn do targania mąki i tak dalej. Ich maniere, jego maniere, nie są takie, jakich życzyłaby sobie matka – odrzekła kobieta, patrząc mu w oczy. – Niewiele jest miejsc, w których on i jego koledzy znaleźliby zatrudnienie.

– Nie bez powodu – stwierdziła Goodwin. Miała lodowaty wzrok.

– Ale chłopci muszą pracować albo leniwiej i znowu zaczynają robić rzeczy, za które trafiają pod sąd. – Łagodne oblicze pani Noll zrobiło się harde jak twarz każdej baby z Szamba, która dożyła jej wieku. – Nie chcę umrzeć, mając syna w kamieniołomach. – Popatrzyła na mnie. – Przepraszam za niego, Becco. Był wobec ciebie nieuprzejmy.

– Cooper? – znowu zwrócił się do mnie Tunstall.

Drapek miauknął, jakby nakazywał mi coś powiedzieć.

– Powinien raczej przeprosić panią Gemmę. To ją powalił na podłogę. – Chciałam odwrócić temat rozmowy od siebie, więc powiedziałam pani Noll: – Pani Sabine bardzo smakowały paszteciki.

– To kwestia przypraw – stwierdziła pani Noll. – Większość uważa, że wystarczą owoce, ale blisko lata tracą smak. Dziękuję za troskę o Gemmę, Becco. Porozmawiam z synem. – Rozpostarła

kawałek cienkiej tkaniny i położyła na niej ciastka, po czym je zawinęła i mi podała. – Na śniadanie. Bezpłatnie.

Wahałam się, aż Goodwin szepnęła mi do ucha:

– Taka jesteś bogata, że możesz zrezygnować z darmowego jedzenia? – Drapek wbił pazury w mój but i wydał donośny dźwięk, który miał chyba oznaczać, że potakuje. Bąknęłam słowa podziękowania i włożyłam ciastka do torby.

Goodwin zaczekała, aż pani Noll obsłuży rozgadaną grupę handlarzy i ich ukochanych. Potem oparła się na ladzie i zagadnęła:

– Kto nazywa siebie Wężem Cienia, pani? Kto kradnie dzieci i je oddaje, niektóre martwe, a niektóre żywe?

Pani Noll prychnęła.

– Pani Clary, Wąż to bujda! Mówiłam dzieciom, że je dopadnie, jeśli nie będą jadły gulaszu z cynaderek i wykonywały prac domowych!

– Ale ktoś wykorzystuje tę opowieść. Wie pani o tym i my też wiemy – powiedziała Goodwin. – Poluje w Niższym Mieście jak poborca podatkowy odziany w niedźwiedzią skórę. Kradnie dzieci i zwraca je, o ile rodzice oddadzą coś cennego. A jeśli nie, dzieci umierają.

Pani Noll zakrzętała się po stoisku, poprawiła ogień pogrzebaczem i sprawdziła ciasto, które postawiła na małym piecyku, by urosło. Sprzedała bułki zbrojnemu po służbie i jego ladacznicy oraz bochenek chleba zmęczonemu mężczyźnie z plamami atramentu na palcach. W końcu odpowiedziała:

– Tutaj nikt nie dba o zaginione dzieci. Ich rodzice zawsze mogą zrobić sobie nowe. – Powiedziała to z gniewnym grymasem, jakby kogoś cytowała.

– Tylko pytamy – powiedziała Goodwin. – Wie pani coś o tym? Kogo widziano tam, gdzie znikali dzieci, albo tam, gdzie je znajdowano? Bywa pani i na Targu Nocnym, i na Dziennym.

– Wiem, że nikt nic nie wie – odparła pani Noll bardzo cichym głosem. – Nikt nie wie, nikt nie widzi, nikt nie słyszy. Może naprawdę robi to potwór z bajek, pani Clary.

Goodwin wyprostowała się i zabębniła palcami w ladę.

– Nie wierzę w potwory, nie w Niższym Mieście. Jeśli jest tu potwór, ktoś go stworzył. Ale raczej uwierzę, że to człowiek albo cała banda. Chcę go, kimkolwiek jest. Chcę, żeby zatańczył na Wzgórzu Straceń dla ludzi, którym wyrządził krzywdę.

Tunstall zawiązał swoją chusteczkę, odłożywszy na bok jeden pasztecik.

– Pozwoliliśmy mu szaleć w Niższym Mieście. To hańba dla naszej formacji. Chcemy posprzątać.

– Proszę, proszę – powiedział obok jakiś mężczyzna. – Zobaczcie, kto wylazł z nory Krzywonogiego. Myślałem, że może nie żyje, jak jej syn.

Niemal zapomniałam o Targu Nocnym, tak uważnie słuchałam swoich Psów i pani Noll. Teraz się rozejrzałam. Nadchodziła Tansy, odziana w czerń, w czarnym czepku z welonem, zakrywającym jej złote loki. Przez rękę miała przewieszony koszyk.

Obok niej szła służąca, której wcześniej nie widziałam. Wyglądała dziwnie, miała mniej więcej czterdzieści lat, włosy zaplecione z tyłu w lśniący czarno-siwy warkocz, ciemne oczy, krótki nos i szerokie usta ze zmarszczkami, ściągającymi ich kąciki w dół. Całkowicie wyskubała sobie brwi i w ich miejsce narysowała idealne czarne łuki. Na jej podbródku widniał tatuaż w kształcie czarnej łyzy, dwa takie same znajdowały się w kącikach oczu. Wyglądała, jakby mogła zetrzeć się z Goodwin i zaciekle walczyć o każdy cal ziemi, zanim by go oddała.

Jej spodnia sukienka była uszyta z lepszej bawełny, niżbym się spodziewała u służącej, choć wierzchnia wydawała się znacznie prostsza. Nosila kolczyki z gagatu i naszyjnik z wisiorkiem z kwarcowym tygrysim okiem. Metal, z którego wykonano oprawę, mógł być mosiądzem, ale mnie wyglądał na złoto.

– Becca! – wykrzyknęła Tansy. – Popatrz na nas, wyszliśmy z domu i chodzimy po mieście! – Uśmiechnęła się do mnie, choć usta jej drżały. Popatrzyła na Goodwin i dalej, na Tunstalla.

– Cooper? – odezwała się gwardzistka. – Powinnaś zachować się kulturalnie.

– A. – Otworzyłam usta, ale Tansy mi przerwała.

– Zanim się doczekamy, aż Becca nas sobie przedstawi, wstanie świt. Jest nieśmiała jak nocny kwiat. Gwardzistka Goodwin i gwardzista Tunstall, jak się domyślam. Jestem Tansy Lofts, a Becca jest moją przyjaciółką, odkąd byliśmy... – Jej uśmiech zbladł, a potem próbowała znowu go na sobie wymusić. – Odkąd byliśmy małe. Mój mąż to Herun Lofts. – Wyciągnęła rękę. Musieli jej tego nauczyć w domu Krzywonogiego, bo przy Uliczce Psich Sików nawet nie słyszała o takim gościu.

Tunstall ujął jej dłoń i pocałował.

– Wyrazy współczucia, pani Lofts – odezwał się uprzejmym tonem. – Robimy, co możemy, by znaleźć i zamknąć Szczura, który odebrał pani dziecko.

Tansy ścisnęła jego dłoń.

– Słyszałam, że wy dwoje jesteście najlepsi w całym Corus. Wiem, że zrobicie, co w waszej mocy. – Nie zdając sobie sprawy, że właśnie rozdrażniła moje Psy, sugerując, że może im się nie powieść, wykrzyknęła: – Drapek, ty wredny futrzaku! Nie przywitasz się ze mną?

Drapek miauknął do niej parę rzeczy, które brzmiały radośnie, po czym wskoczył na koszyk. Roześmiała się i wsparła o towarzyszkę, by zachować równowagę.

– Pani, nie chcemy włosów tego brudnego zwierzęcia na jedzeniu, które kupimy – powiedziała służąca. Głos miała gładki i zimny. – Biegał po ulicach...

– Bzdura – parsknęła Tansy. – Jeśli zamierzasz marudzić, wracaj do domu. Mówiłam, że nie chcę osobistej służącej, a co dopiero ciebie. – Jej oczy wydawały się zbyt jasne. Usta lekko drżały. Traciła panowanie nad sobą. Czy ta baba widziała to i słyszała żal? Tansy pogłaskała łebek kota. – Mogę wziąć Drapka jako swojego towarzysza, prawda, kotku? Musisz się nudzić, kiedy Becca pracuje. – Odwróciła się do lady i zobaczyła, że pani Noll na nią patrzy. – Dlaczego za każdym razem, gdy panią widzę, marszczy pani brwi?

Pani Noll uśmiechnęła się.

– Myli się pani, pani Lofts. Moje serce rozpacza po twojej stracie. Też miałam dzieci, które umarły, gdy jeszcze były noworodkami. Wiem, co czujesz po odejściu Rolonda.

Tansy odwróciła wzrok, oczy zaszkliły się łzami. Goodwin przeszła na drugą stronę alejki, by porozmawiać z jednym z handlarzy. Przez skrzyżowanie alejek kupców korzennych i sprzedawców owoców szła Ulsa z dzielnicy Ładnakość. Wyglądała krzykliwie w czerwonej bluzce i czarnych spodniach z carthakańskiego jedwabiu. Nosila nawet zakrzywiony miecz w carthakańskim stylu. Krążyły pogłoski, że umie się nim posługiwać. Towarzyszyło jej troje strażników. Przy jednym boku Ulsy maszerowała kobieta, ale po lewej stronie, najbliższej nas, siedł Rosto. Miał zupełnie czarny strój i jeszcze więcej gracji niż Drapek. Tunstall obserwował ich uważnie.

– Przykro mi, że straciła pani dzieci – szepnęła Tansy. – Niezależnie od ich wieku. Raz... raz powiedziałam pani na ten temat coś niemilego. Myślę, że Bogini mnie za to ukarała, zabierając mi syna.

– Dziecino, ta woda wsiąkła już w ziemię – odparła pani Noll. Teraz dręczą mnie te słowa. Co takiego powiedziała jej Tansy, by mogła potem myśleć, że Bogini ją ukarała?

– Musisz porzucić smutek dla dziecka, które jest w drodze – ciągnęła pani Noll. – I musisz jeść. Mam tu dobry chleb piwny, prosto z pieca. – Pokazała jej duży bochenek.

Usłyszałam znajomy furkot gołębich skrzydeł nad głową. Pięknie, pomyślałam. Znalazły mnie i uważają, że pani Noll zaprasza na posiłek.

– Chyba powinniśmy się już zająć patrolowaniem – oznajmiła Goodwin. – Cooper, powiedz „dobranoc” pani Lofts i pani Noll...

W moich uszach rozległ się gwar głosów zmarłych, gdy gołębie sfruwały na oświetloną alejkę. Klienci i kupcy odsunęli się, gdy ptaki załopotwały skrzydłami między pochodniami. Duchy krzyczały, dziesiątkami kierując do mnie swoje skargi.

– Na łaskę Dziewicy, co one wyprawiają? – szepnęła Tansy.

Pani Noll podniosła łopatkę do smażenia. Dźgnęła markizę nad swoim straganem, klnąc na gołębie, które tam usiadły.

– Odpraw je, Becco! – nakazała.

– Ja ich nie wezwałam! – odparłam.

Tunstall położył miedziaka na ladzie, rozrywając bułkę. Wyciągnął rękę i z dłoni posypał mu się okruszki.

– Oj, coś ty – westchnęła Goodwin, gdy pięć gołębi sfrunęło i usiadło mu na ręce i palcach.

– Mama? – Młody biały ptak z czarno nakrapianymi skrzydłami zataczał kręgi nad głową Tansy, a potem spróbował wylądować. Krzyknęła i wyrzuciła rękę w górę, odtrącając go. Duch krzyczał: – Mamo, zabierz mnie do domu! Mamo, boję się!

Zamarłam. Przez cztery lata nigdy nie widziałam, by duch zapanował nad noszącym go ptakiem.

– Mamo, mamo, zgubiłem się! Ktoś mnie zabrał. Powiedział, że dziadziś mnie nie kocha!

– Gołąb, który nosił ducha Rolonda, wplątał pazurki w loki Tansy. Jej służąca dobytek noża z pochwy przy pasku.

– Nie, wariatko! – Odepchnęłam ją z drogi. – Tansy, nie ruszaj się!

– Becco, zabierz go, zabierz! – piszczła Tansy.

Nie mogłam jej winić. Ptak wpadł w panikę. Kręcił się i próbując uciec, chłostał ją skrzydłami. Takie uderzenia gołębia bolą. A ten był oszalały nie tylko ze strachu, ale też przez ducha, który go dosiadał, pewnego, że Tansy go słyszy.

– Mamo, weź mnie do domu, proszę! Będę grzeczny! – krzyczał Rolond, podczas gdy ptak wymykał mi się z rąk.

Zatoczyłam się na Tansy. Obie wpadłyśmy na stragan pani Noll.

– Ten pan powiedział, że będzie papuga, ale kłamał... Tansy wydała z siebie wrzask, po którym moje uszy przestały działać.

– Rolond! Rolond, niech mnie Bogini chroni, skarbie, gdzie jesteś?

O Bogini. Usłyszała go. Była przyciśnięta do mnie i słyszała ducha swojego nieżyjącego syna.

– Mamo, przepraszam, że byłem niegrzeczny! – Rolond szlochał, gdy moje ręce dosięgły gołębia. Był to młody ptak, któremu upierzenie jeszcze nawet nie sięgało do płytki wokół otworów nosowych. – Mamo, ten chłop zabrał mnie w złe miejsce, a potem było ciemno. Nie lubię, jak jest ciemno!

Tansy mnie uderzyła. Zaczęła bić mnie po twarzy i ramionach.

– Gdzie on jest, Becco? Zabierz mnie do niego, na zarazę! Chcę swoje dziecko! On żyje! Wiesz, gdzie jest moje dziecko!

Teraz gołąb, wciąż zaplątany w jej włosy, poleciał na mnie i mnie też uderzył.

– Przez ciebie moja mama płacze! – krzyknął Rolond. – Jesteś zła! Mama mówiła, że ludzie w czarnych strojach pomagają, a ty nie pomagasz, więc jesteś zła!

Tunstall odciągnął ode mnie Tansy. Podeszłam, by uwolnić nóżki gołębia. Tansy szarpała się, by zaatakować gwardzistę. Gdy uwolniłam ptaka i unieruchomiłam mu skrzydła, podniosłam wzrok na partnera. Obrócił ją twarzą do mnie, lecz nadal trzymał w swoim uścisku. Ciągle się wyrywała.

– Puszczaj! – krzyczała. – Chcę swojego syna!

– Przestań, Tansy – powiedziałam chłodno. – Przestań, ale już. Zachowujesz się jak dziewczka z Psich Sików.

To zwróciło jej uwagę. Uspokoila się, chociaż z oczu strugami płynęły jej łzy, a pierś falowała.

– Popatrz na mnie – rzekłam cicho. Nie odrywałam spojrzenia od jej oczu, aż zyskałam pewność, że skupia na mnie uwagę. Potem pokazałam jej młodego ptaka w swoich rękach. W jakiś sposób zachował czystość. Jego białe pióra połyskiwały w blasku pochodni. Te czarne zaś naprawdę wyglądały jak atrament. – Gołębie noszą nieszczęśliwe duchy. Rozumiesz? To nieszczęsne stworzenie nosi ducha Rolonda, dopóki twój syn nie postanowi udać się do Spokojnych Krain. Ale on nie wie, co się stało. – Czulałam suchość w ustach. Oblizawałam wargi i powiedziałam swojej najdawniejszej przyjaciółce: – Musisz mu powiedzieć, że nie żyje.

Przytuliłam sobie gołębia do piersi, by móc przytrzymać jego skrzydła jedną ręką. Potem chwyciłam Tansy drugą dłonią.

– Powiedz mu. Inaczej będzie się błąkał w tej ciemności, o której mówi.

– Powiedzieć gołębiowi, że nie żyje? – spytała Tansy.

Ktoś w pobliżu zachichotał.

– Mamo, po co masz mówić ptakowi, że nie żyje? – spytał Rolond. – Ptaki nie mają duchów, prawda? Czy w krainie Czarnego Boga są ptaki?

Tansy szlochała. Nogi się pod nią ugięły. Podciągnęłam ją w górę. Wiedziałam, że jeśli ją puszcze, ani ona nie będzie słyszała jego, ani on jej.

– Tansy, zrób to!

– Misiaczkule... kochanie, oczywiście, że u Czarnego Boga są ptaki – szepnęła, prostując się. – I to piękne. Ale ich nie zobaczysz, jeśli zostaniesz tam, gdzie jest ciemno. Musisz iść do Spokojnych Krain.

– Ale ja nie chcę iść, mamo – jęknął Rolond. – Chcę wrócić z tobą do domu.

– Oj, nie możesz. – Tansy wyciągnęła wolną rękę. Dłoń jej drżała, gdy głaskała trzymanego przeze mnie gołębia. – Rolondzie, ty umarłeś. Ten mężczyzna... ten mężczyzna cię zabił. Dlatego się zgubiłeś.

– Nie – szepnął. – Nie. Jestem po prostu w ciemnym miejscu. Jak mnie ukradli, byłem w ciemnym miejscu. – Głos mu się łamał. – Na mojej głowie była jakaś tkanina, a potem zdjęła ją dziewczynka, która ze mną była. Później wrócił ten pan i znowu ją założył. Wyniósł mnie.

– I zabił cię – powiedziałam, bo Tansy nie mogła. – Teraz nie ma już kaptura, Rolondzie. Musisz pożegnać się z mamą i iść na spotkanie z Czarnym Bogiem.

– Przyjdę do ciebie – wyszeptala moja przyjaciółka. – Pewnego dnia w Spokojnych Krainach przyjdę do ciebie.

Jego głos cichł. Uwierzył jej.

– Obiecujesz, mamo?

– Obiecuję, moje dziecko. Kocham cię.

Ale już go nie było.

Wokół nas na targu panowała cisza. Tansy nie wydawała żadnego dźwięku. Chyba wszyscy zapomnieliśmy, że tam jesteśmy, aż miejskie kuranty zaczęły wybijać siódmą. Zakłęcie, które padło na tłum, prysło. Tunstall pomógł Tansy wstać na nogi.

– Musisz zabrać panią Lofts do domu – powiedziała Goodwin do służącej. – Już. – Tamta wbiła w nią nienawistne spojrzenie. Goodwin zatrzymała się i otaksowała babę wzrokiem, zapamiętując ją w każdym calu. – Jak się nazywasz, dziewczko?

Służąca zjeżyła się.

– Vrinday Kayu.

– Kayu. Nazwisko z Wysp Miedzianych, carthakańskie tatuaże. Nie podobasz mi się. Zapamiętam twoją twarz. Wszyscy troje zapamiętamy. – Ruchem głowy Goodwin wskazała Tunstalla i mnie. – Lepiej dbaj o czystość rąk, kiedy wypuszczasz się z domu Krzywonogiego. A teraz idź zając się swoją pracą.

Przez chwilę mi się zdawało, że Kayu może syknąć i ją podrapać. Zobaczyłam migotanie wokół jej dłoni. Potem objęła Tansy ręką i poprowadziła ją z powrotem do domu Krzywonogiego. Nie obejrzała się, ale sądząc z ostrożności, z jaką obchodziła się z moją przyjaciółką, wiedziała, że patrzymy.

– Służąca, akurat – mruknął Tunstall. – To mag. Widzieliście tę odrobinę magii?

– Później. – Goodwin powiedziała to bardzo cicho. Obejrzała się na mnie. – Możesz już wypuścić swojego małego skrzydlatego przyjaciela, czy boisz się, że zaatakuje pana Drapka? – Zgromiła wzrokiem mojego kota, który siedział u jej stóp. – A ty gdzie byłeś, kiedy ptak szalał na głowie tej nieszczęsnej dziewczyny? – zwróciła się do niego.

Podniósł na nią oczy, po czym odparł:

– Manh!

Cokolwiek to oznaczało.

Dla tłumu, który widział nasz występ, i tak byłam zupełną wariatką. Nie miało już znaczenia, co powiem albo zrobię. Podniosłam głowę i zawołałam:

– Klaps! Musisz go nauczyć nad sobą panować!

Podniosłam młodego gołębia, którego trzymałam w rękach.

Nawet nie wiedziałam, czy to się uda. Nigdy nie nakłoniłam ptaków do spełniania poleceń, ale też nigdy żaden duch nie przejął kontroli nad swoim ptakiem.

Nie zauważyłam, że gołębie w górze od jakiegoś czasu są ciche. Teraz zwróciłam na to uwagę, bo usłyszałam łopot tylko jednej zbliżającej się pary skrzydeł. Klaps wylądował w kurzu targowiska. Zaczął gardłowo gruchać, co u gołębi było wyrazem gniewu.

– Nie w ten sposób – powiedziałam. – Jest jeszcze młody. To nie jego wina.

Tunstall ukucnął przed Klapssem.

– Co to za jeden? – spytał. – Klaps, tak go nazwałaś? – Podzielił kolejną bułkę. Kawalki położył przed gołębiem.

– Powinny być mniejsze – zauważyłam. Nie mogłam się powstrzymać od tej rady, mimo że to on był moim Psem szkolącym. Martwiłam się o te małe, pierzaste, natrętne stworzenia, o które tak niewielu ludzi dbało. – Jeśli kawalki są za duże... jeśli nie mogą ich podzielić... głupole próbują połknąć je w całości. Taki kawałek często potrafi utknąć gołębiowi w gardle.

– Na zęby Mithrosa – mruknęła Goodwin.

Tunstall pokruszył bułkę na kawałki odpowiednie dla gołębi. Klaps już potrząsał jednym z tych dużych, odrywając mniejszy kęs dla siebie. Tunstall pospiesznie pokruszył resztę. Ostrożnie postawiłam Atramenta przed Klapssem. Młody ptak ruszył do chleba, dziobiąc łapczywie. Klaps natychmiast pacnął go skrzydłem, po czym zaczął kuśtykać i tańczyć wokół niego, gadając po gołębiemu.

– Klaps, co? – spytał znowu Tunstall i wyprostował się z uśmiechem. – Wygląda na świra przez te swoje żółte oczy.

– O ile nie chcesz wrzucić paru miedziaków do czapki, przedstawienie skończone – oznajmiła Goodwin tłumowi. – Rozejść się. Nie ma się na co gapić.

– Gołębie mogłyby walczyć – zawołał ktoś. – Postawię na czarnego.

Inne ptaki podeszły, by się najęść. W tłumie wciąż trwały spory o to, czy mimo młodego wieku Atrament poradziłby sobie w walce z kalekim, starym Klapssem, gdy ptaki skończyły ostatnie okruchy i odfrunęły w ciemność. Wtedy ludzie rzeczywiście zaczęli się rozchodzić.

– Idziemy – powiedział Tunstall. – O gołębiach i duchach porozmawiamy przy kolacji. Czy ludzie, których dotykasz, zawsze je słyszą, Cooper?

Pożegnaliśmy się z panią Noll i ruszyliśmy między straganami.

– Nie, bo moi bracia i siostry opierali się o mnie, kiedy je karmiłam, i nigdy nic nie słyszeli. Może chodzi o to, że duch bardzo chce być usłyszany albo że jest pokrewieństwo krwi...

– Musimy naprawdę skupić się na pracy – wtrąciła się Goodwin. Jej głos brzmiał przepraszająco, co samo w sobie było dziwne. – Chociaż bardzo chcę o tym posłuchać, nieuwaga...

– ...to gotowy grób. – Znałam to powiedzonko. – Przepraszam.

– Nie – rzekł Tunstall. – Powinniśmy byli już wcześniej cię poprosić, żebyś powiedziała nam więcej o gołębiach.

Goodwin zatrzymała się, by popatrzeć na złodziejkę, która kręciła się przy stole z przyprawami. Baba zerknęła na nas i przeszła dalej. Goodwin zaczęła mówić, gdy ruszyliśmy w dalszą drogę.

– I ta sprawa z pyłowymi krętami. Chociaż szczerze przyznam, Cooper, że dostaję od tego gęziej skórki. Gołębie to przynajmniej ptaki. Część stworzonego świata. Nie ma nic dziwnego w tym, że służą bogom. Ale kręty to tylko patyki, kurz i powietrze.

Tunstall wyciągnął ramię, by chwycić jakąś dziewczynkę. Weszła między stragany, zauważywszy idącą w jej stronę elegancką damę, wspartą na ramieniu mężczyzny. Za nimi podążał kieszonkowiec mniej więcej w moim wieku. Dziewczynka miała odwrócić uwagę, a trzymana przez nią lalka stanowiła wabik. Gra zaczynała się od upuszczenia lalki tuż przed damą i jej mężczyzną. Dziecko rzuciłoby się po zabawkę. Gdy para skupiłaby się na tej scenie, współnik dziewczynki ukradłby pieniądze przynajmniej kobiecie, a może nawet im obojgu.

Moje spojrzenie przyciągnął chłop, który prosił sprzedawcę o rozmienienie trzech srebrnych

nobli na miedziaki. Coś mi nie pasowało. Pora nocy była jeszcze zbyt wczesna, by hazard już się zaczął. A to wtedy mężczyźni ubrani tak, jak ten, mogli potrzebować miedziaków albo mieć srebrniki na wymianę. Kupił od sprzedawcy kilka lasek cynamonu, by wynagrodzić mu fatygę, ale sądząc po krzywej minie kupca, kupił ich zbyt mało. A może chodziło o pot na czole tego chłopca, gdy kładł na ladzie swoje srebrne monety.

Wyjęłam pałkę i podeszłam, by stanąć obok niego.

– Dobry wieczór, mistrzu korzenny – powitałam sprzedawcę przypraw, który kładł na ladzie jednego miedziaka za drugim. Podniosłam srebrnego nobla. – Dobry wieczór, mistrzu...

Nie odpowiedział, lecz odwrócił się i rzucił do ucieczki, w chwili gdy zobaczyłam na monecie profil króla skierowany w lewo, a nie w prawo. Mógłby rzeczywiście uciec, gdybym nie przelożyła pałki za jego kolanem. Potknął się i Goodwin mogła przyskoczyć, by wykręcić mu rękę za plecami. Wyjęłam sztylet i przeciągnęłam nim po monecie. Warstewka srebra złuszczyła się, ukazując ołów pod spodem. Podałam monetę Goodwin do obejrzenia.

Rzuciła schwytanego na blat z desek.

– Cooper, opróżnij mu kieszenie. Tacy jak ty są gorsi od robactwa, wiesz? – zwróciła się do niego. – Jeśli zbyt wiele tych monet trafi do obiegu, to zwykli ludzie, zamiast paru miedziaków, będą musieli płacić za posiłek garść srebrników i całe rodziny będą sprzedawane w niewolę, żeby jedno czy dwoje mogło jeść.

Kupiec splunął na ziemię.

– Mam nadzieję, że sprzedadzą cię do południowego Carthaku – powiedział do tamtego ze szczerą nienawiścią. – Tam gdzie są węże, gorączka i wielkie gospodarstwa, na których haruje się do śmierci. – Zgarnął swoje miedziaki.

Tunstall przeszukał Szczura, podczas gdy Goodwin wiązała mu ręce.

– Obyś znał nazwiska tych, którzy ci to dali, kolego – poradził swoim uprzejmym tonem. – Inaczej możesz się spodziewać okropnej śmierci na Wzgórzu Straceń.

Targ Nocny zapewnił nam zajęcie aż do kolacji. Pod Piecem i Pulardą Tunstall zamówił suty posiłek w nagrodę za ciężką pracę. Myślałam, że pocieknie mi ślina, gdy zapachy doszły do moich nozdrzy: placek z wieprzowiną na ostro z anyżem, bulion wołowy z ziołami, chleb piwny, krem tyryjski. Aby dopełnić mojego szczęścia, przyszła barmanka z naszymi kuflami. Dla Psów było piwo, dla mnie zaś – woda jęczmienna.

Jedliśmy w milczeniu, a wokół nas rozbrzmiewał gwar głosów. Potem, gdy już zaczęłam się cieszyć, że nie umrę z głodu, Goodwin położyła mi dłoń na nadgarstku i przygwoździła do stołu. Napotkałam jej wzrok i przełknęłam ślinę.

– Wytłumacz mi teraz komedyjkę z gołębiem i panią Tansy. Myślę, że byłam wystarczająco cierpliwa. Tamtej pierwszej nocy pani Noll powiedziała, że w twojej rodzinie od strony ojca była magia. No i dobrze. Masz ją. Rozmawiasz też z pyłowymi krętami. Nie rozumiem tego, ale jestem gotowa z tym żyć. Żyjemy w końcu w świecie czarów. Ale to, co się stało przy straganie pani Deirdry... Takie rzeczy się nie zdarzają, Cooper. – Nadziała kawałek wieprzowiny na czubek noża i wsunęła go do ust.

Wyjęłam z kieszeni swój kawałek ognistego opala i obróciłam go w palcach. Nie patrzyłam na niego, sama jego szorstkość na moich palcach pomogła mi uporządkować myśli.

– Prawdę mówiąc, bałam się nie mniej niż Tansy.

Tunstall chrząknął.

– Dobrze to ukrywałaś. Brawo.

Usłyszałam łoskot spod stołu. Zawył. Goodwin kopnęła go.

– Rozpieszczasz ją – stwierdziła.

Poczekaliśmy, aż popatrzą na mnie. Wtedy kontynuowałam:

– To się nigdy wcześniej nie zdarzyło. Nie mnie. Ale... widzicie, moim zdaniem większość ludzi nie powinna wiedzieć, że gołębie to posłańcy Czarnego Boga i że noszą duchy niespokojnych zmarłych. Nie zostawiliby biednych ptaków w spokoju. Ale dowiedziałam się, że Rolond Lofts ciągle krąży po ulicach, dosiadając ptaka z Niższego Miasta, już następnego dnia po rozpoczęciu szkolenia z wami. Na początku nie wiedziałam po prostu, który to gołąb. Latał w dużym stadzie.

– Czemu nie spytasz swojego kolegi Klapsa? – spytał Tunstall. – Lubię Klapsa. To gołąb, z którym Pies może się utożsamić.

Znowu go kopnęła.

Spiorunował ją wzrokiem.

– Klóćisz się ze swoim mężczyzną czy co?

– Nie, ty wielki głąbie. Chcę wysłuchać Cooper – odparła beznamiętnym głosem. – Dalej, dziewczyno.

– Klaps i ja nie rozmawiamy – wyjaśniłam. Staralam się nie uśmiechać. – Przynajmniej nigdy tego nie robiliśmy, aż do dzisiaj. Jest lubiany wśród duchów, ale widzicie, duchy nie kontrolują ptaków ani ptaki duchów. One po prostu... sobie latają.

Goodwin skrzywiła się.

– To niezbyt produktywne, gdyby mnie ktoś pytał.

– Nie żyją. Nie sądzę, by czas znaczył dla nich to samo co dla nas. Tylko dzisiaj... myślę, że Rolond bardzo tęsknił za mamą i aż... jakoś się przebił i zmusił swojego gołębia, by do niej podleciał. Ten ptak był młody. I... chciałabym zobaczyć, jak ćwiartują tego Węża Cienia. – Na mój talerz spadały krople. Płakałam, niech to szlag. – Miał tylko trzy lata. – Wiedzieli, że nie chodzi mi o Węża Cienia. Otarłam oczy rękawem. – Wczoraj w domu mówiłam do ptaków. – Nie zamierzałam rozprawać o wydarzeniach dzisiejszego wieczoru, skoro z tego powodu zachowywałam się jak wariatka. – Wtedy też mnie zrozumiały. Rozmawiałam z duchami zabitych, tych zamordowanych razem, o których powiedziały mi pyłowe kręty. – Zerknęłam na nich zza swojej grzywki. Tunstall spokojnie jadł. Przypuszczam, że nawet trzęsienie ziemi nie powstrzymałoby go przed pochłonięciem zawartości talerza. Zabierał się już do trzeciej dokładki placka. Goodwin piła swoje piwo i bacznie mnie obserwowała. – Jest ich dziewięcioro. Zostali zatrudnieni do kopania studni i zaprowadzono ich tam z zawiązanymi oczami. Ktokolwiek to był, więził ich w jakimś budynku. Kopali w różowej skale pod miastem i znaleźli jakieś klejnoty. Nie znali właściwej nazwy opali ognistych. Właśnie to mi wczoraj powiedzieli.

Przez dłuższą chwilę, zdawałoby się, że przez wieczność, pot spływał mi po bokach, a moje Psy się nie odzywały. Myślałam, że może postanowią zamknąć mnie z prawdziwymi szaleńcami, takimi, którzy krzyczą i gadają różne bzdury do samych siebie. Potem Goodwin spojrzała na partnera.

– Kopali dla Krzywonogiego. To on ma opale.

Tunstall przeciągnął palcami po włosach.

– Jeśli Krzywonogi cały czas chciał ich zabić, nie pozwoliliby prowadzić naboru nikomu, kogo można by z nim powiązać. Za cwany z niego ptaszek. Ktokolwiek ich zatrudnił, zapewne nie ma powiązań z interesami Krzywonogiego.

Goodwin popatrzyła na mnie.

– Nigdy nie wyszli z tego budynku?

Zadała to pytanie tak, jakby moje duchy były prawdziwymi, żywymi ptaszkami, śpiewającymi piosenki, które Psy chcą usłyszeć.

– Mówili, że nie. Myślę, że tam ich pogrzebano.

Zmarszczyła nos.

– Paskudny zapach dla kogoś, kto chciałby znowu kopać w tym miejscu. Czyli tam już skończył...

– Krzywonogi nie poprzestanie na jednym miejscu. Różowa skała znajduje się pod całym Niższym Miastem. – Tunstall dał znak barmance, by napełniła nam kufle.

Goodwin się uśmiechnęła. Skóra zaczęła mrowić mnie z emocji.

– Zatrudni więcej robotników – powiedziała. – Może jego ludzie zabronią nowym kopaczom mówić, że mają robotę, ale w dzisiejszych czasach? Kiedy praca ucieka z Corus jak woda z dziurawego wiadra?

– Będą mówić. – Tunstall pokiwał głową. – Ktoś powie ukochanej, rywalowi albo wierzytelowi.

– Nie zatrudni wielu kopaczy – stwierdziłam. – Nie będzie chciał, żeby ludzie coś zauważy-

li. Poza tym kopią w piwnicach. Nie ma tam zbyt wiele miejsca.

– Ale będzie ich zatrudniał – wyjaśniła Goodwin. – Zbyt wielu pracodawców w okolicy zwalniało ludzi. To jest jak fala, Cooper. Ucz się wyczuwać fale. – Wdrapała się na swoją ławę. Wzięła gwizdek i mocno dmuchnęła. Głowy w całej sali obróciły się w naszą stronę. – Słuchajcie, Psy! – wykrzyknęła i jej głos wzbil się ponad milknący gwar, aż w końcu zapadła cisza. – Ja i Tunstall mamy trop. Chcemy, żebyście też go zwęszyli. Ktoś zatrudnił dziewięcioro kopaczy, mówiąc każdemu, że ma kopać studnię. Każdemu z osobna, a nie całej dziewiątce, rozumiecie? Zatrudniono ich do zadania dla jednego kopacza, ale było ich dziewięcioro. Wszyscy zaginęli, pewnie nie żyją. Szczury, które to zrobiły, zatrudniły następnych w zeszłym tygodniu albo zajmują się tym właśnie w tej chwili. Jeśli natraficie na jakąś najlżejszą woń, od razu przyjdźcie z tym do jednego z nas. Cokolwiek będzie z tego na koniec, dostaniecie swoją część. Jeśli nie będzie nic, nie zapomnimy o swoim długu.

Tunstall nie stanął na ławie, ale się podniósł.

– Jakiś Szczur zgasił dziewięć osób. Teraz chce zrobić to drugi raz, pod naszymi nosami. Nie możemy pozwolić na takie rzeczy, nie na naszej służbie.

Ci, którzy byli Psami, odpowiedzieli mu warczeniem. Widziałam Erskena i Verene. Myślę, że ich oczy były równie wielkie jak moje. Słyszałam o Warkocie wydawanym, gdy Psy przyjmowały wyzwanie. Ten dźwięk źle wróżył Szczurom, które były jego przyczyną. Ale wiedzieć o nim to jedno, a siedzieć Pod Piecem i Pulardą i słyszeć ten złowrogi odgłos dobywający się z dziesiątków gardeł – to drugie. Wojskowi i strażnicy pałacowi poruszyli się niespokojnie. Kelnerki i karczmarz wycofali się do kuchni. Goodwin wciąż stała na ławie.

Zyskałam to, czego chciałam, dla dziewięciorga zmarłych, których krzyki wychwyciły kręty. Psy zaczną ich szukać. Nie sądzę, by łatwo było znaleźć tych, którzy ich zatrudnili. Lecz Goodwin pewnie miała rację. Ostatnio wielu ludzi nie miało pracy. Choćby przysięgali nie pisnąć ani słowa o tym, że ktoś szuka pracowników, ta informacja musiała wyciec. Niebawem dotrze do uszu jakiegoś Psa.

Goodwin zeszła z podwyższenia, ale nie usiadła. Sprawdziła swój pasek, upewniając się, że ma broń i sakiewkę pod ręką. Nadszedł czas powrotu na ulice. Tunstall opróżnił kufel i odliczył monety dla barmanki. Gdy skończył, popatrzył na partnerkę. Ja już wstałam, wciąż roztrzęsiona po Warkocie. Chciałam dorwać jakiegoś Szczura i potrząsać nim, aż straci zmysły.

– No? – zagadnął Tunstall. – Masz plan? Bo ja tak.

Podniosła rękę i skinęła na niego dwoma palcami.

– Złożmy wizytę Dawullowi – powiedział Tunstall i wsunął sobie wykałaczkę do ust. – Spytajmy go, czy tańczył dla Krzywonogiego. Może podwładni Dawulla nie wiedzą, że Krzywonogi zabija ludzi najętych do kopania.

– Niegrzeczny z ciebie chłopak – stwierdziła Goodwin z błyskiem w oczach. – Chodźmy do Dawulla.

Dawull miał swój dwór w Mglistej Latarni, nieopodal Mostu Królewskiego. Miejsce leżało na terytorium budydzielnicy Migot, bo ulica Jane kończyła się na Drodze Sprawiedliwości. Zasada była taka, że Psy z Jane mogą odwiedzać przywódców dzielnicowych bez pozwolenia z innych bud, jako że na swoim terytorium mieliśmy Dwór Łotra. Praktyczne zastosowanie tej zasady z reguły zależało od zaangażowanych Psów. Buda z Migotu nie interesowała się, co robimy.

Zbliżywszy się do Mglistej Latarni, Tunstall i Goodwin zaszalutowali wartownikom Dawulla. Tamci wyglądali, jakby przełknęli coś ohydneho, ale żaden nie ważył się nic powiedzieć Psom w oczy. Wśród cieni dostrzegłam zbirów, którzy ruszyli zaułkami, by ostrzec Dawulla. Może poszli powiadomić też Kayfera i innych. Żałowałam, że moje Psy nie przyprowadziły paru kolegów, którzy byli Pod Piecem i Pulardą. A jeśli Goodwin i Tunstall znowu dali się ponieść nonszalancji, przez którą wpadliśmy w tarapaty w Dnie Beczki? Liczyłam, że ostatnie siniaki na mojej twarzy znikną, zanim zarobię nowe.

Byliśmy prawie na miejscu, gdy ktoś gwizdnął na palcach tak przenikliwie, że niemal rozwiął mgłę, która nadciągała z Olorunu. Jeden z obserwatorów Dawulla złapał swoją pałkę. Inny, stojący w oknie na drugim piętrze po przeciwnej stronie zrytej koleinami ulicy, machnął mu ręką,

że nie ma się czym przejmować.

Troje ludzi szło w naszą stronę od strony krańca ulicy Włóczęgów przy Moście Królewskim, dwaj mężczyźni i kobieta. Pani Sabine miała na sobie długą tunikę na męską modłę, pochwy jej miecza i sztyletu oraz pas były starannie wypolerowane, na nogi zaś włożyła pantofle. Płaszcz miała zapięty na ramieniu, tak że ręka, która służyła jej do walki mieczem, była odsłonięta. Włosy upięła na górze siateczką z wplecionymi perełkami. Wyglądała... ładnie. Jak dama. Na dwóch palcach każdej dłoni nosiła nawet pierścionki, chociaż żaden z nich nie był duży.

Mężczyźni, którzy szli obok niej, byli rycerzami, co było od razu widoczne, mimo że nie nosili zbroi. Ubrani byli w długie tuniki i płaszcze, tak jak pani Sabine. Na pochwach ich broni i na pasach widniało więcej złota i drogocennych kamieni, ale rękojeści mieczy były całkiem zwyczajne. Poruszali się jak wojownicy. Otaczała ich też aura przedstawicieli szlachty, której u pani Sabine nie było. Ta aura sprawia, że zwykli ludzie przerywają wykonywane czynności i czekają, aż się okaże, czy nie muszą usłużyć szlachetnie urodzonym.

Pani Sabine postąpiła kilka kroków naprzód.

– Wy troje... czworo, wybacz, panie Drapku... świetnie wtapiacie się w otoczenie – powiedziała, podczas gdy mój kot trącał łapką jej but.

Zmrużyłam oczy, patrząc przez mgłę. Aż do tej chwili nawet nie wiedziałam, że przyszedł do nas Drapek.

– Zastaję was w najokropniejszych miejscach. Nie mieliście dosyć ulicy Włóczęgów w zeszłym tygodniu? – spytała.

– To nie my wybieramy miejsca, w które musimy się udać, pani – odparła Goodwin.

– A owszem, wy – mruknął obserwator, który znajdował się najbliżej nas.

– Milcz, prostaku – nakazał jeden z rycerzy. – Nikt cię nie pytało zdanie.

Sabine przewróciła oczami.

– Przyszliśmy tu służbowo – wyjaśnił Tunstall. Niedbale wyciągnął rękę i trzepnął obserwatora w ucho. – Składamy wizytę Dawullowi.

– Przywódcy Nadbrzeżnej – doprecyzowała Goodwin. – To jedna z dzielnic Łotra. Chcemy go trochę rozdrażnić.

– Zapowiada się niezła zabawa – zauważyła pani Sabine. – Słuchajcie, chłopcy, mam pomysł. Chodźmy popatrzeć, jak moje znajome Psy denerwują tego przestępcę. Tak naprawdę wcale nie spieszy nam się na nudne przyjęcie u Jaśnie Pana Naxena, na którym szlachetne panny będą się do was mizdrzyć, a ich matki krzywić się na mnie.

Goodwin zerknęła na Tunstalla, który wzruszył ramionami. Obaj mężczyźni zaczęli szeptem omawiać kwestię. W końcu ruszyliśmy naprzód. Szlachcice szli obok Tunstalla, a pani Sabine z Goodwin, Drapkiem i ze mną.

– Dostaliśmy zaproszenie na kolację od Jaśnie Pani Hollyrose na Góropolach – wyjaśniła moim Psom. – Jest stara, więc kolacja już się skończyła. Postanowiliśmy iść na przyjęcie Jaśnie Pana Naxena. Nasza trójka służyła w ubiegłym roku w górzystym kraju, więc przyzwyczailiśmy się do częstych marszów i wysiłku. Ostatnio nam tego brakuje.

– Ale my przynajmniej mieliśmy wybór w kwestii przebywania w górach, Sabine – zażartował rudowłosy rycerz. – Mogliśmy wrócić do domu, kiedy chcieliśmy. Ty musiałaś czekać, aż jego wysokość cię ułaskawi.

Zatrzymaliśmy się przed Mglistą Latarnią.

– Potrzebowałaś ułaskawienia, by wrócić do domu? – spytała Goodwin.

– Doszło do nieporozumienia – wyjaśniła pani rycerz, a jej głęboki głos był bardzo cichy. – Już po wszystkim. – Weszła przez otwarte drzwi do gospody. – Ciekawe, czy piwo mają tu dobre.

Jej towarzysze podążyli za nią.

Tunstall zaczekał, aż znajdą się w środku, i szepnął:

– Lepiej, żeby ci dwaj się nią nie interesowali. – Wszedł do gospody, a Goodwin, Drapek i ja ruszyliśmy za nim.

– Dureń – dobiegły mnie słowa Goodwin. – Nigdy nie wchodzi w żadne związki ze szlachtą. Każdy to wie. Każdy.

Przypomniałam sobie dudnienie w jego głosie, gdy mówił o zainteresowaniu rycerzy tą kobietą.

– Zdaje się, że zapomniał.

Weszliśmy do sali w ślad za szlachcicami. Dawull i jego pupile zajmowali odległy kąt. Zbiry i ich baby, złodzieje, rabusie i pochlebcy siedzieli wraz z kuglarzami i hazardzistami, liczącymi, że wygrają trochę grosza od stałych bywalców. Psy i dzieci bawiły się na podłodze, a kelnerki starały się obsłużyć całe towarzystwo.

W tej jednak chwili zapadła zupełna cisza. Pani Sabine i jej towarzysze omiatali salę wzrokiem. Wyglądali tu tak nie na miejscu, jak ja wyglądałabym na ich kolacji na Góropolach. Poczulałam szaloną ochotę, by zachichotać, więc przygryzłam wargę.

Jasnowłosy rycerz popatrzył na trzech osiłków znad rzeki, którzy zajmowali najbliższy stół. Nagle pstryknął na nich palcami i machnął kciukiem w tył. Pomyślałam, że na pewno rzucą w niego stołem.

Ale oni, potulni jak ptaszyny kapłana, przesiedli się do innego stołu. Gdy szlachcice usiedli, jasnowłosy skinął na kelnerkę. Ta opuściła dekolt sukienki, mimo że i tak w niewielkim stopniu zasłaniał jej brzozkwinke, i podeszła spytać, czego sobie życzą. Gdy pani Sabine zajęła miejsce obok nich, kelnerka krzywo popatrzyła na Jaśnie Panią.

Dawull zobaczył nas na schodach i z uśmiechem podniósł się na nogi.

– Głowy do góry, moje zwierzaki! – ryknął. – Wyczuwam... – Obrócił wielki rudy łeb dookoła, głośno wężąc. – ...mokrą sierść. Szczyny. Łajno. Psy.

Niektórzy się roześmiali. Dostrzegłam jakiś ruch w korytarzu z boku, który zapewne prowadził do wychodka, jako że Aniki wyszła stamtąd, poprawiając pasek. Zauważyła nas i pomachała. Ja tylko skinęłam jej głową, jako że machanie nie było czymś godnym Psa. Drapek nie przejmował się takimi rzeczami. Pognał przez podłogę, po czym po grzbiecie czworonożnego kundla wskoczył w ramiona Aniki. Uśmiechnęła się i podrapała zwierzaka za uchem.

Zbiry Dawulla miały na wpół obnażone miecze, gdy stanęliśmy trzy metry przed nim. Goodwin wsparła ręce na biodrach. Tunstall poskrobał się po karku, jakby nie robił niczego szczególnego. Ja złożyłam dłonie przed sobą i ustawiłam stopy w pozycji spoczynnej. Żałowałam, że nie mam w ręce pałki, ale wyciąganie jej teraz tylko rozszierzyłoby ludzi Dawulla. Uważałam na jakikolwiek ruch po bokach. Bardzo się cieszyłam, że pani Sabine postanowiła iść z nami, a nie na to głupie przyjęcie. Nie mogłam mieć pewności, czy jej przyjaciele nam pomogą, ale wiedziałam, że ona to zrobi. A znajdowała się za mną. W obecności pani Sabine nie musiałam się bać.

– Szukamy Krzywonogiego – oznajmiła Goodwin. – Powiedz mu, żeby wyszedł.

Przez chwilę panowała cisza. Potem rozbrzmiał śmiech. Ramiona moich Psów nawet nie drgnęły, więc zachowałam spokój i nieporuszony wyraz twarzy.

Gdy rechot częściowo umilkł, Dawull ryknął:

– Krzywonogiego! Zdaje się, że Pod Piecem i Pulardą przestali rozwadniać piwo, kobieto! Nie chowamy pod stołami żadnych paserów, prawda, przyjaciele?

– Nie – rozległy się odpowiedzi. Uliczni komicy albo ci, którzy ich udawali, zaczęli ostentacyjnie zaglądać pod stoły, ławy i spódnice bab. Kilku zarobiło w policzki i uszy od tych, którym się to nie spodobało.

Goodwin zaczekała, aż powróci cisza. Wreszcie przemówiła:

– A byliśmy pewni, że zastaniemy go u ciebie, Dawull. Zostałeś jego przybocznym. Sprytna sztuczka z tym wyrzuceniem go z Dworu Łotra. Uratowałeś przyjaciela, zanim Kayfer postanowił go pokroić. Szkoda, że samym bogactwem nie można kupić korony Łotra.

– Czy to dowcip?! – ryknął Dawull.

– A czy ja się uśmiecham? – spytała Goodwin, szybka niby wąż. – Jak Krzywonogi cię kupił? Skąd wziął dość pieniędzy, by kupić jednego z przywódców Łotra?

Jeden z chłopów siedzących obok Dawulla zerwał się na równe nogi i wyciągnął miecz z pochwy.

– Parszywa suko – syknął. – Zjesz te swoje kłamstwa.

Usłyszałam, że kolejny miecz wysuwa się z pochwy. To była broń Aniki, która leżała w jej

dłoni niczym naturalne przedłużenie ręki. Może wyciągnęła ją, by wesprzeć ludzi Dawulla, może po to, by nam pomóc, a może po prostu szykowała się do walki.

– Stać! – krzyknął Dawull, zarówno do nich, jak i do innych, którzy wstawali na nogi z bronią w rękach. – Stać, do licha, bo będziecie mieli ze mną do czynienia.

– Ale mówić, że cię kupili, Dawull, mówić, że jesteś w służbie tego krwio pijcy... – zaczął się skarżyć jego strażnik. Bezużyteczny miecz zwieszał mu się z dłoni. – Czy jest Psem, czy nie, trzeba jej dać nauczkę!

– A co mnie obchodzi, co mówi jakaś zapchlona rynsztokowa glista? – spytał przywódca. – Chyba że jej wierzysz? – Spiorunował podwładnego wzrokiem.

Zabójca skulił się pod jego spojrzeniem. Jeśli miał wyobraźnię, wyobrażał sobie, jak pękają mu kości.

– Nie, nie. Dlatego chciałem...

– Zabić Psa, żeby tysiąc Psów wbiło ci zęby w kark, durniu! I musiałbyś zabić całą trójkę, nie licząc tych kredyciarzy z tyłu. – Wskazał panią Sabine i jej dwóch towarzyszy. – Dlatego potrzebna mi do rządzenia ta banda. – Potoczył surowym wzrokiem po wszystkich swoich kompanach. – Tylko ja zajmuję się tą sprawą. – Postukał się w głowę palcem o grubość swojej pałki.

– Głowa? – dobiegł mnie szept Tunstalla, skierowany tylko do Goodwin i do mnie. Goodwin przestąpiła lekko z nogi na nogę. Wiedziała, że chce go kopnąć, by się uciszył. U niektórych śmiech wygląda bardzo dziwnie.

– A teraz schowaj ten swój nóż do chleba – nakazał Dawull swojemu strażnikowi. – Ty też, dziewczyno. Dobrze, że nie brak ci zapału, ale cokolwiek robi się w Scanrze, my tutaj nie gasimy Psów tylko dlatego, że nie mają manier.

Dopiero gdy mężczyzna schował swój miecz, usłyszałam muzykę klingi Aniki, wsuwającej się z powrotem do pochwy.

– Krzywonogi zachowywał się tamtej nocy jak szaleniec. Kayfer pamiętał to, gdy się już uspokoił. Dlatego zawczasu wyprowadziłem Krzywonogiego. Potrzebujemy tego krwio pijcy i takich jak on. Ale ja, kupiony? – Dawull zaśmiał się, lecz niezbyt wesoło. – Wy, Psy, nie powinniście pić wina gorącej krwi na służbie. Dziwne rzeczy przychodzą wam od tego do głowy. W całym Corus nie ma baby ani chłopca, którzy mogliby mnie kupić, no chyba że sam stary Roger z klejnotami koronnymi.

Usłyszałam zgrzyt drewna, gdy rycerze zaczęli podnosić się z miejsc.

Dawull pochylił głowę w ich kierunku.

– Niech bogowie mają w opiece jego królewską mość i jego uroczą królową. Nie miałem nic złego na myśli – powiedział gładko. Obejrzałam się. Obaj mężczyźni powoli, bardzo powoli usiedli z dłońmi na rękojeściach mieczy. Rycerze bywali drażliwi, gdy szło o szacunek do króla. Lecz pani Sabine podpierała głowę ręką. Jeśli zrobiła jakiś ruch, by wstać, bardzo szybko usiadła z powrotem.

Goodwin rozejrzała się po pomieszczeniu.

– Tylko pamiętaj, kiedy będziesz przyjmować rozkazy od Krzywonogiego, że cię ostrzegaliśmy. – Odwróciła się do Tunstalla i do mnie. – Posiedźmy jakiś czas. – Gdy podeszliśmy z powrotem do stołu rycerzy, mruknęła: – Właśnie dlatego ma głowę. Prostak.

Pani Sabine uśmiechnęła się, gdy podeszliśmy bliżej.

– Myślałam, że znowu będziemy musieli się bić, żeby się przedrzeć do wyjścia. Usiądźcie. Ci dwaj nie mają nic przeciwko temu. Przez cały zeszły rok grali w kości ze swoimi żołnierzami, którzy prawie nigdy się nie kapali.

– Ale w Corus jest inaczej – zaoponował blondyn, choć gestem wskazał Goodwin miejsce na ławie obok siebie. Już zaczął głaskać Drapka, uznałam więc, że nie jest taki zły, jak na rycerza. – Nasze rodziny to pedanci.

– Pal sześć wasze rodziny – odparła Sabine. – Chcę wiedzieć, kim jest Krzywonogi.

– A kogo obchodzi jakiś mieszczanin? – spytał rudowłosy rycerz. – Nie stanowi prawdziwego problemu, prawda? Nie taki, jak górscy zbójcy.

Tunstall uniósł brwi.

– Ktoś, kogo mógłbym znać?

Rudzielec pochylił się w przód.

– Mieliliśmy taki jeden klan...

Jasnowłosy rycerz wstał.

– Przepraszam. Nie przyjechałem tu rozmawiać o górach. Tamta zielonooka dziewczka chce się we mnie zakochać.

– Na razie – mruknęła Sabine, gdy ruszył przez salę. Dziewka, która zwróciła jego uwagę, należała do ladacznic, które ceniły się tu najwyżej, i miała na sobie sukienkę oraz kolczyki pochodzące spoza Alejki Taniej Urody.

Drapek mruknął i podszedł do mnie.

– Mam nadzieję, że ma w sakiewce same monety – powiedziała Goodwin do Sabine. – Inaczej wkrótce przekona się, że brakuje mu klejnotów i złota.

– Nie martw się o niego – odparła Sabine, gdy tymczasem Aniki wsunęła się na miejsce zwolnione przez rycerza. – W górach nie zdołała go oskubać żadna kurtyzana, a one używają pałek. Poza tym Joreth ma jak najbardziej wypchaną sakiewkę i lubi płacić podwójnie, gdy jest zadowolony. – Odwróciła się. – Jesteś pewna, że mądrze jest tu siedzieć? – To pytanie skierowała do Aniki.

– Zawsze mogę mu potem powiedzieć, że próbowałam was trochę wybać, żeby potem skutecznie obrabować – odrzekła Aniki ze swoim zwykłym radosnym uśmiechem. – Poza tym wie, że ja i Becca wynajmujemy kwatery w tym samym domu. Albo się dowie, bo mu powiem. A może mówiłam mu ostatniej nocy? – Parsknęła śmiechem. – Jestem Aniki Forfrysning. – Uśmiechnęła się do Goodwin. – Cześć, gwardzistko. – Nachyliła się i pocałowała Drapek w łebek. Podniósł na nią gniewne oczy i powiedział po kociemu: *Przestań!* Zerknęła na Tunstalla, lecz ten był zajęty rozmową z rudowłosym rycerzem na temat górali, których obaj znali.

– W sumie cieszę się, że podeszłaś – powiedziała Sabine do Aniki. – Chciałam rzucić okiem na tę twoją głownię, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Wygląda mi na miecz anielski.

Aniki przytaknęła. Wstając, odpięła miecz wraz z pochwą od pasa i położyła go przed panią rycerz.

– Wykuty przez samego mistrza Watsona – oznajmiła z dumą. – Nie powiem, kogo musiałam zabić, bym mogła sobie na niego pozwolić.

Mam nadzieję, że żartowała...

Gdy Drapek, Goodwin, Tunstall i ja wychodziliśmy, Aniki i pani Sabine nadal rozmawiały o mieczach. Co więcej, Tunstall obiecał, że wróci, by się napić i jeszcze pogadać o tym, co słychać we wschodnich górach Tortallu.

– Po to chcesz wrócić? – spytała Goodwin. – Po wieści o innych barbarzyńcach, którzy przeżyli swoją doroczną kąpiel? Nie pójdę z tobą, Mattes. Nie spodoba mi się, jeśli któryś z głupców od Dawulla postanowi zabić Psa, nawet Psa po służbie.

Wyszliśmy we mgłę tak gęstą, że ledwie coś widzieliśmy. Drapek marudził, że nie cierpi takiej pogody.

– Będę z dwoma rycerzami, Clary – powiedział Tunstall. – I wezmę miecz ze zbrojowni, jak już odmeldujemy się po służbie.

Wyglądało na to, że wizja Tunstalla z mieczem uspokoiła Goodwin.

– Tylko nie daj sobie zrobić krzywdy – ostrzegła go, gdy szliśmy dalej. – Ja i Cooper nie zamierzamy same szukać tego, kto zatrudnia kopaczy.

Nie, powiedział Drapek. *Macie mnie*. Popatrzył na mnie z błyskiem w swoich dziwnych fioletowych oczach. *Oczywiście, oni tego nie wiedzą. A ty im nie mów.*

Ani mi się śni, odparłam, gdy podążaliśmy ulicą do budy.

Czwartek, 9 kwietnia 246

Przed ćwiczeniami, popołudnie.

Gdy dziś rano otworzyłam drzwi, zanim jeszcze zaplotłam warkocze, przyszła Kora ze słojem gruszek marynowanych z porzeczkami i migdałami. W jej oczach w kształcie migdałów połyskiwał gniew. Mogłabym przysiąc, że widziałam zielono-niebieskie iskry, uwięzione w jej rzęsach.

– Liliowy wisiołek na złotym łańcuszku – powiedziała. – Emaliowane złoto. Mniej więcej tej wielkości. Przy fontannie na Placu Szklarzy była baba, która próbowała usunąć plamę tłuszczu z boczku z koszuli swojego mężczyzny. Zaczęłyśmy rozmawiać o Wężu Cienia. Powiedziała, że zabrano córeczkę sąsiadów. Ojciec dziewczynki oddał naszyjnik, kupiony dla swojej żony, Wężowi Cienia.

Wzięłam słój.

– A dziewczynka?

Kora podniosła mojego kota i przytuliła go, jakby odczuwała potrzebę dotknięcia czegoś miękkiego.

– Wąż ją oddał. Ale moczyła potem siennik, na którym spała. I nie minęły nawet dwa miesiące, jak powiedział mi mój Ptaszek, a już cała rodzina spakowała rzeczy i wyprowadziła się z Corus. Powiedzieli, że pojedą do Barzunu, gdzie każdego węża można zabić łopata. – Zdawało mi się, że pociągnęła nosem. – Zrobił to małej dziewczynce dla głupiego naszyjnika.

– Ale to dlatego nikt nie dbał o tego Węża, kochanie. – Rosto oparł się o moją framugę. Potrafił chodzić bardzo cicho po skrzypiących schodach.

Skinęłam głową.

– Zasadził się na ludzi, którzy wiodą prosty żywot, bo nikt inny nie przypuszcza, że mogą mieć coś wartościowego – stwierdziłam. Takich jak zielarka z rozedmą płuc i piątka dzieci, mieszkających przy Uliczce Psych Sików. Ostatni mężczyzna mamy był podobny do Węża Cienia – nie przypuszczał, że ktoś będzie się za nią mścił. I podobnie jak on, Wąż Cienia także się dowie, że grubo się mylił.

– Lubię panią Sabine, Becco – powiedziała Aniki, wychodząc od siebie z połówkami sera i chleba z wczorajszego śniadania. – Trzeba było wrócić do karczmy po służbie wczoraj wieczorem. Ona i Tunstall wykonywali tańce z mieczami, takie jak w górach na wschodzie. Był niezły ubaw.

Zadrżałam. Myśl o Tunstallu, angażującym swoje długie nogi w jakąkolwiek formę tańca, jest doprawdy przerażająca... Goodwin powinna chyba przywyknąć do myśli, że jej partner i pani Sabine darzą się przyjaźnią, a może czymś więcej. Harce w karczmie zwykle prowadzą do harców w domu, jak mawiała moja mama.

Otworzyłam okiennice. Gołębnie sfrunęły na parapet, choć o tak wczesnej porze była ich ledwie garstka – Klaps, Biały Pieprz, Rózia, Żebrak i Popielaty. Żaden nie powiedział niczego nowego, gdy dałam im resztki pokruszonego ziarna i trochę chleba. Oplakiwały bliskich, którzy sądzili, że ich zostawiono. Szeptaly o różowej skale pod miastem. Kłóciły się o miejsce na moim parapecie i gruchały, pusząc się, jakby w głowach nie miały nic z wyjątkiem jajek i piór.

Spośród moich innych, ludzkich przyjaciół przybyli Verene i Phelan, trzymając się za ręce i niosąc gorące racuchy. Ersken przyniósł pół szynki i serowy placek. Zaprosiliśmy kilkoro innych Szczeniąt, lecz żadne z nich nie mieszkało tak blisko jak Verene i Ersken ani nie chciało tak wczesnie zwlekać się z łóżka.

Rosto nie tylko przyniósł więcej kwasinki i konfitury truskawkowej, ale też wręczył mi spory worek pokruszonego ziarna dla głupich ptaków. Gdyby dał mi coś przeznaczonego dla mnie, mogłabym odmówić, ale ziarna dla durnych gołębi nie mogłam nie przyjąć.

Nie próbował też tego wykorzystywać. Właściwie wyszedł pierwszy, mówiąc, że ma sprawę do załatwienia. Inni także szybko się rozeszli. Jako ostatnia wstała Kora. Zwlekała z wyjściem, pomagając mi dokończyć sprzątanie.

– Pamiętasz może babę, która powiedziała ci o tym wisiorku? – spytałam. – Czy wkrótce może się znowu pojawić przy fontannie?

Posłała mi chytry uśmiech.

– Stać mnie na więcej. Mogę zaprowadzić cię do jej domu.

– Skąd wiesz, gdzie mieszka? Śledziłaś ją?

Podniosła Drapka i położyła go sobie na ramionach.

– Umieściłam na niej plamkę, żeby później ją w razie potrzeby znaleźć. – Podniosła palec.

Pojawił się tam krąg zielono-niebieskiego światła. Zniknął. – Zawsze umiem znaleźć swoje plamki.

Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć, ale wiedziałam, że coś powiedzieć powinnam.

W końcu przemówiłam:

– To dobry pomysł.

Kora podrapała Drapka pod brodą, nie patrząc na mnie.

– Dzieciobójca dopadł moją starszą siostrę. Nie zimny Szczur, jak Wąż, który zabija dla zysku. Szaleniec. Ale nienawidzę wszystkich dzieciobójców, niezależnie od ich motywacji. – Zaczepnęła tchu. – Musisz się ubrać jak dziewczyna. W spodniach od razu pachniesz Psem.

Na chwilę położyłam jej rękę na ramieniu. Powiedziałam cicho:

– Mam dwie siostry. Gdy tylko mijam świątynię Bogini, dziękuję Pani za ich bezpieczne życie w domu starosty.

Pokiwała głową.

Podeszłam do swojej prasy do ubrań i wyjęłam sukienkę.

Świecąca plamka Kory zaprowadziła nas na ulicę za Placem Szklarzy. Baba, z którą wczoraj rozmawiała, miała mały, własny domek w ciemnym zaułku. Usłyszałam głosy dzieci z tyłu i łoskot maselnicy. Jakaś kobieta przędała len na kamiennej dróżce na boczne podwórko. Duży, krótkowłosy pies spał na progu. Gdy przeszliśmy przez bramę, pies wstał i warknął, jeżąc sierść. Dłonią poszukałam palki, której nie miałam. Wokół palców Kory zaśniła magia.

Drapek ruszył naprzód i miauknął donośnie. Pies popatrzył na niego i szczeknął. Mój kot rzucił do niego coś, co brzmiało jak imię. Pies zamerdał ogonem. Może Drapek musiał po prostu dowieść, że jest kotem z Niższego Miasta. Nie miałam pewności.

Baba przerwała pracę.

– Mój Brutal nie cierpi kotów. – Popatrzyła na Drapka i na psa z dziwnym wyrazem w oczach. Potem otaksowała wzrokiem Korę i mnie. Do Kory powiedziała: – Znam cię. Jesteś praczką i zielarką. Dałaś mi maść, która wyleczyła moje oparzenia. – Wydeła wargi. – I pytałaś mnie o skradzione dzieci.

– Owszem – przyznała Kora. – To moja przyjaciółka, Becca. Ją też interesują te dzieci.

– To Pies – stwierdziła kobieta. – W sukience czy nie, stoi jak Pies.

– Może nad tym popracuj – mruknęła do mnie Kora.

– Becca? – spytała nagle tamta. – Cooper? Terier, co to pracuje z Tunstalem i Goodwin?

Szczenie, które ścigało Orwę Ashmiller do Bramy Północnej?

Popatrzyłam na Brutala. Nie chciałabym rozmawiać o pani Ashmiller.

– Czy Brutal jest niegroźny? – Postąpiłam naprzód z wyciągniętą dłonią. Kora zaczerpnęła gwałtowny wdech, ale najwyraźniej Drapek przetaił szlak dla nas wszystkich. Brutal podszedł bliżej, powoli machając ogonem. Obwąchał moją rękę, a potem pozwolił podrapać się za uszami. – Dobry z ciebie piesek – powiedziałam mu.

– Sama mam dzieci – szepnęła kobieta, nie byłam pewna, czy do mnie, czy do Kory. – Mogli mi je zabrać.

Podrapałam psa po zadzie.

– W Niższym Mieście mieszka wielu ludzi z dziećmi, proszę pani. – Mówiłam cichym głosem. – Wielu z nich już je straciło przez Węża, który zabrał córeczkę pani sąsiadów. Zbyt wielu nie zobaczyło więcej swoich dzieci żywych. Gdy Wąż strachem wymusza wśród was milczenie, pozwalacie, by zrobił to znowu. I znowu. – Tym razem nasze spojrzenia się spotkały. – W tej chwili wszyscy widzą tylko tyle, że odwiedziły cię przyjaciółki, praczka z placu i jeszcze jedna. Muszą być przyjaciółkami, skoro ten piękny strażnik twojego domu merda ogonem. Co pomyślą oprócz

tego, zależy od ciebie.

Kobieta połała przedzę wodą z chochli, by ją zwilżyć, chcąc zyskać czas na zastanowienie. W końcu przemówiła:

– Chodźcie. Jest tu ławka. – Ławka stała w takim miejscu, że kobieta mogła do nas mówić, nie przestając prażyć. Gdy już usiadłyśmy, wznowiła pracę, choć nie była nierówna. Bała się. Rozumiałam to.

Brutal podszedł do ławki. Drapałam jego uszy i zad. Kora mówiła o ludziach spod fontanny, dopóki baba się nie uspokoiła. Gdy Kora lekko mnie szturchnęła, nachyliłam się nad masywnymi barkami psa.

– Czy ktoś, kogo możesz wymienić z nazwiska, dał ci powód do obaw, odkąd zabrano dziecko twoich sąsiadów? – spytałam bardzo cicho. Dwójka dzieci, które słyszałam na dworze, przyszła popatrzeć na nas przez otwarte drzwi domu. Uciekły w chwili, gdy na nie spojrzałam. Ich matka nauczyła je ostrożności wobec obcych. Podejrzewałam, że mur z tyłu jest wysoki i może jeszcze porośnięty kolczastymi pnączami.

Pokręciła głową.

– Brutal miał wtedy rok. Dobrze nas strzeże.

Przytaknęłam.

– Powiedziała pani mojej przyjaciółce o naszym nasyjniku.

Przerwała pracę. Wszystkie usłyszałyśmy dobiegający z oddali grzmot. Podniosłyśmy głowy. Cienki język czarnych chmur nadciągał nad krawędź muru. Może później spadnie porządny wiosenny deszcz.

– Wszystkie jej go zazdrościłyśmy, my baby – szepnęła. – Taka ładna rzecz. Jej mąż tygodniami brał drugą pracę, żeby za niego zapłacić. Myślała, że za darmo pomaga przyjacielowi w budowie domu. Dał go jej na urodziny, tego samego dnia przypadła ich piąta rocznica ślubu. Złoto i emalia. Nosiła go wszędzie. „Piękne przedmioty są po to, żeby je oglądać”, mówiła nam, co nas drażniło. Potem Wąż Cienia zabrał jej córeczkę i zażądał naszym nasyjnika.

Byłyśmy tak cicho, że słyszałam, jak ogon Brutala wzbija kurz, gdy pies opierał mi się o kolana. Zza domu dobiegały odgłosy sprzecających się kur.

Delikatnie odsunęłam Brutala i stanęłam obok kobiety.

– Proszę pani, jak wyglądał ten wisiorek? – spytałam. – Na pewno pamięta pani takie cacko. Może je pani dla mnie narysować? – Podniosłam patyk i jej podałam.

– Nie mam ręki do rysunków – wyszeptła, ale wzięła patyk. Nie potrzebowała wybitnych zdolności plastycznych. Kształt był prosty, taki, który łatwo zapada w pamięć. Zakrzywione linie, obrócone w górę niczym złożone dłonie. Wiedziałam, że będę go pamiętać, jeśli go znowu zobaczę.

Coś mi przyszło do głowy. Uczono nas, jakie pytania zadawać, jeśli niedawno popełniono przestępstwo. Nikt nie zgłosił porwania dziecka do budy przy ulicy Jane. Mimo wszystko czemu by nie spytać?

– Widziała pani kogoś, zanim zabrano dziecko albo zanim je zwrócono? Kogokolwiek, kto tu nie mieszka? Ludzi, którzy coś dostarczali, snuli się po okolicy? Ludzi, którzy rozmawiali z dziećmi?

– To było wieki temu – szepnęła. – Nie. Kłamię. Dwa lata, trzy miesiące i osiemnaście dni. Tak się bałam. Nigdy nie przeżyłam takiego strachu, ale nie mam pieniędzy, żeby jechać do Barzunu, ani rodziny, która pomogłaby mi tam zacząć od nowa.

– Pamięta to pani co do dnia – stwierdziłam. – Pamięta pani naszym nasyjnik. A to jest Niższe Miasto. Zawsze jesteśmy tu ostrożni. Zwłaszcza ci z ładnymi dziećmi. – Maluchy, które przed chwilą przyszły na nas popatrzeć, miały złote włosy i niebieskie oczy – potencjalne ofiary handlarzy niewolników.

– Po co pytać? – jęknęła. – Co za różnica? Tej rodziny już nie ma. Wąż Cienia wziął się teraz za Krzywonogiego, oby bogowie rzucili plagi na nich obu.

– Może widziała pani Węża albo jego zbirów – powiedziałam. Ahuda nauczyła nas, że mieszkańcy miasta zawsze wiją się jak ryby na haczyku. Z tymi, którzy nie byli notorycznymi Szczurami, więcej można było osiągnąć cierpliwością niż ciosem w ucho. – Bo Psy tak działają,

proszę pani. Pytamy, kto się pojawił. Czy zdarzyło się coś dziwnego? Kto pytał o tę dziewczynkę albo jej rodzinę? Wąż nie wszedł tak po prostu do jej domu. Wiedział, gdzie dziecko śpi. Wiedział, kiedy mieszkańcy domu kładą się na spoczynek. Musiał wiedzieć, jeśli miał ją porwać, gdy rodzina spała. Musiał wiedzieć, czy w domu jest ktoś taki, jak nasz piękny Brutal albo choćby i mój Drapek.

O kota można się potknąć. Czy ktoś zwrócił pani uwagę?

W końcu podała mi trzy nazwiska. Zanotowałam je w pamięci. Gdy się pożegnałyśmy, niebo pociemniało, Brutal położył się spać na progu, a baba się trzęsła. Niestety, zepsułyśmy jej przędzę, ale przynajmniej uzyskałam trzy nazwiska.

Pokonałyśmy pół przecznicy, zanim Kora się do mnie odezwała:

– Co teraz?

Zatrzymałam się, wzięłam głęboki wdech. Drżałam. Popatrzyłam na nią.

– Chyba potrzebna mi mapa.

Poszła załatwić swoje sprawy, a ja zajęłam się swoimi. Jaśnie Pan pokazał mi pewną sztukę, którą stosował, gdy w jakiejś części królestwa trwały skomplikowane łowy na Szczury. Postanowiłam pójść za jego przykładem i użyć mapy. Miałam ich już kilka. Jaśnie Pan dostrzegł moje zamiłowanie do nich i dał mi zestaw na piętnaste urodziny. Był to kosztowny prezent, ukazywały różne części królestwa, różne miasta, oraz, co najlepsze, różne części Corus. Miałam mapę samego Niższego Miasta, nie mniej szczegółową niż wszelkie plany znajdujące się w pałacu.

Ruszyłam na Targ Dzienny, gdzie ostro targowałam się o szpilki i lak. Potem poczłapałam do domu i wyciągnęłam swoją mapę Niższego Miasta. Ostrożnie przybiłam ją gwoździami do ściany. Oznakowałam łebek jednej szpilki kulką niebieskiego laku i wbiłam ją w miejsce, gdzie stał dom Krzywonogiego, przy ulicy Stuvek. To był znacznik Rolonda – niebieski będzie barwą zabitych dzieci. Następnie oznakowałam inną szpilkę czerwienią, jako symbol dziewczynki, którą zwrócono rodzinie. Wbiłam ją w zaułek, który właśnie odwiedziłyśmy z Korą.

Gdy będę miała więcej szpilek, więcej prawdziwych informacji, zaniosę mapę swoim Psom. Jeśli dowiem się czegoś nowego o Rolondzie, pójdę z tym do Jewela, który razem ze swoją partnerką Yoav miał szukać zabójcy chłopca. Ale na razie mapa była dla mnie – miała wspomóc moją pamięć.

Dobrze. Należało namalować dokładniejszy obraz Węża. Nie słyszałam, by ktokolwiek to robił, a uważałam, że taki obraz jest potrzebny. Może i jestem tylko Szczenięciem, ale widziałam, jak dobrze się to sprawdza u Jaśnie Pana. Jeśli zdołam pokazać swoim Psom obraz tego, co Wąż Cienia zrobił, może nie będzie im przeszkadzało, że obraz pochodzi od Szczenięcia.

Proszę, Bogini i Mithrosie.

Proszę.

* * *

Pod koniec nocy.

Dzisiaj była noc worków szczęścia. Po zbiórce na mieście znowu poszliśmy na Dwór Łotra. Wytężyłam czujność – jakieś baby wzdychały, wspominając, jaki przystojny był Kayfer za młodu, ale moje myśli krążyły wokół matek i ojców, którzy przychodzili tutaj w nadziei na odnalezienie swoich dzieci albo po sprawiedliwość dla Węża Cienia. Myślałam o tym, jak on i jego przywódcy odsyłali rodziców, widząc, jacy są biedni.

Rosto powinien był pozwolić Krzywonogiemu zaszytytować Łotra. Tyle że wtedy Rosto nie stałby tu teraz z Ulsą, z dnia na dzień zwiększając swe wpływy na Dworze Łotra. Aniki nie miałyby swojego miejsca wśród zbirów, którzy czekali za plecami Dawulla.

Gdy oddaliśmy worki szczęścia jeźdźcom, by zawieźli je do budy, Tunstall, Goodwin i ja ruszyliśmy w głąb Szamba.

– Zaułek Findlaya? – zwrócił się Tunstall do Goodwin. A do mnie powiedział: – Krzywonogi jest właścicielem wszystkich domów w Zaułku Findlaya.

Goodwin pokiwała głową.

– Warto rzucić okiem – stwierdziła.

Na ulicy, która znajdowała się między Skrzydłosztorma a Morwową, Tunstall wyciągnął

magiczną, świecąca perłę, którą wcześniej przykładał do ognistych opali. Zasłaniając ją przed wzrokiem mieszkających tam rodzin, rozglądaliśmy się po surowych fasadach. Miejscami różowa skała przedzierała się na powierzchnię. Ludzie używali jej tu do budowy fundamentów, stopni schodów i elementów ścian. Niczym nie zdradzała, jakie skarby można w niej znaleźć, kiedy jest jeszcze głęboko, głęboko pod ziemią, a nie tutaj, na ulicy.

Przed domami nie było stert ziemi ani kamieni, które świadczyłyby, że w środku kopano. Niektóre budynki się waliły. Ich drzwi i okiennice zabito gwoździami, by uniemożliwić dzieciom i żebrakom wejście do środka. Wewnątrz ludzie mogli kopać, a my nie mielibyśmy o tym pojęcia. Nie dało się porozmawiać z nielicznymi osobami, które spotykaliśmy na ulicy. Wszyscy uciekali na nasz widok.

Poszliśmy dalej, do Drogi Morwowej, i natrafiliśmy na walkę na pięści. Mieliśmy nawet okazję częściowo ją obejrzeć. Pierwszy mecz odbył się między dwoma chłopami, których znałam jeszcze z czasów, gdy byłam kurierką. Postawiłabym na Drew, gdybym tak nie pilnowała pieniędzy. Zresztą bym wygrała. Potem dostrzegłam kieszonkowca. Złapałam go za kołnierz, zanim mnie zobaczył. Usłyszałam przekleństwa. Goodwin i Tunstall też schwytali złodziejasków.

I wtedy walka przerodziła się w bijatykę. Gdy jakaś baba zobaczyła, że trzymamy trzech kieszonkowców, zauważyła czwartego. Najwyraźniej ostatnio na Drodze Morwowej grasowała cała ich banda. Wyszukiwali graczy w kości, tych, co obstawiali walki kogutów i tych, co walczyli na pięści. Atakowali we czterech jednocześnie i uciekali, zanim ktokolwiek spostrzegł, że go okradziono.

Tłum zwrócił się przeciwko kieszonkowcom, więc nie mieliśmy wyboru. Musieliśmy puścić złodziejasków, aby powstrzymać niemal trzydzieścioro wściekłych bab i chłopów.

Dogoniłam Goodwin i Tunstalla, dmuchając w gwizdek zgodnie z rozkazem. Dwie kolejne pary Psów dotarły na miejsce, by pomóc nam opanować tłum. Nie dane nam było obejrzeć dwóch ostatnich walk.

Ale ta banda kieszonkowców wywarła na mnie wrażenie. Ktoś był naprawdę pomysłowy.

Natknęliśmy się na kilka rozbojów, parę bójek w karczmach, chłopca, leżącego żonę. A potem dopisało nam szczęście. Gruby Robin, poszukiwany przez sądy za trzy zabójstwa w porcie Legann, pił Pod Szarą Gęsią. Poganiacz bydła, który także tam pił, rozpoznał go i podszedł do pierwszych Psów, jakich znalazł, czyli do nas. Zasłużył na nagrodę w wysokości dziesięciu srebrnych nobli, którą otrzymał, gdy doprowadziliśmy Grubego Robina do budy. Tunstall pokazał mu inne wyjście z budynku, więc przy odrobinie szczęścia dotrze do miejsca zamieszkania z monetami w kieszeniach. Ahuda powiedziała, że my też dostaniemy podczas wypłaty dziesięć srebrnych nobli, a Goodwin na to, że dwa z nich będą dla mnie, bo Gruby Robin sprawiał niemałe kłopoty przy aresztowaniu.

Nie najgorsza noc jak na Szambo, słowo daję.

Piątek, 10 kwietnia 246

Pod koniec dnia.

Po tak dobrej nocy w Szambie otworzyłam okiennice, za którymi szalała wiosenna burza. Obudziłam się z kichaniem i kaszlem. Chciałam tylko, żeby gołębie do mnie przemówiły, zanim wypełnę z powrotem do łóżka. Pomyślałam, że na pewno mi powiedzą, gdzie pochowane są ciała duchów. Albo przynajmniej podadzą mi nazwiska, noszone przez nie za życia.

Przyleciały, by powtórzyć mi jedynie jeszcze raz to, co już mówiły. Za każdym razem, gdy kichnęłam albo kaszlnęłam, głupole jednocześnie zrywały się do lotu. Potem wracały i znowu odfruwały, i tak w kółko.

Nie cierpię gołębi.

Zjawiła się cała dziewiątka kopaczy. Niczego się nie dowiedziałam i powiedziałam Drapkowi, że równie dobrze mógł przylecieć tylko jeden. I jeszcze zostawiły mi pióra na podłodze.

Rosto nawet nie wszedł do moich pokojów, choć nie powiem, bym otworzyła drzwi wystarczająco szeroko. Aniki zapisała nazwiska i miejsca związane z dwiema wizytami Węża Cienia i wróciła później z garncem gorącej zupy. Jest dobrą przyjaciółką.

Kora przyniosła mi eliksiry, po których poczułam się lepiej. A przynajmniej plułam po nich ohydą flegmą. Erskan przyszedł z herbatą. Verene śpiewała mi piosenki, podczas gdy wraz z Aniki i Korą jedli śniadanie na półpiętrze przed moimi drzwiami.

Jak ja mogłam żyć bez przyjaciół?

Drapek skulił się obok mnie, gdy spałam – przez cały poranek i część popołudnia. Nie wiem, czy to zasługa zupy, herbaty czy też eliksirów, ale poczułam się wystarczająco dobrze, by pełnić służbę.

Praca na Targu Nocnym była wyczerpująca.

Kora była w domu, gdy wróciłam. Miała więcej eliksirów.

Idę spać. Niech licho porwie wszystkie przeziębienia. Niech licho porwie wiosnę. Niech licho porwie deszcz. Nie, nie deszcz ani wiosnę, tylko przeziębienia.

Dobranoc.

Sobota, 11 kwietnia 246

Nie cierpię gołębi, gdy nie przynoszą niczego nowego.

Nie cierpię Szamba.

Nie cierpię ohydnych, cuchnących, irytujących, zatykających nos, przeklętych przeziębień.

Nie cierpię wlec tyłka podczas patrolu, zanosząc się suchym kaszlem.

Kocham swojego ciepłego, miękkiego kota.

Mam dobrych przyjaciół, którzy przynoszą mi różne rzeczy. Kocham swoje łóżko.

Niedziela, 12 kwietnia 246

Rano.

Kora:

Jedna dziewczynka – Smoczy Bulwar – 5 grudnia 245 – cena: spadek w wysokości 8 srebrnych nobli.

Nie zapłacono – znaleziona martwa w ogrodzie matki.

Jeden chłopiec – Aleja Świąteczna – 31 sierpnia 244 – cena: skrzynka z drewna sandałowego inkrustowana macią perłową. Nie zapłacono – znaleziony martwy we własnym łóżku. Brat zabrany dwie noce później.

Zapłacono – brat znaleziony żywy na progu nazajutrz po zapłacie.

Jedna dziewczynka – Droga Morwowa – 13 lutego 246 – cena: 20 srebrnych nobli oszczędności.

Zapłacono – dziecko znalezione w świątyni, gdzie dwa dni wcześniej zostawiono zapłatę.

Aniki:

Jeden chłopiec – ulica Włóczęgów – 8 maja 245 – cena: 3 yamańskie srebrne monety.

Nie zapłacono – znaleziony martwy na progu.

Siostra zabrana tydzień później.

Nie zapłacono – siostra nigdy nieodnaleziona.

Zaraza i pomór na Węża Cienia. Oby Mithros wypalił mu oczy do oczodołów. Oby Bogini wysuszyła mu jajka i jajka wszystkich jego dzieci.

Pod koniec nocy.

Jeśli chodzi o uzdrowicieli, dobrze, że Kora ma też inne zdolności. Nadal wydmuchuję przerażające ilości flegmy z nosa i gardła. Goodwin mówi, że na szczęście nie musimy po cichu obserwować żadnego Szczura, bo obawia się, że moje oddychanie słychać aż w pałacu. Dała mi eliksir od swojego zaprzyjaźnionego maga i mówi, że to pomoże. Modłę się, by tak się stało, bo jutro idziemy do Sądu Miejskiego. Jeśli mam kasłać i smarkać przez cały dzień, chyba spróbuję wcisnąć głowę w podłogę.

Przynajmniej wiem, że nie zostanę wezwana do mówienia przed panem Tullusem. W tym tygodniu nie przyskrzyniliśmy Szczura, który znajdowałby się w zasięgu tylko mojego wzroku przez czas dłuższy niż kichnięcie. Mogę się schować za plecami swoich Psów.

Nie mieliśmy żadnych wieści o kopaczach, choćby jednego szeptu. A raczej słyszymy różne szepty o ludziach, którzy zaginęli. Tunstall i Goodwin mają listę nazwisk, którą przyniosły im inne Psy po sprawdzeniu, czy zaginieni naprawdę zaginęli. To długa lista. Czasu na sprawdzenie każdej osoby jest niewiele. Psom rzadko wolno robić cokolwiek ponad regularne patrole, bo jest nas tak niewiele, a musimy utrzymywać porządek. Ściganie zaginionych chłopów i bab tylko dlatego, że zaginęli, to niezbyt dobry powód, by nie poświęcać czasu na powstrzymywanie ludzi przed rozwalaniem sobie łbów i bezczelnym okradaniem siebie nawzajem.

Co gorsza, wiosenne burze trwają nadal. Z tego powodu statki nie zawijają do portu, a to oznacza brak pracy. Jeśli Krzywonogi zatrudnił kogoś w sekrecie do wydobywania ognistych opali, ludzie ci nie będą się tym chwalić. Wiedzą, że ci, którzy rozpaczliwie poszukują jakiegokolwiek pracy, mogliby ich pobić, byleby zająć ich miejsce w brygadzie kopaczy.

Krzywonogi, czy też ten, kto najmuje dla niego robotników, z pewnością na to liczy. Zatrudnią nowych kopaczy i każą im przysiąc, że będą trzymać język za zębami.

A potem ich zabijają, żeby ich uciszyć, tak jak poprzednią dziewczynkę.

Przez tę chorobę mam podły nastrój. Zażyję eliksir od Goodwin i położę się do łóżka.

Wtorek, 14 kwietnia 246

Dziewiąta rano.

W tym tygodniu nie umiem się zmusić do wizyty w domu starosty, mimo że nie mam żadnych siniaków. Czuję się nawet lepiej po tym eliksirze od Goodwin, ale jakoś nie mam ochoty widzieć się ze swoim rodzeństwem po takim pożegnaniu w zeszłym tygodniu. Wydawali się zawstyżeni. Niech ich wspomnienia wyblakną.

Poza tym babcia Fern mówi, że spędzamy u niej zbyt mało czasu. Mogę zajrzeć do niej z miłą wizytą. Przy śniadaniu Kora powiedziała, że do południa skończy pranie, gdybym chciała pogadać o Wężu Cienia z ludźmi, których poznała.

A zatem pójdę do babci.

Pod koniec dnia.

Dziś rano babcia ucieszyła się z mojej wizyty, a także z miedziaków, które jej dałam, by wspomóc ją w wydatkach na utrzymanie domu.

– Ptaki latają za tobą jak zwykle – stwierdziła, gdy rozwieszałyśmy pranie. – Pomagają ci w pracy?

Może dlatego, że to babcia nauczyła mnie słuchać gołębi i pyłowych krętów, powiedziałam jej o kopaczach i Rolondzie. Miałam dość rozumu, by mówić cicho i kazać jej przysiąc na Staruchę, że nie puści pary z ust o tym, co ode mnie usłyszała. To były sprawy Psów. Ale babci mogę ufać. Powiedziałam jej wszystko, co słyszałam, zanim zostałam stażystką, oraz wszystkie informacje, które przekazywałam do Jaśnie Pana i do bud.

Czuję po prostu, że muszę szczególnie uważać i zachowywać się jak Pies, skoro już prawie nim jestem.

Babcia była mocno poruszona sprawą Węża i kopaczy.

– Co z tym zrobiliście? – spytała.

Powiedziałam jej. Ucieszyła się, że Goodwin i Tunstall szukają kopaczy. Spodobała jej się opowieść o mojej mapie i powiedziała mi o trzech przypadkach działań Węża, o których sama wiedziała.

Nie podobało jej się za to, że nie powiedziałam swoim Psom o mapie.

– Mówisz, że wiedzą lepiej. Albo wiedzą lepiej w każdej kwestii, którą się zajmujesz, albo nie – powiedziała stanowczo, po czym trzepnęła mnie w bok głowy.

Ma rację, wiesz, dodał Drapek. Leżał w słońcu, wbijając spojrzenie w kocura babci.

Czasami wolałabym, żeby babcia Fern nie była taka ostra. Ale wiedziałam, że ma słuszność. Obawa, że wykpią pomysł z mapą – choć robiłam to, czego nauczył mnie Jaśnie Pan – nie była jeszcze powodem, by im nic nie mówić. W takim razie poinformuję ich o swojej mapie jutro.

Kora przysłała godzinę po moim powrocie od babci. Obudziła Aniki, która w międzyczasie położyła się do łóżka, by się zdrzemnąć. Wyszłyśmy we trzy do miasta, odwiedzić jedną z rodzin, o których wspomniała babcia.

Tata chłopca obudził się pewnej jesiennej nocy w zeszłym roku i odkrył, że dziecka nie ma. Na kołyszce popiołem narysowano węża. Mama dziecka pracowała całą noc w karczmie przy Bramie Północnej. Pewien klient ledwie dwa tygodnie wcześniej podarował jej parę kolczyków z granatami.

– Musieliśmy poprosić kapłana, by odczytał nam liścik – powiedziała, podczas gdy jej mąż nas obserwował. Normalnie powinien być w porcie, zajmując się załadunkiem i rozładunkiem statków z portu Caynn. Kłopot polegał na tym, że z powodu sztormów nie miał teraz pracy. Mógł tylko strugać patyki, modlić się i trzymać się z dala od spelunek i jaskiń hazardu. – Napisano, że tydzień później mamy zostawić kolczyki w sakiewce w świątyni carthakańskiej Jędzy Cmentarnej na cmentarzu przy Skrzydłosztorma – ciągnęła. – I że jeśli to zrobimy, odzyskamy synka całego i zdrowego.

Przez cały czas, który tam spędziliśmy, chłopczyk ani razu nie wyszedł zza pleców taty.

Gdy się do niego uśmiechnęłam, zaczął ssać kciuk. Poczułam się tak, jakbym zmieniła się w jednego z tych olbrzymich pajaków z ludzką głową, którymi mama nas straszyla. Opowiadała, że nas zjedzą, jeśli nie będziemy grzeczni.

Potem poszłyśmy do kobiety, która powiedziała Aniki, że Wąż Cienia porwał jej córeczkę. Miała rozbiegany wzrok. Dwie noce temu widziałam rozmowę Goodwin z chłopem, który zachowywał się bardzo podobnie. Zerknęłam na Korę i Aniki. Coś w ich postawie powiedziało mi, że też czują pismo nosem.

Próbowałam odpowiedzieć sobie na pytanie, o co też mogłaby dopytywać Goodwin.

– Czyli to było w nocy? – spytałam.

Skinęła głową.

– Przed dzwonem na północ czy później? – Stałam tak jak Goodwin, ze skrzyżowanymi rękami i ciężarem ciała przerzuconym na jedno biodro. Nie odrywałam spokojnego spojrzenia od twarzy tej baby.

– P-później, zdaje się.

– I była ładną dziewczynką, tak? Jak pani?

– O, raczej tak. Ludzie prawili mi komplementy. W jej wieku byłam bardzo ładna.

– Przed dzwonem na północ, mówi pani? – Rozejrzałam się po niewielkiej izbie. – Czy pani wyszła?

– Możliwe. – Teraz spuściła wzrok. – Żeby, no, pogadać z koleżankami.

– Czyli te koleżanki były na dworze. Ze swoimi dziećmi?

– Te starsze nie spały.

– Czyli na niebie było trochę światła. – Ujrzałam teraz na jej czole kropelki potu. Nigdzie nie było widać śladu dziecięcych zabawek czy łóżeczka, chociaż dziewczynka zniknęła niedawno. Na łóżku leżała niemal nowa narzuta, a baba nosiła naszyjnik i kolczyki do kompletu. – To było o zmierzchu, nie później. Mogła sama gdzieś pójść.

– Nie, wzięłam ją...

Zasłoniła usta dłońmi.

Dokończyłam to, co chciała powiedzieć, bo teraz miałam już pewność.

– Wzięła ją pani i sprzedała. Nie Wąż zarobił, tylko pani.

Wymierzyła mi policzek.

Oddałam.

Aniki powiedziała:

– Nie bij jej, Becco. Następnym razem ja to zrobię.

– Precz z mojego domu! – wrzasnęła baba. – Wynoście się, brudne zdziury!

Kora nachyliła się w jej stronę.

– To nie my sprzedałyśmy swoje dzieci, łaskawa pani. A jeśli się dowiem, że ma pani kolejne, będę miała panią na oku.

Aniki uśmiechnęła się złowrogo.

– I ja też.

Ja tylko splunęłam babie pod nogi.

Rozmawiałyśmy jeszcze z pięcioma osobami, które twierdziły, że ukąsił je Wąż. Jeden chłop wyrzucił nas z domu, gdy Kora wspomniała o targu niewolników. Był czerwony ze wstydu. Reszta widziała wizerunek węża, nakreślony popiołem na pościeli, na poduszce, na podłodze. Troje, którym dzieci zabrano w ciągu ostatnich piętnastu miesięcy, zapłaciło. Wiedzieli, że Wąż nie żartuje. Słyszeli wcześniej o innych przypadkach.

Poszłyśmy razem na kolację do taniej jadłodajni. Wyjątkowo zamówiłam kufel piwa, by zmyć z ust smak pracy.

– Dopadniesz go, Becco – powiedziała mi Aniki. – Pomożemy ci.

– Miło było patrzeć, jak złamałaś tamtą babę – dodała Kora.

Pokręciłam głową.

– Naśladowałam tylko Goodwin.

– Jeśli naśladować, to najlepszych – odparła Aniki. – Ja będę jak pani Sabine.

– Czy któraś z was okaże szczodrość? – Matka Cantwell nas znalazła. Podetknęła nam pod nosy swoją zebraczą miseczkę. – Mam coś dla Szczenięcia, jeśli zechce się podzielić okruchami.

W końcu kupiłam jej dwa mięsne paszteciki. W zamian dostałam sześć nowych szpilek na mapę.

Byłam tak wściekła, wtykając w mapę szpilki odpowiadające atakom Węża, o których poinformowała Matka Cantwell, że w ogóle nie miałam ochoty nic dziś wieczorem pisać. Prowadzenie tego dziennika okazuje się trudniejsze, niż sądziłam. Pozbieranie myśli wymaga czasu. Zawsze trzeba coś zacerować czy posprzątać. Mam wrażenie, że grzyb wyrasta mi na ścianach od tych wszystkich gołębih odchodów, które gromadzą się przy moim oknie. A gdybym codziennie nie zamiatała wszystkich kawałków ziarna i okruchów chleba oraz resztek po śniadaniu, załęgłyby mi się myszy.

Drapek nie zniżyłby się do łowienia gryzoni. Nazywa je „małymi braćmi” i mówi, że nie będzie odbierał życia innym stworzeniom, skoro jest tak dobrze karmiony. Grożę, że zacznę go głodzić. Mówię mu, że to dlatego jego kocia matka wyrzuciła go z miotu, gdy był malutki. Wiedziała, że ma w sobie coś nienaturalnego.

Dosyć. Wróciłam do domu, żeby umieścić szóstkę Matki Cantwell na swojej mapie, lecz złamałam jedną ze szpilek, gdy ze złości zbyt mocno ją nacisnęłam. Dwójka dzieci wróciła do rodzin żywa. Jedna dziewczyna była już nastoletnia, najstarsza jak dotąd, ale jej matka miała złotą broszę i żadnych innych dzieci, które można by zabrać. Dziewczyna cały czas była zakapturzona i nawet przez chwilę nie widziała Węża ani jego pomagierów.

– Czyli zabiera ofiarę najłatwiejszą albo najbardziej kochaną, lub też tak młodą, że nie interesuje handlarzy niewolników, więc rodzina chce dziecko zatrzymać, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas. – Powiedziałam to do Drapka, do gołębi i do ich duchów jęczących na parapecie, bo nikt go więcej nie było w pobliżu. Pomimo ciemności otworzyłam okiennice, by wywietrzyć ze swoich pokoi zapach mocnego mydła. – Może Wąż woli dzieci, bo wie, że ludzie mimo wszystko wciąż się o nie troszczą. Nawet jeśli chcą je później sprzedać, zależy im na pieniądzach, które za nie dostaną.

To rozsądne, stwierdził Drapek. *Niezbyt sympatyczne, ale rozsądne.*

– Wątpię, by Wąż umiał w ogóle wypowiedzieć słowo „sympatyczne” – bąknęłam.

A zatem dwoje dzieci wróciło żywych, bo ich rodziny uwierzyły w liściki Węża. Troje spośród szóstki, o której powiedziała Matka, znaleziono martwych. Na ile mogłam się zorientować, porwano je w pierwszym roku, gdy jeszcze nikt nie wierzył w rzeczywiste istnienie Węża. A jednego dziecka nie odnaleziono.

Sporządziłam listę posiadanych informacji na kartce papieru. Nie mogę jutro pokazać Godwin i Tunstallowi swojego dziennika. Będą chcieli pisemnego sprawozdania z nazwiskami porwanych dzieci, z żądanymi i faktycznie zapłaconymi cenami, informacjami o domach, z których pochodziły, i miejscach, gdzie je znaleziono, o ile to nastąpiło. Dodałam zielony lak, oznaczający miejsca, które okazały się fałszywymi alarmami. Te doniesienia także spisałam.

Gdy całą tę robotę miałam już za sobą, zabrałam się za szycie. Aniki i Kora nie są w tym zbyt dobre. Nie jestem wprawdzie Dioną ani Lorine, ale żadna dziewczyna wychowana przez Jaśnie Panią Teodorie nie ma kłopotów z posługiwaniem się igłą. Aby podziękować przyjaciółkom za pomoc podczas przeziębienia, postanowiłam naprawić im ubrania. Zaczęłam właśnie pracę nad trzecią koszulą Aniki (czy ona gryzie te szwy na ramionach zębami?), gdy po schodach wbiegli Ersken i Verene.

– Nawet popielice mają lepszy czas od ciebie! – usłyszałam z dołu wołanie Verene. – To nasz jedyny dzień na zabawę, nie jesteś chora, a wytwórcy wachlarzy urządzają tańce! Uwielbiają, kiedy przychodzą Psy!

Ersken załomotał w moje drzwi.

– Chodźmy, Becco! – zawołał. – Będą tam wszystkie Szczenięta z naszej klasy, które nie pełnią służby. Możesz się schować za nami, a i tak zobaczysz nowe letnie wachlarze.

Nie widziałam większości klasy od dnia zakończenia szkolenia. Wszyscy sobie obiecaliśmy, że będziemy się dalej przyjaźnić i często ze sobą rozmawiać, ale dam głowę, że tamci są po służbie

nie mniej zmęczeni od nas. Chcę ich zobaczyć i posłuchać, jak wyglądały ich pierwsze dwa tygodnie.

Poza tym może słyszeli o Wężu.

– Czekajcie, włożę sukienkę! – zawołałam.

Gdy wstałam, Drapek zwinął się na przyborach do szycia i usnął.

Środa, 15 kwietnia 246

Pod koniec dnia.

Kiedy po zbiórce powiedziałam swoim Psom o poszukiwaniach Węża i pokazałam im listę, zażądali, by zaprezentować im także mapę na mojej ścianie. Goodwin długo się w nią wpatrywała, a Tunstall czytał listę. Dziś rano po śniadaniu wprowadziłam na mapie pewne zmiany. Phelan podał mi trzy nowe przypadki, a Rosto dwa. Z każdą kolejną wbity szpilką ściska mnie w żołądku.

Otworzyłam okiennice, by wpuścić tyle promieni zachodzącego słońca, ile się dało, i zapaliłam lampy. Oczywiście, gołębie przyleciały sprawdzić, czy coś dla nich mam. Mogłabym przysiąc, że pełnią wartość przy mojej kwaterze. Rozsypałam dla nich okruchy chleba, ale wciąż miałam oko na swoje Psy.

– Co tu jest wydrapane? – spytał Tunstall, wskazując listę.

– Wczoraj w nocy Kora dowiedziała się, że chłopaka zabrano, ale zrobili to ludzie jego ojca – odparłam. – Jego ojciec to jeden z Bazhirów, a ci ludzie nie chcą, by ktoś z ich krwi wychowywał się poza ich namiotami. Dlatego go wykreśliłam.

– Aha. – Tunstall podał papier Goodwin.

– Co to za czerwone spirale na mapie? – spytała.

– Pyłowe kręty – odparłam. Ręce miałam wilgotne od potu. – Pomyślałam, że powinnam je zaznaczyć.

Odsunęła się w bok, by Tunstall mógł lepiej przyjrzeć się mapie. Odczytała moją listę. Za mną gołębica krzyczała, że zbliża się dzień jej ślubu. Nie wiedziała, jak to możliwe, że pewnej nocy szła do domu i nigdy tam nie dotarła. Domyślałam się, że ten, kto ją zabił, zaatakował z tyłu.

Odejdź, pomyślałam do niej, obserwując swoje Psy. Nie umiem myśleć więcej niż o dwóch sprawach naraz. Ludzie Krzywonogiego werbują nowych kopaczy, o ile jeszcze ich nie zwerbowali. To jedna sprawa. Drugą jest Wąż Cienia.

Gdy marzyłam, by zostać Psem, nie przypuszczałam, że będzie zbyt wielu pokrzywdzonych, bym mogła ich wszystkich odnaleźć.

– Jaśnie Pan stosuje tę metodę przy sprawach, obejmujących cały obszar królestwa – powiedział Tunstall, stukając w mapę palcem. – Widzieliśmy takie mapy w jego gabinecie, prawda, Clary? I mówiliśmy Ahudzie, że moglibyśmy używać podobnych. Uczą nas sztuczek pamięciowych, by informacje pozostawały w naszym umyśle – myślał na głos. – Ale w sprawie tak pogmatwanej, jak sprawa Węża Cienia, której przez trzy lata nikt nie śledził... to może wskazać nam wzorzec. Może należałoby szpilkami zaznaczyć miejsca, gdzie pozostawiono zapłatę. Lubi świątynie. Wielu ludzi wchodzi i wychodzi, kapłani, którzy pełnią tam posługę, mieszkają gdzie indziej. Ten Wąż dobrze zna świątynie.

Mogę kupić biały lak do zaznaczania świątyń. Nie przyszło mi do głowy, że miejsca, w których Wąż odbiera zapłatę, mogą być ważne. Patrzyłam tylko na to, kogo zabrano i skąd.

– Cooper, nie pomyślałaś, że możesz nas w ten sposób obrazić? – spytała Goodwin. – Nie pomyślałaś, że poczujemy się, jakbyś próbowała uczyć nas naszej pracy?

Moje wnętrzości zmieniły się w wodę. To była jedna z tych chwil, gdy dostaje się gęziej skórki. Bałam się tylko, że wyśmieją moją mapę. Wcale nie chciałam ich rozgniewać!

Zaczęłam paplać, mówiąc wiele rzeczy. Chyba wspomniałam o mapach w domu Jaśnie Pana. Może powiedziałam, że moi przyjaciele chodzą wszędzie. Na pewno powiedziałam, że nigdy nie chciałam sprawiać wrażenia, jakbym wiedziała lepiej niż tacy wyjadacze jak Goodwin i Tunstall.

Goodwin westchnęła.

– Cooper, nie brak ci zapału i przytomności umysłu. Zrobiłaś to, bo robi to Jaśnie Pan. Byliśmy u niego w domu, więc o tym wiemy. I dobrze, że nam powiedziałaś. Ale wiedzieć coś w głowie to jedno, a znać coś z ulic – drugie. Bywają Psy z watą w głowie, które potrafią wyniuchać ra-

busia, bo nauczyły się tego na ulicy. Bywają i takie, które odgryzą ci rękę, jeśli zobaczą, że wężysz za ich plecami.

– Ale to dobry pomysł – stwierdził Tunstall. – I masz swoje Ptaszki, skrzydlate i nie tylko. Większość Szczeniąt nie ma. Większość nie mieszka też z trzema młodymi ludźmi, którzy robią kariery na Dworze Łotra.

– Zrób nam szkice mapy na papierze – powiedziała Goodwin. – Ze znacznikami. – Dała mi srebrnego nobla. – To powinno wystarczyć na papier na jakiś czas. Daj mi znać, jak już wszystko wydasz. Codziennie składaj nam meldunki. W wolny dzień będę ci dawać nasze mapy, żebyś mogła je uaktualnić. I pamiętaj, że jesteś Szczenięciem. Zbieraj tylko wieści. Wszystkie informacje mają trafiać do nas.

Czułam taką ulgę, że mogłam się zdobyć jedynie na skinienie głową. Najtrudniejszą częścią pracy Psa jest dla mnie – oprócz ochrony własnego łba – przewidywanie reakcji innych. Chciałabym widzieć albo słyszeć, co ludzie myślą. Może wtedy nigdy nie popełniałabym błędów. Tym razem miałam szczęście, Bogini dzięki. Następnym razem mogę go nie mieć.

– A teraz pomówmy o tych twoich pyłowych krętach. Tunstall widział, jak z jednym rozmawiałaś – powiedziała Goodwin. – Też chcę to zobaczyć. Czy jest jakiś powód, dla którego nie mogłabyś teraz zaprowadzić nas do któregoś z nich?

Oczywiście, nie było takiego powodu. Pobiegłam zamknąć okiennice, po czym wzięłam uliczny pył, który zebrałam dla swoich krętów jako podarunek.

– Pamiętaj, że obstawiamy dziś Targ Nocny, Clary – zauważył Tunstall.

– Targ Nocny może godzinę poczekać – odparła.

W myślach dziękowałam babci Fern. Stąpałam po cienkim lodzie. Tylko bogowie wiedzą, jak głęboko mogłam wpaść, gdybym zwlekała z przyznaniem się wobec swoich Psów, co robię. Gdybym przeciągnęła swoje milczenie do paru tygodni czy miesiąca, naprawdę miałiby podstawy sądzić, że próbuję działać za ich plecami.

Poszliśmy odwiedzić Hasfusha. Bez brzemienia dziewięciorga zabitych ludzi, krzyczących w jego wnętrzu, zmniejszył się i miał ledwie półtora metra. Słońce zachodziło i w słabym świetle ledwo go było widać. Moje Psy nie widziały go, dopóki nie wskazałam im niewielkiego, odwróconego stożka wirującego powietrza na rogu Skrzydłosztorma i Zwęglonego Sadu.

Weszłam w środek kręgu i wypuściłam pył, który przyniosłam mu w darze. W jednej chwili wypełnił moje uszy paplaniną z kilku dni. Szeptem przeprosiłam, że nie było mnie tak długo. Ciężko wyjaśnić pojęcie pracy istocie, która istnieje i nie potrzebuje pieniędzy, by żyć.

Gdy już mi wybaczył, uwolnił wszystko, co nagromadził. Usłyszałam piosenki, bójki, jęki, śmiechy, dziecięcy płacz i chichot, szepty. Z jakiegoś powodu głosy ptaków i psów czy stukot końskich kopyt nigdy się nie przyklejają do krętów. Odgłosy natury po prostu wypadają z ich wiatru. Słyszę jednak każdy strzęp ludzkiej gadaniny. Nie było nic o Wężu Cienia, zupełnie nic. Ani o nowych robotnikach, najętych do kopania studni w Niższym Mieście.

Pojawiło się jednak coś ważnego. Wysłałam ze środka Hasfusha i powiedziałam:

– Zamordowano tancerkę na Szmaragdowej w Migocie. Ten, który to zrobił, ciągle ma na sobie jej krew, a w kieszeni jej dzwoneczki. Z tego, co mówił kolegom na Targu Dziennym, zmierzaj w tę stronę. Idzie na Dwór Łotra.

Tunstall i Goodwin wahali się, patrząc po sobie.

Drapek, który jak zwykle wybrał się z nami na patrol, zbeształ ich: *Albo jej wierzycie, albo nie. Decydujcie!*

Nie wiem, czy go zrozumieli. Ale Tunstall przyłożył gwizdek do warg. Po sygnale pojawiły się dwie pary Psów i jeden czworonóg. Phelan i jego partnerka zjawili się najszybciej, ze swoim psem gończym Apsiką. Nadali suczce takie imię, ponieważ kichała, gdy złapała trop. Była zadziornym kundlem średniej wielkości, o zbitej, kręconej sierści bursztynowej barwy. Podobno nos miała tak czuły, że potrafiła odnaleźć mysz w zalanym kanale.

Apsika cofnęła się na widok Drapka. Mój kot jedynie mrugnął, czekając. Suka podchodziła krok za krokiem, aż ich nosy się zetknęły. A potem kichnęła dwa razy. Jej ogon zaczął się kołysać. Drapek odskoczył, gdy nowa przyjaciółka próbowała go wylizać.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałam – mruknęła partnerka Phelana. – Uciekła przed ostatnimi pięcioma kotami, które spotkała. Odkąd ten kocur z naderwanym uchem podrapał jej nos.

Phelan wzruszył ramionami.

– Drapek to nie byle kot – powiedział, trzymając ręce głęboko w kieszeniach spodni.

– Nie mamy nawet pewności, czy to w ogóle kot – mruknął Tunstall do Goodwin. – Ja uważam, że to bóg pod postacią futrzaka.

Drapek zamiauczał: *Czy wyglądam dla ciebie na kogoś tak głupiego jak bóstwo?*

Tunstall odwrócił głowę i zamrugał do niego niczym sowa. Przez chwilę bałam się, że gwardzista rozumie mojego okropnego kota.

– To urocze, ale lepiej, żeby Springbrook i Evermore zjawili się jak najszybciej – powiedziała Goodwin zimnym głosem. – Jeśli znowu migdała się na służbie, Ahuda się o tym dowie. Powinni przyjść przed Apsiką, prawda, suniu? Skoro ty i twoi państwo zdążyliście tu dotrzeć z większej odległości...

Apsika, która wiedziała, że Goodwin ją lubi, zamerdała ogonem i zaszczeła.

Gwardziści, o których mówiła Goodwin, przybyli truchtem, wyraźnie zasapani.

– Odprowadzaliśmy Szczury zbierającemu – oznajmił Evermore, ciężko dysząc. Springbrook podała mu swoją manierkę. – Przepraszam. – Łyknął z manierki, aż woda pociekła mu po brodzie.

– Chodź, Apsiko – powiedział Phelan. Poluźnił smycz, by suka mogła opuścić nos do samej ziemi. – Co tam masz? Wyniucha wszystko – dodał, patrząc na mnie. – Jeśli twój Ptaszek miał rację i szedł tędy ktoś zakrwawiony, to ona... aj!

Apsika kichnęła raz i drugi, potem warknęła. Wywęszyła coś, co jej się nie spodobało. Ruszyła prosto w zaułek. Potem poprowadziła nas przez bramę Dworu Łotra. Goodwin i Tunstall nie wahali się ani chwili, choć zgodnie z tradycją Psy nie powinny dokonywać aresztowań Szczurów wewnątrz Dworu. Od razu przeszli przez bramę w ślad za Apsiką i Phelanem. Reszta z nas ruszyła za nimi z pałkami w pogotowiu.

Strażnicy rozstąpili się. Nie zamierzali przeszkadzać Psom na łowach, nawet tutaj. Nie zaryzykowałiby rozlewu krwi.

Zdążyliśmy za Apsiką prosto do sali tronowej Kayfera. Zasiadał tam ze swoimi przywódcami i lizusami. Jakiś chłop klęczał przed nim i szlochał. Apsika pognęła prosto do niego i wściekle zaszczeła.

Tunstall pociągnął mazgaja, stawiając go na nogi. Wszyscy widzieliśmy krew na jego tunice.

– Nie chciałem zabić Esseny! – wykrzyknął morderca, pociągając nosem. – Nie chciałem!

– Esseny Lili? – spytała Goodwin. – To ją zabiłeś?

– Więc ją znacie. Wiecie, jaka jest piękna. – Wyciągnął ręce do ramion Goodwin. – Ale już mnie nie kochała – powiedział. – Mówiła, że będzie mnie kochać zawsze, ale... tak nie było.

– Miała piętnaście lat, ty gnoju – odrzekła Goodwin, łapiąc go za jeden z nadgarstków. Wykręciła mu rękę za plecy i założyła dźwignię, by opadł na kolana. – Gdy masz piętnaście lat, „zawsze” oznacza jakieś osiem miesięcy.

Tunstall popatrzył na Kayfera, zasiadającego na swoim tronie z beczek i skrzyń.

– Wtrącisz się? – spytał Łotra. Wraz z pozostałymi czterema Psami uformowaliśmy półokrąg, stojąc twarzą do wyjścia i trzymając pałki w gotowości. Goodwin w jednej ręce miała zabójcę, w drugiej zaś pałkę. – Czy ten nędznik jest wart walki?

Stojąc plecami do tronu, nie widziałam Łotra. Słyszałam lód w jego głosie, gdy wreszcie przemówił.

– Nie należy do moich zaprzysiężonych ludzi. Odejmiemy ósemkę z worka szczęścia w tym tygodniu i moje zbiry jeszcze pomogą wam go wyprowadzić.

Zabójca zawył.

– Sami go wyprowadzimy – usłyszałam odpowiedź Tunstalla. – Może być o ósemkę mniej, ale to my będziemy liczyć. Twój ludzie mogą patrzeć.

Usłyszałam kroki i odgłosy plucia, oznaczające, że dobili targu. Potem rozległy się kolejne kroki i szurgot butów o podłogę. Podczas gdy tego słuchałam, nie odrywałam oczu od stołu Dawul-

la.

Dawull obracał sztylet na czubku palca. Zdawał się nie dbać o to, że Łotr właśnie wydał chłopca Psom. Widziałam poruszenie wśród innych podwładnych Kayfera, ale nikt nie odważył się powiedzieć mu złego słowa, nie w obronie kogoś, kto nie należał do Dworu.

Tak samo Łotr nie zważał na błagania tych, którzy stracili dzieci przez Węża Cienia i przychodzili do niego po pomoc. Aniki zerknęła na mnie. Później odwróciła się, by szepnąć coś mężczyźnie, który w poprzednim tygodniu wyciągnął na nas swój miecz w Mglistej Latarni. Siedział z pięściami zaciśniętymi na stole i wyrazem czystego obrzydzenia na twarzy. Dlatego, że tam byliśmy? Czy dlatego, że Kayfer poświęcił człowieka, który prosił go o pomoc, a Dawull nic nie powiedział?

Wychodząc, splunęłam na podłogę. Nie pozbyłam się jednak paskudnego smaku z ust. Cieszę się, że zabraliśmy tego durnego zabójcę bez walki, ale czy Kayfer nie dbał o nic oprócz pieniędzy?

Wróciliśmy do Niższego Miasta. Springbrook i Evermore zabrali zabójcę do klatki, a my ruszyliśmy na Targ Nocny.

Teraz, po powrocie do domu, mam napuchnięte stopy i obolałe plecy od gonienia za płótkami i zmuszania ich, aby oddały skradzione łupy. Jutro muszę zacząć pracę nad kopiami map dla Godwin i Tunstalla.

Piątek, 17 kwietnia 246

Mapy są trudniejsze, niż się wydaje. Zmarnowałam trzy arkusze papieru, zanim doszłam do wniosku, że najpierw powinnam spróbować na tabliczce. Właśnie tym zajmowałam się wczoraj i dzisiaj, nie licząc służby. Wystarczy, że złapię pióro, a momentalnie drętwieją mi palce.

Niedziela, 19 kwietnia 246

Po służbie.

Opanowałam już sztukę rysowania całej mapy na odpowiedniej powierzchni. Mnóstwo kre-
dy i mnóstwo wycierania. Nadal pracuję nad mapami. To dlatego nie pisałam w dzienniku. Myślę,
że jutro mogę znów zaryzykować pracę na papierze. Wydałam kolejne pieniądze na kolorowe tusze.

Dziś po południu, gdy przyszedliśmy na ćwiczenia, w budzie pojawiła się baba. Ociągałam
się, bo widziałam ją wczoraj rano. Rozmawiała z Korą na Placu Szklarzy, nad baliami praczek. Mo-
głabym wcale ich nie zauważyć, ale minęłam je w drodze do pyłowych krętów w Szambie. Siedzia-
ły, stykając się głowami niczym siostry.

Może byłam zazdrosna. Ostatnio Kora i ja często razem wychodziłyśmy, by rozmawiać
z ludźmi ukąszonymi przez Węża Cienia. Pamiętałam więc tę babę. Gdy ze szklistymi oczami we-
szła do budy, przeżyłam wstrząs.

Podążyła prosto do biurka sierżanta straży dziennej.

– Ja to zrobiłam – powiedziała bardzo głośno. – Miałam na oku mężczyznę, nowego, miłego
i przystojnego, tyle że nie chciał żadnych dzieci, a ja miałam synka. Próbowałam nakłonić swojego
mężczyznę, żeby się wprowadził, wysyłałam synka do zabawy, kiedy on przychodził, ale on tego
nie chciał. Powiedział, że nie będzie mieszkał z dziećmi. Więc pewnej nocy wzięłam koc i przyło-
żyłam do buzi synka, aż przestał oddychać. Potem zaniósłam go w koszyku nad rzekę i włożyłam
do wody, żeby bóg Olorun zabrał go do morza, na łaskę Wędrującej z Falami. Powiedziałam sąsia-
dom, że zabrał go Wąż Cienia. Płakałam i płakałam, bo wiedziałam, że zrobiłam coś strasznego, ale
teraz mój mężczyzna mieszka ze mną.

W budzie zapadła absolutna cisza. Wszyscy na nią patrzyli. Stała, chwiejąc się na nogach.
Nagle zatoczyła się na biurko sierżanta. Pies, który był obok, złapał ją za rękę. Zaczęła krzyczeć.

– Co ja zrobiłam, co ja zrobiłam?! – darła się. – To kłamstwo, same kłamstwa! To magia!
Magia zmusiła mnie do kłamstwa!

Fulk wyszedł ze swojego gabinetu, słysząc krzyki. Podeszedł do niej, trzymając w palcach
kryształ, który podsunął jej przed oczy.

– Zabiłaś swoje dziecko? – spytał. Kryształ zalaśnieł.

– Nie! – wrzasnęła.

Kryształ rozbłysnął czerwienią.

– Kłamiesz – stwierdził Fulk. Uśmiechnął się. – Owszem, zabiłaś je. Czy zaczarowano cię,
byś nam o tym powiedziała?

– Tak, tak! – Próbowała wyrwać się z uścisku Psa, który wciąż ją trzymał. – Zaczarowano
mnie, żebym kłamała.

Kryształ zaświecił na zielono.

– Zaczarowano cię, byś mówiła prawdę – poprawił Fulk. – Kto rzucił zaklęcie?

Baba wbiła w niego spojrzenie szeroko otwartych oczu. Kilka razy otwierała usta. Wreszcie
odpowiedziała.

– Nie pamiętam.

Kryształ zajaśniał na zielono.

– Szkoda – powiedział Fulk. – Zaczarowanie kogoś, by mówił wbrew swojej woli, to nie
mniejsza zbrodnia niż zabójstwo. Mag poniósłby śmierć obok ciebie, gdybyś tylko mogła przypo-
mnieć sobie jego nazwisko. – Wzruszył ramionami i pomaszerował z powrotem do swojego gabi-
netu. Baba zaczęła krzyczeć, aż Pies, który ją trzymał, uciszył ją uderzeniem otwartej dłoni.

Gdy wróciłam dziś ze służby, zapukałam do drzwi Kory. Akurat była w domu.

Gdy parzyła nam herbatę, powiedziałam jej o tej babie i jej zeznaniu.

– Nie chciałabym myśleć, że rzucasz zaklęcia prawdy albo zaklęcia zniewalające – powie-
działam. – Każdy Pies, który by wiedział, że robisz takie rzeczy, musiałby cię aresztować.

Ze słodkim uśmiechem podała mi kubek miętowej herbaty.

– Nigdy nie uprawiałabym takiej niedobrej magii – odparła i poczochnęła Drapka. – Nawet na babie, która zabiła swoje dziecko, by zadowolić mężczyznę.

– To jest cały problem z wami, przybyszami z Północy – stwierdziłam. Nie umiałam nawet udawać gniewu. To tamta wstrętna baba była Szczurem, a nie Kora. – Łotrzy z Corus przynajmniej udają prawdziwy żal.

– Bardziej się postaram – obiecała Kora, podnosząc swój kubek. – Słowo.

Poniedziałek, 20 kwietnia 246

Noc.

Nie cierpię nie jeść śniadań. Rzecz nawet nie w tym, że jestem głodna, bo zawsze przynoszę do domu coś do jedzenia wieczorem, przed dniem w sądzie. Brakuje mi po prostu zebrania naszego towarzystwa, bractwa, czy czym my tam jesteśmy. Brakuje niepewności, czy tego dnia zjawi się ktoś nowy, czy to ze strony Łotra, czy to Psów. Brakuje mi Aniki, opowiadającej kawały. Może brakuje mi też nadziei, że usłyszę właściwe nazwisko, które doprowadzi mnie do Węża Cienia. Wczoraj Phelan przyprowadził Apsikę, by pobawiła się z Drapkiem. Był to wesoły poranek, Apsika brykała po pokoju, bawiąc się z moim kotem, a Drapek skakał na nią, żeby ją skołować. Zapomniałam o ponurym nastroju, wywołanym brakiem wieści o kopaczach.

Ale w dniach, w które chodzę do sądu, nie ma śniadaniowych zgromadzeń. Pozostali leżą jeszcze w łózkach, gdy ja wychodzę, by cały dzień siedzieć na tyłku. Miałam gotowe mapy, które dałam swoim Psom, gdy tylko dotarłam na miejsce, wraz z kopiami listy zbrodni Węża, wykrytych do wczoraj. Tunstall i Goodwin przejrzyli je w ciągu poranka i nareszcie powiedzieli, że dobrze się spisałam.

– Trzeba było widzieć, jak nad tym pracuje cały tydzień – szepnęła Verene do Tunstalla. Była za daleko, bym mogła ją kopnąć. – Nie odetchnęła, dopóki nie wyglądały jak teraz. Wybredna ta nasza Becca.

Tunstall uśmiechnął się do niej.

– Ma też dobrych przyjaciół.

Verene się zarumieniła. Nie wiedziałam, że to potrafi.

Dzisiaj znowu nie musiałam nic mówić. Przez cały tydzień przymknęliśmy licznych zabójców, rabusiów, awanturników, sprzedawców nielegalnych niewolników, złodziei i włamywaczy, ale Tunstall i Goodwin za każdym razem wszystko dokładnie widzieli.

Gdy pan Tullus około południa zrobił przerwę, wstałam i popatrzyłam na tłum za kratami. Były tam Tansy i Annis. Poprosiłam swoje Psy o pozwolenie, by zamienić z nimi parę słów.

– Nie bądź taka oficjalna, dlatego że stoisz po stronie Psów! – zadrwiła Tansy. – Składasz dziś zeznanie przed panem sędzią?

Zadrżałam.

– Co was tu sprowadza? – spytałam.

– Straż dzienna złapała paru zbirów, którzy okradli jeden ze sklepów ojca – wyjaśniła Annis. Ruchem głowy wskazała przeciwległy koniec sali. Krzywonogi, w towarzystwie krzepkich zbirów, stał tam i rozmawiał z adwokatem starościńskim. – Przyszedł tu po sprawiedliwość. My po to, żeby wyjść z domu. Ciągłe cuchnie tam dymem, mimo wielokrotnego wietrzenia.

Obejrzałam się przez ramię. Pan Tullus jeszcze nie wrócił.

– Tansy, jeśli kiedyś będziesz na nogach około ósmej i zapragniesz odmiany, niektórzy z nas spotykają się na śniadaniu w domu czynszowym pani Trout przy Zaułku Drobnomiedzi – szepnęłam jej. – Będziesz tam mile widziana każdego dnia z wyjątkiem poniedziałków. W śniadaniach uczestniczę ja, parę zaprzyjaźnionych Szczeniąt i Psów oraz inni znajomi.

– Ojciec Ammon trzyma mnie na krótkiej smyczy – stwierdziła Tansy. Przeciągnęła dłonią po wydatnym brzuchu. – W końcu noszę kolejnego Loftsa. I kiedy wychodzę, wysyła ze mną tę czarodziejkę, Vrinday Kayu. Widziałaś ją, udawała moją służącą.

– Ćśśś – szepnęła Annis. – Tłum ma uszy. – Położyła rękę na ramionach Tansy. Tansy wydaje się zbyt chuda jak na babę, która pod sercem nosi dziecko. – Dobrze by ci zrobiło, gdybyś wyszła spotkać się z młodymi ludźmi. Nie, żebym coś obiecywała. – Skinęła mi głową. – Dobra z ciebie dusza, Becco.

– Co z ptakami? – spytała Tansy. – Dalej słyszysz duchy dzieci z ptaków?

Pan Tullus już wracał.

– Wiesz, że tak – powiedziałam. – Niektóre idą do Spokojnych Krain, ale inne zabierane są z zaskoczenia. – Zaczęłam się oddalać.

– Becca! – Tansy przez kraty złapała mnie za ramię. – Herun dał mi jeszcze jeden. – Wyszepiała to tak cicho, że nawet Annis nie słyszała. – Zrób coś z nim. Oddaj do świątyni czy coś. – Wsunęła mi bryłkę w dłoń.

Pognałam z powrotem na swoją ławkę. Przynajmniej wreszcie przekazałam zaproszenie Tansy.

Usadowiona obok Tunstalla, rozejrzałam się w poszukiwaniu Krzywonogiego. Stał tam, gdzie poprzednio, szczupła twarz przyciśnięta do krat. Patrzył, jak adwokat starościński wraca na swoje miejsce. Jaką to „sprawiedliwość” kupił biedakom, którzy próbowali obrabować kogoś, kto dla niego pracował?

Wsunęłam dłoń między kolana i rozprostowałam palce. Dostałam od Tansy zasupłaną chusteczkę. Ostrożnie rozplątałam węzeł. Wewnątrz połyskiwał pomarańczowy opal ognisty, osadzony w różowej skale, skrząc się odcieniami fioleto, zieleni i czerwieni. Pośrodku był całkiem przejrzysty.

Niech ją zaraza dopadnie, pomyślałam. Nie rozumie, ile hałasu robią te przeklęte kamienie? Nie mogę go sprzedać. Całe miasto by się dowiedziało, że mam coś takiego. Ludzie by pomyśleli, że go ukradłam albo że wiem, gdzie jest ich więcej.

I niech lichy porwie Heruna, który nie powiedział żonie, co jej daje.

– Ładny – szepnęła mi do ucha Tunstall. – Co z nim zrobisz? Zawiązałam ponownie chusteczkę i mu podałam. Od tego jest starszy Pies, prawda? Od dokonywania wyborów, na które ja jestem zbyt zielona.

Niech to będzie jego ból głowy.

Pod koniec dnia pokazał kamień Goodwin. Ta tylko westchnęła.

– Czy dziewczyna nie rozumie wartości tych rzeczy?

– Herun powiedział jej, że odmieni ich życie na lepsze – stwierdziłam. – Ona uważa, że życie Rolonda było warte więcej. Sądzi, że jedno ma związek z drugim i w sumie ma rację.

– Szkoda, że Krzywonogiego nie obchodził ten związek – mruknął Tunstall. Podniósł wzrok i twarz mu się rozjaśniła. Pani Sabine stała przy bramie sądu. Goodwin przewróciła oczami.

Wysłałam na spotkanie z Korą i Aniki na Targu Nocnym. Kupiłyśmy wstążki, żeby mogła skrócić gorset dla Aniki, a potem zjadłyśmy tanią kolację nad brzegiem rzeki. Okropna burza zmusiła nas do wcześniejszego powrotu do domu, ale i tak było fajnie.

Gdybym tylko zdobyła więcej wieści o Wężu Cienia albo miejscu pochówku kopaczy, mogłabym odczuwać zadowolenie z życia. Dwa razy w tym tygodniu Goodwin, Tunstall i ja zaglądaliśmy do domów Krzywonogiego w Szambie, ale nie znaleźliśmy śladów kopania w ziemi. Mamy też nazwiska zaginionych, lecz w żaden sposób nie możemy stwierdzić, czy są żywi, czy też martwi, zagrzebani w dole pod jednym z budynków Krzywonogiego, w wodzie w dole rzeki, pochowani gdzie indziej przez kogo innego, czy też żyją sobie szczęśliwie w zupełnie innym mieście.

Dziwię się, że więcej Psów nie drąży tej sprawy.

Wtorek, 21 kwietnia 246

Piąta po południu.

Babcia Fern podała mi jeszcze cztery nazwiska.

CZTERY.

Sześć srebrnych nobli. Złoty pierścionek, który zostawiła kuzynka. Amulet, gwarantujący, że żona będzie rodzić synów. Trzy magiczne klątwy, wykonane w formie wisiorków i gotowe do użytku. Taką wartość Wąż przypisuje dzieciom.

Dwójka dzieci wróciła do domu żywa. Dwójka wróciła martwa.

Po północy.

Rosto, Aniki i Kora czekali na mnie, gdy wróciłam do domu i zbrali mnie do Mglitsey Latar-ni. Hyba złamałam swoją zasadę i wypłam wiecej wina nisz powinam.

Środa, 22 kwietnia 246

Południe.

Dziś rano, gdy wpuściłam gołębie, zauważyłam dwa, których nigdy wcześniej nie widziałam. Jeden z nich, brązowo-biało-szary, rzucił się na chleb, a wtedy drugi, połączenie niebieskiej szarości z bielą, pacnął go, zrzucając z parapetu. Gdy zaczął jeść, ten brązowo-biało-szary podfrunął i usiadł na nim.

– Będziesz mnie tu bił! – wykrzyknął jego duch. – A to był twój pomysł, żeby zaskoczyć Rosta!

Niebieskoszary gołąb z białymi plamami obrócił się na parapecie, próbując zepchnąć tamtego ze swojego grzbietu.

– Mój pomysł? – powtórzył. – Ulsa to wymyśliła!

– Racja. – Ten pierwszy skoczył przez parapet i przyłożył tamtemu skrzydłem. – „Słuchaj, bracie”, powiedziałaś, „możemy zarobić trochę grosza. Trzeba dać nauczkę temu bezczelnemu scanrańskiemu lalusiowi”.

– A myślisz, że kto mi dał pieniądze, głąbie? – spytał niebieskoszary.

– I Rosto nas zabił! Pomyślałeś, że może być od nas szybszy, pieroński durniu? – odparł duch jego brata.

Zepchnęłam oba gołębie z parapetu. Czy Rosto wiedział, że Ulsa zapłaciła za napaść na niego?

Przyszedł na śniadanie z długą blizną na policzku.

– Na mnie nie patrz – powiedziała Kora, gdy zobaczyła, że dostrzegłam szramę. – Poszedł do kogoś, kto uzdrawia lepiej ode mnie. Dwaj bracia wyskoczyli na niego wczoraj wieczorem w Ładnakości. Rosto wygrał, ma się rozumieć. – Szturchnęła go stopą, gdy usiedliśmy wokół obrusa. Na dworze lało. Wszyscy nie mogliśmy się doczekać prawdziwej wiosny, kiedy będzie można jeść na zewnątrz.

Patrzyłam na Rosta przez kosmyki swojej grzywki, zajęta szyciem. Czy powinnam mu powiedzieć o Ulsie? Niewykluczone, że już się domyślił, a może nawet wie na pewno, że to ona stała za atakiem. Przekazując te wieści, stawiałabym łapę Szczenięcia na niepewnym gruncie. Na czym polega praca dobrego Psa? Na pewno nie na pomaganiu Szczurom.

Z drugiej strony, jeśli dam mu przydatny cynk, będzie miał wobec mnie dług, pomyślałam. Jeśli instynkt mnie nie myli i Rosto osiągnie wysoką pozycję na Dworze Łotra, taki dług będzie miał swoją wartość.

Dokończyłam ścieg, zamocowałam nić i ją odcięłam.

– Co o tym myślisz, Drapku? – Zadałam to pytanie, jakbym prosiła kota o opinię na temat swojego szycia, chociaż w istocie chciałam zapytać: co powinnam mu powiedzieć?

Drapek stracił szpulkę i poturlał ją w stronę Rosta, który uśmiechnął się i lekko odrzucił ją w moim kierunku. Złapałam szpulkę i odłożyłam na bok, zanim kot mógł znowu wykazać się pomysłowością. Mimo wszystko postanowiłam kupić mu rybę na obiad w nagrodę za odpowiedź na moje pytanie.

– Tylko ty potrafisz pytać kota, co sądzi o szyciu – odezwała się Verene.

– Zdaje się, że pierwszy raz widziałem Drapka, zachowującego się jak kot – powiedział Erskan, gdy Rosto posadził sobie Drapka na przedramieniu i podrapał go pod brodą.

– O ile jest kotem – dodała Kora. – Wiecie, że magowie nazwali niektóre konstelacje „wędrownymi”, bo pojawiają się i znikają na całe dekady? Jedna z nich to Kot. Obecnie Kota brakuje na nocnym niebie.

– Gwiazdne obrazki ciągle znikają, o każdej porze roku – odezwała się Verene i parsknęła śmiechem.

– Opowiadasz bajki, Koro! – stwierdził Phelan.

Kora wzruszyła ramionami niczym dama. Nigdy się nie kłóciła. I nie powiedziała, że konstelacje, nazwane przez magów, znikają na poszczególne pory roku. Powiedziała, że znikają na całe dziesięciolecia.

Spojrzałam na swojego czworonoga. Przewrócił się na grzbiet i trzącał łapkami palce Rosta.

Niebawem goście zaczęli wychodzić. Ersken zaproponował, że pomoże Korze zanieść pranie w jej ulubione miejsce. Verene i Phelan wyszli następni, trzymając się za ręce. Aniki zabrała nاپrawione sukienki do swojego pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

– Rosto? – zawołałam, zanim doszedł do schodów.

Z pokoju Aniki dobiegł donośny łoskot. Zaczęła swoje ćwiczenia szermiercze. Rosto odwrócił się do mnie ze stężałą twarzą.

– Słuchaj, Becco, nie chcę słyszeć pouczania. Po pierwsze, jesteś o wiele za młoda, żeby mnie pouczać. Po drugie, to była czysta walka, rozumiesz? – Był zagniewany, ale nie na mnie. Domyślałam się, że na tych, którzy go zaatakowali. – Mam świadków, którzy wszystko widzieli – ciągnął. – W tym dwa Psy, które spisały raport. Powiedzą sędziemu, że ci gnoje mnie napadli i że się broniłem.

Przy hałasach, które dochodziły z kwatery Aniki, tupiącej i krzyczącej podczas ćwiczeń, wiedziałam, że nikt inny mnie nie usłyszy.

– Ulsa im za to zapłaciła – oznajmiłam, gdy przerwał dla nabrania oddechu.

Przez chwilę nic nie mówił. W końcu spytał:

– Skąd masz tę informację?

Wsunęłam ręce do kieszeni.

– Ptaszki mi powiedziały. – Moje dłonie zacisnęły się w pięści. Nie widział tego dzięki wielkiej, luźnej koszuli i spodniom. Nie chciałam, by wiedział, że się denerwuję, gdy rozmawiam z nim z taką śmiałością, patrząc w jego czarne oczy.

– Ale to pewna wiadomość?

Pomyślałam o dwóch martwych braciach, okładających się na parapecie.

– Pewniejszej nie znajdziesz.

Skrzywił się.

– Ulsa. Normalnie nie uwierzyłbym tak łatwo, sama rozumiesz, ale w połączeniu z innymi rzeczami, które dotarły do moich uszu, cóż... Jesteś taka pewna swojego źródła. Pewnie nie zdradzisz nazwiska swego ptaszka nawet za złotego nobla? – W jego palcach pojawiła się moneta. Nie była to magia, lecz sztuczka, polegająca na szybkim ruchu ręki. Widziałam, jak demonstrował ją Verene.

Chyba go zaskoczyłam, gdy się uśmiechnęłam. Zamrugnął powiekami.

– Nie pytaj o nic, to cię nie oszukam – powiedziałam i złapałam klamkę. – Przepraszam, idę odwiedzić paru przyjaciół. – Z tymi słowami zamknęłam mu drzwi przed nosem. Nie mam pewności, ale chyba się uśmiechał. A ja ruszyłam nakarmić inne swoje gołębie, na wypadek gdyby miały dla mnie nowe wiadomości.

Wychodziłam z domu na służbę, gdy usłyszałam głośny gwizd. Rosto podbiegł do mnie niczym scanrański chart.

– Pójdę z tobą – powiedział. – Ćwiczenia, tak? Pozwalacie się sponiewierać tej krępej, małej Ahudzie, a potem idziecie na patrol. Dziwię się, że ktokolwiek z was przeżywa noc.

Drapek szczebiotał do niego, gdy skręciliśmy w ulicę Jane.

– Co ty tam wiesz? – odparłam. – To dzięki Ahudzie żyjemy.

– Au. Kochanie, potrafisz ugryźć. – Za plecami trzymał złocistokremową lewkonię. Podał mi kwiat z pokłonem.

Odwróciłam się do niego.

– Nie jestem twoje „kochanie”. Nie jestem twoją dziewczką. Jesteś ode mnie o sześć lat starszy. Są baby w twoim wieku, które z wielką chęcią z tobą poflirtują! Poza tym masz Aniki i Korę. Masz siwe włosy, głupcze! – Odwróciłam się i odeszłam, patrząc w dół, by nie widział mojego uśmiechu. Wiedziałam, co powie.

– Jestem blondynem! – krzyknął. – Moje włosy nie są siwe, tylko blond! Jak zboże! Jedwa-

biste! Zabarwione słońcem! Złote! Ta Ahuda zbyt wiele razy walnęła cię w głowę!

Rosto jest próżny. Jeśli znowu zaczniesz te bzdury, wiem, jak odwrócić jego uwagę. Nie mam cierpliwości do podobnych gier i flirtów. Poza wszystkim Aniki i Kora to moje przyjaciółki.

Może one przywykły do dzielenia się mężczyzną, ale ja nie. No i jest zbir. Nigdy nie umówię się z zbir. Nawet tak przystojnym jak Rosto. I nie skończę jak mama tamtego dnia, gdy miałam osiem lat, z podbitymi oczami i krwawiącymi ustami.

– Próbowałam ci podziękować! – zawołał.

Drapek, który biegł truchtem obok mnie, przemówił:

– Ma, ma, ma.

Dla mnie brzmiało to, jakby powiedział: „zła, zła, zła” z najwyższą aprobatą.

– Dzięki – powiedziałam do niego. – Nauczmy go, żeby nie traktował mnie jak jednej ze swoich dziewczek do zabawy.

Po służbie.

Wieczorem Pod Piecem i Pulardą usłyszeliśmy coś więcej. Ulsa wyparła się wszelkich spisków wymierzonych w Rosta, którego lubiano, głównie dlatego że był nowy. Jako że wieść rozniosła się na całe miasto, wiedziała, że musi coś zrobić. Należało pogodzić się z Rostem i pozostałymi swoimi ludźmi; mogli się niepokoić, którego z nich zechce zgasić w następnej kolejności. Mianowała Rosta szefem jednej ze swoich band. W Ładnakości worki szczęścia napełniali drobni złodzieje, dziewczki i żigolacy, którzy sprzedawali się szlachcie, lecz większość wpływów pochodziła z hazardu. Rosto dostał od Ulsy dowództwo nad bandą, która kontrolowała znaczną część hazardu, bo Ulsa chciała pokazać, że nigdy nie zapłaciłaby nikomu, by go zabił.

– Czy to podziała, Cooper? – spytała mnie Otelia, jeden z Psów Verene. – Czy to go zadowolili? Verene mówi, że znasz go najlepiej. Mieszka w tym samym domu, co ty.

Pokręciłam głową. Nie podobało mi się, że patrzy na mnie tak wiele Psów. Nie podobały mi się ich podejrzenia, że być może przechodzę na przestępczą stronę.

– Ona nie może powstrzymać ludzi przed mieszkaniem tam, gdzie im się podoba. – Wołałabym też, by Ersken nie miał poczucia, że powinien się za mną wstawiać. Muszę odnaleźć w sobie odwagę, by bronić się sama. Jak mam to zrobić, gdy Ersken nawet nie czeka, aż spróbuję?

– Otelia nie miała tego na myśli, prawda Otelio? – wtrącił się Tunstall.

Dziewczyna głośno przełknęła ślinę.

– Nigdy. Ale spotyka go, prawda?

– Ja też – odezwała się Verene ze swojego miejsca obok Oteli. – I Ersken. Ale Becca najlepiej zna jego i te dwie baby.

– Rosto zrobi to, co będzie mu się podobało – powiedziałam głośno do naszego stołu.

– Jeśli ktoś jest taki ciekawy, niech sam się z nim spotka – powiedziała Goodwin. – Polegajcie na sobie. To najlepszy sposób, żeby mieć pewność. – Gdy Otelia, Verene i ich partner Rollo już wyszli, Goodwin mruknęła: – Durna. Otelia chce, żeby Szczenię wykonywało pracę Psów.

Gdy wróciłam do domu, przed moimi drzwiami stał popękany wazon z bukietem czerwonych lewkonii. Wbrew samej sobie uśmiechnęłam się. Wygląda na to, że Rosto nie chowa urazy. A kwiaty rozsiewają w moim pokoju miły, pikantny zapach.

Czwartek, 23 kwietnia 246

Ledwie zdążyliśmy dziś przekazać worek szczęścia od Łotra, a już dostaliśmy zawiadomienie o bijatyce w karczmie Pod Spódnicą Dziewki. Przymknęliśmy dziesięciu durniów, a ja złamałam nos. Wyleczono mi go w budzie. Nie mam nastroju, żeby pisać o dzisiejszym dniu. Kładę się do łóżka.

Sobota, 25 kwietnia 246

Dzień.

Od 21 kwietnia nie ma nowych wieści o Wężu Cienia. Razem z Korą rozmawialiśmy z siedmioma rodzinami. Sama rozmawiałam z trzema. Wszystkie to prawdziwe ofiary Węża.

Po służbie.

Brak nowych informacji o kopaczach. Jeśli ktokolwiek ich zatrudnia, utrzymuje ten fakt w tajemnicy. Ostatniego wieczoru Tunstall powiedział przy kolacji:

– Niestety dla nas, znaleźliśmy sobie parę mądrych Szczurów. Głupie zaczęłyby mówić. Rozpuściłyby wieść, że potrzebują kopaczy. Być może Krzywonogi zatrudnił już brygadę i trzyma ją w zamknięciu, gdzie robotnicy pod strażą poszukują ognistych opali. I może Krzywonogi wie, że prowadzimy obserwację. Jeśli sprawdził swoje biurko, zorientował się, że ktoś zabrał wiadomości od Węża Cienia. Na pewno będzie więc nad wyraz ostrożny. Ale się poślizgnie. Wtedy go dopadniemy.

Muszę wierzyć Tunstallowi. Robi to od lat. Zna się na rzeczy.

Boję się tylko, że każdego ranka, kiedy będę otwierać okiennice, na parapecie będą nowe gołębice z nowymi duchami, szepczącymi o różowej skale pod miastem.

Wtorek, 28 kwietnia 246

Nic. Nic.

NIC!!!!

Zaraza i pomór na Węża, na Krzywonogiego, na to przeklęte miasto, które tak strzeże swoich sekretów! Nie napiszę więcej ani słowa, dopóki nie będę CZEGOŚ miała!

Środa, 29 kwietnia 246

Świt.

Wczoraj wieczorem zdarzyło się coś bardzo zabawnego, choć byłam zbyt zgorzkniała, żeby od razu o tym napisać. Wróciłam od babci i zapukałam do drzwi Kory, by sprawdzić, czy jest u siebie i czy miałaby ochotę zorganizować ze mną jakąś kolację. Otworzyła w samej halce, chociaż dzień był chłodny i deszczowy. Co więcej, za nią zobaczyłam Erskena, wciągającego spodnie.

– Wróc za parę chwil – powiedziała z nieśmiałym uśmiechem. – Możemy we trójkę przygotować porządną kolację. Aniki ma jakąś robotę z Dawullem i jego ludźmi, więc nie będzie jej w domu.

Popatrzyłam na Erskena i poruszyłam brwiami. Zarumienił się! Kora, widząc, co zrobiłam, parsknęła śmiechem i mnie szturchnęła.

– Rosto? – spytałam cicho. Nie chciałam, by Erskene skończył po niewłaściwej stronie kling Rosta Muzykanta.

– Sama decyduję o sobie i o tym, kto dzieli ze mną łóżko – oznajmiła mi Kora. – Rostowie. – Uśmiechnęła się. – Nadal jesteśmy przyjaciółmi, tyle że nie w łóżku. Mam teraz kogoś miłszego.

Tak naprawdę było to więcej, niż chciałam wiedzieć. Wycofałam się i pozwoliłam jej zatrzasnąć drzwi.

Południe.

Gdy dziś rano jedliśmy śniadanie, Rosto podał Erskeniowi kiełbasę i uklonił się. Zaczęłam chichotać, podczas gdy Verene wbijała we mnie spojrzenie.

– Też chcesz? – spytał Rosto, podnosząc kiełbasę. Mogłam tylko pokręcić głową, a Erskene oblał się rumieńcem.

Miło było się z czegoś pośmiać. Zwłaszcza że ogólnie byłam wściekła, bo nie miałam żadnych wieści od babci.

Cieszę się zarówno szczęściem Erskena, jak i Kory, zwłaszcza że Rosto nie ma nic przeciwko temu. Nie wiem, czy to przetrwa, ale Kora będzie dobrze traktowała Erskena. I myślę, że jeśli zakończy sprawę, to w miły sposób.

Czuję się trochę samotna, gdy widzę ich razem, ale nie na tyle samotna, by zwrócić się do Rosta i zaproponować, że mogę być jego drugą babą. Aniki wydaje się szczęśliwa, że ma go tylko dla siebie, a ja nie jestem aż tak zdesperowana, by wdawać się w romans ze zbirem.

Czwartek, 30 kwietnia 246

Święto Beltane

Muszę napisać o dzisiejszym dniu, bo wydarzyło się bardzo wiele. Chyba najlepiej będzie opisać dzień mojej służby, tak jak go przeżyłam, nie wiedząc, czym się skończy. Inaczej nie będę umiała z sensem tego poukladać, a pewne rzeczy chciałabym zapamiętać.

Dzisiaj wyszliśmy na ulice w znacznej sile. Podczas święta Beltane, gdy o zachodzie słońca rozpała się ogniska, do Straży Wieczornej dodaje się jedną trzecią składu Straży Diennej i Nocnej. Wtedy właśnie po mieście kręci się najwięcej ludzi. Każdy, kto obchodzi ten dzień, chce mieć okazję, by przeskoczyć nad żarem w nadziei na owocne zbiory tego czy innego rodzaju. Najpierw żar, potem ogień, jak powiada przysłowie, niezależnie od tego, czy ludzie byli parą przed przyjściem do ogniska, czy też zostali nią tylko na jedną noc. Nawet ci, którzy nie chcą mieć więcej dzieci, liczą, że płodność będzie oznaczała pieniądze w ich kieszeniach, a także powodzenie w nadchodzącym roku.

Gdy tak wiele par miało zajęcie, a liczne kapłanki oraz kapłani błogosławili obrzędy, rabusi, kieszonkowcy i rzezimieszki też nie próżnowali. Beltane to złodziejskie święto.

Cieszyłam się, że pełnię służbę ze swoimi Psami. Obściskiwanie się może i jest fajne. Raz to robiłam i trochę się całowałam, ale nigdy publicznie. Przymykanie Szczurów w Beltane bardziej mi odpowiadało. Poza tym nie ma nikogo, z kim chciałabym się obściskować.

Goodwin, Tunstall, Drapek i ja byliśmy właśnie na Koskynen, kiedy usłyszeliśmy hałas w uliczce wychodzącej na Aleję Zupną. Migotliwy blask świadczył o tym, że ktokolwiek tam przebywał, miał ze sobą pochodnię. Tunstall wyciągnął rękę, byśmy poczekali. Drapek pognął do wylotu uliczki. Zawył, jakby toczył walkę z innymi kotami, po czym pędem przybiegł z powrotem.

– To tylko koty się tłuką – mruknął ktoś w alejce. – Bierz jej kolczyki! – Dzięki Drapkowi wiedzieliśmy, że przyłapaliśmy rabusiów.

Goodwin skinęła głową. Każdy z nas w jednej ręce trzymał długą pałkę, w drugiej zaś – krótką. Denerwowałam się. Nie cierpię sytuacji, w których nie widzę, w co się pakujemy. Szybko sprawdziłam obojczyk, by się upewnić, czy jest porządnie zamocowany. Przeszkadzał mi, ale teraz się cieszyłam, że go mam.

– Cooper, zostajesz z tyłu, chyba że zobaczysz, że któreś z nas może zginąć – szepnęła Goodwin. Ruszyła naprzód tak, jakby uliczka była jej własnością. – W imieniu króla! – krzyknęła.

Tunstall był przy jej boku, na wyciągnięcie broni. Przesunęłam się na prawą stronę gwardzistki, by nikt nie zdołał jej ominąć. Nie lubiłam stać z tyłu, ale rozkaz to rozkaz.

Bandziorów było czterech. Znałam ich wszystkich z Dworu Łotra. To byli ludzie Kayfera. Wbili pochodnię w grunt, by lepiej widzieć, co robią. Mężczyzna, ubrany bogato jak szlachcic, leżał na ziemi z dużym fioletowym guzem z boku głowy. Zdarli z niego broń, pas, a nawet buty. Jeden ze zbirów dłonią zatykał usta pięknie ubranej damie, drugą ręką przytrzymując ją w talii. Dwa inne Szczury zdzierały z ofiary pierścionki, bransoletki i naszyjnik. Czwarty odcinał haftowane pasy od jej sukni.

Ów czwarty Szczur pierwszy przerwał to, co robił, i wyciągnął miecz z pochwy. Był jednak zbyt powolny, by się obrócić, gdy Goodwin przemknęła obok niego i przyłożyła mu w kark krótką pałką. Padł na błotnisty grunt niczym mokra ścierka. Następny Szczur puścił lewą rękę kobiety i wyciągnął broń. Goodwin podniosła długą pałkę, by go zablokować.

Ten, który zdzierał biżuterię z drugiej ręki napadniętej, też porzucił tę czynność, więc teraz kobieta obie ręce miała wolne. Bandzior wyciągnął broń i uchylił się przed ciosem Tunstalla, który zamachnął się pałką. Gwardzista obrócił się, gdy Szczur stanął do walki, i trzymał pałkę pomiędzy sobą a mieczem.

Dama, której nikt już nie przytrzymał, wbiła paznokcie w dłoń na swoich ustach. Szczur, który ciągle był przy niej, chwycił ją za jedną rękę, ale nie mógł złapać obu i jednocześnie trzymać

jej w talii. Podniósł ją nad ziemię, co było błędem. Teraz mogła wierzgać i kopać go obiema nogami, więc korzystała z tej możliwości. Szkoda, że nie nosiła drewniaków albo koturnów zamiast ślicznych skórzanych pantofelków. Mogłaby wyrządzić mu poważną krzywdę.

Ten, którego powaliła Goodwin, spróbował wstać. Upadł w bok, prosto na gwardzistkę, odpychając ją. Zatoczyła się i osunęła na jedno kolano, podnosząc pałkę, by przygotować się na cios napastnika. Dostrzegł swoją szansę i rzucił się na nią ze wzniesioną klingą.

Wiem, że było to szaleństwo, ale znajdowałam się za daleko, by użyć swojej pałki, a widziałam, że jej pałka jest pod złym kątem. Dopadłby ją.

Cisnęłam krótką pałką w jego głowę. Był w ruchu, a ja nie jestem zbyt dobra w rzucaniu małymi przedmiotami. Oczywiście spudłowałam. Ale musiał wykonać skręt, by umknąć przed moją pałką. Rozejrzał się dookoła. Tunstall zgiął swojego przeciwnika na długiej palce i przyłożył mu w głowę krótką.

Szczur, który wciąż trzymał kobietę, nie miał zbyt lotnego umysłu. Nie zorientował się, że najwyższa pora albo ją zabić, albo porzucić i uciekać. Nadal próbował okiełznać damę. W końcu zdołała zatopić zęby w jego dłoni, zaciskając jej usta. Jęknął z bólu i usiłował wyrwać dłoń, ale ona nie puszczała.

Goodwin przytknęła do warg gwizdek, z którego dobyło się wezwanie pomocy, skierowane do innych Psów.

Mężczyzna, którego uwagę odwróciłam rzutem pałką, widocznie doszedł do wniosku, że został pokonany, bo zaklął i rzucił się do ucieczki.

– Szczenie – odezwała się Goodwin. Wstawała właśnie, by dopaść Szczura, który nadal ścisnął napadniętą damę... a może to właśnie dama trzymała jego swoimi zaciśniętymi zębami.

Goodwin nie musiała nawet mówić: „Bierz go!”. Złapałam swoją krótką pałkę i wystartowałam za uciekającym Szczurem. Wydaje mi się, że czekałam na taką szansę, odkąd złapałam Orwę Ashmiller. Mimo całej udręki, która mnie z jej strony spotkała, ściganie Szczura miało w sobie coś czystego. Nie było żadnych innych myśli, żadnych gołębi ani krętów, żadnych ludzi, którzy próbowali mnie zrozumieć, żadnych urzędników, z którymi musiałabym rozmawiać. Tylko ja, Szczur i zaufki Niższego Miasta.

Próbował mnie zgubić. Nie był w tym taki dobry jak Orwa, bo nie napędzało go wino gorącej krwi. Nie znał tak dobrze bocznych uliczek, bo życie spędzał na Dworze Łotra.

Jeden z piesków Kayfera, pomyślałam, z każdą przecznicą skracając dzielący nas dystans. Nie zaznał nigdy prawdziwej potrzeby ucieczki ani ukrywania się. Wystarczyło służyć Łotrowi, by zagwarantować sobie bezpieczeństwo. No to będziesz miał swoje bezpieczeństwo, koleżko, powiedziałam sobie, pędząc za nim prosto w Uliczkę Lelków. Teraz zapędziłam cię w kozi róg.

I wtedy do nas obojga dotarło, że on ma miecz, a ja – pałkę.

Złapałam swój gwizdek i zadęłam, wzywając pomoc. Udało mi się zagwizdać raz. Potem rzucił się na mnie, a jego miecz śmigał w dół niby kosa. Chwyciłam pałkę za oba końce i podniosłam ją, by sparować cios. Klinga wbiła się w drewno, trafiła w ołowiany rdzeń i zaklinowała się. Bandzior zaklął i zaczął mnie kopać. Odwróciłam się, przyjmując kopniaka na biodro, i obróciłam pałkę. Liczyłam, że wyrwę mu miecz z ręki, ale zdołał go uwolnić.

Wyprowadził cięcie z boku. Wciąż trzymając pałkę za oba końce, zablokowałam go ponownie. Znowu wyszarpnął ostrze, wrywając kawałek drewna. Zadałam kopnięcie w przód i do góry, między jego nogi, i stopą przyłożyłam w metalowy miszerek. Gdyby to był solidny metal, a nie mniejsze kawałki, mogłabym zrobić sobie krzywdę. A tak to on ugiął się po moim kopniaku. Jęknął, a oczy uciekły mu w tył głowy.

Nie dostrzegłam, kiedy wolną ręką wyciągnął sztylet. Prześlizgnął się po moim prawym boku, rozcinając luźną tunikę i koszulę.

Odskoczyłam. Oboje popełniliśmy błędy. Nie zwróciłam uwagi, co robi jego lewa dłoń. On nie uważał na moje stopy, mając mnie za zielone Szczenie. Teraz czegoś się nauczyliśmy. Wepchnął sztylet z powrotem do pochwy i czujnie trzymał przed sobą miecz, dzierżąc go oburącz. Krążyłam wokół, szukając jakiejś wyrwy.

– Nie bądź głupi – powiedziałam, ciężko dysząc. – Poddaj się, zanim zjawią się inne Psy.

Jesteś w pułapce.

Naprawdę jesteś w pułapce, dobiegły mnie słowa Drapka.

– Odłóż miecz, w imieniu króla – polecił Tunstall. Podeszedł z tyłu bardzo blisko mnie. – Jesteś aresztowany.

Zbir splunął na ziemię. Potem delikatnie położył broń na suchym fragmencie kamienistego gruntu.

– Nie zamierzałem się poddawać jakiejś pryszczatej zdzirze – powiedział. Znowu splunął, celując w moje buty.

– Sztylet też – powiedziałam. Nie chciałam podnosić miecza, dopóki nie zyskam pewności, że tamten nie ma już broni.

– Słyszałeś ją. – Goodwin przysłała razem z Tunstallem. – Przestań marnować czas, bo twoi koledzy pójdą do klatek bez ciebie. Chyba nie chcesz, żeby cię to ominęło.

– Wyjdziemy przed świtem – parsknął hardo. – Łotr o to zadba.

Ścisnęły mi się wnętrzności. Wiedziałam, że mówi prawdę.

– Sztylet – powtórzyłam z ręką śliską od ściskania pałki. – Nie zmuszaj mnie, żebym kopnęła cię po raz drugi.

Tunstall i Goodwin stanęli przy moich bokach z pałkami w dłoniach. Za naszymi plecami usłyszałam inne Psy. Przybyły na mój gwizdek.

– Gdzie cię kopnęła? – spytał go Tunstall, jakby dla zabicia czasu.

Zbir mnie zbluzgał. Potem wyszperał swój sztylet i ruszył do przodu, by położyć go obok miecza.

– Założę się, że wiem – stwierdziła Goodwin. Blask pochodni zalśnił na jej zębach, gdy się uśmiechnęła. – Myślałeś, że naszego małego teriera wyczerpał pościg, prawda? Pewnie dała ci nauczkę. Cooper, weź jego broń.

Podniosłam miecz i sztylet, po czym podałam broń gwardzistce rękojeściami naprzód. Tunstall złapał zbira i pchnął go na pobliski dom, wyciągając sznur do skrępowania mu rąk. Podeszłam, by przeszukać mężczyznę. Znalazłam noże w butach i na karku. Odsunęłam się i skinęłam głową na znak, że mam już całe jego uzbrojenie.

– Nie tak prędko. – Goodwin zbliżyła się do nas. Mówiła cicho, by dwa obserwujące nas Psy nie słyszały. – Trzos tego kłamcy służy nie tylko ochronie męskich klejnotów podczas walki. – Sięgnęła wokół drania i złapała jego metalowy mieszek.

– O, słodziutka – powiedział do niej z jękiem – moja kochana, moja...

– Zamknij się. – Mocno szarpnęła mieszek. Trzasnęły oderwane guziki. Zbir zdusił w sobie krzyk, oczy mu uciekły. – Co za dureń drażni Psa, który trzyma go za klejnoty? Widzisz, Cooper? – Podniosła mieszek do góry i z jego wewnętrznej kieszeni wyciągnęła drut, do którego końców przy-mocowane były rzemienne pętle.

Cała zwiotczałam. Wiem, że zwiotczałam. Do tej chwili myślałam o sobie tak dobrze.

– Jedna rzecz ci umknęła, Cooper – stwierdził Tunstall cichym głosem. – Ale, na szczęście, nie dałaś się tym zabić. – Pchnął zbira ku Psom stojącym za nami. – Odprowadzicie go do eskorty? Nie musicie być wobec niego szczególnie delikatni.

– Skąpy dureń, że nie ma łychy z solidnego metalu, jak rycerze – zauważyła Goodwin, patrząc za zbirem, oddalającym się chwiejnym krokiem w towarzystwie Psów. – Skąpy i bardzo głupi, chociaż nie tak często spotyka się numer ze sznurem do duszenia w mieszk. Może matka go tego nauczyła. Cooper, każdy popełnia błędy. Pokaż swoją pałkę.

Oddałam broń, czując się nieco lepiej. Zapamiętałam, by powiedzieć Verene i Erskenowi o sznurze do duszenia. Nasi nauczyciele o tym nie wspominali. Może ten sposób nie był zbyt rozpowszechniony. Mówili nam przecież o zbirach, trzymających druty i sznury w różnych dziwnych miejscach.

Drapek ocierał się o moje łydki.

Sprowadziłem Goodwin i Tunstalla, powiedział. *Wiedziałem, że złapiesz tego idiotę.*

Goodwin oddała mi pałkę.

– Nieźle, jak na fechtunek. Przed jutrzejszymi ćwiczeniami załatw naprawę tej odłupanej

części. Chodź, Cooper. Noc jeszcze się nie skończyła. – Wyprowadziła mnie z uliczki. Tunstall do-
trzymał nam kroku.

– To podłe – powiedział, gdy znowu ruszyliśmy w stronę przydzielonej nam części miasta. –
Napadać na parę podczas Beltane. – Musiał wiedzieć, o co chcę spytać, bo dodał: – Ten młody pan
miał dziurę w głowie. Akurat przechodził uzdrowiciel, kiedy wyszliśmy, żeby cię dogonić. Może
zostanie idiotą, a może nie, to już zależy od uzdrowicieli, na jakich stać jego tatusia. Dama jest roz-
trzęsiona, ale nic jej się nie stało. A twój mądry kot przyprowadził nas prosto do ciebie. – Nachylił
się i podniósł Drapka. – Inaczej to jakieś inne Psy mogłyby cię uczyć o sznurze do duszenia.

– To paniątko już jest idiotą – stwierdziła Goodwin. Ciągle trzymała pałkę. Teraz zaczęła
nią niedbale kręcić. – Przychodzić do Niższego Miasta z tymi wszystkimi błyskotkami. Ona też.
Myślicie, że są prawdziwe?

Tunstall poskrobał mojego kota za uszami.

– Najprawdziwsze. Wiesz, jak to jest z tymi nadzianymi typami, Clary. Uważają, że Błonia
zamiast Wzgórza Pałacowego to coś ekscytującego. A nawet grzesznego.

– A nawet niebezpiecznego – dodała Goodwin, przedrzeźniając go. Dalej rozmawiali w ten
sposób, delikatnie sobie dogryzając. Trwało to do chwili, gdy natknęliśmy się na bijatykę przed
karczmą Pod Wesołym Miodem.

Dalsza część wieczoru była równie pracowita bez choćby chwili na kolację. Wyznaczoną
trasą patrolu dotarliśmy na Błonia. Dla wygłodniałych Psów było to szczęśliwe zrządzenie losu.
W każde święto Beltane pani Noll rozstawiała tam mały namiot, w którym sprzedawała wcześniej
upieczone przysmaki. Goodwin posłała mnie do niej z pieniędzmi.

Łyżką dziegciu w beczce miodu okazał się Yates. Czekał na klientów obok swojej matki.
Gdy podeszłam do lady, posłał mi nieprzyjemne spojrzenie, ale nie odważył się napomknąć ani sło-
wem o naszym ostatnim spotkaniu na Targu Dziennym. Napełniłam swoją chusteczkę i podzięko-
wałam pani Noll, podając jej monety. Gdy wróciłam z pasztecikami do swoich Psów, zobaczyłam,
że znaleźli dwóch kolegów Yatesa, tych, których widziałam tamtego popołudnia na targu. Tunstall
przycisnął jednego z nich do drzewa. Drugiego Goodwin utrzymywała za pomocą pałki na pełen
szacunku dystans. Najwyraźniej zbiry pracowały także przy dostawach do namiotu pani Noll.

– Po prostu nie wierzę, głąby, że pomagacie starszej pani z dobroci serca – przemawiał Tun-
stall do swojego Szczura. Koniec pałki gwardzisty wciskał się pod brodę Gunnara, robiąc tam głą-
boki dołek. – Niezły z ciebie gagatek. Zawsze taki byłeś. Ale jak usłyszę, że przez was choćby włos
spadł z głowy Deirdry Noll, rozwalę ci własnoręcznie ten zakuty łeb, zrozumiano?

– Nic nie rozumiesz, Psie. – Gunnar był blondynem, którego widziałam z Yatesem na Targu
Dziennym. – Przecież Yates by nas za to zabił, nie? – Popatrzył na kumpla, który tamtego dnia no-
sił mąkę.

– Pociąłby nas na strzępy – potaknął drugi Szczur. – Nigdy nie chcielibyśmy go rozzłościć.
Przenigdy.

– To dobrze – powiedział Tunstall i opuścił pałkę. Po chwili Goodwin poszła w jego ślady.
Tamci nie tracili czasu i szybko się oddalili.

Podaliśmy swoim Psom paszteciki.

– Zabawne – rzucił Tunstall – Yates Noll nigdy nie wydawał mi się taki straszny.

– Ani mnie – odrzekła Goodwin. – Być może, gdybyśmy mieli czas pogrzebać głębiej,
zmienilibyśmy zdanie, ale musimy iść na Targ Nocny. Tutaj sytuacja się uspokaja.

Była to prawda. Kapłani pozwalali ogniskom dogasać. Coraz więcej osób wstawało z trawy.
Ruszą teraz do karczm i na targ po błyskotki – pamiątki tego wieczoru.

Zanim nasza służba dobiegła końca, kolana miałam jak z waty, tak byłam wyczerpana. Moja
pałka zdawała się ważyć trzy razy więcej niż normalnie. Ręka mi pulsowała. Drapek, który zostawił
nas po knajpianej bijatyce, pojawił się teraz jakby znikąd. Omal się o niego nie potknęłam, gdy we-
szliśmy na dziedziniec budy. Czulałam się zbyt zmęczona, by go choćby zbesztać.

– Gdzie się podziewałeś? – spytała Drapka Goodwin. Mimo wyczerpania wciąż zauważała
czarnego kota wśród mroku. – Zalecałeś się do kolejnej kocicy na Beltane, żeby obdarzyć świat ko-
ciętami?

Weszliśmy do budy i okazało się, że coś jest nie tak. Ahuda siedziała przy swoim wysokim biurku z twarzą ukrytą w dłoniach. Większość naszej zmiany już wróciła. Niektóre baby szlochały. Mężczyźni wbijali wzrok w podłogę albo opierali czoła o ściany, więc nie było widać ich twarzy. Inni siedzieli w małych grupkach na ławkach i toczyli ciche rozmowy. Phelan wstał od jednej z takich grup i ku mojemu zaskoczeniu wszedł do kaplicy. Czyżby zapomniał, że jeszcze się nie odmeldowaliśmy?

W zasięgu wzroku nie miałam nikogo, kto nie byłby Psem. Żadnych Szczurów, żadnych osób odwiedzających Szczury. Żadnych gapiów ani żebraków. Poszukałam wzrokiem pozostałych Szczeniąt. Hilyard opierał się twarzą o ścianę. Inne Szczenię siedziało na podłodze z głową na kolanach. Reszta kuliła się pod gabinetem uzdrowicieli na dwóch ławkach. Ersken obejmował rękami dwie dziewczyny. Podniósł na mnie zaczerwienione, opuchnięte oczy.

Jedna z Psów Verene, Otelia, stała przy drzwiach uzdrowicieli. Na jej policzku widniały krople krwi. Rękaw tuniki miała rozerwany. Ręce zwiesiła bezwładnie przed sobą. Nie miała pałki i pamiętam, że byłam tak zdumiona, jakbym zobaczyła ją nago.

Za otwartymi drzwiami uzdrowicieli dwie osoby leżały na łóżkach. Ich twarze – całe ciała – nakryto prześcieradłami. Na nich także zobaczyłam plamy krwi.

Otelia podniosła wzrok i nas zobaczyła.

– Zaskoczyli nas, Clary – powiedziała. – Verene stanęła na drodze największemu. Rollo myślał... Mattes, sam wiesz, on zawsze myślał, że jest szybszy, niż był w rzeczywistości. Biedna Verene nie miała żadnych szans. Rollo umarł w drodze tutaj. – Otelia osunęła się na podłogę, a po twarzy popłynęły jej łzy.

Zdrętwiały mi dłonie, potem przedramiona, brzuch i cała reszta ciała. Myślałam, że się przesłyszałam. Potem popatrzyłam na Erskena. I już wiedziałam, że nie ma mowy o pomyłce. Otelia powiedziała, że Verene nie żyje. Że Verene i jej Pies Rollo nie żyją. W dniu święta Beltane.

Podniosłam wzrok na Tunstalla.

– Dziś rano jedliśmy razem śniadanie. – Odwróciłam się do Goodwin. – Dziś rano.

Drapkę stanął na tylnych łapach i oparł przednie o moje udo. Posłusznie go podniosłam. Wyprostował się w kołysce z moich rąk i zamruczał mi do ucha, jakby chciał mi ulżyć, tak jak wtedy, gdy umarła mama. Moja przyjaciółka Verene leżała w tym gabinecie, przykryta jakąś starą płachtą. Jeszcze dzisiaj dzieliłam się z nią ostatnim kawałkiem sera.

No i Rollo. Był weteranem. Od sześciu lat na ulicach. Też nie żył.

Zaniosłam Drapka w stronę ławek i usiadłam z pozostałymi Szczeniętami. Dziewczyna, siedząca pomiędzy Erskenem a mną, wysunęła się z jego ochronnego objęcia, żeby móc się do niego przysunąć. Jedną ręką przytrzymywała swojego kota, drugą zaś otoczyłam swojego przyjaciela.

Mam nadzieję, że zapisałam już wszystko, co najgorsze. Dziwnie to przyznać, ale przelewanie tych przeżyć na papier działa na mnie kojąco. Przyprawia mnie też o płacz, ale dzięki temu nie będę w swojej głowie umniejszać znaczenia tej nocy. Jeśli wspomnienia zbledną w moim umyśle, zobaczę je na nowo na papierze. Będę szanować śmierć przyjaciółki i nie pozwolę, by umknęła z mojej pamięci.

Piątek, 1 maja 246

Po pogrzebach.

Ersken nie chciał wczoraj stawiać czoła swojej rodzinie, więc mu powiedziałam, że może zostać u mnie. Kory nie było, poszła do Ładnakości zabawić się, jak powiedziała nam wczoraj przy śniadaniu. Wszyscy wiedzieliśmy, że ma osłaniać Rosta. Gdy przyszliśmy, jeszcze nie wróciła. W swoim pokoju posłałam siennik dla Erskena. Zaśniecie zajęło mi masę czasu, nawet po pisaniu w dzienniku. Nie wiem, jak on, ale ja ciągle myślałam, że to mogłam być ja. Tej nocy to mnie mogli przynieść z Dna Beczki i położyć w gabinecie uzdrowicieli pod zakrwawioną płachtą. To mogłam być ja, gdybym nie przytrzymała pałki pomiędzy mieczem tego zbira a swoją skórą. Każdego dnia tygodnia to mogłam być ja.

Nie pamiętam, kiedy zasnęłam. Pamiętam swoje sny. We wszystkich pojawiały się gołębie i duchy.

Ersken i ja zbudziliśmy się z pustymi oczami. Umyliśmy się w ciszy. Co mieliśmy ze sobą zrobić w taki dzień? Potem do drzwi zastukała Kora. Trzeba więc było jej powiedzieć, a potem powiadomić Aniki i Rosta.

Cała nasza piątka karmiła chlebem gołębia, gdy do środka wszedł Phelan. Wyglądał tak, jakby w ogóle nie spał. Nie ogolił się. Sprawiał też wrażenie, że nie wie, gdzie się znajduje.

My, baby, zaczęłyśmy się nad nim rozczulać. Pomagało nam to w nie mniejszym stopniu niż jemu. Dałam mu do wypicia trochę malinowej kwasinki, by oczyścił sobie umysł. Aniki kazała mu zjeść dwa paszteciki z kurczakiem i rodzynkami, gdy powiedział, że nie pamięta swojego ostatniego posiłku. Kora otworzyła mu pod nosem małą fiolkę. Pociągnął nosem, zadrżał i trochę doszedł do siebie. Ersken obejrzał sztylet Phelana i naostrzył go, po czym delikatnie wsunął go z powrotem do pochwy. Drapek wypłoszył gołębie z pokoju, po czym oparł się o Phelana, gdy ten jadł.

Rosto nic nie powiedział, tylko popatrzył. W końcu Phelan wstał.

– Przepraszam, nie mogę zostać. Nie wiem, co teraz robić, ale nie jestem w stanie usiedzieć w jednym miejscu.

Rosto poruszył się.

– Chodź, stary – powiedział do Phelana. – Przejdziemy się.

– Nie sądzisz, że już dosyć się nachodził? – zapytał Ersken. – Aż się trzęsie.

Sądziłam, że Rosto się zniecierpliwi, ale on zachował całkowity spokój.

– Siedzenie nie wyleczy jego roztrzęsienia. Chodź, Phelan. Pójdziemy popatrzeć na drzewa czy coś.

Posprzątałyśmy resztki po śniadaniu, a potem poszliśmy do łaźni przy ulicy Jane. Musieliśmy doprowadzić się do ładu, żeby wyglądać porządnie na popołudniowych ceremoniach.

Rollo został pochowany w południe. Jaśnie Pan przyszedł wygłosić mowę. Robił to na każdym pogrzebie Psa. Inne Psy też wygłosiły kilka słów na temat Rolla. Jaśnie Pan powiedział mi raz, że ludzie odnoszą się do gwardzisty przyjaźniej z każdym rokiem, który ten spędza w służbie króla. Było oczywiste, że w wypadku sześciorocznego Psa wiele osób zechce opowiedzieć o swoich wspomnieniach i o tym, jak będą za nim tęsknić.

Po pochówku Rolla nadszedł czas na Verene. Po uzgodnieniach ostatniej nocy, my, Szczenięta ze Straży Wieczornej, drogą głosowania wybraliśmy Erskena, by przemówił w naszym imieniu na pogrzebie po mowach Jaśnie Pana i rodziny. Tamci się oddalili, zostawiając nas samych z jej prostą trumną.

– Będzie nam ciebie brakować na śniadaniach u Becki – powiedział Ersken. – No, nie tylko ciebie. Twoich pieniędzy też. Chyba będziemy teraz mieć mniej kiełbasek czy jajek. – Aniki, Kora i ja zachichotałyśmy. Nie mogłyśmy się powstrzymać. Nawet niektórzy spośród pozostałych, wiedzący o naszych porankach, nie skrywali uśmiechów. – Ale nie chodzi tylko o pieniądze, naprawdę, Verene – ciągnął Ersken. – Jeszcze o twoje kiepskie dowcipy i opowieści o nocnych patrolach.

O ćwiczenia z tobą. O sytuacje, w których pomagałaś nam uczyć się zapamiętywania. Zawsze dobrze sobie radziłaś z tymi, którzy potrzebowali takiej pomocy. Pamiętamy też twój śpiew. Uważamy, że powinnaś zaśpiewać dla Czarnego Boga, który nam wszystkim szykuje ciche miejsce. W Spokojnych Krainach nikomu nie zagrażają Szczury. Wiem, że dobry Bóg Śmierci musi cenić takich ludzi jak ty, Verene. Takich, którzy polegli, by padół śmiertelnych stał się bezpieczniejszy.

Pochylił głowę. Łza popłynęła mu po policzku i spadła na ziemię.

Podeszłam, by zarzucić mu ręce na ramiona. Przycisnęłam policzek do jego twarzy.

– Dobry Pies – powiedziałam cicho.

– Nie mów tak! – szepnął ktoś.

– „Dobry Pies”? Ugryź się w język! Verene zginęła właśnie dlatego, że była dobrym Psem!

– Te brednie wygłosił Hilyard. Niemal nie mogłam na niego patrzeć. Przeszedł na nasz cmentarz w mieszczącej tunicy i spodniach. Drżącą dłonią wskazał Erskena. – Dobry Pies, tak, bo mówi miłe słowa o śmierci w tej głupiej pracy! Dobry kundel! Dobry...

Nie mogłam tego znieść. Złapałam Hilyarda za uszy i zmusiłam go, by popatrzył mi w oczy. Zaczął drapać moje nadgarstki. Nie puszczałam. Nie pozwalałam mu się odwrócić. Utrzymywałam jego spojrzenie.

– Dostyc tego, gnojowy łbie – powiedziałam cicho. Aniki mówiła mi później, że moje oczy i mój głos były zimne jak suchy lód. Wiem, że czułam odrętwienie. – Wstydz się, że okazujesz Verene taki brak szacunku. Przychodzisz tu po cywilnemu, a ona umarła w mundurze. Wstydz się, że lekceważysz słowa, płynące z serca Erskena, a także obecność Jaśnie Pana Starosty. A teraz zamknij tę przeklętą jadaczkę albo się stąd wynoś. – Odepchnęłam go. Oddalił się chwiejnym krokiem.

Wróciłam do przyjaciół, zanim mój gniew mógłby znaleźć ujście w wykopaniu jego tyłka za bramę. Niech Matka ma nade mną litość, przez chwilę chciałam go zabić.

– Wynoszę się! – krzyknął z większej odległości. Jakiegokolwiek szaleństwo go opętało, zapomniał, że stoi tam Jaśnie Pan Gershom. – Też powinniście się wynosić, wszyscy, o ile nie jesteście tak stuknięci jak ona. Rozejrzyjcie się... Te groby to Szczenięta. Zobaczcie, kto stoi obok was. Nie zwykli ludzie, a Szczury. – Rosto, Aniki i Kora popatrzyli na nas i wzruszyli ramionami. Hilyard nie przestawał krzyżeć: – Przyjaciele Psów to nie mieszczanie, tylko Szczury. Jedynie Szczury rozumieją mowę Psów! Uch!

Jaśnie Pan złapał go z tyłu.

– Cieszę się, że odchodzisz – powiedział swoim powolnym tonem. – Jeśli jest coś, co każdy Pies powinien umieć, to właśnie zachować się po stracie jednego ze swoich. Niech ci bogowie wybaczą takie słowa w obecności rodziny Verene. Nie mam wątpliwości, że nigdy nie zostałbyś jednym z nas. – Odwrócił się. Grupa Psów, w tym moja dwójka i Ahuda, rozstała się. Jaśnie Pan odepchnął Hilyarda mocno i daleko, poza cmentarz.

Otrzeputując ręce, Jaśnie Pan skinął głową Psom szkolącym, naszym byłym nauczycielom. Opiekuńcze Psy zawsze śpiewają, by pokazać Psią drogę do Spokojnych Krain Szczenięciu, które nie przeżyło.

Jako Psia Matka, Ahuda zaśpiewała pierwszy wers pieśni. Miała ciepły, słodki głos. Nigdy nie przypuszczałam, że surowa, mała Ahuda może kryć w sobie tyle piękna. Gdy rozległ się jej wznoszący głos, śpiewający pierwsze słowa „Kołysanki Szczenięcia”, kolana się podę mną ugięły. Pozostałe gwardzistki dołączyły w drugim wersie, w trzecim zaś zaczęli śpiewać także mężczyźni. Uświadomiłam sobie, że nauczyciele musieli śpiewać tę pieśń wiele razy. Dwoje Szczeniąt na dzieścioro ginie. Ta praca jest aż tak bezwzględna. Jak oni to znoszą? Sama ledwie wytrzymuję, chociaż to był mój pierwszy pogrzeb Szczenięcia. Nauczyciele szkolą nas przez rok i robią wszystko, by Szczenięta utrzymały się przy życiu. Jak radzą sobie z tym, że śpiewem powierzają je opiece Czarnego Boga?

Gdy zaczął się drugi wers, gołębnie sfrunęły do światła na grobach. Tylko dwa przysiadły na mogile Verene. Jeden miał ciemnoróżowy kołnierz, taki, który błyszczy w słońcu, ciemnoróżowe pasma na skrzydłach i jasnoróżowe ciało. Jego łebek miał różowawy odcień szarości. Drugi gołąb był w większej części błękitny, nakrapiany bielą na skrzydłach, na karku zaś miał połyskujące fiole-

towe pióra. Znałam oba te ptaki albo też ich bliźniacze osobniki. Należały do gołębi, które noszą duchy jedynie przez krótki czas.

– Żegnajcie – dobiegł mnie szept Verene. – Do czasu, gdy spotkamy się w Spokojnych Krajinach, żegnajcie.

– Niech bogowie błogosławią was wszystkich – powiedział duch Rolla.

Drapek podszedł do tych dwóch gołębi. Nauczyciele śpiewali dalej, ale wszystkie oczy skierowane były na mojego kota. Usiadł przed ptakami niczym król, z łapkami zgrabnie złożonymi przed sobą.

Ukłoniły się. Później ludzie mówili, że gołębie kłaniają się cały czas. Chwilę po tym, jak uczyniły to te dwa osobniki, pozostałe ptaki także się ukłoniły, niemal dotykając dziobami ziemi. Potem całe stado odfrunęło, prosto w stronę słońca. Patrzyliśmy za nimi, aż przestaliśmy je widzieć. Do tego czasu pieśń dobiegła końca.

Gwardziści wyszli z cmentarza. My, Szczenięta, pożegnaliśmy się, po czym ruszyliśmy za swoimi Psami. Nadeszła pora na Straż Wieczorną.

Ersken objął mnie za szyję i pocałował w policzek.

– Lubię, kiedy ktoś nazywa mnie „dobrym Psem” – szepnął.

Po zakończeniu służby.

Na odprawie Straży Wieczornej Ahuda opowiedziała mi resztę. Szczury, które zabiła Rolla i Verene oraz poturbowały Otelię, to dwóch barzuńskich żeglarzy i trzech zbirów z dzielnicy Migot.

– Przywódca Migotu nie wyrzekł się ich dostatecznie szybko – powiedziała Ahuda. Twarz miała niczym kamień. – Mówi, że coś kombinowali bez jego rozkazów. Straż Nocna złapała ich w Dzielnicy Jednorożca, jak próbowali się przekraść na Wzgórze Pałacowe. Ciągłe byli pełni wina gorącej krwi aż po gałki oczne. Przekazano ich Gwardii Pałacowej do czasu procesu. Nie będzie żadnych... wypadków. – Część Psów zaczęła warczeć. – Mówię poważnie. Zapłacą za to, co zrobili, zgodnie z prawem.

Tunstall powstrzymał Ahudę, zanim zdążyła wysłać nas na ulice. Po tym, jak coś jej szepnął, wezwała do siebie kolejną parę Psów i obwieściła zmianę patroli. Goodwin, Tunstall i ja mieliśmy dziś pełnić służbę na Targu Nocnym. Zamiast tego Tunstall załatwił nam zamianę z parą z Szamba, która nie miała Szczenięcia. Oboje wiedzieli, że nie mogłabym znieść zgiełku na targowisku ani nawet hałasu w okolicach ulicy Włóczęgów. Szambo było lepsze. Paskudniejsze. Więcej zdarzeń mogło odwrócić moją uwagę. Nie pozwolić się poddać tępym, mrocznym uczuciom, które zadomowiły się w moim sercu.

Najpierw poszliśmy odebrać od Łotra worek szczęścia za ten tydzień, bo poprzedniej nocy zajmowaliśmy się świętem Beltane. Dziwnie się czułam, gdy wszystkie te podejrzane typy z Dworu mówiły nam, jak im przykro z powodu Verene i Rolla. Przyszedł nawet przywódca Migotu, by wyrazić żal, że trzech jego ludzi zabiło Psy.

Jaśnie Pan Gershom i pani Sabine zastali nas przy posiłku Pod Piecem i Pulardą.

– Jedliśmy kolację w Delicjach Naxena, kiedy goniec sądowy to przyniósł – oznajmił Jaśnie Pan, kładąc przed Goodwin jakiś papier. Skinął na Nylera Jewela i Yoav, którzy siedzieli przy sąsiednim stoliku. Wszyscy zaczęliśmy się przyglądać.

Było to oficjalne ogłoszenie o sprzedaży niewolników przy Skocznej, wraz z pieczęciami. Jaśnie Pan na nie wskazał.

– Rok sto czterdziesty szósty, a nie dwieście czterdziesty szósty – zauważył. – Lak jest czysto czerwony. Ministerstwo Sprzedaży Niewolników dodaje do swojego laku hebanowych wiórów, żeby oznakować prawdziwe pieczęcie. Wstążka to bawełna, a nie jedwab, a król na pieczęci to Roger Trzeci.

Goodwin westchnęła.

– A skrybowie z ministerstwa stosują dodatkowy zawijas przy wielkiej literze S, żeby łatwiej było wychwycić fałszywki.

Przyjrzałam się. Litery S w dokumencie wyglądały zwyczajnie.

Bez dalszych słów wstaliśmy od stołu. Razem z osobistymi ochroniarzami Jaśnie Pana ruszyliśmy w stronę Skocznej. „Dom aukcyjny” mieścił się w opuszczonej stajni, urządzonej tak, by

wyglądała jak prawdziwy targ niewolników. Obserwowałam z zewnątrz otwarte drzwi frontowe, podczas gdy pozostali weszli do środka. Pani Sabine błagała Jaśnie Pana niczym dziecko, prosząc o słodycze, by pozwolił jej dopaść organizatorów aukcji. Patrzyłam, jak podchodzi do stołu handlarzy i kładzie przed nimi ogłoszenie. Wskazała pieczęć. Potem wyciągnęła miecz.

Handlarze okazali się głupcami. Ci, którzy stali za stołem, próbowali wypchnąć niewolnice, same dziewczęta, przez tylne wyjście. Z kolei ci, którzy byli przy stole, złapali swoje monety.

Pani Sabine rzuciła się do tylnych drzwi. Tłum kupujących zatarasował boczne wyjście. Jaśnie Pan, jego ochroniarze, Jewel i Yoav zablokowali te drzwi, a także dwoje innych. Goodwin i Tunstall zajęli się handlarzami z pieniędzmi.

Pobiełam dookoła na tyły, na swoje zwykłe stanowisko. Wcześniej dostrzegłam tam starego chłopca, który zgarnął swoje księgi i skrzynkę w chwili, gdy zobaczył panią Sabine. Wybiegł przez drzwi, jeszcze zanim pozostali pomyśleli o ucieczce, nie był jednak zbyt szybki. Gdy go schwytałam, zaproponował mi dziesięć złotych nobli, jeśli go wypuszczę.

Było to więcej, niż zarobię przez rok jako Szczenię, i więcej niż za pierwszy rok w roli Psa. Wzięłam. Potem odłożyłam na bok jego skrzynkę z pieniędzmi oraz rejestry, by go przymknąć, zawiązując rzemienie z dbałością o jego stare kończyny. Żadne prawo nie kazało mu zrobić tego, za co mi zapłacił. Nie przypadł mi do gustu szereg przerażonych dziewcząt, czekających przed salą pełną klientów o chciwych oczach, aż zostaną sprzedane. Pomyślałam jednak, że nie mogę zbyt często brać łapówek, nie dając nic w zamian.

– Życzę więcej szczęścia przy następnej okazji – oznajmiłam. – O ile będziesz ją miał.

Czekaliśmy tam, żeby sprawdzić, czy ktoś do nas dołączy, a on cały czas szpetnie mnie przeklinał.

Na tej aukcji złapaliśmy pięć Szczurów. Gdy były już w drodze do klatek, a ja wpisałam księgę i skrzynkę do listy dowodów i do worka szczęścia, ruszyliśmy na dalsze patrole. Pani Sabine oddaliła się. Jaśnie Pan poszedł z nami, rozmawiając z Goodwin i Tunstalliem. Pamiętam, że próbowałam odgadnąć, ile tygodni spędzi poza sypialnią Jaśnie Pani. Gdy Pies tracił życie, zawsze chodził przez jakiś czas z każdym zespołem ze zmiany zabitego. Każdy dzień, który spędził z Psami, oznaczał kolejny tydzień, przez który sypialnia Jaśnie Pani będzie przed nim zamknięta. Jaśnie Pani bała się, że pewnego dnia mąż nie wróci z takiego spaceru.

Nie odezwałam się do niego, on do mnie też nie. Gdy odchodził, zatrzymał się na chwilę i złapał mnie za ramię. Na chwilę ciepło jego wielkiej dłoni przedarło się przez moje odrętwienie. Potem ruszył dalej, by pokazać kolejnemu zespołowi Psów, że nie są dla niego jedynie służącymi.

– Dzięki niemu odczuwam dumę, że jestem Psem – stwierdziła Goodwin. Potem odwróciła się do mnie. – Czy księgowy próbował cię przekupić? Gadaj.

Zapłaciłam jej i Tunstallowi połowę swojej łapówki. Wtedy powiedzieli mi o podatku worka szczęścia, wynoszącym jedną trzecią moich łapówek, gdy te są wyższe niż srebrny nobel. Nie narzekałam, ponieważ te pieniądze szły na lekarstwa dla Psów, uzdrowicieli i pogrzeby. Tunstall wydał mi resztę. Goodwin kazała mi sprawić sobie pas z wewnętrznymi przegródkami na duże monety i sztuki złota.

– Nie, żebyś oglądała takie kwoty częściej niż raz do roku – powiedział Tunstall. – Ale lepiej być przygotowanym.

Sobota, 2 maja 246

Po służbie.

Dziś rano karmiłam gołębie, nasłuchując, co mówią ich duchy, gdy ktoś zastukał do drzwi. Wpuściłam Aniki, Korę i Erskena. Nasza grupka nie była tak szczęśliwa jak zwykle, oględnie mówiąc.

Drapek powitał ich, gdy rozkładali obrus do posiłku. Ja dalej karmiłam ptaki. Przyleciały tylko te, które nosiły duchy kopaczy, zupełnie jakbym potrzebowała czegoś, co załame mnie jeszcze bardziej. Kopacze powtórzyli swoje skargi. Choć wiele razy przypominam im, że ciągle szukam ich grobów, a nawet nazwisk, zdają się tego nie słyszeć. Chcą, by znaleźć ich natychmiast, jakbym była boginią, która potrafi zobaczyć, kim są oni i ich rodziny, a także gdzie ukryto ich nieszczęsne ciała.

Żałuję, że zmarli nie mają więcej cierpliwości, ale tym, którzy czekają na sprawiedliwość, zawsze jej brakuje. Morderców Verene zamknięto od razu. Przypuszczam, że właśnie dlatego ona i Rollo zostali po pochówku tylko tyle, by się pożegnać. Wielki dług, który mieli wobec nich żywi, został spłacony. Kopacze zaś ciągle czekają, tak jak ofiary Węża Cienia. Może nie czułabym takiej bezradności wobec ich narzekań, gdybym wiedziała, że dochodzimy do jakiegoś rozwiązania.

Kruszyłam ostatnie kawałki chleba, gdy zagadnęła mnie Kora:

– Mogę pomóc?

– Zwykle nie karmię ich z ręki – powiedziałam. Wyciągała palce do ptaków. Nieśmiało, jak Żebrak i Atrament, odskoczyły. Biały Pieprz i Popielaty próbowały dziobać jej opuszki, sądząc, że podsuwa im coś do jedzenia. – Masz. – Sypnęłam okruchy na jej dłoń. – Ale pamiętaj, że szybko się uczą. Jak raz i drugi nakarmisz je z ręki, przyjdą potem prosto do ciebie. Rób to często, a wejdą ci na głowę. – Rózia próbowała wylądować mi na klatce piersiowej, pacnęła mnie w twarz skrzydłami, po czym odfrunęła. Westchnęłam. – Zostawię na tobie swoje odchody, a w twoim pokoju pióra. – Klaps wylądował na moim ramieniu. Wcisnął szpotawą nóżkę w przerwę między moim kołnierzykiem a szyją, złapał mnie dziobem za ucho i pociągnął. – Przeklęte ptaszyska myślą, że jesteś ich własnością! – Odciągnęłam dziób Klapsa od swojego ucha.

– Ale są takie piękne – powiedziała Kora. Biały Pieprz i Popielaty dziobały okruchy z jej dłoni. – Przynajmniej niektóre.

Położyłam drobinki chleba przed Żebrakiem i Atramentem.

– Część pochodzi z Niższego Miasta. Inne... ludzie hodują różnobarwne gołębie do wyścigów i przenoszenia listów. Niektóre uciekają. Przynoszą ze sobą róż, kolor miedzi i biel. – Sklęłam Klapsa, który znowu skubnął mnie w ucho.

– Jesteś taka niewdzięczna – odezwał się Rosto za moimi plecami. Odciągnął Klapsa od mojego ramienia i ucha. Klaps wydał z siebie gołębi okrzyk wojenny, wściekle „kruuu!”. Odwróciłam się. Rosto trzymał ptaka jak należy, przyciskając skrzydła płasko do boków. – Wojownik z ciebie, chociaż jesteś taki pokrzywiony – mówił do mojego stukniętego gołębia. – Przestań atakować jedyną osobę, która dobrze cię traktuje.

Spojrzałam za niego. Przyszedł Phelan. On i Erskena siedzieli ze skrzyżowanymi nogami na obrusie i razem z Aniki jedli śniadanie. Wyglądali na równie wyczerpanych i sponiewieranych jak ja. Drapek opierał się o bok Phelana.

Phelan popatrzył na Korę, Rosta i na mnie, gdy w końcu usiedliśmy i też sięgnęliśmy po jedzenie.

– Musisz odpocząć – zwróciła się do niego Kora. – Przyjdź po śniadaniu do mojej kwatery, a dam ci napar, który pomaga zasnąć.

Pokiwał głową. Chyba z rozsądku.

Reszta posiłku upłynęła w milczeniu. Zamykaliśmy słoiki i pakowaliśmy resztki, gdy Phelan odchrząknął.

– Erskenie, Becco, wczoraj w nocy wystąpiłem z gwardii.

Oboje wbiliśmy w niego spojrzenia. Nie mogę powiedzieć, że mnie to zaskoczyło. A jeśli właściwie odczytałam wyraz twarzy Erskena, wcale nie był bardziej zdziwiony ode mnie.

– Nie miejcie do mnie żalu – poprosił Phelan. – Jeśli nie będziecie chcieli, żebym tu rano przychodził, zrozumieć. – Do oczu napłynęły mu łzy, ale się nie rozplakał. – Nie chodzi tylko o śmierć. Chodzi o to, że Rollo był głupi, a Otelia pijana.

– Pijana? – powtórzył szeptem Ersken. – Na służbie?

Miałam wrażenie, że w moim brzuchu otworzyła się ogromna dziura.

– Myślicie, że to się nie zdarza? – spytał Phelan. – Na ogół nie przydzielają pijaków do Straży Diennej lub Nocnej, ale Otelia nie upija się regularnie. Ale czemu dali Szczenię tej dwójce? – Zwiesił głowę.

– Przenieś się do innej dzielnicy – zaproponował Ersken.

Phelan pokręcił głową.

– Mam dosyć. To wszystko. Ahuda nigdy nie robiła nic poza swoją pracą. Zdjęli ją z patrolu i przydzielili do odpraw i szkolenia Szczeniąt. I wysyłają Szczenięta na śmierć do Niższego Miasta. Gwardia Starościńska to szaleństwo. Nie mów mi, że jest inaczej, Becco. Chcę robić w życiu coś normalnego.

Phelan wstał i wyszedł z mojego pokoju, zanim zdołałam powiedzieć choćby słowo czy coś wymyślić. Prawdę mówiąc, nie mogłam. Czułam, że powinnam się spierać. Ale wiadomość, że Verene została przydzielona głupcowi i pijaczce, wywołała we mnie pustkę. Byłam gotowa zginąć w walce, ale wiem, że Goodwin i Tunstall nigdy nie wykorzystaliby mnie tak idiotycznie, jak Rollo i Otelia wykorzystali Verene. Myśl, że mogłabym zginąć z jakiegoś głupiego powodu, że Verene zginęła z głupiego powodu, nie dawała mi spokoju.

Nie tylko Phelan odszedł. Na ćwiczeniach brakowało Hilyarda, ma się rozumieć. I dobrze. Ale spośród Szczeniąt zrezygnował jeszcze jeden chłopak i dwie dziewczyny. Z powodu jednej złej nocy straciliśmy niemal połowę stażystów z Niższego Miasta. Choć tylko jedna z tych osób, pochwalona niech będzie Starucha, trafiła do Czarnego Boga. Był to ciężki cios dla tych z nas, którzy zostali.

Wtorek, 5 maja 246

Okolo czwartej po południu.

W tym tygodniu nie mam chęci pisać w dzienniku. Pogoda była równie zimna i ponura, jak mój nastrój. Dzisiaj piszę tylko dlatego, że muszę poprawić mapy i listy Tunstalla i Goodwin. W sumie sprawdziliśmy już dwadzieścia trzy sprawy, w których podejrzewano porwanie przez Węża Cienia. W towarzystwie Kory, Aniki, Matki Cantwell i Erskena rozmawiałam z dziewiętnastoma osobami, które straciły dzieci albo były bliskimi ludźmi, którym zabrał je Wąż. Zostało mi jeszcze piętnaście spraw do skontrolowania.

Babcia miała dzisiaj dla mnie tylko jedno nowe nazwisko. Matka Cantwell – dwa. Robi się ich coraz mniej, nazwiska się wyczerpują. Powinnam się w sumie cieszyć, ale obawiam się, że Wąż się nam wymknie. Patrzę na mapę, gdy w nocy wracam do domu, i myślę: ujdzie mu to na sucho. To wszystko ujdzie mu na sucho.

Ohydna pogoda nie sprzyja nikomu z nas. Z powodu sztormów floty handlowe ciągle nie przyplłynęły. Żadne ładunki nie przybywają z portu Caynn, co oznacza, że nikogo nie zatrudnia się nad brzegiem rzeki ani na targach. Ci, którzy mają pracę, starają się ją utrzymać z obawy, że innej nie dostaną, nieważne, jak niezdolnych mają przełożonych.

Jeśli ktoś najmuje kopaczy i każe im trzymać gęby na kłódkę, ci spełniają polecenie. Nie narażają się na utratę pracy, gdy wielu nie może jej znaleźć.

Wiem, że ludzie Krzywonogiego szukają pracowników albo już ich znaleźli. Krzywonogi jest pazerny. Pragnie ognistych opali. Jego zdaniem tylko Wąż Cienia wie o tych klejnotach, a nikt nie wierzy w Węża Cienia. Krzywonogi nie zrezygnuje z wydobycia z ziemi kolejnych kamieni.

Muszę uaktualnić mapy i uzupełnić listy.

Czwartek, 7 maja 246

Południe.

Dzisiaj po przebudzeniu zobaczyłam gołębie w całym swoim pokoju.

Krzyknęłam, gdy Klaps wskoczył mi na głowę, żeby mnie dziobnąć, jak przystało na tego głupka.

– Drapku, mówiłam ci, nigdy nie otwieraj okiennic!

– Chciałam tylko mieć pracę – przemówił duch jakiejś baby.

– To było dziwne, nie chcieli, żebym powiedział choćby słowo. Ale to oni mieli płacić. – Tym razem odezwał się chłop, niewiele starszy ode mnie, sądząc po głosie.

– Zrobiłem wszystko, co kazali. A i tak otruli mnie we śnie – poskarżył się inny.

– Kopaliśmy kilofami, aż poleciała nam krew – powiedział jakiś duch obok mojej głowy. – Napelnialiśmy wiadra kamieniami z kawałkami szkła...

– Mówiłem ci, że to nie szkło – przerwał inny duch. Jego akcent zdradzał carthakańskie naleciałości. – To opale ogniste. Warte mnóstwo pieniędzy. Wydobywałem je w kopalniach w Carthaku. Nazywają je ogniem bogów.

– Skoro jesteś taki mądry, głąbie, czemu cię zabili? – spytała baba o surowym głosie. – Pogrzebali cię równie głęboko, jak nas, bo już nie mogliśmy wydobywać dalej kamieni. Zawaliby się dom, pod którym kopaliśmy.

Usiadłam, bardzo ostrożnie. Do mojego pokoju wdarło się siedemnaście gołębi. Dziewięć duchów pochodziło z pierwszej grupy zamordowanych robotników. Osiem było nowych.

– Zawszone, żebrackie zgniłki – szepnęłam, gdy wstałam z łóżka. Ludzie Krzywonogiego zrobili to. Zatrudnili nowych kopaczy pod naszymi nosami. I pod naszymi nosami ich zabili.

Ubrałam się i wzięłam swoje rzeczy. Potem wyszłam. Zostawiłam swoją część śniadania dla wszystkich pod drzwiami Aniki. Musiałam dostać się do pyłowych krętów z Szamba, dopóki ich zbiory z poprzedniego dnia są świeże.

Drapek i ja truchtem ruszyliśmy do Hasfusha. Pierwszy raz od zabójstwa mój żal po śmierci Verene ustąpił miejsca złości.

Jak Krzywonogi to zrobił? Zastanawiałam się, czy Tansy wie o sprawie. Niemożliwe. Nigdy by nie zasnęła, wiedząc, że dziewięć osób zginęło za jej piękne stroje, a co dopiero siedemnaście. Wiedzieć, że twój teść wzbogacił się na oszukiwaniu złodziei, to jedno, a uświadomienie sobie, że zarabia na zabijaniu, to drugie.

Hasfusha na ogół ciężko zobaczyć w pierwszym świetle poranka. Dzisiaj jego stopa była cichym szepczeniem w ulicznym żwirze. Wystarczyło, że na niego spojrzałam, i już wiedziałam, że nie słyszał żadnego krzyku. Mimo wszystko weszłam w jego wietrzne wnętrze, by posłuchać. Z wysiłkiem nasłuchiwałam jakichkolwiek głosów, które mógłby wychwycić, ale docierały do mnie jedynie szepcy.

Czego się spodziewałaś? – zadawałam sobie pytanie. Czekałam dłużej, zaciskając zęby. Ale nie usłyszałam nic, co brzmiałoby jak głosy robotników zatrudnionych do kopania pod domem.

W końcu odeszłam. Zdążyłam minąć jedną przecnicę, gdy dobiegło mnie głośnie miauczenie Drapka. Obejrzałam się. Stał obok Hasfusha ze wściekłością w fioletowych oczach i gniewnie rozkołysanym ogonem. Był na mnie zły.

I wiedziałam, dlaczego. Pomyślałam: wstydz się, Rebecca Cooper. Może Hasfush nie ma tego, czego byś chciała, ale to jeszcze nie powód, by źle traktować starego przyjaciela.

Nic mu nie dałam. I nic nie wyniosłam z gwaru głosów, które pochwylił od czasu mojej ostatniej wizyty.

Obróciłam się na pięcie i znowu podeszłam do kręta. Drapek podniósł na mnie wzrok. No nareszcie, powiedział.

– Nie dręcz mnie – poprosiłam.

Ze swojej torby wyciągnęłam woreczek pyłu, który zebrałam na Drodze Pałacowej. Na powrót weszłam do Hasfusha. Najpierw przeprosiłam, że go tak zostawiłam. Potem wysypałam pył.

Jego boki ścisnęły mnie z taką siłą, z jaką moje płuca naciskają na żebra, gdy biorę głęboki wdech. Był zadowolony. Gdy osiadł niżej, bliżej gruntu, otworzyłam się na głosy, które pochwycił w swoje powiewy. Plotki, kłótnie, flirty, wszystko to wlało się do mojego umysłu.

Moją uwagę zwrócił ciąg szeptów.

– To druga brygada. Jak myślisz, jak długo utrzymają nas, strażników, przy życiu?

– Tak długo, jak będziemy mieli robotę i trzymali język za zębami. Nie bądź głupi, Jens. Jesteśmy magicznie naznaczeni. Pij. Po winie gorącej krwi łatwiej znieść to, co robimy. Zresztą wystarczyło dobrze nam płacą.

Nie ruszałam się, aż z Hasfusha przestały się dobywać dźwięki inne niż poszum wiatru i szurgot żwiru o kamienie. Gdy spłaciłam dług, jak należy, wystąpiłam z jego kręgu. W zamyśleniu zaczęłam się otrząpywać z kurzu i śmieci.

– Jens. Mamy imię, Drapku – powiedziałam. Ręce mi się trzęsły. – Nareszcie. I nie uzyskalam go, gdybyś nie wezwał mnie z powrotem, żebym była uprzejma.

Wskoczył mi na ramię i zamruczał mi do ucha. *Uczysz się powoli, ale się uczysz.*

Musiałam walczyć ze sobą, by nie pobiec z nowinami do domu Tunstalla albo Goodwin. Zamiast tego odwiedziłam wszystkie swoje kręty w Niższym Mieście w nadziei, że może dowiem się czegoś więcej. I rzeczywiście, uzyskałam informacje o nielegalnej sprzedaży niewolników i planie porwania. Mogłam je przekazać Ahudzie.

Później zajęłam się gołębiami. Kupiłam chleb i karmiłam je na placach przy fontannach, licząc na jakieś nowe informacje. Przy Placu Szklarzy podszedł do mnie, zataczając się, kompletnie pijany żebrak. Poprosił o pieniądze, ale pokręciłam głową. Byłam zajęta. Żeńska dusza, noszona przez jednego z ptaków, opowiadała mi o synu. Pewnego dnia powiedział, że nie stać go na mamę, która nie może pracować, i utopił ją w balii.

Żebrak wszedł w moje stado akurat w chwili, gdy dusza miała mi podać nazwisko zabójcy.

– Te, zdzira! – krzyknął. – Co jest? Kochasz te zawszone ptaki bardziej niż ludzi?

Tego było już za wiele. Wcześniej wytrącił mnie z równowagi fakt, że pojawiło się siedem nowych duchów kopaczy. Teraz ten kretyn spłoszył gołębie i nie usłyszałam nazwiska jeszcze jednego mordercy. Więc chociaż mi wstyd, gdy to piszę, niczego nie ukryję. Straciłam panowanie nad sobą. Złapałam go za uszy i popatrzyłam mu prosto w oczy.

– Wynoś się, zanim tak cię zdzieję, że długo się nie obudzisz. – Ledwie poznawałam własny głos. – Przynosisz wstyd kobiecie, która cię urodziła. Cały jej ból, cała krew. I po co? – Puściłam go. – Znajdź sobie w życiu coś do roboty.

Cofnął się o dwa kroki i wykonał gest przeciwko złu.

– Masz oczy ducha!

– Jesteś pijany przed południem! – krzyknęła jakaś kobieta. – Zjeżdżaj, zanim cię ukamienujemy. Zasłużyłeś na to, sikając gdzie popadnie, chociaż nikt nie zrobił ci nic złego.

Do jej krzyków dołączyły inne, z różnych stron placu. W żebraka poleciało nawet kilka kamieni, podniesionych z ulicy. Najwyraźniej nie tylko mnie obraził. Oddalił się chwiejnym krokiem, ścigany drwinami.

Zmusiłam się, by podnieść wzrok.

– Dzięki – powiedziałam.

– Ten chłop to zad muła – stwierdziła kobieta, która zaczęła wołać jako pierwsza. – Przecież tylko karmiłaś ptaki. Miło popatrzeć, jak się pochylasz, jakbyś słuchała, co mówią. Ten kot też wygląda, jakby słuchał.

– Gadałaś do tego pijusa, jakbyś była Psem – odezwała się jakaś dziewczyna, wyzymając coś szarego.

– Nie widziałaś jej z Tunstalem i Goodwin? Należy do Straży Wieczornej. Cooper, prawda? – spytała pierwsza kobieta. – Wykonuje dobrą robotę, jak na Szczenię.

Tyle uwagi w zupełności mi wystarczyło. Podziękowałam im jeszcze raz i sobie poszłam. Miałam jeszcze dość czasu, by powiedzieć o Jensie Matce Cantwell i innym moim Ptaszkom.

W mieście mogły być setki chłopów o tym imieniu, ale jak wielu bierze pieniądze od Krzywonego?

Po końcu służby.

Jak tylko zakończyliśmy dziś odprawę, powiedziałam swoim Psom, czego się dowiedziałam o Jensie.

– Ciężka sprawa – powiedział Tunstall, gdy szliśmy do Dworu Łotra. – Ma piętno maga. Jak znajdziemy tego Jensa, nie wiem, czy Fulk zdoła unieszkodliwić zakłęcie śmierci.

– Które może zacząć działać, kiedy go przymkniemy, jeszcze zanim zaczniesz mówić – dodała Goodwin. – Musimy najpierw wiedzieć, gdzie ten cały Jens może wpaść nam w ręce. Wtedy zabierzemy Berrymana na obiecaną przechadzkę i miejmy nadzieję, że uda mu się zablokować te piętna.

– Powinien dać radę – stwierdził Tunstall. – Zajmuje się klejnotami, prawda? Ilu przemytników, złodziei i fałszerzy nosi piętno, by umrzeć, zanim wyśpiewają nazwiska mocodawców? Berryman da radę. – Popatrzył na mnie. – Wiesz co,

Cooper, te twoje kręty i gołębie okazały się bardzo przydatne. Masz dzisiaj od nich coś nowego?

Przekazałam im pozostałe informacje, które podałam już Ahudzie, wciąż mając baczenie na ulice i budynki, na wypadek gdyby ktoś poczuł się odważny i postanowił rzucić czymś w przechodzące Psy. Drapek dreptał przodem i wypatrywał myszy. Był to w miarę zwyczajny wieczór. Trochę dziwnie zrobiło się tylko wtedy, gdy Goodwin zauważyła Yatesa Nolla i jego dwóch kolegów na krętej ulicy Skrzydłosztorma. Zatrzymaliśmy się, by poobserwować całą trójkę. Gdy dostrzegli patrol, umknęli nam z pola widzenia.

– Czegoś nie rozumiem – stwierdziłam. – Co ten durny łeb Yates ma w sobie, że tych dwóch twardych chłopów mówi o nim z takim lękiem? W końcu to nie jakiś wyjątkowy byk.

– Dobre pytanie, Cooper – powiedziała Goodwin, nie odwracając się. – Sama się nad tym zastanawiałam.

– Coś ukrywają – odezwał się Tunstall. – Rzucę trochę ziarna swoim Ptaszkom. Może zaśpiewają mu coś o Yatesie.

Brama Dworu Łotra stała otwarta na oścież. Strażnicy byli nowi, wymieniono ich tamtego wieczoru, gdy Krzywonogi zdołał ukryć broń przed poprzednimi. Coś tam mruczeć, ale przepuścili nas, gdy Goodwin od niechcenia podciągnęła za sznurek swoją pałkę, złapała ją w dłoń, po czym opuściła z powrotem. Ruszyliśmy przez korytarze. Pokonywałam tę drogę już piąty raz.

Kayfer zasiadał na tronie. Towarzyszyli mu cudzoziemcy, dwaj Yamańczycy z włosami upiętymi w koki. Obok stał Carthakanin, który rozmawiał z Łotrem podczas mojego pierwszego wieczoru na Dworze. Wszyscy wyglądali dość groźnie. Pod Piecem i Pulardą mówiono, że ów Carthakanin handluje klejnotami. Czy podobnie rzecz się miała z Yamańczykami? Czy przybyli poczekać na aukcję, którą Krzywonogi miał jakoby urządzić w sierpniu? Czułam na udzie nacisk swojego szorstkiego opalu ognistego.

Gdy odwróciłam wzrok od Kayfera, od razu zobaczyłam Ulsę, siedzącą przy stole. Jak zwykle była fantastycznie ubrana. Dzisiaj miała na sobie jedwabną koszulę, ściśle przylegającą do ciała, oraz jedwabne spodnie. Jej osobista straż siedziała z nią przy stole i składała się zarówno z bab, jak i chłopów. Rosto pilnował tyłów.

Podobnie jak Phelan. Stał obok Rosta, nosił tunikę i spodnie, a także miecz. Poszedł na służbę do wroga. Dlatego Rosto z nim rozmawiał.

Gdy Phelan zauważył, że na niego patrzę, odwrócił wzrok. I bardzo dobrze.

Kora pochwyliła moje spojrzenie i wzruszyła ramionami. Siedziała na podłodze w miejscu, gdzie gadałyśmy pierwszej nocy, i rozkładała karty z wróżbami. Trzech chłopów czekało, aż przepowie im przyszłość. Czwarty siedział ze skrzyżowanymi nogami obok niej, patrząc, jak rozkłada karty. Puściła do mnie oko i mruknęła coś do swoich słuchaczy.

Dalej omiatałam pomieszczenie wzrokiem. Mówiłam sobie, że życie Phelana to jego sprawa. Czy gdyby mój ukochany stracił życie z powodu głupoty swoich Psów szkolących, postąpiłabym tak samo jak on?

Nie. Nigdy bym tego nie zrobiła. Ale on jest wściekły na Psy. Rosto chce mieć kogoś zaufanego ze sobą w bandzie Ulsy. Teraz ma Phelana. Mówią, że granica między zbirami a Psami jest cienka. Dla Phelana okazała się wystarczająco cienka, by ją przekroczyć.

Poszukałam wzrokiem Aniki. Stała za plecami Dawulla, z dłonią na rękojeści miecza. Obok niej był typek, który wyciągnął na nas broń, gdy odwiedziliśmy dwór Dawulla. Najwyraźniej zyskali w oczach swojego przywódcy i awansowali do osobistej straży. Zastanawiałam się, jak tego dokonali, ale nie zamierzałam pytać Aniki. Miałam poczucie, że szczerą odpowiedź by mi się nie spodobała. Nie przejęłabym się też, gdyby mnie okłamała. Takie awanse wiązały się zwykle z rozlewem krwi.

Kayfer jak zwykle kazał nam czekać. Może nie przeszkadzałoby mi takie zachowanie, gdyby chodziło o Łotra, budzącego szacunek. Ale ciężko było znieść fochy w przypadku takiego młodzaka i nędznego żigolaka jak on. Podczas gdy moje Psy toczyły rozmowy z przywódcami Łotra, przykucnęłam i popatrzyłam na karty Kory, próbując się zorientować, na czym polega przepowiadanie przyszłości. Drapek pacnął łapką kartę z obrazkiem przedstawiającym kowadło.

– Nie patrz na nie, Cooper – zaprotestował chłop, któremu wróżyła. – Zepsujesz mi przyszłość. Kot z fioletowymi oczami jest już wystarczająco pechowy.

– Becca nic nie zepsuje – powiedziała mu Kora surowym głosem. – Takie oczy, jak jej, widzą najwyraźniej.

– Nie chcę tego – odparł. – Żaden rozsądny chłop by nie chciał. My... na wszystkich Oszustów, coś ty narobiła?

Zastanawiałam się, co za dureń wzywałby bogów oszustwa podczas przepowiadania przyszłości, aż zrozumiałam, że odnosi się do wydarzeń przy drzwiach. Goodwin i Tunstall zbliżali się bardzo szybko, jakby nie dzieliło nas pół sali. Gdy do mnie dotarli, stałam już w gotowości, z wyciągniętą pałką.

Krzywonogi maszerował w stronę tronu Kayfera Deerborna, a oczy aż wylaziły mu z orbit. Jego włosy wyglądały, jakby szarpał je obiema rękami. Aksamitny płaszcz, obszyty gronostajem, zsuwał mu się z ramion.

Obok niego kroczył Fulk, którego z całą pewnością nie powinno tu być. Mag Straży Wieczornej miał na sobie łańcuch z klejnotem, który skrzył się w blasku pochodni. Niebieskie i pomarańczowe rozbłyski rywalizowały z ogniem w jego oczach. Oślizgły łobuz wszedł w jakiś sposób w posiadanie opalu ognistego.

Za Krzywogim i Fulkiem podążała grupa bab i chłopów, uzbrojonych w kusze, pręty i miecze. To byli twardzi goście. Niektórych widziałam Pod Piecem i Pulardą oraz na ulicach, sami żołnierze i członkowie Gwardii Pałacowej. Pozostali w grupie wyglądali podobnie, więc domyślałam się, że także oni byli wojownikami po służbie, których najął Krzywonogi. Dokonałam szybkich rachunków. Przyprowadził niemal czterdziestu ludzi. Co oni tu wszyscy robili? Nie mieli żadnych spraw do załatwienia na Dworze Łotra!

– Wszystko wychodzi na jaw! – krzyknął Krzywonogi, podchodząc do Kayfera. – Teraz całe królestwo pozna cię jako Węża Cienia! Gdzie mój wnuk? Gdzie Herun?

Zaparło mi dech. Herun? Wąż zabrał teraz męża Tansy? Bałam się o nią, może też o jej dziecko, gdy już przyjdzie na świat... ale nie o jej męża!

Kayfer wstał.

– Ty stuknięty stary sknero, co tu robisz z tą całą armią?

Kusznicy rozstawili się wzdłuż ścian i drzwi z bronią w pogotowiu. Domyślałam się, że przy bramie jest ich więcej. Byli potrzebni do zatrzymania wartowników.

Teraz salę przemierzyli napastnicy uzbrojeni w miecze i pręty. Odepchnęli baby i chłopów z Dworu pod ściany. Kolejni rozbrajali zbirów.

– Nie kłam, Kayfer! – wydarł się Krzywonogi. – Jesteś Wężem Cienia! Porwałś Heruna, żeby dostać mój skarb! Nie dostaniesz go, ty gnojożerna larwo! Trafisz do klatki! Zginiesz na Wzgórzu Straceń, jeśli nie oddasz chłopaka!

Kora ze spokojem i wprawą pozbierała swoje karty.

– Innym razem, kolego – powiedziała klientowi.

– I tak wiedziałem, że nie jest najlepiej. – Podniósł się i podał Korze rękę, by jej pomóc. Przyjęła ją i wstała. Oboje podeszli do ściany, gdy żołnierz, którego wszyscy znaleźliśmy, zbliżył się, by rozbroić ludzi Łotra.

Gdy nas mijął, Tunstall mruknął do niego pod nosem:

– Co robicie?

– Bardzo dobrze zarabiamy – odparł żołnierz. Jego wargi niemal się nie poruszały. – Krzywonogi powiedział, że każdemu da po dwie sztuki złota za utarcie nosa Łotrowi.

Goodwin gwizdnęła. Mnie zrobiło się niedobrze. Płacił osiemdziesiąt sztuk złota tylko za to, że byli w tej sali. Rachuba nie uwzględniała wojowników na zewnątrz. I mogłabym się założyć, że Fulk dostał równowartość półrocznych zarobków w ognistych opalach.

Popatrzyłam na Kayfera. Krzywonogi był przy nim i wymieniali gorączkowe szepty. Przytrzymał Łotra dłonią.

Kayfer odepchnął go.

– Bredzisz! – krzyknął. – Nie jestem postacią z bajek dla dzieci. Nie ma żadnego Węża Cienia! A ty zupełnie zwariowałaś, skoro przyprowadzasz tu obcych!

– Porwałś młodego mężczyznę o wysokiej pozycji – zwrócił się do Kayfera Fulk. – W imieniu pana Ammona Loftsa my, zatroskani mieszkańcy miasta, czyli ci mężczyźni i kobiety oraz ja, chcemy go poszukać. – Uśmiechnął się drwiąco. – Na pewno znajdziemy coś, co wynagrodzi nam trud.

Żołnierz odwrócił Korę i złodzieja przodem do ściany. Gdy ich przeszukiwał, odezwał się do Tunstalla:

– Wyjdźcie.

Goodwin i Tunstall pokiwali głowami. Ruszyliśmy do drzwi. Napastnicy pozwolili nam wyjść.

– Będzie więcej dla nas – powiedział jeden, gdy ich mijaliśmy.

Gdy znaleźliśmy się w korytarzu za drzwiami, Goodwin zwróciła się do Tunstalla:

– Co teraz?

– Znajdziemy pracę jako kuglarze? – odpowiedział pytaniem Tunstall. Umknął przed kopniakiem partnerki. – Co możemy zrobić? Krzywonogi postawił Dwór Łotra na głowie. Ostrzeżemy innych, worek szczęścia zabierzemy innego dnia i zyskamy więcej czasu na znalezienie miejsca, gdzie Krzywonogi każe ludziom kopać.

Goodwin pokręciła głową.

– Zakładamy się, ile Fulk pożyje po tej nocy?

– Żadnych zakładów – odparł Tunstall. – Jest magiem. Użyje opalu od Krzywonogiego, żeby wyciągnąć następny statek z portu Caynn. Kayfer nie ma jako Łotr nawet tyle mocy, żeby zgaśnić Fulka, chociaż zapłaciłbym, by na to popatrzeć.

Goodwin spojrzała na mnie. Wzruszyłam ramionami.

– Nienawidzę Fulka. Mam nadzieję, że zginie. Ale nie będę się zakładać o maga – powiedziałam.

– W takim razie dokończmy patrol – zaproponowała Goodwin. – Mam nadzieję, że niedługo weźmiemy ten worek szczęścia, bo inaczej chudy tydzień przed Psami, które mają rodziny.

Skierowaliśmy się w umówione miejsce, by oddać worki szczęścia Psom, które zabierają je do budy. Widać było, że jeszcze nie dostali cynku o napadzie Krzywonogiego. Siedzieli wokół ogniska, nie spodziewając się nas o tej porze.

– Pobudka – powiedział Tunstall. – Nie uwierzycie, co się stało.

Słuchali go z szeroko otwartymi ustami. Nie dziwiłam im się. Nigdy nie słyszałam, by na Dworze wydarzyło się coś podobnego. Zastanawiałam się, ilu spośród napastników przeżyje i wyda zarobione złoto, a ilu będziemy wygrzebywać z rynsztoków.

– Czyli dzisiaj nie ma worka, są za to wieści do przekazania – stwierdziła Goodwin, gdy Tunstall skończył. – Jeszcze dwie sprawy. Wiemy, że Wąż Cienia istnieje. To nie Kayfer. A jeśli Krzywonogi nie śni na jawie, Wąż ma Heruna. To miły chłopak i nie zasługuje na śmierć. No i szukamy Jensa. To zbir, którego najął Krzywonogi albo jeden z jego ludzi. Jeśli znajdziecie Jensa, nie

mówcie mu, że go szukacie. Nie aresztujcie go. Nosi magiczne piętno, które zabije go w chwili pojmania. Po prostu powiedzcie nam, jak wygląda i gdzie go szukać.

– Ostrzeżcie wszystkie nasze Psy – polecił Tunstall. – To będzie dziwna noc.

– Ci żołnierze powinni wziąć chorobowe, jak tylko się dowiedzieli, dokąd idą – mruknął jeden z gwardzistów. – Ja bym tak zrobił.

– Ruszcie się – powiedziała Goodwin. – Przekażcie wieści.

– Wiecie, jak to jest w takie dziwne noce... Świat albo szaleje, albo się uspokaja – dodał Tunstall. – Nasi chłopcy i dziewczęta muszą być gotowi na obie sytuacje.

Tamci dosiedli koni. Zgasiliśmy ognisko. A później ruszyliśmy dalej trasą swojego patrolu. Podczas marszu stwierdziłam, że w moim umyśle wrze. Wąż zabrał Heruna Loftsa.

– Tak się zastanawiałam... – mruknęłam, patrząc w ziemię.

– Mów głośniej, Cooper – poleciła Goodwin.

– Zbiry Krzywonogiego przyszły razem z jego opłaconą ekipą poszukiwawczą – zauważyłam. – W takim razie kto jest u Krzywonogiego? Jeśli Wąż porwał Heruna, to może zostawił jakieś ślady, wchodząc i wychodząc z domu.

Przez chwilę milczeli. Potem Goodwin zwróciła się do Tunstalla:

– W porządku. Byłam przeciwna braniu Szczenięcia. Myślałam, że będzie z nią mnóstwo pracy i mnóstwo kłopotów. Ale muszę przyznać, że miałeś rację. – Obejrzała się na mnie.

– Przejdźmy się do domu Krzywonogiego, zgodnie z radą najbystrzejszego Szczenięcia z całego miotu.

Miło się poczułam, słysząc od niej te słowa.

Dom Krzywonogiego wyglądał na opustoszały. Pochodnie przed drzwiami wejściowymi były zgaszone. Żałobny wieniec dla Rolonda wisiał na jednym gwoździu, a część wstążek była zerwana z haczyków. Drapek podreptał na tyły budynku. Obraliśmy tę samą drogę, kierując się do wejścia kuchennego. Boczna furtka okazała się otwarta, co nie było normalne. Każdy mógł sobie wejść, tak jak my.

Drzwi kuchenne także były otwarte. Cała nasza trójka wyjęła pałki. W środku pomieszczenie pogrążone było w ciemnościach, a wewnętrzne drzwi – zamknięte. Tunstall poszedł pierwszy, bezgłośnie, pomimo swoich okazałych rozmiarów. Przytrzymał drzwi i zachęcił nas gestem, byśmy przez nie przeszły.

Dwie pokojówki, kucharka i służący leżeli związani na podłodze w kuchni. Goodwin dała mi znak, bym przecięła knebel kucharce.

– Cicho – szepnęłam jej do ucha.

– Ma panią Annis i panią Tansy w pokoju państwa – zakomunikowała mi kucharka. – Wszedł tu z nożem przytkniętym do gardła pani Tansy i kazał mi związać pozostałych, a potem jej kazał związać mnie. Później musiała zawołać panią Annis. Mówił o jakimś skarbie.

Goodwin uklękła przy nas.

– Tylko jeden?

– Ano – przytaknęła kucharka.

Zostawiliśmy służbę i zaczęliśmy się wspinać po schodach z tyłu, starając się, by nasze kroki były jak najcichsze. W domu wciąż pachniało dymem po pożarze, który wybuchł w noc naszej ostatniej wizyty. Gdy dotarliśmy na półpiętro, Goodwin szepnęła mi do ucha:

– Drzwi dla służby.

Pamiętałam to. Do komnat Krzywonogiego prowadziło drugie wejście. Widzieliśmy je poprzednio. Patrzyłam, jak ona i Tunstall wbiegają za Drapekiem przez główne drzwi do komnaty. Mój kot wyprzedził ich i pierwszy wpadł do środka. Pobiegłam przez korytarz do drugiego wejścia i już złapałam klamkę, gdy rozległ się ryk Drapka.

Przynajmniej wydaje mi się, że to był Drapek. Był to najstraszniejszy dźwięk, jaki w życiu słyszałam, ryk, który poniósł się echem po całym domu. Taki odgłos mogłoby wydać znacznie większe zwierzę, być może spokrewnione z kotem. Włosy zjeżyły mi się na karku.

Jakiś mężczyzna krzyknął, zaskoczony.

Chwilę później szarpnięciem otworzył drzwi dla służby. Przyłożyłam mu pałką w brzuch.

Zatoczył się w tył, prosto w objęcia Tunstalla.

Tunstall zahaczył jedną ręką o szyję Szczura, a drugą dłonią wykręcił mu przedramię za plecy. Obróciwszy mężczyznę, walnął jego głową o słupek, podtrzymujący baldachim nad łóżkiem, a potem opuścił go na podłogę. To wszystko wydarzyło się błyskawicznie i gwardzista klęczał już przy Szczurze, zanim zamknęłam drzwi dla służby.

– Dobra robota, Cooper – pochwaliła mnie Goodwin z drugiej strony pomieszczenia.

Tunstall obrócił Szczura na bok, by zabrać mu sztylet i na niego popatrzeć. Uśmiechnął się.

– Clary, mówiliśmy sobie, że zaczynamy już tęsknić za znajomymi twarzami, i bogowie się nad nami zlitowali.

Goodwin zauważyła skępowane więzami Tansy i Annis, leżące przy kominku. Machnęła głową w ich stronę, wydając mi nieme polecenie, bym je uwolniła, po czym uklękła obok Tunstalla i Szczura.

– Gunnar Espeksra. Ty odrażający robaczy gnoju. Myślałam, że ty i Yates Noll jesteście zrośnięci biodrami.

Popatrzyłam na naszą zdobycz.

– Twoim przyjaciółkom nie zrobi się lepiej, jak będziesz się gapić, Cooper – powiedział Tunstall. – Czy jest przystojniejszy od Erskena Westovera albo Rosta Muzykanta?

– Niektóre świnię na rzeźnickich hakach są przystojniejsze – odparłam. – Zdaje się, że był z Yatesem, kiedy widzieliśmy go ostatnio.

– Jakiego skarbu szukałeś? – chciał wiedzieć Tunstall. – Tylko dureń mógł myśleć, że Krzywonogi trzyma go tutaj, gdzie każdy może wejść i go sobie wziąć.

– Zaraza na twój zadek, jeśli myślisz, że będę z tobą gadał – odrzekł Gunnar. – A Yates nie ma z tym nic wspólnego.

– Odwrócił wzrok, kłamiąc przez zaciśnięte zęby.

– Może pani Annis i pani Tansy coś wiedzą – odezwała się Goodwin.

Najpierw przecięłam knebel Tansy. Płakała.

– A co mnie obchodzi, czego on chce? Heruna porwał Wąż Cienia! Nie szukacie go!

Rozciąłam resztę więzów.

– Jesteś pewna, że to Wąż Cienia? – spytałam. – Może Krzywonogi tak myśli, bo to Wąż porwał Rolonda? Z tego, co dotąd wiemy, Wąż zabiera tylko dzieci. – Uwolniłam Annis od knebla.

– Widziałyśmy liścik, zanim ojciec włożył go do tuniki – powiedziała Annis. Oczywiście miała opuchnięte od łez, ale nie była w takim stanie, jak Tansy, mimo że Herun był jej synem. – Był taki sam, jak te w sprawie Rolonda. Zupełnie taki sam. Herun zabrał kwity do Banku Żłotników, ale nigdy nie wrócił. Ojciec wrócił do domu, żeby się przebrać na kolację u kupców, i kartka leżała na jego łóżku. Potem... byłyśmy wstrząśnięte, gdy ojciec z krzykiem wybiegł z domu. Tansy poszła na poszukiwania, nic nikomu nie mówiąc. Zauważyłam, że jej nie było, dopiero kiedy wróciła z nim. – Mogła wskazać Gunnara tylko ruchem podbródka. Ciągle rozcinałam krępujące ją sznury.

– Głupie dzirry – parsknął Gunnar. – Wystarczyło powiedzieć, gdzie stary trzyma te błyszczące kamienie, i już by mnie nie było!

Tunstall uderzył jego łbem o podłogę.

– Skąd taki szczur kanałowy jak ty wie o błyszczących kamieniach? – spytał.

Gunnar nie odpowiedział, choć Tunstall machnął jego głową jeszcze kilka razy.

– Daj spokój – odezwała się Goodwin. – Niech wyciągną to z niego na przesłuchaniu. I tak już wiemy, że zaprowadzi nas do Yatesa Nolla. – Założyła pęta naszemu Szczurowi.

– Zły pomysł – stwierdził Gunnar. – Wierście mi, nie chcecie wchodzić Yatesowi w drogę. Nigdy w życiu.

Tunstall pstryknął w jego głowę palcem, używając kciuka, by dodać siły temu drobnemu ciosowi.

– Nikt nie prosił o zdanie takiego lizusa i głąba jak ty, Gunnarze – powiedział. Jego głos brzmiał wręcz przyjaźnie. – Albo powiesz nam, co chcemy wiedzieć, albo połkniesz język. Niezależnie od tego, co wybierzesz, nie będziemy wybrzydząć. – Wstał.

– Może to nie przypadek, że dzisiaj tu przyszedł – zauważyłam. – Może wiedział, że

w domu będzie panował zamęt albo że wręcz mieszkańcy wyjdą na ulice na poszukiwania.

– Hmm. – Goodwin skończyła krępować aresztanta. Teraz usiadła mu na nogach na wysokości kolan. – Może ty, Yates i wasz koleżka sami porwaliście Heruna. Niezła sztuczka. Wywabiacie starca z domu, nie mówiąc o reszcie, żeby obrabować to miejsce. A może po prostu usłyszałeś o porwaniu i przyszedłeś na gotowe?

Annis i Tansy obserwowały wszystko ze stężałymi twarzami. Mieszkańcy Niższego Miasta nie mają w sobie wiele litości. Byłabym zaskoczona, gdyby poprosiły moje Psy o łagodniejsze traktowanie Gunnara, skoro ten tak długo przykładł Tansy nóż do gardła. Widziałam czerwoną, napuchniętą pręgę w miejscu, gdzie ją skaleczył, i linię zaschniętej krwi.

– Działalem sam! – wykrzyknął Gunnar. – I to jest moje ostatnie słowo! Torturujcie mnie, ile chcecie!

– Nie my – odparł Tunstall. – Ubrudziłibyśmy sobie mundury. Ale Psy klatkowe mają skórzane fartuchy specjalnego przeznaczenia. To pozwala obniżyć koszty prania.

Większości ulicznych Psów tortury nie obchodzą. Psy klatkowe się tym zajmują. Częściowo w ten sposób dorabiają na boku. My mamy worki szczęścia do podziału. Psy klatkowe dostają pieniądze bezpośrednio, od rodzin i mocodawców Szczurów, a także od korony, za to, co wyciągną ze Szczurów za pomocą bólu.

Świadomość, że czekają na niego Psy klatkowe, nie rozwiązała Gunnarowi języka. Później także milczał. Zapisaliśmy szczegóły jego przewinień, kiedy rozwiązywaliśmy służbę, a następnie znaleźliśmy wóz z budy, do którego go odprowadziliśmy.

Potem wróciliśmy do Szamba prowadzić nasz regularny patrol. Wieść o napaści Krzywonogiego na Dwór Łotra dotarła już do budy. Wszędzie wokół nas przemykali gońcy, pozdrawiając nas mrugnięciami albo machaniem. Chłopcy i dziewczęta, jak niegdyś ja, wybrani spośród innych, bo wyróżniali się rozsądkiem i znali Niższe Miasto. Ich zadaniem było przekazywanie informacji Psom na służbie, nie dając się złapać Szczurom ani stukniętym mieszczuchom.

Zanim zjedliśmy kolację, w Szambie zapanował spokój. Zbiry, dziewczki, żigolaki i pijacy pochowali się. Wszyscy chcieli się przekonać, co rozkaże Łotr, kiedy już napastnicy opuszczą jego Dwór. Nie było walk kogutów ani psów, na rogach ulic nie grano w kości, w karczmach działo się niewiele. Nigdy nie widziałam, by Niższe Miasto wyglądało aż tak nienaturalnie.

Pokręciliśmy się przy trzech budynkach Krzywonogiego w poszukiwaniu oznak kopania pod piwnicami albo trupiego smrodu, lecz bez powodzenia. Chcieliśmy sprawdzić jeszcze jeden, skoro większość ludzi i tak zeszła z ulic. Zniechęciła nas wataha psów szkolonych do walki, które warczały za budowlą. Przycupnęłam na tylnym murze, by na nie popatrzeć, i uznałam, że ich łańcuchy nie wydają się wystarczająco mocno przytwierdzone do palików w ziemi. Musieliśmy wrócić z pyłem snu dla naszych czworonożnych braci. Drapek, siedząc na murze obok mnie, nie raczył tym razem zaangażować się w sprawę. Opuściliśmy i ruszyliśmy w drogę przez Zwęglony Sad.

– Krzywonogi z pewnością dalej szuka – powiedziała Goodwin, gdy zobaczyliśmy, że banda Czerwonego Pióra nie urzęduje, jak co noc, gry w kości na swoim zwykłym rogu.

Tunstall nasłuchiwał, jak w oddali strażnik obwieszcza godzinę.

– Chciałbym zamienić słowo z panią Noll. Sprawdzić, czy wie, gdzie znaleźć jej syna, Yatesa.

– Sądysz, że drań ucieknie z Corus? – spytała Goodwin, głośno myśląc. – Do swojego brata w porcie Caynn czy do tego w Błękitnej Przystani?

Tunstall pokręcił głową.

– Nie do nich. Obaj chcą być przyzwoitymi ludźmi. Odesłaliby go do domu w worku.

– Staruszka była tak zajęta pracą, budowaniem tego wszystkiego, że nawet nie zauważyła, jakim Szczurem stał się jej najmłodszy chłopak – mruknęła Goodwin. – Jak to matka.

Drapek wskoczył mi na ramię, gdy weszliśmy na Targ Nocny.

– Deirdry Noll ma piątkę dobrych dzieci, Clary – stwierdził Tunstall. – W każdym stadzie trafia się czarna owca. U niej to Yates.

Pani Noll miała wielu klientów. Pomagała jej Gemma. Trzymaliśmy się z boku, obserwując, jak Gemma obsługuje gości, podczas gdy pani Noll zajmuje się pieczeniem. Starsza kobieta praco-

wała szybko, ale w końcu robiła to dłużej, niż ja żyłam na tym świecie. Była córką piekarza i wyszła też za piekarza. Patrząc na nią, zastanawiałam się, czy śni jej się mąka.

Kolejka zmaląła. Moi gwardziści podeszli do lady.

– Mamo – powiedziała Gemma.

Pani Noll odwróciła się.

– Moja ulubiona parka. – Bez namysłu sięgnęła po paszteciki, po czym się zatrzymała. – Ale coś mi mówi, że nie po nasz towar. – Otarła twarz i szyję z potu ścierką, którą trzymała na ramieniu, a następnie oparła się o kontuar. Wydawała się teraz równie twarda jak jej ręce. – Co mogę dla ciebie zrobić, gwardzisto?

Tunstall spytał ją, gdzie szukać Yatesa. Oznajmiła, że nic nie wie na ten temat. Moją uwagę zwróciły jej naszyjniki, wśród których zapanował nieład, gdy otarła szyję. Między paciorkami i mośiężnymi ogniwkami widniał jeden cienki łańcuszek, który wyglądał jak prawdziwe złoto z liliowym wisiorkiem z białą i zieloną emalią.

Co w tym wisiorze wydało mi się takie znajome? Nigdy wcześniej go nie widziałam, tego byłam pewna.

– Powiedziałam Yatesowi, że Gunnar Espeksra to robacze łajno. – Jej głos brzmiał ostro. – Czemu nękanie mojego syna, kiedy Herun Lofts zaginął, a biedna Tansy szaleje ze strachu? To takie słodkie dziecko. Przez dwa krótkie miesiące miała kłopotów za całe życie.

– Kolega pani syna przyłożył dziś wieczorem słodkiej Tansy nóż do gardła – oznajmiła Goodwin. – Sądzimy, że mógł powiedzieć Yatesowi, czego szuka. To z pewnością w miarę nieszkodliwe.

– Nic nie jest nieszkodliwe, kiedy oddajecie chłopca Psom klatkowym – odparła pani Noll.

– Nie chcemy zamykać Yatesa – zapewniła Goodwin. – Chyba że zrobił coś, za co należy go zamknąć...

– Nie widziałam go od pięciu dni – powiedziała kobieta głosem twardym niczym żelazo. – I nie powiedziałabym wam, nawet gdyby było inaczej. Żadna matka by nie powiedziała.

Rozejrzałam się. Wnętrznosci paliły mnie jak ogień. Znam to uczucie, przychodzi, gdy przesiewam informacje od gołębi i krętów. Coś ważnego zwróciło ostatnio moją uwagę... Właściwie były to dwie rzeczy. Czasami jeśli odpuszczam i staram się o tym nie myśleć, takie rzeczy nabierają klarowności.

Tunstall westchnął.

– Matko, wiem, że nie myśli o nas pani zbyt miło, ale my tylko wykonujemy swoją pracę – odezwał się cichym głosem. – Udzielę pani rady, za którą mi pani podziękuje. Proszę zamknąć wcześniej. Idźcie z Gemmą do domu razem z tłumem. A jeszcze lepiej, jeśli znajdziecie silnego chłopca, który was odprowadzi. Mogą być kłopoty z Łotrem.

Otaksowała nas wzrokiem.

– Naprawdę?

– Grupa żołnierzy po służbie napadła dziś na Dwór – wyjaśniła Goodwin. – Szukali Heruna Loftsa. Nadal przeszukują budynek.

Dostrzegłam, że Gemma robi znak przeciwko złu na swojej piersi. Wcale się jej nie dziwiłam.

– Przeszukują Dwór. Pałac Kayfera – powtórzyła pani Noll, jakby nie miała pewności, czy dobrze słyszała. Zaciśnęła palce na swoim amulecie Bogini. – Czy świat oszalał? – Spojrzała na Gemmę. – Zaczniij wszystko pakować. Nie. Ja spakuję. Znajdź chłopaków. Będą Pod Lepkimi Palcami. Biegiem!

Gemma pobiegła.

Pani Noll zaczęła układać wypieki na ladzie. Był to sygnał dla kupujących, że sprzedawca wkrótce zamknie stragan, więc obniża ceny.

– Po dwa paszteciki albo ciastko dla każdego z was za ostrzeżenie, bez opłat – powiedziała rześko, podczas gdy jej zwinne ręce nie przerywały pracy. – Z jakiego powodu dokonano tego przeszkolenia?

– Łotr będzie roześlony, Matko – ciągnął Tunstall. – Takie wyjaśnienie na razie wystarczy.

Proszę powiedzieć Yatesowi, że chcemy porozmawiać, jeśli go pani zobaczy.

– Powiem mu – obiecała. – Niech was bogowie błogosławią za to ostrzeżenie. Modłę się, by to się szybko skończyło i byście znaleźli Heruna Loftsa.

To zależy od tego, czy Krzywonogi odda kamienie Wężowi Cienia, pomyślałam, wychodząc w ślad za swoimi Psami z Targu Nocnego. Nie znajdzie swojego syna na Dworze Łotra. Kayfer Deerborn jest takim Wężem, jaką ja jestem Królową. Wąż pozostawał niezauważony...

Wąż pozostawał niezauważony, aż Krzywonogi znalazł fortunę w Niższym Mieście, uświadomiłam sobie. Zatrzymałam się.

– Cooper, obudź się – powiedziała Goodwin. – Nie czas na drzemkę. Pamiętaj o swojej przyjaciółce Verene.

– Rozmyślałam – odparłam.

– Więc podziel się swoimi myślami – zaproponował Tunstall.

– Do tej pory Wąż Cienia rzeczywiście trzymał się w cieniu – zauważyłam. Podeszli do mnie bliżej. Drapek usadowił się na moich stopach. Dalej myślałam na głos: – Potem Krzywonogi znalazł ogniste opale. Starał się utrzymać to w sekrecie i tak dopuścił do siebie Węża. Bo Wąż żyje sekretami. Karmi się nimi. W ten sposób latami dokonywał swoich drobnych kradzieży i uchodziło mu to na sucho. Wszyscy boją się mówić, więc tylko nieliczni wiedzą. Ci, którzy mówią Psom albo Łotrowi, są odpychani na bok. Zatem Krzywonogi nigdy nie słyszał o Wężu. Nie wierzył w niego. Nie może zrobić mu krzywdy.

Tunstall potarł brodę.

– Więc kiedy Krzywonogi doznał szkody od porywacza, udał się do domu porywaczy, czyli na Dwór Łotra. Wie, że Kayfer dowiedział się o jego nagłym powodzeniu. Myśli, że to król porywaczy zabrał jego prawnuka, a teraz wnuka. I że tylko podpisuje się imieniem z dziecięcych bajeczek.

– Krzywonogi nigdy nie ustępuje przed pazernymi współnikami w interesach. – W ciemności rozległ się głos Goodwin. – Z tego słynie. Nie zapłacił Wężowi za Rolonda. Sądzi, że teraz Wąż, skoro wie, że nie dostanie wymaganej ceny, zażąda za Heruna niższej opłaty. Krzywonogi nie rozumie, że Wąż to szaleniec... i będzie zabijał, dopóki nie otrzyma tego, czego chce.

– Moglibyśmy mu powiedzieć – podsunęłam. – Pokazać mu mapę, wyjaśnić, że Wąż nigdy się nie cofnie.

– Wierzysz, że posłucha? – spytał Tunstall.

Musiałam powiedzieć prawdę.

– Powiedziałam to tylko dlatego, że każdy, kto nie jest wariatem, by uwierzył.

– Krzywonogi to więcej niż wariat – stwierdziła Goodwin. – To kompletny świr.

– Tym razem musi zapłacić – uznał Tunstall. – Zaczyna mu brakować spadkobierców. Został tylko Herun, chyba że Tansy urodzi chłopca. Więc módlmy się, żeby starszowski wrócił rozsądek.

– I żeby Kayfer nie poderzwał mu gardła – dodała Goodwin. – Nie, Kayfer tego nie robi. Ma z Krzywonogim zbyt wiele interesów. Ale niech bogowie pomogą tym ludziom, którzy przeszkują Dwór.

Gdy szliśmy dalej, Drapek wskoczył mi na ramię i korzystał z darmowej przejażdżki.

– Zatrudnia trzecią brygadę albo już zatrudnił – powiedziałam swoim Psom.

– To jedyna dobra strona takiego wstrząsu, jak dzisiaj – odparł Tunstall. – Wielu ludzi się zdenerwuje. A ludzie zdenerwowani robią się gadatliwi.

– Może dopisze nam szczęście i nastąpi zmiana na Dworze Łotra – powiedziała Goodwin. – W takich chwilach zawsze otwierają się możliwości. Dla wszystkich. Twój przyjaciele Rosto i Aniki mogą pójść w górę. A my możemy przymknąć Krzywonogiego i Węża.

To by mi się podobało. Ciężko współczuć chłopu, który nakazuje mordowanie ludzi po dziewięciu albo ośmiu naraz. A Wąż Cienia nigdy nie powinien był wychodzić z przerażających baśni, by pojawić się w rzeczywistości.

Piątek, 8 maja 246

Popołudnie.

Dziś rano obudził mnie Drapek. Mył moje palce, a potem gmerał między nimi noskiem. Ścisnęłam coś. Chciał to zabrać. Chwytał to zębami i ciągnął, aż zęby mu się ześlizgiwały. Zaspana, przysunęłam sobie dłoń przed twarz i otworzyłam ją. Trzymałam swój opal ognisty. Wpatrywałam się w niego, aż zapadłam w sen. Najwyraźniej nie puszczałam go przez całą noc.

W swoich snach bawiłam się koło domu pani Noll z koleżankami z dzieciństwa. Pani Noll ganiała z miotłą za Tansy, która ją przedrzeźniała. Rzeczywiście często się to zdarzało, gdy mieszkalam przy Uliczce Psich Sików.

– Kamienie to nie żarcie, ty czarny jak węgiel żebraku – powiedziała do kota, patrząc na kamień. Promień słońca przesączył się przez okiennice i padł na niego. Szkliste fragmenty zajaśniały wiśniową czerwienią, zielenią i żółcią.

Teraz Drapek ocierał się o moją twarz, mruczając niczym grom i zostawiając sierść na moich nozdrzach oraz wargach. Gdy nachylił się nad moim nosem, pociągnęłam go w dół, ściskając głupola oboma ramionami.

Nie traktujesz mnie z szacunkiem!, poskarżył się.

– Jeśli na tym ci zależy, znajdź sobie szlachciankę – odparłam. Pachniał jak czysty kot, odrobinę piżmowo i słodko. – Taką, która da ci obrózkę z drogimi kamieniami i będzie wozic na swoim koniu, ponad nami, mieszkańcami rynsztoków. – Pocałowałam go w łebek. – Ale masz mnie i pracę dla Psów Starosty. Jakie to smutne.

Okiennica załaskotała, aż zerwałam się do pionu.

Chcę wejść do środka, stwierdził mój kot.

– Nie mogą – powiedziałam, stawiając go na podłogę. – Nie zmierzę się z nimi. – Podeszłam do szczeliny. – Nie zniosę siedemnastu duchów! – stwierdziłam. – Dzisiejszy dzień będzie wystarczająco zły bez myślenia o tym, że mogłam uratować jeszcze ośmioro z was! – Położyłam kamień na wewnętrznym parapecie i zrzuciłam nocną koszulę. – Tylko ich nie wpuszczaj, Drapku! – uprzedziłam. – I tak dopadną mnie na dworze!

Ubrałam się i zaplotłam warkocze. Właśnie kończyłam, gdy do drzwi zapukały Aniki i Kora.

Aniki uśmiechnęła się.

– Za ciepło, żeby tu zostawać. Chodźmy usiąść na słońcu!

Gołębie będą zachwycone, pomyślałam, ale po tych deszczach też już miałam dosyć jedzenia na podłodze. Gdy pakowałam prowiant na śniadanie, zwróciłam się do nich z pytaniem:

– Znaleźli Heruna?

Kora pokręciła głową.

– Ludzie Krzywonogiego znaleźli mnóstwo innych drobnych skarbów Łotra, ale nie Heruna. Jest taki przystojny, jak mówią?

– To mąż mojej przyjaciółki – odrzekłam, marszcząc brwi. – Jeśli chodzi o wygląd, nic mu nie brakuje. Gorzej z rozumem.

Aniki pochyliła się nad Drapkiem i podniosła go w górę.

– Komu potrzebni przystojni głupcy, skoro możemy mieć kotki! – wykrzyknęła, kręcąc się z nim w kółko. Drapek spiorunował mnie spojrzeniem, jakby chciał powiedzieć: powstrzymaj ją!

Wzruszyłam do niego ramionami. Zakładając, że przekupię ptaki jedzeniem, wzięłam worek z karmą dla gołębi, a potem zwinęłam świeżą czeresnię z koszyka Kory. Aniki nakarmiła Drapka i zabrała słój, który zostawiła przy drzwiach. Zaburczało mi w brzuchu. Odkąd wieczorem wróciłam do domu, jadłam tylko czerstwe ciastka. Aniki miała w tym słoju tyryjski budyń.

Popatrzyłam na nią.

– Tyryjski budyń drogo kosztuje.

– Nie aż tak drogo. I myślę, że zasługujemy na taki przysmak po wszystkim, co się zdarzyło. – Uniosła słój do nosa i powąchała. – Bez wątpienia zasługujemy na przysmak. Niech zaraza porwie Krzywonogiego i Deerborna, tyle wam powiem.

– Niech się stanie wola Mithrosa – szepnęłam.

– Niech się stanie wola Mithrosa – powtórzyły.

Zeszliśmy już niemal na parter, gdy w drzwiach wejściowych pojawił się Ersken.

– Gdzie byłaś? – spytał Korę. – Wczoraj rano poszedłem do Syrenki, tak jak prosiłaś. Nie przysłałaś. Czekałem do zamknięcia. Potem poszedłem na Dwór Łotra. Nie wpuścili mnie. Sprawdziłem nawet w budzie, na wypadek gdyby zamknęli cię w klatce. – Przełknął ślinę. – Wykupiłbym cię z klatki – stwierdził. – Potem pomyślałem, że może poszłaś gdzieś z Rostem... a w końcu przyszedłem tutaj. Kupiłem szynkę. – Podniósł niewielką siatkę.

Kora podbiegła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

– Najdroższy! W ogóle nie jedliśmy kolacji. Fulk i inny mag zamknęli magów Kayfera w czaroszczelnym pomieszczeniu. Myślałam, że Kayfer przynajmniej przekaże tę informację... Trzymali nas do świtu! – Pocałowała go. – Mój słodki, kochany chłopak! Szukałeś całą noc! – Pocałowała go znowu i tym razem trwało to dłużej. Wzięłam szynkę, bo wyglądało na to, że przez jakiś czas będą zajęci.

Na tylnym podwórku, przy ogródku, Aniki postawiła słój na ławce i podniosła Drapka.

– Lubię złośników o czarnych sercach – oznajmiła. Drapek szamotał się jak szalony.

To upokarzające!, oburzał się. *Nie jestem zabawką!*

Patrzyłam na gołębie, które sadowiły się na murze wokół podwórka. Cała siedemnastka nosiła duchy zamordowanych kopaczy. Żaden nie podleciał do nas, gdy rozkładaliśmy śniadanie ani nawet wtedy, gdy wysypałam dla nich pokarm. Gdy pojawiły się inne osobniki, duchy kopaczy wydały z siebie istną burzę ostrych pohukiwań, które oznaczały okrzyki gniewu. Pozostałe ptaki odleciały, przestraszone.

Aniki spojrzała na gołębie.

– Co się z nimi dzieje?

– Dziś rano ich nie wpuściłam – odparłam, krojąc szynkę. – Zginęło jeszcze ośmioro kopaczy. Dlatego wczoraj mnie nie było. Próbowалам dowiedzieć się więcej na ten temat.

– Ale nie słyszałam ani słowa o naborze! – Aniki wbiła we mnie wzrok, trzymając łyżeczkę nad słoikiem dżemu. – Nikt z nas nie słyszał! Ktoś by mi powiedział... Skrzypek, Trzciniowa Katie, pani May albo Śmiały Brian. – Wymieniła swoich najlepszych przyjaciół spośród zbirów Dawulla.

– Ktokolwiek zatrudnia ich dla Krzywonogiego, robi to bez żadnych przecieków. – Pokroiłam szynkę na małe skrawki i poszukałam wzrokiem Drapka, lecz ten zniknął. Głupi kot, pomyślałam. Nigdy dotąd nie uciekał przed zabawami z Aniki czy Korą, tylko po prostu siadał tak, by nie mogły go osiągnąć. Pogrzebałam w kawałkach szynki. – Niech bogowie przeklną Krzywonogiego. Powiedziałabym, że dobrze mu tak, że stracił Heruna, ale Tansy rozpacza. A Herun to porządny chłop. Przynajmniej niedługo wróci do domu cały i zdrowy. Wiemy, że Wąż po zapłacie oddaje to, co zabrał.

– Myślisz, że dostanie zapłatę? – spytała Aniki.

Po moim grzbiecie przeszedł zimny dreszcz.

– Krzywonogi wie, co się inaczej stanie. Wąż zabił Rolonda. Musi zapłacić. – Nie wierzyłam w to, co sama powiedziałam.

– Krzywonogi kazał zabić już siedemnaście osób, by zachować tajemnicę, pamiętasz? – Błękitne oczy Aniki spoglądały nieruchomo. – Siedemnaście, o których wiesz. A opowieści, które o nim słyszę? Na łyzy Bogini, Becco, nawet jak na Niższe Miasto, to jest potwór.

Kora i Ersken podeszli, trzymając się za ręce. Usiedli i oparli się o siebie z idiotycznymi uśmiechami.

– Jedzmy – odezwała się Kora.

– Niższe Miasto oszalało i dobrze, że tutaj nic się nie zmieniło. – Przyszedł Rosto. Ciągle miał na sobie wczorajsze ubranie. Phelan szedł za nim, niosąc koszyk z ciepłym pieczywem. Kora i Aniki przygotowały miejsce dla Rosta, choć ta pierwsza zrobiła przy okazji wszystko, by jak naj-

bardziej przytulić się do Erskena. Phelan czekał, aż skinę mu głową, po czym usiadł obok mnie. Co miałam zrobić, powiedzieć mu „nie” po tylu porankach przy jednym obrusie? No i co, że został zbirem, chociaż wcześniej był Psem. Nie mam aż tylu przyjaciół, żeby odwrócić się do któregoś z nich plecami.

Podalam Rostowi butelkę kwasinki.

– Masz, stary.

– Nie jestem stary – odparł natychmiast, choć nie był w tej reakcji tak żywiołowy jak zwykle. – I mam miętową herbatę, dziękuję, bezczelna dziewucho. I to mrożoną.

– Dopiero teraz przychodzicie? – spytała Aniki, unosząc jedną brew. – Mam nadzieję, że spędziliście noc w dobrym towarzystwie.

– Ulsa chciała strażników w karczmach – powiedział Phelan. – Jestem nowy, więc musiałem zostać przy niej. – Ziewnął.

– Byłem w klatkach – wyjaśnił Rosto, biorąc placek. – Jakiś chłop próbował mnie uderzyć. – Aniki uniosła teraz obie brwi. – Zasugerowałem, że Łotr stracił na znaczeniu w tym mieście, skoro nastąpiła ta napaść Krzywonogiego – wyjaśnił. – Przyłożył mi, a ja oddałem. Niestety, jakieś Psy jadły kolację tam, gdzie polecał. Wzięli to do siebie. – Otrzepał rękawy. – Pomyślałem, że może powiem im o przyjaźni z naszą Beccą, ale potem dotarło do mnie, że kazałaby im mnie zamknąć aż do powrotu Skrzydłosztormów.

– To dość śmiało, mówić tak o Łotrze – powiedział Ersken, zerkając na mnie. – Kayfer pogńiewa się, gdy o tym usłyszy.

– Ktoś musi coś powiedzieć. – Rosto odpowiadał Erskenowi, ale patrzył na mnie. Nie mam pojęcia, dlaczego. – Ktoś musi powiedzieć ludziom, że Kayfer Deerborn to kpina, a jego przywódcy to też kpina, skoro pozwalają mu rządzić. Nie obchodzi mnie, czy stary Krzywonogi to wariat, jakich mało. Nigdy nie napadłby na Dwór, gdyby Kayfer budził taki lęk, jaki powinien budzić Łotr. Mam rację czy nie?

Nikt z nas nie odpowiedział. Miał świętą rację.

– Teraz Kayfer wydaje rozkazy, żeby zabić wszystkich napastników – powiedział z niesmakiem Phelan. Podał mi ciepłą bułkę z kiełbasą. – Ale nie Krzywonogiego. Tylko tych biednych głupków, którzy odwalili całą robotę. Niech bogowie mają w opiece wszystkich, którzy znajdują się w pobliżu.

Ersken pokręcił głową.

– Nasza praca stanie się o wiele ciekawsza.

– Tylko pamiętaj o unikach – powiedziała Kora. – A ja zrobię amulety zabezpieczające dla ciebie i Becki.

Oboje wbiliśmy w nią wzrok.

Poczerwieniała.

– Jestem kiepska w uzdrawianiu, ale umiem sobie poradzić z podstawowym amuletem bezpieczeństwa!

– Kora? – Trzej młodzi mężczyźni stanęli przy furtce na podwórko. Jeden z nich był tym flirciarzem, któremu wczoraj wróżyła. – Słyszeliśmy, że czasem jadasz tu śniadanie z przyjaciółmi. – Podniósł worek. – Przynieśliśmy truskawki i czereśnie. – Zerknął na Rosta. – Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

– Kora? – spytał Rosto, patrząc na przybyłych. Chciał, żeby powiedziała, czy są w porządku, czy nie.

– To dobre chłopaki – mruknęła. – Becca? Ersken?

– Mnie twoje słowo wystarczy – odpowiedział Ersken z uśmiechem. Ścisnął jej dłoń. Ja wzruszyłam ramionami.

Chłop, któremu przerwano wczoraj odczytywanie jego przyszłości, opuścił wzrok.

– Czy dzisiaj dzień przeprowadzki? – spytał.

Przez chwilę byliśmy zdezorientowani. A potem zobaczyliśmy, co wchodzi na podwórko.

– Mithrosie, Władco Wszystkiego – szepnął Ersken.

Drapek przeszedł obok nowo przybyłych, niosąc w pysku czarne kocię z białym krawatem

i skarpetkami. Zwierzątko wisiało w jego zębach z płasko położonymi uszkami oraz z podkulonym zadkiem i ogonkiem. Wyglądało na bardzo osowiałe.

Młodzieńcy podeszli w ślad za kotem i usiedli, patrząc na niego z respektem. Mój kot opuścił swego więźnia na kolana Aniki. Potem pouczył ją miaukami: *Nie mogę pozwolić, żebyś mnie maltretowała. Jemu to rób.*

– Spójrzcie na to! – powiedziała Aniki. Uniosła kociątko i zajrzała mu między nogi. – Oj, biedny kocurek! Pewnie Drapek zabrał cię ze szczęśliwego domu! – Dokładnie go obejrzała. – Chociaż masz brudną sierść i jesteś chudy. Czy to kociak z ulicy? – spytała Drapka.

Pokiwał łebkiem. Aniki przełknęła ślinę, po czym przytuliła maleństwo.

Kora złapała Drapka.

– Dlaczego ona? – zapytała, podnosząc go do góry. – Jestem magiem. Więc to ja powinnam mieć kota. Lubisz Aniki bardziej niż mnie!

Drapek wyrwał się jej i pędem uciekł. Kora patrzyła za nim.

– Becco, masz bardzo dziwnego kota.

– Tak mówią – odrzekłam.

– Ma fioletowe oczy – zauważył jeden z przybyłych. Wydawał się nieco przestraszony. – Fioletowe oczy. Jest magiczny?

– Chyba wszystkie koty są magiczne? – odezwał się Ersken.

Gdy Rosto rozmawiał z naszymi gośćmi, Aniki podsunęła odrobinę szynki swojemu kocia-kowi. Skulił się i odsunął, a potem powąchał. Potrząsnęła skrawkiem. Polizał, potem ugryzł. W miarę jak podawała mu kolejne kawałki wędliny, rozsiadł się do posiłku. My też zaczęliśmy jeść.

Skończywszy, kociak podreptał popatrzeć na żuka obok kolana Rosta. Rosto podsunął zwierzątku swoje palce do obwąchania. Maluch zamrugał, a potem zamachnął się pazurkami.

– Au!

– Mój łobuziak! – zawołała Aniki. Roześmiała się. – Tak się będzie nazywał, Łobuziak. Kobicciarz z ciebie, co? – Zabrała Łobuziaka, zanim Rosto mógł się zemścić. Chociaż wysysał krew z niewielkiego zadrapania, nie wierzyłam, by mógł skrzywdzić zwierzątko. Takie rzeczy rezerwo-wał wyłącznie dla istot ludzkich.

– Przerobię go na mielone, jeśli znowu mnie skaleczy – zagroził. – Miałem długą noc. Te wasze klatki nie są zbyt bezpieczne – powiedział do Erskena i do mnie. – Zgasili tam jednego biedaka. Poderżnięte gardło.

Ścisnęło mnie w żołądku.

– Podali imię?

– Gunnar – powiedział były klient Kory. – Kuzyn mojej mamy. Około świtu przynieśli wiadomość.

– Łączymy się z tobą w żalu – odezwał się Ersken. Taki był z niego typ.

Tamten pokręcił głową.

– Nie ma żadnego żalu. To był głupi ćwok, miał mniej rozumu, niż możesz wysmarkać. Za-wsze mówił, że jego kolega Yates zrobi z niego ważnego gościa w mieście. – Parsknął śmiechem.

– Na zarazę i pomór – szepnęłam. Teraz już nikt nie mógł przesłuchać Gunnara. Jak do tego doszło?

– Zdaje się – powiedział Ersken – że Drapek jest dziś w hojnym nastroju.

Mój kot nadszedł właśnie z drugim maleństwem. Była to jasno – i ciemnobrązowa kulka z cienkimi czarnymi prążkami i cętkami. Drapek upuścił ją przed Korą.

Wszyscy zamilkliśmy. Kora powoli sięgnęła w dół i podniosła puchate zwierzątko. Po chwili głaskania kulka się rozwinęła. Miała cztery łapki, dwoje uszu i bardzo zielone oczy.

Ersken szybko pokroił trochę szynki. Kora postawiła kocię przed wędliną, coś do niego szepcząc. Kuleczka zachwiała się i upadła na zadek, po czym zaatakowała jedzenie. W ciągu kilku chwil zjadła trzy razy więcej niż wcześniej Łobuziak. Kora dokonała delikatnej kontroli pod ogonkiem i wiedzieliśmy, że to także jest kocurek. Gdy już zjadł i jego brzuszek znacznie się powiększył, wdrapał się jej na kolana i zaczął się rozglądać swoimi oszałamiałymi oczami. Gdy Kora

znowu go poglaskała, donośnie zamruczała.

Na ten widok się uśmiechnęła. Dokończyliśmy śniadanie, gdy dwa kocięta drzemały.

Po jakimś czasie przeprosiłam i wróciłam do siebie. Nie mogłam wyrzucić z głowy swoich snów. Nie chciałam ani ich, ani widoku wisiora na spoconej szyi pani Noll. Chciałam jeszcze raz spojrzeć na mapę.

Pod dachem było gorąco i duszno. Miałam wybór. Mogłam zapalić lampy i się udusić albo otworzyć okiennice. Tak naprawdę nie był to żaden wybór. Nie mogłam się pozbyć uczucia, że jestem winna duchom kopaczy i ptakom przeprosiny za swoją nieuprzejmość. Otworzyłam okiennice na oścież. Za oknem świeciło poranne słońce, więc miałam aż nadto światła, by wyraźnie widzieć mapę i wszystkie oznaczenia. Gdy przyleciały gołębie, na początku nawet ich nie zauważyłam. Byłam zbyt zajęta przyglądaniem się mapie świeżym okiem. W końcu sobie przypomniałam, czemu naszyjnik pani Noll wyglądał znajomo.

Sąsiadka jednej z ofiar Węża narysowała mi wisiora. Opisała go jako emaliowane złoto, ale w głowie bardziej utkwił mi pobieżny szkic, nakreślony na ziemi. Bardzo zgrabny wisior, przedmiot, który każda baba chciałaby mieć, nawet ja. Nawet pani Noll.

Myślę, że Yates Noll dał go matce. Spojrzałam na mapę świeżym okiem, bo pomyślałam teraz, że Yates jest jakoś powiązany z Wężem Cienia. Pracuje dla niego albo wręcz sam nim jest. Jeśli to drugie, wyjaśniłoby się, czemu koledzy tak się go boją. Może, gdy interes pani Noll rozwinął się i przeniósł z Uliczki Psich Sików na Targ Dzienny, Yates zyskał możliwość wychodzenia na łowy? Wykonując dla niej różne prace i zajmując się straganem, mógł słyszeć, kto ma coś wartego zabrania. Z pobytów w klatkach, w sądzie czy w więzieniu Zamurze znał innych twardych chłopów, w tym takich, którzy nie zawahaliby się porwać dziecka dla miedzaków.

– Becco? Dobrze się czujesz?

Zostawiłam drzwi otwarte, żeby był przewiew. Do środka weszła Kora. Na piersiach miała nosidełko, zrobione z szala. Ze środka wyglądał kociak, wbijając spojrzenie zielonych oczu w gołębie na moim parapecie.

– Pamiętasz tę babę, która mówiła nam o liliowym wisiorze? – spytałam.

Zobaczyłam, że drga jej policzek.

– Pamiętam je wszystkie – powiedziała, podchodząc do mnie bliżej.

– Zdaje się, że widziałam wczoraj ten wisiora na szyi pani Noll. Poznałaś jej syna Yatesa?

– Pokręciła głową. – To twardy chłop. Niewystarczająco sprytny na Dwór Łotra, jak sądziłam – powiedziała. – Ale może czegoś się w życiu nauczył, na tyle, by radzić sobie z płótkami. Na tyle, by od czasu do czasu zdobyć jakieś cacko i dać je swojej mamie w podziękowanie za wszystkie sytuacje, w których płaciła za niego kaucje i dawała mu pracę.

– Więc czemu wpatrujesz się w mapę? – spytała Kora. Jej kociak szamotał się, próbując wyjść z nosidełka.

– Szukam wzorca – wyjaśniłam. – Sprawdzam, czy ci, którym zabrano dzieci, mieszkali blisko domu pani Noll albo jej sklepów. W końcu on mieszka i pracuje z nią. Dwa lata temu wyprowadziła się z Uliczki Psich Sików, a swoje towary sprzedawała tam, na Błoniach, na Targu Nocnym i na Targu Dziennym.

– Czyli chodził dla niej wszędzie – stwierdziła, stawiając kociątko na ziemię.

– Wszędzie – potwierdziłam, czując przygnębienie. – On, jego koledzy i wszyscy, którzy do niej przychodzili i plotkowali z nią albo z Gemmą. Tyle z tego pożytku, co ze śpiewania do księżycyca.

– Pójdziemy porozmawiać z kolejnymi ludźmi – powiedziała Kora. – Może dzisiaj będzie ten dzień, w którym znajdziesz przełomowe informacje. Włóż sukienkę i idziemy. Mamy tę piątkę do sprawdzenia od strony Zwęglonego Sadu, pamiętaj.

Przypomniałam sobie, jak całowała się na dole z Erskenem.

– Eee, myślałam, że ty i Ersken... – zaczęłam, po czym ugryzłam się w język. Nie chciałam tego mówić prosto z mostu: myślałam, że od razu pójdą do jej pokoju i zostaną tam, aż Ersken będzie musiał iść na ćwiczenia.

Twarz Kory rozjaśnił ten jej chytry uśmiech.

– Na to będzie czas. Wie, jakie to ważne dla nas obu. Zresztą obiecałam mu później deser.

Byłam jej wdzięczna. Tak wiele porządnych kobiet traci z oczu wszelkie inne życiowe sprawy, gdy spotkają nowego mężczyznę. Chyba obie byłyśmy zaskoczone, gdy uściskałam ją tak, jak kiedyś swoje siostry, i pocałowałam w policzek.

– Dziękuję – powiedziałam. – Czuję się taka bezradna wobec Węża.

Wbiła we mnie spojrzenie.

– Ale masz tę mapę, no i Ptaszki. Składasz wszystko w całość! – Dała mi buziaka w policzek. – Prawdziwy z ciebie Terier.

W oddali zagrzemiał grom. Kociak miauknął. Spojrzałyśmy i zobaczyłyśmy go pod oknem, wpatzonego w gołębie. Też na niego patrzyły. Usłyszałam głos ducha jednego z nowych ptaków.

– Wyglądała jak królowa w jedwabiu.

– Królowa w tym złym miejscu – powiedział nieznany mi duch jakiegoś mężczyzny.

– Dała flakonik strażnikom – jęknęła dusza baby. – Jeden wlał to do zupy. Widziałam.

– Zupa była dobra tego wieczoru. – Głos tego ducha był gardłowy i chrapliwy, jakby wdychał dym albo miał rozedmę płuc. – Najlepsza, jaką jedliśmy.

– Ostatnia, jaką jedliśmy! – warknął jeden z nowych kobiecych duchów. – Zatruta! Ta baba przyniosła truciznę w swoim flakoniku!

– Czarne łyzy. – Duch o chrapliwym głosie wydawał się znużony. – Miała czarne łyzy na twarzy.

Serce załomotało mi w piersi. Vrinday Kayu, która była gościem w domu Krzywonogiego i magiem, miała na twarzy wytatuowane czarne łyzy.

Mogłam się mylić. Inni też tatuowali sobie łyzy, często by pokazać, że odebrali komuś życie. Ale dziś wieczorem powiem o tym swoim Psom. Mogę się założyć o miesięczne pobory, że to Kayu była trucicielką.

Kociak podskoczył. Gołębie odfrunęły. Popatrzyłam na tę kulkę sierści i westchnęłam. Był zbyt mały, by doskoczyć do parapetu. Lecz ptaki i tak uciekły.

Przed pójściem spać.

Wróciłyśmy z naszych rozmów około drugiej, gdy na niebie grzmiała prawdziwa letnia burza. W piecu swojej kwatery przebrałam się w strój Psa. Kiedy skończę służbę, przynajmniej zrobi się już chłodniej. Na razie miałam jeszcze trochę czasu przed ćwiczeniami. Chciałam zobaczyć, co u Tansy.

Na zewnątrz migotały błyskawice, gdy Mithros stawał z mieczem w dłoni przeciwko stworom Chaosu. Gromy rozbrzmiewają, gdy owe stwory, zranione, krzyczą z bólu. Lało jak z cebra i deszcz bębnił w mój szeroki słomkowy kapelusz. Drapek trzymał się blisko ścian budynków, chroniąc się pod okapami. Na ulicach było pusto. Wszyscy schowali się, by przeczekać ulewę.

Podeszłam do kuchennego wejścia u Krzywonogiego, nie chcąc, by zawrócono mnie przy głównych drzwiach. Pokojówka gapiała się przez chwilę, po czym się odwróciła.

– Pani Annis, to Becca Cooper! – Niemal wciągnęła mnie za przedramię do środka. – Nie było okazji, żeby podziękować, że wczoraj nas pani uratowała, mnie, Zadę, kucharkę, Otta...

– Wystarczy. – Sama Annis także była w kuchni, co ułatwiło mi zadanie. – Wszyscy mamy dług wobec Becki i jej partnerów. – Próbowwała się uśmiechnąć, lecz wargi jej drżały.

– Pani Annis, mam nadzieję, że Bogini przyprowdzi Heruna bezpiecznie do domu – odezwał się. – I to wkrótce. – W świetle dnia widziałam na suficie stare dymne smugi, mające swój początek od frontu domu.

– Dziękuję, Becco – odrzekła. – Chcesz się spotkać z Tansy? Będę cię musiała przemycić tylnymi schodami. Ojciec Ammon nie... czuje się dobrze. – Chyba miała na myśli to, że zwariował, koniec, kropka.

– Wczoraj na Dworze Łotra wydawał się zdenerwowany – stwierdziłam, łagodna niczym mysz kapłana. Usłyszałam, że kucharka za moimi plecami aż się dławi.

– Tędy. – Annis poprowadziła mnie do schodów dla służby, a potem w górę. – Powiesz Godwin i Tunstallowi, że jestem wdzięczna za to, co zrobiliście wczoraj wieczorem? Nawet nie pytam, jak to się stało, że tu byliście.

Cieszyłam się, że jest odwrócona do mnie plecami, bo chyba się wzdrygnęłam. Już wcześniej zastanawiałam się, czy ktoś w tym domu to zauważył i zadał sobie pytanie, skąd się tu wzięliśmy w tak dogodnym momencie. Chciałam zmienić temat.

– Pewien Ptaszek mi powiedział, że Gunnar Espeksra nie żyje.

Popatrzyła na mnie. Ta wieść nią wstrząsnęła. W blasku lampy wyraźnie widziałam malujące się na jej twarzy zdumienie.

– Nie żyje? Wdał się w bójkę?

– Nie, proszę pani – odparłam. – Zabili go w klatkach.

Weszła na drugie piętro i zaczęła na mnie.

– W klatkach? Na łzy Bogini. O... oj, myślisz, że zapłaciłam, żeby to zrobili. – Pokręciła głową. – Byłam zbyt skołowana, żeby zlecić jakieś morderstwo. – Wargi jej się trzęsły. – Chcę tylko, żeby mój chłopak wrócił cały i zdrowy do domu.

– Za wolą Bogini – odparłam. Straszliwa myśl, że Krzywonogi nie zapłaci za Heruna, wciąż tkwiła mi w głowie. Ale w życiu bym jej o tym nie powiedziała.

Pani Annis zaprowadziła mnie do komnaty Tansy i otworzyła drzwi.

– Tansy, Becca przyszła zobaczyć, co u ciebie. – Wpuściła mnie, po czym zamknęła drzwi i zostawiła nas same.

Tansy stała przy oknie. Okiennice były otwarte na oścież, więc miała widok na ogród i deszcz. Trzy gołębie dziobały ziarno na szerokim parapecie. Słyszałam szepty duchów, lecz ciche. Były to stare duchy, które już zanikały.

– Od tamtego wieczoru – odezwała się – czuję, że nie powinnam na nie patrzeć bez powitania i odrobiny karmy. Przecież mogą nosić jakieś inne dziecko.

Położyłam kapelusz na podłodze, by obciekł, i podeszłam posłuchać duchów.

– Nie. Ten? – Wskazałam jednego, który był głównie szary. – Ten biedak nosi babę, zabita przez swojego mężczyznę, którego zdradzała. – Szary gołąb miał tylko po jednym palcu u każdej nóżki.

– Biedaczysko – powiedziała Tansy i łzy napłynęły jej do oczu. – Becco, jak ty to znosisz? – spytała. – To, że znasz ich historie?

– Słyszę je od jakiegoś czasu – stwierdziłam. – Przyzwyczyłam się.

Śmiała się przez chwilę.

– Jak konkretnie. Zawsze taka byłaś.

– Potrzebujesz mnie, żebym pomagała ci dojść do równowagi – przypomniałam jej. – Gdybyś się załamywała nad każdym z nich, dostałabyś zupełnej szajby.

Uśmiechnęła się.

– Nie zważaj na mnie. Płaczę nad zwiędłymi kwiatami, bardziej niż kiedy byliśmy małe. Mój syn nie żyje, Herun zniknął. Ojciec Ammon myśli, że zabrał go Łotr, wiesz. Chyba się rozpłaczę. Myślałam, że będę bezpieczna. – Objęła się ramionami. – Mówiłam sobie, że nie spotkają mnie już żadne zagrożenia, kiedy wyrwę się z Uliczki Psich Sików.

Tylko Tansy mogła wymyślić coś tak głupiego. Nawet jako małe dziewczynki słyszałyśmy o rabunkach i zabójstwach w dzielnicach tak dobrych, jak Góropola i Jednorozca, a co dopiero tutaj.

– Wszędzie czyha niebezpieczeństwo – odparłam, załując, że nie wiem, co mogłabym dla niej zrobić. Gdyby jej powiedziała, że Gunnar nie żyje, w niczym bym jej nie pomogła. Otrzymałaby jedynie informację, że Psy nie potrafią zadbać o bezpieczeństwo osadzonych.

– Nie jestem teraz dobrą towarzyszką – szepnęła.

Przytuliłam ją.

– Przyszłam tylko zobaczyć, jak sobie radzisz po ostatniej nocy. Nie spodziewałam się, że zatańczysz, tak jak nie spodziewam się, że ja nagle zacznę latać. – Pojawił się kolejny gołąb, bez jeźdźca. – Tym się nie przejmuj, dziewczyno. Nie nosi żadnego ducha. – Zawsze cieszyły mnie takie przypadki. Uważałam, że ptaki zasługują na odpoczynek. Chyba że one nie odpoczywały, jak ja w wolny dzień, tylko nudziły się, nie mając nic do roboty. – Nie zapominaj o maleństwie w drodze – napomniałam ją. – Modlę się do bogów o bezpieczny powrót Heruna.

Wysłałam. Zrobiłam to bezszelestnie, nie chcąc burzyć ciszy tego przypominającego grobowiec domu.

Krzywonogi i kobieta, z którą rozmawiał na korytarzu, nie usłyszeli mnie. Na ich widok stałam jak wryta. Była to Vrinday Kayu, Carthakanka, która towarzyszyła Tansy tamtego wieczoru, gdy moja przyjaciółka rozmawiała z duchem Rolonda. Wtedy była ubrana jak służąca. Teraz miała na sobie żółtą bawełnianą tunikę, a pod spodem szatę z białej bawełny, tkaniny świetniejszej niż sukienki Annis czy Tansy. Chusta na jej głowie uszyta była z jedwabiu. Pachniała perfumami, które rozaczały egzotyczną woń, niczym świątynne kadzidło. Jej oczy obwiedzione były czarnym pigmentem.

Widziałam też te czarne lzy, wytatuowane przy zewnętrznych kącikach oczu, a także pośrodku podbródka. Miałam już pewność. To Kayu przyniosła truciznę dla kopaczy.

Oblał mnie zimny pot. Chciałam na miejscu założyć jej pęta. Kiedy piszę te słowa, ręka mi się trzęsie. Oto zabójczyni. Tyle że nie mogę tego udowodnić. Nie mam nic oprócz słów duchów. Mag mógłby wyciągnąć z niej prawdę, o ile nie nosiła zaklęcia, sprawiającego, że ktoś, kto zacznie za dużo mówić, umiera. Mag mógłby wyciągnąć prawdę z Krzywonogiego. Miał on jednak szlachetnie urodzonych przyjaciół, którzy nie pozwolą nam go aresztować bez ważnego powodu.

Jest trucicielką. Dopilnuję, żeby trafiła do klatki. I na Wzgórzu Straceń, jeśli tylko zdołam. Krzywonogi się odwrócił.

– Ty... Psie. – Głos miał ochrypliwy. Pewnie od tych wszystkich krzyków na Dworze Łotra. – Co robisz w moim domu?

Wsunęłam kapelusz pod pachę i stanęłam w gotowości, na lekko rozstawionych nogach.

– Jestem przyjaciółką Tansy.

– Żona mojego wnuka nie przyjaźni się z Psami. – Gestem odprawił Kayu. Zbiegła po schodach.

Ruszył w moją stronę. Wciąż był nieogolony, choć od ostatniej nocy zmienił ubranie.

– Jaki z was pożytek, co? – Trząsł się od stóp do głów. – Łotr porywa Heruna pod waszymi głupimi nosami! Kiedy ja muszę płacić amatorom, żeby go szukali, Łotr śmieje się w kulak i go dokądś zabiera. Znowu pod waszymi nosami! Jaki z was pożytek, nieroby? Czemu musimy płacić na was podatki? I czemu znowu musimy płacić na wasze cholerne worki szczęścia?

Za moimi oczami wzbierał żar. Jak ten stary, głupi morderca śmie mówić w ten sposób o Psach? O tych, którzy wypędzają Szczury z jego magazynów, żeby mógł tuczyć się na swoich zyskach? Chociaż teraz jest chudy jak szkielet. Gdy odważyłam się spojrzeć mu w twarz, zobaczyłam zwisające z policzków fałdy skóry – kiedyś pod spodem było więcej ciała.

Ściszył głos.

– Chyba że pracujesz dla Kayfera. Myślę, że byłoby mnie na ciebie stać. Czymże jest złoto, które dotąd zapłaciłem, wobec fortuny, którą będę miał? Wy, Psy, zawsze wężycie za pieniądzem. To nawet nie musi być wiele. Mógłbym cię mieć za miedziaki.

Nasi nauczyciele uczyli nas, by bić Szczury tylko wtedy, gdy coś można na tym zyskać. Raz po raz to mówili, krzyczeli, wrzeszczeli, a teraz ich nauka powstrzymała mnie przed przyłożeniem Krzywonogiemu. Zacisnęłam dłoń na kapeluszu tak mocno, że zmiażdżyłam słomkowe rondo.

– Trzymasz z Kayferem? – Wyciągnął do mnie rękę. – Gdzie Herun? Dobrze zapłacę. Więcej złota, niż możesz sobie wymarzyć. Kupię ci nowe życie w. Tusaine albo w Marenie, albo w Barzunie.

Mam swój temperament. Nie taki, jak moje przyjaciółki, u których bucha on płomieniami. Mój temperament to lód, który mnie odrętwia. Wiem, że to źle, gdy nie czuję swojej twarzy. Podobno czasami moje oczy wyglądają jak śmierć. Krzywonogi przełknął ślinę.

– Nie wzięłabym żadnego opalu ognistego, który wyrwałś z ziemi tego miasta, ty gnojku z krwią na rękach – powiedziałam. Wzdrygnął się, gdy wspomniałam o opalu ognistym. Sądził, że takie nic jak ja nie może znać jego cennego sekretu. – Każdy twój dar jest okupiony śmiercią. Dopilnuję, żeby cię osądzono za twoje zbrodnie.

Szybko zamrugał powiekami, usta mu zadrżały. W końcu przemówił:

– Każę cię zabić.

To przesądziło sprawę. Posunął się do groźby, nie bacząc na mój mundur. Powiedziałam mu:

– Wtedy będę cię nawiedzać razem z siedemnastoma kopaczami, których zamordowałeś. Będiesz nas widział w każdym kawałku lśniącego drewna i szkła, w każdej kałuży, w każdym lustrze, rozumiesz? Oni tu są, podążają za mną przez miasto. Gwarantuję, że nie damy ci spokoju. A kiedy twoje dni dobiegną końca, będziemy czekać przy bramie Spokojnych Krain. Taka świnia jak ty nie zazna spokoju. – Popchnęłam go. – Zabij mnie, a nigdy już nie prześpisz całej nocy!

Próbował uderzyć mnie wierzchem dłoni w twarz. Chwyciłam go za nadgarstek i wykręciłam mu rękę. Mogłam mu ją złamać, ale drzwi za nami się otworzyły.

– Dziadku? – usłyszałam głos Tansy.

Puściłam jego rękę.

– Idź do siebie! – nakazał.

– Bijesz się z Beccą.

– Idź do siebie!

– Mam jej powiedzieć? – spytałam cichym głosem. Staralam się znowu mówić uprzejmie, chociaż ciągle byłam wściekła. – O tym, jak zabrałeś... zabrałeś siedemnaście osób najbliższym, żeby twoja gruba sakiewka była jeszcze grubsza?

Wymierzył mi policzek. Tym razem go nie powstrzymałam. Nie miałam pewności, czy nie złamię mu ręki. Musiałam być od niego lepsza.

– Nie! To moja przyjaciółka! – Tansy podbiegła do nas. Uśmiechnęłam się do niego. Z jego spojrzenia wywnioskowałam, że nie poczuł się lepiej. I wcale nie o to mi chodziło.

– Puszczę ci ten cios płazem. Na następny nie pozwolę – oznajmiłam.

Krzywonogi zbluzgał mnie i odmaszerował korytarzem. Popatrzyłam na Tansy.

– Idę. Spotkamy się innym razem. – Wiedziałam, że się boi, ale nie miałam czasu, żeby podtrzymać ją na duchu. Musiałam dogonić starego drania. Miałam jeszcze jedno do powiedzenia, dla dobra Tansy i Heruna. Dopadłam go na schodach blisko pierwszego piętra.

– Krzywonogi.

Zgromił mnie spojrzeniem.

– Korzystaj ze schodów dla służby i nigdy mnie tak nie nazywaj!

Już nigdy w tym domu nie pójde schodami dla służby.

– Mogłabym cię teraz przymknąć za to, że mnie uderzyłeś. Dobrze o tym wiesz i ja dobrze o tym wiem, ty bezwartościowy wrzodzie. Opuść. Inni zamkną cię w klatce za poważniejszą sprawę.

– Ty zdiro. – Położył dłoń na nożu, który miał przy pasie. Pozwolił mi podejść zbyt blisko. Złapałam go tak, że nie mógł dobyć broni.

– Przestań, zanim użyję pałki, by zmusić cię do słuchania – powiedziałam. Jakim cudem tak się wzbogacił, skoro był taki głupi? – Dla dobra Tansy, posłuchaj mnie. Dla dobra swojego wnuka. Twoja chciwość zabiła Rolonda. Zabije też Heruna, jeśli nie weźmiesz pod uwagę tego, co powiem.

Wybałuszył oczy i wycedził przez zęby:

– Dopilnuję, żeby cię zgwałcono, a twoje ciało trafi na stertę odpadków z rozoranym gardłem.

Z trudem poruszałam ustami. Znowu mi zdrętwiały ze wściekłości. Nigdy nie zwracano się do mnie w tak paskudny sposób. Przypomniały mi się najgorsze obelgi mężczyzn mamy. Nigdy nie zapomnę jego słów, nigdy, ale nie mogłam pozwolić, by powstrzymał mnie od mówienia. Musiałam pamiętać o Tansy. O Tansy i jej nienarodzonym dziecku.

– Zapłać cholerny okup. Kayfer nie jest Wężem Cienia. Istnieje prawdziwy Wąż. Działa w Niższym Mieście od trzech lat. Zabił Rolonda, bo byłeś zbyt skąpy i nie zapłaciłeś. Zabije Heruna. To szalenie. Nie można pogrywać z szaleńcami.

Krzywonogi zmagił się z moim uściskiem.

– Wąż Cienia to bajeczka dla dzieci. Kayfer wykorzystuje go, żeby straszyć takich głupców jak ty.

– Wąż Cienia istnieje naprawdę. Zapytaj na ulicy, kogo tylko chcesz.

Nie zamierzał płacić. Uważał, że Kayfer zawrze z nim układ i nie zaryzykuje kolejnego najazdu, takiego jak ostatniej nocy. Herunowi zostało sześć dni życia, jeśli Wąż będzie się trzymał swojego rozkładu. I jeśli dziadek uzna, że drugi raz może blefować.

W oczach Krzywonogiego nie widziałam nic prócz nienawiści. Mogłam się dalej z nim spierać, ale co miałam powiedzieć? Puściłam starego. Zbiegł po schodach i wpadł do komnaty na partezie.

Przekląłam go cicho i wyszłam z jego domu. Może przemyśli to, co usłyszał, jak już ochłonie. Modliłam się, by tak się stało, dla dobra Tansy.

Zaczęłam drzeć, gdy mój zimny temperament tajał. Mało brakowało, a uderzyłabym drugiego najpotężniejszego mężczyznę w Niższym Mieście. Muszę powiedzieć o tym swoim Psom. Proszę, Bogini, niech zrozumieją. Oprócz modłów za Tansy i Heruna, muszę się też modlić, by Krzywonogi mścił się tylko na mnie, a nie dokonał zemsty także na Goodwin i Tunstallu.

Goodwin szarpnęła mnie za rękę, gdy tylko moja grupa z ćwiczeń dotarła na odprawę. Pociągnęła mnie w kąt.

– Mam wieści od gołębi, tych nowych – relacjonowałam jej szeptem, gdy szłyśmy obok siebie. – Trucizna, którą dostali, pochodziła od tej czarodziejki, która udawała służącą Tansy, Vrinday Kayu. Duchy nie znały jej nazwiska, ale widziały wytatuowane łzy.

Pokiwała głową.

– A ja mam coś dla ciebie. Jeden z Psów klatkowych został zabity dziś przed świtem, przed własnym domem – powiedziała mi, przemierzając pomieszczenie. – Dostał nożem w nerki. Sądzymy, że to ten, który ostatniej nocy zabił w klatce Gunnara Espeksrę. – Rzuciła mi krótkie spojrzenie. – Słyszałaś już o Gunnarze, prawda? Mogłam się domyślić. Straciliśmy zatem nie tylko naszego Szczura, ale też skundlonego Psa, który go zabił. I nikt nie wie, kto mu za to zapłacił.

W moich myślach rozbrzmiewały przekleństwa, gdy dołączyliśmy do grupki Psów, czekającej na nas w kącie. Był tam Tunstall, a także Jewel, Yoav, Otterkin i garstka najlepszych gwardzistów ze Straży Wieczornej.

– No dobra – odezwała się Otterkin. – Ten Jens, co go szukasz, wiesz, ten który według ciebie pilnuje kopaczy opali. Chłop, który tak się nazywa, zatrudnia się często na targach niewolników. Dostaje robotę za pośrednictwem Inmana Poundridge'a. A wszyscy wiemy, że Poundridge pracuje dla Krzywonogiego, jakby na boku.

– Pięć miesięcy temu zamknęliśmy w klatce jednego z pomocników Poundridge'a – dodał Jewel. – Przemyt róży marzeń. Nie mogliśmy nijak powiązać tego z Poundridge'em, a co dopiero z samym Krzywonogim.

– Ilu ludzi zatrudnia Poundridge na targach niewolników? – spytał jeden z pozostałych.

– Na stałe mniej więcej piętnastu – odparł Jewel. – Ostatnio nie byli na widoku.

– To głupie mieć cały czas tylko trzech strażników na ośmiu czy dziewięciu kopaczy – przemówił cicho Tunstall. – Potrzebujesz ludzi, którym ufasz. Ludzi, z których usług już korzystałaś. I dzielisz ich na zmiany.

– Naznaczali strażników magicznym piętnem – zauważyła Goodwin. – Pewnie im pokazali, że ono działa. Zabili kogoś na ich oczach.

– Kayu. Czarodziejka z domu Krzywonogiego – powiedziałam bez namysłu. Wszyscy wbili we mnie spojrzenia.

Odezwał się jeden z Psów.

– Szczenięta nie szczekają, chyba że ktoś je klepnie.

– Nie, pozwólcie Cooper mówić. – W mojej obronie stanął Jewel, a nie któryś z moich Psów, choć oboje pokiwali głowami. – Cooper to mądre Szczenię.

– Mów dalej, Cooper – poleciła Goodwin, mocno szturchając mnie łokciem. – Dokończ to, co zaczęłaś.

Wsunęłam rękę do kieszeni i ścisnęłam swoją bryłkę z opalem ognistym, zmuszając się do podniesienia wzroku na doświadczone Psy.

– To kobieta, którą moje Psy uważają za maga, Vrinday Kayu. Dziś byłam u Krzywonogiego. Tansy Lofts, żona jego wnuka, Heruna, to moja przyjaciółka. Widziałam ją, znaczy Kayu, jak

rozmawiała z Krzywonogim. Oni też mnie widzieli. W każdym razie wydaje mi się, że ma pokój na tym samym piętrze co Tansy. Nie mieszka na poddaszu, jak służące. Ani się tak nie ubiera.

Goodwin wtrącała gładko:

– Jeden z Ptaszków Cooper powiedział, że być może Kayu wykończyła tych kopaczy.

Ośmioro następnych nie żyje, zgadza się, Cooper?

Przytaknęłam.

Z początku nikt nie powiedział ani słowa. Zaczęłam się czuć jak zupełna idiotka. Słyszałam, jak przestępują z nogi na nogę. W końcu przemówiła Goodwin:

– Jeśli poprosimy o pozwolenie, żeby wsiąść na tę czarodziejkę, na Poundridge'a i na Jensa, gdy ten spotka się z Poundridge'em, wejdziecie w to?

Yoav poczuła się chyba nieswojo.

– Czarodziejka... i to zatrudniona przez Krzywonogiego? Cenię swoją skórę, i to na własnym ciele, tam, gdzie jej miejsce.

Jewel trącił ją łokciem. Może od niego Goodwin się tego nauczyła? Gdy była Szczęściem, przydzielono ją do Jewela.

– Zamknij się, Yoav. – Obrzucił nas wzrokiem. – Co z Fulkiem?

– Pobiegnie prosto do Krzywonogiego – powiedział Tunstall z mocą w głosie. – Jeśli żyje, po tym, jak pomógł w napadzie na Dwór Łotra ostatniej nocy. Pamiętacie naszego Ptaszka, maga od klejnotów, Berrymana?

Jeden z zebranych gwizdnął.

– To poważny mag, chociaż wariat.

– Berryman pomoże, kiedy zrobi się paskudnie – ciągnął Tunstall. – Jeśli będziemy tylko obserwować Kayu, nikt się niczego nie dowie. Sprawa nie wyjdzie poza Straż Wieczorną, nie możemy ufać Diennej ani Nocnej. Będziemy tropić Kayu. Jeśli zrobi fałszywy krok, sprowadzimy Berrymana. Ale będziemy mieć oko na nią, na Poundridge'a, na Jensa. Wiemy, że mag naznacza ich piętnem śmierci, jeśli zaczną mówić. Może nawet wystarczy, że ich przymkniemy. Nie możemy zatem tknąć żadnego z naszych Szczurów, dopóki nie będziemy wiedzieć wszystkiego i nie będziemy gotowi do przymknięcia całego tego gniazda zła.

Jewel pokiwał głową.

– Wchodzimy w to. Prawda, Yoav?

Mruknęła z niezadowoleniem.

– Jeśli będziesz mnie trzymać z dala od tego maga, wchodzę.

Pozostali zagłosowali za. Tunstall i Goodwin wiedzieli chyba, że tak będzie, kiedy zbierali towarzystwo. To były twarde Psy, poważnie traktujące służbę w Niższym Mieście. Czułam się zaszczycona, że poproszono mnie, bym stanęła wraz z nimi.

Podeszłam ze swoją dwójką gwardzistów do biurka pani sierżant.

– Ahudo, potrzebne nam dokumenty – szepnęła Goodwin. Wszystkie oczy skierowały się na nas.

Ahuda skrzywiła się.

– Ile was jest?

– Dziewięcioro. Dwa Szczury do natychmiastowej obserwacji, czyli dwa zestawy papierów – powiedziała Goodwin.

– Cztery pary wypadną z patroli? – spytała Ahuda. – Na jak długo?

Goodwin tylko na nią spojrzała.

Sierżant zaklęła.

– Nie mogliście wybrać mniej zwariowanego czasu? Nie odpowiadać. Zbiórka! – krzyknęła. – I opuścić pomieszczenie! Zostają tylko Psy!

Wszyscy gapie wyszli, a było przy tym mnóstwo marudzenia. My, Psy, stanęliśmy w szeregu.

Gdy drzwi zostały zamknięte i zaryglowane i nawet Psy klatkowe już wyszły, zapadła cisza.

– To szalony okres, dzieci – odezwała się Ahuda. – Mistrz Fulk był niegrzeczny. Poszukują go magowie królewscy. Nie zbliżajcie się do niego. Jeśli ma odrobinę zdrowego rozsądku, znajduje

się już na pokładzie statku, który płynie do Carthaku.

Wzięła głęboki wdech.

– Kayfer Deerbora złożył skargę na Ammona Loftsa. Twierdzi, że Loftsa napadł na Dwór Łotra. Z pisma wynika, że jest to miejsce spotkań rzemieślników, mieszkających między Świąteczną a nadbrzeżem, co bardzo mnie zaskakuje... – Nie próbowała nawet przekrzykiwać wybuchu śmiechu Psów. Po prostu go przeczekala. Podniosła jakiś papier ze swojego biurka. – Krzywonogi wdarł się do miejsca spotkań rzemieślników na czele bandy osiłków, rekrutujących się z żołnierzy niepełniących służby. – Postukała w papier. – Tak tu jest napisane. Zdemolowali budynek, włącznie z osobistymi kwaterami Kayfera, kradnąc różne przedmioty i niszcząc meble. Wszystko w imię odnalezienia Heruna Loftsa, który zeszłej nocy zaginął. Straż Dzienna bada sprawę, krok po kroku. Krzywonogi mówi, że do domu Loftsa przyszedł list od kogoś, kto podaje się za Węża Cienia, z żądaniem okupu za Heruna. Okup ma być dostarczony w tydzień od dnia, w którym Heruna porwano. Krzywonogi twierdzi, że to Kayfer zlecił porwanie. Nie jest to pozbawione sensu. Właśnie dlatego Krzywonogi, wraz z kilkorgiem, jak sam mówi, „przyjaciół”, skorzystał z „obywatelskiego prawa” i przeszukał Dwór Łotra.

– Chłop chce zginąć – odezwał się ktoś.

– Wielu ludzi zginie – rzekł głośno Jaśnie Pan Gershom, wychodząc z dowódcą straży, z jego gabinetu. Jaśnie Pan stanął przy biurku Ahudy. – Trzech spośród żołnierzy poza służbą, których najął Krzywonogi, znaleziono dziś rano w rzece. Mieli na szyjach związane rzemienie ze złotym noblem. W ten sposób Kayfer mówi, do czego prowadzi branie złota od Krzywonogiego. Wyjdźcie na ulice, wszyscy. Pokażcie się miastu. Połóżcie temu kres. Jeśli Łotr chce kogoś zabić, niech zabije Krzywonogiego, i dobrze, będzie z głowy. Ale obaj ci ludzie muszą zrozumieć, że to nie ich miasto, tylko nasze.

Odpowiedzieliśmy warkotem.

Skinął nam głową i wyszedł z budy. Dowódca znowu zniknął w swoim gabinecie.

– Słyszeliście Jaśnie Pana – podsumowała Ahuda. – A tymczasem, Birch i Vinehall, oto skarga Kayfera Deorbora na Krzywonogiego. Wy dwaj, weźcie ze sobą cztery Psy klatkowe i zajmijcie się tym. – Wyciągnęła pergamin, ciężki od pieczęci. Birch z uśmiechem podszedł, żeby go wziąć, a Vinehall ruszył sprowadzić cztery Psy klatkowe. Krzywonogi z pewnością wyjdzie z klatki niedługo po tym, jak do niej trafi, ale i tak warto było utrzymać mu nosa.

– Dostyc leniuchowania – warknęła Ahuda. – Możecie odejść. – Goodwin podeszła do biurka pani sierżant, a ci, którzy mieli prowadzić obserwację Kayu i Jensa, czekali. Ahuda westchnęła. – Nie słuchaliście? Jaśnie Pan chce, żebyście wyszli na ulice, a nie prowadzili jakiegoś specjalnego działania.

– Mamy coś – odrzekła Goodwin. – Siedemnaście trupów, a będzie jeszcze więcej. To pewne informacje. Goniliśmy własny ogon. Teraz mamy dwa tropy, ale ryzykowne. Jeden pracuje w dwóch miejscach, a drugi to mag. Nie zmuszaj mnie, żebym przypomniała ci o długach wobec mnie, dziewczyno.

– Słyszeliście Jaśnie Pana – Ahuda zwróciła się do niej i do nas z błyskiem w oczach. – I ty też masz wobec mnie długi, Clary. Siedemnaście trupów? Czemu nie słyszałam o tej sprawie?

– Bo tylko zmarli o niej mówią – odpowiedział jej Tunstall. – Wiesz, że Cooper ich słyszy. – Pani sierżant zerknęła na mnie. Zesztywniałam. – Ile osób o tym wiedziało? I dlaczego ja nie wiedziałam, że wiedzą?

– Nie mogę zwolnić ośmiu... dziewięciu Psów z patroli w takich czasach – stwierdziła Ahuda. – Wasza trójka i nikt więcej. Jeśli chcecie zacząć dziś wieczorem, idźcie. Przygotuję dla was papiery na jutrzejszą odprawę.

– Tylko jedna para i Szczenię? – Nie jestem pewna, kto to powiedział.

– Ahudo... – zaczął Jewel.

– To moje ostatnie słowo.

Widzieli, że mówi poważnie. Wszyscy się odwróciliśmy. Pozostali wyszli na dwór. Gdy opuściliśmy budę, czekali na nas.

– Rozmawialiśmy – oznajmił Jewel. – Kogo obserwuje wasza trójka?

Goodwin i Tunstall wymienili spojrzenia.

– Poundridge’a – odparła Goodwin. – To przed nim odpowiada Jens. Jens zaprowadzi nas do kopaczy. W tej chwili chcą zatrudnić kolejnych ludzi. Jak będą ich mieli, czarodziejka przyjdzie do nich z wizytą, a nie na odwrot.

Jewel pokiwał głową.

– Zgadzą się. Wszyscy będziemy nad tym pracować, obserwować Krzywonogiego i tę czarodziejkę. Nieoficjalnie. – Mrugnął do nas. – Lepsze to niż nic.

Goodwin wyszła na ulicę. Chyba mocno uderzyły ją słowa Ahudy, że może iść tylko nasza trójka. Tunstall poklepał Jewela i paru innych po plecach w geście podziękowania. Ruszyłam za nim i za Goodwin. To miało sens. Jens był strażnikiem. Prędzej czy później przyjdzie do swojego pana, Poundridge’a, po zapłatę. Mogliśmy trafić za nim do tych, których pilnował.

Poszliśmy na Targ Żalów. Po drodze Tunstall opowiedział mi o Poundridge’u. Mniej więcej od czwartej do północy siedział w budce umiejscowionej pomiędzy zagrodami a targową sceną i nadzorował strażników. Tam witał ludzi, którzy przychodzili obejrzyć niewolników, i wyżywał się na strażnikach. Ci, którzy pracowali dla niego w innych częściach miasta, mogli z łatwością zgłaszać się do niego z meldunkami i po kolejne zadania. A my mogliśmy go z łatwością obserwować. Zaulek, położony nieco dalej i po drugiej stronie ulicy, stanowił miejsce, z którego mogliśmy widzieć jego, podczas gdy on nie widział nas.

Byliśmy tam już na tyle długo, że zdążyłam się znudzić, gdy Goodwin spytała:

– Cooper, co się stało, gdy odwiedziłaś swoją przyjaciółkę Tansy? Wydawałaś się niespokojna, gdy o tym mówiłaś.

– Nie niespokojna. Zła.

Opowiedziałam im o wszystkim, starając się nie podnosić głosu. Gdy skończyłam, Drapek z jakiegoś powodu położył mi na bucie zdechłą mysz.

– Nie, dziękuję – powiedziałam. – Możesz ją sobie zatrzymać.

– Nie jestem pewna, czy powinnaś zdradzać, że wiesz o opalach. Zwłaszcza że stary próbuje utrzymać je w tajemnicy przed światem – wyszeptala Goodwin.

– Straciłam głowę – odrzekłam, odczuwając wstyd. – Boję się, że ten drań nie zapłaci okupu i Wąż zabije Heruna.

– Nawet Krzywonogi nie jest aż tak szalony – stwierdziła Goodwin, ale jej głos nie brzmiał tak, jakby w to wierzyła.

– Jest bardziej szalony niż byk ukąszony przez węża – powiedział Tunstall. A potem wydał z siebie cichuteńki gwizd. – Kogo my tu mamy?

Grupka ośmiorga szlachty nadjeżdżała konno, mieli ze sobą służbę do pomocy. Zatrzymali się przez budką Poundridge’a. Większość zsiadła z wierzchowców.

Jakaś kobieta przemówiła bardzo głośno:

– Czy to żarty? To ma być „atrakcja”, o której mówiliście?

– Wszyscy dobrze znaleźliśmy głęboki głos tej damy.

Ktoś parsknął śmiechem. Odpowiedział jej jeden z mężczyzn:

– Moja droga Sabine, chyba nie jesteś ponurą reformatorką, która domaga się, byśmy skończyli z niewolnictwem, co? Skoro było dobre dla naszych dziadów.

– Nie jestem żadną twoją drogą, gnido! Niewolnictwo rodzi występki... Na klątwę bogów, po co w ogóle z tobą rozmawiam!

Jeden z koni odwrócił się od reszty. Pani Sabine wyglądała w sukni zupełnie inaczej. Nie jak przyjaciółka ubrana w spodnie, która walczyła i jadła z nami. Wyglądała jak wielka dama.

– Przestań się gapić, Cooper – poleciła Goodwin. – Ona należy do szlachty. A szlachta to dla ciebie nieodpowiednie towarzystwo.

– Wiem, że przeceniam swoje możliwości – odezwał się Tunstall. Poczochrał Drapek, na pozór w ogóle nie rozdrażniony. – Udajesz, że kierujesz swoją radę do Cooper, ale nie nabierzesz ani jej, ani mnie. Żałuję, że Sabine jest szlachcianką.

Goodwin potarła się po szyi.

– Ja też, Mattes. Ale jest.

Chcąc powstrzymać wzbierający spór, wtrąciłam szybko:

– Pani Noll nosi naszyjnik, który Wąż Cienia wziął jako okup. Liliowy naszyjnik. Myślę, że to Yates może być Wężem.

Przez jakiś czas nie odpowiadali. W końcu przemówił Tunstall:

– Brygada kopaczy znaczy więcej niż jedna ofiara porwania, Cooper. Poprosimy Ahudę o dopisanie Yatesa Nolla do listy obserwowanych, ale musimy skupić się na kopaczach, zanim Krzywonogi zatrudni i zgasi następnych. Wiesz, że to zrobi, równie dobrze jak my.

Jego rozsądny głos zabrzmiał niczym młot w ciemności. Wiedziałam, że ma rację, ale w ustach czułam już smak Węża Cienia niczym krew.

Ale przecież były duchy, w liczbie siedemnastu. Ile nowych pojawi się rano? Czy znowu będzie to trucizna, czy też miecze, jak za pierwszym razem?

Obserwacja była długa i męcząca. Szlachcice odjechali. Wokół koni zaroilo się od żebraków, błagających o monety i wyciągających ręce do strzemion. Na rozkaz jednego ze szlachciców sługa rzucił na ulicę garść miedziaków. Żebracy rzucili się na nie, a tamci odjechali. Serce mi płonęło na widok zebrzących, traktowanych jak świnię, ale musiałam przyznać, że był to dobry sposób na oczyszczenie drogi.

Nadeszła pora kolacji. Goodwin i ja poszłyśmy na tyły zaułka po coś do jedzenia. Gdy czekałyśmy, aż w jadłodajni spakują to, co kupiłyśmy, Goodwin pokazała mi znaki, które Tunstall miał umieścić na budynkach. Dzięki temu, gdyby Poundridge wyszedł ze swojej budki, Tunstall mógł podążyć za nim, a my za Tunstallem. Na razie jednak Poundridge nie zrobił zbyt wiele, nie licząc drzemki i zabawy z dziewczką.

Gdy wróciłyśmy, nasz partner wciąż tkwił na stanowisku. Wkrótce pojawili się kupcy, by popatrzeć na niewolników. Była to popularna rozrywka wśród tych, którzy mieli pieniądze na łapówki dla strażników. Przybiegli kolejni żebracy, by wyludzić coś od tej grupki. Ci ludzie nie dawali jednak służącym monet do rozrzucania, tylko wjeżdżali prosto w żebraków albo odsuwali ich od siebie kopniakami. Trzy kobiety dały pieniądze młodszemu żebrakowi i zostały zbesztane przez swoich mężczyzn za to, że mają zbyt miękkie serca.

Nie wydarzyło się nic więcej. Drapek poddał się i sobie poszedł. Ciągle go nie było, gdy wróciliśmy do budy, by się odmeldować.

Czuję się bardziej bezużyteczna niż kiedykolwiek.

Pisane o trzeciej po południu w ogródku kuchennym.

Podczas śniadania nadciągnęła większa grupa młodych ludzi z Dworu Łotra, by porozmawiać z Rostem. Pisząc „młodych”, mam na myśli zarówno naszych rówieśników, jak i tych po trzydziestce. Większość przyniosła coś do jedzenia. Wszystkie koty, Drapek, Łobuziak oraz kociak, którego Kora nazwała Sierściuchem, mogły sobie nieźle podjeść. Gołębie też, chociaż siedemnaście duchów kopaczy zachowuje dystans w obecności obcych. Klaps przysiadł na mojej głowie i dziobał mnie, póki nie spadł. Potem odleciał. Złodzieje, którzy to widzieli, też się ode mnie odsunęli. Może uznali, że jestem stuknięta, skoro mówię do gołębia tak, jakby mnie rozumiał.

Ersken i ja unikaliśmy gości Rosta. Ci, którzy czekali, aż zamieni z nimi parę słów, gadali z Aniki albo z Korą. Przyszli tu w sprawach Łotra, nawet jeśli nie chodziło o Kayfera. W końcu Ersken szepnął, że spotkamy się na ćwiczeniach, i ruszył do wyjścia. Ale Kora nie pozwoliła mu odejść bez całusa na pożegnanie, a Rosto pomachał mu. Byłam mu za to wdzięczna. Ci ludzie uważają, że Rosto odnosi się do Erskena przyjaźnie, i sami też zaczną się do niego tak odnosić.

Poczekalam, aż Aniki będzie wolna.

– Posprzątasz? – spytałam. – Mam sprawy do załatwienia.

– Idź szukać swojego Węża, Becco. – Uśmiechnęła się. – Zajmę się tym. A jak już będziesz gotowa zabić Węża, pomogę obciąć mu łeb. – Poklepała ręką szyję.

Uniosłam brwi.

– Nie zabiję go, chyba że będę musiała – oznajmiłam. – Wąż stanie przed sądem.

Usłyszała mnie przyjaciółka Aniki, Trzciniowa Katie.

– A jeśli ma patrona? – spytała słodkim głosem. – Jest wielu ludzi, którym wszystko ucho-
dzi na sucho. A jeśli Wąż ma patrona, który wykupi go z Sądu Miejskiego?

– Wtedy go wytropię, złapię i znowu zamknę w klatce – odrzekłam. – I znowu, i jeszcze raz, i jeszcze raz, aż jego patron będzie miał go dosyć, a Wąż będzie miał dosyć mnie.

– Albo cię zabije – odezwał się ktoś inny.

– Nikt nie zabije Becki – przemówił Rosto z oczami niczym czarne kamienie.

– Nikt – powtórzył Phelan, kiwając głową.

– Nikt – zgodziły się Aniki i Kora.

– Jeśli można, umiem się sama bronić. – Próbowałam powiedzieć to głośno. Poczulałam, że policzki oblewa mi rumieniec. – Nie zamierzam dać się zgasić żadnemu Szczurowi ani Wężowi.

– Racja. – Śmiały Brian uniósł w moją stronę butelkę wody jęczmiennej w geście toastu. – Naprawdę jesteś Terierem, co Cooper? Jak wbijesz w coś zęby, to już nie puścisz.

Nie mogę powiedzieć, że biegłam, bo tak nie było. Potrząsnęłam głową i szybkim krokiem wyszłam z podwórka. Czy ci głupcy nie wiedzieli, że mogą być następnymi Szczurami, w które wbiję zęby? Na ich miejscu nieco mniej podziwiałabym Psa, dzierżącego więzienne kajdany.

– Pssst! Becca! – Właścicielka domu przewiesiła się przez parapet i machała do mnie obie-
ma rękami. Gorączkowymi gestami przyzywała mnie do siebie. Poszłam, z bijącym sercem. Czyż-
by tajemnicze zachowania Drapka zwabiły niemile widzianych gości, takich jak czworonożne
szczury? Czyżby kobieta miała zastrzeżenia do lokatorów, będących na bakier z prawem? A może
chciała nakłonić mnie do wyprowadzki, by zyskać miejsce dla kolejnego bandziora? Sądziłam, że
wynajęła mi kwatery, bo Pies w domu zapewnia bezpieczeństwo, ale zbiry i magowie też dają pew-
ną gwarancję.

Złapała mnie za rękę, gdy podeszłam do jej drzwi w wewnętrznym korytarzu.

– Ptaszek powiedział mi, że gadacie z tymi, co mieli do czynienia z Wężem Cienia. – Wcią-
gnęła mnie do swoich izb. – Szukacie w całym Niższym Mieście. Kora, Aniki, nawet Rosto...
Wszyscy zadawali pytania w twoim imieniu. – Nie wydawała się rozgniewana ani przestraszona.
Już prędzej zaciekawiona.

– Ktoś musi położyć temu kres, proszę pani – stwierdziłam. – Moje Psy, Goodwin i Tunstall, już nad tym pracują.

Posłała mi przebiegłe spojrzenie.

– To dobre Psy, ale to ty jesteś osobą, o której wiem, że szuka. A baba, poproszona o rozmowę z tobą, dowiedziała się, co robisz, Becco. Nawet nie słyszałam, że Wąż dopadł jej dziecko, wcale nie słyszałam! Powiedziała nam, że to byli złodzieje niewolników, którzy sprzedali dzieciaka Yamańczykom, przysięgała, że tak było. Uwierzylimy jej, ma się rozumieć.

Podrapałam się po karku.

– Proszę pani, czy możemy darować sobie zagadki?

– Siostra mojego szwagra, Amaya Painter – powiedziała. – Jest magiem. Minęły trzy lata, odkąd zniknął jej synek. Teraz słyszała, że wypytyjesz o Węża Cienia. Pyta, czy się z nią spotkasz. – Adres, który mi podała, znajdował się w Dzielnicy Koturnowej. – Nie zawsze tam mieszkała. Kupiła ten dom niedługo po tym, jak zabrali chłopca – oznajmiła kobieta. – Wcześniej mieszkała o dwie przecznice stąd, przy tej alei. Poprawiło jej się. Może bogowie wynagrodzili jej stratę jednego dziecka.

Skoro chłopiec zniknął tak dawno, musiał być jedną z pierwszych ofiar Węża. Warto było pójść na to spotkanie. Wróciłam do siebie, przebrać się w sukienkę. Ku mojemu zaskoczeniu na schodach przy moich drzwiach siedział Ersken.

Posłał mi bardzo nieśmiały uśmiech.

– Powiedz, że idziesz gadać z ludźmi, którzy widzieli Węża, i że mogę pójść z tobą – poprosił. – W drodze do domu przypomniałem sobie, że jeśli się tam pokażę, siostry zmuszą mnie do pomocy w pracach domowych. To nie byłoby takie złe, ale ostatnio zaczęły aranżować sytuacje, w których „przypadkiem” natykam się na ich niezajęte przyjaciółki.

Uśmiechnęłam się, wyciągając klucz.

– Możesz powiedzieć, że jesteś zajęty – stwierdziłam.

– I musiałbym opowiadać o Korze. Potem zaczęłyby jęczeć i polecałyby do rodziców. Becco, już wolałbym przejść nago przez Szambo. Po ciemku. Pozwól mi iść, żebym mógł im powiedzieć, że prowadziłem poszukiwania, dobrze?

Zgodziłam się, rzecz jasna. Zarówno Ersken, jak i Aniki chodzili rozmawiać ze świadkami w sprawie Węża, kiedy Kora nie mogła. Generalnie baby lubiły Erskena. Dzisiaj się przyda. Nie chciałam zabierać Kory na spotkania z innymi czarodziejkami. Nie dało się przewidzieć, jak zareagują na siebie nawzajem. Pod tym względem czarodziejki przypominały koty.

Kiedy Ersken, Drapek i ja zobaczyliśmy dom pani Painter w Dzielnicy Koturnowej, pomyślałam, że właścicielka domu mogła mieć rację i bogowie rzeczywiście wynagrodzili czarodziejce utratę dziecka. Dom był w połowie kamienny, a w połowie drewniany. Wokół okien i na kamiennej ścieżce widniały magiczne znaki.

– Wąż musiał być szalony, że zadarł z prawdziwą czarodziejką – powiedział Ersken, gdy zapukałam do drzwi.

– Można by tak pomyśleć – odparłam. Mój kot obwąchał symbol wymalowany na progu. – Drapek, zostaw to.

Drzwi otworzyły się, a z symbolu strzeliły iskry i buchnęła chmura ohydny dymu.

Kot spojrział na kobietę, która otworzyła, i miauknął. *Fatalna robota.*

Popatrzyła na niego z namysłem. W końcu przyjrzała się Erskeni, a potem mnie.

– Wiecie, co to za stworzenie?

– Wolę zbyt wiele o tym nie myśleć – odparłam. – To wszystko komplikuje. Pani Painter?

Pytała pani o mnie. Nazywam się Becca Cooper.

Pani Painter skierowała wąskie jak szparki oczy na Erskena.

– To jest Ersken Westover. Będzie mi bardzo pomocny – wyjaśniłam.

Odsunęła się i przytrzymała nam otwarte drzwi.

– Wejdźcie do środka. Wytrzyjcie nogi.

Ersken z zapalem wytarł buty.

– A pani wie, czym jest ten kot?

Spojrzała na mnie, a potem na Drapka.

– Wiem tylko tyle, że mieszka w Boskich Krainach – odparła. – Takie istoty świecą dla tych, którzy mają moc, by to zobaczyć. Ale może być czymkolwiek, co pochodzi stamtąd. A co robi tutaj...

Zdawało się, że czeka na odpowiedź.

– Zjada sporo ryb – powiedziałam. – I rozdaje kocięta swoim przyjaciołom. Pani Painter, nasz dzień jest krótki, bo idziemy na ćwiczenia, a Łotr ma zły humor i w ogóle. Słyszałam, że chce pani ze mną rozmawiać o swoim utraconym dziecku.

To chyba ją obudziło. Przypomniała sobie, że nie przyszliśmy do niej po amulety. Opadła na fotel. Stać ją było na salon ozdobiony posągami, wieńcami ziół i draperiami. W kącie znajdował się ołtarzyk, poświęcony Apetekusowi, Opiekunowi Niewolników. Girlandy ze splecionych kwiatów uschły, świece się wypaliły. Jeśli składała temu bogu ofiary, to jakiś czas temu.

– Moja przyjaciółka jest nie w humorze – powiedział Ersken do pani Painter, patrząc na nią pogodnym wzrokiem. – Jej Psy prowadzą inną sprawę, równie frustrującą jak ta. A Łotr wścieka się na Krzywonogiego. Na pewno słyszała pani o zamordowanych strażnikach i żołnierzach. – Mówił do niej w sposób oficjalny, jak do kogoś, kto czyta codzienne raporty i wie, co się dzieje w mieście. Złagodniała, słuchając go. To przez tę jego chłopięcą twarz i niebieskie oczy. Ersken rozsiewa wokół siebie szacunek niczym ładny zapach. – Becca mieszka w Niższym Mieście, więc denerwuje się tym bardziej niż inni. Dlatego nie mogła nie zwrócić uwagi na opowieści o Wężu Cienia.

Popatrzyła na mnie.

– Słyszałam. Dlaczego sądzisz, że możesz go złapać?

– Bo moje Psy to Tunstall i Goodwin, którym melduję o wszystkim, co robię. – Teraz to ja powinnam kontynuować to, co zaczął Ersken. – Na razie prowadzę przesłuchania. Mówię im, czego się dowiedziałam. Jak będą wiedzieć, kogo ścigamy, przykniemy zarówno jego, jak i Szczury, które mu pomagają. No i Tansy Lofts jest moją przyjaciółką. Znałam jej synka, Rolonda. – Podniosłam rękę. Nie chciałam słyszeć, co kobieta ma do powiedzenia o Krzywonogim. – Nie obchodzi mnie dziadek jej męża – stwierdziłam. – Tansy nie prosiła o śmierć Rolonda, tak jak pani nie prosiła o porwanie swojego synka.

Czarodziejka sięgnęła pod swoją tunikę po skórzany pakunek. Nakreśliła na nim palcem znaki, zapewne uwalniając jakieś zaklęcia.

Drapek kichnął. Pani Painter posłała mu surowe spojrzenie, jakby pozwolił sobie na jakiś pogardliwy komentarz.

– W Niższym Mieście są wystarczająco dobre, panie Nieśmiertelny, czy kim tam jesteś.

– Moja ukochana mówi, że może jest konstelacją – powiedział Ersken, starając się pomóc.

Pani Painter zaczęła kreślić magiczny znak na swojej piersi, a potem przestała.

– Ciekawe – powiedziała. Potem kaszlnęła i otworzyła pakunek. Drżącymi palcami wyjęła arkusz papirusu i podała mi go.

Znam już liściki od Węża równie dobrze jak własne imię. Ten różnił się od innych. Widniał na nim niezgrabnie wyrysowany węzowy łeb. Linie były okrągłejsze i nie tak długie. Pismo zdawało się niepewne, jakby autor czegoś się bał.

– Kiedy to było? – spytałam.

– W Ognistą Jesień – odparła. Tą nazwą magowie określali pierwszy lutego, noc, gdy niektóre rodzaje zaklęć stawały się szczególnie potężne. Miałam przeczucie, że pani Painter nie ma dość mocy, by choćby nakreślić kręgi, rozpoczynające takie zaklęcia. – W Ognistą Jesień 243 roku.

Spojrzałam na Erskena. Zamrugał powiekami. Było to najwcześniejsze porwanie Węża, o jakim słyszeliśmy. Czyżby pierwsze?

– Mieszkała pani tutaj? – spytałam, choć wiedziałam, że nie.

Pokręciła głową.

– Przy Zachodniodurnej, tuż przy Stuvek – powiedziała. – W mniejszym domu. – Wargi jej się zatrzęsły. – Szczęśliwszym... Calum był bardzo niezależnym malcem. Zanim zaklęcia mogły mnie ostrzec, już nie było go w domu, wymykał się za drzwi szybciej, niż rozbrzmiewały dzwonki. Prawie doprowadzał mojego męża i mnie do szału. – Wspominając, zatraciła gładki sposób mówie-

nia, którego nabrała tutaj, w Dzielnicy Koturnowej. – Vonti, mój mąż, nie widział świata poza Calumem. Ciągłe powtarzał, że powinniśmy mieć więcej dzieci, podczas gdy ja ledwie mogłam upilnować jedno, nadal sprzedając eliksiry i amulety. Vonti mówił, że zarabia dosyć, by nas utrzymać. Kiedy Caluma porwano, Vonti godzinami kręcił się po ulicach, wołał i wołał. Zaglądał do karczm, na targi, przynosił informacje o takim czy innym zakłęciu, którego powinnam spróbować. – Spuściła oczy. Na jej kolana zaczęły kapać łzy.

– Ale dostała pani wiadomość – powiedziałam, gdy łzy ustały. Spojrzałam na list i przeczytałam, o co prosił Wąż. – Miała pani... co tu jest napisane? Rubinowe waha-deł-ko? – Było to słowo, które widywałam na piśmie, ale nigdy nie musiałam wymawiać go na głos, nazwa jakiegoś magicznego narzędzia, które wisiało na łańcuszku.

Kobieta otarła oczy, nie podnosząc spojrzenia.

– Myślałam, że to żart. – Powiedziała to tak, jakbyśmy ją o coś oskarżali. – Wąż Cienia? Mówiłam Calumowi, żeby na siebie uważał, bo inaczej Wąż go dopadnie! Żeby jadł buraki i nie wychodził za płot, bo przyjdzie Wąż! Byłam pewna, że to żart, okrutny żart. Cała okolica wiedziała, że mam rubinowe wahadełko. Chwaliłam się nim jak głupia, chełpiłam się jego mocą.

– Nie zapłaciła pani Wężowi – powiedział łagodnie Ersken. – Każda kobieta pomyślałaby tak samo.

– A pani mąż? – spytałam. Nie okazywałam współczucia. Ersken robił to za nas oboje. Do wiem się czegoś z jej zachowania, gdy przedrę się przez jej wdzięczność wobec niego. Dostrzegłam teraz coś ważnego w sposobie, w jaki się ode mnie odsunęła. – Nie powiedziała mu pani – stwierdziłam, a nie zapytałam.

– Jak mówiłam, myślałam, że to okrutny żart. – Znowu odwróciła ode mnie wzrok. – Każdy mógł przysłać list, to nie takie trudne. Nawet nie pokazałam go Vontiemu. Wcześniej ten list złamałby mu serce. Potem... gdy Calum nie wrócił do domu, złamał je mnie. – Przeszyła mnie spojrzeniem. – Rzuciłam klątwę na tych, którzy zabrali mi dziecko.

– Podziękuję? – spytałam, nie pozwalając, by jej wzrok mnie przestraszył. Po pierwsze, na moich nogach siedział Drapek. Dobrze było mieć go w pobliżu w chwili, gdy rozdrażniłam czarodziejkę. Po drugie, ta kobieta nie znalazła swojego synka pomimo wszystkich czarów, których próbowała.

– Potrzebuję czegoś, co należy do jednej z osób, na które rzucam klątwę, a nic nie miałam – powiedziała. – Nic, oprócz tego listu, a on jest bezużyteczny. Próbowałam już na nim zakłść. Takich, które pozwoliłyby mi znaleźć Caluma, jego porywaczy albo chociaż miejsce, w którym przebywał. Cwane dranie zdjęli amulety, które założyłam Calumowi, by go odnaleźć, i wrzucili je do fontanny. Bez nich moje umiejętności na nic się nie zdały. – Głowę miała zwieszoną, jakby szyja nie mogła jej utrzymać. – Jestem całkiem niezła w uzdrawianiu, we wzbudzaniu pożądania. W sprawach ciała. Ludzie uważają, że mam jakiś dar widzenia, ale to tylko wiedza o okolicy i zwyczajach jej mieszkańców. Postarałam się, by myśleli, że jestem lepsza niż byłam w rzeczywistości.

Popatrzyłam na ołtarzyk Apetekusa.

– Nigdy go pani nie odzyskała?

Westchnęła.

– Nigdy. Kłamałam. Mówiłam ludziom, że zabrali go handlarze niewolników i sprzedali na Wyspy Yamańskie. Był paziem w pałacu cesarza i cały dzień chodził w jedwabiach. Mówiłam im. i Vontiemu... że go widzę, dzień w dzień. Kłamałam tak dobrze, że Vonti wyruszył tam w podróż. Żeby wykupić naszego syna. Minęły dwa lata, a on nie wrócił. Jego statek poszedł na dno z całą załogą u brzegów Scanry.

– Łączymy się z panią w żalu – szepnął Ersken. – Gdyby tylko poszła pani do Psów. Gdyby zabrała pani jego prześcieradła i kocyki, ogary gończe mogłyby coś wywęszyć.

Wbiła w niego wzrok.

– Zwariowałaś? Co ma z tym wspólnego jego pościel?

– Zabrali go z łóżka, prawda? – Ersken zadał to pytanie powoli, jakby czekał, aż słowa przeciekną mu przez mózg. – Tak jak innych.

– Caluma porwano na Targu Nocnym – oznajmiła. W jej wzroku widziałam, że ma nas za

szaleńców. – Vonti skończył swoją pracę na ten tydzień, więc pomyśleliśmy, że zjemy coś słodkiego, połączymy, porozglądamy się. Zarobiłam trochę grosza na pomocy przy porodzie, więc kupiliśmy na wieczór cynamon do owsianki i miodowe placki. Rozmawialiśmy i... i... – Umilkła, opuszczając wzrok na swoje kolana. Mówiła o tym tak wiele razy, że nie miała już siły płakać.

W uszach mi brzęczało.

– Nie widziała go pani. Wołała go pani, a on nie odpowiadał – powiedziałam. Pani Painter pokiwała głową. Ciągnęłam: – Byliście w alejce kupców korzennych. A wszyscy w okolicy wiedzieli, że uprawia pani magię przy użyciu wahadełka z prawdziwego rubinu.

– Nosила je jako naszyjnik – mruknęła. – Byłam dumna i głupia, a zapłaciło za to moje dziecko. Wiem, że mój syn nie żyje, tak jak mój mąż. Teraz dobrze sobie radzę i mam rubin, który rozgrzewa moje martwe serce.

– Inni nie przechwalali się tym, co było dla nich cenne – stwierdził Ersken, kierując spojrzenie na mnie. – Wąż i tak ich dopadał. – Po moim pocieraniu się po nosie z pewnością poznał, że myślę. – Jeśli Wąż usłyszał o rubinie... a Becca odkryła, że Wąż zdobywa wiedzę o skarbach, które trzymają ludzie... nie miało znaczenia, czy go pani nosiła, czy nie. Mogła go pani bez świadków zakopać w ogródku, a Wąż i tak by panią odnalazł. Ten Wąż to pazerny gnój, proszę pani.

Pierwszym atakiem Węża było porwanie dziecka prosto z alejki kupców korzennych, pomyślałam. Ersken dalej rozmawiał z panią Painter. Obiecał jej, że odda list, jak już skończymy. Powiedział, że damy znać, jeśli się czegokolwiek dowiemy.

Myślałam sobie: Wąż zobaczył ten wisiołek i zapragnął go mieć. Z miejsca złapał Caluma. Ze wszystkich ludzi, którzy i wtedy, i teraz bywają w alejce kupców korzennych, ciągle natykamy się na Yatesa Nolla.

– Jakim cudem stał się taki sprytny po tylu latach drobnych wykroczeń i fuszerek? – zagadnęłam Drapka, gdy wyszliśmy z domu.

– Kto? – zapytał Ersken.

Popatrzyłam na niego. Co miałam zrobić?

– Myślę, że powinnam najpierw powiedzieć o wszystkim Goodwin i Tunstallowi – stwierdziłam w końcu. – Chodzi o potwierdzenie pewnego domysłu, ale oni i tak mogą uznać, że warto tyle, co szczenięce siki.

Ersken zatrzymał mnie na środku ulicy, w pełnym blasku słońca.

– Bądź ostrożna – powiedział z powagą w oczach. – Jeśli Wąż albo jego banda zacznie myśleć, że masz dosyć danych, by poznać prawdę... mogą próbować zgasić ciebie i wszystkich, którym ją przekazałeś. Nikt nie chce śmierci, czekającej dzieciobójcę na Wzgórzu Straceń.

Pot sływał mi po plecach. Dzień zrobił się upalny.

– Nie możemy ciągle się martwić, co nam zrobią Szczury – odrzekłam. – To utrudnia ich łapanie.

Uśmiechnął się do mnie, powoli unosząc kąciuki ust.

– Jak sobie życzysz, gwardzistko Terier.

– Przestań – zaprotestowałam i poczułam się bardzo, bardzo dziwnie, nie z powodu uśmiechu, chociaż gdy Ersken się do kogoś uśmiechał, wkładał w to całe serce. – Nie nazywaj mnie „Terierem”. Takie przydomki należą się tym, którzy dokonali czegoś wielkiego. Ja niczym na to nie zasłużyłam. – Oddaliłam się, po części po to, by znaleźć się w cieniu, a po części po to, by uciec od samego pomysłu posiadania przydomka, jeszcze zanim w ogóle stanę się Psem.

Ersken podbiegł truchtem, by mnie dogonić. Pot zmoczył mu kasztanowe loki, ale poza tym skwar najwyraźniej mu nie przeszkadzał. Klepnął mnie w ramię, gdy skręciliśmy w ulicę Skrzydłosztorma.

– Dokonasz wielkich rzeczy, Becco. Każdy to wie. Nawet twoje Psy. Tylko ty w to wątpisz.

– Zapomniałeś o „Rybim Szczenięciu”? – spytałam. – O tym, że ciągle nie mogę złożyć zeznania przed sędzią, żeby język nie wiązał mi się w supeł? Albo...

W plecy pacnęło mnie coś miękkiego i mokrego. Powąchałam, odwracając się – łajno. Ersken wyszperał z kieszeni chusteczkę, by je zetrzeć, zanim ścieknie i bardziej pobrudzi mi tył sukienki. Podałam mu swoją, wzrokiem szukając tych, którzy rzucili.

Stali na rogu, trójka dzieci Orvy i Jacka Ashmillerów. Środkowe, dziewczynka, o ile mnie pamięć nie myliła, miało ręce brązowe od gnoju. Starsze też było dziewczynką. Trzymała najmniejsze z dzieciaków przy sobie za pomocą sznurka, którym związała mu nadgarstki. To z kolei bez wątpienia był chłopiec. Nie nosił pieluchy, a jedynie koszulkę.

Podeszłam do nich, ogarnięta furią. Nie cierpię na sobie łajna, zawsze nie cierpiałam. Nie znoszę jego smrodu i poczucia, że równie dobrze mogłabym wrócić na Uliczkę Psich Sików. Byłam tak wściekła, że potknęłam się o żebraczą miskę. Wypadły z niej trzy miedziaki.

To mnie powstrzymało. Pochyliłam się i pozbierałam monety, podrzucając je w dłoni. Dzieci patrzyły na mnie i nie ruszały się. Bały się, że zabiorę pieniądze.

– Czy wasz tata wie, że chodźcie na żebrzy? – spytałam najstarszej z rodzeństwa.

– A kogo to obchodzi, czy wie? – powiedziała młodsza siostra. – Zostawił nas, a właściciel domu nas wykopał. Wszystko przez ciebie! – krzyknęła, a twarz jej spurpurowiała. – Przeklęta dzirdo! Ryjąca świnió! Zabrałaś nam mamę, a potem tata szukał i szukał pracy, ale żadnej nie mógł znaleźć!

– Rzuciłaby się na mnie, ale Ersken zaszedł ją z tyłu i złapał za tunikę. Szarpała się, próbując mnie dopaść i nawet nie myśląc o tym, by zwrócić się przeciwko niemu.

– Przepraszam – przemówił w końcu. – Jest na to za gorąco. – Podniósł ją, otoczywszy ręką w tali. Potem poniósł ją na ramieniu, wrzeszcząc i piszcząc, do końskiego koryta po drugiej stronie ulicy. Wrzucił ją do środka z głośnym pluskiem. To ją uciszyło.

Popatrzyłam na najstarszą dziewczynkę.

– Czy wasz tata mówił, że ma pracę, kiedy odchodził? Przyciągnęła chłopczyka do swojego boku i mocno go przytuliła. Wiercił się.

– Co?

Powtórzyłam pytanie.

– Ersken nie zrobi krzywdy twojej siostrze – dodałam. – A teraz przynajmniej nie ma łajna na rękach. Czy wasz tata mówił, że ma pracę? To ważne.

– Nie rozmawiaj z nią! – krzyknęła jej siostra, a przechodnie śmiali się albo szli w swoją stronę. – To brudna, zła, przeklęta przez bogów. – Ersken zawiesił ją do góry nogami, używając jednej ręki, by dla skromności przytrzymać jej sukienkę na wysokości kolan, drugą przyciskając sobie jej łydki do piersi. Mogła oddychać, ale ledwo ledwo. Nie mogła za to obrzucać obelgami ani mnie, ani jego.

Starsza dziewczynka tylko na mnie patrzyła. Nie otworzyłaby buzi, nawet gdyby Ersken rozbił głowę jej siostry o ulicę. Wsunęłam dłoń do sakiewki przy pasku, by wyciągnąć monetę, i wzdrygnęłam się, gdy ją zobaczyłam. Był to srebrny nobel. Zaczęłam wkładać go z powrotem, lecz dostrzegłam skierowany na siebie wzrok chłopca. Ssał swoją piąstkę. Moi bracia też tak robili, kiedy byli głodni. Włożyłam monetę do żebraczej miski.

Starsza z sióstr wyjęła wszystkie pieniądze z naczynia, jakby w obawie, że się rozmyślę.

– Mówił, że idą kopać, ale to była tajemnica – powiedziała. – Mieli nikomu nie opowiadać. Miejsce było tylko kilka, więc ludzie nie daliby im spokoju, bo o robotę ciężko.

Gwizdnęłam. Była to niezła historia, na dodatek częściowo prawdziwa.

– Mnie powiedział tylko dlatego, że bym nie myślała, że odchodzi od nas na zawsze. Miał niedługo wrócić do domu z pieniędzmi na czynsz i nie tylko. Mnie kazał trzymać drzwi zaryglowane, udawać, że nie ma nas w domu, i oszczędzać jedzenie. Ale nie było go trzy dni, a właściciel wyważył drzwi i nas wyrzucił. – Płakała. – Dał nam miskę i powiedział, że jeśli uzbieramy wystarczająco dużo, wpuści nas z powrotem. I jeszcze się śmiał.

Chłopczyk wyciągnął rączkę z radosnym okrzykiem. Drapek podszedł do nas z patykiem, na który nabite były kawałki mięsa z rusztu. Była to konina, mocno przyprawiona czosnkiem, sądząc po zapachu. Dziewczynka drżącą ręką wzięła szaszлык od mojego złodziejskiego kota.

Ersken postawił jej siostrę na ziemi. Gdy do nas podbiegła, powiedział:

– Mam pomysł. Zaraz wrócę.

Kiedy cała trójka zdążyła wepchnąć sobie mięso do ust, wrócił z kolejną porcją oraz z trzema plackami. Dzieciaki pochłonęły wszystko w ciszy.

Nie mogłam ich tak zostawić. Groziło im schwytnie przez handlarzy niewolników albo kogoś gorszego. W każdej chwili mogły zniknąć.

Miałam trochę dodatkowych pieniędzy z łapówki od księgowego handlarzy niewolników. Teraz wiem, po co bogini zesłała mi taką niespodziankę. To nie miały być oszczędności na czarną godzinę, na co liczyłam. Ale na jak długo wystarczy tych pieniędzy? Muszę też pamiętać o właścicielce mojego domu. Na jakiś czas mogę narzucić jej swoją wolę, pod warunkiem że ta trójka będzie siedziała cicho.

Ile będzie kosztowało ich wykarmienie?

Nic na to nie poradzę, pomyślałam. Przymknęłam żonę Jacka Ashmillera. Nie powiem mu, że doprowadziłam do zguby także jego dzieci.

Przeprowadziłam je obok właścicielki domu, mówiąc, że pani Painter udzieliła mi cennych informacji. Tak jej to pochlebiło, że nie protestowała przeciwko przyprowadzeniu do domu trójki małych żebraków, przynajmniej nie od razu. Ersken pomógł mi zatargać na górę kilka wiader wody, by dzieciaki mogły się umyć.

– Na razie zostanieie tutaj – powiedziałam im, gdy przemeblowaliśmy pomieszczenie. – Znajdę waszego tatę.

– Czemu mamy ci wierzyć? – spytała młodsza z dziewczynek.

Siostra pacnęła ją w głowę.

– Bo jesteśmy tutaj, a nie na ulicy. Nie zabrała nas do handlarzy niewolników ani do szpitala dla podrzutków, więc zamknij gębę. – Popatrzyła na mnie. – Nie róbcie ze mnie kłamczuchy, Szczenięta. – Teraz popatrzyła na Erskena. – Będę cię przeklinała z każdym swoim oddechem.

Choć nie było im wolno obserwować Poundridge'a, gwardziści, którzy pierwsi zgłosili się na ochotnika, przyszli posłuchać, gdy wymieniałam informacje ze swoimi Psami przed odprawą. Pomyślałam, że chcieliby o tym wiedzieć, więc powiedziałam wszystkim o losie rodziny Ashmillerów. Przez chwilę nikt nie wydawał żadnego dźwięku. Potem usłyszałam jedno z najlepszych wiązaneek w swoim życiu. Najwyraźniej myśleli to co ja. Jack Ashmiller został zatrudniony przez kogoś od Krzywonogiego. Teraz jego dni były policzone.

– Nie ma sensu błagać Ahudy ani dowódcy, żebyśmy w większej liczbie obserwowali ludzi Krzywonogiego – stwierdził Jewel, zaciskając ręce w pięści. – Osiem osób spośród tych, których Krzywonogi użył do napaści na Dwór Łotra, poniosło śmierć wczoraj w nocy, z czego cztery w swoich koszarach. I nie liczymy tu zwykłych zabójstw i kradzieży w Niższym Mieście. Mamy oczy i uszy otwarte. O ile nam wiadomo, Kayu trzyma się blisko Krzywonogiego. Może staruch uważa, że czyhają na jego życie. – Podniósł wzrok na Ahudę, która przyglądała się nam surowym wzrokiem. Wiedziała, że potrzeba nam więcej obserwatorów. – Oczy i uszy otwarte, ręce związane, a Niższe Miasto jak przewrócony ul. – Jewel ruszył na swoje miejsce krokiem starca.

Po odprawie Goodwin zatrzymała Tunstalla, Drapka i mnie, gdy wychodziliśmy na zewnętrzny dziedziniec.

– Musimy porozmawiać z twoimi małymi gośćmi – powiedziała. – Naprawdę porozmawiać. Uczysz się, Becco, a o Erskenie słyszałam same dobre rzeczy, ale może uda nam się wycisnąć z nich trochę.

Wiedziałam, że ma rację, lecz moja duma nieco ucierpiała. Wydawało mi się, że wykonaliśmy dobrą robotę, rozmawiając z dziećmi, którym przeklinanie mojego imienia przychodziło równie łatwo jak oddychanie. W końcu przyszły ze mną do domu, prawda?

– Dobry pomysł. – Tunstall wyciągnął do niej swoją wielką jak bochen dłoń. – Dawaj, Clary. – Zgromiła go spojrzeniem. – Cooper daje im dach nad głową z poborów Szczenięcia. Jak długo może to robić? Powiemy Ahudzie, że to świadkowie, i odzyskamy z funduszu szkatułki to, co wszyscy troje zapłacimy. A przynajmniej część.

Na początku odetchnęłam z ulgą. Mogłam częściowo odzyskać to, co wydałam. To by się przydało. Przestałam raz za razem przeliczać swoje monety.

Goodwin zakłęła pod nosem, otwierając sakiewkę.

– Nawet o tym nie myśl, Clary – powiedział Tunstall. – Wiem o każdym miedziaku, który masz przy sobie. Ta sakiewka ma tylko wkurzać złodziei.

Aż warknęła. Wsunęła dłoń pod tunikę i wyciągnęła drugą sakiewkę.

– Drań!

– Skąpiradło – odparł.

Ale to był już koniec kłótni. Z Drapkiem, który podążał w ślad za nami, ruszyliśmy na Targ Nocny. Tunstall nie wydał wyłącznie pieniędzy Goodwin. Sam wygrzebał pięć srebrników. Kupiliśmy używane ubrania, przy których musiałam odgadywać rozmiary, sandały, jedzenie, które nie psuje się zbyt szybko, i gorący posiłek. Wracaliśmy do mojej kwatery obwieszeni pakunkami i pełnymi kosztami.

Na schodach przy drzwiach moich i Aniki czekała niespodzianka. Siedziała tam Tansy, ubrana odpowiednio do świata, w którym żyłam. Obok niej leżała pękata paczka, a także skórzana sakwa.

Popatrzyła na naszą trójkę i odsunęła swoje rzeczy. Jej dolna warga drżała. Goodwin i Tunstall obeszl ją dookoła. Drapek otarł się o jedną z jej dłoni, którą następnie obmył językiem.

Stałam bez ruchu. Którego boga aż tak bardzo dziś rozdrażniłam?

– Nie mam dokąd pójść – powiedziała. – Rodzina odwróciła się ode mnie, kiedy wyszłam za wnuka Krzywonogiego. I, Becco... Dziadek powiedział, że zmusi mnie do utraty dziecka, by Łotr nie mógł wykorzystać noworodka przeciwko niemu. Chyba oszalał.

– Zawsze był szalony – stwierdził Tunstall z wrodzoną sobie zdolnością do pocieszania innych. – Tyle że teraz zaczął bredzić. Cooper, wpuścisz panią Lofts?

Zaczynałam rozumieć, dlaczego Goodwin tak często go kopała. To nie on miał żyć w piątce w pokoju przeznaczonym dla jednej osoby.

Otworzyłam drzwi. Trójka Ashmillerów kulila się w kącie, jakby spodziewając się, że zaraz oberwą. Okiennice były otwarte. Wszędzie roило się od gołębi. Maluchy znalazły moje skrawki chleba.

Rozboliła mnie głowa. Nie mówiłam im, że nie wolno otwierać okiennic.

Klaps podfrunął bliżej i próbował mi usiąść na głowie. Oczywiście, zleciał. Popatrzyłam na małych Ashmillerów.

– Moje Psy chcą z wami pogadać – oznajmiłam. – Zapomniałam was uprzedzić o ptakach. – Obejrzałam się. Tansy ciągle kulila się na schodach. Myślała, że kopniakiem pośle ją na dół czy jak? – Moja przyjaciółka Tansy u nas zostanie. Będzie spała na łóżku. A wy macie być dla niej mili.

Tunstall i Goodwin rozpakowywali sprawunki, podczas gdy ja mówiłam. Nie wiem, czy to moje słowa, czy też zapachy ciepłego jedzenia sprawiły, że dzieciaki pokiwały głowami. Gdy Goodwin rozłożyła na moim stole paszteciki i postawiła garnek gorących klusek, zbliżyły się. Wyjęłam swoje naczynia i sztućce. Tunstall przyprawił je o nieznaczące uśmiechy, gdy przycupnęła na o wiele za małym stołku. Goodwin odegnała ptaki, które jednak odfrunęły niedaleko, tylko na parapet i krawędź dachu. Słyszałam je, a także ich duchy, ponad podmuchami popołudniowego wiatru.

Tansy wniosła swoje rzeczy. Miała siatkę z jedzeniem, które zaraz wyłożyła na blat. Pamiętała o moim zamiłowaniu do miodowego ciasta z owocami. Patrzyłam, jak ciasto znika za sprawą maluchów i Tunstalla. Podczas gdy Tansy krzątała się wokół stołu, czesząc włosy młodszej dziewczynki i zaplatając je w warkocze, moje Psy zadawały pytania.

Czułam się głupio, gdy Tunstall i Goodwin próbowali uzyskać informacje, których ja nie zdobyłam. Czy dzieci chodziły z tatą, gdy szukał pracy? Starsza siostra potwierdziła, że owszem, czasami. Wymieniła parę adresów, które kilka razy sprawdzaliśmy. Powiedziała, że przez ostatnie dwa tygodnie jej tata chodził gdzie indziej, sam. Znalazł miejsca, gdzie niewielu kandydatów ubiegało się o tę samą posadę.

Praca, którą w końcu znalazł, była pracą nocną. Wyszedł do niej, a rano nie wrócił. Trzy dni później pojawił się właściciel domu. Zabrał niemal wszystko, z wyjątkiem zawartości niewielkich tobołków, które pozwolił dzieciom spakować. Patrzył im na ręce, gdy składały rzeczy. Nie chciał, by ukryły cokolwiek wartościowego, zanim je wyrzucił.

Starsza dziewczynka, która mówiła najwięcej, umilkła. Goodwin zabębniła palcami o blat stołu. Wtedy jej młodsza siostra wskazała mnie podbródkiem i powiedziała:

– Wzięła nas tutaj tylko przez wyrzuty sumienia. Bo to jej wina, że nie ma z nami mamy ani

taty.

Tansy pociągnęła małe diablę za warkocz.

– Cicho – ofuknęła dziewczynkę. – Nieładnie tak mówić o kimś, kto dał ci dach nad głową, niezależnie od pobudek.

– Elegancki akcent, którego nauczyła się u Krzywonogiego, zniknął, gdy przemawiała do dzieci Ashmillerów, które z kolei łagodniały w towarzystwie młodej matki z Uliczki Psych Sików.

– Wasza mama sprawiała kłopoty – powiedział Tunstall. Słowa były ostre, ale głos miał uprzejmy. – Jesteś dość duża, by o tym wiedzieć. Mam znaleźć lustro, żeby pokazać ci bliznę, którą masz na buzi? My możemy się tylko domyślać, kto ci ją sprezentował, a ty to wiesz. A szramy na swoich rękach sama doskonale widzisz. – Dziewczynka spuściła wzrok. – Gdyby nie Cooper, nie mielibyście nawet od czego zacząć poszukiwać taty.

Poczułam, że się czerwienię. Nie cierpię, jak o mnie mówią, kiedy jestem obok.

Goodwin wstała.

– Idziemy. Jeśli wy, dzieci, przypomnicie sobie coś, co powiedział wasz ojciec o tym, dokąd idzie albo kto go zatrudnił, powiedzcie Cooper. Chcacie, żeby się znalazł, a to nasza robota. Nie kombinujcie. – Dziewczynki pokiwały głowami. Chłopczyk rozsmarowywał sobie rodzynki z ciasta na buzi. Tansy zaczęła go wycierać.

– W takim razie pójdziemy zając się swoją pracą. Zostańcie w środku i zamknijcie drzwi – polecił Tunstall. Ukłonił się nawet Tansy. – Niech bogowie mają cię w opiece.

– Niech bogowie mają was w opiece – odrzekła. – Wszystkich. I, Becco... dziękuję ci.

Tylko jej pomachałam.

– Nie rygluj drzwi, żebym mogła wejść.

W ślad za swoimi Psami wyszłam z kwatery.

– Co za stek bzdur – skomentowała Goodwin, gdy zbiegliśmy po schodach.

– Niekoniecznie – odparł Tunstall. – Chodźmy do tego domu. Może właściciel nie sprzedał rzeczy Jacka Ashmiller. Możemy wziąć Apsikę, żeby tam powęszyła.

– Apsika będzie miała kłopot z tropieniem wozu – zaoponowała Goodwin. – Gołębie mówiły Cooper, że kopaczy wożą do piwnic wozem. A to co?

Grupka ludzi weszła przez drzwi, przerzucając się żartami. Poznałam Aniki i czwórkę zbiorów z dworu Dawulla. Teraz to oni zobaczyli Psy i sięgnęli po miecze.

– Stójcie – powiedziała Goodwin, wyciągając pałkę. – Nie mam ochoty na walkę w takim otoczeniu i wątpię, by Cooper chciała mieć porąbane schody.

– Opanujcie się, głupki, to Goodwin i Tunstall – poleciła Aniki. W jej błękitnych oczach malowała się troska. – Wszystko w porządku?

– Mam nowych lokatorów – odparłam. – Mąż Orvy Ashmiller dostał pracę jako kopacz i zniknął. Jego dzieci wyrzucono na ulicę, więc przyprowadziłam je tutaj. A Tansy uciekła z domu teściów. Też tu jest.

Usta Aniki zadrgały, zapewne na wieść o tylu gościach. Potem zmarszczyła czoło.

– Dostał pracę jako kopacz... i zniknął?

– Jack nie zginął – powiedziałam szybko. – Dzieci wpuściły gołębie i je nakarmiły. Nie ma go wśród nich. Ta brygada jeszcze żyje.

Trzymała worek z dwoma butelkami wina. Podała go jednemu z kolegów.

– Znajdźcie sobie inne miejsce i tam marudźcie, chłopaki. – Podniosła wzrok na nas. – Powiedzcie mi, gdzie szukać albo kogo mieć na oku. Becca wszystko mi mówiła, ale wy troje macie służbę na ulicach i próbujecie powstrzymać Łotra przed zabiciem kolejnych osób, które pomagały w najeździe. A ja mam czas. Chcę się na coś przydać.

– Co z Dawullem? – spytał Tunstall.

– Odeszłam od Dawulla. – Aniki posłała mu swój pełen luzu uśmiech, który mówił, że zupełnie nic jej nie obchodzi. – Wydał części z nas rozkaz, by dziś w nocy zabić Łotra. – Mężczyźni, którzy z nią przyszli, pokiwali głowami. – Powiedziałam mu, że w Scanrze, gdy przywódca chce zostać Łotrem, to rzuca Łotrowi wyzwanie. Proste i uczciwe. Odparł, że mam zrobić, co mi każe. Ja na to, żeby się wypchał swoimi ohydnyymi rozkazami. Moi przyjaciele postąpili tak samo. Zamie-

rzaliśmy przyjść tutaj i się upić. – Popatrzyła na pozostałych. – Wybaczcie. Nie mogę tego zrobić, skoro kolejni mieszkańcy Niższego Miasta mają umrzeć, żeby Krzywonogi był bogatszy.

– Skąd wiesz, że umierają i że to Krzywonogi na tym zyskuje? – spytał jeden z nich. – W tej okolicy ludzie cały czas znikają.

– Skoro Goodwin i Tunstall w to wierzą, to ja też – odezwał się inny. – To dlatego szukaliście Krzywonogiego w karczmie Dawulla, tak? Krzywonogi opłaca Dawulla kamieniami, które ci nieszczęśni biedacy okupili krwią.

– Nie możemy stwierdzić, czy Dawull wie, że Krzywonogi zabija kopaczy – powiedział z powagą Tunstall. – Może sądzi, że Krzywonogi płaci mu tylko za pilnowanie, żeby Kayfer był grzeczny.

– Dawull wie, że na tych kamieniach jest krew – odparł tamten. – Nikt nie płaci takiej fortuny, jaką chwalił się Dawull, bez krwi. Dawull się bogaci, a prostytutki, tacy jak my, giną. – Wcisnął butelki jednemu z pozostałych. – Jestem z Aniki. Pokażcie mi, kogo obserwować.

Ostatecznie do pokoju Aniki trafiło tylko wino. Mieliśmy piątkę nowych obserwatorów, którzy mogli wypatrywać Jensa, i nie było między nimi żadnego Psa. Po omówieniu sprawy z Goodwin, Tunstall podał im opis, który mieliśmy, a potem przydzielił zadania. Znali ludzi Krzywonogiego, a także różne przejścia na Targ Żalów. Była to wiedza niezbędna dla każdego szanującego się złodzieja czy zbira, jeśli ten dostał się na dwór przywódcy. Oddalili się. Aniki na odchodnym puściła do mnie oko.

– W budzie nigdy w to nie uwierzą – mruknęła Goodwin, gdy szliśmy na swoje stanowisko na targu niewolników. – Gołębie, pyłowe kręty... a teraz zbiry. Cooper, odkąd zostałam Szczenięciem, moja praca Psa stanęła na głowie.

– Muszę wam powiedzieć coś jeszcze – oznajmiłam. Gdybym czekała dłużej, chyba wybuchłyby mi wnętrzności. – Możliwe, że ja i Erskan rozmawialiśmy z pierwszą matką ukąszoną przez Węża Cienia. – Opowiedziałam im o pani Painter. – Myślę, że to Yates Noll – dokończyłam, gdy wyszliśmy na targ. Ogarnął nas niewolniczy smród. – Painterowie robili zakupy u pani Noll. Pracując dla niej, Yates i Gunnar chodzą po całym Niższym...

Goodwin położyła mi dłoń na ramieniu.

– Osiem lub dziewięć żywotów za jeden, Cooper – jej głos brzmiał łagodnie. – Nawet uwzględniając pomoc twoich przyjaciół przestępców, nie możemy teraz zapominać o kopaczach. Najpierw przygwoździmy Krzywonogiego i morderców, którzy dla niego pracują, do nagrobków. Oddamy małym Ashmillerom ojca. Później zajmiemy się ściganiem Węża.

– Ale Herun... – zaczęłam. Wiedziałam, że ma rację, lecz i tak musiałam jej o tym przypomnieć. – Umrze za pięć dni, jeśli Krzywonogi nie zapłaci. A nie zapłaci.

– Jack Ashmiller i wszyscy, którzy z nim są, a z drugiej strony jeden człowiek, Cooper – powiedział Tunstall. Gdy zbliżyliśmy się do zaułka, z którego prowadziliśmy obserwację Poundridge'a, wyciągnął pałkę. – A co się tu dzieje?

Ktoś czekał w kucki w naszym miejscu, aż nagle wstał, wysoka postać w ciemności.

– Zanudzałam mnie podczas naszych kolacji, Mattes – powiedziała pani Sabine. Miała na sobie strój z ciemnej skóry z wszytymi kółkami z czarnego metalu. Jej spodnie też były ciemne, a buty niewyglansowane. Mówiła cicho, ledwie ją słyszeliśmy. – Paplałaś o łapaniu kropli w sieć i obserwacji całego Targu Żalów przy udziale jedynie trzech Psów i jednego kota. Mogłam zwrócić na siebie twoją uwagę tylko w jeden sposób: podając pomocną dłoń.

Goodwin zerknęła na Tunstalla.

– Naszych kolacji? – powtórzyła złowrogim tonem.

– Odpreż się, gwardzistko. To tylko kolacje... jak na razie. – Kobieta spoglądała to na jedno, to na drugie z nich. – Naprawdę chcecie odrzucić moją pomoc?

– Usiądziemy przy wejściu na Pasaż Spidrena, Cooper i ja – oświadczyła Goodwin. – Od dawna mnie to uwierało, a teraz wreszcie mogę się podrapać. Skoro ty i Jaśnie Pani tak się przyjaźnicie, Mattes, możesz jej powiedzieć o naszych pomocnikach. – Pomaszzerowała z powrotem ulicą. Drapek miauknął do pani Sabine na powitanie i podreptał w ślad za gwardzistką.

– W porządku, Cooper – rzucił niedbale Tunstall, widząc, że się waham. – Clary jest tylko

rozdrażniona, że nie poprosiłem jej o pozwolenie na zaloty.

Gdy pospieszyłam za Goodwin, usłyszałam jeszcze głos Jaśnie Pani:

– Lepiej nie liczyć, że te zaloty doprowadzą do czegoś poważnego, mój drogi. Lubię swój wolny stan.

A potem rozległ się cichy śmiech Tunstalla.

W oddali zagrzmiało. Zaczęła padać drobna mżawka, która niewiele różniła się od mgły. Mogła szybko przemoczyć nas do suchej nitki.

Goodwin i ja weszliśmy w zaułki za Targiem Żalów. Minęliśmy punkty obserwacyjne Aniki i jej przyjaciół, udając, że nie zwracamy na nich uwagi. W końcu dotarliśmy do niewielkiej bramy przy Pasażu Spidrena, znajdującej się najbliżej ulicy Włóczęgów. Nie jest to najbardziej uczęszczana brama, dlatego też moje Psy wysłały pomocników w inne miejsca. Do tej pory było to jedyne wejście, którego nie obsadziliśmy.

Jeden z budynków po drugiej stronie uliczki był cofnięty względem sąsiedniego. Miałyśmy tam osłoniętą przestrzeń, z której mogłyśmy obserwować bramę, nie ryzykując, że wychwyci nas światło z osłoniętych lamp wokół niej. Widok nie był tu tak dobry, jak ze stanowiska Tunstalla, ale słyszałyśmy każde skrzyknięcie wrót.

Ulokowałyśmy się wygodnie, a Drapek usiadł między nami. Słuchałam deszczu, śmiechu strażników, którzy pilnowali niewolników, i kroków przechodniów. W końcu nie wytrzymałam, musiałam zadać to pytanie.

– Jesteś zła na niego? Na nich?

– Hmm? – Zaskoczyłam ją. – Na Mattesa? Oj, to głupiec. Zadaje się ze szlachcianką. Z takich sytuacji nigdy nie wynika nic dobrego, zbyt wiele ich dzieli. Dama i góral, Starucha świadkiem! – Ja ją słyszałam, lecz wątpię, by jej głos dobiegł do kogoś, kto przechodziłby choćby o pół metra dalej. – Mimo wszystko pani Sabine... nie jest taka, jak większość z nich. Bardziej przypomina Jaśnie Pana Gershoma. Jest pożyteczna. – Przez jakiś czas milczała. W końcu powiedziała: – Cooper, zależy nam na Herunie Loftsie. Tansy to świetna baba, a nikt nie powinien tracić dziecka i męża w tym samym roku. I chcemy dopaść Węża Cienia. Gdybyśmy my, Psy, się nie pilnowali, zaczęlibyśmy szaleńczo ścigać wszystkie nieukarane przestępstwa, podczas gdy możemy ścigać tylko jedno. Tak bardzo doprowadza nas to do szału, że posunęliśmy się do włączenia w swoje szeregi zbirów i pani rycerz, niech ich bogowie błogosławią.

Uśmiechnęłam się w ciemności. Sama bym lepiej tego nie ujęła.

– Ale to jest życie Psa, Cooper. Szukamy, aresztujemy, zamykamy w klatkach. Czasami powoli, krok po kroku.

– Omal nie umknęło mi to, co dodała na koniec: – A czasami tracimy więcej, niż złapiemy, do licha.

Znowu czekałyśmy w ciszy, patrząc na ludzi, którzy wchodzili i wychodzili przez bramę. Deszcz nasilił się. Wkrótce byłyśmy przemoczone, pomimo naszej osłony.

Siedziałyśmy tam dwie godziny i burczało mi już w brzuchu, gdy do bramy zbliżyła się niska, pulchna baba. Szło z nią trzech chłopów o wyglądzie twardzieli. Jeden trzymał nad nią ymańską parasolkę, by nie mokła. Goodwin zeszywniała.

– Uta Norwood – szepnęła, gdy wartownicy przepuścili całą czwórkę. – Prowadzi księgi Krzywoniemu. Jak myślisz, jaka sprawa ją tu sprowadza?

– Stary paser nie miał nastroju na kupowanie niewolników – powiedziałam. – Gdyby potrzebowali kogoś do domu, w ciągu dnia kupowaniem zajęłaby się chyba kucharka albo lokaj?

– Chciałabym założyć jej pęta tak samo jak Krzywoniemu – stwierdziła Goodwin. – Ta dwójka wysłała wiele rodzin na żebry... – Usłyszałyśmy kroki w zaułku, gdy brama zamknęła się za kobietą. Goodwin wstała, z pałką w ręce. To była tylko Aniki. Moja przyjaciółka znalazła gdzieś okrągły, szpiczasty słomkowy kapelusz, jaki noszą rolnicy. Osłaniał ją od deszczu niczym niewielki dach.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadza wam towarzystwo – zagadnęła wesóło. – Przez naszą bramę wprowadzają niewolne dzieci. Nie mogę znieść tego widoku. Zostawiłam na miejscu dwóch obserwatorów. – Ukucnęła.

– Czy w Scanrze niewolnych dzieci jest tak niewiele?

– W ogóle niewielu jest niewolników. Nie możemy ich wykarmić. Ledwie starcza nam żywności dla nas samych. Dlatego Rosto powiedział, że powinniśmy spróbować w Tortallu. – Aniki podskoczyła w kucki, obejmując rękami kolana. – Jeśli dożyję starości, choć na to nie liczę, nigdy nie przywyknę do małoletnich niewolników i kajdan w dziecięcym rozmiarze. Cooper też tego nie nawidzi. – Obie z Goodwin popatrzyły na mnie.

– Nic nie mówiłam – stwierdziłam. Podczas tej obserwacji nie mogłam uciec myślami od prowadzonych tu interesów. Zanim Jaśnie Pan przyjął nas do siebie, każdy członek mojej rodziny mógł skończyć w obrębie tych cuchnących murów. Podobnie jak Ashmillerowie. A spójrzmy, ile kłopotów nastęrczają handlarze niewolników moim Psom i mnie, przekradając się, próbując uniknąć podatków. Nie są warci takiego trudu.

Aniki mówiła dalej.

– Słuchaj, Goodwin, wiem, że jeśli będziemy o tym rozpowiadać i Krzywonogi wpadnie w panikę, możemy doprowadzić do zabicia kopaczy, którzy teraz dla niego pracują. Ale gdyby się okazało, że i oni dosiadają już gołębi, musimy o tym krzyczeć na prawo i lewo. Niech ludzie wiedzą, że w tej pracy kryje się haczyk.

– I tak znajdują się chętni, na tyle głupi albo zdesperowani, że się zatrudnią i nikomu nie powiedzą – uprzedziła ją Goodwin.

– Ale nie tak wielu.

– Nie tak wielu. – Gwardzistka pokiwała głową. – Masz rację, Aniki. Marnujesz się wśród zbirów. Chodź do nas, zostań Psem.

Zęby Aniki błysnęły w uśmiechu.

– Dla wspaniałych poborów i szacunku, którym się cieszyacie? Raczej nie, gwardzistko Goodwin. Chcę zajść wyżej.

– Na piedestał Łotra – zauważyła Goodwin.

– Tylko jeśli na tronie zasiądzie porządny Łotr, obok którego można będzie stanąć – odparła Aniki. – Ktoś idzie.

Norwood wychodziła już ze swoją strażą z targu. Goodwin zerknęła na Aniki.

– Dasz sobie radę na ulicach sama?

Aniki uśmiechnęła się i poklepała ręką miecza.

– Jak każdy, kto służy Szemranemu Bogu – powiedziała, mając na myśli bóstwo złodziei, pozbawione prawdziwego imienia.

– W takim razie trop Norwood, aż się zmęczysz albo ktoś cię zaatakuje – nakazała Goodwin. – Idź!

Aniki wymknęła się z naszego zakątka niczym cień. Nigdy nie umiałam rozgryźć, w jaki sposób tak rosła baba potrafi być, jeśli zechce, niezauważona.

– Mnie nigdy nie pozwoliłaś na samodzielną obserwację – nie mogłam się powstrzymać.

– Odpowiadam za ciebie, no i nie jesteś fehmistrzynią – odrzekła Goodwin. – Poza tym ucę cię rzeczy, których nie chciałabym przekazywać jej, dopóki należy do półświatka. – Pokręciła głową. – Co za strata!

Drapek znalazł sobie suche miejsce, a my o nim zapomnieliśmy. Teraz wydał z siebie „manh” na znak zgody, aż obie podskoczyłyśmy.

Jadłyśmy chleb z serem w zimnym deszczu. W końcu nadeszła pora, by wrócić do budy i się odmeldować. Potem Goodwin, Tunstall i Jaśnie Pani na pół zaciągnęły mnie do Pod Piecem i Pulardą na gorący posiłek, grzane wino i zupę, bym się rozgrzała. Byłam w tak kiepskim stanie, że zgodziłam się nawet na wino. Po kolacji Drapek i ja poczłapaliśmy przez błoto do domu.

Zostawiłam ubranie rozwieszona na barierce, a buty i zbroję przed drzwiami, po czym weszłam do pokoju w przepaskach na piersi i biodrach. Tansy spała na sienniku, ręką obejmując chłopczyka, obok niej leżała młodsza dziewczynka. Starsza patrzyła na mnie, nie mrugając, z posłania z koców, gdy ryglowałam drzwi.

Nikt się nie poruszył, gdy wkładałam nocną koszulę i zdejmowałam bieliznę, a potem rozplątywałam włosy. Drapek, głupek jeden, otrzepał się na mnie z deszczu. Potem wszedł na koc star-

szej dziewczynki. Warcząc pod nosem, położyłam się do łóżka i od razu zasnęłam.

Przyśnił mi się kolejny sen. Niosłam małego Nila w nosidełku na plecach. Will był przywiązany sznurkiem do mojego nadgarstka. Moje koleżanki skakały na skakance. Patrzyłam. Chciałam się z nimi pobawić, ale nie byłam w stanie odwiązać Willa, by się przyłączyć. Wiedziałam, że jeśli go puszczę, w mgnieniu oka pogna za pierwszym przejeżdżającym koniem.

– Wracaj tu, mała flądrol!

Wszyscy się odwróciliśmy. Nadchodziła Tansy z falującymi lokami. Trzymała spódnicę w górze, robiąc z niej koszyczek na garść małych, świeżo upieczonych ciasteczek. Pani Noll goniła ją z wysoko podniesioną miotłą.

Usiadłam na łóżku z bijącym sercem. Czemu się bałam? Tamtego dnia Tansy uciekła. Zatrzymaliśmy panią Noll, zupełnie niechcący, rzucając się na ciastka, które wypadły ze spódnicy mojej przyjaciółki. Zebraliśmy przeznaczone dla niej razy miotłą. Zarobiłam dwa dodatkowe ciosy, gdy ustawiłam się między panią Noll a swoimi braćmi. Na Uliczce Psich Sików było to drobne, nic nieznaczące zdarzenie, z pewnością niewarte tego, by mnie wyrwać ze snu.

Tansy też nie spała. Usłyszałam ją i poczułam różany zapach mydła, którego używała. Pociągnęła nosem, a potem go wysmarkała.

– Tansy? – szepnęłam. – Płaczesz?

– Płaczę z byle powodu, Becco, nie pamiętasz? – Usiadła na łóżku i pomacała wokół, aż poczuła moją rękę. – Obiecuj, że zrobisz, co w twojej mocy, by znaleźć Heruna.

– Niewiele mogę zrobić – powiedziałam cichym głosem.

– Moje Psy koncentrują się na poszukiwaniu kopaczy.

– Obiecuj tylko, że się postarasz. To mi wystarczy. Mogę się opiekować tymi maluchami, wiedząc, że szukasz mojego męża. – Jej uścisk się zacieśnił.

– Tansy...

– Wszyscy wiedzą, że usilnie szukasz. Nikt inny w ogóle nie szuka, a co dopiero usilnie. Myślisz, że o tym nie słyszałam? Że wysłałaś ludzi, żeby pytali? Nikt się nie spodziewa, że cokolwiek zrobisz... Ty, Szczenię! A jednak ruszyłaś na poszukiwania. Rozmawiasz z ludźmi, podczas gdy Psy i Łotr się odwrócili, ty i twoi przyjaciele. Znajdziesz Heruna.

Usłyszałam, jak jedno z dzieci się poruszyło.

– Tato – szepnęło przez sen. Była to starsza z sióstr.

– Obiecuj – poprosiła szeptem Tansy.

– Wracaj do łóżka – powiedziałam. – Zanim się obudzą.

Leżałam, słuchając, jak jej czujny oddech przeradza się w miarowy, uspiiony. Później wstałam, żeby pisać w tym dzienniku na schodach przed moimi drzwiami. Pisanie pomaga mi przemyśleć różne sprawy. Zapisanie snu sprawiło teraz, że zobaczyłam, co w tym wszystkim tak bardzo mi nie pasowało.

Pani Noll powiedziała moim Psom, że Tansy była urocza. Dobrze się o niej wyrażała, mówiła, że zawsze ją lubiła. Może po prostu chciała mówić dobrze o pogrążonej w żalu matce. Prawda jednak była taka, że na Uliczce Psich Sików nie znosiła Tansy. Nie mogłam zliczyć sytuacji, w których próbowała zbić ją na kwaśne jabłko. Tansy zawsze kradła jej najlepsze wypieki, te szykowane na specjalne zamówienia. Pani Noll musiała płacić z własnej kieszeni, by przygotować je drugi raz.

Może te kłamstwa wynikały z uprzejmości, ale w takim razie czemu pani Noll kłamała tak usilnie? Żeby chronić Yatesa? Może to on znalazł sposób, by zemścić się za matkę i zdobyć ostatni, sowity łup. Może jego matka o tym wie.

Niedziela, 10 maja 246

Pisane około dziesiątej rano na schodach.

Obudziło mnie zawodzenie chłopczyka. Był już prawie świt. Krzyczał z poczerwieniałą buzią. Pochylały się nad nim Tansy i starsza siostra. Moja przyjaciółka zmieniała mu pieluchę, a siostra machała mu przed nosem zabawką. Młodsza dziewczynka kulila się w kącie, zasłaniając uszy rękami. Drapka nigdzie nie było widać.

Podłoga zatrzęsała się, bo ktoś hałaśliwie wchodził po schodach.

– Becca! – wydarł się na zewnątrz Rosto. – Becca, co ty tam masz, cholerny złobek?

Najstarsza z rodzeństwa włożyła palec do słoika z miodem, gdy wciągałam spodnie. Kiedy odsuwałam rygle, wsunęła ociekający słodyczą palec do ust braciszka. Od razu zamilkł.

Szarpnęłam drzwi, otwierając je na oścież.

– Rosto, ty dzikusie, starałyśmy się go uciszyć. – Miał na sobie tylko spodnie, obnosząc się ze swoją pięknie wyrzeźbioną klatką piersiową. – Czemu marudzisz? I tak już prawie pora wstać.

Z kolei młodsza dziewczynka zaczęła płakać. Krzyczała, że chce iść do domu. Rosto wszedł do pokoju i podniósł ją.

– Gdybyś mogła iść do domu, nie byłabyś tutaj, prawda? – zagadnął, potrząsając nią. – Zamknij gębę. Jest za wcześnie na takie hałasy.

Zamilkła i wbiła w niego spojrzenie, zwieszając się w jego rękach. Zgromiłam ją wzrokiem. Kiedy ją prosiłam, nigdy nie przestawała krzyczeć, choć oczywiście nie wywierałam takiego wrażenia jak półnagi Rosto. Nie, była zbyt młoda, by to docenić. Nie o to chodziło.

Tansy oparła pięści na biodrach.

– Proszę, jakiś ty męski, straszysz dziecko, które jeszcze wczoraj żebrało na ulicy. – Pacnęła go w głowę. – Postaw ją, głupku.

Powolnym ruchem opuścił dziewczynkę na podłogę. Przebiegł wzrokiem po Tansy, która nie miała na sobie nic oprócz koszuli nocnej.

– Ładna jesteś, nawet z tym niewyparzonym językiem w buzi i dzieciakiem w brzuchu. Kim jest twoja przyjaciółka, Becco?

– Mężatką. I to nie twoja sprawa – warknęła Tansy. – Wyjdz! Wyjdz!

Popatrzyłam na niego.

– Słyszałeś. – Pociągnęłam go na zewnątrz. – To żona Heruna Loftsa, Tansy – powiedziałam. – Dzieci są Jacka Ashmillera. Przymknęłam jego żonę, Orwę. Teraz zniknął. Znalazł pracę i od tamtej pory nie pokazał się w domu.

Rosto zawsze szybko kojarzył. Uniósł jasne brwi.

– A twoje duchy? Ci kopacze?

– Na razie nie pojawiły się nowe. Prowadzimy obserwację. Ale słuchaj, muszę cię prosić o przysługę. – Przelknęłam ślinę. Prośenie zbirów o przysługę było ryzykowne. Gdybym nie była w desperacji (gdyby życie Heruna nie skróciło się o kolejny dzień), nigdy bym tego nie zrobiła. – I nie proś mnie potem o morderstwo, żebyśmy spłaciła dług.

Jeśli wcześniej nie miałam pewności, że w przyszłości połączą mnie z nim poważne sprawy, teraz już to wiedziałam. Irytacja zniknęła z jego oblicza, zastąpiona trzeźwym skupieniem. Skrzyżował ręce na piersi.

– A co to za przysługa? Której nie można spłacić morderstwem?

– Muszę znaleźć Yatesa Nolla, i to szybko – oświadczyłam. – Moje Psy są zajęte na ulicach. Goodwin, Tunstall i ja robimy wszystko, by dotrzeć do kopaczy. – Uśmiechnęłam się do niego. Mogłam mu zaproponować łapówkę. – Jeśli znajdziemy Heruna Loftsa, na pewno będzie wdzięczny. To jego rodzina ma opale ogniste.

– Prawda – przyznał. Ziewnął i wygładził włosy. – W porządku. Ja...

Na schodach zadudniły kroki. Aniki wyglądała, jakby nie zmrużyła oka. Rzuciła w stronę Rosta worek gorących ciastek. Potem zwróciła się do mnie:

– Zaprzyjaźniłam się z jednym ze zbirów Norwood, kiedy ona już poszła spać. Pamiętasz koszyk, który miała na ramieniu? Rozdawała sakiewki z zapłatą od Krzywonogiego. Ludzie, którym Poundridge musi płacić, zaczynają przychodzić na początku jego zmiany. Dziś po południu. – Stała tak przez chwilę, zdyszana. Wydawała się przytomniejsza niż kiedykolwiek. – No? – spytała.

– Dzięki – powiedziałam. – Zobaczę, co na to Goodwin. Obudź Erskena. – Wybiegłam. Jeśli Aniki miała rację, Jens i pozostali, którzy pilnowali kopaczy, przyjdą po swoją zapłatę. Może przyjdą i znikną, zanim skończy się nasza odprawa. Chciałam uprzedzić Goodwin jak najszybciej. Jeśli ona i Tunstall mieli w zanadru jakieś cuda, dzięki którym więcej ludzi niż tylko nasza trójka mogłoby dziś wieczorem przypuścić szturm na więzienie kopaczy i ich uwolnić, będą potrzebowali trochę czasu, by owe cuda wykorzystać.

Wciągnęłam ubranie i bardzo pobieżnie umyłam zęby. Podałam ciastka Tansy i dzieciom, wzięłam swoje rzeczy i pognałam na dół po schodach z Drapkciem depczącym mi po piętach.

Podłoga przed drzwiami Kory była osmalona. Rosto opierał się o framugę. Odstąpił, by mnie przepuścić. Aniki siedziała na krześle z szerokim uśmiechem.

– Na szczęście nasza Aniki wie, co się dzieje, kiedy budzisz Korę z głębokiego snu – powiedział Rosto, wskazując osmalone drewno. – Odsunęła się. Kora jest dobra w zakłęciach ognia.

– Dzięki – powiedziałam do Aniki.

Machnęła ręką, zbywając moją wdzięczność.

– To dobra zabawa. Kora i tak potrzebowała nowych drzwi. Stare już się rozpadały.

Ersken próbował się ubrać pod pościelą. Kotek Kory, Sierściuch, skoczył na niego, widząc ruch pod kołdrą, co tylko utrudniło nieszczęśnikowi zadanie. Kora naciągnęła sobie prześcieradło na głowę.

W końcu Rosto zlitował się nad Erskenenem i podniósł Sierściucha.

– Chodź tu, zawzięty łowco – powiedział. – Zostaw chłopakowi resztki godności.

Ersken wynurzył się spod pod kołdry i zgromił Rosta wzrokiem.

– Rozumiem, że te dwie dręczą Korę, ale po co budzić mnie? – spytał. – Śniadanie dopiero za godzinę.

– Potrzebuję cię, żebyś ściągnął tu Tunstalla – wyjaśniłam. – Powiedz, że Jensowi płacą o czwartej. Aniki dowiedziała się tego w nocy, bo śledziła ich skarbniczkę. Daj Tunstallowi znać, że poszłam do Goodwin z tą samą wieścią.

Ersken powtórzył, co powiedziałam, i skończył się ubierać.

– Myślisz, że to już, Becco? – zapytał. – Że uda wam się dotrzeć do Ashmillera i innych kopaczy?

– Proszę o to Mithrosa i Boginię. – Upewniłam się, że ubranie mam porządnie zapięte. –

Idę.

Rosto położył mi rękę na ramieniu, gdy go mijałam.

– Znajdę Yatesa – rzucił krótko. – W Niższym Mieście wszystko się zmieni, Becco Cooper. Dzięki naszej piątce i naszym przyjaciółom – tu zerknął na dziewczyny i Erskena – pijawki takie jak Krzywonogi i Wąż spłoną.

Spojrzałam w jego czarne oczy. Wierzę mu. Jeśli mu się powiedzie, złodziei trudniej będzie złapać, ale prości ludzie będą mieli się do kogo zwrócić. To będzie lepsze od tego co dzieje się teraz.

Nie biegłam do Goodwin. Ale i tak dotarłam tam w krótkim czasie, wybierając przejścia na skrót przez boczne zaułki. Nawet główne ulice, takie jak Droga Pałacowa i Droga Wiecznoduszy w dzielnicy Migot, nie były zbyt zatłoczone o tej porze. Było jeszcze dosyć cicho, na tyle, że usłyszałam łopot skrzydeł nad głową. Większość mieszkających w mieście ptaków właśnie zaczynała swoje pieśni. W końcu przystanąłam i popatrzyłam w górę.

One też się zatrzymały, przysiadając, gdzie tylko mogły: Klaps, Popielaty, Biały Pieprz, Rózia. W sumie siedemnaście. Nigdzie nie widziałam żadnych innych gołębi, jedynie te. Wyłącznie te, które nosiły dusze robotników, zamordowanych przez Krzywonogiego w imię zachowania tajemni-

cy opali ognistych. Wiedziały, że coś się szykuje.

Na widok jej domu przy Alei Burej stanęłam jak wryta. Nie spodziewałam się, że Clary Goodwin mieszka w ładnym, kamiennym domu z porządnym dachem krytym strzechą i schludnym ogrodem. Kury grzebały już między grządkami warzywnymi w poszukiwaniu robaków. Senne kozy patrzyły na mnie ponad drewnianym płotem z tyłu. Amulety nad drzwiami i powitalny wieniec wyglądały na świeżo zrobione. Kiedy Goodwin znajdowała na to czas? Poczułam się jak niechluj, wiedząc, że w koszu w moim domu czekają ubrania do zszycia.

Zapukałam do drzwi, mocno, a potem jeszcze mocniej.

– Dosyć! – krzyknął ktoś wreszcie ochrypłym głosem. – Chcesz obudzić całą dzielnicę? Jeśli to nic pilnego... – Goodwin szarpnięciem otworzyła drzwi. Miała potargane włosy. Zaciskała wokół siebie długą podomkę.

– Cooper. I pan Drapek. Mogłam się spodziewać, że będziesz tuż obok. Wejście, jest bardzo zimno. – Zamknęła za nami drzwi.

Chata miała tylko jedno piętro, a nad nim antresolę. Znad jej krawędzi wychynęła głowa mężczyzny. Jego włosy były siwe bo bokach, a poza tym kasztanowe. Przypominał jednego z ciężko pracujących, wesołych chłopców z wiejskich gospodarstw. Gdzieś słyszałam, że mąż Goodwin to mistrz ciesielski, w przeciwieństwie do żony nad wyraz łatwy w obejściu.

– Clary?

– Służba, kochanie! – zawołała, dokładając do ognia w palenisku. – Wracaj do łóżka.

– Więc to jest Cooper. – Mógł ją ignorować i żył. Byłam pod wrażeniem, a zarazem czułam zdenerwowanie, że wie, kim jestem. – A to ten boski kot? Nigdy wcześniej nie widziałem bóstwa. – Mrugnął do mnie, po czym zniknął z powrotem na antresoli. – Ubiorę się i przygotuję śniadanie.

Goodwin poczłapała do stołu i chochlą naląła wody do miski. Ochlapała twarz.

– Melduj, Cooper.

Powiedziałam jej, co usłyszałam od Aniki, a potem czekałam, aż przemówi. Na oparciu krzesła obok niej leżał złożony ręcznik. Nawet na niego nie spojrzała. Po prostu stała i patrzyła w dal z twarzą ociekającą wodą. W końcu zebrałam się na odwagę i podałam jej ręcznik. Wytarła się, ale nie sprawiała wrażenia, że wie, co robi.

– Dziś o czwartej po południu – powiedziała w końcu, głośno myśląc. – Muszę wydębic ten dokument od Ahudy, przekonać ją, że dziś wieczorem trzeba wykonać ruch. – Potarła usta. – Tunstall i ja możemy to zrobić. Jaśnie Pan wyda zgodę, jeśli uda nam się tropić tego Szczura do jego nory. Ahuda nie będzie miała nic przeciwko temu, jeśli Jaśnie Pan wyrazi aprobatę. Dzięki bogom Drapek zaczyna służbę o tej samej porze co my. Cooper, myślisz, że twoja przyjaciółka Kora może nam pomóc?

– Jestem tego pewna – odparłam.

– Ją też ściągnij. Chcę, żeby wzięła w tym udział. Weźmiemy Berrymana, ale lepiej mieć dwoje magów. Mam nadzieję, że jej cena nie będzie zbyt wygórowana?

Pomyślałam o dzieciach Ashmillerów, krzyczących i hałasujących Korze nad głową.

– Myślę, że mogę się z nią potargować – powiedziałam.

– To dobrze. Wiesz, gdzie mieszka Nyler Jewel?

Nosiłam mu wiele przesyłek od pana Gershoma.

– Tak.

– Zgarnij go stamtąd. Ahuda? – Skinęłam głową. – Powiedz jej, że mój mąż przygotowuje posiłek. A potem idź po swoją przyjaciółkę, Korę. Ruszaj. Zjemy śniadanie, jak wrócisz.

Podniosłam na nią wzrok.

– Powinnaś być sierżantem – stwierdziłam. Może to widok jej bosych stóp mnie ośmielił, nie wiem. – W każdym razie po Ahudzie.

– Wynoś się, Cooper – nakazała. Drapek i ja posłuchaliśmy rozkazu.

Na zewnątrz mój kot zatrzymał mnie pacnięciem w kostkę. Powiedział: *Sprowadzę Korę.*

Idź po pozostałych.

– Czy to już? – spytałam go, pragnąc, by była to prawda. – Mamy ich?

Wynoś się, powiedział mi. Popędził Drogą Wiecznoduszy.

Koty zawsze pozostaną kotami, nawet jeśli są bogami albo konstelacjami.

Najpierw poszłam do Ahudy. Była już na nogach i w ubraniu. Bałam się, że odgryzie mi głowę, kiedy zaproszę ją do Goodwin na śniadanie, albo – co byłoby niewiele lepsze – zacznie zadawać pytania. A ona jedynie się skrzywiła.

– Wiedziałam, że do tego dojdzie. Dobrze. Już idę.

Nie czekałam, aż powie coś jeszcze. Pobiełam do domu Nylera Jewela. Jak zwykle musiałam przedzierać się przez posłania wnuków na dwóch dolnych piętach. Czasami zastanawiałam się, jak on śpi. Potem musiałam przedzierać się ponownie, bo pani Jewel powiedziała mi, że mąż piele chwasty w ogródku.

Po drodze do Goodwin kazał powtórzyć sobie wszystko, co się zdarzyło poprzedniego wieczoru. Potem zadał kilka ostrych pytań o Aniki, Korę i Rosta. Ulżyło mi, gdy zobaczyłam przed nami dom Goodwin. Gdy Jewel zadawał mi pytania, czułam się tak, jakby Jaśnie Pan, Ahuda, Goodwin i Tunstall przepytawali mnie wszyscy jednocześnie. Żaden szczegół nie był na tyle drobny, by umknąć uwadze starego Psa, łącznie z faktem, że Rosto ciągle ze mną flirtuje.

Rozejrzałam się, zanim weszliśmy do domu Goodwin. Klaps ciągle był przy mnie, podobnie jak pozostałych szesnaście gołębi. Poleciały za mną do Ahudy, do Jewela i z powrotem tutaj.

Tunstalla nie było, była za to pani Sabine. Ostrzyła swój miecz niewielkim kamieniem, rozmawiając przy tym z mężem gwardzistki. Kora i Aniki już przyszły, przy czym ta druga drzemała w kącie.

Na stole czekało jedzenie – świeżo usmażony boczek, jajka, ser, świeże mleko, truskawki i wczorajsze bułeczki z rodzynkami. Goodwin wskazała talerze Jewelowi i mnie.

– Wasza Cooper powiedziała mi, co wiecie – oznajmił Jewel. – Gdzie Tunstall i Ahuda?

– U Jaśnie Pana, poszli prosić o pozwolenie na łapanie Szczurów – odparła Goodwin. – Jeśli je dostaniemy, musimy się zastanowić, kogo chcemy i gdzie ma czekać ekipa. Wszystko zależy od tego, czy uda nam się tropić Jensa do miejsca, gdzie pracują kopacze. Tunstall ściągnie do pomocy maga od klejnotów, Berrymana. Ma wobec nas dług i chcemy, by go spłacił. Musimy mieć pewność, że poradzimy sobie z czarodziejką Krzywonogiego, Vrinday Kayu. Sądzimy, że nazaczyła strażników piętnem śmierci. Ci strażnicy muszą przeżyć wystarczająco długo, żeby coś nam powiedzieć i dostarczyć dowody przeciwko Krzywonogiemu i jego ludziom. – Goodwin zerknęła na Korę.

– Mamy nadzieję, że pomożesz Berrymanowi.

Kora posłała jej chytry uśmiech.

– Będzie chciał mojej pomocy? Jestem dla niego nikim więcej, jak scanrańską wiedźmą.

– W takim razie trzeba go będzie przekonać – mruknęła pani Sabine, oglądając krawędź głowni swojego miecza w poszukiwaniu szczerb.

Kora skubała paznokiec. W końcu skinęła głową.

– Spróbuję.

Goodwin usiadła na stołku.

– Poczynając od czwartej, będziemy obserwować Targ Żalów i czekać na strażników, którzy przyjdą po zapłatę. Poznamy ich po piętnie śmierci. Zakładam, że będą potrzebne Psy, które pójdą za nimi do nory. A potem wezwiemy resztę ekipy, żeby wkroczyła do akcji.

Jewel podrapał się po nieogolonym podbródku. Usłyszałam, jak chrzęści mu zarost.

– Brzmi nieźle. Myślisz, że Jaśnie Pan wyrazi zgodę? – spytał.

– Ahuda wyraziła, kiedy jej powiedzieliśmy – zauważyła Goodwin.

– No to odeślijmy tych młodych ludzi do domów, żeby odpoczęli. Dołączysz do nas, pani? – spytał.

– Nie chcę przegapić ani chwili – odrzekła pani Sabine. Wsunęła miecz do pochwy. – Poza tym Mattes może oberwać w głowę, jeśli nie będę go pilnować. – Uśmiechnęła się do Goodwin, która, o dziwo, odpowiedziała uśmiechem.

– Gdzie zbiórka? – spytał Jewel.

– Przy Pasażu Spidrena jest stajnia z poddaszem – odparła Goodwin. – Zdobę klucz i zamknę właściciela na jakiś czas, żeby nie wypaplał. O trzeciej.

Nie przypuszczałam, by udało mi się odpocząć w moich zatłoczonych izbach, ale wiedziałam, że mnie odprawiono. Postanowiłam, że pora złożyć ofiary bogom. Na wszelki wypadek.

W jakiś czas po brzasku w poniedziałek.

Na poddaszu stajni, gdzie dotarliśmy po południu, było gorąco i duszno. Berryman ciągle kichał. Przynajmniej już nie marudził, gdy Goodwin zaproponowała, że za pomocą pałki pomoże mu zapaść w drzemkę. Kora zajęła stanowisko po drugiej stronie targu wraz z Tunstallem i panią Sabine, trzymając w rękach amulet, który umożliwił jej rozmowę z Berrymanem. Jewel i inni gwardziści, którzy mieli ruszyć za strażnikami, gdy ci odbiorą zapłatę, wykorzystali miejsca zajmowane wczoraj przez przyjaciół Aniki. Nie mogliśmy mieć pewności, czy strażnicy kopaczy przejdą przez bramę od strony Pasażu Spidrena, więc Goodwin postarała się, by wszystkie bramy znalazły się pod obserwacją. Aniki była z nami. Usadowiła się wraz z Goodwin przy oknie.

Jaśnie Pan Gershom wydał pozwolenie na wszystko. Oddelegował ze Straży Wieczornej le dwie dziesięciu gwardzistów, ale Ahuda osobiście wybrała kolejną dziesiątkę ze Straży Wieczornych w dzielnicach Migot i Koturnowej, porządne Psy, godne zaufania. Dołączyło do nich sześciu osobistych ochroniarzy Jaśnie Pana, a także Psy, obsługujące wozy transportujące aresztantów do klatek. Wszyscy oni czekali w budzie, gotowi ruszyć, gdy tylko dostaną od nas sygnał. Mieliśmy śledzić te baby i chłopów, którzy wezmą swoją zapłatę rękami oznaczonymi piętnem śmierci. Berryman miał sprawić, że będziemy te piętna widzieli. Trzeba śledzić sporo osób, bo nie wiadomo, którzy pełnią służbę przy robotnikach, a którzy już zakończyli swoją pracę tego dnia.

Gdy Goodwin wprowadziła nas na poddasze, które było zamknięte podczas deszczu padającego ostatniej nocy, ścisnęło mnie w żołądku. Nie chciałam być przetrzymywana w tym piecu. Czuję się jak Terier – tak jak mnie nazywali – rozdygotana od stóp do głów. Byłam zmęczona czekaniem. Chciałam ścigać jakiegoś Szczura aż do dziury, w której ukryli Jacka Ashmillera i resztę.

Ludzie Krzywonogiego byli przestępcami najgorszego sortu. Wyszukiwali w Szambie ludzi zdeterminowanych, gotowych podjąć każdą pracę i wiedli ich na pewną śmierć.

– Hej, Cooper – zagadnęła Goodwin. – Kto to jest? Aniki, znasz go?

Podeszłam do okna. Aniki pokręciła głową, ale ja rozpoznałam mężczyznę.

– Jeden ze zbirów Krzywonogiego. Widziałam go u niego w domu, kiedy odwiedzałam Tansy – oznajmiłam. – Ale nie było go z Krzywonogim na Dworze Łotra. – Przyjrzałam się uważniej. – Goodwin, popatrz na jego buty.

Na obcasach widniało różowawe błoto, jakby wcześniej chodził w miejscu, gdzie był różowy skalny pył.

– Aniki, sprowadź Otterkin i jej partnera – poleciła Goodwin. – Chcę, żeby śledzili tego chłopa, kiedy wyjdzie.

Aniki zniknęła w mgnieniu oka.

– Dobre spostrzeżenie z tym błotem, Cooper – skinęła głową Goodwin.

– Też to zauważyłaś – odparłam.

Kątem oka dostrzegłam jej uśmiešek.

– Załamałabym się, gdybyś tak szybko była ode mnie lepsza. Berryman, czy on nosił piętno śmierci?

– Nie byłem uprzedzony wystarczająco wcześniej – mag pociągnął nosem. – Nie byłem gotowy.

– Psy muszą być nieustannie gotowe – zauważyła. – Myślałam, że jesteś pełen zapалу do prawdziwej pracy Psa.

– Czemu nie mogę prowadzić obserwacji z Tunstallem? – spytał Berryman.

– Bo rzuciliśmy monetą i ja przegrałam. Jesteś gotowy sprawdzać czy nie?

– Jestem – bąknął. Ogarnięta emocjami, próbowałam się nie roześmiać. Tunstall umiał znacznie lepiej sprawić, by mag od klejnotów poczuł się ważny.

Klaps z trzepotem skrzydeł opadł na parapet okna na poddaszu stajni.

– Niech nas Starucha chroni, co on tu robi? – spytała mnie Goodwin.

Za nim zobaczyłam gołębie z innymi duchami kopaczy, obsiadające zadaszenie Targu Żalów. Patrzyły na nas nieruchomymi żółtymi, niebieskimi, szarymi i czarnymi oczami. Jakby wie-

działy.

– Myśli, że coś mamy – powiedziałam, podnosząc Klapsa z parapetu. Zaczął mnie dziobać po ręce. Wzdrygnęłam się. Berryman podszedł bliżej, by kichać i patrzeć. – Wszystkie tak myślą. Podążały za mną od świtu. Pozostałe są na dachu, po drugiej stronie. – Sięgnęłam do naszego worka z jedzeniem po bułkę. Pokruszyłam ją w ręce, żeby mogły dziobać okruchy zamiast mnie.

– Idzie Otterkin ze swoim partnerem... dobrze, skręcili za róg – stwierdziła z zadowoleniem Goodwin. – Choć można narzekać na magiczne zdolności Otterkin, na ulicy wie, co robić. A oto i nasz Szczur. Berryman?

Mag wetknął głowę między mnie a Goodwin. Jego wargi się poruszyły. Na wierzchu dłoni Szczura zajaśniał znak, nakreślony żółtym ogniem. A jednak Szczur nawet nie drgnął.

– Macie swoje piętno śmierci – oznajmił mag. Cofnął się. Pot popłynął mu po policzku. – I to dobre. Myślę, że mógłbym je unieszkodliwić, ale... może i nie. – Przełknął ślinę. – Chyba jednak ucieszę się z pomocy pani Kory.

– No to dobrze. Po prostu postaraj się, żeby paru z tych strażników przeżyło. Będą potrzebni jako świadkowie przeciwko tym, którzy ich zatrudniają i im płacą – wyjaśniła Goodwin. – Nie muszą przeżyć wszyscy.

Klaps z furkotem wylądował mi na ramieniu. Mógł tam siedzieć, wciskając kikut w dołeczek w moim obojczyku, ale nie utrzymywał równowagi. Gdyby się ześlizgnął, złapałby mnie za skórę i trzymał się dziobem oraz pazurami zdrowej nogi. Ostrożnie zdjęłam ptaka i postawiłam na przedramieniu, głaszcząc jego pióra.

– Już niedługo – szepnęłam. – Proszę, Starucho i Czarny Bogu. Ty i twoi towarzysze zostaniecie niedługo pomszczeni.

Drapek wskoczył na parapet. Nachylił się ku mnie i dotknął noskiem dzioba Klapsa.

– Uspokójcie się, wszyscy – poleciła Goodwin. – Zbyt wiele ruchu tutaj, na górze, możemy zwrócić czyjąś uwagę. Gdyby ci strażnicy targu niewolników podlegali mnie, tak bym ich skopała, że mieliby tyłki między uszami za to, że pracują za bramą, a nie przed nią.

– Za bramą jest więcej cienia? – podsunął Berryman. Kichnął w chusteczkę.

– Mają dbać o ludzi, którzy patrzą na targ, a nie o własną wygodę – powiedziała. – Ale czego się spodziewać po strażnikach, którzy pracują w branży niewolniczej? To leniwe głąby, bo inaczej znaleźliby prawdziwą pracę... O, proszę. Znam tę tutaj. Krzywonogi od lat trzyma ją na liście płac. Musiała czymś bardzo go rozzłościć, że dostała taką posadę.

O ile faktycznie ją ma. Berryman?

Mruknął coś pod nosem. Zobaczyliśmy żółty rozbłysk, jeszcze zanim baba o surowym wyglądzie przeszła przez bramę targu.

– Jakim cudem oni tego nie widzą? – spytała Goodwin.

Odpowiedź mi umknęła. Poszłam patrzeć spod podnóża schodów na poddasze. Aniki była poniżej. Nie wspięła się na górę po powrocie. Zerknęłam na Goodwin.

– Jewel i Yoav – rzuciła krótko.

Przekazałam te nazwiska Aniki. Oddaliła się, by przekazać tej dwójce wiadomość, że mamy dla nich kogoś do śledzenia.

Trzeci naznaczony znakiem śmierci strażnik przypadł Tunstallowi, Jaśnie Pani i Korze. Czwarty – Goodwin, Berrymanowi, Aniki i mnie. Wyszliśmy, rozpraszając się. Berryman wyglądał jak kupiec, szukający towaru. Aniki była sobą, dziewczyną z półświatka, wykonującą zlecenie albo szukającą pracy. Goodwin i ja nosiliśmy mundury. Na poddaszu Goodwin zdjęła z mojego stroju obwódki Szczęnięcia.

– Jeden Pies ze Szczęnięciem to niecodzienny widok. A dwa Psy, nawet jeśli oba są kobietami, już nie – wyjaśniła, gdy się zachłysnęłam. – Wieczorem możesz przyszyć je z powrotem.

Gdy weszliśmy w głąb Szamba, zobaczyłam, że Berryman czuje się nieswojo. Bez wątpienia się tu wyróżniał. W końcu podniósł ręce. Dostrzegłam żółty błysk. A potem wydawało się, że zniknął. Piszę „wydawało się”, bo nie pomyślał o omijaniu mokrych krawędzi głębszych kolein. Widzieliśmy ślady jego stóp. Aniki uśmiechnęła się, podążając wzrokiem za śladami. W końcu wyprzedziła maga i naszego Szczura, by kupić piwo od jednego sprzedawcy i ciastko od drugiego.

Wypiła i zjadła, krocząc tuż przed Szczurem i obserwując go kątem oka. W końcu zwolniła na tyle, by znowu mógł iść przodem.

Drapek miał łatwiej niż którekolwiek z nas. Nikt nie zauważał czarnego kota na ulicy. Przystawał to tu, to tam, by obwąchać coś ciekawego. Kiedy tylko nasz Szczur się zatrzymywał, Drapek też tam był, na tyle blisko, by zajrzeć mu w nozdrza. Byłam z niego bardzo dumna. Teraz okazał się prawdziwym bogiem i pokazywał swoją użyteczność!

Ponieważ moją myśl można było uznać za bluźnierstwo, pomodliłam się bezgłośnie do Bogini i Mithrosa. Błagałam o przebaczenie i zrozumienie. Skoro nie stanęłam w płomieniach, myślę, że mi wybaczyli albo nie słyszeli mojego bluźnierstwa.

Nasz Szczur w ogóle się nie domyślił, że jest śledzony. Nie oglądając się, wszedł w Drogę Morwową, skąd skręcił na południowy zachód. Pokonał ledwie dwie przecznice, zanim się zatrzymał i rozejrzał dookoła.

Nie stanęliśmy ani nie drgnęliśmy. To by nas zdradziło.

O tej porze wokół kręciło się wielu ludzi. Psy patrolowały ten obszar wystarczająco często. Aniki przystanęła przy wozie rzemieślnika ostrzającego noże i podała mu swój sztylet do naostrzenia. Ślady stóp Berrymana pojawiły się w błocie o metr od Szczura. Na nasze szczęście mag przestał kiuchać, gdy opuściliśmy poddasze.

Strażnik podszedł do walącego się trzypiętrowego domu i zastukał do drzwi, najpierw dwa razy, a potem pięć. Drzwi otworzyły się. Wszedł. Drapek podszedł bliżej i wskoczył na skrzynię, która stała przy drzwiach. Skulił się tam w słońcu.

Chwilę później ślady stóp przekroczyły ulicę i znalazły się przy nas. Usłyszałam głos Berrymana.

– Są tu zakłęcia strażnicze. Dam sobie z nimi radę.

Po drugiej stronie, na skraju jakiejś pustej parceli rosły drzewa.

– Cooper, na drzewo – poleciała Goodwin. Chodziło jej o wielki, stary dąb o rozłożystych gałęziach, ułatwiających wspinaczkę. Znajdował się dokładnie naprzeciwko domu. – Wejść za tobą. Berryman, daj pozostałym znać, gdzie jesteście. Ostrożnie. Znajdą mnie tutaj. No i mam nadzieję, że potrafisz utrzymać tę swoją niewidzialność przez jakiś czas. – Zaczekałyśmy, aż wóz z sianem znajdzie się między nami a domem, po czym wdrapałyśmy się na dąb.

Aniki zapłaciła za naostrzenie sztyletu i znalazła sobie wygodne miejsce pod drzewem. Udawała, że śpi. Z góry sfrunęły gołębie. Niektóre usiadły na dachach po obu stronach domu, który obserwowałyśmy. Klaps, Biały Pieprz, Żebrak i Popielaty usadowiły się wokół mnie. Żaden nie wydał choćby jednego dźwięku.

Krzywonogi z pewnością wybrał ten dom dlatego, że w piwnicy znajdowała się żyła różowej skały, w której trafiały się opale. Czy wiedział, jak łatwo będzie nam go obserwować? Nikt nic nie budował po południowo-wschodniej stronie Morwowej. Podobno dwieście lat temu metalowe potwory, pół-ludzie, półptaki, zwane Skrzydłosztormami, stoczyły tu wielką bitwę z pajakami o ludzkich głowach, czyli Spidrenami. Ta ziemia była przeklęta. Śmiałkowie polowali tu na króliki w wysokiej trawie, ale ogólnie biorąc teren pozostawiono drzewom i chwastom. Mogliśmy tu schować sto Psów, obserwujących dom, a strażnicy Krzywonogiego by się nie zorientowali.

Tak czy owak, mieliśmy szczęście, że na zewnątrz nie postawiono wartowników. Oczywiście, gdyby tak uczyniono, miejscowi by ich zauważyli i zaczęli plotkować.

Nie siedziałyśmy na drzewie zbyt długo, a już Tunstall, pani Sabine i Kora pojawili się w ślad za swoim Szczurem. Ten wszedł do domu. Nasi przyjaciele znaleźli sobie stanowiska obserwacyjne, zajęli je i czekali.

Wkrótce do środka weszło jeszcze dwóch twardych chłopów i jedna baba. Znałam dwoje z nich. To za nimi poszli Jewel, Otterkin i ich partnerzy. Berryman szepnęła do Goodwin, że ci gwardziści też przybyli i ukryli się poblizu.

Szczury i kopacze mają okropne miejsce pracy, pomyślałam. Wszystkie okna były zasłonięte okiennicami, pomimo gorąca. Zobaczyłam inny, podobnie zamknięty dom dwa budynki dalej i jeszcze jeden, tuż za tamtym, w wąskim zaułku po prawej. Kiedyś mieszkały tu rodziny. Gdzie się podziały? Czy Krzywonogi je wyrzucił, czy zabił?

Ostrożnie zesłam o kilka gałęzi niżej i szeptem przekazałam Goodwin swoje spostrzeżenia o domach z okiennicami. Gdy skinęła głową, wróciłam na miejsce.

Siedmioro zbirów wyszło z budynku, gdy patrzyliśmy. Czy to już wszyscy? Nie mieliśmy pojęcia, ile osób pilnuje kopaczy. Strażnicy wyglądali na zmęczonych, jak to pod koniec pracy. Berryman rzucił swój czar, gdziekolwiek stał, ukazując piętna śmierci na ich rękach.

Tunstall zaczekał, aż zegary wybiją szóstą, zanim przeszedł ze swojej kryjówki do naszej. Słońce schowało się za murem Niższego Miasta, dzięki czemu mógł z łatwością pozostać w cieniu.

Oparłszy się o drzewo, zaczął szeptać do Goodwin:

– Myślę, że króliki schowały się w norze na noc, Clary.

– Chyba masz rację – przytaknęłam. – Berryman? Powiedz Ahudzie, gdzie jesteśmy. Czas ruszać.

Mag miał świeży czar, łączący go z naszą grupą. Teraz go użył. Wydawało się, że Kora pojawiła się obok Aniki. Dla mnie wyglądała jak część wysokiej trawy. Jej śladów w błocie nie zauważyłam ani razu.

– Już czas – szepnęła do Aniki. – Tygodniami odgrywałam dobrą małą praczkę. Jestem gotowa na trochę zabawy.

Aniki, wciąż usadowiona między dwoma sękatymi korzeniami, podniosła głowę i uśmiechnęła się do niej.

– Rosto się rozplącze, jak się dowie, że go to ominęło.

Tunstall zbliżył się do osłony, jaką dawała wysoka trawa.

Wtedy zauważyłam, że jest tam także pani Sabine, która, wyciągnięta na brzuchu, liczyła paciorki, przesuwając je w smukłych palcach. Wyciągnęła miecz i położyła na trawie obok siebie, gotowy do użycia, w razie gdyby ktoś ją zaskoczył.

Sądziłam, że będę głodna i odrętwiała. Sądziłam nawet, że się znudzę, mimo że w Szambie strumień przechodniów, wozów i konnych posłańców zawsze wzbudzał ciekawość. Gdy siedziałam na swojej grubej gałęzi, ostrożnie strzepując mrówki i co jakiś czas rozciągając zdrętwiałe mięśnie, zaczęło się zlatywać coraz więcej gołębi. Przysiadły na drzewach wszędzie wokół mnie. Nie wydawały żadnych dźwięków, które mogliby usłyszeć inni. Ale ze mną było inaczej – ich duchy miały mi wiele do powiedzenia.

– Mamo, on dał mi ciastka i naciągnął mi worek na głowę.

– Tato, jestem głodny, a oni mówili, że musisz im zapłacić, żebym mógł wrócić do domu!

– Potwór wyciągnął mnie z łóżka!

Trwało to i trwało, krzyki dzieci porwanych w ciemności. Gołębie, które wcześniej siedziały na dachach po drugiej stronie ulicy, pikowały na te nowo przybyłe, próbując je odegnąć. Zapłatywały się w gałęzie i niemal skręcały swoje głupie karki, zanim znowu odzyskiwały równowagę. Biały Pieprz, Żebrak, Popielaty i Klaps łopotały skrzydłami, by odwrócić moją uwagę, aż w końcu Goodwin syknęła:

– Chcą, żeby nas zauważyli?

Przestały. Duchy dzieci mówiły dalej.

Wbiłam w Klapsa surowe spojrzenie oczu, z których ciekły łzy. Ty przeklęty draniu, pomyślałam. Razem ze swoim stadem nie dopuszczaliście ich do mnie, tak? Tak wam zależało, żebym najpierw uwolniła was. Wojna między duchami! Znalazłam się w środku wojny między duchami, Starucha świadkiem!

Wtedy dostrzegłam ruch na ulicy przy świetle pochodni. Usłyszałam szmer w trawie za sobą. Tunstall wrócił ze swojej kryjówki obok Jaśnie Pani. Cienie zrobiły się tak długie, że już jej nie widziałam.

– Przyszła Ahuda – oznajmił. – Berryman, Kora, szykujcie się. – Berryman pojawił się tuż obok Tunstalla. Pocił się, ale na jego twarzy malował się szeroki uśmiech. Tunstall klepnął go w ramię, po czym cicho zawołał:

– Clary? Cooper? Pora ruszać do pracy.

Zsunęłyśmy się z dębu. Gdy już byłam na dole, przytrzymałam się drzewa, bo mięśnie miałam sztywne i obolałe. Właśnie wtedy Drogą Morwową nadjechali stępa jeźdźcy. Zatrzymali się

przed domem, trzech zbirów o groźnym wyglądzie i Vrinday Kayu. Widziałam wszystkich wyraźnie, bo jeden trzymał pochodnię. Włożył ją w obejmę na ścianie, a potem przytrzymał wierzchowca Kayu, gdy zsiadała.

– Berryman! Kora! – szepnęła Goodwin. – To mag. Nie pozwólcie jej wejść do środka!

Po ulicy poniósł się echem ryk, jaki słyszałam kiedyś u Krzywonogiego, odgłos kota potężnego niczym bóg. Konie stanęły dęba, zmagając się z uprzężą. W świetle pochodni zobaczyłam, jak Drapek wskakuje na plecy Kayu, a jego pazury błyszczą w mroku.

Od strony naszych magów strzeliły przez ulicę niebieskozielone i żółte ognie. Oba kolory opadły na Vrinday niczym sieci rybackie, przenikając mojego kota, jakby wcale go tam nie było.

– Myślałam, że będę musiał walczyć tylko z czarami tej kobiety, a nie z nią samą – poskarżył się Berryman.

Kayu próbowała zrzucić z siebie Drapka. Wrzeszczała. Magia uniosła się nad nią w postaci czerwonej mgły. Popłynęła przez ulicę w stronę Kory i Berrymana, podążając śladem ich własnych czarów.

Tunstall, Goodwin i ja pognaliśmy na drugą stronę z pałkami w rękach. Pani Sabine i Aniki trzymały się tuż za nami, dzierżąc miecze. Usłyszałam gwizdek Ahudy, sygnał do ataku. Obejrzałam się przez ramię i zobaczyłam, jak pani sierżant wypada spomiędzy wysokich traw, prowadząc Psy. Jeden z nich niósł młot, który wydawał się niemal tak duży jak ja.

Dwaj konni towarzysze Kayu zeskoczyli na ziemię i stanęli bliżej, by ją chronić. Konie wyrwały się i pobiegły przed siebie, przewracając tego, który niósł pochodnię. Już się nie podniósł, miał rozbitą czaszkę.

Drugi ze zbirów ruszył na Tunstalla z wysoko uniesionym mieczem. Nawet nie zobaczył Goodwin, która się na niego rzuciła. Przyłożyła mu pałką prosto w brzuch. Zgiął się w pół i zwymiotował.

– Dureń – powiedziała.

Trzeci zbir próbował uciekać. Złapał go jeden z gwardzistów, którzy wyszli z wysokiej trawy.

Pies, który niósł duży młot, podał go teraz Tunstallowi. Rycząc niczym niedźwiedź, Tunstall rozwalil drzwi. Pierwszy wpadł w powstały otwór, za nim Goodwin i ja, a dalej pani Sabine i Aniki.

W domu paliły się lampy. Z tyłu i z boków dobiegał trzask drewna. Do środka wdzierały się pozostałe Psy. Strażnicy z uniesionymi mieczami wypadli na nas z pomieszczeń na parterze. Goodwin i ja uchyliłyśmy się, a Jaśnie Pani i Aniki zatrzymały ich klingi własną bronią. Przyłożyłam swojemu napastnikowi pałką z półobrotu w golenie, a on – bo zdaje się, że był mężczyzną – zawył, gdy kolana odmówiły mu posłuszeństwa.

Nie wiem, co się z nim stało ani co zrobiły Goodwin i nasze fehmistrzynie, by usunąć z drogi strażników z piętra. Po donośnym ryku Drapek wszystko działo się tak szybko, że tylko zapamiętałam pojedyncze obrazy. Skoro Kayu została pokonana, myślałam jedynie o tym, że strażnicy w piwnicy mogą już zabijać kopaczy.

W głębi korytarza znajdowały się otwarte drzwi, oświetlone dwiema lampami. Ciągnął od nich wilgotny podmuch – piwniczne powietrze. Runęłam przed siebie, przez te drzwi, a potem w dół, po schodach. Tunstall był przede mną.

Strażnicy poniżej zaatakowali kopaczy, tak jak się obawiałam. Robotnicy bronili się kilofami. Dwóch ludzi leżało już zakrwawionych na ziemi. Natarłam na strażników. Staralam się ich powalać, ale nie zabijać. Zależało mi na ich zeznaniach.

Na dłoniach strażników zajaśniały magiczne znaki, zamigotały, a potem zgasły. Berryman i Kora okiełznali magię Kayu albo ją zabili. Strażnicy nie umrą, przynajmniej nie od znaków. Przeżyją i powiedzą, kto ich zatrudnił.

Podciąłam jednego z nich, a gdy się przewrócił, stanęłam stopą na jego ramieniu. Kopacz ruszył na nas z uniesionym kilofem. Oczy miał utkwione w moim więźniu. Podniosłam pałkę, trzymając ją między nami, gdy kopacz obchodził nas dookoła. Chciał za wszelką cenę rozwalić strażnikowi łeb.

– W imieniu króla! – krzyknęłam. – Ten człowiek jest aresztowany i stanie przed sądem!

Kopacz zawahał się. Trząśnięcie na całym ciele.

– W imieniu króla – powtórzyłam. – Zabij go, a przymknę cię za morderstwo.

Stał tak dłużej, niżbym chciała. W końcu opuścił kilof. Rozejrzałam się. Piwnica była większa, niż się spodziewałam, a także głębsza. To nawet dobrze, jako że znalazło się tu dziesięć Psów, a do tego uwięzieni i ich strażnicy. Niektórzy gwardziści delikatnie wyjmowali narzędzia z rąk kopaczy. Goodwin wraz z dwoma innymi zakładała pęta strażnikom, którzy pozostali przy życiu.

Wszyscy patrzyli, niezależnie od tego, co robiły ich ręce. Ci, którzy tu pracowali, napuścili wody do płytkich niecek, wyciętych w skalnych ścianach. W środku leżały bryłki surowych opali ognistych. W blasku pochodni rzucały rozbłyski i smugi czerwonego, błękitnego, fioletowego, złotego i szmaragdowego ognia. Ciemnozielone, karmazynowe, pomarańczowe i bursztynowe grudki połyskiwały niczym smocze oczy z dwóch ścian różowej skały, które wykopano na dwanaście stóp poniżej poziomu głębokiej na osiem stóp piwnicy.

Tej nocy opale zniknęły. Wiem, że tak się stało. Niecki były puste, gdy dom został opróżniony i przejęty przez wojsko. Nikogo nie obwiniam, ani Psów, ani kopaczy, ani nawet Aniki i Kory, jeśli połazczyły się na kamienie. Nie wiem, czy sama bym się powstrzymała, gdybym nie miała w głowie czegoś ważniejszego. Nie jestem pewna, czy Goodwin albo Tunstallowi coś się do stało. Opale, które mieliśmy wcześniej, te oszlifowane, trafiły wszystkie do worka szczęścia. Wiem, bo przy tym byłam. Jeśli zaś wzięli coś ostatniej nocy, nie mówili o tym.

Gdy spętałam swojego strażnika i podciągnęłam go, by stanął na nogi, kopacz mi pomógł.

– Chcieli nas zabić – powiedział. – Usłyszałem rozmowę dwóch z nich, kiedy niosłem kamienie na górę. Dlatego kazali nam przysięgać, że nikomu nie powiemy o tej pracy. Moje dzieci umarłyby z głodu... – Puścił rękę Szczura, który zatoczył się na mnie. – Moje maleństwa!

– Są bezpieczne, panie Ashmiller – zapewniłam go. Poznał mnie dopiero po dłuższej chwili. Był oblepiony brudem i znacznie chudszy niż wtedy, gdy go poprzednio widziałam. – Są bezpieczne i śpią u mnie na podłodze. – Pchnęłam Szczura w stronę rogu piwnicy, gdzie zagnano resztę ocalałych strażników.

– Cooper – westchnął Ashmiller. – Ta nieustępliwa.

– Nie bardziej niż pańska młodsza córka – odpowiedziałam mu przez ramię.

Posprzątałismy najszybciej, jak się dało. Wozy odjechały do klatek w pełni załadowane. Ahuda chciała uzyskać nakaz aresztowania Krzywonogiego, jego skarbniczki Norwood i zajmującego się najmem Poundridge'a, a potem przymknąć ich, zanim zdołają uciec z miasta. Kopacze, łącznie z Jackiem Ashmillerem, musieli zaliczyć wizytę u uzdrowicieli i zdać relację urzędnikom z budy, co się z nimi działo. Powiedziałam Jackowi, że zabiorę go do dzieci, kiedy wrócę do budy się odmeldować.

Berryman i Kora zostali podwiezieni na koźle klatkowego wozu, który transportował związaną i zaczarowaną Kayu. Pójdzie do więzienia dla magów. Nasza dwójka magów będzie musiała odczynić swoje zaklęcia, gdy będzie już na miejscu, a wtedy magowie królewscy zastosują własne czary.

Aniki i pani Sabine zniknęły. Chyba się obawiały, że będą musiały złożyć raporty urzędnikom.

Przybyli żołnierze z koszar przy Bramie Północnej. Na zewnątrz gromadził się tłum, zwabiony krzykami i odgłosami walki. Wojsko miało nikogo nie wpuszczać do domu, dopóki Sąd Miejski nie zdecyduje, co zrobić z żyłą klejnotów pod spodem.

Reszta z nas zebrała się przed domem. Kopacze i ich strażnicy byli już w drodze do budy, więc mogliśmy odetchnąć. Nasze Psy opierały się o ścianę albo siedziały. Zastanawiałam się, czy całe podniecenie odpłynęło im z żył, tak jak mnie, i czy też czują się teraz tak dziwnie. Trzeba będzie wrócić na ulicę Jane. Musieliśmy złożyć meldunki. Dla tych z nas, którzy należeli do Straży Wieczornej, pora była jeszcze zbyt wczesna, by się odmeldować. Ludzie Kayfera wciąż kręcili się po ulicach, szukając zemsty na bandytach Krzywonogiego.

Jeden wóz nie odjechał. Znajdowały się w nim łopaty i dwanaście płacht płótna. Miałam nadzieję, że nie będę musiała zajmować się tym wozem, była to jednak głupia nadzieja. Z ciemności nadleciały gołębie. Wylądowały na ziemi przede mną, cała siedemnastka.

– One coś wiedzą, prawda, Cooper? – zagadnął mnie Tunstall, podczas gdy Drapek wlaź między gołębie. – Mogą nam pokazać?

– Co pokazać? – spytał jeden z Psów.

Wskazałam dom z zamkniętymi okiennicami w głębi zaułka.

– Ten dom i jeszcze jeden, dwa budynki dalej, przy Morwowej – powiedziałam.

– Łopaty – nakazał Tunstall. – Zapasowe chustki. – Podał mi łopatę i pokazał, jak związać ze sobą dwie chusteczki, by zrobić maskę na nos i usta. Goodwin wzięła drugą łopatę, Jewel trzecią, a Otterkin czwartą. Piątą Tunstall zatrzymał dla siebie. Wszyscy założyli maski.

Ruszyliśmy przez zaułek za grupą Psów, utrzymujących tłum na dystans. Cieszyłam się, że mam maskę, za którą mogę się schować. Moje wnętrze zmieniły się w ciasny węzeł. Oddałabym roczną pensję, by nie wchodzić do tego opuszczonego budynku. Był w fatalnym stanie, opadał w nim tynk, ściany były popękane, a dach zapadł się z jednej strony. Tylko okiennice i drzwi sprawiały solidne wrażenie.

Ktoś podał młot, użyty w pierwszym domu. Tunstall odłożył łopatę na bok i wywalił drzwi z framugi. Pozostali przekazali lampy reszcie z nas. Goodwin ruszyła do środka.

Zeszliśmy po schodach do piwnicy, podczas gdy serce waliło mi w piersi. Pod budynkiem rozciągała się szeroka, pusta przestrzeń, choć nie tak rozległa, jak w poprzednim domu. Ściany po obu stronach były różową skałą, w podłożu wykopano piętnastostopowy dół. Połowę piwnicy zajmowała duża hałda ziemi.

Zakrzusiałam się. Smród był potworny, jak na śmietniku u rzeźnika w Szambie w upalne lato.

– Oddychaj przez usta, Cooper – poradził Jewel. Jego głos, stłumiony przez chusteczkę, brzmiał bardzo uprzejmie. – To nie takie złe.

I tak śmierdziało straszliwie.

– Im szybciej się za to weźmiemy, tym szybciej będziemy mieli to z głowy – stwierdził Tunstall. Ostrożnie przystawił łopatę do sterty ziemi i zabrał się do kopania. Wszyscy zaczęliśmy mu pomagać.

Pracowaliśmy ostrożnie, obawiając się tego, na co możemy trafić. Poczułam właśnie, że czubek mojej łopaty czegoś dotyka, gdy w tej gorącej przestrzeni dobiegł nas łopot skrzydeł. Osiem gołębi poleciało za nami w dół.

Ustawiły się rzędem na półce, ich oczy lśniły. Kolory wyglądały tu dziwnie i nie miałam pewności, ale zdaje się, że czekały tam na nas Popielaty, Rózia i Błyszczak.

Znaleźliśmy osiem trupów. A w drugim zamkniętym domu – dziewięć. Gołębie poświęciły nam cały dzień, w nadziei, że dotrzemy do tych ponurych zwłok i wypuścimy ich duchy na wolność. To dlatego odganiały duchy pozostałych. Ciała leżały w nieoznaczonych mogiłach, nieopłakane, i to doprowadzało gołębie do szału. Kiedy wynieśliśmy nieszczęsne truchła na otwartą przestrzeń, ptaki odleciały w ciemność nocy i zniknęły.

Potrzebowaliśmy wozów z kostnicy dla zmarłych i więcej żołnierzy do pilnowania domu. Tłum narastał. Było zbyt cicho jak na zgromadzenie w Szambie. Nie musiałam być doświadczonym Psem, żeby to wiedzieć. Byłam dziewczyną z Niższego Miasta. Najlepszy tłum to taki, który śmieje się i żartuje. Milczący oznacza kłopoty.

Psy uczą się, by rozbijały tłum, kiedy się tylko da, ale nikt z nas nie miał na to siły. Poczułam się lepiej, widząc, że starsze Psy są równie zmęczone i przygnębione jak ja, po tym, co znaleźliśmy w obu piwnicach.

Powinniśmy wrócić do budy i się odmeldować, lecz zamiast tego Jewel poprowadził nas do łaźni. W Corus szlachta zaczęła dzielić się według płci, panowie i damy kąpali się osobno, ale to była staromodna łaźnia. Wszyscy wymoczyliśmy się w najgorętszej wodzie, jaką mogliśmy znieść, i wielokrotnie się namydlaliśmy, by usunąć smród z włosów i skóry. Nawet Drapek wskoczył do wody, gdy opuściła go jedna z naszych grup, i raz po raz się turlał. Wzięłam trochę mydła i umyłam mu sierść. Nigdy wcześniej nie zażył prawdziwej kąpieli. Przypuszczałam, że zapewne nigdy nie był też latem w grobowcu. Pracownicy łaźni chcieli zaprotestować. Mój kot do nich zamiauczał. Nie wiem, co powiedział. Tak czy owak, zamknęli usta i więcej ich nie otwierali.

Gdy skończyłam, Goodwin podała mi czysty mundur. Miał za długie rękawy i nogawki, brakowało mu też obwódka Szczęnięcia, ale i tak mi odpowiadał. Weterani wręczyli obsłudze łaźni sowite napiwki. Na tyle sowite, by przemienić ich miny, przerażone wcześniej widokiem błota, które wnieśliśmy, w skromne uśmiechy. Nawet nam podziękowali za wizytę, choć nie zaprosili na ponowną.

Najwyraźniej rozniosła się wieść, gdzie jesteśmy. Ersken, Berryman, Kora, pani Sabine, Aniki i Jack Ashmiller czekali na nas przed łaźnią. Ersken przyniósł wiadomość od sierżant Ahudy. Przekazał ją z szeroko otwartymi oczami.

– Pani sierżant powiedziała, że macie przyjść wcześniej po południu i spisać raporty. Rozmawiała z adwokatem starościńskim w Sądzie Miejskim. Adwokat mówi, że wszyscy przedstawicie swoje sprawy w przyszłym tygodniu, a nie jutro.

Zakręciło mi się w głowie. Zapomniałam, że muszę powiedzieć panu Tullusowi o rabusiu, którego dopadłam w święto Beltane. Ta chwila została odroczone. Czułam wdzięczność aż do bólu.

Goodwin przeczytała notatkę od Ahudy.

– Pisze, że mamy zjeść kolację na rozkaz Jaśnie Pana Gershoma. – Spojrzała na Erskena. – Wspomina też o jego pieniądzach.

– A. – Ersken uśmiechnął się i uniósł niewielką sakiewkę pełną monet. – Przepraszam, gwardziści i gwardzistki.

Tunstall wziął sakiewkę i podał ją Jewelowi jako starszemu kapralowi.

– Chodźcie – powiedział Jewel. – Nigdy nie odmawiamy posiłku. Wszyscy – dodał, spoglądając na naszych przyjaciół. – Wszyscy zasłużyliśmy na porządne żarcie.

Jack zawahał się. Chciał do dzieci. Przełknęłam ślinę. Aż mnie skręcało z głodu, ale skoro ten człowiek musiał zobaczyć swoje dzieci...

– Byłbym wdzięczny za posiłek – powiedział Jack. – Tylko szybki.

W ciszy powędrowaliśmy do Pod Piecem i Pulardą. Po całym wieczorze brakowało nam słów. Nawet dla doświadczonych Psów nie było to rutynowe zadanie. Miałam wrażenie, że to, co zrobiliśmy, jest zbyt poważne na rozmowę.

– Nieczęsto możemy być dumni ze swojej nocnej harówki – odezwała się pani Sabine, gdy kelnerki podały kolację i napełniły nam kufle. Ona miała kubek, pasujący do jej roli gościa i pozycji szlachcianki. Podniosła naczynie. – Bądźmy z siebie dumni i módlmy się o łaskę Czarnego Boga dla dusz, które uwolniliśmy.

– Bądź łaskaw, Czarny Boże – szepnęliśmy wszyscy i napiliśmy się.

Jack miło się zachował, że zdecydował się na przyjście tutaj, widząc, jak jestem głodna, ale i tak jadł bardzo szybko. Aby podziękować mu za troskę, też się spieszyłam. Nikt nic nie mówił, jedynie „dobranoc”, kiedy wyszliśmy z Drapkiem.

– Tak sobie myślę – odezwał się Jack, gdy szliśmy do domu. – Kiedy trochę nabiorę sił... – Wsunął rękę do kieszeni. Usłyszałam jakiś trzask, jakby kamieni. – Chcę się szkolić na Psa.

Zatrzymałam się i wbiłam w niego spojrzenie.

– Za długo byłeś w piwnicy – powiedziałam bez ogródek. Drapek wskoczył mi na ramię i zaczął gadać razem ze mną. – Masz dzieci...

– Widziałem dzisiaj, ile dobrego mogą zrobić Psy dla chłopów z dziećmi – stwierdził.

– Przemyśl to – powiedziałam. – Ja już pochowałam przyjaciółkę ze szkolenia. Poza tym Psom zdarza się niewiele takich nocy jak ta. – Dostrzegłam zwiniętą kupkę szmat na skrzyżowaniu Alei Zupnej i ulicy Jane. Straż Nocna mogła przecież aresztować pijaka w publicznym miejscu.

Podeszłam bliżej i dźgnęłam leżącego swoją pałką. Światło pochodni z pobliskich oberży pozwalało mi lepiej widzieć. To nie był pijak. Ktoś leżał jak długi z czarną woalką na twarzy. Ściągnęłam woalkę.

To był Fulk z szeroko otwartymi pośmiertnie oczami. Z jego szyi zwieszał się rzemyk, do którego przywiązano złotą monetę.

– Widzę, że jednak nie uciekłeś Kayferowi, głupcze – szepnęłam. Przyłożyłam gwizdek do ust i wy dobyłam z niego wezwanie do ofiary morderstwa.

Poniedziałek, 11 maja 246

Chociaż minęło już parę godzin od świtu, a w pokoju jest gorąco, nie zrobiłam zbyt wiele, tylko się ubrałam i wyszłam na schody ze swoim dziennikiem. Aby tego dokonać, musiałam wyśliznąć się z łóżka, nie budząc Tansy, a potem ubrać się i przejść po podłodze, nie budząc z kolei żadnego z czworga Ashmillerów. Na moje szczęście wszyscy byli wyczerpani po powrocie późno w nocy. Pisałam w ciszy i spokoju, bo nie dochodzą mnie hałasy z żadnych izb z wyjątkiem mieszkania właścicielki domu na parterze. Najwyraźniej wszyscy moi sąsiedzi też są zmęczeni.

Zastanawiam się, co porabiał Rosto, bo do nas nie dołączył.

Dzieci się wiercą. Może pójde do pani Noll i kupię jakieś przysmaki, by uczcić powrót.



Ta plama wzięła się stąd, że ktoś na parterze bardzo głośno gwizdnął i ręka mi się zatrzęsała, a pióro wypadło. Zepsułam całą stronę tego dziennika. Zbiegłam po schodach. Nawet widok opaski ze znakiem Starosty na ramieniu chłopaka nie powstrzymał mnie przed słowami:

– Nie wiesz, że ludzie śpią? I to po takiej przeklętej, okropnej nocy?

Wzruszył ramionami.

– Podobno mieszka tu Szczenię Cooper.

Próbowałam się gniewać, ale w końcu sama byłam kiedyś kurierką. A kurier nie szukałby Szczenięcia, gdyby sprawa nie była poważna.

– To ja.

– Zamieszki. Wzywają Czwartą Straż i Straż Wieczorną jako wsparcie. Zamelduj się na rogu Zachodniodurnej i Koskynen – powiedział chłopak. – Mówili mi, że możesz wiedzieć, gdzie znajdę Szczenię Erskena Westovera.

Zamieszki? Na zarazę i pomór, pomyślałam.

– Sprowadzę Erskena – zapewniłam, czując, że ściska mnie w żołądku. – Co się stało?

Uśmiechnął się do mnie. Na dole brakowało mu dwóch zębów.

– Znaleźli cztery tuziny trupów w jednym z domów Krzywonogiego i tłum chce go rozerać na strzepy. Tak słyszałem. – Odbiegł ulicą, by wzywać kolejne Psy.

Z góry dobiegł mnie płacz synka Jacka.

– Szlag – powiedziałam. Rzuciłam się na górę, do Kory, i łomotałam w drzwi. Były nowe. Przypomniałam sobie, dlaczego, i odsunęłam się na bok od framugi, by nie oberwać ogniem.

– Co? – usłyszałam ze środka jęk Erskena.

– Wezwanie do wsparcia przy zamieszkach! – zawołałam. – Ubieraj się!

Pobiegłam na górę i włożyłam mundur, buty, pasek i zbroję.

– Wybuchły zamieszki – powiedziałam Ashmillerom i Tansy. Patrzyli na mnie przerażonymi oczami. – Jeśli dotrą tutaj, idźcie do budy. Tam was ochronią. Drapek, zostań z nimi. Zamieszki to nie miejsce dla kota, nawet takiego jak ty. – Zatrzasnęłam drzwi za sobą i zbiegłam po schodach. Erskena i Kora stali przy jej drzwiach i się całowali.

Złapałam go, przebiegając.

– Skoro ja się nie bawię, to ty też nie – powiedziałam, ciągnąc go za sobą.

– Z każdym dniem mówisz coraz bardziej jak Goodwin – mruknął.

– Zaczynam rozumieć, jak stała się taka, jaka jest.

Gdy przyszedliśmy na miejsce zbiórki, usłyszeliśmy odległy zgiełk rozruchów. Dostałam gęsiej skórki na całym ciele. Wszyscy w Niższym Mieście znają ten dźwięk i się go boją. Ludzie uczestniczący w zamieszkach nie są naszymi kuzynami i siostrami, naszymi braćmi i wujami. Są częścią wielkiego zwierza o wielu ramionach i pazurach, zbrojnego w kamienie i kije.

Zbrojmistrze wydali nam prostokątne tarcze. Ustawiliśmy się po nie w kolejce, a potem znaleźliśmy swoje Psy. Ku mojemu zdumieniu, Goodwin uśmiechnęła się na mój widok.

– W takie dni cieszysz się, że jesteś Psem, przyznaj to, Cooper – powiedziała.

Tunstall podrapał się po głowie. Wszystkie krótkie włosy stanęły mu dęba.

– Zachowuje się tak, kiedy jest wykończona – wyjaśnił mi. – Przyzwyczajasz się. Pan Drapek nie przyszedł?

– Jest na to za mądry. – Goodwin włożyła hełm i zapięła pasek. – Po co miałby przychodzić? Nie płacą mu za zbieranie kopniaków w łeb.

Dowódca Straży Nocnej nadal dowodził, jako że zamieszki wybuchły na jego zmianie. Przechodził między nami i wydawał rozkazy.

– Zachować spokój – mówił. – Przy odrobinie szczęścia nie będziecie potrzebni. – Inne Psy ze Straży Nocnej i Diennej były już na zewnątrz, w ferworze walki. Powiedziano nam, że wojsko zajęło stanowiska na południu i zachodzie, by naciskać na tłum. Mieliśmy obowiązek czekać w gotowości, na wszelki wypadek.

Nadszedł Tunstall.

– Czy to prawda? – spytałam go. – Tłum chce Krzywonogiego?

– To prawda – potwierdził. – Zaczęło się, kiedy znaleźliśmy te groby.

– Zaczęli gadać, a potem pić – dodała Goodwin. – Przecież nie jest tak, że ten stary paser nie narobił sobie w Szambie wrogów. Siedemnaście trupów, osiem kolejnych osób, przeznaczonych na śmierć, a do tego Krzywonogi wyrzucił dwadzieścia parę rodzin na bruk, żeby móc kopać... tak słyszałam po drodze... no i ludzie się zdenerwowali.

Dotknęłam opalu ognistego w kieszeni spodni. Krzywonogi zapłacił za swoje kamienie wysoką cenę.

Podeszły inne Psy, by porozmawiać z moimi o nocnych znaleziskach. Miałam czas, żeby pomyśleć. Jeśli ludzka masa dopadnie starca, nie wyleję ani jednej łzy. Ale Herun wciąż był u Węża Cienia, wciąż żył, a wyznaczony termin upływał za trzy dni. Jeśli tłum rozerwie Krzywonogiego na strzepy, Wąż nie będzie miał powodu, by utrzymywać Heruna przy życiu.

Przebierałam palcami, pocąc się pod pancierzem w skwarze i duchocie. Nasłuchiwałam odległego zgiełku i patrzyłam na przybyłych magów. Kulili się przy kryształach i lustrach, wykrzykując

meldunki do dowódców gwardii. Dla mnie brzmiało to wszystko bardzo niejasno. W przeciwieństwie do ryku tłumu, który się przybliżał. Znajdowaliśmy się ledwie o dwie przecznice od ulicy Stuvek i domu Krzywonogiego.

To szaleństwo, ale podeszli do nas sprzedawcy, oferując żywność. Tunstall kupił bułeczki z rodzynkami, po czym podzielił się z nami, dwie dając Goodwin, a dwie – mnie.

– Nie wiadomo, kiedy następnym razem będziemy jeść – stwierdził.

Zjawiły się gołębie, a ich skrzydła łopotały w ciężkim powietrzu. Podniosłam głowę, sądząc, że przyleciały po jedzenie. Ale ruszyły na mnie, uderzając mnie skrzydłami w głowę. Duchy dzieci krzyczały mi w uszach, domagając się matek, ojców, sióstr i braci. Ptaki szybowały i pikowały wokół mnie. Odfruwały, gdy moje Psy i ja wymachiwaliśmy rękami, próbując odegnać przekłete stworzenia. Ersken, jego Psy, Jewel i Yoav, którzy stali razem z nami, próbowali nam pomóc.

– Czego one chcą? – wykrzyknął Jewel. Nigdy nie widziałam go tak bladego.

– Węża Cienia! – zawołałam w odpowiedzi. Złapałam jednego i przytrzymałam, mimo że dziobał i okładał skrzydłami moją twarz. – Chcą, żebym... żebyśmy dopadli Węża Cienia!

Nagle pofrunęły na dach. Stałam i się gapiłam, z gołębiem w rękach.

– I co teraz? – spytałam.

– Becco! – krzyknął z ulicy głos, który znałam. Odwróciłam się, by spojrzeć. Rosto Muzykant przemierzał ulicę Koskynen takim krokiem, jakby należała do niego. Miał długie rozcięcie na policzku. Krew była zaschnięta, ale rana nie wyglądała na zbyt starą, powstała pewnie parę godzin temu.

– Gwardia – powiedział i uśmiechnął się. – Piękny dzień na zamieszki. – Zgromili go wzrokiem. – Becco, mogę na słówko?

– Wiesz, jesteśmy na służbie – powiedział Tunstall.

– Trzy kompanie piechoty właśnie przybyły z Twierdzy Rzecznej – oznajmił Rosto. – Marszerują w górę Morwowej. Phelan wysłał do Kory wiadomość, że dwie kompanie kawalerii z koszar na Góropolach właśnie przekraczają Most Królewski. Te zamieszki zostaną zdławione. Co-oper?

Spojrzałam na swoje Psy. Tunstall wzruszył ramionami. Goodwin lekko skinęła głową.

Wciąż trzymając gołębia, podeszłam do Rosta.

– Skoro chciałaś mieć drugie zwierzątko, nie mogłaś poprosić swojego kota, żeby przyniósł ci kociaka? – rzekł. – Przecież i tak zajmuje się ich dystrybucją.

Tylko na niego popatrzyłam. Miałam ciężki tydzień.

– O, widzę, że masz humory. Chłopa ci trzeba.

Był dziś wyjątkowo zgryźliwy. A ja nie mogłam pozwolić, żeby tak do mnie mówił. Myślał, że będę jedną z jego śmiercionośnych bab, jak Aniki i Kora, chociaż Kora zmieniła mężczyznę, jeśli nie wręcz swoją pozycję wobec prawa.

– Skąd to masz? – Nawet wiedząc, że to zły pomysł, nie mogłam się powstrzymać przed dotknięciem jego skaleczenia.

Ciężko jest utrzymać rozniewanego gołębia w jednej ręce. Ptak wyrwał się z mojego uścisku i uderzył nas oboje skrzydłami. Potem uciekł ku niebu, a jego przekłety duch zanosił się śmiechem.

– Kazałaś mu to zrobić – burknął Rosto. Gołąb trafił go w ranę, która na nowo zaczęła krwawić.

Podalam mu swoją chusteczkę.

– Nie, ale było śmiesznie. Panie Muzykancie, tak mówię, bo nie masz nazwiska, jestem na służbie. Co masz mi do powiedzenia?

Choć rozcięcie musiało go boleć po ciosie gołębia, wciąż się uśmiechał. Po moim pytaniu wesołość zniknęła z jego oblicza. Nachylił się i przysunął usta do mojego ucha.

– Yates Noll – powiedział. – Jeden z moich ludzi przekazał mi wiadomość. Razem z trzema twardzielami zadekował się w Owczym Bagnie. Dwa dni temu, po zmroku, przenieśli się do jednej ze specjalnych szop.

Podniosłam na niego wzrok, mrugając powiekami, a mój umysł szalał niczym zając. Pamię-

tałam, że na tyłach oberży stoją szopy. Przebiegałam obok nich tego wieczoru, gdy goniłam Orwę Ashmiller. Powiadano, że znajduje się w nich głównie towar, który Łotr uważa za swój. Sprawdzenie ich nie było dobrym pomysłem, a opłata za zostawienie ich w spokoju zawarta była w cotygodniowym worku szczęścia.

– Próbujesz wciągnąć mnie w krwawą walkę z Łotrem – szepnęłam mu do ucha.

Pocałował mnie w policzek.

– Zapomnij o Kayferze – odrzekł. – Chcesz Yatesa czy nie? – Minął moje Psy, pozdrawiając je wesołym machaniem. – Nie zważajcie na mnie – zawołał. – Idę pogadać z Dawullem.

Tunstall i Goodwin podeszli do mnie.

– Wygląda jak szczur, który najadł się sera – stwierdził Tunstall. – Jaką nikczemność ma w planach?

Powtórzyłam im, co powiedział.

– Proszę, możemy tam iść? – spytałam, choć brzmiało to bardziej jak błaganie. – Wiecie, co się stanie, jak zaroje się tu od wojskowych koni. Będziemy nadstawiać karku razem z tym tłumem. Herun ma jeszcze tylko trzy dni, by Krzywonogi spełnił to, co było w liście. Jeśli tego nie zrobi albo jeśli tłum go dopadnie... Proszę, musimy spróbować! – W dłoni mocno ścisnęłam swój ognisty opał. Czułam, że jego krawędzie wbijają mi się w rękawiczkę.

Tunstall potarł podbródek. Usłyszałam skrobanie zarostu o rękawiczkę na jego palcach.

– Ona ma rację, Clary. I pomyśl... Sprawy kopaczy i Węża Cienia rozwiązane w jednym tygodniu. To się nazywa porządna Psia robota.

Goodwin posłała nam obojgu spojrzenie zdolne rozłupać skałę.

– Teraz wiem, dlaczego tak lubisz mieć Szczenię – powiedziała z odrazą. – Znów jesteś pełen zapachu. Jakby ci się nudziło. – Pomaszzerowała do dowódcy Straży Nocnej.

– Też się nudziła. Chociaż przyznaję, nie sądziłem, że Szczenięta przynoszą ze sobą takie wielkie zbrodnie – odezwał się Tunstall. – Albo że tak szybko te wielkie zbrodnie znajdują. – Posłał mi dziwne spojrzenie. Zdało mi się, że kryje się w nim wstyd. – Może po prostu nabierasz świeżego spojrzenia, gdy masz pod opieką Szczenię. Dostrzegasz zło, które było tu od dawna.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc nie otwierałam ust. Gołębie krążyły w górze, łopocząc skrzydłami. Klaps wylądował obok mnie, po czym pokuśtykał przed siebie, dziobiąc okruchy.

Znad rzeki dobiegło nas granie trąbek. Od strony pałacu odpowiedziały im inne trąbki. Zbliżało się wojsko.

Ersken podszedł do nas.

– Zabierzcie mnie ze sobą – poprosił. – Idziecie szukać Heruna Loftsa, ja też chcę pójść. Chodziłem i pytałem w tej sprawie nie mniej niż wasza trójka. Moje Psy mnie puszcza, jeśli tego zechcecie!

Tunstall popatrzył na niego z góry.

– Skąd wiesz, co planujemy?

Ersken wskazał na mnie.

– Spójrz jej w oczy! Coś zwęszyła. Ostatnimi czasy tylko dwie rzeczy wprawiają ją w taki stan!

Ledwie mogłam stać w miejscu. Myślałam sobie: pal licha Psy, pójdę sama i poniosę konsekwencje, kiedy wróciła Goodwin.

– Chodźcie, zapalczywe młodziaki. Mam nadzieję, że Rosto dał dobry cynk. Dowódca mówi, żebyśmy zabrali tarcze. Grupki szabrowników uciekają z gwardyjskiej sieci. – Popatrzyła na Erskena, a potem na jego Psy. Tamci skinęli głowami. – Chodź, Ersken. Możemy równie dobrze mieć tu paradę Szczeniąt.

Tylko się do niej uśmiechnął.

Złapaliśmy swoje tarcze, chociaż wolelibyśmy zostawić ten przeklęty ciężar. Ruszyliśmy truchtem, Ersken obok mnie, a Tunstall przy Goodwin. Minęliśmy Zaulek Drobnomiedzi, gdy ktoś powiedział „manh!”.

Spojrzałam na Drapka. Jego fioletowe oczy błysnęły radośnie. Wydawał się bardzo zadowolony z siebie, gdy biegł przy moim boku.

Im bardziej zagłębialiśmy się w Szambo, tym robiło się spokojniej. Ludzie siedzieli w domach. Niebo nabrało mdłego, zielonoszarego odcienia, gdy w górze zebrały się gęste, czarne chmury. Bezgłośnie podziękowałam Mithrosowi. Burza uspokoiłaby tłum i zgasiła pożary. Na razie jednak powietrze było gęste i lepkie. Miałam wrażenie, że z trudem wciągam je w płuca.

Dotarliśmy do Kruczej, gdy wybiegła nam na spotkanie grupa mniej więcej dwudziestu szabrowników. Byli wystarczająco sprytni, by ominąć miejsca, w których Psy i żołnierze zastawili pułapki. Wykorzystywali zamieszki jako pretekst do rabunku.

Podnieśliśmy tarcze. Ersken i ja przesunęliśmy się w bok, jak nas uczono, ustawiając się w szeregu po prawej stronie Tunstalla. Ruszyliśmy ostrą szarżą na tłumek przed nami. Kije uderzyły o moją tarczę. Jakaś baba okrążyła mnie z boku, by uderzyć wiadrem. Walnęłam ją pałką w uniesiony łokieć. Pisnęła i puściła wiadro, łapiąc się za łokieć drugą ręką.

Gołębie sfrunęły z góry, by zaatakować szabrowników, rzucając im się prosto w twarz. Tamci przeklinali i krzyczeli, a potem zaczęli wzywać swoich bogów. Poczułam, że ustępują przed moją tarczą. Cała nasza czwórka napała na tarcze ramionami. Szabrownicy zachwiali się. Jeden przewrócił się pod nogi Tunstalla. Ten kopnął drania w brzuch. Po tym ciosie mężczyzna był zbyt zajęty wymiotami, by rzucić się na nas z tyłu, gdy już przeszliśmy.

Za sobą usłyszeliśmy tętent kopyt.

Zaryzykowałam spojrzenie w tył. Czterech rycerzy w zbrojach i dziesięciu konnych żołnierzy jechało w naszą stronę.

– Rozproszyć się – poleciła cicho Goodwin.

Ersken i ja skoczyliśmy na jedną stronę ulicy, a Goodwin i Tunstall na drugą, otwierając drogę jeźdźcom. Gołębie pofrunęły w górę, by się usunąć. Gdy szabrownicy uciekali przed nacierającą jazdą, Tunstall skinął na nas. Poprowadził nas jedną z krętych bocznych uliczek, oddalając się od Koskynen.

Później zobaczyliśmy jeszcze ludzi, którzy mogli być szabrownikami, lecz na nasz widok uciekli. Większe grupy, odważne dzięki swojej liczebności, szukały bogatszych łupów bliżej terenów targowych.

Usłyszeliśmy pierwszy grzmot, gdy przechodziliśmy przez chylącą się bramę na tyłach Owczego Bagna. To miejsce, walące się i paskudne, wyglądało teraz jeszcze bardziej przygnębiająco niż nocą.

Tunstall dał nam znak, byśmy odłożyli tarcze. Tutaj tylko by nam przeszkadzały.

Rozejrzeliśmy się dookoła. Przed nami stała oberża, w połowie kamienna, a w połowie drewniana. Była tam stajnia, choć wolałam nie myśleć o trzymanyh w niej koniach. Świnie i kury radziły sobie, jak mogły, na podwórzu. Zauważyliśmy kurnik. Gołębie przyleciały, by przysiąść na jego dachu. Zachowywały się teraz tak cicho, jak dzień wcześniej ptaki noszące dusze kopaczy.

Dwie z szop nadawały się tylko do przechowywania drewna. Dwie kolejne nie były wystarczająco duże dla pięciu ludzi, o ile Herun jeszcze żył. Pozostawały trzy, wielkości małych chat. Popatrzyliśmy na pierwszą z nich. Przy przednich i tylnych drzwiach wałały się liście. Tunstall pokręcił głową. Nikt nie otwierał tych drzwi przynajmniej od tygodnia. Po cichu przemierzaliśmy podwórze, aż stanęliśmy pomiędzy tą szopą a sąsiednią, która wyglądała bardziej obiecująco, podobnie jak następna, stojąca bliżej karczmy. W obu wypadkach progi drzwi były czyste.

Tunstall dał znak Erskenowi, by sprawdził drugą szopę. Gdy przebiegliśmy przez podwórze, zaczęłam nasłuchiwać, czy zza ściany nie dobiegają jakieś dźwięki. Usłyszałam śmiech mężczyzn w środku, w chwili gdy Ersken pokręcił głową.

Tunstall dał chłopakowi sygnał do powrotu. Goodwin wskazała mu drogę wokół budynku do tylnych drzwi. Tunstall i ja obstawiliśmy przednie. Gwardzista wyciągnął rękę i zaczął liczyć na palcach, by dać Erskenowi i Goodwin czas na przygotowanie się: raz, dwa, trzy, cztery, pięć. Potem walnął w drzwi z całą impetem.

Może były to mocne drzwi, ale nie mogły się oprzeć sile i wadze Tunstalla. Wyleciały z zawiasów. Trzej mężczyźni, którzy grali w kości na podłodze, zerwali się na nogi. Rzuciłam się na pierwszego z pałką i uderzyłam go z całej siły pod brodą. Upadł i przestał się ruszać. Za nim, w kącie, dostrzegłam człowieka ze związanymi rękami i nogami, zakapturzonego niczym sokół.

Z chłodnym, klarownym skupieniem, które przychodziło podczas walki, rozpoznałam haft na jego tunice. Tansy uwielbiała wyszywać ten wzór – z gryfami i kwiatami.

Goodwin i Erskan przedarli się przez tylne drzwi. Huknął grom, wstrząsając powietrzem. Uderzyli w drugiego zbira z tyłu, podczas gdy Tunstall walnął go z przodu. Ten po prostu osunął się na ziemię. Skoczyłam na trzeciego. Próbował bronić się stołkiem, aż kopnęłam go między nogi. Gdy zgiął się w pół, obaliłam go pałą i jeszcze poprawiłam w nerki, żeby za szybko nie wstał.

Yates Noll spał na pryczy w kącie. Damski bokser i złodziej dzieci miał spory zarost, a jego niemyte włosy się przetłuszczały. Gdy podeszliśmy bliżej, cofnął się w róg, wymachując sztyletem. Uśmiechał się.

– Rzuć to – rozkazała Goodwin. – Aresztujemy cię w imieniu króla za morderstwa i porwania pod imieniem Węża Cienia.

– Muszę zostać w cieniu – powiedział, a oczy mu błyszczały. – Wasz mały Terier wam o mnie nie mówił? Jaki jestem twardy i jaki okrutny? Całe Niższe Miasto się mnie teraz boi. Co komu przyjdzie z tego, że umrę z krzykiem na Wzgórzu Straceń?

– Nigdzie nie pójdziesz – oznajmił mu Tunstall. – Pora odpowiedzieć przed Mithrosem.

– Odpowiem – odparł. Wbił sobie sztylet pod szczękę, w gardło. Zrobił to, zanim zdążyliśmy się ruszyć. Żadni uzdrowiciele nie mogli go już uratować. Szybko wykrwawiał się na śmierć, robiąc wokół siebie przerażający bałagan. Myślę, że nigdy nie zapomnę wyrazu jego oczu.

– Dobrze – powiedział w końcu Tunstall. – Królestwo zaoszczędzi na kosztach aresztowania i procesu.

– Nie, to egzekucja jest najdroższa – odparła Goodwin. – No i trzymanie go w klatce do tego czasu. To spore wydatki.

Tunstall splunął na klepisko.

Drapek podbiegł do Heruna. Sznury zsunęły się z jego nadgarstków i kostek Heruna, gdy mój kot ściągnął je zębami. Erskan zawahał się, a potem zdjął kaptur z głowy mężczyzny.

– Panie Lofts? Jest pan wolny. – Więzień tylko na niego patrzył, oszołomiony. Erskan zaczął masować mu kostki, by pobudzić krążenie krwi. – W porządku. – Miał łagodny głos. – Jest pan bezpieczny. Potrzebujemy pańskiego zeznania, proszę to zrozumieć. Musimy poddać tych tutaj procesowi.

Drapek wspiał się Herunowi na kolana i zaczął ugniatać łapkami jego blade nadgarstki, donośnie przy tym mrużąc. Herun wyciągnął rękę i go pogłaskał.

Tunstall pętał już jednego z powalonych mężczyzn. Pamiętałam o swoich obowiązkach, więc pospieszyłam na pomoc. Yates nie żył, Herun był wolny... Czuję się dziwnie. Nie do końca połączona ze światem, jakbym sama była duchem. Kto przekaze wieści pani Noll?

– Gdzie łupy? – spytał Tunstall swojego Szczura. – Bo przecież nie tutaj. Nie graliście o nie w kości. – Spojrzeliśmy na miedziaki na klepisku.

– Gdzie łupy, które dostał Yates za te porwane dzieci? – zapytała Goodwin, wiążąc ręce drugiego z trzech złapanych Szczurów. – Co z nimi zrobiliście?

Erskan podciągnął trzeciego na nogi.

– Pieniądzy nie było za dużo. Mogli je wydać.

– Yates ciągle mówił, że po tym nie będziemy już musieli pracować – powiedział aresztant zgorzkniałym głosem. – Że nie będzie już drobnych monet i biżuterii, sprzedawanej za połowę wartości...

– Gdyby pozwolił nam zająć się sprzedażą... – narzekał ten schwytywany przez Tunstalla. – To, co było najlepsze, zniknęło, a my dostaliśmy pieniądze.

– Powiemy wam, co chcecie wiedzieć. Tylko obrońcie nas przed tłumem – powiedział do Goodwin jej Szczur.

– Pomyślimy nad tym – odrzekł Tunstall. Musiałam mu pomóc postawić na nogi jego Szczura, który był dość ciężki.

– Dziś rano wyszliście się rozejrzeć, tak, chłopcy? Rzuciliście okiem na to, do czego zdolny jest tłum?

Szczur zadrżał.

Goodwin oparła swojego aresztanta o ścianę i zaczęła zbierać ich paczki, wciskając do nich wszystko, co mogło przydać się Sądowi Miejskiemu. Ersken przeszukał kieszenie Yatesa i oddał jego rzeczy partnerce. Związałam nasze Szczury jednym sznurem, jak niewolników.

Tunstall wziął konia i płachtę płótna ze stajni przy oberży, a karczmarz wyszedł na niego nawrzeszczeć. Wcześniej bał się to zrobić, dopóki hałasowaliśmy w jego szopie, teraz jednak wyglądało na to, że jesteśmy prawdziwymi Psami, więc nagle miał wiele do powiedzenia.

Tunstall nie zwrócił na niego uwagi. Najpierw owinął Yatesa płótnem, a następnie przywiązał ciało do końskiego grzbietu. Spodziewałam się, że zwierzę będzie zaniepokojone wonią takiej ilości krwi, ale nie miałam racji. Niewykluczone, że koń już wcześniej był wykorzystywany do tego samego celu.

Gdy oberżysta zaprotestował o jeden raz za dużo, Tunstall złapał go za kołnierz.

– Przyjdź po niego do budy przy ulicy Jane – powiedział przyjaznym głosem, mimo że podniósł mężczyznę, odrywając go od ziemi. – I dziękuj bogom, że oddamy konia. Nie próbuj mi wmówić, że ukrywałeś poszukiwanych ludzi, nic o tym nie wiedząc. – Puścił go. Od tej chwili karczmarz już nawet nie pisnął.

Gdy już zebraliśmy wszystko, co mogło się przydać, Goodwin dała jedną paczkę Erskenowi i jedną mnie.

– Przed nami długi marsz do budy, na dodatek w deszczu – powiedziała. – Ciekawe, jak daleko dojdziemy, zanim rozpęta się burza.

Podczas marszu zastanawiałam się, czy ryba w galarecie czuje się podobnie jak ja. Wykończyliśmy Węża Cienia. Nie żył, a Niższe Miasto było bezpieczne. Te Szczury były gotowe mówić, by oszczędzono im tortur ze strony Psów klatkowych i tłumy. Jeśli mieli do przekazania ważne informacje, mogli zamienić swoją karę śmierci na dożywotnie roboty w kamieniołomach albo na drogach królestwa.

To nie była moja sprawa, wciąż jednak miałam poczucie, że nie wszystko zostało zrobione.

Ktoś będzie musiał powiedzieć pani Noll, że jej najmłodszy syn nie żyje. Że prezenty, które jej dawał, okupione były krwią dzieci. Czy to podejrzewała? Była mądrą babą. Musiała choćby pomyśleć, że syn, który nigdy nie radził sobie w życiu najlepiej, wszedł w posiadanie ładnych rzeczy, takich jak ten liliowy wisiołek, w jakiś nieuczciwy sposób.

Czy dawał jej prezenty od czasu do czasu, czy też miała z tego coś więcej? Mózg pokazywał mi różne obrazy z każdym rozbłyskiem burzy. Nie tylko tego wisiołka, czegoś, co każdy syn mógłby dać swojej matce, łupu, którego sprzedaż nie przyniosłaby zbyt dużych pieniędzy. Przypomniałam sobie listę ofiar i cen za ich powrót. Wśród ponad dwudziestu przekazanych przedmiotów, o których wiedziałam, była też księga zaklęć. Perłowe kolczyki. Biżuteria, której nasze Szczury nie zachowały.

Łało jak z cebra, zanim dotarliśmy do Kruczej. Nawet trzymając tarcze nad sobą, ledwie wdziliśmy, gdzie stawiać nogi. Potem rozpadał się grad i z nieba leciały bryły lodu wielkości pięści. Musieliśmy osłaniać konia tarczami, nieszczęsne zwierzę. Zamieszki dobiegły końca. Wszyscy schowali się pod dachy. My też to zrobiliśmy, przy pierwszej nadarzącej się okazji daliśmy nura do walącego się magazynu. Schroniliśmy się tam, by przeczekać grad, po czym ruszyliśmy dalej. Im bliżej było do budy, tym bardziej zwracaliśmy uwagę na zapach dymu. Pożary wybuchły w pobliżu Targu Nocnego, a także w innych częściach Szamba. Przy domu Krzywonogiego.

Szereg Psów z uczestnikami zamieszek, którzy mieli trafić do klatek, ciągnął się od budy aż do Targu Nocnego. Wszyscy jęknęliśmy, ustawiając się za ostatnią parą i jej aresztantami. Zatłoczony wagon klatkowy przejechał z turkotem obok. To oznaczało, że klatki przy ulicy Jane są pełne. Kolejnych więźniów przesyłali prosto do Zamurza. Ulewa trwała. Kiedy już myślałam, że zaczyna przechodzić, usłyszałam nowe, przybliżające się grzmoty. Nadciągała kolejna burza.

Moje Psy rozmawiały z innymi gwardzistami, którzy stanęli za nami, pilnując więźniów. Ersken poszedł poszukać swoich Psów, po czym wrócił z wieściami. Ogień podłożono między innymi w domu Krzywonogiego. Starzec już stamtąd nie wyszedł. Dwie inne osoby znalazły się w pułapce razem z nim, lecz nie Annis. Nikt nie wiedział, gdzie ona jest, ale służący, którzy uciekli, mówili, że nie było jej w domu, podobnie jak Tansy.

Goodwin zerknęła na Heruna.

– Przykro mi, że twój dziadek nie żyje – powiedziała. – Przykro mi, że musiałeś się o tym dowiedzieć w taki sposób.

Herun opierał się o ścianę budynku pod okapem, osłonięty przed deszczem. Pokiwał tylko głową. Niewiele mówił, odkąd wyciągnęliśmy go z szopy.

Po słowach Goodwin poczułam swędzenie pod skórą.

– Mogę iść do pani Noll? – Słowa same dobieły się z moich ust. Tunstall, Goodwin, Ersken, a nawet aresztanci, wszyscy na mnie patrzyli. – Oberżysta nie będzie trzymał języka za zębami. A nawet jeśli będzie, to jego służy już nie. Robiła dla mnie dobre rzeczy, kiedy byłam mała. Lepiej, żeby dowiedziała się o wszystkim ode mnie.

Goodwin westchnęła. Tunstall posłał jej pytające spojrzenie.

– Nie potrzebujemy Cooper do zarejestrowania aresztantów, Clary. A pani Deirdry często nas karmiła. Zasluguje na coś lepszego niż informacja od pierwszej lepszej plotkary. Która powie jej, że było gorzej, niż było naprawdę.

– Byle szybko – poleciła mi Goodwin.

Oddałam swoją tarczę Erskenowi i ruszyłam w drogę przez deszcz, rozchlapując wodę tak wysoko, że krople fruwały powyżej moich bioder. Obok mnie truchtał Drapek. Błoto zsuwało się z jego lśniącego futra, jakby był pokryty olejem.

Gdy druga fala ulewy zelżała, gołębie towarzyszyły nam, szybując ponad ulicami. Czemu ciągle trzymały się blisko mnie? Yates już nie żył.

Pani Noll mniej więcej od roku mieszkała w nowym domu u zbiegu Uliczki Lelków i Alei Zupnej. Był znacznie lepszy od tego, który miała przy Uliczce Psich Sików. W tamtym zatłoczonym domku były trzy piece, a na dodatek wokół kręciła się gromada dzieci, które tylko czekały, by ukraść jej wypieki. Tutaj pieców było dziesięć. Jej zamężne córki mieszkały po obu stronach. Pomagały jej. Zatrudniała też pracowników. Jej mąż niemal doprowadził wcześniej interes do ruiny. Nigdy nie miał głowy do spraw finansowych.

Służący, który otworzył bramę, gdy zapukałam, popatrzył na mój mundur i wpuścił mnie do środka. Pozostali pracownicy zajmowali się wypiekami. Służący gestem zaprosił mnie w kierunku domu, nawet nie zauważając kota. Wytarłam buty i weszłam do kuchni. Pokojówka przyprowadziła Gemmę. Tak samo jak mężczyzna, który otworzył bramę, nie zwróciła uwagi na Drapek.

– Zajmuje się księgami – oznajmiła Gemma, gdy spytałam o jej matkę. – Tędy. – Poszłam za nią, a wtedy powiedziała: – Jestem zaskoczona, że przyszłaś. Myślałam, że będziesz z Psami. Podobno tłum podkłada ogień.

– Pożary już zgasły, a wojsko utrzymuje porządek na ulicach – odrzekłam, myśląc: nie słyszeli o Yatesie. Bogom dzięki, że Tunstall zawiązał go, zanim powieźliśmy go przez miasto.

Patrzyłam na Gemmę, która szła wąskim korytarzem między kuchnią a główną częścią domu. Włosy miała zasłonięte chustką, a na jej długiej zewnętrznej tunice widniały smugi mąki. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek odpoczywa. Na jej odkrytej szyi widniał siniak o kształcie męskich palców.

Przynajmniej to się już skończyło, pomyślałam. Yates nie będzie jej więcej bił.

Dlaczego pani Noll na to pozwalała? Wiedziała, że rządziła swoim mężem i dziećmi żelazną ręką. Mogła powstrzymać Yatesa przed maltretowaniem Gemmy.

– Czemu stąd nie uciekłaś? – spytałam. – Czemu zostałaś i pozwalałaś, żeby Yates tak źle cię traktował? Nie mogłaś zamieszkać z jedną ze swoich siostr?

– Mama chciała mnie tutaj – powiedziała. – W tym domu robisz to, co powie mama.

– Zawsze? – spytałam, mając bardzo złe przeczucia. Ale nie. Nie ta starsza pani. Nie kobieta, która dawała chleb mnie i mojej rodzinie, kiedy byliśmy głodni.

Weszliśmy do małego, schludnego saloniku, Gemma, Drapek i ja. Pani Noll siedziała nachylona nad stołem, mrużąc oczy nad księgą rachunkową.

– Głupia zdiro, chyba mówiłam, że ten budyń ma być gotowy jak najszybciej? – powiedziała, nie podnosząc wzroku. – Niezależnie od zamieszek, Gildia Szewców urządza dzisiaj kolację... – W końcu na nas spojrzała. – Becca Cooper. Twoje Psy z pewnością mają teraz sporo robo-

ty. Gemmo, zajmij się swoimi sprawami.

– Właściwie mam wieści dla was obu, pani Noll – oznajmiłam. – Przysłały mnie moje Psy.

Pani Noll odłożyła swoją trzcinkę do pisania i odchyliła się na krześle. Drapek wskoczył na księgę i popatrzył jej w twarz.

– A jakie to wieści są tak ważne, że sprowadzają cię do mojego domu w środku rozruchów?

– Rozruchy się skończyły – odparłam. – Mam wieści o Yatesie.

Kobieta znieruchomiała.

– Co się stało z moim synem?

– Nie żyje – oznajmiłam. Usłyszałam cichy okrzyk Gemmy. – Proszę o wybaczenie. Aresztowaliśmy jego współników w porwaniach przez Węża Cienia. Złapaliśmy wszystkich razem. Yates też by żył, ale sam się zabił.

Twarcz pani Noll zdawała się twarda niczym żelazo.

– I powiedział, że był Wężem Cienia?

– Mamo – szepnęła Gemma.

– Zamknij gębę! – rozkazała pani Noll.

– Yates tak powiedział – potwierdziłam. – Powiedzieli to też jego koledzy, których wzięliśmy żywych. – Nie oderwałam oczu od jej twarzy, gdy zablefowałam. – Ale wiemy, że nie był Wężem bardziej niż ja. Za sprawą Tansy pomyślałam o pani. Za sprawą Tansy i tego liliowego wisiora, który pani nosi.

Podniosła rękę do swoich naszyjników. Liliowy wisior znowu był schowany pod ubraniem.

– A co ta nadrzeczna ulicznica ma do powiedzenia na mój temat? – spytała.

– Gdy były tu moje Psy, wyrażała się pani o Tansy bardzo dobrze – powiedziałam. Staralam się zachować łagodny ton. Na wieść o śmierci Yatesa coś w niej pękło, mimo że mówiła tak surowo. Na moich oczach dosłownie się rozpadała.

– Pamiętam, jak się pani na nią złościła, gdy byłyśmy małe.

Ucieszyła się pani, gdy w jakiś sposób dowiedziała się pani o opalach. Miała pani pretekst, żeby ją skrzywdzić. Przypuszczam, że zabiłaby pani Rolonda, nawet gdyby staruszek zapłacił. – Zobaczyłam, jak zaciska dłonie na kolanach w wielkie pięści z wystającymi kłykciami. Po tylu latach pracy w piekarni mogła zadać przerażający cios, nawet w swoim wieku. – Czy zamierzała pani z czasem zabić także ją?

– Mieszkałaś przy Uliczce Psich Sików, Becco – wycodziła przez zęby pani Noll. – Harowaliśmy jak niewolnicy, żeby się stamtąd wyrwać, a ta smarkuła odbierała mi zarobek. Za każdym razem, gdy mnie okradła, musiałam robić wszystko od nowa. Nie zarobiłam ani miedziaka na interesie, dzięki któremu ja i moja rodzina mieliśmy pójść do przodu. Chętnie karmiłam was, okoliczne dzieci, przypalonym i niesprzedanym pieczywem. Zajmowaliście się dostawami. Nosiliście drewno na opał i wodę. Ale pozwalaliście jej mnie okradać, a potem się śmialiście. Nie było w was żadnej wdzięczności. Odpowiadało wam tarzanie się w brudzie, podczas gdy inni was karmili.

– A po co kolejne porwania? Ci ludzie byli pani klientami. Sąsiadami. – Patrzyłam na nią, starając się nadal o spokój w swoim głosie.

– Po co? – Uniosła brwi. – Jeszcze pytasz? Nie chciałam zostać przy Uliczce Psich Sików! Urabiałam się po łokcie przy piecach, załatwiałam to jakiś stół, to stragan, a oto przychodzi pani Painter z rubinowym wahadełkiem. Rubinowym, podczas gdy wszyscy wiemy, że jej magiczny dar nie wystarczyłby nawet do wywołania deszczu w środku burzy. A jej bachor biegł w kółko, dla zabawy wzbijając kurz przed straganami. – Pochyliła głowę i uniosła rękę do gardła. – Straciłam panowanie nad sobą, tak jak i teraz. Ale nie przeżyjesz, by o tym opowiedzieć.

Usłyszałam trzask. Rzuciła we mnie czymś, co oderwała od jednego ze swoich naszyjników. Poniewczasie przypomniałam sobie, że wśród przedmiotów, które zabrała innym, były także amulety klątw.

Drapek, który siedział zapomniany na jej księdze rachunkowej, skoczył. Złapał to coś w zęby i padł na podłogę. Krzyknęłam i skoczyłam na panią Noll, uderzając jej krzesłem o stół. Zamachnęła się na mnie ciężkimi piekarskimi pięściami. Złapałam wszystkie jej naszyjniki i ściągnę-

łam je przez głowę, drapiąc jej policzki i nos, zrywając chustkę i wysuwając włosy ze spinek, podczas gdy ona okładała mnie po żebrach. Rzuciłam naszyjniki na podłogę z boku krzesła i przyłożyłam dłoń do jej nosa, czubkiem środkowego palca naciskając lewą powiekę, wskazującego zaś – prawą.

– Gemmo, pomóż mi! – krzyknęła.

– Nie, mamie – usłyszałam odpowiedź. – Nie tym razem.

– Niech pani zamknie gębę – warknęłam – bo straci pani oko za zabicie mojego kota. Oboje oczu, jeśli mnie pani zmusi.

Znieruchomiała. Nie mogła znieść myśli o kalectwie. Wiedziała, że to zrobię. Ja też pochodziłam z Uliczki Psych Sików.

Jedną ręką, tak jak ćwiczyliśmy, przywiązałam rzemień do jej prawej ręki, wymacawszy wcześniej, czy nie ma tam więcej amuletów. Szybko złapałam jej lewą rękę dłonią, którą wcześniej trzymałam na jej oczach, i związałam nadgarstki razem.

– Nie masz dowodów – powiedziała wbijając we mnie lodowaty wzrok. – Myślisz, że ona będzie zeznawać przeciwko mnie?

– Ma pani wszystkie rzeczy, których pani nie sprzedała – stwierdziłam. Wyciągnęłam sztylet. Ze sterty naszyjników wyłowiłam liliowy wisiołek oraz dwa inne, które rozpoznałam z przekazanych mi opisów. Jej perłowe kolczyki też wyglądały znajomo. Dla pewności zdjęłam je z jej uszu i sprawdziłam srebrną tylną stronę. Chłop, który je kupił, kazał tam maleń – kimi literami wygrawerować inicjały swojej baby, T.L. – Amulety i księga czarów są zapewne w tym domu. A magowie wyciągną resztę z pani i z Gemmy.

– Nie możesz mnie aresztować – oświadczyła pani Noll. – Jesteś tylko Szczenięciem, które pozwoliło sobie na zbyt wiele.

– Nie, nie mogę pani aresztować. Ale mogę zawlec panią za włosy, gdyby było trzeba – odparłam. – A gdy będziemy szli na ulicę Jane, będę krzyczeć, za co panią zabrałam. Nie pada aż tak mocno, żeby ludzie mnie nie słyszeli. Z pewnością nie dożyje pani prawidłowego aresztowania przez moje Psy. – Krew dudniła mi w skroniach, byłam zimna i wściekła. Do dzisiaj wierzyłam w jej dobre serce. A ona porывała i mordowała dzieci dla zysku, a także przez złośliwość. – Ale pani i Gemma możecie pójść ze mną spokojnie i po cichu dać się aresztować. Później odpowie pani za wszystko przed właściwym sądem. Przed prawem. – Spojrzałam na Gemmę. – Wiedziałaś o tym. Zabieram cię z nami.

Skinęła głową.

Wtedy zmusiłam się, by poszukać Drapka. Zacisnęłam zęby, szykując się na to, że ujrzę go umierającego albo martwego. W końcu rzucił się na kłątwe.

Tymczasem zobaczyłam, że obraca coś w pyszczku, żeby lepiej to pogryźć. Maleńkie, czerwone, bezwładne rączki migają między jego zębami. Potem się zwinęły. To, co zjadał, zrobiło się mniejsze, aż połknął resztki. Następnie zaczął się myć.

– Ty żyjesz – powiedziałam jak idiotka.

Przerwał lizanie łapy i skierował oczy na mnie. *Masz o mnie marne zdanie, jeśli uważasz, że taka maleńka kłątwa mogłaby mi choćby zmierzić sierść.*

Zbesztana, jak się patrzy, uklękłam, by pani Noll mnie nie kopnęła, po czym zaczęłam krępować jej kostki.

Gdy wróciłam do swoich Psów oraz Erskena, Heruna i bandy Yatesa, wszyscy stali w kolejce o całą przecnicę od budy. Tunstall uniósł brwi, gdy do nich dołączyłam, ciągnąc panią Noll i Gemmę.

– Myślałem, że poszłaś przekazać smutne wieści, Cooper. Znalazłaś dziwny sposób.

Opowiedziałam o swoich snach na temat dawnych lat i o rządach pani Noll nad swoimi dziećmi. I o tym, jak jedna myśl doprowadziła mnie do drugiej.

– Zastanawialiśmy się, ile łupów dostała – powiedział Tunstall. – Dlaczego Wąż Cienia ciągle mieszkał u matki i pracował dla niej, nosząc wypieki. Nie mieliśmy jednak możliwości, by pójść z nią porozmawiać z tymi trzema na karku. – Pociągnął sznurek, do którego przywiązani byli koledzy Yatesa.

– Zrobiła to starsza pani? – szepnął Herun. – Starsza pani kazała zamordować mi synka i porwać mnie dla amuletów i garści monet?

– Dla opali ognistych, chłopcze – powiedziała Goodwin. – Żeby już więcej nie zajmować się amuletami i monetami, no i żeby nie upiec już więcej żadnego pasztecika.

Nagle Gemma, za plecami trzech mężczyzn z bandy Yatesa, wybuchnęła śmiechem. Popatrzyliśmy na nią i jej matkę. Pani Noll uniosła związane ręce do ust. Gemma się śmiała, lecz po policzkach jej matki ciekły cienkie strużki łez.

Szczur, który był związany obok nich, cofnął się najdalej, jak mógł.

– Powiedział im, że Krzywonogi nie żyje – wyjaśnił nam Ersken. – Gemma uważa, że to zabawne.

– Nigdy więcej, przysięgała – powiedziała Gemma, z trudem łapiąc powietrze. – Mówiła, że po tym wszystko się skończy. I się skończyło! Mama to prorokini, bo się skończyło, na zawsze. Ale wszystko na nic!

Znowu zaczęła się śmiać. Nagle pani Noll machnęła rękami. Uderzyła córkę w bok głowy, przewracając ją na ziemię. Przywiązana do szeregu aresztantów Gemma omal nie pociągnęła matki za sobą w dół, zanim z wysiłkiem złapała równowagę.

– Zamknij tę głupią gębę, przeklęta idiotko – nakazała pani Noll swojej córce beznamiętnym tonem. – Przez ciebie rozerwą nas na strzępy. Twój brat przynajmniej się do czegoś przydawał.

Gemma wbiła w nią spojrzenie.

– I skazał nas na śmierć, matko – zauważyła. – Gdy będziemy krzyczeć, błagając kata o łaskę, przypomnisz sobie, że Yates nas z tym zostawił! A ja niczego nie zrobiłam, tylko mieszkałam w twoim domu!

Tunstall podszedł do Gemmy i położył rękę na ramieniu pani Noll, odsuwając ją od córki.

– Zgódź się zeznawać przeciwko matce, a uzyskamy dla ciebie łaskę. Będiesz żyła. – Popatrzył na siniak, który formował się na jej twarzy, a potem na panią Noll. – Nawet przywiążemy cię teraz na początku szeregu, blisko nas.

Gemma skinęła głową. Przywiązałam panią Noll do Szczura, który powiedział jej, że Krzywonogi nie żyje. Ersken podprowadził Gemmę i spętał ją tak, że stanęła teraz jako pierwsza w szeregu naszych aresztantów.

– Patrzcie – powiedział Herun. Głową wskazał Psy przed nami. Rozstępowali się. Przesuwali też swoje Szczury. Zrobili nam przejście do budy.

– Co to znaczy? – spytała Goodwin z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– Słuchaliśmy, co mówicie – wyjaśnił jeden z Psów przed nami. Był roslym Scanraninem, który pracował w Straży Nocnej. – Macie bandę Węża Cienia. Idźcie przodem.

– Nie chcę żadnych przysług – odrzekła Goodwin.

Ersken spuścił wzrok i skrzywił się. Jeśli nogi bolały go tak samo jak mnie, to wiem, że nie miał nic przeciwko przysługom.

– Więc nie nazywaj tego przysługą – odezwał się partner Scanranina. – Jeśli rozniesie się wieść, kogo mamy, będziemy mieli na głowie nowy tłum. Idźcie.

Inne Psy ponaglały nas gestami.

– Gwardzistko, nie wiem, co się stało z moją matką – powiedział cicho Herun. – I nie wiem, gdzie jest moja żona.

– Tansy jest u mnie – oznajmiłam. – Zamieszkała u mnie dwa dni temu.

Herun uśmiechnął się nieśmiało.

– Chciałbym się z nią zobaczyć przed świtem – zwrócił się do Goodwin. – I chcę odnaleźć swoją matkę.

Popatrzyła na niego. Potem ruszyła do budy, a on deptał jej po piętach. Tunstall prowadził nasz szereg aresztantów, ja i Ersken zamykaliśmy tyły, wraz z Drapką, zawiadującym trzymającym ogon w górze niczym czarną chorągiew.

Gdy przechodziłam, Psy klepały mnie po ramionach.

W środku czekały na Heruna dobre wieści. Pani Annis przebywała w gabinecie uzdrowicieli wraz z trzema sługami Krzywonogiego. Nie spotkała ich wielka krzywda poza tym, że nawdychali

się trochę dymu. Jakby tego było mało, Tansy przyszła, dowiedziawszy się, gdzie znajdzie teściową. Gdy zobaczyła swojego męża, wtuliła się w niego i zdołaliśmy oderwać ją od niego tylko na czas konieczny, by mógł złożyć zeznania. Ponieważ miałam jeszcze pracę, odesłałam ich na noc do mojej kwatery. Rano mogli sobie znaleźć jakiś ką.

– Puście Cooper płazem próbę samodzielnego aresztowania Szczura? – spytała Ahuda moje Psy, gdy przejrzała nasze raporty.

– Nie planowałam tego, kiedy tam szłam – powiedziałam. Zamilkłam natychmiast, gdy tylko się skrzywiła.

– Jest Szczęściem – stwierdził Tunstall. – Pracuje dopiero niecałe dwa miesiące. Nauczy się.

– Jeśli nie, to zginie – dodała Goodwin. – O ile wszyscy troje nie umrzemy od bólu nóg i pustych brzuchów.

– Każdy kiedyś umrze – oznajmił sierżant Straży Diennej. On też przyprowadził aresztantów. – A tutaj raczej prędzej niż później. Idźcie. Jeśli macie dzisiaj umrzeć, to przynajmniej z pełnymi brzuchami.

Popatrzyliśmy na Ahudę. Spiorunowała nas spojrzeniem.

– Idźcie już – rozkazała. – A ty, Cooper, zostaw w przyszłości aresztowania swoim Psom.

Południe.

Rano obudził mnie blask słońca oraz pukanie do drzwi. Okiennice były otwarte. Gołębie trzepotały skrzydłami, jedząc Tansy z ręki. Herun, ubrany w pomiętą koszulę i spodnie, obserwował ją z kąta. Na jego twarzy malował się blask, który nie miał nic wspólnego ze światłem poranka. Zobaczyłam, że naprawdę ją kocha, nie tylko za wygląd. Było to miłe spostrzeżenie.

Odwróciła się i uśmiechnęła do niego, a w oczach miała ten sam blask. Nagle krzyknęła. Gołąb dziobnął ją, bo cofnęła rękę z karmą.

Jeden ze służących Loftsów otworzył drzwi. Aniki wetknęła głowę do środka. Dwie córeczki Ashmillera wstały, żeby pogłaskać Łobuziaka, którego trzymała na rękach. Gdy usiadłam na swoich kocach, Aniki zagadnęła:

– Śniadanie?

Wyszliśmy na zewnątrz, by mieć miejsce na jakikolwiek ruch. Na podwórku stały ławki oraz beczki, na których się rozsiedliśmy. Mieliliśmy tylko resztki, czerstwy chleb, stare ciastka i paszteciki. Na szczęście kielbasa i ser się nie zepsuły, były też suszone owoce. Podczas zamieszek nikt nie mógł kupić świeżego jedzenia, więc cieszyliśmy się tym, co mamy. A ludzi do podziału nie brakowało – mieszkańcy domu Loftsów, Ashmillerowie, moi sąsiedzi, Ersken, Phelan i ja.

Gdy już zeszli na śniadanie, Kora puściła rękę Erskena, by mocno mnie uściskać.

– Niech cię Starucha błogosławi, Terierze – szepnęła mi do ucha. – Złapałaś i zabiłaś Węża.

Zawahałam się, ale szczerze mówiąc, dzisiaj czułam się zbyt dobrze, by zamykać swoje serce. Też ją przytuliłam.

– My to zrobiliśmy – odparłam. – My wszyscy. Wszyscy. Niższe Miasto zabiło Węża.

Usłyszałam miauknięcie. Omal nie rozgniotłam Sierściucha w jego nosidelku.

– Nigdy nigdzie sam nie pójdzie, jeśli będziesz go ciągle nosić – stwierdziłam. Kora wyjęła kociaka i postawiła go na ziemi.

– Jeśli go puści, pójdzie prosto do najbliższego żarcia – powiedział Ersken. – Ojciec. Myśli, że pan Drapek na to pozwoli.

Drapek zajądał się serem. Bardzo go lubił, chociaż ser nie działał najlepiej na jego oddech. Sierściuch porwał kawałek. Drapek uderzył go, aż maluch potoczył się na Łobuziaka. Ten się cofnął, miauknął i sam pacnął Sierściucha.

– Oto prawdziwy król – powiedział Rosto o zawziętym kociaku, gdy do nas dołączył.

Dziewczynki Ashmillera zapiszczały z radości. Rosto przyniósł plaster miodu w misce, a także pół bochenka chleba. Podał im te przysmaki, po czym podniósł Łobuziaka i spojrzał mu w oczy. – Nie pozwól, żeby ktokolwiek okazywał ci brak szacunku, kolego, właśnie tak. Od małego futrzaka do potężnego zbira. – Rana na jego policzku już niemal się zagoiła i została po niej tylko długa blizna. Zmarszczyłam czoło. Mógł polecić magowi takie jej wyleczenie, że w ogóle nie byłoby śladu.

Chyba że chciał mieć szramę.

– Na mleko Matki, zrobiłaś to – stwierdziłam. – Zabiłaś go. Zostałeś Łotrem.

Rosto podtrzymał Łobuziaka jedną ręką, a drugą przytrzymał mnie za kark, po czym pocałował mnie w usta. Powinnam mu przyłożyć, ale jego wargi były słodkie i miękkie. Walnę go następnym razem.

– Obiecuję, że nie uderzy mi to do głowy – powiedział, gdy mnie puścił. – Ale coś musiało się zmienić, Becco.

Wiedziałaś o tym równie dobrze jak my. – Rozejrzył się. – Ten dom to dobra kwatera główna. Moglibyśmy przerobić go na karczmę. Dwór Łotra, który mamy, nie jest dobry. Ludzie zaczynają się w nim czuć jak rodzina królewska. Zapominają, że powinni przede wszystkim dbać o Niższe Miasto.

Aniki klepnęła go w tydkę.

– Cudowne plany. A teraz siadaj i jedz.

Około dziewiątej przybył kurier, by powiedzieć, że na parę dni wszystkie Psy zwolniono z obowiązku służby. Król wprowadził w mieście stan wyjątkowy. Żołnierze mieli utrzymywać porządek na ulicach. Wolno było robić zakupy, ale zgromadzenia większe niż dziesięć osób zostały zakazane.

Tansy, Herun, pani Annis i służący Loftsów wyszli w pierwszej kolejności. Mieli pieniądze – Herun to spadkobierca swojego dziadka. Zamieszkają w jednym z domów Krzywonożego w Dzielnicy Koturnowej. Patrzyłam, jak odchodzą, i czułam ulgę. Klaps wylądował mi na ramieniu. Nie miał na sobie żadnego ducha.

Czwartek, 14 maja 246

Jack wyprowadził się wczoraj ze swoimi dziećmi. Powiedział, że zarobił trochę pieniędzy. Nie mówił, jak. Nie pytałam, chociaż obracałam w palcach swój ognisty opał, gdy pakowali rzeczy. Dziewczynki nie zapalały do mnie sympatią, ale nauczyłam ich braciszka grać w koci koci łapci, tak samo jak uczyłam tego swoich braci.

Wczoraj po południu przyszedł do mnie kurier. Dziś o dziewiątej miałam się stawić w mundurze w Sądzie Miejskim. Wiedziałam, że będę musiała stanąć przed panem Tullusem i opowiedzieć o tych fragmentach aresztowania, przy których byłam jedynym świadkiem. Postanowił przeprowadzić tak zwaną „zaćmioną sesję” i podczas niej osądzić panią Noll i bandę Węża Cienia. Zaczęła obawa, że proces w zwykły dzień sądowy groziłby wybuchem kolejnych rozruchów, bez względu na obecność żołnierzy. Ludzie pragnęli zemsty za trzy lata strachu i byli wściekli, że Psy nie pojmały pani Noll i jej bandy już wcześniej.

Wymiotowałam w nocy tyle razy, że na koniec zwracałam już tylko wodę.

Zabrałam Drapka do sądu. Gdy zbliżaliśmy się do bramy, zaczął się szamotać w moich ramionach i surowo mnie ofuknął.

Uspokój się wreszcie! Niedługo będzie po wszystkim, a wtedy możesz sobie znaleźć kamień, pod którym się schowasz.

Gwardziści przy bramie popatrzyli dziwnie, ale nas przepuścili. Żadne przepisy nie zakazywały obecności kotów, nawet na zaćmionej sesji.

Poczułam skurcz w żołądku. Na szczęście nic w nim nie miałam. Każdy, kto mnie widział, mógł pomyśleć, że tylko beknęłam. Zwykli ludzie nie mieli wstępu na zaćmioną sesję, ale Psy tak. Ulice patrolowało wojsko, więc gwardziści nie pełnili służby. Pewnie wielu się nudziło.

Przecież muszą odespać swoje zmęczenie, wyprać ubrania, zadbać o ogródki, pomyślałam, patrząc na istne morze czarnych mundurów. Było ich tak wiele, że wylewały się do sektora dla gapiów, za prętami. Przednie ławy w części dla Psów pozostały jednak puste, jeśli nie liczyć trzech osób: Goodwin, Tunstalla i Erskena.

Poszłam zająć miejsce obok nich. Goodwin poklepała ławę obok siebie. Usiadłam. Drapek zeskoczył i poszedł ich przywitać, niczym kapitan, dokonujący inspekcji żołnierzy.

– Uspokój się, Cooper – powiedziała Goodwin. – Po ostatnim miesiącu można by się spodziewać, że potrafisz już spojrzeć panu Tullusowi w oczy.

Na próbę zerknęłam na jego biurko i się wzdrygnęłam. W miejscach, gdzie zazwyczaj stali żołnierze, reprezentujący Koronę, sądowe Psy ustawiły dwa krzesła z królewskim godłem w kształcie korony i miecza wyrzeźbionym z tyłu. Mieli dziś na nich zasiąść szlachcice, przedstawiciele króla.

Dłoń okryta rękawiczką z koziej skóry poklepała mnie w ramię.

– Trzymaj to w ustach. – Pani Sabine podała mi pikantną, a jednak przyjemną w smaku pastylkę. – Przyjaciół przysłała mi je z Wysp Yamańskich. Tunstall powiedział, że bardzo się denerwujesz. Pamiętaj, dziewięć osób żyje dlatego, że jesteś Terierem wśród Psów. – Znowu klepnęła mnie w ramię, uśmiechnęła się do moich Psów i Erskena, a następnie przeszła na drugą stronę przedniej części sali sądowej. Jako rycerz mogła zażądać miejsca przed kratami odgradzającymi widzów.

– Wolałabym, żeby tak mnie nie nazywano – mruknęłam, choć uprzejmość Jaśnie Pani rozgrzała moje serce w nie mniejszym stopniu, niż pastylka rozgrzała moje usta.

– Złapałaś sprawę kopaczy i sprawę Węża, a potem już nie puściłaś – szepnął Tunstall. – Przyzwyczajaj się do tego przydomka.

– Strażnicy kopaczy poprosili o łaskę przy egzekucji i złożyli zeznania – wyjaśniła mi Goodwin. – Byli przerażeni perspektywą publicznego procesu. Kayu miała trochę trucizny i zabiła się w więzieniu dla magów. No i dobrze. Norwood i Poundridge”>Poundridge śpiewają jak ptaszyny,

próbując wykupić się od kamieniołomów. Wstajemy. Na łyży Dziewicy.

Powiedziała to i wstaliśmy, bo pan Tullus wszedł do środka z samym panem sędzią najwyższym, a także Jaśnie Panem Gershomem, władcą Haryse. Zajęli te dwa rzeźbione krzesła. Usiadłam, zanim osunęłam się na ziemię.

Mimo obecności pana sędziego najwyższego proces prowadził pan Tullus. To mógł być zwykły dzień w sądzie, gdyby nie garstka Szczurów, zaledwie cztery Psy i dwóch wysoko postawionych szlachciców, siedzących po obu stronach pana Tullusa. Jedno się nie zmieniło. Ranek ciągnął się w nieskończoność, bo musieliśmy przedstawić sądowi całą sprawę Węża Cienia. Goodwin i Tunstall mówili przez jakiś czas. Pokazywali mapy, które uaktualnialiśmy, i opowiadali, jak ja oraz moje Ptaszki zdobywaliśmy informacje i jak przekazywałam je swoim Psom. Wspomnieli, że Ersken mi pomagał, a my pokiwaliliśmy głowami. Rosto, Kora, Aniki, pani Painter i wiele innych osób zgodnie ze zwyczajem zostali nazwani „informatoremami z Niższego Miasta”. Moje Psy opowiedziały wszystko do chwili, gdy Yates przeciął sobie gardło. Potem ja musiałam wstać i powiedzieć resztę.

Zacisnęłam pięści, wbijając sobie paznokcie w dłonie, i wstałam. Drapek oparł mi się o nogę, mruczając tak głośno, że drgania aż przenosiły się na mnie. Połknęłam resztkę pastylki i podniosłam wzrok, wlepiając oczy w klatkę piersiową pana Tullusa.

– Jaśnie... Jaśnie Panie, miałam powiedzieć pani Noll, że Yates nie żyje – zaczęłam. – Ale przypomniałam sobie, że pani Noll próbowała... no, uderzyć Tansy miotłą. – Usłyszałam chichot Psów i umilkłam. Nigdy w życiu nie widziałam tylu gwardzistów w jednym miejscu. I wszyscy mnie słuchali.

– Chciałbym się dowiedzieć, w jaki sposób ci gwardziści weszli w posiadanie tylu informacji – odezwał się pan sędzia najwyższy. Popatrzyłam na niego, zaskoczona. Oczy miał równie jasne jak ja. Jeśli ja też tak właśnie patrzyłam czasem na innych, mroząc ich wzrokiem, nic dziwnego, że tego nie lubili. Moje gardło zrobiło się suche jak pieprz. – Goodwin i Tunstall raportowali, że ta stażystka, Cooper, zwerbowała mieszkańców miasta do rozmów z ofiarami zbrodni tej bandy. Co masz do powiedzenia, dziewczyno? Skąd stażystce przyszło do głowy, że koszar z dziecięcych bajek może istnieć naprawdę?

Popatrzyłam na podłogę. W jego ustach brzmiało to tak, jakbym uważała się za lepszą od swoich Psów. Za lepszą od wszystkich.

Goodwin wstała.

– Zrobiła to, bo została dobrze nauczona. Wyraziliśmy zgodę, bo byliśmy przytłoczeni pracą, a ona ma wyjątkowe kontakty, panie – powiedziała. Jej głos brzmiał tak swobodnie, jakby codziennie rozmawiała z nim przy śniadaniu. – Omówiła wszystko z Tunstallem i ze mną. Ma też zdolności magiczne. Jaśnie Pan Starosta potwierdzi, że stażystka Cooper słyszy głosy zmarłych. Gdy pokazała nam, co potrafi, zrozumieliśmy, że jej informacje są cenne. Były dowodem, którego zdobycie nastęrczało znacznych trudności.

– Magowie wśród Psów mają szczególne metody dochodzenia, panie – odezwał się Tunstall, wstając. – Wszyscy to widzieliśmy. Pozwolę sobie dodać, z całym szacunkiem, że to był dla nas bardzo dobry tydzień.

Pan sędzia najwyższy zamrugnął powiekami niczym jaszczurka.

– Dobrze. Usiądźcie, oboje. Mimo wszystko wysłucham, co Cooper ma sama do powiedzenia.

Pan Tullus westchnął.

– Patrz w podłogę, Cooper – rzekł, a następnie odwrócił się do sędziego najwyższego. – Bardzo się wstydzi publicznych wystąpień, panie. Lepiej jej pójdzie, jeśli nie będzie musiała pa-trzeć...

– Nie.

Podniosłam głowę na dźwięk głosu pana Gershoma. Wbiłam w niego spojrzenie. Nachylił się w przód na swoim krześle, składając dłonie między kolanami. Równie dobrze moglibyśmy siedzieć w jego saloniku, tylko my dwoje i Drapek.

– Powiedz to mnie, Becco. Powiedz, jak to się wszystko zaczęło. Po prostu patrz na mnie

i mów.

Kilka razy się zająknęłam. Gdy wargi przylepiły mi się do zębów, przyjąłam butelkę z zimną herbatą, którą podał mi Ersken. W końcu opowiedziałam Jaśnie Panu wszystko, od śmierci Rolonda, poprzez mapę i liliowy wisiołek, po schwywanie bandy Yatesa i ostatnią wizytę u pani Noll. Pod koniec udało mi się nawet na nią zerknąć. Patrzyła prosto przed siebie, przypominając bardziej kamień niż kobietę.

– Bardzo dobrze, gwardzistko Cooper – powiedział cicho pan Tullus, gdy skończyłam. – Możesz usiąść.

Reszta potoczyła się jak należy. Banda Węża Cienia została skazana na śmierć na Wzgórzu Straceń i potajemnie wyprowadzona z sądu. Gemnę uwolniono, choć zesłano z miasta za to, że nie zgłosiła czynków swojej matki i brata organom ścigania. Oficjele wyszli, z wyjątkiem Jaśnie Pana Gershoma. Podszedł, uśmiechając się porozumiewawczo.

– Bardzo dobry tydzień – skomentował, ściskając dłonie moim Psom i Erskenowi. – I jeszcze Nowy Łotr. Wiele się zmieni w Niższym Mieście. – Spojrzał na mnie. – Niektórzy chcieliby, żebyś poszła na kolację. – Wskazał kraty dla publiczności. Potem zwrócił się do moich Psów i Erskena: – Jesteście zaproszeni. Zdaje się, że Tunstall i Goodwin znają to miejsce.

Czułam się dziwnie. Moi bracia i moja siostra Lorine stali w części dla widzów, Nilo podskakiwał jak wariat, Will się uśmiechał, a Lorine ocierała oczy chusteczką. Diony nie było, ale i tak byłam świadkiem cudu.

– Tęsknię za tobą – powiedział mi Jaśnie Pan do ucha. Drapek podbiegł do nich, prześlizgując się między prętami, by go podnieśli i pogłaskali. – Dasz im jeszcze jedną szansę? Ja też chciałbym cię od czasu do czasu widywać.

Skinęłam głową. Nie chciałam mówić, ze strachu, że zawładną mną emocje. Byli ze mnie dumni. Widziałam to w ich twarzach – byli ze mnie dumni.

Wyszliśmy, Jaśnie Pan na przedzie, Goodwin z Tunstallem, Ersken, Lorine i ja zaraz za nim, a Will, Nilo i Drapek za nami. Przez tłum Psów wydostaliśmy się na wewnętrzny dziedziniec. Był wypełniony ludźmi, którzy dowiedzieli się i zgromadzili mimo wojska na ulicach. Tak to już jest w Niższym Mieście. Miejscowi zawsze znajdą sposób, by złamać przepisy.

Gdy przechodziłam obok, wyciągali ręce, by musnąć palcami moje ramię. Słyszałam ich szepty.

– Ta dziewczyna to Terier. Terier.

GWARDIA STAROŚCIŃSKA

Założona: w roku 127 EL przez jego wysokość króla Tortallu, Bairda III.

Pierwszy pan starosta: Padraig haMinch (127-143).

Terminy „Pies”, „Szczenię”, „warkot”, „trop”, „buda” i podobne stały się popularne pięćdziesiąt lat po powstaniu gwardii.

CZTERY STRAŻE

Straż Dzienna: od dziewiątej rano do piątej po południu.

Straż Wieczorna: od piątej po południu do pierwszej w nocy.

Straż Nocna: od pierwszej w nocy do dziewiątej rano.

Czwarta Straż: zastępuje każdą z pozostałych trzech w dni sądowe i wolne.

W większości dzielnic najlepsze Psy przydziela się do Straży Diennej i Wieczornej, bo podczas ich służby na ulicach panuje największy ruch. Obiboki trafiają do Straży Nocnej, jako że wtedy dzieje się mniej. Jedynym obszarem, gdzie sprawy mają się nieco inaczej, jest Niższe Miasto, gdzie także Straż Dzienna ma nieco mniej zajęć. Najwięcej pracy ma tam Straż Wieczorna. Podobnie jak Straż Nocna, ale, choć nikt głośno tego nie powie, tak naprawdę podczas Straży Nocnej ulicami władają przestępcy. Służbę pełnią w niej najgorsi gwardziści. Nie dbają o pracę i uważani są za niepotrzebnych. Każdy to wie.

DZIELNICE

Co ciekawe, dzielnice gwardii w Corus często (choć nie zawsze) pokrywają się z podziałem miasta dokonany przez Łotrów dla celów swojej organizacji:

Dzielnica Góropola

Dzielnica Ładnakość

Dzielnica Jednorożca

Dzielnica Pałacowa

Dzielnica Migot

Dzielnica Nadtargowa

Dzielnica Koturnowa

Dzielnica Świątynna

Niższe Miasto

Ogólnie rzecz biorąc, w Niższym Mieście panują zupełnie odmienne warunki. To najbiedniejsza część miasta, więc łapówki są tu najniższe, podobnie jak prestiż. Najwyższa jest natomiast liczba ofiar, bo to obszar, na którym najczęściej dochodzi do przemocy. Większość służących tam gwardzistów ma opinię nie dość bystrych lub obiecujących, by wyrzucić dobre wrażenie gdzie indziej. Mimo to elitarni gwardziści z Niższego Miasta cieszą się największym respektem. Są też najtwardsi i najbardziej inteligentni.

STRUKTURA DOWODZENIA

Pan starosta: sprawuje władzę nad dzielnicami.

Wicestarosta: wspiera pana starostę (po jednym w każdym regionie Tortallu).

Kapitan: dowódca dzielnicowy.

W dzielnicy:

Dowódca Straży Sierżant Straży

Kaprale (zależnie od dzielnic)

Starsi gwardziści (zależnie od dzielnic)

Gwardziści
Stażyści
SZKOLENIE

Formalne szkolenie w 246 roku: jeden rok w szkole. Nie ma odsiewu ani egzaminów przed przystąpieniem do szkolenia. Uczestnicy muszą po prostu zaliczać zajęcia.

Wszyscy gwardziści muszą uczestniczyć w ćwiczeniach walki przez pierwsze cztery lata służby.

BROŃ I EGZEKUCJA PRAWA

Podstawowa broń: sześćdziesięciocentymetrowa pałka z twardego drewna z ołowianym rdzeniem.

Gwardziści nie używają mieczy: Miecz to śmiertelna broń. W większości wypadków, w których gwardziści stosują pałki, nie ma potrzeby zabijania. Przy odpowiednich umiejętnościach pałka może zatrzymać większość mieczy. Poza tym miecze wymagają wielu lat treningu, są kosztowne, należy traktować je z należytą dbałością i potrafią się złamać, kiedy są najbardziej potrzebne.

Prawo i przekupstwo: Egzekucja prawa to nie do końca uregulowana dziedzina, która ciągle jest w fazie organizowania. Siły porządkowe pod kontrolą władz państwowych to nad wyraz rzadkie zjawisko. Większość takich grup jest powoływana i zarządzana przez stowarzyszenia sąsiedzkie, gildie albo poszczególne miasta, czasami zaś są to pododdziały wojskowe. Członkowie Gwardii Starościńskiej, podobnie jak inne grupy, mają dużą swobodę w decydowaniu, kogo aresztować, czy przyjmować łapówki i czy później wykonywać to, za co daną łapówkę im wręczono. Łapówka to typowy sposób nakłaniania marnie opłacanych ludzi, którzy chronią kupców, by mieli na uwadze poszczególne jednostki, a czasami patrzyli przez palce na ich zachowanie. (Gwardzista, który często przyjmuje łapówki, a potem nie dotrzymuje swojej części umowy, może przypłacić swoje postępowanie życiem. Rozsądny gwardzista będzie w większości przypadków robił to, do czego się zobowiązał, biorąc łapówkę).

Gwardziści wkuwają na pamięć prawo i przepisy, których uczy się ich podczas szkolenia. Pozostałą wiedzę uzyskują na ulicach i od siebie nawzajem. Niektórzy są mądrzejsi od innych. Albo bardziej zmotywowani. I wszyscy na bieżąco tworzą procedury działania stróżów prawa.

Spis Postaci

RODZINA KRÓLEWSKA I SZLACHTA

Roger II

Król Tortallu z rodu Conté; pierwsza królowa, Alysy, zmarła; druga królowa, Jessamine (rok po ślubie) właśnie obdarzyła go synem.

Jessamine

druga żona Rogera II (niewspomniana w niniejszej książce), matka jego dziedzica

Alysy

pierwsza żona Rogera II, nie żyje

Sabine z Macayhill

pani rycerz

Joreth

rycerz, przyjaciel pani Sabine

Tullus z Królewskiej Dziedziny

rycerz, sędzia Sądu Miejskiego w Niższym Mieście

PSY (GWARDIA STAROŚCIŃSKA)

Acton z Fenrigh

dowódca Straży Wieczornej z ulicy Jane, szlachcic

Alacia

Szczenię, przydzielone do Dzielnicy Jednorożca

Birch

Pies, partner Vinehalla

Cape

Pies, partner Otterkin

Clary Goodwin

„Clary”, kapral, Straż Wieczorna z budy przy ulicy Jane, weteranka po siedemnastu latach służby, partnerka Becki, klasa średnia z Corus

Clarke

Szczenię ze Straży Nocnej, dzielnica Ładnakość

Ersken Westover

Szczenię, dobry kolega Becki, czwarty syn w rodzinie z klasy średniej, buda przy ulicy Jane

Fulk

mag w budzie przy ulicy Jane, Straż Wieczorna

Hilyard

Szczenię z roku Becki i Erskena, buda przy ulicy Jane

Jakorn

Pies, jeden z osobistych ochroniarzy Jaśnie Pana Gershoma, uczył Beccę, kiedy była mała

Kebibi Ahuda

sierżant Straży Wieczornej w budzie przy ulicy Jane, mistrzyni ćwiczeń walki, bardzo surowa, uważa, że Becca dobrze się spisze

Matthias Tunstall

„Mattes”, starszy Pies, partner Becki z budy przy ulicy Jane, weteran po piętnastu latach służby, góral ze wschodu

Nyler Jewel

kapral, partner Yoav, Straż Wieczorna, buda przy ulicy Jane

Otelia

Pies szkolący Verene, buda przy ulicy Jane

Otterkin

Pies, ma magiczny dar, Straż Wieczorna, buda przy ulicy Jane, partnerka Cape'a

Phelan

drugoroczny Pies, Straż Wieczorna, buda przy ulicy Jane

Rebecca Cooper

„Becca”, Szczenię, Straż Wieczorna, buda przy ulicy Jane, szesnastolatka, jej Psy szkolące to Goodwin i Tunstall

Springbrook

Pies, Straż Wieczorna, buda przy ulicy Jane

Verene

Szczenię, przyjaciółka Becki, buda przy ulicy Jane

Vinehall

Pies, partner Bircha, buda przy ulicy Jane

Yoav

Pies, partnerka Jewela, Straż Wieczorna, buda przy ulicy Jane

RODZINA I WSPÓLNICY KRZYWONOGIEGO

Ammon Lofts

„Krzywonogi”, paser, czyli handlarz kradzionym towarem, właściciel nieruchomości, prowadzi interesy zarówno z przestępcami, jak i z uczciwymi ludźmi

Annis Lofts

synowa Krzywonogiego

Herun Lofts

wnuk Krzywonogiego, syn Annis i mąż Tansy

Rolond Lofts Tansy Lofts

syn Tansy i Heruna, zamordowany żona wnuka Krzywonogiego, Heruna, matka Rolonda, przyjaciółka Becki z czasów dzieciństwa w Szambie

Inman Poundridge

werbownik strażników na targ niewolniczy i dla Krzywonogiego

Jens

strażnik kopaczy, wydobywających opale ogniste

Otto

lokaj w domu Krzywonogiego

Uta Norwood

księgowa i skarbniczka Krzywonogiego

Vrinday Kayu

carthakańska czarodziejka, pracująca dla Krzywonogiego

Zada

pokojówka w domu Krzywonogiego

DWÓR ŁOTRA I WSPÓŁPRACOWNICY

Kayfer Deerborn

Łotr, król złodziei

Dawull

przywódca Dzielnicy Nadbrzeżnej

Ulsa

przywódczyni dzielnicy Ładnałość

Aniki Forfrysning

scanrańska przestępczyni i fechmistrzyni

Koramin Ingensra

„Kora”, przestępczyni i czarodziejka

Rosto Muzykant

scanrański zbir, złodziej, przyjaciel Aniki i Kory

Śmiały Brian

członek grupy Dawulla, przyjaciel Aniki

Skrzypek

przestępca, grupa Dawulla, przyjaciel Aniki

Pani May

grupa Dawulla, przyjaciółka Aniki

Trzciniowa Katie

grupa Dawulla, przyjaciółka Aniki

DOM STAROSTY

Gershom z Haryse

pan starosta za rządów Rogera II, mąż pani Teodorie, przygarnął Beccę i rodzinę Cooperów, gdy Becca miała osiem lat, mecenas Becki

Teodorie z Haryse

dama, żona pana Gershoma

Jakorn

osobisty ochroniarz pana Gershoma, szkolił Beccę

Myaral Fane

„Mya”, kucharka w domu starosty, przybrana ciotka Becki

Ulfrec Fane

mąż Myi, główny lokaj w domu starosty

RODZINA COOPERÓW

Diona Cooper

piętnastoletnia siostra Becki, przyucza się na pokojówkę dla damy

Fern Cooper

babka Becki, matka jej ojca, mieszka w Niższym Mieście

Ilony Cooper

nieżyjąca matka Becki

Lilac

kuzynka Becki

Nilo Cooper

dziesięcioletni brat Becki, przyucza się na stajennego

Willes Cooper

dwunastoletni brat Becki, przyucza się na posłańca

COOPEROWIE 200 LAT PÓŹNIEJ

Eleni Cooper

była kapłanka, samotna matka George’a Coopera

George Cooper

jedyny syn Eleni, ma sześć lat, gdy jego matka spisuje swój dziennik w 406 roku EL
INNE GODNE UWAGI OSOBY I ISTOTY

Aveefa

pyłowy kręt

Hasfush

pyłowy kręt na rogu ulic Zwęglonego Sadu i Skrzydłosztorma

Shiaa

pyłowy kręt

Deirdry Noll

właścicielka dobrze prosperującej piekarni, sąsiadka i przyjaciółka Becki

Gemma Noll

najmłodsza córka Deirdry, niezamężna, pomaga przy wypiekach

Yates Noll

najmłodszy syn Deirdry

Gunnar Espeksra

zbir, trzyma z Yatesem Nollem

Jungen Berryman

mag, zajmujący się kamieniami szlachetnymi, zafascynowany Psami, zaprzyjaźniony z Go-
odwin i Tunstallem

Jack Ashmiller

mąż Orvy, ojciec trojga dzieci

Orva Ashmiller

pijaczka, uzależniona od wina gorącej krwi, żona Jacka, matka trojga dzieci

Amaya Painter

czarodziejka, matka jednej z ofiar Węża Cienia

Calum Painter

pięcioletek, porwany i zamordowany przez Węża Cienia

Vonti Painter

mąż Amayi, zginął na morzu

Czarnonos

mieszkaniec ulicy

Esseny

zamordowana tancerka

Jeżyna

ładna kobieta, która ma siostry

Matka Cantwell

żebraczka i złodziejka

Pastoi

carthakański handlarz niewolników

Parks

nazwisko dwóch skorych do bójek braci

Słowniczek

baba – kobieta niskiego rodu

Barzun – kraj na południe od Tortallu, na północnym wybrzeżu Wielkiego Morza Śródziemnego

buda – wartownia starosty; posterunek gwardii

Carthak – pradawne i potężne imperium, uznające niewolnictwo, obejmujące wszystkie południowe kraje, skarbnica nauki, filozofii i kultury

Chaosu, Krainy – jedna z czterech dziedzin (Śmiertelne Krainy, Boskie Krainy, Spokojne Krainy i Krainy Chaosu), w której wszystko ulega nieustannym przemianom, destrukcji i tworzeniu od nowa

Corus – stolica Tortallu nad rzeką Olorun

Czarny Bóg – Bóg Śmierci w szacie z kapturem, uznawany we wschodnich i południowych krajach

dar, magiczny – ludzka, akademicka magia, posługiwania się nią trzeba się nauczyć

Era Ludzi (EL) – okres, który rozpoczął się 246 lat przed akcją niniejszej książki, gdy nieśmiertelni zostali wygnani ze Śmiertelnych Krain

Galla – kraj na północny wschód od Tortallu, słynny ze swoich gór i lasów, z prastarym rodem królewskim

gasić – mordować

klatki – cele dla więźniów budy

kredyciarz – pogardliwe określenie szlachciców, którzy sprzedają pamiątki rodowe, a potem odkupują, gdy mają więcej pieniędzy

kwaskinka – napój z octu malinowego lub jabłkowego i wody, bardzo orzeźwiający

łycha – patrz: mieszek

Maren – jeden ze wschodnich krajów, na wschód od Tusaine i Tyry, bogaty i potężny

Miedziane, Wyspy – uznający niewolnictwo kraj na południowy zachód od Tortallu, pierwotnie zwane Wyspami Kyprijskimi. Niziny są tam porośnięte gorącą, wilgotną dżunglą, a wyżyny są zimne i skaliste. Tradycyjnie powiązany raczej z Carthakiem niż Tortallem.

mieszek – męska osłona krocza

mieszczanie – szanowane osoby, które nie mają szlacheckiego pochodzenia; dla rycerzy określenie ludzi łagodnych i potulnych

Mithros – naczelný bóg w tortallskim panteonie, bóg wojny i prawa; jego symbolem jest słońce

nieśmiertelni – istoty, które żyją wiecznie, o ile nie zostaną zabite, między innymi Skrzydłostormy, olbrzymy, spidreny, skrzydlate konie

nobel – duża moneta z miedzi, srebra lub złota

obojczyk – element zbroi, osłaniający szyję, przypominający kołnierz

Olorun – rzeka, która płynie ze wschodu na zachód przez środek Tortallu

Pani Księżycyca – symboliczne przedstawienie Bogini

pęta – rzemienie używane do krępowania więźniów

Pies – funkcjonariusz Gwardii Starościńskiej

plotka – drobny przestępca, niewarty wysiłku, by go aresztować

przymknąć – aresztować

Ptaszek – informator

pyłowy kręt – istota powietrza i ducha, bezustanny wir, który zbiera wiatr, rozmowy, emocje i inne elementy z otoczenia

Scanra – kraj na północ od Tortallu, dziki, skalisty i zimny, z bardzo niewielkimi obszarami ziemi uprawnej. Scanranie to mistrzowie żeglugi. Budzą postrach wszędzie, gdzie jest dostęp do

morza. Często urządzają też najazdy drogą lądową.

Shakith – jedna z carthakańskich bogiń świata podziemi, ślepa wizjonerka, która odważa prawdziwą wartość rzeczy; jest zatem boginią sprawiedliwości, bankierów, jubilerów i handlarzy klejnotów.

Skrzydłosztormy – nieśmiertelne stworzenia, wygnane przed nastaniem Ery Ludzi. Miały stalowe ptasie skrzydła i pazury, a także półludzkie głowy i piersi. Żywiły się strachem i poległymi w bitwie. Bardzo paskudne typy.

Spokojne Krainy – miejsce dla duchów zmarłych, dusze idą tam wyleczyć się po cierpieniach życia.

starosta – szlachcic dowodzący Gwardią Starościńską w całym królestwie; większość z nich osobiście interesuje się gwardią w stolicy, Corus, a także zarządzaniem funkcjonariuszami w całym kraju.

Szczenie – stażysta w Gwardii Starościńskiej

Szczur – przestępca; zdobywca; aresztant (w języku Psów)

Tusaine – niewielki kraj, wciśnięty między Tortall a Maren

Tyra – republika handlowa na Wielkim Morzu Śródlądowym, pomiędzy Tortallem a Marenem. W znacznej mierze bagnista. Jej mieszkańcy czerpią dochody z handlu i bankierstwa.

wiedźma – kobieta uprawiająca drobną magię, nie dość potężna, by nazwać ją magiem lub czarodziejką, o skromnym oficjalnym wykształceniu

wino gorącej krwi – wino z dodatkiem substancji podobnej do amfetaminy

worek szczęścia – cotygodniowe łapówki dla urzędu starosty: klejnoty, monety, dzieła sztuki, przedmioty magiczne, wszystko, co wartościowe i możliwe do sprzedaży

Wybór Czarnego Boga – samobójstwo

Zamurze – więzienie dla skazanych na długoletnie wyroki.

Podziękowania

Dziękuję Mallory Loehr, mojej redaktorze z wydawnictwa Random House, która zasugerowała mi narrację pierwszoosobową i formułę dziennika, oraz Bruce'owi Coville'owi, mojemu czytającemu współnikowi zbrodni, który nadzwyczaj ciężko pracował ze mną nad dynamiką pisania w pierwszej osobie i nad prawdziwym głosem Becki. Jeśli kształt tej książki jest wyjątkowy i jeśli zdaje egzamin, jest to zasługa Was obojga. Lisie Findlay i Sarze Alan, które również udzieliły mi bardzo cennych wskazówek redakcyjnych przy tej szczególnie trudnej książce.

Christine M. Cowan z Undiscovered Treasures, źródłu mojego pierwszego opalu ognistego w skale macierzystej (a także wielu innych wspaniałych kamieni i kryształów).

Osobom zamieszczającym treści na stronie Sheroes Central, które nie wiedziały (ja też nie wiedziałam), że uczą mnie tworzyć wpisy do dziennika!

Gołębiom z Riverside Park, takim jak Gloucester, Gimpy, Cloak, Hart Crane, Tex, Footloose, Bandit, Pinky... Co? Myśleliście, że je wymyśliłam?

Jackowi Olsenowi, dżentelmenowi i autorowi książek o przestępczości, który zawsze miał dobre słowo dla kogoś głoszącego niepopularne opinie.

